

Melchior Wańkiewicz

ziele na kraterze



Melchior Wańkowicz

Ziele na kraterze

Instytut Wydawniczy Pax
Biblioteka Dzieł Wyborowych Instytutu Wydawniczego Pax
ISBN 83-211-0365-0
Warszawa 1982
© by Marta Erdmann, Warszawa 1959
Fotografie ze zbiorów Autora
Redaktor Danuta Oleksowicz
Redaktor techniczny Adam Małaszewski
Obwoluta, okładka i wyklejka Maciej Hibner

digitalised by CRANKY`

Przedmowa	7
Kiełkowanie	8
Wielkopolskie niemowlęctwo	9
Warszawskie dzieciństwo	15
Od liter do literatury	28
Na Chełmszczyźnie	35
Na Litwie Kowieńskiej.....	45
Domeczek.....	59
Niegodne praktyki Taty.....	75
Czy przycinać?	84
Rozrost	92
Wodami Polski	93
Drogami Podkarpacia	99
Szczeniące lata	109
Po Kresach.....	111
Krynolinki	117
Konspiratorzy	124
Matura przy błysku piorunów	131
Smak przed jazdą	135
Uniwersyteckie wspominki	144
Pedałowanie przez Europę	150
Jakże zielono w Gołańczy!	166
Wykorzenianie	172
Lawa	173
Ratowanie się	175
Chlorofil	179
Trwanie.....	184
Odrost.....	192
Jak broniło powietrze?	193
Pierwsze wiązki ziela	196
Srebrne wesele.....	208
Owocowanie.....	212
Jak długo nastarczą ręce mamine?	213
Jak długo jeszcze będzie potrzebny ojciec?	216
Ognie podchodzą.....	225
Anglicy w Domeczku.....	226
Domeczek się broni	232
Ognie doszły.....	238
Ziele na kraterze	246
Powstanie	249
Popiół	253
Losy szesnastki.....	254
Non omnis moriar.....	257
Brat	262
Matka.....	265
Epilog i prolog.....	271
List do Krysi.....	272
List od Tili	276

Opis:

Ziele na kraterze ukazało się po raz pierwszy w Nowym Jorku w 1951 r. Pisane „po i przed wybuchem kraterów”, w obliczu całkowitego załamania się dotychczasowych form życia i tragicznej śmierci córki w Powstaniu Warszawskim, jest próbą rekonstrukcji, ocalenia przeszłości — i kładką wysuniętą w przyszłość, ku nowym nieśmiałym jeszcze pędom następnego ziela na następnym dziejowym kraterze.

Jest poza tym książką o rodzinie, która była szkołą obywatelstwa, świadomości społecznej i patriotycznej, ale także wspólnym, radosnym, barwnym uczestnictwem w życiu. A także książką o Polsce — z ducha tradycji, klimatu, obyczaju.

Autor tak oto wyraża cel i sens tego swoistego „curriculum vitae”, zamkniętego w 40 fascynujących rozdziałach: „Chciałbym, (...) aby czytający przez moje dzieje ujrzeli dzieje swych domów i rodzin, i żeby wspomnienie tym wywołane rozdarło na chwilę nieznośny osad życia”.

*Pisane po i przed wybuchem kraterów
w Azji – w Jerozolimie
w Afryce – w Meadi
w Europie – w Londynie i Rzymie
w Ameryce – w Lakewood, N. J.*

Dedykowane przyszłym ekskawatorom

Przedmowa

Radość wzrostu i rozpacz zniszczenia były w każdej rodzinie.

Pisałem przez pryzmat dla mnie najwyrazistszy — własnego domu. Ten dom w czasie pokoju miał swoje cechy ujemne, w czasie okupacji nie całopalił się, w czasie pogromu nie został porażony więcej niż inne domy.

Chciałbym więc tylko, aby czytający przez jego dzieje ujrzeni dzieje swoich domów i swoich rodzin, i żeby wywołane wspomnienie rozdarło na chwilę nieznośny osad życia.

Książka była pisana na emigracji, nie unikałem nieścisłości. Na przykład Andrzej Romocki (Losy szesnastki) nie tańczył mazura, a odtworzyć sobie właściwego nazwiska nie mogę. Po ukazaniu się krajowego wydania powiadomiono mnie, że Aniela Załęska przeżyła powstanie. Za możliwe inne nieścisłości dotyczące personaliów przepraszam uczestników i ich rodziny.

Melchior Wańkowicz

Kielkowanie

Wielkopolskie niemowlęstwo

Najpierw był embrion.

Potem było w łonie matki zamknięte pulsujące życie.

Wreszcie był dziecienny pokój — świat nie do ogarnięcia w całym swoim ogromie, całej niespożytej różnorodności. Dla opanowania tego pokoju przebyć dopiero trzeba było całe epoki poprzez rozróżnianie poszczególnych sprzętów.

Nim się ogarnęło dziw nad dziwy — kończenie się miękkości dywanu i poczynanie się twardości podłogi, uchylenie się jednego, z lekka poznanego świata i ukazywanie się drugiego, absolutnie nierozpoznawalnego, którym było wnętrze szafy po rozwarciu się drzwi, nim się opanowało wstrząs, jakim jest odbicie w lustrze, i zupełnie przechodzące pojęcie zjawisko szyby, po której z tamtej strony łązi mucha — dumną opoką, z której szły dzień w dzień te wspaniałe podboje, było głębokie łóżeczko, kolebusia, obciążnięta kretonem, mieszcząca w sobie zasiedziałe sprawy: kołderkę, przyjemnym ciepłem podpełzającą pod brodę, ściankę kolebusi, łaskawym cieniem wstającą między oczkami, zapuchającymi na sen a dalekim mżeniem nieznanej lampy, sztucznego kota z obćmoktanym ogonem.

To łóżeczko — ład stały, prowincja pierwsza, z której powstaje imperium życia, brama wypadowa w awanturę świata zewnętrznego — pozostaje przez długie lata dziecinne czymś mającym znaczenie nadnaturalne. Jeśli w tym czymś nadnaturalnym zdarzy się jakiś ewenement, jest on przyjmowany z maksimum wzburzenia: takim jest zasiusianie prześcieradła, kiedy się już wyawansowało do wysadzania na nocniczek, wetknięcie się nagle psiej głowy za siatkę, wtargnięcie konika polnego, spadnięcie w nocy poduszki na podłogę. Bezradność dramatycznego powiadamiania Mamy, śpiącej obok: „Mama — paduśka zgubiła się”, jest równie alarmistyczna, jak na przykład byłby pewnego dnia komunikat, że znikły kopalnie węgla i już odtąd będzie zimno.

Łóżko — czasem zdradzało. Matka, wróciwszy późno, zastawała dwie skostniałe figurki śpiące na kołdrach. Położyły się tak, żeby nie zasnąć i doczekać Mamy. Licha tam!... Zdradziło i wciągnęło łóżeczko.

Mama to rozumie — ten związek z łóżkiem. Mama jest duża — opanowała już nie tylko dręczącą zagadkę muchy za szybą, jest nie tylko bez ceremonii z wnętrzem szafy, ale przemierzyła łądy, od których w głowie się mąci. A i teraz jednak, kiedy dozna krzywdy od „Olbzyma” — smyka do łóżka. „Olbzym”, którego korci własna niegodziwość, po chwili pyta dosyć niepewnym głosem :

— Co ty tam robisz?

— Siedzę sobie — odpowiada głos z łóżka-fortecy.

Jest w tym zaznaczenie skrzywdzenia, anons, że pozycje są ufortyfikowane, ale że istnieje gotowość do pertraktacji.

To łóżeczko dziecinne — to był pierwszy cypel nowego życia, wynurzającego się z topieli, rozpoczynanego w mieszkaniu na trzecim piętrze warszawskiej kamienicy czynszowej na Elektoralnej. Front kamienicy zajęty był przez sklep gotowych ubrań pana Segala; w oknach sklepu stały zabójcze brunety z wosku w tandetnych ubraniach; w bramie pyszniły się gabloty pana Piekacza, fotografa, który miał pracownię W podwórzu; okna naszego mieszkania wychodziły na toż samo zaplute podwórko, na którym chrypiały zaropiałe dziady; mieszkanko to na trzecim piętrze nie miało windy, elektryczności, łazienki, miało za to pluskwy o żelaznych zasadach i ubikację zrujnowaną. Było zimno. Na opał nie było nas stać.

Przed urodzeniem pierwszego dziecka matka jego została porażona nieszczęściem: w lipcu 1919 roku polegli w odstępie trzytygodniowym jej jedyni, nad wszystko ukochani bracia. Jako starsza siostra w domu, który za ich wczesnego dzieciństwa odumarała matka, była ich opiekunką. Teraz, kiedy powstawała Polska i zdawało się, że rozpocznie się nowe życie, zabrakło ich.

Kiedy Krysia wreszcie przyszła na świat w tym zimnym mieszkaniu na Elektoralnej, matka jej nie była zdolna do życia. Przenosząc dziecko do przewijania, trzymała je kurczowo w obawie, że wypadnie... przez okno. Problemat wygotowania butelki, ugotowania kaszy, każdy element realnego świata był skomplikowaną nad siły czynnością.

Świat ten przesiąkał brzydotą. Na pierwsze miejsce wypychała się ohydna wysiedziana zielona kanapa, na której trzeba było słać wieczorem pościel dla męża. Przy mijaniu manekinów pana Segala, gablot pana Piekacza należało wyrobić w sobie całą skomplikowaną dyscyplinę — niewidzenia.

Ratunki nikłe były i słabe: batik zielony, ukajający lampę... hejnał z wieży strażackiej w koszarach Mirowskich... tani kwiatek od przekupki za pobliską Żelazną Bramą.

I dziecko nie było zdolne do życia. Konało z przeżyć matki i nie mogło oddychać w tym świecie. Dusilo się. Lekarze mówili — „astma”, mówili — „fałszywy krup”. Trzy lata gościły w domu butle z tlenem, wilgotne prześcieradła wisiały dokoła kolebki. Dopiero pediatra, doktor Szenajch, odkrył, że te duszności są na tle nerwowym, i z wolna wyprowadził z tego dziecko jakąś surowicą sprowadzoną z Paryża.

Tak zapewne po wybuchu wulkanu ziele na kraterze puszcza ponownie pierwsze pędy ze spopielonego gruntu — z trudem i niełatwo.

Pomagają mu ptaki, wiatry nanoszące, słońce, woda i bieg lat.

Pomagali koledzy chłopców, narzeczona poległego brata i także pomagał płynący czas.

Żołnierze z pancerki przysyłali delegacje, prezenty, krzyżyk złoty, kołderkę, misiulka. Przyjeżdżali na urlopy, stawali spartym murem dokoła kolebki, patrząc ponuro i bezradnie.

Czy jednak wyżyje?...

Czy wzrośnie?...

Czy na wypalonym miejscu pójdą pędy?

Wanda, narzeczona Staśka, siedziała całe noce przy chorej Krysi. Nie zdążyła sfotografować się na prośbę Staśka w tym krótkim narzeczeńskim okresie przedzielonym teraz przez przepaść martwego czasu. Chciała zostawić Krysi fotografię narzeczeńską. Poszła do fotografa w jasnej wiosennej sukience, z bukietem kwiatów, usiłowała uśmiechać się wesołym dziewczynskim uśmiechem.

Popiół z kataklizmu dziejowego sypał się na dom, ludzie ratowali się, jak mogli.

Czy dzięki tym lekom paryskim, czy też dzięki tym lekom serc — ziele na kraterze przechorowało wejście w życie i poczęło rosnąć.

Dwudziestokilkuletni ojciec rodziny był również nie przygotowany do życia. Wychowano go w nabożnej obawie pokoleń przed stratą majątku. Taki, co stracił majątek, siedł na rezydenta albo zmywał się z oczu sąsiadów w nieznany świat i „na pewno gdzieś teraz nocuje po ławkach w parkach miejskich”.

A właśnie on stracił majątek, świat otaczający był obcy, siły własne niewiadome i wiara w możliwość „zarobienia czegoś” — bardzo mglista.

Tymczasem już wzburzona fala historii wyglądała się drobnym ciurkiem napływających na wystawy sklepowe towarów.

Po latach uniesień zrobiło się w mieszkaniu na Elektoralnej szaro i bezradnie.

Z tych lat we wspomnieniu moim pozostaje — deska klozetowa. Długośmy cierpieli jej brak, nie przypuszczając, że naszą kieszeń stać na inwestycję. Wreszcie dowiedziałem się ze zdumieniem, że kosztuje drobną sumę, i przyniosłem ją z triumfem. Odtąd w języku

rodzinnym mówiło się: „A może to jest jak z tą deską?” Co po Mickiewiczowsku znaczyło: „Mierz siły na zamiary”.

Wsparty o to doświadczenie, postanowiłem, dokończyć zaczęte przed wojną prawo, bo posiadany dyplom Szkoły Nauk Politycznych był według oceny teścia (który swoje Dobrogoszczyce wymienił na kamienice, a te z kolei na błyskawicznie spadające marki) — „dobry dla dziedzica Jodańc,¹ ale nie dla człowieka, który musi zarabiać”.

Zredagowałem więc numer kresowy „Świata” zastrzegłszy połowę dochodu z ogłoszeń jako honorarium, kupiłem najlepszą, jaka była, lampę naftową, zapakowaliśmy w pieluszki wciąż chorą Krysę i pojechaliśmy na pół roku mego końcowego kucia do brata w Poznańskie, gdzie Tol, wróciwszy z kampanii pod zagończykiem Dąbrowskim, uczepił się dzierzawczyny.

Tam właśnie przyszła na świat następna córka, Tili. Rodząc się, z punktu zademonstrowała, że zamierza iść przez życie w sposób lżejszy niż starsza siostra: po prostu, wybrawszy niedzielne popołudnie, kiedy wszyscy byli w kościele, skorzystała, że Mama przechodzi od okna, pod którym bawiła się Krysia, na łóżko, wycelowała, gdzie miękko i wypadła głową na dywanik przy łóżku.

Domownicy otoczywszy kolebkę maleńtasa, którego znaleźli w wyśmienitym humorze, kiwali głowami. Krysia, licząc rok i dziesięć miesięcy, zajrzawszy do kolebki rozpromieniała się:

— Rączki — tili... Nóżiecki — tili — pokazywała rozstawionymi paluszkami — malusienka tili-tili...

Wobec czego nazwa „Tili”, używana żartobliwie, zdawałoby się przejściowo, przylgnęła.

Łózczecko Tili stało więc w Jerce. Jerka była to dzierzawa domeny państwowej, którą Tol otrzymał na osiemnaście lat. Mały domek ekonomiczny stał na skrzyżowaniu szos: Leszno—Śrem i Kościan—Gostyń.

Do tego domku spływały jakimś cudem ocalałe rozbitki: jakieś trochę trofeów z polowań najstarszego brata w Afryce i w Azji. Jakieś obrazy Walentego Wańkowicza. Czechowicza, Smuglewicza, rękopisy Bartelsa, nieco portretów rodzinnych; wszystko to — w tym domku przy skrzyżowaniu dwu szos, dwu traktów, przy skrzyżowaniu jakichś nie w pełni nam wówczas znanych rzutów idących z głębi dziejów w głąb przyszłości.

Sześć głowin dzieciennych znowu rosło ze stratowanego życia. Jur, Hania, Rom, Irenka — Tolów; Krysia oraz Tili — nasze.

Naokół był pas pól buraczanych, swąd gorzelni, zgrzyt wąskotorówki, tak zwanej „bimby”, bo jechała, ostrzegając dzwonieniem w wielki dzwon. Dalszy pas — jaśniewielmożnych sąsiedztw, połączonych wszelakim powinowactwem, które najeżdżały rajdami gwiazdzistymi domek przy zapyłonym trakcie. Coś widać emanowało z tych starych portretów i z tych ludzi startych w pierwszym ruszeniu międzyepoki.

Spotkały się dwa ziemiańskie elementy — wschodni i zachodni. Zabawnie, oni tam w Poznańskim — mimo pałaców, lokai, aut — byli bliżsi ludu i bardziej demokratyczni, a zarazem bardziej obskuranczy i bardziej prostaczkowaci, a równocześnie więcej cywilizowani. W parafii kościańskiej, w której osiedli Tolowie, ziemianin utytułowany przeproszał parafię ustami proboszcza z ambony za zgorszenie, jakiego był powodem, rozstając się z żoną. Wszystko tu się wykładało „kawę na ławę”, po prostu i po Bożemu. W „Gazecie Polskiej” wychodzącej w Kościanie ktoś bona fide rewokował, iż nieprawdą jest, co rozgłaszał, jakoby ksiądz proboszcz żył ze swoją gospodynią. Dzieci nieprawych omal nie było, bo sprawcy byli za kark doprowadzani do ołtarza. Kobiety po urodzeniu dziecka musiały być oczyszczone przez wprowadzenie ponownie przez księdza do kościoła. W domu

¹ Bo brat, jako starszy, objął Kalużyce. Do przypadłych mi w dziale matczynych Jodańc jechać nie mieliśmy po co wobec litewskiej reformy rolnej.

żyło się cnotliwie, w Poznaniu, w Warszawie już całkiem nieźle, a w Berlinie lub Wrocławiu — na całego.

Z tym demokratyzmem, pozwalającym na zgodną współpracę z chłopem w kółkach rolniczych, szła w parze zaciekle stanowczość. Pieniądz istotnie mało znaczył u tych ludzi, ale „kto zacz” — wszystko. Najbogatszy pono człowiek w Polsce, bankier Rotwand, który jakimś fuksem wżenił się w podupadającą ziemiankę i w majątek ziemski, nie mógł ani rusz doczekać się rewizyt.

Tata, zarażony jakobinizmem po świecie, układał kuplety pocieszenia ziemiańskiej kuzynce, szalejącej, że jej brat ożenił się z uroczą, ale nie herbową panną:

*Damć radę na twą biedę:
Wstaw jej do herbu bede,
Naczynie to jest wierne,
Całkiem modeme.*

Kiedy przyszła próba, ten śmieszny, solidny, zacofany świat wykazał swą wartość. Lider poznańskiego ziemianstwa, świętej pamięci Mieczysław Chłapowski z Kopaszowa, prowadzony na śmierć w pierwsze dni inwazji niemieckiej, ukląkł spokojnie z różańcem w rękę na rynku rodzinnego Kościana i zginął pod kulami z okrzykiem:

— Niech żyje Polska, niech żyje Francja, niech żyje Anglia!...

W domku przeflancowanym z puszczy nadberezynskich na skrzyżowanie szos mżyła dawnym światłem Alina, panna respektowa mojej matki, która wychowała nas wszystkich; Alina, którą, będąc odcięta od Polski po traktacie ryskim, przewędrowała przez zieloną granicę holowana przez dawną służbę i przeniosła na łonie wiersze swego „chowańczyka”, opiewające wiecznie i tymi samymi rymami szynkę-Alinkę. Biedna stara w piętkę już nieco goniła, siedziała na kanapie i „miała za złe”.

Ileż to trzeba było wziąć za złe temu nowemu światu, tak innemu niż świat powstańca „nieboszczyka pana Melchiora” i jego żony ze Szwoynickich, z którą jako panna respektowa przywędrowała z Kowieńszczyzny na Białoruś!

W czasie rewolucji rosyjskiej, kiedy trzeba się było schronić do Mińska, Alinka nigdy nie zapaliła elektryczności w pokoju.

— Tfu, nie cierpię, nienawidzę tych wymysłów — oburzała się, zapalając lampę naftową.

W Jerce elektryczności nie było, można było po dawnemu „oprawiać” lampy, wyrównując opalone knoty i pokrzykując na służebnice. Ale gniot gleichszaltowy zbyt uciskał duszę kresową.

Mama cieszyła się względami Aliny, która stale obiecywała, że umierając przekaze jej tajemnicę zamawiania róży. Zaczynało się to tak oto:

*Szedł Pan Jezus drogą i znalazł trzy róże,
Jedna zginęła, druga przepadła, trzecia szczęła.
Tak ty zgiń, tak ty przepadnij, tak ty szczęnij.*

Ale pełną formułkę można było zwierzyć umierając tylko jednemu człowiekowi.

Alinka zamawiać — zamawiała imieniem Boskim, żegnać kąty domu — żegnała przed pogaszeniem świateł, ale obracając się między „państwem” i służbą w zabawny sposób łączyła w sobie folklor z racjonalizmem. Przecież to w Kalużycach ktoś kiedyś zobaczył babulkę przyslaną do pilnowania chorej ciotki, jak klęcząc modliła się, czytając Żywot Chrystusa Renana. U Alinki ta pobożność dziwnie łączyła się ze szlacheckim farmazoństwem, jak u mego chrzestnego, który „w Boga nie wierzył”, ale miał kult dla Matki Boskiej i stawiał Jej kapliczki.

— Pani Zosiu — mówiła do Mamy² — jak będę umierać, to proszę do mnie żadnych dewotek nie wpuszczać, żeby śpiewały jakieś „zimne poty”. Proszę tylko Ojcie nasz zmówić i Kto się w opiekę, moja złocista,..

Mieszkając w Kalużycach, ani do kościoła odległego o dwadzieścia wiorst nie przywykła jeździć, ani chodzić do spowiedzi,

Cnotliwe Poznańskie, które praktykowało publiczne odwoływanie grzechów, przysłało ojca benedyktyna dla zbadania tej owieczki. Ojciec benedyktyn okazał się zwolennikiem gry w „sześćdziesiąt sześć” i obie strony wyrażały zadowolenie z odbytej konferencji.

Między tym wszystkim — portretami i wspominkami, burakami i gorzelnią, jasnie wielmożnymi i niedostatkiem — rosło sześć głów nie podejrzewających, że przyszedł do życia na pęknięciu świata. Była to komuna tak doskonała, że kiedy Mama pojechała na parę tygodni do Warszawy, rodzone dziatki, wzorem Tolat (dzieci brata, Tola) zwracały się do niej po powrocie przez „ciociu”.

Na powrót Mamy były przygotowane żywe obrazy. Kilkomiesięczna Tili wspaniale odegrała rolę łątki. Leżała golutka na brzuszku na kolorowej poduszce, z przypiętymi srebrnymi skrzydełkami. Kiedy Tata — konferansjer — doszedł do anonsovania jej występu:

*Tili – maleńka łątka –
wylazła ze swego kątka,
gdy cię ujrzała, mamusiu,
z radości zrobiła siusiu –*

obeszła się bez suflera, zagrawszy swoją rolę „z wylaniem”.

Mały Biś (Irenka), też jeszcze nie dorósł do roli mówionej, był wyspą Tahiti. Kiedy mianowicie chór śpiewał „Księżyc nad Tahiti bladym światłem lśni”, a Rom i Krysia, udrapowani w szale, odwalali Tahitańczyków w blasku kulistej lampy naftowej, oblepionej złotą bibułą i imitującej księżyc—Biś, stojąc na czworakach, nakryty pledem, cierpliwie reprezentował wyspę Tahiti.

— Ciociu — dopominał się basem po przedstawieniu — czy ciocia widziała, że byłam górą?

I tak szły dni — na niewiadome. Tata kuł przy oknie wychodzącym na podskubany ogródek, do którego z sąsiadów ma należeć insula in flumine nata. Przed oknem stał kojec, w którym rezydowała Tili, szpetul z głową wystrzyżoną przy skórze, z ogromną pajdą chleba z masłem, którego połowa była na buzi. Już bowiem minęło karmienie piersią, kiedy witała wchodzącą matkę smakowitym ćmoktaniem, jakby wnoszono befsztyk.

Czasem pod oknem rozlegał się wrzask, kiedy — mimo mocowania się z kundlem — kundel okazywał się mocniejszy i wyrwał pajdę. Połknąwszy ją, zapalał fajkę pokoju, zlizując resztę masła z gębusi.

Powoli z tych pierwszych ptasich z kojca wygwizdów i pokrzykiwań, z tych nieartykułowanych dźwięków — wyłaniał się język ludzki.

Pamiętam, kiedy wypłynęło pierwsze ludzkie słowo (bo „tata”, „mama”, „cioci”, „ensi”, „papu” stoją jeszcze na pograniczu zwierzętkowych pochrząkiwań, pomruków i popisków).

Kiedy pochyliłem się nad głęboką kolebeczką, w głębi której malec już się nadał do snu, otworzył w napuchniętej przedsennie buzi oczka (miał je z typową mongolską fałdą, odziedziczoną po Tatarach Baczyźmałskich, przy czym lewe było „dropiate”, z żółtą łątką na tęczówce) i chytrze spojrział na mnie; podniósł pulchny paluszek: i zwierzył się z ogromnego dorobku:

² Mama (następnie „Królik”) i Tata (następnie „King”), tak samo jak pokojówka — „Cielęcina”, kucharka — „Wąż”, Krysia — „Pyton” albo „Struś” i inne przezwiska — jako imiona własne w tej książce pisane są dużą literą.

— Palać...

W tym dniu nauczył się, że tak się nazywa palec. Potem słowo nikło jednak w czeluści rozważań i obserwacji, dziecinnych przymierzań i miarkowania, aż wreszcie kiedyś wypływało ponownie już jako prawidłowy „palec”.

Krysia za to żywsza, wrażliwsza, nie czekała na ostateczne ukształtowanie słowa i stworzyła wokabularz swoich najwłaśniejszych słów:

Przekupka była „krzepupką”, papuga — „papuka”, kot bury z piosenki paradował jako „kobuły”, mordka — „mośtka”, zepsuty „ipsiuty”, prześcieradło - „popścieradło”, kubeczek — „pubecieć”, placek — „klacieć”. kiełbasa — „kowbasia”, punkcik — „pumcik” obrzydliwy — „uobziedliwy”, grzeczny — „gzieć”, chwila — „wchila”, chwała Bogu — „wchwała Bogu”, rzeczywiście — „ziiście”, gwizdać — „gwiżdzić”; domagała się nie chleba, tylko „laba”, a to, na czym się siedzi, nazywała najprzód „drugim brzuszkiem”, aż ochrzciła celnym neologizmem „siądzka”.

I zaraz, ledwo ten język dziecinny począł się sklejać w dwa słówka, na krzyż przepasane trzecim, już ta embrionalna mowa poszła w służbę walki o prawa, którą dotąd wspierały tylko gesty i pokrzykiwania.

Kiedy przyszła pierwsza butla, Tili — dzieciak przyzwyczajony do piersi, mógł tylko wrzasnąć zdecydowanym protestem. Nagle strzyknął mu do gębki pierwszy łyk — przypięła się rączkami i dla pewności dwiema pulchnymi nóżkami i poczęła dudlić do ostatniej kropli.

Teraz ma półtora roku, już z gaworzenia wchodzi w mówienie i nagle, kiedy jej matka zwraca uwagę, by nie rozrzucała kaszy, powiada : „Wciale”. Tego wyrazu gdzieś się nauczyła i nadużywała do wszystkich protestów. Spać? — „wciale”. Nie rozrzucać kaszy? — „wciale”. Co tu robić z półtorarocznym skrzatem?

— Nie będę ci „wciale” kaszy dawać — konkluduje matka.

— Pazofia będzie da-a-a-ć...

— Nie będę — replikuje panna Zofia, bona.

— Ikcia będzie da-a-a-ć...

Ale Wikcia przyłącza się do akcji pedagogicznej:

— Nie będę, jesteś „uobziedliwa”.

— Ciocia Maieta będzie da-a-a-ć...

Sprowadzona specjalnie Marietta z oburzeniem odparła ofertę. Dzieciak nie dał za wygraną, aż przeskrutynizował wszystkich domowników aż do garbatej Walerci od świń — bez skutku. Dopiero ryknął wielkim głosem.

Warszawskie dzieciństwo

Wraz z powrotem do mieszkania na Elektoralnej skończyła się, choć tak ubożuchna w Jerce, wieś, skończyły się, choć tak nieliczne, cudem z topieli wojennej ocalałe portrety rodzinne. I atmosfera, którą stwarzali Tolowie. Był pan Piekacz ze swymi wyrobami fotograficznymi w bramie, pan Segał z manekinami, na których wisały tandetne płaszcze, podwórkę zaplute i szare rozlaźle sprawy na jego asfalcie.

A przecież przez tę szarość wlewało się kolorowe życie oczkami, uszami, powonieniem, wrażeniami, asocjacjami — wszystkimi porami duchowego organizmu. Coraz nowe obrazy osaczały dziecinne istnienie wzburzoną, szturmującą falą. Przychodziły zewsząd, choćby przez tę niewinną loteryjkę obrazkową. Co kwadrat kolorowy — to inny przedmiot. Krysia zna już wszystkie kwadraty. Tili siedzi naburmuszona w dziecinnym krzeselku, z którego zwisają jej nóżki w powietrzu. Ambit ją boli. Matka za nią kładzie obrazki na odpowiedni kwadracik, ale dzieciak czyha na ten jeden, który zna:

— Kota głowa!... — woła triumfalnie.

I odtąd przez jakiś czas — sama się zowie „Kota głowa”.

Jeśli przez loteryjki życie sączyło się strumykami, to przez Agnieszkę chlustało szerokim potokiem. Agnieszka, pierwsza służąca, na jaką zdobyliśmy się — dla taniości oспowata i przychodnia wdowa — wypływała z jakichś najgłębszych lumpenproletariackich dołów Warszawy.

Ta „kobieta”, bo tak ją dzieci nazywały, uczyła je jakichś piosenek, nie znanych dzieciństwu Taty i Mamy.

W dziecinnych usteczkach te piosenki nabierały świeżości:

*gotąbeczku, leć w drogę,
leć do mojej mamusi,
lecieć z tobą nie mogę,
mimo wielkiej pokusi.*

Bardzo wzruszająca była piosenka o Helence:

*Za mostem, za wodą, gdzie łączka zielona,
Stojała Helenka bardzo zadumiona.*

Ku zachwytowi Taty latorośle produkowały się też piosenką wywiezioną z Poznańskiego, w której on ją pyta, czy ona już jest jego, ona zaś do końca nie kapitułuje, nawet przy ołtarzu:

*Gdy pójdziemy do ołtarza, czy będziesz moja?
Oj, nie, jesce nie, jesce jestem swobodna, pannom podobna...*

Zabawnie było patrzeć na „pannom podobną” z szurpatą mordką, z łepetyną wystrzyżoną na kulę i bardzo „przywiteczną” (też neologizm).

Ale wreszcie z tą „pannom podobną” z piosenki źle się kończyło:

*Gdy pójdziemy do łóżeczka, czy będziesz moja?
O tak, już wierzę, bo przy tobie już leżę.
Tidy-ridy-ra.*

W to życie szare, jeżeli dziecinne życie może być szare, w to życie, w każdym razie nie związane z kulturalnym podłożem pokoleń, wlewała matka piosenki, lśniące jak słońce w trawie, mieniające się jak słońce w obłokach, drgające jak słońce na wodzie. Przebijały one życie w kamienicy na Elektorальной, jak promień przebija do głębi wodę i z nagłą na jej dnie rozświetla żwir, piasek i wodorosty — inny świat zupełnie: z tamtej strony, a przecież tu — wyrazisty, namacalny, istniejący.

Krysia wiele jeszcze chorowała. Duszące się, gorączkujące dziecko padało po ataku na poduszki i prosiło:

— Mama, piewaj.

I Mama śpiewała — całe noce. Czasem już zdawało się, że jest zupełnie źle, dziecko majaczyło.

— Powiedz, że wyżyje — Mama podnosi oczy ku Tacie.

I nagle z poduszki szedł zakrztuszony spazmem szept:

— Piewaj.

Mama znowu śpiewała o kotkach, o pieskach, o aniołkach, o wodzie, o łące.

Kiedy dzieci były zdrowe, piosenki rozświetlały się, opowiadały o cudach, cudacznościach.

Dzieci chodziły w piosenkach na spacer:

*Rosną sobie kwiatki na łące,
Maki, chabry i goździki pachnące...*

Natykały się na rzekę:

*Za tą groblą, za tym brodem,
Tam stanęła rzeka lodem,
Ani szumi, ani płynie,
Tylko дума w swej głębinie.*

Dzieci widziały jak:

*Ukryte w gałązkach tarni czy kaliny
Jaś znalazł gniazdeczko maleńkiej ptaszyny.*

Wieczorem matka je zabierała z tych czarodziejskich krain do domu:

*Słyszysz, Krysiu, dzwon wieczora?
Krówki z łąk wracają...*

Z krówkami wracał i Tata, i Mama zaraz śpiewała wileńską piosneczkę:

*Dzień — do pracy, noc — do spania,
A cudny wieczór — do kochania.*

Potem rozpoczynały się bajy: o Marysi sierotce— dyżurna baja, wieczna baja, którą sobie kazały opowiadać na sen, jeszcze przygotowując się do matury — o krasnoludkach. Wreszcie przychodził sam Baj:

Chodzi Baj po Świecie

*W czerwonym kaftanie,
Baj, Baj, Baj małe butki ma,
Baj, Baj, Baj na skrzypeczkach gra...*

Jak tu spać? Senek już jest tuż, tuż.

*Chodzi Senek koło płotki;
Cicho, bo już śpi Dorotka...*

I znów Senek płoszy się Baja w czerwonym kaftanie. I znów Mama śpiewa cichym głosem, nie ma pęknięcia świata na ten — na brzegu i na ten — na prześwieconym dnie, jest precudna lekkość chodzenia z krasnoludkami, z aniołkami.

— Mamo — mówi Krysia rzeczowo, siedząc na łóżeczku — widziałaś aniołka?

Nie jest wcale wzruszona. Pyta tak, jakby anonsowała, że kotek przebiegł.

— Gdzie? — pyta matka.

— No, tam za oknem, co tylko — pokazuje rączką. Jest spokojna, nie podniecona. Ten spokój może dać tylko poczucie tego, że aniołek jest częścią składową otaczającego świata, że znów pokaże się jutro.

Mama wtedy poczyną mówić o pajączku, który wlaził na nieskończoną ilość wypiętrzonych na łóżku poduszek:

*Wlażł na trzecią poduszczykę
I odpoczął odrobinę.*

Przy piątej poduszczyńce oczy są już zupełnie maleńkie.

Mama prędko kreśli krzyżyk na czole i obtyka jakimiś derkami; nie mieliśmy dla nich kołderek.

Teraz, kiedy dzieci całkowicie przeniosły się w krainę bai, rodzice zostają sami w mieszkaniu na Elektoralnej. Aniołki wywędrowały z dziećmi, natomiast Tata przyniósł z miasta naręcz pełną świństwa.

Tata aplikuje w sądzie bezpłatnie i zarobkuje jako sekretarz „Kuriera Porannego”. Tam się pracuje od szóstej wieczorem do szóstej rano, bo redakcja stoi na stanowisku, że ten, kto „adiustuje”, musi również „łamać”. Kiedy przychodzi, raz na tydzień, posiedzenie w Wydziale Karnym Sądu Apelacyjnego, Tata wprost z redakcji idzie do sądu i z sądu znowu do redakcji. W ten sposób pracuje bez przerwy trzydzieści sześć godzin.

Ale wczoraj zdarzył się fakt, że Tata obruszył się na oszczerczy i kłamliwy artykuł przedwyborczy o księdzu Lutosławskim, z którym jeszcze w 1912 skończył kurs harcerski w Skolem. Przeczytawszy artykuł, wziął czapkę na głowę i rzucił redakcję.

Mama mówi, że ma pieniądze tylko na jutrzejszy obiad.

— Będziemy myśleć — odburkuje Tata. Snadź coś kombinuje, ale niezbyt jest pewien.

— Połóż się — mówi Mama — co tam...

Ściele otomanę, pokrywa ją płaszczem i śpiewa — tym razem wyłącznie dla Taty:

*Zaprzęgajcie sześć par koni,
Bo ja muszę jechać do niej,
Ja bez ciebie, ty beze mnie,
Nasza kochannia miłosierna...*

Nie tak jak życie.

Mieszkanko na Elektoralnej usypia.

Nazajutrz rano Tata, wyspany, jak dawno się nie zdarzyło, coś pilnie gryzmoli. W łódeczkach za siatkami pisnęło coś przebudzonego. Czujna Mama przypada z poranną piosneczką:

*Pani moja, pani, jak się pani spało?
Czy się dobrze wstało?*

Ale „uobziedliwy” Tata dołącza basem:

Czy się sucho wstało?

Z łódeczek protestujący dwugłos :
— Mama, nie pozwól MU...
Więc Mama natychmiast zaśpiewuje pigułkę tatową:

*Pani mi się śniła — to dobry znak.
Pani była miła — i jeszcze jak...*

Tak oto wyświechtany szymmel kolejnego szlagiera spływa w uśmiechach i jasności. Szpetul jeden lub drugi, do którego jest skierowany, podskakuje w łódeczku, okazując wystrzyżoną na kolano szurpatą mordkę i okrutne zadowolenie, że to on jest to „miłą panią”.

Tata tymczasem połyka śniadanie, zbiera popisane notatki i wychodzi z tajemniczą miną. Mama, ciekawa jak to kobiety, ogląda papiery porozrzucane po stoliku; widzi „Kurier Warszawski” z pozakreślanymi ogłoszeniami.

— Co ten Tata? Wezbrało go na zakupy, kiedy w domu nie ma ani grosza — wzdycha Mama i idzie do miasta.

Tymczasem Tata wkracza do najbliższego sklepu konfekcji damskiej EUGENIA — Elektoralna 11.

— Mam tu dla pani wierszyk, o pani napisali — mówi do grubej Żydówki, właścicielki:

*Mężu, czy masz sumienie?
Idzie Boże Narodzenie,
Stasia w błękitnym jumperze
Postać hrabiny przybierze,
Zosia w sukni z tricotiny
Stroić będzie dumne miny,
A mnie, gdy światła zabłyszczą,
Łzy gorzkie z Oczu wytrysną.*

W dalszym ciągu wiersza okazuje się, że jeśli chcecie zaoszczędzić żonom

*Spazmów, cierpień i
łez — idźcie do Eugenii,
tam robić suknie każcie:
Elektoralna jedenaście.*

Tłusta kupcowa kazała mi jeszcze raz to przeczytać zwołanym pannom sklepowym, potem musiałem czekać na męża, sprowadzonego z mieszkania, i wykroczyłem wreszcie z pierwszą w życiu deklaracją ogłoszeniową podpisaną dla „Bluszczu”.

Wchodząc, nowo kreowany akwizytor natknął się na Mamę z koszem.

— Patrz, to kupiłam za wszystkie pieniądze.

— Nic się nie bój — stuknął się Tata po kieszeni, w której spoczywa deklaracja — z tego będziemy żyli pięć dni, a jeszcze nie wieczór.

— Znalazłeś pieniądze na ulicy? — pyta podejrzliwie Mama.

— A jakże, pod numerem jedenastym — mówi Tata. — Czeka! Mógł być taki pewny, bo „Bluszczy” obiecał wypłacać pięćdziesiąt procent prowizji i to tegoż dnia gotówką.

Przed wieczorem istotnie zebrał jeszcze kilka zamówień. W dyrekcji żarówek Philipsa zarobił znacznie. Przyniósł im wiersze o tym, że:

Holandia jest to kraj cwany:

Van Hutten i tulipany,

Młyny, ład skanalizowany...

Gdzież jednak zakopali psa?

Jest to żarówka Philipsa.

Pod wieczór skombinował Tata, że w jednym dniu zarobił miesięczne pobory sekretarza redakcji. Pobory to były małe, ale Tata ratował się „michałkami”. Były to różne opowiaduszki na ostatnią stronę. Tacie obiecano dwa grosze od wiersza. Niebawem ujrzał w którymś z polskoamerykańskich pism bardzo ciekawy „michałek”: „Kura zabiła dziecko”. Ciachnął nożyczkami i zarobił 80 groszy. Pod koniec miesiąca redaktor Fryze (onże właściciel pisma) przyleciał z pyskiem:

— Zawala pan całą czwartą stronę i ja za tę ohydłą polszczyznę muszę panu wypłacać dodatkowo więcej, niż wynoszą pana podwójne pobory miesięczne.

— Może mam zły styl, panie redaktorze — odął się Tata — ale niech pan zważy, ile się muszę nalatać, żeby takie pierwszorzędne „michałki” powyciągać.

— Skąd pan to wszystko bierze? — zdumiewał się redaktor. Ale nie dowiedział się, boby dwugroszówki pękły.

Mimo takich honorariów za „michałki” Tata był olśniony lukratywnością poetycko-akwizytorskiej muzy. Przed samym zamknięciem sklepów zdążył jeszcze do sklepu kołder na placu Trzech Krzyży.

Rad jest z tego byle szołdra,

Gdy go kryje zwykła kołdra,

Ale gentleman zażąda,

By kołdra była z wielbłąda.

Właściciel nie był w stanie nie uznać dobitności przekonywania klienteli ani czaru poetyckiego, ale chciał płacić tylko towarem. Stało na tym, że dał dwie kołderki dziecięce na wielbłądzie wacie.

Tego wieczoru Senek i Aniołek, przyszedłszy po Baję do łóżeczek dziecięcych, już nie ujrzeli przetartych derek, którymi obtulały—jak umiały— mamowe ręce, tylko dwie pyszne, błękitne, pikowane, leciuchne i ciepłuchne kołderki.

Tata teraz był już bardziej niezależny, mógł nieco czasu poświęcić dzieciom. Dotąd, zamknięte na trzecim piętrze, nieraz na próżno domagały się od zajętej matki wylotu na świat.

— W niedzielę tylko chodzą mamusie z córeczkami na spacer— usiłowała tłumaczyć matka.

Tili zmagazynowała sobie to w głowie, po czym w czasie niedzielnego spaceru wypaliła:

— Sama widziałam: był piątek i sła.

— Kto?

— Jedna mamusia. Z córecko.

Mama spojrzała rozbawiona w dół. Tam dreptał mały człowieczek ubrany w brązową salopkę, tak wywatowaną, że rączki odstawały. Tili wyglądała w tym jak mała brązowa kulka, z której szły tak mądre dyskursy. Mama uświadomiła sobie, że to ma trzy lata („Tsy pół” — skwapliwie korygowała Tili) i zdumiała się: że to tam wszystko w tym modeliku człowieka tak samo funkcjonuje, tak samo logicznie myśli jak w dużym modelu. Taka kropeczka!

Wówczas i Tata otrzymał polecenie wyprowadzania na przepęd, z czego następnie poczęły się nieobliczalne pospólne przestępstwa. Ale po spacerze — znów było szare mieszkanko, szare mimo wszelkie mamowe przypstrzania.

Wówczas Tata począł urządać Cooka. Wyprawy imaginacyjne po różnych krajach. Córeczki siadały na kolana i jechaliśmy w świat, w nieznane.

— Kolacja gotowa! — wołał melodyjny głos Mamy.

— Mamusiu! — rozlegał się dwugłos protestujący — właśnie wjeżdżamy do „połtu”.

Jednak Tata był niemiłosierny. Kolana poczynąły podrzucać coraz ciszej — to kapitan kazał iść małą parą — i przyjeżdżamy na kolację specjalnie spuszczoną szalupą, bo pilot, który wprowadzi okręt do portu, ma dopiero przyjechać po kolacji.

Tatowe biuro podróży organizowało też podróże kolejami. Tata, który najprzód był kasjerem, sprzedawał bilety za całuski.

— Szanpani bilecik? Może do Szczypina? Piękne lotnisko. Bilecik — trzy całuski.

— A ja wolę dalej jechać — mówi Krysia.

— Do Kłujewa może?

— A ile to kosztuje?

— Cztery całuski.

Tili, młodsza, podejrzewa, że znów jest wykiwana, ale przez honor wydyma się i mówi:

— Wciale.

„Wciale” to jest pierwsza pomoc w nagłych wypadkach. Wypaliwszy to „wciale”, dopiero szuka w kilkoletniej głowie uzasadnienia:

— Bliżej będzie do Walsawy, a jeszcze, nie daj Boże, które dziecko zachłuje — mówi małpeczka-gramofonik, naśladując Mamę.

Siadły, pociąg rusza. Najprzód lokomotywa poczyną sapać:

— O-o-ch — ciężko! o-o-o-ch — ciężko!... och-czko, och-czko, czko-czko, czko-czko, czko-czko...

Potem duże pulmany:

— To nic... To nic... To nic — nic... nic... nic...

Wreszcie cieszą się małe wagoniki na końcu:

— Po-je-e-e-chali... po-je-e-chali, pojech-li, pojechali... p-chli... pchli... p-chli, li... lii... li...

Pociąg odszedł, już ledwo tylko słysząc ostatnie wagoniki. Mama bowiem, przechodząca właśnie przez pokój, ma stać na peronie i machać chusteczką, póki słyszy ten dźwięk wagoników.

— Szczypin! — anonsuje Tata, który tymczasem stał się konduktorem (w kolejnych metamorfozach bywa portierem, dyrektorem hotelu, kelnerem, złodziejem hotelowym, policjantem, sędzią, właścicielem traktami portowej, przemysłnikiem, torreadorem — a ponieważ dzieci siedzą w łóżkach na korytarzu i nie mogą być bykiem, a Mama nie chce, więc cały Cook z klientelą jest rozżalony, a Tata gorzko wymawia, że „ty każdą zabawę musisz nam zepsuć”).

Na dowód tego, że to istotnie Szczypin, pasażerka wysiadająca otrzymuje pełno szczypów. Krysia triumfuje — niech tam Tili cierpi za to, że będzie miała do dzieci bliżej.

— Kłujewo! — tu Kryisia musi wysiadać, wobec czego dostaje kłujkę w bok.
— Mamo, nie pozwól!... — krzyczy cały pociąg.
Mama łapie, osłania i, jak zawsze poniewczasie, sączy miodopłynną mądrość:
— Zawsze się dacie oszukać...

Toteż już następnym razem starannie wybierają stację. Jedna wykupuje bilet do Całuska, druga do Gładkowa.

Ledwie jednak wyjechali za Śródborów, konduktor straszliwym głosem obwieszcza:

— Szczypin! Przesiadka do Całuska i Gładkowa.

Znowu gwałt. Mama, interwencja. Następnym razem wykupują bilety, informując się u bardzo uprzejmego kasjera, że jedzie się bez przesiadania. Tymczasem w drodze Tata zmienia się w nadkonduktora, który przychodzi bardzo przeprosić szanowne pasażerki za niewygodę, jaka je spotyka, bowiem lokomotywa zepsuła się i należy wysiąść.

— A jak się nazywa ta stacja? — pytają struchlałe.

Ale już wypada Tata z rykiem wielkim jako naczelnik stacji... Szczypin. No i wyładowuje.

— Mamusiu, bo ON taki oszukliwy — skarżą się, pocierając niewymawialne części ciała.

— Nie będę was bronić — mówi oburzona Matka, dmuchając na poszkodowane okolice
— zawsze same się napraszacie, a potem ryk.

Ale jazd nie dosyć — trzeba jakoś ubarwić tę nudną Elektoralną. Cóż bo tu jest? Tyle, że ta nieszczęsna Siusia. Jest to wielka lalka celuloidowa, nie wiadomo czemu umiłowana przez dzieci i prześladowana przez Tatę. To ON tak paskudnie przerobił poetyczną nazwę Wisienka na Wisia, Wisiunia i wreszcie — Siusia. Co dzień, gdy wraca do domu, po chwili powstaje gwałt, okazuje się, że Siusię postawił w kącie do góry nogami.

Więc aby choć coś żywego i ciepłego wreszcie było, Tata znosi wszelakie zwierzaki. Najprzód były dwa purpurowe tkacze australijskie — Mama się cieszyła. Potem wjechało akwarium. Mama siadała pod nim z cerowaniem, a słońce, przefiltrowane przez wodne rośliny, padało na pokój. Dzieci promenowały na tratwach aksalotle.

Wtedy Tata wybrał chytrze czas, kiedy Mama wyjechała na parę dni, i przyniósł jeża. Kiedy Mama wróciła, było już za późno na interwencję. Jeż gospodarował po całym domu jak po swoim. Dał się nosić dzieciom, zwisając czterema łapkami i nie próbując się zwijać; łapał jak kot papierek ciągnący na sznurku; puszczone na stół, bezceremonialnie odpychał ręce domowników, dobierając się do półmiska.

Wreszcie kiedyś Mama zastała pałac z białymi myszami. Pałac był ogromny, zawadzał w pokoju, miał cztery baszty, wiele krużganków i zwodzony most — huśtawkę. Już w przedpokoju powitała Mamę „ciała łodzina wesoła”, tym razem rodzina prestidigitatorów, bo każdemu mysz wyłaziła z każdego rękawa, zza kołnierza, a Tacie i z nogawek ku wielkiej zazdrości latorośli.

Mama bezradna stanęła w tym myszowisku i wówczas musiała odsłuchać ogłuszającej serenady murzyńskiej, a potem odańczyć dwa rodzinne tany. Jeden, wcześniejszy, zwał się „Tutti-Rutti” i był dosyć głupawym freblówkowym podrygiwaniem w miejscu; za to drugi rodowy tan, zwany, nie wiem już dlaczego, „tereblem”, wymagał wielkiej precyzji: tańczący brali jeden drugiego za głowę i płaskali w dostojnym zwolnionym tempie, podnosząc w bok jak najwyżej nogi i przechylając ciała.

Dziwne to było wychowanie — między Mamą i Tatą. Mama to miękkie ręce. Mama to melodyjny głos, to chuchanie na uderzone miejsce. Mama to samo dobro i sama przyjemność, coś, co dobrze jest mieć w każdej chwili życia koło siebie, dookoła siebie, gdzieś na horyzoncie.

A jednak równocześnie Mama to szereg praw, niezłomnych „pójściów spać”, okropnych „proszę to włożyć”; Mama to szorowanie ostrym ręcznikiem, to godziny odmierzone, żywot przyjemny, życzliwy, słoneczny, ale bez niespodzianek i zanadto świątobliwy.

Tata — całkiem co innego. Niebezpiecznie się nawijać, bo „Olbzym” nie ominie, żeby nie „kujknąć”. Czasem wpadnie, wyciągnie z łódeczka, ryczy straszliwie, udając, że bije. „Mamaaa, b-y-y-y-je”. Matka wpada z pomocą, utula; łyzi dzieciakowi z samego strachu sypią się jak groch. Matka, tuląc, usiłuje nie pokazać, że się śmieje. Tu jeszcze wielkie łyzi kapią, a tu już mordka, zatulona w mamowy peniuar, wyłania zaciekawione i śmiejące się spojrzenie — tak, z matczynych ramion to nawet ciekawie spoglądać, co ON wyprawia.

Bo ON jest straszliwie psotny; nie szczędzi i tortur moralnych. Sam dzwoni do drzwi wejściowych i kłóci się dwoma głosami — własnym i jakimś okropnym, starczym, zachrypniętym, który przyszedł po dwie córeczki, bo przecież są niegrzeczne i przecież Tata go wezwał. Tata grzecznie tłumaczy, że się jednak rozmyślił, że może nie... Ale ten straszliwy zachryplec mówi, że skoro już był wezwany, to trudno. Więc Tata bardzo grzecznie prosi, że może pan zechce darować i że, skoro już coś musi wziąć, to może na ten raz zadowoli się Siusią.

Mamie pierwszej nie dotrzymują nerwy i jak zwykle psuje zabawę: że jak można dzieci straszyć, że nie słyszała o takiej pedagogice, że, dzieci kochane, nie ma nikogo — to Tatuś udaje.

Baw się tu z babami...

Najgorsza rzecz — to z tymi szyderstwami Taty. Z krwawymi szyderstwami, których nie można przewidzieć. Krysia już nosi sukienkę, a Tilusia jeszcze majteczki — une piece. To Tata zaraz podnosi ryk, wyśmiewanie straszliwe:

— E-h-e-e-e, e-h-e-e-e!... majteczki nosi.

Albo niech dzieciak nie umie czego zrobić:

— Eheee! Dzidzius! Nie umie!...

Tak boją się tego tatowego wyśmiewania, że kiedy zachorują na „grypę-drapę” albo na brzuszki i kiedy pod mamowymi dobrotliwymi i pogodnymi rządami zapada straszliwy wyrok — że należy dać lewatywkę, wzywa się z łódeczka pospiesznie Agnieszkę:

— Kobieto, płość płoćko, póki ON nie włócił.

Jednym słowem — ON to jest niebezpieczne zwierzę, ale bardzo interesujące. Tylko trzeba przebrnąć daninę strachu, a zawsze coś ciekawego z tego wyjdzie. Kiedy kupił gramofon, nie pokazał go, tylko płytę z jakimś kłótliwym pijackim dialogiem nastawił w drugim pokoju w zamkniętej szafie. Obie główiny smyknęły do Mamy, która też nie od razu zorientowała się, co to znaczy.

Mama stara się poskramiać te praktyki. Moderuje Tatę, a dzieciom czyni uwagi:

— Jak wy możecie do ojca tak mówić? Przecież to Tatuś.

— To niech się zachowuje jak Tatuś.

Już nauczyły się nakładać płyty. Co za rozkosz — rozpoznawać coraz coś nowego. Na przykład piosenka:

Były sobie świnki trzy

I był wilk okropnie zły.

— To jak u nas w łodzinie — zakonkludowała Krysia.

To „r” Krysi nagle pewnego wieczoru przyszło — zaczęła je wymawiać.

Rano, kiedy się zbudziła, zaczęła rąbać jak z nut:

— Rrrak! Rryba! Rrobak!

Cały dom zleciał się na tę uroczystość.

Tili leżała skurczona za siatką w łódeczku. Okropny ambit był w tym małym i wesołym ciałku. Zwinęła buzię w rożek i woła na służącą Franię, niby że to jej litera „r” nic nie obchodzi, ale z zatajoną nadzieją, że i z nią się cud stanie:

— F-h-a-n-i-u!

Ale Tata przejrzał bezpłodny wysiłek:

— E-he-he. Nie umie! Dzidziuś! „Czałna kłowa w kłopki bołdo łusza łogiem kłęcząc mołdą”.

Tata jest paskudny i „uobziedliwy”. Kiedyś podmówił Tili, by zadeklamowała na występie przed gośćmi:

*Na podwólcu belwedetskim
Stoi wiałus polskiej wiały
Na łajtłoku oficetskim
Krzyż Yiltuti Militari.*

Tili, w przeciwieństwie do Krysi, lubiła się popisywać. Recytowała . z zapalem, a kiedy nagle ujrzała szatańską uciechę na obliczu Taty, ryknęła z konfuzji.

— Mamo, czy ON jest? — było pierwsze pytanie przy wracaniu ze szkoły.

— Nie, Tatuś jeszcze nie wrócił.

— O, szkoda...

— A potem będziecie piszczeć...

Tata i Mama — kreatury całkiem odmienne od siebie, ale jednakowo wszechwładne, dzierżyciele Fatum, od którego zależał dziecinny los, pochodzili z jakichś spraw odległych, nieznanych i mgławych, z krainy wzruszeń i przypowiaduszek, z których uleciał wszelaki uchwytny sens. Jak tu było, na przykład, zrozumieć, kiedy Tata miał być rozstrzelowany, a kiedy ojciec Taty został złapany z kasą powstańczą przez Kozaków w tym jakimś powstaniu.

— Łodzice ożenili się, jak było powstanie — słyszymy, jak informują swoje koleżanki.

— Ależ, głuptasy. W czasie wojny.

— No właśnie, tak mówimy.

Rodzice patrzą na siebie rozświetlonymi oczyma: jakie to szczęście, że dla tych szkrabów to już wszystko jedno, że będą miały o tyle lepsze, wyrównane życie.

Kiedy rodzice opowiadają o wojnie 1919—1920 roku, znowuż trzeba się rozeznawać w wujku Kaziku, w wujku Staśku, którzy polegli przed ich urodzeniem. Tili biega od matki do ojca, zaglądając w oczy, pytając: „O czym wy mówicie? Ja nic nie wiem, ja nic nie pamiętam, ja nic nie rozumiem” — na wpół z płaczem.

Niegodny Tata spostrzega natężenie rozpaczy i zaraz:

— E-he-he... Nic nie wie, nic nie rozumie... Dzidziuś... (To jest słowo bardzo obraźliwe). Urodziła się po wojnie... E-he-he!...

O niecałe dwa lata starsza Krysią urodziła się w czasie wojny i to jest powód, dla którego zwraca się do Tili per „maleńtas”.

Minęło jedno pokolenie — i w czasie Powstania Warszawskiego Dorotka Morawska, ich siostrzenica, mówiła z taką samą dumą do Mamy o raczkującym wśród huku eksplozji rodzeństwie:

— Bo one są wojenne; ja tylko jestem przedwojenna.

W Jastarni siedmioletnia Tili na swoje imieniny nasprawdzała kupę dzieciaków. Spadło to na ciastka niby chmara wróbli.

Akurat przyjechał odwiedzić Mamę stryj z Sopotu, Paweł Wańkowicz. Jego ojciec, marszałek szlachty powiatu ihumeńskiego, zebrał z całego rodu Wańkowiczowskiego papiery i wyprawił się do Departamentu Heraldyki w Petersburgu prawować się o przywrócenie tytułu książęcego, jako że Jerzy, syn księcia Wacława Mazowieckiego (hm... hm...), który przechylił pod Płowcami bitwę na korzyść Łokietka, ożenił się z Giedyminiówną i spłodził syna nazwanego na pamiątkę dziada Wacławem alias Wańką, który znowuż miał syna

Wańkowicza i brekekeks, i brekekeks. Papiery, na szczęście, skradziono w pociągu staremu marszałkowi na amen i na zawsze.

Stryj Paweł w swoich Szypianach miał piękne obrazy, numizmatykę i potrafił zjeździć świat, szukając jakiegoś upatrzonego dzieła sztuki.

Teraz, siedząc na werandzie, stary pan o rasowym profilu, oparłszy ręce w zamszowych rękawiczkach na lasce z wielką gałką z kości słoniowej, pytał z pewnym niepokojem:

— O, a skąd to te miłe dzieci?

— O, to bałdzo dobie znajome — z przekonaniem odpowiada Tili.

— Skądże to? — skrutynizował stryj Paweł, obserwując nie bez zainteresowania pomięte porcięta, spadające pończochy, poobtłukiwane kolana i wstążeczki za dwa grosze w mysich ogonkach „miłych dzieci”.

— Z ulicy, dziaduniu.

Kiedy potem zamieszkaliśmy na Żoliborzu, dziewczynki w tramwaju spotkały panią z Kresów.

— Córki Melchiora? Zaraz... to wy, znaczy, z których Wańkowiczów?

— Z tych z Żoliborza — dumnie stwierdziły panny.

Tata wówczas po tamtej wojnie okrutnie się cieszył z tej odpowiedzi w tramwaju. Czuł, jak mu spada kamień z serca.

A teraz... Córki Tili, urodzone w New Jersey, USA — jak będą odpowiadać? Tata nie ma wątpliwości. I nie ma już sił się cieszyć.

Ziele ludzkie, uczone Elektoralej i potem Żoliborza, rosło krzepko i pewnie. Mama bolała nieco, że to nie kwiatuszki.

— Ja wiem — mówi z chytrą miną Tili — ty chciałaś mieć takie cóleczki „ti-ti-ti”, z loczkami, a tu takie położyły się... Ha-ha-ha!...

Przecież kiedyś matka ją przyskrzybła na przeglądaniu się w lusterku:

— No i cóż tam widzisz? Rzadki brzydul...

Widać i przyglądająca się nie ujrzała nic godnego uwagi, bo się rezolutnie pocieszyła:

— Muszą być i bzydkie, i ładne...

I znowu — „Ha-ha...” — nie wiadomo, na jaką okoliczność. A raczej wiadomo. To dziecko zbierało w sobie, magazynowało rezerwy. Od małego. Od tej chwili, kiedy na płocie stacji kolejowej pocieszała się: „Dobrze, że sobie pojechali...”, odkąd nie poddawała się, że przecież znajdzie się ktoś, kto tę kaszę będzie „dać”.

Tata więc hodował nie na kwiatek, ale na mocne ziele, nie z loczkami, ale z tysiącem piegów na przepalonych gębusiach.

Mama — jak to mama: „A pamiętaj, że to są przecież dziewczynki”.

„A nie można chować za twardo.” „A bo to przecież ciupuliny — czego od nich wymagać!”

A Tata na to, że to przecież modeliki dużych ludzi — niczego im nie brak, żadnego elementu, tak samo kojarzą — tyle że mają mniej nagromadzonych wiadomości.

No i raz zdarzyło się. Tata po dłuższej nieobecności wrócił z Meksyku. Mama powiedziała:

— To ty teraz spróbuj dom poprowadzić i dzieci wychowywać.

I pojechała do Zakopanego.

Tata przyjął ofertę z niekłamanym zadowoleniem.

Oдноśnie prowadzenia domu — przez pierwszy tydzień dysponował obiady z niesłychaną pieczołowitością.

Stara Maria, kucharka importowana z Wilna, jako że umiała robić kołduny takie, „co jego jak językiem, znaczy się, naciśniesz, tak on w ta pora w jeden raz w sześci miejscach sok

puska”, a ponadto szwilkiki, skrydle, abraduki i kindziuk — oparta o drzwi, wysłuchiwała żądań tatowych z nabożeństwem.

— Niech Maria pojedzie do Hirszfelda, widziałem, że ma pstrągi łososiowe. Wie Maria? Taka ryba większa od pstrąga i ma różowe mięso. O, tu zapisuję Marii na karteczce. I — wie Maria co? — najlepiej dać do tego sos holenderski, zielony.

Maria bierze kartkę, chowa pod chustkę i powiada:

— Tak, to tak... Ale musi ja panu zrobić rosół, a na mięso w sam raz befsztyki podejdo.

I na obiad był rosół i befsztyki.

Zniechęcony Tata przerzucił się do działalności pedagogicznej.

Coś tam z tych funkcji zastępczo zdarzało mu się spełniać i przedtem. Na przykład, skoro Mama była nieobecna, a trzeba się już było kłaść, a zasnąć nie można było bez krzyżyka położonego ręką Mamy na czole, skoro nie udawało się osiągnąć tego krzyżyka nawet przez telefon, Tata — kpiarz i nieposkromiony cynik — był wzywany do tego obrządku z dużą dozą zażenowania. Starał się sprostac powierzanej funkcji z maksimum powagi i dostojenstwa, ale cóż, skoro nie bardzo wiedział, jak to się na kimś krzyżyk robi (tak jak się nie wie, jak na kimś innym zawiązuje się krawat — z prawa na lewo czy odwrotnie) i kiedy miał taką dużą i twardą łapę. I kiedy nie było miękkiej mamowej ręki, obrządzającej na sen dziesiątkiem nieuchwytnych muśnięć — poprawień kołderki, poduszki, prześcieradła, podpytaniem czółka — czy nie za gorące, pięt — czy nie obtarte, kolanek — czy nie pokaleczone, włosków — czy nie zmierzwiłone.

Pewnie zasypiało się wtedy z niedosytem w dzieciennym sercu.

Tata — stary koń — również miewał w sercu te niedosyty. Mamy w domu nie było, nie było komu pobożnie się przejąć jakowś przykrością (a ja mówiłam!), bez żadnych widoków powodzenia upominać przed wyjściem, żeby wziął palto, bo będzie chłodno, albo lżejsze ubranie, bo się zgrzeje, nie było tego lubego brzęku powszedniego, że Tata rzucił pantofle na środek pokoju, że do zapózna pisze, ostrzegać przed zbyt łatwowiernym pożyczaniem ludziom i brekekeks, i brekekeks. Tata się złościł, wzruszał ramionami (zwłaszcza na to wieczne „a mówiłam”), aż tu ci się nagle cichutko robiło w domu po zaśnięciu dzieci jak makiem siał. Tata z początku bardzo sobie chwalił — robił czarną kawę o dwunastej, wyzyskał cały kontyngent zabronionych rzeczy — ale rychło zrobiło mu się smutno i straszno, kiedy w uśpionym mieszkaniu wyłaziły wyolbrzymione troski dnia powszedniego i rosły w potworne kształty jak cień na ścianie.

Tata skradał się wówczas do dziecięcego pokoju. Różowa pięta sterczała spod kołderki, w łóżeczku odchodziło zapamiętałe, napęczniałe spanie. Tata siadał na dywanie i brał ostrożnie piętę w dłoń. Z wolna wychodziło z niego całe zdenerwowanie i szedł spać. Mama, kiedy przyjechała i dowiedziała się o tych praktykach, zgniewała się bardzo: że to w dziecko przechodzą strapienia i może mieć niespokojne sny. Tata, który bez ceremonii w takich wypadkach budził Mamę, wkładając palec w czeluść poduszki pod śpiący nos i „wyciągając borsuka z nory”, dziwił się bardzo, że Mama nawet za piętę nie pozwala potrzymać dzieciaka. Ale Mama srogo mówiła, że to jest co innego, a to co innego, że ona jest po to właśnie, żeby być wyciąganą z najgłębszego snu do byle zmartwienia, a dzieci mają swoje życie — no i brekekeks.

Tymczasem w czasie nieobecności Mamy zaszedł ciężki kazus pedagogiczny. Frani, służącej, zginęła dwuzłotówka. Indagowane dzieci nic o tym nie wiedziały. Krysia — Don Kichot, organicznie nie umiała skłamać. Ale pięcioletni Sancho Pansa, Kmiotek-Roztropek, mógł próbować. Zarządzone śledztwo wykryło dwuzłotówkę pod podłogą domu lalek.

Tata był zmiażdżony.

Kradzież — to najmniejsza. Rozumiał, że pieniądz ma dla dziecka znaczenie raczej przedmiotu, świecidełka, że „kradzież” była raczej kradzieżą sroki.

Ale premedytacja? Ale zatajenie? Ale wyparcie się?...

Tata z zakłopotaniem spoglądał na winowajcę.

— Dobrze, Maria ma dziś wychodne, ale my z Krysią i Franią również wychodzimy. Idziemy — do kina...

A kino — to było nowo zawieszone słońce w niebie marzeń. Właśnie poszły przed tygodniem do pierwszego w życiu kina. Aż dotąd Mama opierała się temu. Kiedy coś zaczęło jechać, coś biegać po ekranie, dzieci stawały na paluszkach i piały w głos z uciechy. Była jakaś bajka wschodnia, jakiś królewicz prześladowany przez czarownika. Królewicza ścinają, wierny towarzysz leci go ratować na czarodziejskim dywanie. Królewicza wprowadzają na szafot. „Szkoda gadać, utną mu łeb” — stwierdza Tata. Krysia uczepliła się rączką ręki tatowej : „Nie, nie zetną, nie zetną, zobaczysz...” A tu widać już, jak pomoc leci, a tu znowu już królewiczowi każą klękać.

— A co? — mówi Tata. Słysząc biadolenie Mamy, że „mówiła, żeby na filmy nie prowadzić, że do czego to podobne”, ale mowy nie ma, żeby wyprowadzić je teraz.

— Nie zetną go, zobaczysz — żarliwie utwierdza się Don Kichot, a tu już okropny kat wznosi miecz...

Krysia wspina się na paluszki i krzyczy przez całą salę ku ekranowi najgorszymi wyzwiskami, jakie zdołała zebrać na peryferiach swego siedmioletniego życia:

— Świnia... Idiota!... Nie ścinaj królewicza!...

No i naturalnie czarodziejski dywan przyleciał w czas. Wróciliśmy szczęśliwi do domu, ale Mama nie dała się rozbroić happy endem. I na noc do łóżeczka opowiedziała wiecznie opowiadaną baję — o sierotce Marysi. Tam przynajmniej nic okropnego nie ma, cnotliwa Marysia, która wybrała się „ze ścielecko i scotecko” i wymiatała wszystkie sto sal, w których było po sto komód, a w każdej komodzie po sto szuflad, nie dbając o pantofelki, a tylko o porządek, tak „ze te łycerze kichali od kuzu i uciekali psed ścielecko i scotecko” — Marysia nie ma żadnych kłopotów ze swoim królewiczem. Ta bajka jest na wstrząsy psychiczne jak masowanie przejeżdżonego brzuszka i czasem nawet Tata prosi, żeby mu ją opowiadać na sen.

No i teraz, kiedy takie cudne światy odkrywa ten poznany film — przestępca ma nań nie iść, nie dość na tym, ma zostać sam w pustym mieszkaniu zmierzchającą porą, wsadzony do łóżeczka za siatką z jakąś okropną książką z obrazkami.

Krysia jedzie ze zmiażdżoną duszą na ten film: wstyd jej, że Tili nie pojechała, ale Tata jest nieubłagany.

Film jest jeszcze cudowniejszy niż ten z królewiczem: Jackie Coogan, mały chłopczyk, między małpkami.

Kiedy wracają, zastają złoczyńcę siedzącego samotnie w łóżeczku z miną niezależną. Tata jednak widzi mokry róg poduszki i robi mu się straszliwie miękko na sercu. Krysia przysiadła się do delikwenta i opowiada treść filmu. Malec stara się słuchać z godnością, w pewnym jednak miejscu upewnia się:

— I te małpeczki zešli do niego z dzewa?

Okazuje się — zeszyły!... Wówczas na buzi pojawia się nieruchoma podkówka, trwa przez dłuższą chwilę — po czym kończy się płaczem za utraconymi możliwościami.

Tata uważa, że dobrze, że doprowadził do tego płaczu, do ukorzenia się. Rad jest, że nie ma Mamy, boby już było obejmowanie, a tu trzeba doprowadzić operację do końca.

Tata wraca z młotkiem i wbija nad łóżeczkiem świeczek. Na świeczku wiesza pięciopalczystą dyscyplinę, którą kupił za Żelazną Bramą.

— To jest dyscyplina! — mówi. — Tą dyscypliną zawsze bili kłamców. Dyscyplina to jest taka sama wstrętna rzecz jak kłamstwo i jest używana w stosunku do wstrętnych dzieci i wstrętnych ludzi, którzy popełniają wstrętne uczynki.

Mały wstrętus zasypia w cieniu tej wstrętnej, przerażającej rzeczy spłakany i bez krzyżyka.

Rano, jak zwykle, ptasie pogwizdy budzą Tatę. Wchodzi do dziecięcego pokoju i widzi Tilusię „iśpaną”, czerwoną ze snu, bardzo wesolutką, jak wstała na tylne nóżki, trzyma się

rączkami siatki i wyskakuje. Ma na sobie koszulkę odziedziczoną po Krysi, za krótką z kolei i na nią. Kiedy Tata wyśmiewał się z kusości, Sancho Pansa, który nie lubi się martwić, orzekł, że koszulka jest jedwabna. Odtąd zawsze każda koszulka, która nie sięgała dalej niż do połowy „siadźki”, nazywała się „jedwabna”.

Nagle buzia ucieszonej istotki ścina się w podkówkę. Tata idzie za jej wzrokiem.

— Pamiętasz, co to jest?

— Wyściplina — mówi ze skrucą.

I odtąd „wyściplina” ciąży nad życiem dziecinny. W środku najbardziej ożywionego gadulenia zjawia się nieoczekiwanie podkówka, gdy dziecko spojrzy na nią. Tata już sam się pasuje ze sobą i czeka na powrót Mamy.

Wreszcie przychodzi wiadomość, że Mama wraca. Jak zwykle przygotowujemy na jej przyjęcie występy. Tata proponuje między innymi tekst, w którym jest taki passus:

Ale żal serce jej łamie,

Bo młodsze jej dziecko — kłamie.

Komisja jednak nie zatwierdziła tego tekstu.

Mama wysiadła z pociągu jakaś blada i zmęczona. Miała na sobie krótki zakieciak karakułowy z przypiętym bukiecikiem fiołków, pachniała jakimiś subtelnymi perfumami i pilno nam było mieć ją w domu, aby znów pachniała „mlećkiem” przynoszonym do łóžeczek.

W drodze z dworca Marna opowiadała, że cieszy się, że już wraca, że przez trzy dni wiał halniak, przez trzy noce źle spała i miała coś na kształt bólów serca.

Nagle na Tilusiowej buzi pojawia się powtarzająca się podczas mamowej nieobecności podkówka.

— Tilusiu, co ci to, córeczko? — pochyliła się.

— Mamo, cy napławdę ci sełce łamało?—pytało dziecko z przerażeniem w oczach.

Mama nie rozumiała, dałem jej znaki że wyjaśnię.

Tegoż dnia była zdjęta dyscyplina i zakończony cały Grand Guignol. Dyscyplinę Mama chciała powiesić nad łóżkiem Tacie, ale się wyprosił, żeby nie obracała w żarty tego, co zrobił, bo dziecko zapłaciło dużą cenę i niech to przynajmniej nie będzie na darmo.

Tego dnia zasypiając nacałowana, nakrzyżkowana i napieszczona Tili wyznała Mamie:

— Mamusiu (cała żarliwość skrucy jest w tym słowie) — ja nie wiedziałam, że to taka stłaszna rzecz kłamstwo. Już nigdy tego nie złobie.

Po czym jednak rozsądny Sancho Pansa dodał:

— A skoda... Bo to by było tak wygodnie.

Nie przypominam sobie od tego czasu ani jednego wypadku kłamstwa.

Od liter do literatury

Ciekawe to było i chwytliwe. Zanim wyłabudały się z rozeznawania tajników alfabetu, w czym była nie tyle zasługa rodziców, ile szyldów pana Piekacza, pana Segala, „Eugenii” i innych — odchodziło całymi wieczorami czytanie z Mamą. Na pierwszy ogień poszło W pustyni i w puszczy i od tego czasu na pamiątkę słonia utkwionego w wąwozie i karmionego przez dzieci — Tata został Kingiem.

Potem, ponieważ wybieraliśmy się do Rzymu (Kingowi coraz lepiej zaczynało się powodzić), przyszło Quo vadis.

King czasem wyręczał w czytaniu Mamę i wtedy znienacka wprowadzał swoje dodatki — sęk był w tym, jak prędko się „tropną”.

A więc w ustępie, kiedy się pali Rzym i oszalały Winicjusz szuka Ligii, King czytał, że Winicjusz jechał na białej mulicy.

Biała mulica, no to biała mulica. I co dalej? Co dalej — nim Mama każe iść spać. Więc to i to, i to, i znowu... biała mulica. A potem wyrostek żydowski prowadzi do katakumb i znowu biała mulica? Wracają z katakumb i znowu pęta się biała mulica?

Tata kątem oka widzi, że dwie czujne głowy, podnoszą się z łóżeczek i czyhają. Jeszcze jedna biała mulica i ani chybi rozlegnie się protest:

— Mama, nie pozwól JEMU.

King czuje, że jest rozszyfrowany, i postanawia, że jak spadać, to z wysokiego konia:

— „Zaprawdę, miłość wasza jest bez grzechu — położył dłonie na ich głowach święty Piotr — a wtem ryknęła biała mulica...”

— Mama! — rozlega się SOS. Wyszło na jaw ostatecznie nie tylko oszukaństwo, ale oszustwo połączone z nieludzkim natrząsaniem się.

— E-he-he! — szydzi King — pięć razy wsadziłem białą mulicę i jakbym; jej w tej właśnie chwili nie kazał ryknąć, tobym jeszcze pięć razy wsadził,, ale już nie miałem czasu, bo pora spać.

Z jazdy do Rzymu nic nie wyszło i jako rekompensatę Tata ofiarował rodzinie — Quo vadis w kinie. Mama trochę się ważyła, ale zamiar prześliznął się do powszechności i powszechność zrobiła wielkie gaudium na temat, że zobaczy Ligię i Winicjusza, i Nerona. Teraz trudno się już było od tego wykręcić i Mama oczyściła swoje sumienie tym, że kino zbliży dzieci do szczytnych dziejów pierwotnego chrześcijaństwa.

Szczytność szczytnością, ale bachantki bachantkami, bażanty i pawie w pełnym upierzeniu wnoszone przez niewolników na tacach, fałern lejący się z kruch, wieńce na głowach, centurioni, pułapy z jedwabnych zasłon rozstępujące się i sypiące deszczem róż, muzyka, śpiewacy, tancerki, cięte cieniutko kryształ, władza...

- Szkoda, że nie można, bo tak lubiłabym się neronic zadecydował Sancho Pansa po powrocie do domu.

Mama mówi o zwalczaniu pokus i o niebie.

- Jakby się można tak wypokusić, wypokusić zastanawia się Sancho Pansa toby potem można nie robić grzechów.

Tata wpada w zachwyt. To właśnie jego zasada: nigdy nie walczyć z pokusami, bo jeśli się im nie ulegnie, to się osłabia charakter. Tata mówi, że ledwo się pokaże na horyzoncie pokusa, już jej się poddaje, pokusa nie ma zadowolenia, że zwalczyła smoka cnoty, i odchodzi, a cnotliwy Tata muśnie nieco zburzone piórka dzióbkiem i już jest jako śnieg biały; podczas kiedy po walce z pokusą byłby utyłany i świnia.

Tata gorszy tymi teoriami tylko Mamę, ale nie śmie popisywać się nimi przed córkami. Toteż burknął tylko coś nieuprzejmie o niebie - że tam pewno nudno.

Chłopak-Roztropek jednak wie, że co trzeba, to trzeba, i że od nieba się wymigać nie można.

- Już ja sobie tam jakiegoś świętuszkę znajdę, może Zosię Kondelską — mówi zrezygnowana — i chodziłybyśmy sobie...

A co się działo, kiedy przyszła Trylogia! Tu już starsi państwo wzruszali się tak samo jak dzieci.

King często zastanawia się jak też maluje malarz? Wziął na pędzel tego koloru, owego koloru i nagle na płótnie jest twarz. Albo granie: są cztery kieszki baranie i nagle — symfonia. King nie może pojąć tych czarów. Jak się to robi?

W pisaniu więcej chwytą i rozumie. No, na przykład Żeromski. Wspaniały poeta! King wie, że nigdy by tak nie potrafił, zachwycę się, wzrusza słowotwórstwem rosnącym od gleby, ale rozumie, jak to mistrz kraje, widzi niezliczone pozszywane fiszki rapperswilskie i inne, krwawy trud, wielki mozół, przepyszną robotę snycerską. King wie, że gdyby sam zechciał toczyć dzbanek o tak filigranowych kształtach, o tak rafinowanie cienkich nóżkach, toby mu tworzywo pękło w niezdarnych rękach. Ale wie, jak to się robi, rozumie proces roboty.

Ale jak pisze Sienkiewicz? Pan z panów — bez trudu. Jedzie ze swymi bohaterami po kraju, mówi ich językiem o ich ubiorach, zbrojach, sprzęcie, rządach końskich, obyczajach, porusza się po żmudzkich zaściankach, ukraińskich chutorach, nad Wisłą, w Wielkopolsce, jakby to wszystko schodził, jakby w tym wszystkim był. Czytając innych autorów powieści historycznych wciąż zastanawiamy się, czy utrafili. Tu wierzy się absolutnie, nie dość: chyba bohaterowie musieli rządzić Sienkiewiczem, żyli, jak chcieli.

Czwórka czytelników przeżywała więc co wieczór niezapomniane emocje i dyscyplina mamowa poczyniała szwankować z tym chodzeniem spać. Jakże iść spać, nie dowiedziawszy się, czy Zagłoba w chlewiku dostanie się w ręce Kozaków, czy nie? Śmierć Longinusa przeżywaliśmy jak ciężkie nieszczęście rodzinne. Małe rączki gorączkowo zaciskały się na kołderkach. Nie wierzyliśmy do końca, wiedzieliśmy, że na pewno musi się uratować.

Aż kiedy głos Mamy się załamał, czytając słowa litanii, którą odmawia umierający rycerz, zrozumieliśmy, że to już koniec.

To już nie będzie pana Longinusa? — pytały.

I nie zrozumieliśmy jakże to będziemy czytać dalej, jak wojować, jak gwarzyć, jak bronić Zbaraża? Bez Longinusa? I następnego dnia, ujrawszy ciało zawieszone na obłęźniczej maszynie, bieглиśmy w wyobraźni z oszalałymi z bólu Zagłobą i Wołodyjowskim, tak samo pełni żądzy odwetu.

Tak to w tym niepedagogicznym domu czytaliśmy niepedagogiczne książki.

Cóż, dziwnego, że nie było szczegółu, który by się nie wrył na zawsze w świeże umysły dziecinne.

Adwokat Stanisław Święcicki dzwonił nie tylko w interesach prawnych do Kinga. Ułożyli sobie z dziewczynkami swoistą „grę w „zielone” na tematy Trylogii. Chytrze dzwonił na samej granicy limitu czasu, koło dziesiątej wieczorem, kiedy suponował, że partnerki będą śpiące i łatwiej dadzą się zbić z pantałyku:

A z jakiego sukna miał mundur pan Podbipięta?

— Ha-ha! Nic pan nie ma trudniejszego? Naturalnie, że ze świebodzińskiego.

Po czym: szep-szep-szep... w piżamkach przy telefonie: podtaczają pod pana Stanisława za dnia naszykowaną maszynę obłęźniczą:

— A jak miał na imię Bohun?

I tu był triumf niezapomniany... Z tamtej strony telefonu słyhać było bezradne postękiwanie. wreszeie adwokackie wyłgiwanie się, że o tym w Trylogii nic nie ma.

— Jak to? A przecież Krzywonos mówi: „Jurku, mój przyjacielu”.

Na drugi dzień mecenas Święcicki zjawia się z wielkim zającem z czekolady.

— Jako że — powiada w dawnej Polszczy, gdy kto nie dopisał w wyprawie wojennej, tedy mu kazano skórę zajęczą nosić.

Musiał więc trzy razy, dla dokładniejszego pohańbienia, obnieść tego zajaca naokoło pokoju, po czym go otwieramy i z zajacowego brzuszka sypią się cukierki. A wśród nich buteleczki czekoladowe z likierem.

— No, to właściwie pierwszy wasz zarobek na literaturze powiada King — pierwsze honorarium.

Mówi to z pewnym smutkiem. Sam powiedział sobie, że będzie pisał dopiero wiele lat później, zdobywszy pewność, że nie będzie potrzebował tym zarabiać.

Kiedy przyszły ciężkie lata, czytelnicy Sienkiewicza nie zawiedli. Mecenas Świącicki trzy dni wisiał na Lesznie na wzór i postrach i przez trzy dni Niemcy nie pozwolili usunąć ciała.

Czy miała Krysia przed oczami, idąc na barykadę, to powieszone ciało przyjaciela, jak ci, przed trzystu laty atakujący beluardę?

Ale ta moja książka przecież jest — wesoła. Przecież ta książka jest dla mamus i dla tych, którzy mieli dzieci, i dla tych, którzy byli dziećmi. Ta książka jest po to, żeby złożyli samotne ręce stwardniałe od pracy — i przypomnieli. Ta książka przeprasza, że co pewien czas rozdzierają się jej pogodne na razie karty.

Więc — wieczór po pracy. „Bajanie” poczyną się jeszcze w stołowym pokoju, po kolacji przenosi się do biblioteki, potem do maminego, potem do dziecinnego pokoju. (To już było po wybudowaniu Domeczku.) Trudno stłumić Mamie cowieczorne bajanie.

— Pewnego razu — powiada Tata — wy już poszłyście na górę, my z Mamą siedzimy tak sobie oto wieczorem, aż nagle słychać dzwonek — przepraszam, nie dzwonek: pukanie. Wisia otwiera, po chwili wraca, chce coś powiedzieć, ale tuż za nią wchodzą goście kolorowi. Pasy słuckie, żupany, karabele. Patrzą, oczom nie wierzę, ale przecie rozumiem wyraźnie — to oni.

„Zechce nam waszmość pan wybaczyć — mówi Zagłoba — iż go inkomodujemy o tak późnej porze, chcieliśmy wszelakoż swoją uwagę złożyć, a jako że nam świtanie w dalszą drogę pilno, przeto tuszemy, że dobre nasze chęci instancjonować za nas będą.”

A zwracając się do Mamy:

„Bo i to zechciej łaskawa pani zważyć, że wyruszyliśmy w drogę zaraz po Ogniem i mieczem, kiedy pana Sienkiewiczowy opus volumen secundum napisany jeszcze nie został, tandem ci dwaj oto godni kawalerowie (wskazuje na Kmicica i Wołodyjowskiego, którzy się kłaniają), będąc wolnego stanu i strzałą Amora nie tknięci, zasłyszawszy, że w tym zacnym i z cnót starożytnych szeroko znanym domu hodują się dwie waćpanny, które — jak sława niesie — matkę samą przeszedłszy, o ile w blasku słońce prześcignąć można...”

W tym miejscu do stołowego, w którym jeszcze przy deserze poczęła się rozmowa, wsadza głowę Wisia:

Czy pani każe herbatę podać tu, czy do biblioteki?

Wisia! spada na zdumioną Wisię rozgorączkowany dwugłos — proszę nie przeszkadzać... No i co Mama im odpowiedziała? Ach jej!

Mama odpowiedziała, że zaraz was zawoła, no i weszłyście.

???

— Porwali się witać rycerze. Pan Zagłoba spojrzał, zachłysnął się i oracja ugrzęzła mu w gardle.

„No to już chyba pójdziemy na wodę sodową do budki na rogu” — z rezygnacją zaproponował pan Michał.

— Mama, nie pozwól!... Obrzydliwy King!... Mama...

Z wolna z infekcji literackiej poczęły się pierwsze kielki: Krysia niewprawną ręką, drukowanymi literami, spróbowała kleić pierwsze wiersze.

Maleńtas wzdął się ambicją — że on też...

Pierwszy wiersz poczęła tak:

Wisi obraz na ścianie...

— No i co dalej? — dopytywała się Mama.

Ale dalej — nie było nic.

— E-he-he!... — znęcał się King — wisi no to i co? E-he-he!... nie umie znaleźć rymu.

— Co to łym? — nadął się modelik człowieka.

— No, żeby było choć tak:

Wisi obraz na ścianie

To bez rymu pisanie.

— Rzeczownik z rzeczownikiem odczasownikowym — jęknęła Mama — pięknie ich ponauczasz... Będziemy mieli lawinę wierszy.

King spojrział na ociupinę terminującą w kunszcie poetyckim. Dropiate oko biegało od Taty do Mamy — nic nie rozumiała.

— No, Mama mówi — wyjaśnił King — że jak będziesz pisała tak na przykład, że przy ścianie siedzę na otomanie i moje pisanie piękne jak malowanie, to tak możesz pisać i pisać bez końca i to żadna sztuka, każdy tak potrafi.

King czuje, że jest za długo pedagogiczny, i korci go.

— Żebyś choć tak napisała:

Obraz na ścianie wisi,

Tili nie dorówna Krysi.

— Mama, nie pozwól...

Na następny dzień domowy Sancho Pansa, truchtający w ślady Don Kichota, wysmażył utwór następujący:

Pan Ludwik jest bardzo wesoły,

Ale go gryzą pscoły,

A pani Ludwikowa

Zawsze go od pscołów chowa.

King się rozczulił, ale powiada srogo:

Rym tu lepszy, ale sensu nie ma. Co za pan Ludwik?

Matka jak kokosz już nadlatuje z pomocą:

Sens dziecko wzięło z życia: mało ja się ciebie od „pscołów” nachowam?...

Minęło bardzo wiele lat. Tata siedział zaskładowany na Cyprze, a Tili już była w Ameryce. Tata na Cyprze napisał szopkę, w której kukielce Stańczyka (błazna Zygmunrowskiego) przydzielił patriotyczny wierszowany prolog. Dumny nie mniej niż ongiś córka z wierszyka o panu Ludwiku, wysłał jej ten majstersztyk do oceny.

Niebawem nadszedł długi, jak zwykle, list. a przy nim dopisek:

„Tatuśku, ale już Ty lepiej pisz prozą...”

Epoka wspólnego czytania miała się ku końcowi, kiedy dzieci pożeglowały od poznania alfabetu do samodzielnego opanowywania lektury.

Pamiętam tę chwilę, kiedy nauka alfabetu była ukończona, bo łączy się ona z pamiętnym zdarzeniem rodzinnym: powstaniem legalnej i usankcjonowanej przez prawo rodzinne instytucji „szczypów”.

— Tata, już umiem cały alfabet zaanonsował pewnego dnia Sancho Pansa.

— E-he-he!... Gdzie by taki dzidzius umiał...

— No, to przepytaj.

— Darmo będę przepytawał? Założmy się. O co? O szczypa. Jak ja przegram, to będę musiał położyć się i ty z całym spokojem będziesz mogła dać najnajmocniejszego szczypa.

— Dobrze, dobrze!... — podskakuje. — Ale nie skręcisz?

Wtedy jest wzywana Mama - rejent najpewniejszy i nieprzekupny wszelkich transakcji:

— No, to teraz napisz literę „Q”.

— Mama!

Ale rejent z boleścią w głosie musi stwierdzić że taka litera istnieje.

Spłata zakładu odbywa się lojalnie i za zezwoleniem strony przegranej. Nagle jednak delikwent zrywa się z otomany, płacze i pędzi do rejenta.

— Mama, ON dał szczypa z zakręcaniem.

Kiedy więc opanowany alfabet, już wreszcie z tą nieszczęsną literą „Q”. przyniósł sztukę czytania, hodowane fasole poczęły puszczać nowe, nieznane i całkiem śmieszne pędy. U Sancho Pansy rezultaty występowały przy posiłkach:

— Albo to... — anonsował smacznym głosem i wygłaszał jakiś śmiesznie stary w ustach dziecinnych dowcip.

Matka rozpaczała, aż wysledziła, że malec poluje na „wesołe kąciki” w dziennikach.

Z tej lektury, zaczętej w szóstym roku życia, od której nie sposób było ustrzec, napływało do wokabularza dziecięcego mnóstwo słów nie związanych organicznie z naturalnym rozwojem. Tili magazynowała je skrzętnie w głowie, po czym jej dziecinny język roił się od uroczystych zwrotów.

— Tili, dać ci jabłko?

— Nie, dziękuję, mamusiu, natomiast zjadłabym głuszkę.

Czas warunkowy i zaprzeszły również był uważany za finen fleur dorosłego mówienia i niegodny Tata pouczał swoje małąki mówić w plusquamperfectum.

— Nie, odwrotnie, wzięłabym była głuszkę.

Plusquamperfectum zwłaszcza obowiązywało jako objaw szacunku; przy zwracaniu się do Taty żadna prośba nie miała powodzenia, o ile nie była wyrażona w czasie zaprzeszłym:

— Tatusiu, chciałabym była pójść na kajak.

Tata zaśmiewał się i upewniał Mamę, że z czasem przyjdzie należyte wyważenie słowa, że te wszystkie „natomiast”, „odwrotnie”, „zważywszy”, „absolutnie” i „niezaprzeczalnie” spłyną, jak kiedyś przyjdzie i spłynie fala, w której będzie pełno słówek takich jak „aspekt”, „wyżywać się”, „kompleks”, „podświadomość” i inny inteligencki brekekeks. Trzeba dać dzieciom brodzić po tym strychu z rupieciami słów. Trudno, chcą się osiedlić w życiu we własnym domu językowym, przebierają w antykach, w młodopolskich secesjach, pył ścierają z baroku, to na razie zachwyca, tamto się podoba, ale przecież nie ma obawy: opatrzy się mebel zbyt ekstrawagancki, zbyt nie przystosowany, zbyt nieporęczny albo zbyt wyszymbowany, albo zbyt frymuśny, mebel-słowo, w którym szlachetny rdzeń swojski ma kiepsko zrosłe cudzoziemskie sufiksy, albo gdzie piękna nadbudówka nie stopiła się z wyświechtanym maszkarstwem rdzenia. Czy to nie lepiej tak dać się przemutować, niżli zostawać w ubóstwie języka, posiłkującego się słowami-wytrychami? Ileż znamy osób, u których połowę doznań załatwia się słowem „makabryczny”, ileż takich, dla których słowo

„fantastyczny” jest kluczem wszystkich określeń! Sprawiają sobie one fantastyczną torebkę, czytają fantastyczną książkę, mają fantastycznych przyjaciół, oglądają fantastycznie piękne widoki, otrzymują fantastyczne jedzenie, płacą fantastycznie drogo lub fantastycznie tanio, śpią fantastycznie dobrze lub fantastycznie cierpią na bezsenność.

Toteż King z ciekawością pochylał się nad tymi uroczyste promowanymi słowami. Tili na przykład, czytawszy się Reja czy czegoś tam takiego, przez kilka dni mówiła językiem Wspomnienia z Maripozy — aż się Mama z tych staropolszczyzn roześmiała, wrzód językowy pękł. Każde z tych wypoczwarczających się słów wypływało w pewnym czasie na powierzchnię, zakotwiczało się w języku dziecinny, było jakimś ulubionym słowem przez pewien czas, po czym nikło spychane przez nowy nabytek.

Ale cóż... kiedy poczęła się ta zdobywca, samodzielna lektura, Tata za chwilę błogiej ciszy musiał teraz płacić nieustannym odpowiadaniem na nieskończone pytania.

Te pytania były od maleństwa, ale do czasu Tata ratował się ustanowieniem „kontyngentu pytań”. Można było mianowicie zadać tylko tysiąc pytań jednego dnia. I niegodny Tata oznajmiał, kiedy tylko poczuł się znudzony, że kontyngent pytań na dziś jest zamknięty.

Teraz dzieci stawały się większe, umiały rachować do tysiąca i nie dały się spławić. Wobec tego Tata, czytający gazetę, albo coś tam majdrujący. ułatwiał sobie sytuację, odpowiadając byle co:

— Tata, co to znaczy „transcendentalny”?

— Nietutejszy.

— King, co to znaczy „eklektyczny”?

— To znaczy po grecku „idiota.

— Co to jest „tracheotomia”?

— Zabieg leczniczy w weterynarii, pozwalający dać kotu lewatywę, wsadzając go w cholewę od długiego buta.

Po każdej takiej odpowiedzi „pytony” patrzą na Mamę. Bez potwierdzenia przez Mamę-rejenta informacja nie znajduje wiary.

Tata się irytuje:

— Bo ty zawsze musisz popsuć każdy kawał!

— A ty dla dobrego kawału sprzedałbyś żonę i dzieci; napiszą jakąś twoją bzdurę w ćwiczeniu i będzie przykro. Takie duże już jesteście zwraca się do „pytonów” — szukajcie w encyklopedii, czego wam potrzeba.

Najprzód był z tego wielki wrzask radości — bo znalazły w tej encyklopedii Tatę, i znowu autorytet Kinga, ciągle niebacznie przez niego samego podważany, wzrósł na pewien czas. Następnie przy kolejnym tatowym wyczynie spadał, ale już cegielka zostawała: a to z tego, że piszą o nim w encyklopedii, a to z tego, że ma w biurze trzy telefony na biurku, a to z tego, że gdzieś przemawiał w jakiejś ogromnej sali, a małe ociupinki siedząc z Mamą w morzu ludzkim dziwowały się, że ten nieznośny King, ten „obrzydliwy dokucznik”, gdzieś tak przemawia wysoko nad głowami ludzkimi w oświetleniu reflektorów.

Z tych cegiełek, mimo tatowych utrudnień, budowało się zaufanie.

Teraz przez radę Mamy King ma być pogiębiony — encyklopedia starczy za Tatę. Toteż jeśli spytany, co jest „ananke”, odpowiadał bez zmrużenia oka, że tak się nazywała kucharka Platona, siostrzenica Typci Sokratesowej, szorowało się z niezależną miną do encyklopedii. Ale i wracało się z nosem na kwintę:

— Tata... - zabiegał już bardzo pokorny głos.

— A co?

— Bo ja w encyklopedii znalazłam: „Ananke — patrz „Fatum”. A przy „Fatum” — „patrz Ananke”.

— Widzicie, trzeba było od razu Tacie wierzyć.

— Czy kucharka nazywała się Fatum?

— Bo ja w encyklopedii znalazłem: „Ananke” — „patrz Fatima, recte Fatma. Droga infiltracji mogło się to przemutować na „Fatum”, aczkolwiek jest to końcówka rzymska, a na cztery wieki przed Chrystusem w Grecji wpływów rzymskich nie było.

Mama patrzy z abominacją:

— Dajże spokój, widzisz, że są bliskie płaczu. Zupełnie je zgłupiasz.

— No więc dobrze — mówi skruszony King. — To nie była żadna kucharka. Ananke, czyli fatum, znaczy po prostu — mojra.

— ?

— Mojra, no — kismet.

— ?

— Nie dokuczajcie, szczeniaki. Żadnym ludzkim słowem nie można wam nic wytłumaczyć.

Tak przez bardzo kamienisty grunt i z wielu trudnościami przebijało się ziele do pojęć o świecie. Zwłaszcza Krysia — wrażliwa, impulsywna wewnętrznie — że widziała, jak falą wzruszenia ciemnieją wielkie wyraziste oczy. King, jako mały chłopiec, hodował w słoiku fasolę. Pamięta swoje zdumienie, gdy rano wstawszy z łóżka, biegł do okna patrzeć, jak z dnia na dzień, cudem jakiegoś musu wewnętrznego, rozwinął się nowy bujny pęd.

Zastał raz w bibliotece Krysię pochyloną nad albumem Wyspiańskiego.

— Tatusiu, jakie to piękne — podniosła oczy.

King zobaczył, jak zapłoniona fala wzruszenia przepływa przez jasne czoło aż po ciemne warkocze i nie zdobył się na żadną kpinę. Siedli przy kominku, rozpatrując album. King patrzył na akwarelę Macierzyństwo i myślał: jakież to drogi wzruszeń czekają jeszcze tę jego córeczkę.

Album spłonął. Krysi nie ma.

Na Chełmszczyźnie

Ale z wolna wszystko ważne poczęło się dziać tylko w Bezku.

W Bezku rezydowała ciocia Mania Lechnicka. Taka przyszywana ciocia. Wprawdzie wuj Tadeusz Lechnicki, brat ciociomamowy, wyszperał, że za czasów Księstwa Warszawskiego jakiś Wańkowicz odbił jakiemuś Lechnickiemu żonę, ale to nie był dostateczny powód do nominacji na ciotkę dziedziczki Bezka w sto lat później.

Powód był — wielka, serdeczna, wypróbowana przyjaźń, ciągnąca się z braćmi jeszcze z czasów szkolnej roboty młodzieżowej i z wojska, przyjaźń, która przerzuciła się na cały szeroko rozsiadły ród Lechnickich.

„Dudki” — bo tak w mowie potocznej nazywały się dzieci — pławiły się w tej Lechnickości od Skorczyc pod Kraśnikiem, gdzie na lato przyjeżdżał pułkownik Tadeusz Lechnicki, późniejszy wiceminister, po Bezk cioci Mani w Chełmskiem, po Święcicę wuja Zdzisława, po Kamienną Górę cioci Jani, po Serebryszcze Felicjana Lechnickiego.

Ziemia to była biedna, kwaśna, chełmska, krajobraz ubogi, pałac w Bezku rozbity w czasie tamtej wojny światowej, wuje i ciotki rezydujące po skromnych dworach, awansowanych z ekonomicznych oficynek.

A przecież wszystko ważne działo się tylko tam — w Bezku, w Święcicy, w Skorczycach, na Kamiennej Górze, w Serebryszczem, w Sielcu Rzewuskich, w Woli Około-Kułaków, w Rejowcu Budnych, w Piaskach pani z Dreckich Baranowskiej, secundo voto Tadeuszowej Lechnickiej.

Kiedy do Warszawy zjeżdżał który z iure caduco mianowanych wujów lub ciotek, konwersacja pękała od nadmiaru tematów.

— To tę czwórkę fernalską gniadych po Piotrze wziął Michał? Tak, tak... On dobrze koło koni chodzi. Ale ten deresz to jest łykawy, prawda, ciociu? Wuj Zdzisław sprzedał wałacha? Pojedzie kupować konie na Wołyń? Mamusiu, pozwól jechać z wujem na jarmark. Świętuszek zapisze wszystkie lekcje i dogonimy. Co? Tam pod lasem zasiane? Chyba że lato będzie suche, bo wymoknie.

Rzecz zabawna, że wujowie i ciotki więcej pasjonowali się tymi rozmowami niż dziwami Warszawy. Stary wuj Jan Hempel, gdy mu się zdarzyło przybyć do Warszawy, był usadzany na fotelu przy kominku, obstawiany wszelkimi smakołykami i zawziętym gaduleniem na tematy im tylko wiadome. Wuj Jan serwował wiadomości z finezją konesera. Najprzód szły mniej ważne — choć czyż mogło być na wsi coś nieważnego? I kiedy zdawałoby się, że już wszystko z wuja wycisnęły, ten mówił niedbale, ze wspaniale udaną obojętnością, że białej klaczy Strzałce urodził się źrebaczek — tarant. Opowiadający sam się zżymał nadmiarem wzruszenia słuchaczy, a że obiadek był dobry i od kominka lube ciepło, zapadał w błogostan. Wówczas dziewczynki podkładały mu pod głowę poduszkę, zaglądały w oczy i informowały się:

— Wuju, czy lubisz być lulany?

No i pomyśleć sobie, że z tego ogrodu rozkoszy szło się do dziecinnego pokoju, do kajetów i do spraw najpotworniej nudnych i najmniej potrzebnych pod słońcem.

Było to w okresie trzy i półletniego żywota Tili. Sławetnego „tsy pół”, które zawsze z goryczą w następnych latach wypominał Tata — że ot, taka była mądrała, a co wyrosło?

Wówczas mała figurka przymaszerowała do Mamy z powiadomieniem, że jedzie do Bezka. Rozśmieszona Mama wyraziła zgodę, więc ociupina kazała sobie nałożyć ów tęgo watowany brązowy kabacik, biały wełniany kapturek, białe rękawiczki, poprosiła Franię, żeby jej zawinęła w papier mocno zdeптane papucie i nie troszcząc się o żadne pieniądze na drogę, mając paczkę z papuciami, zaczepioną przez Franię na białym palcu rękawiczki, przysłała

pożegnać się do Mamy. Zwykle to było odwrotnie i wyjeżdżająca Mama robiła dzieciom krzyżyk na czole. Wobec tego mała małpka zrobiła krzyżyk na czole Mamie, wymaszerowała na klatkę schodową, o piętro niżej, zadzwoniła do Babuni, też jej zrobiła krzyżyk, oznajmiając, że wyjeżdża, i powędrowała.

Zaalarmowana Babunia przygłopowała pytać, co się stało.

— Posłałam za nią Franię zobaczyć, co będzie robiła.

Tymczasem Frania dopadła już dysputującą z dorożkarzem gromadkę ludzi. Obiektem sporu był zbieg, który siedział rozparty pośrodku siedzenia z nóżkami wiszącymi w powietrzu, trzymając dla kontenansu ręce w kieszeniach kabacika.

— A co mi tam — przeciął dorożkarz protestacje — mówi, żeby wieść na Dworzec Główny, to i zawiozę.

W tej ostatniej chwili pogoń Franiowa dopadła i zadatek na trampa został odszupasowany z powrotem z dyshonorem i rykiem.

— Najprzód pozwalają, potem zabłaniają... B-u-u-u...

Matka czuła się bardzo zażenowana.

W dwa lata potem Tata ocyganił Mamę, że dzieci wyśle z woźnym (jako że w Lublinie było przesiadanie). Wysłał jednak siedmio- i pięcioletnią bez woźnego, jeno z adresami przypiętymi-do paltocików i zaleceniem opiece podróżnych.

Kiedy się już „człowiek” dostał do Bezka, to przydałoby się kilka zapasowych pięt do latania, bo sukienek — rozrywanych na sękach, przy kieratach, żniwiarkach, siewnikach, w kuźni i wozowni, po płotach i drzewach — nie nastarczyłby nikt.

Ciotka Mania, energiczny podoficer artylerii z czasów powstania śląskiego, puszczała dosyć lekko te sukienkowe sprawy. Za to panna Michasia, że tak powiem premier w tym bezkowym państwie, którego ciocia Mania była prezydentem, oczekiwała z pomstą w sercu na przyjazd Mamy i ostrzegła ciotkę:

— Proszę pani dziedziczki, ja odpowiedzialności nie biorę — mówiła dramatycznie, ciągnąc za rękę delikwenta i demonstrując rozerwaną od góry do dołu sukienkę, która — ... z rana była nowiutka, sama prasowałam. Miały po dwanaście sukienek — kto słyszał dla takich baków całe ślubne wyprawy — a teraz, po dwóch tygodniach, co mają? — panna Michasia dramatycznie zawieszała głos. Po czym pochylała się ku ciotce i mówiła szeptem mającym powiększyć grozę, ale tak scenicznym, aby pojmany za rękę zbrodniarz słyszał i uprzytomniał sobie. — Teraz mają tylko po jednej sukience w niebieskie groszki. Trzymam, jak Sielec przyjedzie, a tymczasem... gołe chyba będą chodzić.

Panna Michasia wyprostowywała się, głos z szeptu też się podnosił do stentorowego kamiennego spokoju :

— Ja za to, proszę pani dziedziczki, odpowiadać nie mogę.

— No, aleśmy dopadli z Dudami tę pannę Michasię, kiedy przyjechała do nas do Warszawy. Godna okropnie, dzieci okrażały ją ze wszystkich stron; boa z piór, mantyla czarna grodeturowa, czarne mitenki i parasolka z wysokim kijem, mająca minę wystraszonej gęsi.

Mama — męczennik, Westalka Domowego Ogniska, Szef Protokołu, Ucieczka Gości — nawoziła się panny Michasi z dziewczynkami po arrasach zamkowych, Grunwaldach zachętowych, łazienkowych budkach z wodą sodową. Jako że należy, będąc w stolicy, nawzniościć duszę. Toteż przed obrazem Matejki odchodziły takie oto rozważania:

— Panno Michasiu, niech pani zwróci uwagę, że ten Litwin zamierzający się sulicą (to już były rezultaty szwendań się z Kingiem) na Wielkiego Mistrza nie ma jednego palca.

— Pewnie w sieczkami stracił — bierze udział w egzegezie panna Michasia.

— A wie pani, czemu Litwin w niego godzi? Bo Mistrz miał drzewo Krzyża świętego na piersiach i polscy rycerze nie chcieli.

Złożywszy daninę historii, można już było uciąć nieskończone gadanie, czy fryzyjski ogier Wielkiego Mistrza zdałby się wujowi na reproduktora, i że Wielki Książę Witold na pewno nie unosił się w strzemionach, i że taką kobyłę inflancką pod zbrojnego jeźdźca trzeba było tego spopreżyć, i że siodłając należy konia stuknąć kolaniem w brzuch.

Panna Michasia w tych sporach zachowywała neutralność, za to przy arrasach wypowiadała wiele wnikliwych przypuszczeń co do tego, jak się je robi.

Towarzystwo bardzo zadowolone wracało na obiad, a tam Tata, że zawiezie wszystkich do Lunaparku.

W Lunaparku hulali nieraz z Tatą, ale podwójna uciecha była iść z Mamą i wyczyniać okropności na jej oczach. A teraz jeszcze do tego — panna Michasia.

Szedł więc King przodem, dzierżąc za ręce latorośle, i smykali trzema parami oczu, gdzie by tu wyczynić coś „bohaterskiego”.

Patrzą — a tu „beczka śmiechu”. Pół kręci się w tę — trzeba dreptać w tę stronę, przesuając się do przodu, a pół wewtę — i trzeba w połowie beczki się zorientować i robić nogami w stronę przeciwną.

King wlaźł.

Do pół beczki szło jako tako. Na drugiej połowie King się wywalił i ani weź powstać nie może. Kulgało grubym Kingiem a kulgało, gwałt i śmiech powstał, pół Lunaparku się zleciało. Mama błagała, żeby „beczkę śmiechu” zatrzymać i wywlekli półżywego Kinga — co gorsza z nogawką jak nożem rozprutą od góry do dołu.

— A mówiłam — mówi swoim zwyczajem Mama.

King jest zanadto obłuczony i skruszony, żeby się wyzwierzyć, że właśnie, że nic nie mówiła.

— Dobrze, że nikogo znajomego nie ma — powiada. A tu ze wszystkich stron:

— Panie dyrektorze, może agrafeczkę?

— Panie redaktorze, ja mam nitkę i igłę.

— Panie prezesie, może skoczyć po taksówkę?

Skąd ich tu wszystkich diabli naraz nadali?

King kroczy godnie w posklejanej nogawce, oglądając się, kogo by pożarł. Naturalnie — jest ofiara w mitenkach, w mantyli i z parasolką, mającą wygląd zdziwionej gęsi.

I King pyta słodkim głosem:

Panno Michasiu, pani lubi przyrodę szwajcarską?

Panna Michasia jest bardzo zaszczyczona tą inteligentną rozmową. Ach, jak lubi, ach, jak bardzo lubi. U jej ciotki (ta ciotka pono miała posiadłość i byki powoływana przez pannę Michasię przy każdej rozmowie) to nawet jest taki piękny ruczaj, który nazywają lubelską Szwajcarią.

— No właśnie, bo to wie pani, tego... wodospady w Szwajcarii. A największy w Kanadzie: Niagara. Przechodziłem pod nim w gumowym płaszczu. I tu jest nawet imitacja.

Istotnie, jest imitacja. Na jej szczycie różnokolorowe żarówki i napisane piękną secesją: „Wodospad Niagara”. Tata chyłkiem prowadzi do wodospadu.

— Musimy zejść od kanadyjskiej strony z panną Michasią, a wy idźcie i czekajcie, co będzie, od amerykańskiej. Panno Michasiu, niech pani wejdzie po tych schodach na górę i siądzie w tym fotelu, który ruszy z panią w czarodziejską podróż.

Niebawem dobiegłszy do rodzinki oczekującej na „amerykańskim brzegu”, obserwuję brezentową zieloną taśmę zamarłej Niagary, wznoszącą się na dwa piętra. Nagle — Niagara drgnęła. Na wysokościach odsłania się zasłona, ukazując błogo uśmiechniętą pannę Michasię. Nagle — przerażenie ścina jej twarz: fotel jedzie ku niagarskiej przepaści. W grzmiącym huku motorów, w płynieniu niagarskiej taśmy jeszcze raz widzimy blade oblicze panny Michasi w tę przedśmiertną godzinę. Zaraz po tym już zamiast obliczą widzimy bardzo

porządne majtki, boa, salopkę, wystraszoną gęś parasolki, zewłok, kupę niczego, co podpływa do stóp publiczności na „amerykańskim brzegu”.

Po przeniesieniu się do Bezka znów zaczynała się z panną Michasią wojna.

— Proszę pani dziedziczki, patrzę, a tu w szufladzie tyle z rodzyneków zostało...

Ciocia Mania pognębia starą pannę:

— Bo pani ich nie pilnuje, nawet powiedziałabym — deprawuje. One są na praktyce rolnej i pryncypał jest odpowiedzialny za kontrolę.

Ciocia Mania sama była na praktyce ogrodniczej u znanego ogrodnika, dziwaka i oryginała, pod Warszawą. Wystawił jej następujące świadectwo: „Pracowała, bo musiała, nie kradła, bo nie mogła”.

Panna Michasia z rozpaczą strzepuje rękami po fartuchu i wygląda oknem na tych praktykantów. „Pawiuś” właśnie rozpostarł szeroko ogon i praktykanci go karmią. Słońce już idzie ukośnie, w jego blasku nawet poszarpane sukieneczyny wyglądają jak feeria z tym prześwieconym pawiem.

Za godzinę znowu można oglądać codzienny widok: konie szeroką ławą idą do wodopoju, a na pierwszej czwórce jadą cztery bosopięte istoty dwóch chłopaków fornalskich i nasi praktykanci. Są tam sojusze, że wodą nie rozlać, pakta co do karmienia koni, co do powożenia.

Kiedy przychodzą dożynki, wszyscy ci codzienni towarzysze ukazują się w nowej, zachwycającej postaci — w naszuwaksowanych butach, w napomadowanych fryzurach. Wuj Zdzisław osobiście nalewa wódkę każdemu w duży kieliszek i zależnie od wyróżnienia dożynekowiec otrzymuje jeden, dwa lub trzy kieliszki.

Wuju. Ksawelkowi tsy kieliski - idzie od ziemi błagalny szept. Ukochany Ksawer jest od stajennych koni i zajmuje w bezkowskich miesiącach często pierwsze miejsce przed Tata.

Potem poczynają się tany na klepisku. Bosonoga siedmioletnia Tili wytańcowuje z Ksawerem w ciężkich butach.

Tylko mu nie nadepnijcie na nóżkę troszczy się o ukochanego Ksawera.

Czasem już jednak i ciotka-artyleryzista ma dosyć. „Zabierajcie dzieci” otrzymuje Mama pewnego dnia depeszę. Zainteresował się Tata, i „łodzice” zjechali na sądy, przyjęci przez bardzo skruszonych i pooblepianych plastrami winowajców.

Sąd odbył się na ogromnym szerokim tapczanie cioci Mani, gdzie wszyscy bez reszty mieściliśmy się na pogaduszki. Winowajcy, dla podkreślenia dystansu, tym razem nie byli wpuszczeni na tapczan.

I okazało się ot co:

W parku, jako się rzekło, stały ruiny pałacu zburzonego w czasie tamtej wojny. W tym pałacu, w jakimś rozświetlonym narożnym pokoiku z odłupaną jedną ścianą, było zainstalowane „Królestwo Jasności”, do którego była zapraszana Mama na serwowanie przyjęcia ze szczawiu, zajęcej kapusty, żywicy wiśniowej i rdzeni tataraku.

Tymczasem, kiedy tylko Mama wyjechała do Taty, obyczaj uległ gwałtownemu zbarbaryzowaniu, sformowano dwie „paktie” z prawdziwymi łukarni, to znaczy, że strzały były zakończone ostrymi gwoździemi, a „Królestwo Jasności” zostało zmienione w bastion obronny, którego broniła Krysia przeciw partii prowadzonej przez Józia Bzowskiego, późniejszego oficera marynarki. Kiedy już te gwoździe boleśnie podziurawiły obleganych, kiedy ranny został nawet roztropny Sancho Pansa, Krysia-Don Kichot, ocierając krew zalewającą oczy nakazała odwrót w najbardziej niedostępne, wiszące na słowo honoru części ruin, gdzie w razie czego mieli się wysadzić prochami. Jednak usypiska nie wytrzymały, coś się posypało, jakieś deski poleciały, panna Michasia z krzykiem wielkim, że „dzieci zaduszą się” uderzyła od tyłu na zwycięskiego marynarza, rozpraszając jego szyki, wydobyła

obrońców, no i teraz poszła depesza i na szerokiej otomanie zasiadł mamociotko-tatowy sąd polowy.

Ciotka-artyleryzista jako ekspert po zbadaniu krwawej krechy na czole Krysi i strzały przedłożonej przez pannę Michasię-prokuratora orzekła, że gdyby Krysia została trafiona w oko, toby „ani zipnęła”, nawet powiedziałabym — oślepla. Mama, jako prezes sądu, załamała białe dłonie. Delikwenci bezradnie poglądali po marsowych damskich obliczach, aż z pewną nadzieją uczepili się wzroku Kinga.

Przecie to King zawsze podmawiał, żeby rozwijać „kozaczego ducha” Ale King orzekł, że Kozacy dzielnie bronili swych kosztów, nie budowali jednak fortec. I zaraz począł proponować tak groźne i straszliwe sposoby ukarania, że Mama — przewodniczący, panna Michasia — prokurator i ciotka — ekspert (dzierżący w swoim ręku ponadto potężne sankcje: wyłot do stajni, dostęp do czworaków, ekspansję do robót w polu i prawo do bobrowania po ruinach) powoli zmieniali się w obrońców i sesja sądu zakończyła się wciągnięciem Dudków na tapczan.

Widzicie, jaką macie dobrą ciotkę — Mama zawsze wyciąga konsekwencje bogobojnie ze smrodkiem dydaktycznym.

A tymczasem z ciotki wylazł warmonger, intrygant wojenny, Bismarck można powiedzieć. Teraz dopiero odkryła karty, że już tych ciotek za wiele się namnożyło, że nawet „powiedziałabym” tytuł ciotki staje się bez znaczenia.

Więc natychmiast sąd wojenny przemienił się w traktat pokojowy, poświęcony redukcji przyszywanych ciotek, których okazało się dwadzieścia trzy. Ciotka Mania stanowczo zażądała, aby ich kontyngent nie przenosił dwunastu.

Taki był skutek chytrej „depeszy Emskiej” cioci Mani.

Ale i na wujów przyszły Nieszpory Sycylijskie — rzeź. „Czystkę” wujowską zainicjował wuj Tadeusz. Była to o tyle sprawa wymagająca delikatnej intrygi, że wuj Tadeusz sam był przyszywanym wujem, tak jak i ciocia Mania, a nie był mocarstwem gwarantującym dostęp do stajni, bo dzieci rezydowały u cioci Mani. To przyszywanie było silnie podważane przez partię legitymistów, progeniturę Lechnickich z Serebryszcz i Rzewuskich z Sielca, bo pani Rzewuska była z domu Lechnicka.

Szef partii legitymistów, gruba Terenia Lechnicka, protestowała zaperzona: „To nie wasz wuj, to nasz wuj” i dosyć pyskate żoliborskie Dudki zapomniały języka w gębie, jako że przyszywanie było oczywiste. A wuj Tadeusz to były nie tylko konie; to były charty, których nie miał nikt inny w okolicy: to byli koledzy kawalerzyści wojskowi, między którymi szmyrgały bosopięty od najwcześniejszego raczkowania. To były polowania na bażanty, ogniska w lesie, szaszłyki autentyczne przy ognisku przyrządzane przez autentycznego Azerbejdżanina, majora Jedigara.

Major Jedigar po prawdzie, w tych wczesnych latach, więcej popatrywał na Mamę niż na córki.

Ach! — mlasnęła kiedyś ze znawstwem u nas za taką blondynkę daliby jak nic trzy tysiące baranów.

Może to więcej dla Mamy niż dla córki kiedy wszyscy jak zwykle przekomarzali się z czupurną trzy i półletnią Tili (to w tym właśnie najmądrzejszym okresie), a Mama widząc ociupinę honorową, ale bliską płaczu, zwykle szła jej w sukurs — major Jedigar deklarował przynależność do Tilowej „pałtii”.

Dopóty dzban wodę nosi, aż mu się ucho nie urwie... Pewnego wieczoru Mama — Mama we własnej osobie! — zdradziła.

Niegrzeczna jesteś, nie należę do twojej partii powiedziała.

Tedy zaraz oczywiście wyłamał się ostatni członek tej partii major Jedigar.

Malec wymaszerował z podniesioną głową, ale jak się okazało usnął zryczany. Mama odkryła, że mówi jak w gorączce przez sen:

Majołeczku, przepisz się, majołeczku, przepisz się...

Mama pobiegła do majora, major przybiegł, klęknął przy łóżeczku, całował rączki, różowe pięty:

Tilusiu, ot jaki podlec jestem... Tilusku, jej Bohu, przepisuję się do twojej partii. Ale już na zawsze...

Mama naturalnie też, a za nimi nazajutrz inni.

Wuj Tadeusz więc teraz bynajmniej nie chciał być wyrzucony z partii wujów, musiał jednak pokonywać partię legitymistów. Wymyślił więc sprzęganie wujów czwórkami, przy czym lepsze garnitury miały być w stajni cugowej, która się nazywała „wujowska”. a gorsze zsyłane do fomalki.

Godzinami więc odchodziło rozważanie: kogo z kim sprzęgać i kogo dawać na lejcowe, a kogo na dyszlowe. Wałachy były predestynowane do fornalki.

Wuj Tadeusz proponował wuja Hempla do fornalki. Była to łatwa intryga. Wuj Jan, ostatni ze wspaniałej, rozrośniętej czwórki braci Hemplów (ten, który lubił być lulany), był to starszy pan, pędzący w rodzinnych Skorczycach żywot mizantropa. Całymi wielotygodniowymi okresami leżał w ciemnym pokoju ze spuszczonej roletami, nie wstając nawet na posiłki, nic nie czytając, nawet nie wychodząc na przyjazd Dudków, co normalnie było dla niego wielką radością.

Za braćmi Hemplami szła tradycja, ciągnąca się od Hempla Napoleonidy, pełna wspomnień Sybiru, zsyłek, nielegalnej roboty w kraju.

I nagle Krysia-Don Kichot- podrzuciła głowę i z siłą wyrzuciła:

— Wuj Jan jest ogier!

— Ogień! — powtórzyła z przekonaniem Tili, dla której „Kłysiunia” była wyrocznią.

No więc któż będzie wałachem? — pytał niezadowolony wuj Tadeusz. — Kogo pošlemy do fornalki, jeśli jeszcze i wuj Jan ma w cugu chodzić. Może jeszcze na lejcowego?

Ale Krysia znajduje na to radę: można by sformować czwórkę reprezentacyjną, która by Babunię wozila do kościoła w Olchowcu. Babunia Lechnicka nie lubi szybko jeździć, przy czym zawsze po mszy zachodzi do „probąszcza” (tak nazwał Tata huczącego basen o polityce księdza), to sobie wuje z tej honorowej czwórki odpoczną.

— No dobrze — wmieszał się Tata — ale musimy przy kwalifikowaniu mieć jakieś generalne kryterium.

Tili spostrzegła, że Tata napiętrzył trzy cudzoziemskie słowa jedno na drugim i brunatna cętka na siatkówce strzeliła ścichapękłym zadowoleniem: na pewno będzie jakiś kawał.

Tymczasem jednak Tata mówi poważnie. Jest to rzadkie, ale najśodsze dla Taty mówienie: kiedy zapomina; że rozmawia z ociupinami, kiedy nie jest wcale wyżej, kiedy czuje, że ludzkie modeliki rozumieją tak samo jak on — tyle że naręczami rzuca informacje w te dobrze spalające głowy. No i uczy porządkować proces myślenia.

— Mówicie, że trzeba mieć ducha kozaczego. Dziś widziałem, jak Krysia wysoko na drzewie zaczepiła się nogami, spuściła się głową w dół, złapała się rękami gałęzi w dole i całym ciałem przewoltyżowała niżej.

— Co to znaczy przewoltyżowała? — pyta Tili.

— Znaczą jadła kwaśne mleko z hreczaną kaszą — odpowiada King, zły, że mu przerywają, bo widzi, że i Matkę przestaje interesować wywód, tylko sam fakt, że Krysia wisiła głową w dół na szczycie drzewa!

— Popatrz, jak ma obtarte pod kolanami — insynuuje złośliwie — ale tymczasem dajcie mi dojść do słowa. Więc to znaczy kozaczy duch? Jakby tylko to, to i wuj Tadeusz, prawy lejcowy pokazowej czwórki, nie powiesi się już głową w dół na gałęzi.

— Wuj Tadeusz jeździ par force...

— Wuj Tadeusz ranny w czasie wojny...

— A potem na moście na Bugu...

— No, dobrze, dobrze — ogania się King od tych eksklamacji — ja tam mu nic nie odejmuję. Sam wiem, że jest najpierwszy z ogierów — kopie wuja w nogę pod stołem — widziałem go w derawińskich kazarmach w czasie rewolucji, kiedy naszemu oddziałowi chciano odebrać broń, a wuj dowodził kompanią i nie dał, widziałem go, jak diabli wiedzą po co nakrył głowę płaszczem i przebiegł przestrzeń pod kulami do szkoły junkierskiej, aby z niej wyprowadzić junkrów-Polaków. Tak samo, gdyby żyli, do cugowych byłiby zaliczeni polegli wujowie Kazik i Stasiek, poległy wuj Klemens, wyżej sięgając — wasz dziadunio, powstaniec i Sybirak; obawiam się, że więcej byłoby cugantów niż fornalek. Bo i ciocia Mania — za to, że zacierała siadzkę, diabli wiedzą czego, krótko ostrzyżona, ganiając z jaszczem artyleryjskim w tej wojnie — też pójdzie pewno do cugantów. W tych wszystkich wypadkach punktacja jest łatwa. Ale co zrobić z wujem Zdzisławem?

Wuj Zdzisław! Alfa i omega rolnicza... Wyrocznia... Władca tych wszystkich zachwycających Samunków, Ksawerów, Filipów, założyciel wielkich rybnych stawów, olbrzym w rozumieniu dziecinny pólmityczny, który ogromnymi rowami porządził Święcicę, aż Sąsiedzi kiwali głowami, że tymi drenami sam spłynie, znawca wszelakiego bydłaka, wszelakiego ziarna, wszelakiej grudki ziemi — lessowej czy sapowatej, czy krzemiennej, czy glinowej, pan praw leśnych i rybnych, i łąkowych, brogi stawiający jak tummy Bogu na chwałę, ludziom na pożytek, przebiegły jak węże, wiedzący, co pod skórą siedzi u Szłomy z Chełma, u Icka z Pawłowa, u starosty, a pono i dalej, czego nie ogarnia już umysł dziecinny, ale to wie, że Piłsudski był gościem wuja Zdzisława, że wuj Zdzisław posłował do sejmu... Otóż ten wuj Zdzisław... jest kulawy od dzieciństwa, nie wojował.

I wtedy Tata mówi, jak wuj pracował w konspiracyjnych kołach młodzieży. O wsypie na Sosnowej. O zjeździe trójzaborowym w Krakowie w 1910 roku. O tym, jak ojciec odumarał młodzieńczego chłopca, jak Chełmszczyznę postanowiono oddzielić od Królestwa i przyłączyć do Rosji, jak biskup Eulogiusz, siłą trzymający unitów przy prawosławiu, wziął się na Święcicę i jak wuj Zdzisław borykał się i nie dawał się z siodła wysadzić, jak potem padły wszystkie konie na nosaciznę, jak przyszła wojna, zburzono pałac, pola porósł perz, jak wuj Zdzisław wstawał i wstaje przed świtem, nie miał czasu na ożenek, na podróż, na kurację, na rozrywkę, i oto widzicie teraz, jak wyglądają pola i stajnie, i zabudowania z wyjątkiem mieszkalnego ubożego ekonomicznego domku.

— Wuj Zdzisław jest ogień! — z przekonaniem decyduje Tili.

— A Mama?

Spojrzały po sobie. Ten King wiecznie wymyśli coś nieoczekiwanego. Mama? Uosobienie wszystkiego, co miękkie, co jasne, co delikatniutkie... Do czwórki? Roześmiały się. W stosunku do Mamy panował w rodzinie z przyległościami stosunek protekcyjny.

Mama unosiła się jak duch nad wodami nad całym tym gospodarzeniem. Mama nie była wprawdzie z tych panius obawiających się opalić. Szła sobie nieskończonymi łąkowymi ścieżkami, zbierając smółki, lubiła iść łąką boso, nie gniewała się na piegi wyskakujące na nosie, wiała wianuszki, śpiewała swoje tysiące śpiewek i chyba nikt się jej nie bał z żywego stworzenia.

— Weźże, Zosiu, tego raka, o tak, palcami z góry — mówił King, wyciągając przynętę z uwieszonym rakiem.

— Dobrze, owszem, Melku — tylko może już następnego... ten już zrozumiał, że się go boję...

Toteż King zwykł był nabierać Mamę na funty, odziedziczywszy tę tradycję po braciach Kaziku i Staśku.

Kiedys znaleźli wielki jej pamiętnik, opatrzony groźną klauzulą: „Nikommu czytać nie wolno”. Naczytawszy się, obrzydliwi chłopcy zapisali się na pierwszej stronie: „Napis zauważyliśmy po udelektowaniu się. Zdławieni tym faktem” — podpisy.

To pokpiwanie z Królika przeniosło się widać z pokolenia w pokolenie. Jej dziadek kazał bez końca śpiewać Mamie, jako siedmioletniej dziewczynce:

*Po łąkach chodziła,
Tak sobie mówiła:
Narwę różnych kwiatów,
Będę wianki wiła.*

*Oj da-dana-dana, sturdiridi dana,
Oj da-dana-dana, studrydry.*

*Kwiatków nie narwała,
Kataru dostała
I jak bury kotek
Tak głośno kichała. P-sik...*

Przy tym kichanie musiało być doniosłe i autentyczne.

Jej tatuś, nim został pokonany w walce o uniwersytet dla córki, zapytywany: „Tatusiu, co mam robić?”, odpowiadał wcale rozsądnie: „Wyjść za męża, a tymczasem kwiatki podlewać i mogę ci kupić kanarka”.

Jej bracia wykpiwali się z Królika, a to, że bigot, a to, że obcasy krzywi, a to, że pamiętnik pisze, a to, że się podoba panu Orzechowskiemu z długim nosem.

King w czasie wojny potrafił jej czytać z gazety komunikaty, że Łódź podwodna niemiecka uderzyła w pancernik angielski, spadł marynarz, nie stracił się, dobył noża marynarskiego i dorznął Łódź podwodną, że Niemcy na druty rosyjskie puścili stado baranów, z których każdy miał wepchnięty pod ogon nabój dynamitowy i żarzący lont. Wreszcie — najgorszy szantaż Kinga: po pierwszym narzeczeńskim pocałunku podsunął książkę, w której jeden rozdział kończył się tym, że się pocałowali, a drugi poczynął się tym, że mieli dziecko.

To pokpiwanie z Fuksiny przeniosło się dalej. Ciocia Mania zabierała Mamę „do gospodarstwa”; kiedy nagle z zarosłej miedzy wynurkiwały dwa bosopięty z przerażającymi nowinami, że to podmokło, a to wyległo, a rozczulona Mama marzyła, jak by to dobrze było gospodarzyć, ciocia Mania mówiła:

— Mama toby tak gospodarzyła (w tym miejscu ciotka-artyleryzysta z największym wdziękiem i dystynkcją starała się zobrazować ogarnianie i unoszenie trenu sukni): „Popatrz, Franiu, czy nie czas już kosić buraki”.

Dwa umorusane, zaroszone fornale wylażyły na to z rowu czy miedzy i krzepko obejmowały Mamę.

— Puście, co za łapy żelazne — śmieje się Mama.

— Noseczek się obtłucze, paluszki się pooblamują — pieszczą się Dudy.

Ciocia Mania patrzy to na dzikoludów, to na Mamę, aż wreszcie powiada:

— Ale Mama była złośliwa, tyle otrzymawszy od Pana Boga i takimi wydając was na świat. Powiedziałabym: sadystka.

— Ciotka! — oburzają się Dudy.

A teraz King stawia kandydaturę Mamy do cugowej czwórki. Przecież sam kiedyś proponował, że ponieważ Mama nie nadaje się ani do cugantów, ani do fornalki, więc się ją odda do cyrku na kucyka, biegającego naokoło rampy z napisem finis, jako że przez tyle lat, zaganiając nas wszystkich spać, nabrała wprawdy.

Ale dziś Kingowi zebrało się na inne gadanie:

— Wy tyle wiecie, że woziła pistolety i materiały wybuchowe dla POW. Ale ja Mamę inaczej pamiętam.

...Pamiętam, jak mi przynosiła „wałówkę” do rosyjskiego więzienia na Daniłowiczowskiej, a pułkownik żandarmerii ją przestrzegał: „Młode panienki są tak nieostrożne. Czy pani aby na pewno wie, z kim się zaręczyła? Nie miał paszportu... Jak można ufać jakiemuś człowiekowi bez paszportu?”

...Pamiętam, jak po nieudanym zamachu na generała Dowbora przyniosła mi w garnuszku zupę do więzienia wojskowego i musiała wysłuchiwać wątpliwości, czy ją zdążę zjeść, bo już wyznaczono pluton egzekucyjny.

...Pamiętam, jak w 1920 roku, gdy przemknąłem w ostatniej chwili z Litwy przez Gdańsk i zapisałem się do „batalionu obrony Warszawy”, znowu mi moi koledzy krzyczeli: „Te, Wańkowicz, kobita w szarem przysłała, obiad przyniosła”.

...A armaty grały pod Radzyminem... I dlatego myślę, że Mama też nie ciągnęła spokojnie pługą równą drogą.

Co tu robić? Nikogo naokoło do tej fornalki znaleźć nie można. — Dyrccio! — wykrzyknęła Krysia.

Istotnie, kochany wujcio-dyrccio. Dyrektor jakiejś tam spółdzielni w Trawniskach. Zamiłowany w hodowli pomidorów i podobno z cicha wzdychający do cioci Mani. Dyrccio — „panie przepraszam”, bo takie miał przysłowie. Człowieczek z ostrym czerwonym noskiem, śmieszny, ale rozkochany w Dudkach i dlatego swego czasu podniesiony do rangi wuja. Ale teraz pójdzie do fornalki.

Na drugi dzień zjawia się wujcio-dyrccio „panie przepraszam”. Usadowiony przy herbacie z konfiturami, jest w siódmym niebie, bo Tatarzy nie zniknęli zaraz po podwieczorku, tylko oblegały go pytaniami:

— Wujciu, czy wujcio od młodości pomidory hodował?

— Niby tak, panie przepraszam, aczkolwiek z drugiej strony zważywszy, niezupełnie — taki był zwykle początek oświadczeń wujcio-dyrcciovych. — Skoro bowiem w Rosji za zimno było — wujcio ma swoiste przysłowki: „skoro bowiem” oznacza zwykle u niego: „ponieważ”.

— A co wujcio robił w Rosji?

— Niby tak, panie przepraszam, aczkolwiek z drugiej strony zważywszy, niezupełnie, bo na Syberii.

— Dyrektor był zesłany za pracę wśród unitów — mówi ciotka.

— Widzicie — kręci głową Tata, wracający wieczorem z ciągu kaczek, skoro mu wyłożono fiasko z Dyrcciem — łatwiej w Polsce o pięć czwórek dychawicznych cugantów niż o jedną fornalkę.

Niknie przebrać się i po chwili zza drzwi słyszeć soczyste „psiakrew”. Pewno męczy się, ściągając namokły but.

„Kozaczy dych” tymczasem wyżywa się w nieustannych rajdach konnych po całej okolicy. O godzinie jedenastej wieczorem Matka, wyczekująca już od kilku godzin na powrót konnej wycieczki znad odległego o trzydzieści kilometrów jeziora, słyszy wreszcie tupot koni przed gankiem: Felek Lechnicki i Tadek Rzewuski odeskortowali dziewczynki i jadą na nocleg do odległej o cztery kilometry Święcicy.

— Co? Spuchłyście?... — słyszeć kpiący głos Felka.

— Nie spuchłyśmy, wcale nie spuchłyśmy — zazarcie bronią się dziewczynki.

Mama już w tej zażartości czuje bolesne odparzeliny i ogląda się za słoikiem z wazeliną.

— Jak nie, to może pojedziemy z powrotem? — słysząc kpiący głos Tadka. — Wrócimy do jeziora i tam przenocujemy u radców.

— Doskonale!

Matka wypada w ciemność, by już w bramie zobaczyć niknące zady końskie.

— Krysia! Tili! Proszę wracać!...

Na miesiąc przed powstaniem Krysia ostatni raz była na wsi. Zwykle pożegnanie ze wsią było ciężkie. Krysia chłonęła ją w siebie, żyła nią, wiedła w mieście.

Pamiętam ostatni wieczór przed którymś z wyjazdów. Poszliśmy do orki. Była jeszcze bardzo małą dziewczynką. Tak mi została w oczach: w pasiastej sukience, o której Mama mówiła, że jest zrobiona z tęczy, z wielkimi warkoczami spadającymi na ramiona, jak przysiadła u skraju bruzd, objawszymi kolana rękami. Cała postać wyrażała głuchy żal. Świeciła jak płomień na burej roli.

Kiedy odjeżdżała, jak się okazało, ostatni raz, była dorosłym człowiekiem. Na stację trzeba było wyruszyć o piątej rano. Kazała osiodłać wierzchowca na trzecią w nocy i dwie godziny jeździła duktami leśnymi. Co myślała, żegnając się z ziemią?

Na Litwie Kowieńskiej

Oprócz Jerki w Poznańskim, oprócz Bezka w Chełmskim, była i trzecia wieś w życiu Dudków, zdarzona przez przypadki niejako z innego świata, a spadła na nie po 1926 roku, kiedy Tili dochodziła siedmiu, a Krysia dziewięciu lat.

W roku 1926 był przewrót majowy. Na trzy dni przedtem minister spraw wewnętrznych skonfiskował wywiad marszałka Piłsudskiego bez wiedzy Kinga, który był naczelnikiem wydziału prasowego. I tak jak w swoim czasie w „Kurjerze Porannym”, King wziął czapkę i znalazł się na ulicy.

Kiedy wybuchł przewrót, poszli z Mamą jak najdalej w Aleje Ujazdowskie, aż już dalej nie można było wskutek strzałów. Obok nich kula trafiła w łydkę przebiegającą panienkę. Ładna panienka jakoś śmiesznie skakała na jednej nóżce, jakby się bawiła w „klasy”, a po jedwabnej pończoszcze ciekła strużka krwi, wyglądająca też sielankowo i niewinnie — jak z rozbitego noska. Tata przypomniał sobie rewolucję rosyjską i uśmiechnął się do tej polskiej Bastylli, bo to kula od strony Belwederu, gdzie siedział rząd Wojciechowskiego, zraniła ciekawą panienkę.

Po tym przewrocie King nie wrócił w ogóle do żadnej pracy w urzędach i przyszłość znowu była niepewna.

Wtedy oczy Kinga zwróciły się na resztkę majątku po matce, pozostałą z reformy litewskiej, resztkę o tyle dużą, że złożoną z trzech maksimum, które fikcyjnie były na inne rodzeństwo, nadzielone już uprzednio z majątku ojcowskiego.

Na tych Jodańcach siedziała teraz siostra Kinga. Teraz, kiedy dzieci stanęły przed progiem regularnej szkoły, dobrze by było, aby odetchnęły powietrzem własnej ziemi. A przy tym może da się coś z resztek lasu wycisnąć.

Żadnych jednak stosunków Litwa z Polską nie miała i należało szwarcować się nielegalnie. Na dobitkę Alina — „małpia jagoda” (patrz Szczenięce lata) — znowu, dawnym trybem, postanowiła wyjechać „na zawsze” od Tola.

— No, to jedź, małpia jagodo — westchnął King — ale pamiętaj, że przez krzaczki trzeba będzie skakać i o powrocie nie ma mowy.

Tak więc w Wilnie, w hotelu George’a, czekały na przewodnika cztery kobiety i King w charakterze kontrabandzisty. Po przesiedzeniu do wieczora w stodole nad granicą pochód ruszył za ciemną w otoczeniu gromady ludzi dźwigających walizy. Alina niosła na piersi swoje wiersze o „szynce - Alince”. Trzeba było iść dziewięć kilometrów do litewskiej stacji kolejowej. W pewnej chwili rozległ się tętent — to granicę objeżdżał konny patrol litewski.

Przytruchliliśmy dzieci do ziemi, Matka nakryła je rękami (a nuż strzelą). Ogromny las zdawał się być pełen zgiełku, a tymczasem Mama poczuła pod rękami, że główiny śpią.

— Budź dzieci, pójdziemy — mówi King. — A tymczasem zbadam drogę.

Obaj z przewodnikiem odchodzą, kobiety zostają same. Las jest bardzo czarny i bardzo groźny, bezwietrzny i nieruchomy po tym do niedawna zbrojnym zamęcie. Przez tunel ciemniejącego listowia widać gwiazdy. Pójdźka pohukuje w pobliżu i jej głos wydaje się swój, bliski, znamionujący bezpieczeństwo, podczas kiedy tam, ku czemu pójda, ku czemu King każe dzieci budzić, kręci się coraz więcej ludzi, im bliżej szyn kolejowych.

Krysia, dobra na wszelkie przygody, już się ocknęła, ogarnęła i monituje siostrę. Malec chyłkiem stara się naspać w rękach Mamy jeszcze i jeszcze. Mama trzyma ręce na główinie, sama chce, żeby pospał. Ale już słysząc wracającego Kinga.

— Tilusku, Tilusieńku — pochyla się Mama i mówi słodkim głosem. Krysia-kat przybywa z energiczniejszą interwencją.

Wycucony malec ryknął tedy wielkim głosem.

— To ma być duch kozaczy? — pochyła się nad nią King. W głosie jego nie ma drwiny i Tili czuje się tym bardziej pognębiona. Przestaje płakać, zbiera się ze swoim kijaszkiem i ociupeńkim plecaczkiem i pochlipując usprawiedliwia się:

— A mówiłam... Było się od Jagiełła nie klócić...

Jodańce to był majątek przypadły nam z podziału matczynych Nowotrzeb. Skurtyzowane do dwustu czterdziestu hektarów, wypadłych na trzy „maksimumy” z reformy rolnej litewskiej, wlokły ćwierć-dworską (tyle co książek na półkach i sąsiedzkich prysiadów takichże wywłaszczeńców) i trzy-ćwierci-farmerską egzystencję.

Królowała na nich ciotka Regina, ongiś produkt sacrecoeurski z czterema obcymi językami i czterdziestu czterema fumami, obecnie kniahini sroga, w jałowicznych butach chadzająca do udoju.

Na skutek zapuszczonych spraw granicznych i leśnych raz po raz trzeba się było procesować. Na sąd Regina wybierała się do Kowna, siedząc na naręczy kobiałek. W drodze natykała się na kmiotka, idącego poboczem drogi; wtedy kazała zatrzymywać konie i grzmiącym głosem pytała:

— Prawować się znaczy idziesz? Siadaj, prędzej dojedziesz i pogadamy po drodze, weselej będzie.

Nieraz na bryczce następował układ i pokłócone strony, miast maszerować do sądu, ganiały zgodnie koło rozproszania kobiałek. Jeśli jednak był sąd, to „obowiązkowie” apelacja, prawowanie się bowiem było głęboko zakorzenioną grą towarzyską.

Znałem osobiście pana Sakowicza, właściciela majątku Leszno koło Mołodeczna. Pan Sakowicz (nomen-omen, wywodził siebie od Sienkiewiczowskiego warchoła) był delicyjnym wzorem pieniacza.

Bywało, nie ma jakoś z kim sądzić się. To idzie na wieś i daje w mordę spotkanemu chłopu.

— Panoczku, czegoż hetta? — zdumiewa się uderzony.

— Ty nie bądź durny, Hrehorka, bić jest zabronione, tak ty do sądu mnie podaj.

— Ależ kaby za szto, panoczku...

— Ja tobie mówię, prawuj się. Przychodź do mnie, sam tobie skargę napiszę.

A widząc jeszcze wahanie, dodaje:

— I wóz chrustu dodam.

Przekupiony Hrehorka zgadza się i Sakowicz jest w siódmym niebie. Wypisuje Hrehorce sążnistą skargę wyrażeniami najsoczystszymi, mrożącymi krew w żyłach. Zabiega dla Hrehorki o świadectwo lekarskie. Zabiega dla siebie o świadków, dla Hrehorki o kontrświadków — zabawa idzie na całego.

Kiedy byłem w Mołodecznie, właśnie odbywała się rozprawa przeciw jego własnej żonie, którą podał do sądu, że hałasuje i przeszkadza mu w pracy. Sędzia przysądził karę dziesięć złotych. Wielce zadowolony pan Sakowicz wypłacił z punktu karę za żonę i powiada:

— A ja ci radzę, duszko, apeluj... Ja na twoim miejscu bym apelował.

— Czemu pan sędzia dał jej karę? — pytałem.

— Bo tak umówiliśmy się z panią. Boby mąż na pewno apelował i nowych kosztów narobił.

— A czy ma na wokandzie co innego?

Sędzia skinął na sekretarza. Tym razem sąsiad skarżył pana Sakowicza, który „jadąc dorożką przez Mołodeczno, kiedy ujrzał skarżącego, powstał w dorożce, odwrócił się tyłem do chodnika, podniósł futro i wypiąwszy się na skarżącego, wołał tak, że to wyraźnie słyszeli Zuś Zysman oraz przechodzący urzędnik starostwa Majewski, aby go skarżący w wypięte miejsce pocałował”.

Niech mi daruje Regina, że ją tak na śmiech podaję. Juści że nie osiągnęła doskonałości panasakowiczowej, ale prawować się lubiła niezmiernie. A i musiała. Element polski nie był elementem faworyzowanym i kto mógł, ten się worywał, wkładał, skubał, zasiadywał, zgłupiafrancił, podbierał, przyszantażowywał.

Żydzi, mający z dziedziczką ożywione stosunki, nazywali ją „Reginową”. Reginowa radziła sobie, jak mogła, ciułając grosz na śmietanie, wydając sto groszy na proces czy łapówkę. Wszystkie te niedomogi w kalkulacji wyrównywał od czasu do czasu ścięty dębuszek, jak za babki Szwoynickiej, jak za prababki Baczyźmałskiej — tylko że wówczas szła od razu włoka starodrzewu, a teraz po kilka marnych sztuk.

Reginowa zawsze się spieszy, wpada jak bomba, rozpoczyna orację od grzmiącego „Ha!”, urywa ją zwykle porażona czymś nowym i znika. Płaci adwokatowi parszukanami (prosiętami), za mieszkanie w Kownie jajami i śmietaną, prezentów udziela kumpiami (rodzaj szynki).

Reginowa nie lubi, jeśli domownicy chodzą do ubikacji, bo uważa, że kontemplacja w ogrodzie jest i poetyczniejsza, i użyznia ziemię-matkę. W pogoni za tym użyznianiem wzięła sobie na głowę, a raczej na trawę szwadron ułanów litewskich, który rozbił swoje namioty między domem a pasieką. Reginowa wyprawiła się kiedyś do pasieki wczesnym świtem w koszuli, pszczoły częgościć nasiedli tak, że koszulę zarzuciła na głowę i szorowała przez cały obóz pobudzonych ułanów.

Raz na kilka lat Reginowa szła śladem tego ziemianina z Kieleckiego, który wywiesił na bramie napis: „Gospodaruj, Panie Boże, bo Niemyski już nie może” i wyjechał. Wówczas wydzierżawiała „bardzo korzystnie” Jodańce na wielką ilość lat, brała zaliczkę (reszta miała być dosłana za miesiąc, a potem cokwartalna obfita tenuta przez tę wielką ilość lat) i wyrobiwszy sobie paszport rzekomo do Prus Wschodnich, stamtąd za jakąś przepustką graniczną ważną na okres parotygodniowy zjeżdżała na stałe i na zawsze do Warszawy.

To zjeżdżanie „na stałe i na zawsze” łudzaco przypominało exodusy Aliny od Tolów. Pierwszy miesiąc upływał błogo. Reginowa, jako hojna zakordonowa ciotka na bajecznej tenucie, zasypywała dzieci prezentami, manikiurowała się, makijażowała się, kupowała kosztowne futro i suknię wieczorową (?) z trenem (!) i strusim piórem na głowie (?), odgrzebywała w sobie wszelakie intelektualne zainteresowania. Tata miał spokój z premierami, bo Mama na jego miejsce zabierała Reginową, nadsyłane książki przepływały przede wszystkim przez jej pokój — słowem: nowe życie!

Renia przyjechała — oznajmia Mama. — Przegląda książki w twoim gabinecie.

Z gabinetu słychać odgłosy rozkoszy, jakoby niedźwiedź barć psował i pomrukiwał sobie z uciechy.

— Nowe wydanie Legendy Wyspiańskiego — ach! Jaka oprawa rozczulająca — ach!...

Tata staje jak wryty. Janek Gebethner jako privat-druk wydał wprawdzie Legendę, ale nie Wyspiańskiego, tylko pornograficzny poemat jednego z posłów z takimiż rysunkami zdolnego grafika.

Chwila osłupiałego milczenia. Potem rozlegają się gromy: „To ohyda! Obrzydliwość!”, po czym pękają drzwi, z których wypada rozsrożona Reginowa.

A kto cię prosił łązić po moich książkach bez pytania?! — broni się skonfundowany King.

Po dwóch miesiącach okazywało się definitywnie, że „żulik” tkwiący za granicą, w państwie, które nie uznawało stosunków konsularnych z Polską, postanowił stanowczo nic nie płacić, i po dalszym miesiącu King i Reginowa, ziejąc wściekłością, jechali do Królewca, skąd na zielono przedostawali się przez rzeczkę graniczną. Pewnego razu, w ośmiostopniowy mróz, który nagle chwycił po odlidzie, przewalili się na otęchlinie po szyję do wody i potem biegli trzy kilometry do Wierzbołowa polami w szatach skostniałych w lodowe pancerze.

Ale potem żulik był z triumfem wyrzucany. Przygotowany na tę chwilę, nie tylko nie zostawiał pól obsianych, ale w obejściu nie poświeciła choćby jedna końska noga, choćby

jeden krowi ogon. Wkrótce jednak Reginowa nabywała „bajecznie tanio” starą klacz, która „wprawdzie ma nie gojącą się ranę na prawej tylnej, ale to jej wcale nie przeszkadza pracować”. Tatę nie tyle uspokajał ten Schoneheitsfehler, ile fakt, że jeszcze istnieje nieco nie spuszczonech dębuszków.

Ale żulik rył dalej. Reginowa nie miała obywatelstwa litewskiego i kazano jej wyjechać w ciągu miesiąca. Starła się i tak, i siak.

Znajoma Polka, żona Litwina — dyrektora gimnazjum — zaaranżowała w tym celu przyjęcie z wpływowym generałem. Dobrze jedli, pili, jowialny generał z chłopów litewskich, ale mówiący jak cała stara generacja po polsku, czuł się świetnie i łaskawie.

— Pan generał zapali? — po obiedzie pani domu podsuwa papierosy.

— Dziękują. Nie pala...

— Ma pan generał rację, najlepiej się nie przyzwyczajać.

— Otóż to — klepie ją po kolanie. — Tak jak z lewatywo: raz przyzwyczaisz się, tak już każdy wieczór musisz go przyjmować. Choć ty siadysz płacz.

Aczkolwiek tak intymne zwierzenia zbliżyły bardzo przedstawicieli obu narodów, generał nic pomóc nie mógł. Wówczas Reginowa dostała się do samego Waldemarasa, ówczesnego premiera.

Krótki pękały germanofil, strzyżony na jeża, przyjął specimen eks-landlordowski jak Kiejstut panów polskich, to znaczy jak psa w kręgielni. Do upływu danego terminu pozostawało już tylko dziesięć dni.

— A ja wam mówię, że tu zostanę na Litwie — palnęła Reginowa pięścią w biurko. .

— Ciekaw jestem, jak to pani robi — odwalił się krótkożęz w fotelu, zakładając knykie za plecy kamizelki.

— A ot tak, że wyjdę za mąż za Litwina — odpaliła, zostawiając Waldemarasa z rozdziawioną gębą.

— Mecenasiu, męża! — wpadła jak burza do adwokata.

Stary mecenas Każdajewicz, chytrenki doradca prawny wyawansowany z obrońców sądowych, rozłożył ręce :

— Wybacz pani, ale ja nie mam biura stręczenia małżeństw.

Dopieroż mu wyjaśniła, jak i co. Rozważywszy doradził rozsądnie:

— Kiedy już tak przychodzi się pani wszystko równo bez nijakiej przyjemności małżeńskiej, znaczy się, związku zawrzeć, tak patrzaj pani, żeby on nie za długo był żył, ten mąż.

Reginowej widać przypomniła się szeroko śpiewana w Kowieńszczyźnie piosenka: „Stała się u nas wielka pogłoska, zabiła męża pani Twardowska” — bo stary lis pośpieszył z wyjaśnieniem.

— Już nie mówia, żeby jemu jakiego muchomora zadać. Tylko patrzaj pani, żeby na ostatnich nogach był. Wdową zostawisz i tak obywatelstwo zatrzymasz.

Reginowa wzięła taksówkę i poczęła objeżdżać szpitale. Przeleciała Szawle, Poniewież, aż pod Kiejdanami nasiulili jej schludnego staruszka z okolicy szlacheckiej. I nazywał się pięknie — Borkowski. Ugodzili się za dwadzieścia dolarów i dwa wozy siana rocznie.

Reginowa miała zresztą względem męża dobre zamiary.

— Wiesz — pisała — myślę go nawet wziąć do Jodańc, tylko stancję wybielić każę w kumietini (czworakach). Taki czysty, cichy, porządny staruszek.

Z tego altruizmu jednak — dyktowanego nie wiem, czy chęcią zaoszczędzenia tych dwóch wozów siana — nic nie wyszło, albowiem cichy, dobry staruszek zachował się nad wyraz taktownie i zmarł. W ten sposób Dudy nie otrzymały jeszcze jednego wuja, a przy Reginowej zostały nie tylko Jodańce, ale i dwa wozy siana.

Dzieci przyjechawszy do królestwa Reginowej trafiły w sam środek stawania się. Przez małość domku. Przez małość gospodarstwa, przez ubóstwo.

Pamiętam — wracałem kiedyś z konnego spaceru w Kalużycach. Było już ciemno i tylko po niebie szły ostatnie czerwone żagwie. Nagle skrzypnęły wrótnie, którymi były zamykane ulice naszych białoruskich wsi, i kawalkada wiejskich bosonogich chłopaków na oklep wycwałowała, podążając na nocne pastwisko. Pomyślałem, że chłopak stajenny odbierze i odprowadzi mi wierzchowca, że lokaj poda kolację i że potem będę leżał w łóżku, czytając książkę, podczas kiedy nad nimi gasnąć będzie ta żagiew; potem zapalą ognisko, dym pociągnie w wilgotny las, zapachnie pieczonymi kartoflami i zagada nocą. Poczułem się zhandikapowany. Poczułem, że piękna nie należy przeżywać, że pięknem należy żyć. Piękno musi być jak powietrze — potrzebne i nieuświadomialne, póki jest. Ci mali koniowodowie nie zwracali uwagi na „żagiew” na niebie „płonącą”. Ale brani na lokajczuków, robiąc niesłychany skok w buty, liberię, jedzenie, mieszkanie, lekką pracę, atrakcję — uciekali niejednokrotnie z powrotem na wieś, tłumacząc rodzicom, że „w pałacu słońca nie widno”.

Dziewczynki, pozbawione dobrych wierzchowców, polowania, kortu tenisowego, bliższe były tego istotnego stawania się życia na wsi. Patrząc, z jakim nabożeństwem referują zdarzenia w oborze, myślałem, że ja w oborze bywałem tylko w gronie gości, by zademonstrować importowanego stadnika; widząc, jak brudne łapiny uroczyście rozwierają się, by pokazać ziarno siewne, korzyłem się, że tyle mnie interesowały zboża, o ile można było namówić kuzynki, by włożyły w rękaw wąsaty jęczmień i zrobiły parę ruchów ze szwedzkiej gimnastyki, w rezultacie czego jęczmień lał pod pachę i kłuł. Bogiem a prawdą, dotąd niezupełnie wiem, co jest ozime, a co jare, ale wówczas nie wyznałbym tego za nic w świecie.

Miałem inne dzieciństwo — więcej przystosowane do administrowania niż do bezpośredniego wytwarzania, więcej do panowania niż do pracy od dołu, więcej do syntezy niż do analizy, więcej do przeżywania niż do życia. Dzieci już były z Żoliborza — bliżej nurtu. I w Jodańcach też były bliższe nurtu i ziemi.

Lud też był lepszy niż na Białorusi do tego wtopienia się w sprawę ziemi. Na Białorusi najmniejszy chłopak ze dworu był panem, musiał się tak nosić, jak go ułożyły wieki i jak go nauczono od kołyski.

Tutaj lud był katolicki, zamożny, sobiepański; sąsiedztwo, zwłaszcza po reformie rolnej, najtyczankowe (bryczka używana zamiast powozu). Matka nieraz, poszukując Dudów, znajdowała je w parobczańskiej chałupie, naćpane skrydli (twarde bliny z razowej mąki) czy innych abraduków (kluski na pół z kartoflami w słoninie), nakryte kozuchem i śpiące na piecu.

Wszędzie ich było pełno i matka orientowała się raczej na ogon Sargasa, wielkiego kundla z frędzlowatym ogonem, którym dumnie powiewał, chodząc krok w krok za dziećmi. Tili skądś dowiedziała się, że czasem ludzie są przemieniani w psy i jeśli takiego psa co dzień pocałować w nos, to się odpsi i uczłowieczy. Reginowa przy każdej kolejnej zbrodni, w której Sargas z całej trójki najwięcej wykazywał rozważań, dowodziła, że on ma więcej rozumu niż dzieci. I po jakimś czasie wykryło się, że obie stale i wytrwale całują go w nos.

Czasem cała trójka ginęła z obejścia — wtedy była w Królestwie Jasności. Tak się nazywał kąt na podstrychu w stodole, gdzie również było pachnące siano, ale i kawałek podłogi, i okno wychodzące na zalany słońcem świat. Pewnego jednak razu wróciły z Królestwa Jasności nieco rozżalone na Pietruka i Waruskę, że to mogliby sobie urządzać jakieś inne, własne Królestwo Jasności.

Wówczas bawiły się w domu, Krysia była aranżerem. Pomyślane przez nią zabawy miały zawsze jakąś stylizację. Tili, wierny Sancho Pansa, samorzutnie wybierała drugorzędne role.

— Ustrój mi komnatę, paziku — mówi Krysia-królowa — i ściel mi łóżce.

— Ciociu! — zażala się w chwilę potem Tili — jestem jej pazik, a ona nie chce mnie przyjąć do swego łoża.

Reginowa, sroga kniahini Kurcewiczowa, mięknie w łapkach, które jej rozplatają włosy, bo dzieci umyśliły charakteryzować ciotkę na królową Jadwigę. Odchodzi gadulenie. Dzieci marzą, jak to będą same gospodarować na Jodańcach.

— A mnie w Jodańcach nie dacie mieszkać? — pyta zazdrosny Królik.

Dylemat!... Najlepiej by było i sobie samym się rządzić, i Mamy nie postradać.

— Mamusi zbudujemy domek na Pojacie (piękna zalesiona góra, ale aż po tamtej stronie Niewiaży).

— A ja co? — pyta Reginowa.

— Ciocia umrze.

— Co?! — wrzeszczy, przerywając trefienie, święta Jadwiga. Zdaje się, że złości się nie tyle, że ma umierać, ile że jej odbierają Jodańce.

— Dzieci, wstyďte się, Regina, nie irytuj się — mediuje smrodek dydaktyczny.

Okazało się, że Królestwo Jasności było wszędzie: w lasku spadającym w wąwóz, z którego się wychodziło z buziami zapacianymi ożynami; na porębie, gdzie pachniały poziomki, w leszczynach, gdzie się zbierało niedojrzałe orzechy na wyścigi z wiejskimi chłopakami i ku rozgoryczeniu wiewiórek; na grzybobraniach, gdzie znalazłszy borowika (po koroniarSKU: prawdziwka) szukało się jego brata, a po rydze szmygało się w zacienie świerkowe pod najdolniejsze łapki położone po ziemi; na łąkach pachnących smółkami, bogatych w szczaw, dzwoniących pachnącymi storczykami; na roli, która się rozwierała tłustą glebą chciwym dziobom wron i ciekawym oczom dzieci; po rowach zarosłych rzęsą, gdzie siedziały pocieszne żabska, ruszając grdyką i kumkając; na szczytach kasztanów, huczących chrabąszczami, sączących hieratyczny zapach ze swoich świeczników; w oborze, gdzie nagle pewnego dnia przybywało cielątko, i mokre, stojąc na chwiejnych nogach, już próbowało aksamitnym pyszczkiem stukać matkę w wymiona; w psiej budzie, pełnej z nagła ciepłego popiskiwania i rojącej się od pluszowych ślepych mordeczek; w kuchni, gdzie kucharka wałkowała bursztynowy cieniutki placek ciasta; u kowala, gdzie można było trzymać tylną nogę kutego konia i patrzeć, jak na kowadle formuje się podkowa; i w stajni, ach, w stajni, pachnącej amoniakiem, chrzęszczącej żutym owsem, gdzie nie wiadomo było, czego się najpierw chwycić — czy mówić możliwie grubym głosem staremu wałachowi: „Nastąp się!”, czy czyścić zgrzeblę kasztankę, czy karmić cukrem prychliwe nozdra żrebaczka, czy z wielkim znawstwem asystować przy smarowaniu rany na grzbiecie białej klaczy.

Tyle było Królestw Jasności, tak chyżymi krokami biegł dzień od wschodu do zachodu, że bosa noga nie nadążała śmigać, a Sargas — machać frędzlowatą kitą w nieustannym galopie.

Bo kursa były niemałe — pod górą, na której stał dom, płynęła Niewiaża. Jeśli na górze przy obejściu było Królestwo Jasności, to tu nad Niewiażą była jasność sama, skondensowana, świetliście trwająca.

Najprzód więc był brzeg piaszczysty, płytko wchodzący w wodę, żeś widział na dnie każdą rybkę i każdą muszelkę. Dalej pod krzakami było pełno lilii wodnych — tych żółtych i tych białych — nenufarów. Włazłszy do czółna i podgramoliwszy się pod zwisające ożyny, można było nie tylko objeść się setnie, ale skuliwszy się w gęstym cieniu, którego nie przebijało słońce, wyobrazić sobie, że zagon tatarski idzie łąkami, a tu oto się siedzi i przeczekuje, aby nie dostać się w jasyr.

Mama, zaniepokojona zniknięciem łodzi, czasem nawoływała nad ożynami i wówczas doskonale było sobie wyobrazić, że Mama to Tatarzyn, który wpadł komunikiem, i zataić się za cenę spóźnienia na obiad, i wydziwiania Reginowej o mądrzejszym Sargasie, który uznał chowanie się od Tatarów za głupią zabawę i na czas zameldował się do swojej miski.

Jeśli zważyć, że te niezliczone Królestwa Jasności zmieniały swoje nasilenie świetlne, barwę, aromat i zdarzenia w nich dziejące się już nawet nie co godzinę, ale co kwadrans, i

jeśli zważyć, że zmieniały się przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku, wianuszkami kolorowych paciorków sunących przez życie, to się dopiero zrozumie szaloną dynamikę dzieciennego życia, przeżywającego wszystko w takim napięciu, że — zdawałoby się — młode duszki pójda w strzępy.

Jakże bo! Ta sama Niewiaża, zielona ożynami i nenufarami połyskliwa, polerująca muszle i kamienie... Nagle wzbiera krami, na których poważne wrony polują na rybki, chrzęści, nie dopuszcza na tamtą stronę, doktor do chorego nie dojdzie, pogrzeby się odkłada, bo nieboszczyka nie da się przeprawić za rzekę na cmentarz.

Toż dopiero trzeba ducha kozackiego, aby się dostać do leżących na tamtej stronie Nowotrzeb!

W normalnym czasie była to łatwa przeprawa, funkcjonował bowiem prom dworski. Ilekroć Reginowa urzędowała świniobicie, Mama z Krysią uciekały na cały dzień do tych Nowotrzeb, zostawiając przy Reginowej Chłopka-Roztropka, który je wieczorem witał z uchem lub ogonkiem zachwalając „amatolski kawałek”.

Ale teraz kra dzieliła bezapelacyjnie oba dwory.

Pewnego dnia Mama, zaniepokojona długą ciszą, jako że szedł zmierzch, wyprawiła się na poszukiwania, wypatrując po okolicy kity Sargasowej. Nie było jednak nigdzie śladu psa ni dzieci, aż wreszcie, dobrze już za ciemna, przybiegł zaaferowany Sargas, trącając pyskiem kolano i namawiając, żeby iść za nim w kierunku rzeki. Mama krzyknęła na ludzi i już biegła. Dognali ją z latarniami i bosakami. Z ciemności dochodził głuchy chrzęst sunących łodów. Sargas doprowadził do brzegu, akurat naprzeciwko chałupy przewoźnika po tamtej stronie, i począł szczekać w ciemność. W ciemności tonęły nawoływania Mamy.

Dopieroż hukaniem przeciągłym, przez wieki na przewoźnika nasposobionym, wywołali go z chałupy.

— Piotry, ci nie widziałasz dzieciuków?

— Przeszli, zmokszy, Niewiaża — nadrywał się z tamtej strony Piotr — i suszoń się.

Dopieroż ze strachem Bożym, po deskach kładzionych na łodzie, wyruszyła po zbiegów Matka.

Zbiegowie hodowali się w Nowotrzebach. W Nowotrzebach siedział, wżeniony w Manię Korewiankę, córkę ciotki Korewiny, Adolf Mickiewicz, i to nie byle jaki Mickiewicz, bo Rymwid, figura kolorowa jak wszystko na tamtej ziemi, narrator znakomity, causeur jak tylko nasza szlachta być może, o przekonaniach fantastycznych, które może by nie raziły w epoce saskiej, choć i to nie jest pewne.

— Czy pan jest z tej samej rodziny co Adam? — zwykli go pytać, na co kostniał i odpowiadał grzecznie lodowatym tonem:

— Nie, to była inna rodzina. My jesteśmy Rymwid-Mickiewiczowie.

Gość nagle przypominał o niemal chodackowej proveniencji wieszczą i milknął stropiony.

Kiedyś, w pierwszym już roku rewolucji, jadąc na kurację przestrzelonej nogi na Liman Odeski, King z Mamą zajechali do kuzyna gospodarującego na Podolu. Czekala czwórka białych koni w lejc z hajdukiem konnym poprzedzającym zaprzęg ze smolną pochodnią. Dziwna to była jazda w zapluty siemeczkami i rozmityngowanym 1917 roku.

Obecnie, skoro świat pobrnął na lewo, to imć Adolf coraz bardziej kocołował na prawo. O Mikołaju II nie mówił nigdy inaczej jak „Najjaśniejszy Pan”, przy czym unosił się z krzesła. Zdarzyło się, że raz spuściwszy resztki lasu przywędrował z rodziną do Warszawy; zaproponowaliśmy, że go zabierzemy na uroczystość, gdzie może być przedstawiony marszałkowej Piłsudskiej i premierowi; odpowiedział z szarmanckim ukłonem, że dziękuje, ale w takim towarzystwie nie bywa.

— Ci-u-ociu — ciągnęły Danka i Mirusia, wracając z przystanku tramwajowego — spóźniłyśmy się na siedemnastkę, odjechawszy przed samym nosem, tak cóż zrobić, jutro pojedziemy.

Więc skoro u Rymwid-Mickiewicza wszystko naokoło na tym nieznanym nowym świecie było chamstwem, którego nienawidził, dwie śliczne córki z góry skazane były na staropanieństwo, bo w całej Kowieńszczyźnie nie znalazłby się dostatecznie godny epuzer. Wszystkie te fupy na resztówce rolnej były połączone ze skrajną biedą, przy której jego żona ciężko pracowała fizycznie.

Więc cóż dziwnego, że Danka i Mirusia wyrzywały się z tej skostniałej grandezzy dawnego półrozwalonego dworu, w którym zimą szron stał na ścianach, a latem kubły trzeba było podstawiać pod ciekące sufity — do Reginowej. Wycieczki takie były dosyć pokrywome. Uzyskawszy pozwolenie, panny przychodziły upończochowane, wybucone, nawet ukapeluszowane, z bukietami ułożonymi w sztywne piramidki. W Jodańcach Mama natychmiast rozwiązywała bukiety i wyzwała kwiaty, kapeluszami rżnęło się o komodę i niebawem cała czwórka znikła w Królestwach Jasności.

Imć Adolf coś się przeznawał na tych praktykach niegodnych dobrze urodzonych Rymwidzianek i ausflugi do Jodańc coraz ograniczał.

Aż ci tu naraz przyniosło jodańską parę Tatarów na długą przymusową wizytę.

Mama zastała całą czwórkę ganiającą boso dookoła ogromnego długiego stołu w jadalnym, przy którym ongi siadało i po trzydzieści osób.

Boso!

Skapitulowany Rymwid leżał w jednym jako tako ogrzonym pokoju i przykładął kataplazmy na bolącą głowę. Wyszedł na spotkanie Mamy z okładem moczonym w occie i po wyrażeniu obowiązkowego zdumienia nad tym, że dziś kuzynka cudnie wygląda, scukrzył głos jeszcze bardziej:

— Zdaje się, hm... tego... że kuzynka jest zwolenniczką nowoczesnego, hm... tego... swobodnego wychowania.

„Kuzynka”, zgnębiona zarzutem, nic już nie mówiła, tylko rozplływając się we wdzięcznościach, jak najprędzej uprowadziła dobytek. Winowajcy szli w ponurym nastroju, jako że nie dostali wymarzonych pomarańcz, przywiezionych z Kowna, i nasłuchali się stanowczych stwierdzeń ciotki o wyższości Sargasa i retorycznych pytań Mamy, co by było, gdyby się potopiły. Struchlawszy, kiedy wreszcie Mama, nie mogąc się w żaden sposób dowiedzieć, co by wówczas było, beknęła niepomna pedagogiki — „odchwyciły się” nie prędzej aż po obiedzie i po trzech nawrotach srożenia się ciotki i Mamy, które wciąż starały się sobie uświadomić, że nie były dostatecznie srogie w stosunku do przestępstwa.

„Odchwycenie się” (co po koroniarzku znaczy: przyjście do siebie) następowało zwykle, kiedy Tili, strzygnąwszy dropiatym okiem, decydowała, że już można powiedzieć jakąś śmieszność. Czasem obrywała jak mucha, która wylezie za wcześnie, kiedy jeszcze z zimnem się nie skończyło, i matka z ciotką, ugruntowane w przekonaniu, że jeszcze widać były zbyt mało srogie, toczyły nowy wał wzmocnionego pomstowania. Czasem jednak malcowi udało się powiedzieć coś tak śmiesznego, że Mama nagle pochylała głowę nad robotą, starając się ukryć twarz, a ciotka wydawała głośny fuk i wylatywała z pokoju. Manewr ten jednak nie osłaniał oczywistej kapitulacji i już wówczas nie było takiej siły, która mogłaby powstrzymać gadulenie: jak kra odłamała się z Krysią i poczęła się oddalać, ale położyły się na lodzie na brzuskach, wyciągnęły rączki i przyciągnęły się do siebie, i Krysia z powrotem wylądowała na głównej krze; jak przy brzegu był pas wody i trzeba było chlupnąć; jak Piotrowa ściągnęła buciki, pończoszki, sukienki i ponawlekała koszulki swoich dzieci z grubego bielonego płótna. Jak potem zaraz z góry, z Nowotrzeb, przybiegł wuj Adolf i jak ciocia Mania szorowała je terpentyną („pewnie za karę, bo wcale nie byłyśmy przeziębione”); i jak w ogóle cudownie było przez ten czas, tylko szkoda, że Sargas nie przeszedł i że mocno są zachwiane

w podejrzeniach, że pokutuje w nim indyjski książę, bo Sargas wtedy byłby więcej rycerski, a w takim razie nie wiedzą, czy go mają nadal całować w nos, bo może się nagle uczłowieczy jaka pokraka. Tata, któremu potem opowiedziano to zajście, wyraził przypuszczenie, że pedagogiczny i ostrożny Sargas mógłby być spsionym nauczycielem, na przykład rachunków, i że szkoda, że się nie odpsił, boby lepiej sprawy stały z tabliczką mnożenia.

Bo Tata jak raz w tym czasie przyjechał. Nie było to łatwo, bo znowu trzeba było się szwarcować przez zieloną granicę.

W *Na tropach Smętka* tak oto opisywał tę przeprawę:

Litwini – niczego sobie – „lenty” (łagodny) naród. Przyszli do żony i pytają:

– Jak tu pani spadszy jestasz w nasza strona?

A żona, że to nauczona, że jak kto z Polski przyjedzie, to mu każą nazad jechać, mówi:

– Z Meksyki przyjechawszy.

To oni kiedy wczepili się:

– Pokaż im na mapie i pokaż, choć ty płacz, od jaka strona ta Meksyka przypada.

A niech oni skisno!... To żona im powiedziała, że koledzy męża ją wieźli, a jaką drogą przywieźli, nie wiadomo jej, bo spała. Tak i zapisali. I co państwo myślicie – zapłaciła dwadzieścia pięć litów kary, tym i obeszło się.

A tylko ze mną paskudniej obeszli się. Szedłem zieloną granicą na Zawiasy. A tu po litewskiej stronie, nad rowem, pod cmentarzem jak ktoś wrzaśnie! Patrzę – żołnierz litewski „nastojaszczy karejwis”. Mówię ja jemu:

– Wstydu ty nie masz ludzi straszyć: ot, chodziłem ziemię patrzeć kupować i na czugunka, znaczy się, z samego rana idę. Masz tobie dolara.

W ta pora dolar miałem przygotowany. Wziął on tego dolara, nu tak ja – chodu... Ale strach jemu, jak widzi, przed naczałstwem zrobił się, bo krzyczy, że strzelać będzie i celui sie.

– A żebyż ty spuch – mówię. – Poczekaj, przecie jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści.

A on już dolara oddaje i prowadzi jak wilk kózę do Jewja.

Tak on po drodze ci nie trzy razy ten dolar przyjmował – strąść ochota miał na niego – a jak odpuści, to i znowu celui sie, i dolar nazad mnie w ręka siuli.

Tak doszliśmy do ich karautu w Jewjach. Widza – całkiem obojętna zdarzenia robi sie. Ależ wiadomo, kiedy bieda przyszedzsy, nie pokazuj, że bojazno i pod tyżeczko ciśni. To ja wszed z krzykiem, co pociąg za trzy godziny, tak ja w ichniej komendantckiej pośpia. Unteroficer mówi, co w kazionnej stancii nie połaga się spać, a ja jak grubijan jaki takim manierem:

– Katu, sudiagtu, katu suruktu, katu usuwielniaje. A żebyż ty spuch, a żebyż ty skis, a żebyż ty zbzikowałbysz.

On zeztuł sie, ale jeszcze tłumaczy to dy sio. To ja kiedy krzykna jemu: – Rupuże!³

To on, kiedy nie stuknie mnie w zatyłek (kark), aż wykociłem się przez drzwi, jak jajka, które kaczają na Wielkanoc. A mnie tylko tego i trzeba było. Póki durnialis, któren był mnie przyprowadziwszy, stał z rozdziawiono gembu, ja – jak widzi – wsuwnięm sie w krzaki i szukaj mnie jak w Szawlach na feście.

Dostawszy się do Kowna po nocy pełnej perypetii, King niezwłocznie wynajął taksówkę i pomknął do Jodańc. Jechał przez Romańską Górę, po której kopna śniegiem droga spływała w dolinę Niemna, i znów potem zjeżdżał z Uzledzkiej Góry w dolinę Niewiaży. Uśmiechał się do dziecinnych wspomnień, kiedy się było święcie przekonany, że na obu górach grasują

³ Ropucha – popularne przekleństwo litewskie, coś w rodzaju naszego „psiakrew”.

rozbójnicy. Jakaś legenda, zaczepiona o zmierzchność lat, trzymała się tych gór, ale czy są legendy martwe dla serc dziecinnych i dla serc prostaczków?

Wysiadając przy wjazdach na góry, „aby koniom było lżej”, niezmiennie rozpoczynało się dyskusje ze starym Janem, furmanem, którego ojciec, Wincenty, również całe życie był stangretem:

— Czy na Uzledzkiej Górze jest niebezpieczniej, czy na Romańskiej?

Jan, przez lat kilkadziesiąt przemierzający ten szlak bez żadnego napadu ze trzy razy na tydzień, jeśli to było w drodze do Kowna, myślał długo i solidnie nad orzeczeniem, które wreszcie wypadało, że „jeżeli zimowo poro, to im jak gdybyć ciekawiej na Uzledzkiej, bo góra kreńta, tylna koła podwiązana i nie uciekniesz. A letnio poro to oni tylko czekajom, co na Romańskiej w piaski zbijisz się, wiadomo, koni, co orczyków nie połamio, tak cienżko ciongno. Nu i wtedy...”

Owo „nu-wtedy” straszliwą grozą zawisało nad dziecinną wyobraźnią.

— Janie, ale czy będziemy się bronić?

— A gdzie jemu bronić się — z goryczą i melancholijnie oponuje Jan. — Ot, jak widzi, jak kurczaka zarżni, Pania, zmiłujśia.

— Ale to konie zabiorą?

— A ciż dorównować można dusza ludzka niesmiertelna bez spowiedzi na wieki zgubiona z żywiołu? Niech oni zabierajo żywioła, niech oni do rojstu przewalo sie.

— I Makowskiego wezmą? Taki dobry koń.

Konie zwykle nazywały się tak jak ten, od którego je kupiono. Gniady wałach, przed urodzeniem moim kupiony od mitycznego Makowskiego, ciągle jeszcze był uważany za wyśmienitego konia.

Za to w drodze z Kowna fioletowy nos Jana zdradzał bardziej bojowe nastawienie. Już na moście na Wilii, wyjeżdżając z Kowna, szczepiwszy się saniami z jakimś gospodarzem, wymyślali na siebie długo i soczyście po polsku i po litewsku. Wreszcie wygramolili się z sań i szli ku sobie, ziejąc przekleństwami.

— Ciągni, waszpan, kiedy łaska, w ta strona — powiedział jeden do drugiego, kiedy się zeszli.

Lenty naród!

Na Słobódce jednak za Wilią Jan oznajmił, że musi zająć zabrać jeszcze jedną „pokupkę”. Okazało się, że pokupki żadnej nie było, tylko fiolet na nosie zgęstniał. Jan siadł na kozioł, zakrzyknął do Makowskiego: „Nu, rupeże, już tylko lenuisie” i pomknęliśmy ze sto kroków, póki Makowski nie skombinował, że już Jan przestał zajmować się jego osobą.

— Nie bojemi się żadnych żulików — przecinał Jan rozważania, czy dzisiaj zbóje czekają jeszcze na Romańskiej, czy już na Uzledzkiej Górze — bo dlatego (w znaczeniu: ponieważ) i policja jest, gdyby ich łowić („gdyby” w znaczeniu: żeby). A jak suno się do Makowskiego, tak kiedy szmorgna batem!

Tu go animusz do reszty rozbierał i pochyliwszy się do latorośli, udzielał zbawiennych rad:

— Widzi, paniczu (w momentach podniesienia serc awansowało się z dzieciuka na panicza), ja naucza, jak robić, kiedy kogo obłupie (w znaczeniu: obić) przyjdzi sie. Nie daj ty, Panie, w widoczna miejsca. A najlepiej wyszmorgać w dupa. Sendzia, znaczy sie, zapytui: „A ci szlady jakie so?” Nu i wiadomo — grubijanem naprzeciw sendziego nie bendziesz, wypinajonc sie.

Jakże prędko mija romantyzm dzieciństwa! Straszliwe góry Uzledzka i Romańska to prawie pagórki. Szofer wynajętej taksówki nic nie wie o zbójach, a owe szesnaście wiorst grudy, błota lub zasp (które Makowski pokonywał w rekordowym czasie dwu godzin, „a kiedy zmyślił co, to i trzy godziny ciongnoł sie”) — przemknął w dwadzieścia minut.

W Jodańcach nie było nikogo. Rzecz niesłychana. Zwykle tylko ciotka do Kowna jeździła na górze koszów i kobiałek. Wracając, zbytą wszystkich kwików, gęgów i gdakań, spłacała dziesięcinę poezji, wioząc na łonie pod kożuchem (jako że mróz był straszliwy) zakupione dla Mamy trzy róże. W drodze, zmożona emocjami całodziennych transakcji, Reginowa zasypiała i dowoziła trzy kolorowe placuszki. King, jeśli się zdarzył, dowodził wówczas strapionej Reginowej, jak ten strażak szpetnej pannie Mariannie, że „pluje na twarz — patrzy na serce”.

King zły, bo przecież przyleciał przez te tam zielone granice na dwadzieścia cztery godziny i znów będzie musiał brnąć nocą, położył się na tapczanie. Wiedział, że z Kowna przed siódmą nie wróca. Całe szczęście, że u cioci Reni jest z książkami lepiej niż u cioci Mani, gdzie w całym domu był tylko kalendarz rolniczy i *Żywoty świętych* panny Michasi.

Małe okna ekonomicznego domu były całkiem założone kwiatami zamrozu. Ale czuciem, nawróconym z lat dziecinnych, wyczuł, że za tym zamrozem dzieją się zachwycające sprawy. Otworzył mały lufcik — w śnieżnej jasności na oszronionych gałązkach czerwieniał napuszony w kuleczkę gil.

Podwójne okno było zamurowane na głucho. Parapet między szybami był wyłożony mchem, na którym biegł misterny deseń z suszonej jarzębiny. King nie mógł się wychylić, ale widział przez lufcik obejście, wspaniale odnowione przez Pana Boga: każdy kołek w płocie był niepokalanie wyiskrzony, na młodych świerkach bramujących skraj sadu sójki, w mrozy podciągające z lasu, rozpylały ze skrzekiem okiście.

King, jak pijany, wylazł z domku o rozbuzowanych piecach w ten trzaskający mróz, przebrnął wąwóz, wszedł w las, w którym zdarzyła się najpamiętniejsza sprawa: jako ośmioletni chłopak czaił się z jednorurką - pistonówką do wielkiego świerka, w którego konarach mignęła wiewiórka. Wiewiórka gdzieś się zadziała i zapalony myśliwy trwał u skraju polany, z zadartą głową, z oczyma wlepionymi w szczyt niebotycznego drzewa. Nagle — z samego szczytu — wykwitła biała szyjka ptaka o czerwonym czubku; nim strzelił, znikła. Już jej nie widział i już jej nie wypłoszył. Jakieś nieznane cudo białe-czerwone przesunęło się koło niego. Tłumaczyli mu potem, że to była żońna. Tak ten las, co dzień niemal, odkrywał przed nim niesłychane tajemnice. Idąc teraz przez las dzieciństwa, starał się sobie uprzytomnić, czy mogłoby zaistnieć jeszcze w jego życiu równie silne wrażenie. I nie mógł sobie wyobrazić.

Przywłókł się, przemoknięty i szczęśliwy, za ciemna i wzuł się zaraz w łóżko.

Po krótkiej chwili o słuch jego uderzył odległy dźwięk. Daleko przez mróz idzie dźwięk janczarów. Między nim i domem tłumi go las. Gdy tylko okrążą las, dźwięk buchnie niepowstrzymaną radosną fanfara. Przez ileż lat ta fanfara zwiastowała wzruszające ewenementy. Kiedy tylko dochodzi, wyzwala w starym dworze szereg funkcji: stara Kazimierzowa rzuca befsztyki na patelnię, lokaj Karol zjawia się z uroczystą miną w sieni (po modnemu : hall), babka pospiesznie stara się dokończyć kabałę (po koroniarsku : pasjans), dziewczęta służebne z niesamowitym piskiem lecą do pokoju panienek z wieścią, że goście jadą, rezydentka, panna Agata, każe nastawiać samowar, wuj Sewerutek krząta się koło szkła, żeby zaraz powitać pierwszym kieliszkiem „z drogi”, a Melaś (onże King w stanie zaczątkowym) — hadko gadać — wiadomo, przygotowuje jakiś dysonans rodzinny: strzelanie z procy w zajezgłe lodem jestestwo wyłabudujące się z szopów, nadeptanie na sąsiadkowy robron, wierzgnięcie sąsiadczątką, szczyp siarczysty w pośladek kuzynce-bakfiszowi, której właśnie przyjezdna znakomitość wyraża zdumienie, że tak podrosła (niby jak miała podrość?), i który to bakfisz czai się właśnie do wykonania wyuczonego dygu, aż z nagłą zawrzaśnie.

Obszczekane prawidłowo przez Sargasa janczary zamilkły przed gankiem.

Posłyszało się gramolenie ciotko-mamowe. King narzucił szlafrok i wszedłszy do sieni ujrzał Mamę wnoszącą na rękach rozbeczaną Tili.

— Co się stało? — szybko całuje schnącą i śmiejącą się buzię.

— Przemarzły — mówi Mama, podczas kiedy służebne wytrząchują dwa ciepłe kumpeluszki z opatuleń.

Dopieroż wieczorem, kiedy nagadawszy się poszły spać, Mama opowiada, jak dzieci naparły się jechać do Kowna.

— Nie chciałam ich wziąć, ale łąziły za mną cały wieczór. Wtedy powiedziałam, że pojedą na własną odpowiedzialność, to znaczy nie można będzie „piścić”.

— Wyjeżdżały przed świtem i w mróz bardzo dzielnie — wtrąca Reginowa. — Krysia wybiegła z lichtarnią w ten mróz i pomagała zakładać (po koroniarsku: zaprzęgać) konie.

— No cóż — mówi Mama — w Kownie jest tylko Perkowski (cukiernia). Jadłyśmy ciastka rano, jadłyśmy ciastka w południe, jadłyśmy ciastka pod wieczór, a Renia wojowała z kobiałkami i biegała po mieście. Kiedy już za szara siadały do sań, widziałam, że miny nietęgą. Przypomniałam ostro umowę.

— W drodze na obu górach trzeba było wysiadać — mówi Reginowa — zakładać łańcuchy, dął wiatr przenikający do szpiku. Dzieci już, już mają zapłakać, ale co spojrzą na Zośkę, to się opanowują. Ależ ty, Zosiu, jak skała...

— Bo nie można w takich wypadkach. Dzieci osunęły się w dół, pod fartuch. Co zajrzemy w to miejsce nieszczęścia, to widzimy nastawione podkówki. „Czy była umowa?” — pytam srogo. I zaraz się rozsadzają. Czuję, że to już nie dzieci, a dwa zmarzłe kamuszki, całe zebrane w sobie, żeby nie ryknąć. Dopiero jak przyjechałyśmy, wzięłam Tili na ręce. Oceniała, że umowa dotrzymana, i jak nie ryknie! Stąd miałaś takie powitanie.

Nazajutrz dopiero wyjawia się dzieciom cios, który King przywiózł: trzeba wracać do Warszawy. Mali skazańcy idą po głębokim śniegu z Tatą i Mamą i patrzą na Królestwa Jasności, które im się zaraz zamkną. Opisują wraz z Sargasem łuki po obejściu, aż wreszcie wynurzają się z obory z krzykiem:

— Mamo, Pojata ma dzieciątko... Ale coś jej wisi; czy skaleczona? Co robić?

W oborze leży Pojata z łożyskiem jeszcze nie oddzielonym. Skierdż (po koroniarsku: pastuch), który już zdążył dobiec, postawił na chwiejne nóżki małe wilgotne cielątko.

— Mamo, Mamo, skąd się wzięło cielątko?

— Ono było w swojej mamusi — mówi Matka.

— W mamusi; ojej, w mamusi — są przejęte — a kędy ono wyszło z mamusi?

Matka coś tłumaczy, ale King rozumie, że cała w sobie się sprężyła na nieuniknione następne pytanie. Istotnie, po wyjściu z obory, Krysia, pyton nienasycony, brnąc pobok wydeptanej ścieżki, zapadając się i trzymając Matkę za płaszcz rączką w rękawiczce o jednym palcu, uwiązanej do kołnierza na sznurku, pyta:

— A dzieci jak się rodzą, Mamusiu?

Matce jest specjalnie przykro odpowiadać na to teraz właśnie, kiedy dzieci widziały to łożysko, poznały proces rodzenia w całej jego surowej, zapewne aż brutalnej dla dziecinnych pojęć postaci. King idzie cicho, w takich chwilach się nie wtrąca — niech tam Matka sobie radzi, lepiej to zrobi.

— Tak samo, Krysiuniu — mówi Matka.

Mała figurka staje w śniegu, rozstawia rączki w białych jednopalcowych rękawiczkach.

— Czy są w swojej mamusi?

— Tak, Krysiuniu.

Białe rękawiczki składają się gestem, jakim łapiny są nauczone składać się na „Amen”.

— Och, jak prześlicznie!

Rodzice są zaskoczeni reakcją: jak to dziecko, pominąwszy fizjologię aktu, wniknęło w najgłębszą treść macierzyństwa.

Reginowa, mająca ukończoną biologię, opowiadała dziewczynkom, że kręgowce miały kiedyś trzecie oko, którego ślady znać jeszcze u jaszczurki, zwanej *Hatteria punctata*, a u człowieka w postaci szyszynki (*glandula pinealis*). Krysia plasnęła w rączki.

— Ciociu, jak to było ślicznie, ludzie ciągle w niebo patrzyli.

Ciekawie było patrzeć, jak swoistymi kanałami stwarzał się w niej światopogląd — przez piękno.

A więc naprawdę z tego piękna, z tych Królestw Jasności trzeba wyjeżdżać? I to natychmiast? Tylko mały Sancho Pansa — „zgodulek” przysiadł z rezygnacją nad swoją walizeczką i układa ciapcie, zrośnięty orzech, szyszkę zrobioną na dziada, glinianego kogucika z odpustu, któremu się piszczy w ogon, wiersz o panu Ludwiku, którego od „pscołów” chowała pani Ludwikowa, różowy kamyczek znaleziony w potoku. Krysia za to i Reginowa robią się podwójnie narwane i nieznośne. King się natychmiast od nich zaraża i krąży, szukając, kogo by pożarł. Mamine słodziutkie ciało astralne szarpia na strzępy te ostre fluktua Wańkowiczowskie i pod wieczór i ona leży zmożona, jako podcięta biała lelija na spakowanych kufrach.

Wieczorem wreszcie bomba pęka. Szalejąca i niemożliwa Krysia, pragnąc jeszcze i jeszcze się nabyć we wszystkich Królestwach Jasności, stłukła, pętając się po oborze, butelkę z jakimś cudownym lekarstwem dla ukochanego buhaja Reginowej aż zza Wędziagoły. Siedzi teraz ze zmiażdżonym duchem na spakowanej walizie, daje się okadzać dydaktycznym smrodkiem mamowym.

W pewnej chwili słychać dramatyczne „ha!” — Reginowa nadciąga wielkimi krokami. Przezorny Sancho Pansa śmiga za największy kufer.

— Przecież ciotka Renia jest dobra — gorszy się dydaktyczny smrodek.

— Dobła, ale taka duża... płódko leci jak zła, nie zauważy, potłąci... — tłumaczy Chłopek-Roztropek.

Krysia natomiast zastygła na swojej walizce jak posąg boleści.

— Ha! — Reginowa już dotoczyła się do pokoju — buhaj zdechnie... Lekarstwo ktoś rozbił... Może koty...

Z walizki idzie ciężki wzdech i dramatyczne wyznanie :

— To ja, ciociu...

W wyznaniu jest tyle winy, tyle skruchy i tyle żalości o ukochanego buhaja, w przyznaniu się, po dniu pełnym przestępstw i bur, do tak straszliwej rzeczy, tyle dziecinnego bohaterstwa, że Reginowa, która powinna wybuchnąć czymś jeszcze stokroć dotkliwszym niż zwykła antyfona do rozumniejszego Sargasa — nieoczekiwanie roześmiała się.

Przesilenie buhajowe zostało zażegnane i już natychmiast okazało się, że na dzień jego leży przesilenie wyjazdowe. Połączone ciotka i siostrzenica, podczas kolacji, która miała być w Jodańcach ostatnią, zasypały „łodziców” gradem argumentów. Że Krysi trzeba jeszcze tych kilku miesięcy wsi. Że przecież w środku roku niewielki sens oddawać do szkoły. Że ciotka Regina podejmuje się należytej edukacji, że weźmie nauczycielkę, że ma już taką napiętą, że Krysia nic nie straci, że zresztą lepiej, jeśli będą szły przez szkoły w tym samym roczniku, że Tili podpędzić, a Krysię wstrzymać, to jest właśnie szczyt mądrości.

W rezultacie tylko Chłopek-Roztropek, którego miano w Warszawie „podpędzać”, wywędrował ze swoim orzechem, swoim dziadem-szyszem i babą-szyszą, i swymi ciapciami. Patrzył dość markotno na żegnającą nas Krysię, Krysię w kozuchu i „walonkach” (butach pilśniowych) uzdajanych na wsi.

Życie siostr po raz pierwszy miało potoczyć się oddzielnymi torami. Maleńtas, zostawszy za jedynaczkę, wyszantażowywał, jak mógł, boleść serca z powodu zabrania do Warszawy. Wymógł sobie codzienne czytanie do łóżeczka. Duch kozaczy, nie podsycany przez emulację

z Krysią, ustąpił na rzecz cieszenia się girlandkami kwiatów haftowanych na jedwabnych sukienkach.

— Cóż chcesz — reflektuje Mama pomrukującego Kinga — kobietka! Cóż ty myślisz, że wiecznie będą miały poobtłukiwane kolana i piegi na nosie?

— Siedem lat... — słabo protestuje King. Bo przecież od samej kolebki prawie widzi, że to kobietki, w dodatku używające względem niego z powodzeniem kobiecych szarmów.

— Siedem lat — mówi Mama — to nie to, co u „waszych” głupich chłopaków. Pamiętam dobrze, że jak miałam pięć lat, sprawiono mi prześliczną błękitną sukienkę. Pobiegłam do ukochanej świni, którą hodowałam od prosiaka, rozstawiłam fałdy, obracałam się: „Patrzaj, Świnia, jaką mam sukienkę”.

— Właśnie po to, żeby prezentować jakiemuś świntuchowi swoją kobiecość: bardzo symbolicznie — jadowici King, ale wewnątrz jest zadowolony i znów przypomina chłopczyńskie zachłyśnięcia, kiedy w hodowanej na oknie fasoli wyrastał nowy nieoczekiwany pęd.

Tymczasem wieści od tej drugiej fasoli były raczej niepokojące. Obiecana przez Reginową nauczycielka, poczciwa wdowa po geometrze, pani Giedgowdowa, uzyskała engagement nie tyle dzięki talentom pedagogicznym, ile umiejętności hodowania pomidorów, w których Reginową z kolei upatrywała zbawienie Jodańc, a King — ścięcie nowych dębuszków.

Na gruncie uprawianym przez panią Giedgowdową pleniły się zapewne pomidory, ale ani rusz nie chciały rosnąć odmiany kaligrafii i ortografii: gryzmoły otrzymywane przez Mamę stawały się coraz bardziej niepokojące. Wobec czego, po trzech miesiącach pomidorzenia, ruszyła po córkę mamowa ekspedycja.

Reginowa miała przerzucić deportowaną przez rzeczkę — na której ongiś King się załamał — do punktu nadgranicznego w Prusach Wschodnich, gdzie już oczekiwała Matka. Przerzutu miał dokonać pan Odyniec, poczciwy Litwino-Polak, mający jakieś biuro transportowe w niemieckich Ejdkunach i pośredniczący w wysyłce korespondencji między Reginową a nami, za co przez lata miał ciągle obiecywaną i nigdy nie dawaną szynkę, od której niezmiennie zaczynał się każdy list.

„Szanowna pani — pisał do Reginowej — w pierwszych słowach mojego listu donoszą pani, co jestem żyw i zdrow, czego i pani życzę, a ta szynka, co pani obiecawszy, to jeszcze nie dostałem, a dzieciuka przez most sucho nogo przeprowadzo.”

Kiedy wreszcie tego dzieciuka przeprowadził, Matka zdumiała się, ile z dzieckiem mogą zrobić trzy miesiące rozłąki.

Powrócona Krysia stąpała w najbardziej królewskich szatach, jakie zemocjonowana spółka pomidorowa zdołała w Kownie sprokurować: miała sukienkę z fiołkowego aksamitu z bufkami, z kremowym kołnierzem z bardzo ładnej ręcznej koronki. Na to był wdziany nie wyprawiony kozuch z jodańskich owiec i oneż nieśmiertelne walonki. Rzekłbyś, w tej dziewczynce znalazł miejsce symbol życia ziemiańskiego po reformie rolnej.

Użalona Matka wzięła Krysię w Królewcu do hotelu. Zaprowadziła marnotrawną córkę do łazienki, odkręciła kran.

— Mama, cuo ruobisz! — zaśpiewała straszliwie z kowieńska przeciągając Krysia. — Podłoga zgnił.

Wystarczyło pół roku w Jodańcach, by zapomniała o kanalizacji.

Domeczek

I wtedy, po przyjeździe z Jodańc, oczekiwał dzieci bohater tej książki — dom własny.

Począł się także z tych dębuszków, którymi Jodańce zatykały klęski pożulikowe, popomidorowe, padłe buhaje i nieudane antreprzyzy.

Z tradycji wielkich transakcji leśnych, kiedy to Cześ, brat najstarszy, jednym cięciem sprzedał lasu za półtora tysiąca rubli, a nierzadkie były transakcje milionowe, z tradycji leśnych Rzeczypospolitej spławiającej potasze, pieńkę, wańczos do Gdańska, z fortun rosnących na lesie, blasku wielkich rajdów do Monte Carlo tysiącami wyciętych hektarów — jak drobny najostatniejszy strumyczek, jak ostatnie błogosławieństwo lasów był ten ciurkot dolarów wyłubudanych przez Reginową za dębuszki — na domek, własny domek panien z Żoliborza.

Reginową, sprzedając niemal na sztuki to, co ongi szło na hektary, godnie trzymała się rytuału targów.

Jakże szaro jest żyć w tym zimnym świecie, który nie zna targu!... Facet jedzie z Londynu do Kanady, to każe sollicitorowi wymienić się na domy z sollicitem jakiegoś tam jadącego z Kanady do Londynu. Giełdy wynotują, tabele obliczą, banki procenty przypiszą, cała maszyna wszystko robi za ciebie, człowieku. Cokolwiek produkujesz, przyjadą, zabiorą, nie zapytają, gdzieś zaliczą, gdzieś odliczą, gdzie trzeba uznają, gdzie nie trzeba, obciążą, zasaldują, zbilansują, nadeślą wykazy.

Nie tak to illo tempore bywało za babki nieboszczki! Miała staruszka las i pojęcia nie miała, co jest wart. Dopieroż hewry kupieckie, dopieroż chody i podchody.

Wszyscy tak sprzedawali. Stryj Piotr Wańkowicz ze Ślepianki, teść brata, właściciel kilkudziesięciu tysięcy hektarów lasu, miał zwyczaj rozsadzać naraz czterech kupców leśnych w czterech różnych miejscach, to znaczy w przedpokoju, gabinecie, salonie i korytarzyku prowadzącym do kuchni; wylot centralny do tych miejsc był ze stołowego pokoju, który okupował stryjaszek.

Stryjaszek swoje gestapowskie praktyki poczynął koło dziewiątej rano, dręcząc kolejno zamurowanych Żydów i przekonując, że muszą dać więcej. Biegał tak do pierwszej godziny, otwierając kolejno drzwi na przedpokój, gabinet, salon, korytarzyk, wsadzając głowę i pytając:

— A ile ty dajesz?

Wreszcie koło pierwszej babunia Zygmuntowa Wańkowiczowa wzywała go na obiad.

— Piotrze, a może twoim kupcom posłać herbaty?...

— Broń Boże — aż zachłysnął się zupą. — Odchwyć się!...

Gdzie tam było dwom kobietom w Jodańcach w roku Pańskim 1927 do tego wszystkiego?! A przecież obrządek trwał. Bogaci kupcy na Wielkanoc przysyłali tort i wino, mali pośrednicy — tylko mace, które można było spokojnie jeść, bo te dla gojów były robione bez dodawania krwi chrześcijańskiej; Reginowa latała z rozwiązaną koafiurą i zaklinała się, że jej prędejsze włosy na dłoni wyrosną, że prędejsze Niewiaza popłynie od Niemna do Poniewieża; kupiec zaklinał się, że grubo na transakcji straci; Mama robiła salon i wypytywała kupca o żonę i dzieci, aby go obłaskawić; kupiec cmokał z zachwytem na mamowe dzieci, żeby Mamę pozyskać; mamowe dzieci opychały się macami; ksiądz proboszcz przywoził nagłą wiadomość, że w Jurborgu cena za las skoczyła; Mowsza z Bobt, kupujący krowy, przychodził z hiobową wieścią z pierwszego źródła, że za tydzień Niemcy zamkną granicę dla spławu, że trzeba natychmiast las sprzedać, póki kupiec leśny jeszcze o tym nie wie; Tata

zjawiał się z Warszawy jako czynnik męski i prowadził z kupcami rozmowy niby w tym tonie, że doskonale wie, co jest na drzewnej giełdzie londyńskiej, a był ciemniak jak tabaka w rogu, o czym kupiec dobrze wiedział; pani Giedgowdzinie przyśniła się nawet nieboszczka babka Szwoynicka udzielająca cennych rad na temat sprzedaży lasu; „szafarze”, to znaczy oceniacze z ramienia kupca, za każdym powrotem z lasu coraz beznadziejniej rozkładali ręce. Wojna nerwów trwała do pierwszych mrozów, po czym zaraz Reginowa i kupiec podpisywali kontrakt, klnąc się u rejenta, że padają ofiarą okoliczności i że tylko wrodzona szlachetność nie pozwala im wycofać się z danego słowa.

Jeszcze kupiec musiał zapłacić „za plac” i wiosną wielkie dorodne bale toczyły się z brzegu, spadały z pluskiem w wodę, były wiązane wiciną. Teraz, mozoląc się nad odnawianiem starego mebla w Londynie, może kaleczyć sobie palce o sęk jodańskiego dębu, zdzierając narosłe bejce i politory, i nic nie możemy sobie powiedzieć, jak on tam szumiał i jak nas potem poniosło...

At! — mój Boże...

Teraz z tych pieniędzy uszczkniętych z przegospodarzania jodańskiego miał stanąć dom; na nowym szlaku życia, na początek nowych spraw. King kręcił głową i nie wiedział, jak się zabrać do tego. Dom stawiać — nie szlachecka to była rzecz. Może raczej magnacka. Zwykle utracjuszowska. Czasem — dorobkiewiczowska.

Zwykły porządny dom szlachecki trwał bez wymiaru czasu zakreślonym sobie trwaniem od Boga, po czym płonął. Wówczas dziedzice przenosili się do oficynki, do ekonomskiego domku, rozradzali się, każde pokolenie dobudowywało skrzydło. Dom kalużański miał już formę litery W, dom jodański był jeszcze właśnie embrionem załączającym z ekonomskiego domeczku i począłby się rozrastać, gdyby nie te cholerne Litwiny.

A jakież miał być dom stawiany od nowa? Tata drapał się w głowę, nie miał żadnego podpowiedzenia do tej sprawy. To tak, jakby zapytać ślimaka, jaką mu zaprojektować muszlę? Wiadomo, muszla sama z ciała narasta.

Architekt Tołłoczko, który projektował dom, z dumą pokazywał rozwiązanie ogródka w swojej willi. King patrzył na po aptekarsku odmierzane koła i trójkąty ziemi ujęte w ramy cementu, grządki dobierane kolorami, mustrujące się jak wojsko na carskim smotrze i „nie wiedział sam, czego chce”.

Jakże bo wytłumaczyć architektowi, żeby projektował szklarnię z paru nadbitymi szybkami, drzewo od razu stuletnie, kanapę z wysiedzianymi poduszkami, dach z łatką, zaśniedziony basen, płot opelzły, przerosły zapachami tłoczących się zielsk, kłamki wyślizgane od dotyku rąk pokoleń, klucze do szaf o zgliwiałych bródkach, deskę jedną w podłodze, która przy nastąpieniu skrzypu?

Dom miał stanąć na pustkowiu szczerym, na dalszym Żoliborzu, gdzie nie dochodziły jeszcze linie tramwajowe, i żadna kucharka nie chciała się godzić z braku sklepów i kościoła. Z jednej strony widać było burą Wisłę, ku której szły pustacie. z drugiej przewiew majdanu, na którym miał stanąć park im. S. Żeromskiego, z trzeciej — przmy cegły, z której poczynano stawiać „szklane domy” pepesowskiej kooperatywy, z czwartej wreszcie — beczułki wapna tam, kędy załęgła się owa dziennikarska kooperatywa.

Szmyrgaliśmy z Dudami po owych wszelakich przyszłych ulicach, przyszłych domach, pośród wozów zwożących materiały budowlane, pośród ludzi przyjeżdżających doglądać wyciągania ścian, i King cieszył się, że życie dzieci będzie splecione ze wzrostem nowej części miasta, że przez lata całe będą co dzień mogły przybiegać z niezmiernie ważnymi wiadomościami o puszczaniu nowego tramwaju, założeniu nowego trawnika, dźwignięciu nowego bloku, inauguracji klubu, powstaniu cukierni.

— Tata, a jak się ta ulica nazywa?

— Karpińskiego.

— A ta?

— Krasińskiego.
 — A tamta?
 — Dygasińskiego.
 — Aha, a widzisz, a ciebie nie ma. E-he-he! Nie ma twojej ulicy... E-he-he!...
 Pędraki usiłują tak samo wykpiwać się z Taty jak on z nich, ale zwykle się nie udaje.
 — Bo to wszystko są za małe ulice dla mnie. Gdzie by śmieli! To dobre dla jakiegoś Krasińskiego.
 — To tak samo mówił ten lis o winogronach, co mademoiselle czytała.
 — A właśnie nie tak samo, bo już jest ulica Melchiora Wańkowicza, tylko to właściwie nie ulica, a cała aleja.
 — E-he! — nie daje się wykiwać młode towarzystwo.
 Tata wobec tego wysforowuje się do mijającego przechodnia i grzecznie uchylając kapelusza pyta:
 — Przepraszam, gdzie jest ulica Melchiora Wańkowicza?
 — Zaraz... — zastanawia się pytany — zdaje się... hm... wie pan, nie mogę tak od razu odpowiedzieć.
 Dudy są nieco zbite z pantałyku. Zwłaszcza że żaden z następnych przechodni nie parskła śmiechem, tylko każdy głowi się całkiem serio. Wreszcie jeden wycieczkowicz z Warszawy, bardzo zadowolony z siebie warszawski pan z lekko zakręconym wąsikiem, szacownym brzuszkiem i zabójczą muszką u kołnierzyka, okrągłym gestem pokazał:
 — Pan-sza pójdzie dwie ulice wprost, a potem trzy na lewo i trzecia przecznica to właśnie ta ulica, o którą chodzi.
 Dudy są zmiażdżone.
 — A ulica Tili Sancho Pansa? — pyta King.
 — Nie wiem — naburmuszą się jegomość; poczyną podejrzewać, że się z niego nabijają.
 — E-he-he!... — wetuje sobie King — „wciałe”... „wciałe” nie wie, gdzie twoja ulica.
 Kiedy po wojnie nazwano główną ulicę w Ostródzie jego imieniem, King napisał do Tirliporka w Ameryce:
 — „E-he-he!... Dzidziuś!... A ja mam już swoją ulicę”.
 Czy inni członkowie kooperatywy mieli te same co King kłopoty z projektowaniem domu, trudno powiedzieć. Był tam Wacław Grubiński, Zdzisław Kleszczyński, Witold Giełżyński, redaktor „Gazety Warszawskiej” Hłasko, Bertold Merwin, Goryńscy, Zachariasiewicz, dziennikarze: Olszewski, Majewski, Markowski. Jedno ich łączyło — nieokiełznany polski indywidualizm: ów chciał mieć w tyle domu okrągłe okno, takie jak w kajucie okrętowej, inny zimowy salon, jeszcze inny akwarium wbudowane w ścianę, ale wszystko to na idący w wiele dziesiątków lat kredyt w Banku Gospodarstwa Krajowego.
 Kiedy się mieszka w rządku domów wyszłych z jednej foremki, kiedy się pomyśli, że w każdym domku każdego z pięćdziesięciu Radomiów, czterdziestu Kielc i trzydziestu Kaliszów, które razem stanowią wielki Londyn — scullery jest na jednym i tym samym miejscu, człowiek uśmiecha się do sobiepańskich wyskoków na Żoliborzu.
 King poczuł się też nie od macochy i skoro już miał stawiać dom, to wedle najlepszych wzorów starodawnego widzimisię. Był pono taki jeden szlachciura, któremu darowano stolik Ludwika XV. Brat-łata dokupił do niego cały komplet mebli w tym stylu, do kompletu dorobił salon, do salonu cały dwór, do dworu park, do parku i do dworu dopasował tryb życia i wyleciał z ojcowizny przez ten nieszczęsny stolik.
 Dom wreszcie wypadł tak, że miał cztery poziomy: wysoka suterena — dwa służbowe, kuchnia, pralnia, warzywnia, spiżarnia, kotłownia, łazienka i ubikacja.
 Parter — salon, biblioteka, jadalnia, hall.
 Pierwsze piętro — sypialny Mamy, sypialny Kinga, gabinet Kinga, hall, łazienka, ubikacja.

Drugie piętro — pokój dzieci, pokój gościnny, hall.

Dlatego tak wyszczególniam, że w dalszym opowiadaniu dom będzie żył razem z nami. Na każdym piętrze była woda zimna i gorąca, z kuchni szła winda kuchenna przez cztery poziomy: do jadalnego, Mamy pokoju i pokoju dzieci. Wszystkie pokoje były centralnie ogrzewane i połączone telefonami. Na skutek tego wszystkie cztery poziomy mogły żyć swoim życiem oddzielnym: służby, gości, rodziców, dzieci. Drzewo w drzwiach było dobierane w pióro, jadalny i biblioteka miały wymyślne boazerie, dywany i portiere były stonowane, poszczególne pokoje planowali poszczególni artyści, było wiele kominków, szaf w ścianach, niektóre pokoje były wyłożone korkiem, szyby w dzieciennym pokoju były ze szkła przepuszczającego promienie ultrafioletowe, a światło elektryczne było wkomponowane w ściany i w sufity już przy budowie domu.

Kiedy Tol przyjeżdżał z Jerki, bracia szwendali się wśród majstrów, z lubością wdychając zapach wiórów i politory. Przed pierwszą wojną Mel pomagał Tolowi przebudowywać dwór w Kalużycach. Każda drzazga czarnego dębu z posadzki, każdy różnobarwny kafelek wbudowany w kominek, każda rozeta do kasetonu ważone były nabożnie w rękę. Tak pewnie mistrzowie w Cremonie ważyli w rękę płone łuczki filigranowej lipiny, głupie strużyny bez wyrazu, we wzruszonym poczuciu, jak potomkowie nasycą to naiwne drzewo pełnią dźwięku.

Dom naszego pokolenia skończył się.

A dom stawiany temu pokoleniu? Czy jego głuche ściany nagra życie dzieci i dzieci ich dzieci?

Dudy — przyszli rodzice — brały żywy udział w budowie domu. Rodzice starali się wyobrazić sobie, jak też doczekawszy się w tym domu wnuków, będą sobie wspominali te rozważania, czy ma być okno tu, czy gdzie indziej, i kiedy tak zabawnie będzie myśleć, jakże to w ogóle gdzie indziej mogłoby być to okno, niż jest.

Renia Lorentowiczówna projektując bibliotekę i pokój dziecienny zeszła kiedyś od roboty w tym pokoju na obiad, a Dudków nie było i cisza panowała w całym domu. Poszliśmy na górę, gdzie Renia porzuciła robotę — pędzle i farby — i znaleźliśmy dzieci przy ożywionej działalności.

Pokój, mający na przestrzał dwa duże okna, coś jakby dwie ściany szklane, był świetlisty i zaprojektowany przez Lorentowiczównę nieco jakby altana. Po jasnoróżowych ścianach biegły na ukos zielone pasy, jakby pręty altany, i ściana była pokryta w wielkie romby; w środku każdego z nich artystka umieszczała inny rysunek, uroczo prymitywny, mający jako treść tematykę zwierzęcą lub ornament roślinny. Mebelki lakowe, rysowane przez Lorentowiczównę, składały się z trzech kolorów — seledynowego, żółtego i różowego; do tego były dobrane: ceramika, makaty, dywan i nawet obrazy doprojektowane do całości.

Można sobie wyobrazić, ile pracy, starania i zamięłowania wkładała malarka w ten pokój. Toteż trudno się dziwić jej przerażeniu, kiedyśmy z nagłą zaszli Dudy z zapałem malujące w jednym z rombów jakąś okropnie zieloną kapustę.

Dzieciennych architektów korciło, że dom z trzech stron opłynięty ogrodem, jednym bokiem jest przylepiony do dużego bloku dziennikarskiej kooperatywy.

— Albo go odlepcie, albo odcepcie, albo odklejcie, albo oderwijcie, albo odłACCie, albo odetnijcie, albo odedzycie, albo odłAmcie — recytowała Tili, lubiąca się w danej epoce życia popisywać bogactwem synonimów.

Krysia jednak, zasłyszawszy, że zbliża się nowy przyjazd Reginowej „na zawsze” do Warszawy i że rodzice zastanawiają się, czyby nie przebić ściany do dużego bloku i nie dokupić w nim dwóch pokoi dla ciotki, łączących się stopniami przez pokój dziecienny, chwaliła sobie przylepienie do dużego domu, bo „ciotka jest wolnego charakteru i pozwoli nam urządzać indiańskie obozy”.

Przyjechawszy do domu wprost z Jodańc, na tereny puste, często porośnię łopianem, wniosły dzieci obyczaje wiejskie i w ogóle cały domek począł żyć życiem odrębnym, z

nocowaniem gości „z Warszawy”, z obiadami na kilkanaście osób, z łożeniem w najszerzej okolicy w strojach niedbałych.

Pewnego dnia przygodna pani przyprowadziła za rękę Tili biegającą boso i oddała Matce. Przyprowadzona strzygła dropiatym okiem, wiedząc, że Matka pozwala na bieganie boso, ale Mama załamała się moralnie i nie przyznała się do tego sąsiadce.

Boso zdarzyła się wyprawa aż do Krakowa. King odwoził na lotnisko Mamę, która leciała do Wiednia przez Kraków. Dzieci, jak stały — na bosaczka, w ogrodowych sukienkach, skoczyły do auta odprowadzać Mamę. Na lotnisku Tili poczęła prosić, żeby z Mamą polecieć do krakowskiej ciotki. King bronił się, że taka podróż za drogo kosztuje.

— Ale dzieci płacą pół biletu.

— Ale tylko do siedmiu lat, a ty masz już osiem.

— A ja poproszę tego pana, żeby mi dał bilet za połowę ceny.

Tata lubił takie samodzielne wyczyny, więc tylko powiada:

— Ale pamiętaj, że nie można kłamać.

— Wiem — przypomniawszy sobie wiszącą nad łóżkiem „wyściplinę”.

Wróciła triumfująca :

— Tam siedzi taki pan w mundurze i mówi: „Zdaje się pannie, że ma osiem lat; skoro Tata taki skąpy, to polecimy jako siedem lat i za pół biletu” i śmieje się.

Tacie było nie honor nie dotrzymać słowa i bosa panna poleciała do strasznie rigide mopsów ciotkowych. Wróciła ze wstążeczkami krakowskimi z Sukiennic, w bucikach kupionych u „Feniksa”, z ciastkami od Maurizia i słodko bogobojnym listem, w którym ciotki wyrażają obawy na temat wychowania: „Czy aby”.

Wychowanie istotnie znacznie kulało. Młode osoby zanadto emancypowały się na trampów i za daleko szły w zaradności.

Kiedyś Matka rozgniewała się nie na żarty — Krysia zgubiła nowe buciki. Tatę głównie interesowała technika zgubienia bucików, ale Mama — a to „głowę zgubisz niedługo”, a to, że już nie wiadomo co i że je wstyd pokazać, a że Ewa taka grzeczna dziewczynka, a że Magda taka wzorowa, a że brekekeks, a że tra-ta-ta, wiadomo — jak to matki.

Wobec tej burzy mamowej odchodziły długo w kącie jakieś szeptane narady, a na drugi dzień Mama spotkała najgorszego czupidrona z dwudziestu jeden sąsiadek osiedla dziennikarskiego.

Czupidron — woniejący, uplumażowany, utorebkowany, wyparasolniony — podpłynął do Mamy, tonąc w najzyczliwszych uśmiechach:

— Cóż za śliczne róże ma pani i jak tanio!... Jestem zachwycona... Właśnie kupiłam te Niele... Bardzo słusznie państwo otrzymali dyplom za ogródek... No i wreszcie przestaniemy być narażeni na wyzysk kwiaciarni... Przecież oni cztery razy drożej biorą. Co prawda — czupidron zmrużył oczy — muszą płacić podatki i pracowników, a tak córeczki... wolnym czasem...

— Co pani mówi? — nic nie rozumie Mama.

— Jak to, co mówię? Przecież pani córeczki sprzedają te róże teraz na placu Wilsona.

Mama pędzi — istotnie — stoją pod ścianą, trzymając resztki róż w koszyczku i sprzedają.

Gwałt, rozpacz, ale dzieci nie bardzo poczuwają się do skruchy: Mama gniewała się o te zgubione buty, więc chciały na nie zarobić i odkupić.

Tego już zanadto... „Cały Żoliborz będzie wiedział!...” Istotnie — Żoliborz wiedział wszystko natychmiast. Żyło się jak w małym miasteczku. King czuł się powszechnie szanowanym obywatelem, nawet pies Kinga obchodził co dzień rzeźników i zbierał kwotę. No, ale to pies, a tu szlachetnie urodzone dziewczice różami handlują!

Niebawem na dom spadała większa hańba.

Pan Płatek, właściciel kwiaciarni tudzież sklepu ze słodyczami, sprzedając kiedyś Mamie jakiś fiołek alpejski, zapytał słodziutko, czy ma go zapisać na konto Pani Dobrodziejki.

Dobrodziejka protestowała, że żadnego konta nie ma, na co pan Płatek zaprodukował jej długi wyciąg na jedenaście złotych z groszami, składający się z pozycji dosyć monotonicznie się powtarzających: „krówki” (znakomite ciągutki) — 40 groszy, chałwa — 30 groszy, „rakowe szyjki” — 40 groszy i znów „krówki”, i znów chałwa, i tak — pęc! jedenaście złotych z groszami z portmonetki Pani Dobrodziejki za to, co panienki sobie u pana Płatka najadły.

Tata stwierdził uroczyście, że za długi potomstwa nie odpowiada, że tak ogłosi w gazetach, a pan Płatek będzie mógł właściwych dłużników zaskarżyć i sąd wobec ich niewypłacalności przysądzi karę więzienia.

Dłużnicy jednak po pierwsze nie wierzyli za złamany grosz groźbom Taty, po drugie tyle od niego nasłuchali się wesołych kawałów z czasów siadywania Taty, że uważaliby sobie więzienie za świetną przygodę. Wobec czego została ustanowiona pensja pięć złotych miesięcznie na każdą, aby mogły być odpowiedzialne finansowo.

I znowu życie popłynęło zgodnie, urozmaicone igrzyskami inicjowanymi przez Kinga w ogrodzie. Siedmio i ośmioletni gladiatorzy walczyli w specjalnie wynalezionych zapasach, w których trzeba było schwytać przeciwnika za nos. King, zasiadający na tarasie na trybunie sędziowskiej, podniecał zapaśników okrutnym okrzykiem: „Za nos!” Mama truchlała na te wyczyny, a najgorzej, jeśli zdarzyła się wizyta z jakimś grzecznym maminym synkiem. King wydawał bojowy okrzyk: „Za nos!”, mamin synek, zaskoczony, poczynął beczeć, Mama nie wiedziała, jak przeproszać, goście skracali, wizytę, jednym słowem bywała zabawa na cały regulator.

Mama uważała za winowajcę tego wszystkiego Bogu ducha winnego Kinga.

— Patrz, co oni porobili! — doprowadzała go na miejsce przestępstwa; piękne drzwi jesionowe, układane w pióro, były pocętkowane. To młodsza generacja uprawiała się w rzucaniu kindżałów do celu. King zaklinał się, że to ich własny pomysł, ale nieubłagana Mama prowadziła go do ławki w ogrodzie posiekanej przez strzały z floweru, i tu już nic nie mógł mówić, bo sam zorganizował te zawody strzeleckie.

Wobec tego King obiecał przyjść Mamie z pomocą. Na pierwszym planie stała sprawa ładnego zachowania się przy stole. Przy tym stole wyczyniały się dziwne jeszcze w Jodańcach pod patronatem Reginowej. Na prima aprilis stary sąsiad ze szlachty okolicznej połknął pięć wielkich pierogów nadziewanych trocinami, suto okraszonych, nim ogólny śmiech ostrzegł go przed rozgryzieniem szóstego. Niegodne Dudy, wyśmiewające się ze starego jak biblijne dzieci z Eliasza, nie zostały wprowadzić pożarte przez niedźwiedzie, ale wtłoczyły do gębulek po pełnej łyżce apetycznego kremu czekoladowego, który podstępna Reginowa zrobiła z mydła.

Było to wbrew wszelkim pojęciom mamowym o stole, jako miejscu osobliwego nabożeństwa, przeznaczonym nie tyle do jedzenia, ile aby stały na nim piękne kwiaty, kryształ, koronki i aby pięknie ubrane anioły ludzkie wiodły różane „ti-ti-ti” (słowo Dudów na wyrażenie pojęcia *precieuse ridicule*) rozmowy i odpływały z pustymi brzuskami i powabnymi uśmiechami na czarną kawę.

A tu King, brat Reginowej, burzył to sanktuarium ulepszonymi, miejskimi środkami, których mu dostarczał sklep czarodziejski z przyborami magicznymi na Chmielnej.

Stamtąd pochodził pięknie wyimaginowany karaluch, którego się gościom wpuszczało do zupy, stamtąd pochodziła wielce przemyślna dwumetrowej długości wąska rurka z pompką z jednej strony i plackiem gumowym o podwójnej ścianie — z drugiej. Tę gumkę dobrze było zwłaszcza stosować wobec prowincjuszów. Kieliszek stawiało się na tym placku ukrytym pod obrusem, drugi koniec z pompką był we władaniu Kinga. Kiedy przychodziło czerwone wino, King naciskał pompkę, placek się rozdymał i szlagon sumitował się nieskończenie za splamiony obrus. Mama, która nie była dopuszczona do spisku, rozjaśniała się anielskimi

uśmiechami, nakrywając płamę serwetą, King ustawiał kieliszek rytmicznie na tym samym miejscu, wracał na swoje krzesło, wzywał do picia, gość sięgał po kieliszek i... kieliszek znowu się wylewał. Dudy prychały śmiechem, Mama poczyniała kombinować, że coś jest nie w porządku.

Kiedy dziecińcy poczęły podraść, a potrawy mimo to były często podpychane „palciem”, w Kingu obudziło się sumienie. Przy najbliższej wizycie koleżanki Dudów, Ewuni Matuszewskiej, King zorganizował swoisty pięciobój, w którym, rzecz prosta, był championat zapasów „za nos”, najbardziej elegancko odtąńczony tan rodowy „terebenten” i... wzorowe zachowanie się przy stole. King prowadził sumienną punktację i za poszczególne emulacje udzielał nagród w postaci orderów kotylionowych. Za najwybitniejszy zespół punktów jedzeniowych była generalna nagroda — płaszcz ze złotego papieru w srebrne gwiazdy i korona.

Tili w zastraszający sposób zbierała punkty — za położenie serwetki na kolanach, sposób brania chleba, sposób jedzenia ryby, trzymanie łokci, uprzejmość dla sąsiadów, odkładanie sztućców, nabieranie na talerz, umieszczanie sałatki na małym talerzyku. Tata z pewną przykrością myślał, że nie będzie mógł złotego płaszcza ofiarować gościowi, kiedy nagle zadzwonił telefon. Tata podszedł do telefonu, ale w czasie rozmowy zerknął zza drzwi i oniemiał: podano kompot z brzoskwiń i Tili po prostu przechyliła talerzyk i garnęła ogromną brzoskwinę do buzi. „Wciale!” — ryknął King, wychylając się od telefonu; przepadł złoty płaszcz pod nasypianymi winowajcy punktami karnymi.

Wreszcie z problematem estetycznego jedzenia, tak trudnym dla rozhukanych Tatarów, poradziło się w sposób następujący: Tata w jesieni spytał, czy chciałyby na wiosnę mieć wierzchowce i ile by trzeba na to pieniędzy.

Po mozolnych naradach i liczeniach przyszły z drżącą propozycją, że jeśli im pozwoli pojechać z wujem Zdzisławem na targ na Wodyniu, to będą w stanie kupić konie po czterysta złotych.

— Rezerwuję dla was po sześćset złotych na konia, ale od was zależy, czy tą sumą będziecie rozporządzać. Mianowicie ogłaszam cennik grzywien za złe jedzenie przy stole. Potrącać się będzie z tych sześciuset złotych następujące grzywiny:

Przerywanie rozmowy — 50 groszy.

Spóźnienie się na obiad — 1 złoty.

Siorbanie zupy — 1 złoty.

Zaplamienie obrusa — 1 złoty.

Niezałożenie serwetki — 1 złoty.

Odchylanie się na tylnych nogach krzesła — 1 złoty 50 groszy.

Popychanie palcem jedzenia — 2 złote.

Wstanie od stołu, kiedy inni jeszcze nie skończyli — 2 złote.

Oblizywanie palców — 3 złote.

Tegoż dnia wieczorem King zjawił się do stołu ze specjalnym notesem i oznajmił, że posiłek bez żadnego punktu karnego będzie powodował przypisanie do obiecanej sumy — dwu złotych.

Już ten pierwszy posiłek był posiłkiem dantejskim, staraniem syzyfowym, tragedią bez słów. Wypląnęły przestępstwa nie przewidziane cennikiem, które na oczekaniu King taksował i zapisywał. Krysia, dowodząc coś w zapale, poczęła gestykulować nożem.

— Już twój siwek stracił kilka włosów z ogona — orzekł King i zapisał grzywnę jeden złoty.

Tili zapomniała przysunąć matce sos i wpadła na pięćdziesiąt groszy. Był płacz i zgrzytanie zębów. King zarobił na obu dziewczynkach prawie dziesięć złotych i kpił

straszliwie, że na wiosnę nie będą miały dosyć nawet na najmniejszego osiołka. Matka protestowała, że to są sadystyczne metody, sama umierała ze strachu, że King zobaczy jakieś znowu garbienie się; z tym przerywaniem starszym było jakoś okropnie trudno, ale po tygodniu mąk nastąpił fakt, że Tili zarobiła pierwsze dwa złote. Na wiosnę zakupione zostały wcale przyzwoite konie, na jesieni odprzedane z niewielką stratą, ale dziewczynki odtąd zachowywały się przy stole jak te lale.

Niebawem, przy ciągłym narastaniu Żoliborza, powstał Klub Sportowy na Wiśle. Klub stał się drugim domem. Szło się do niego w piżamach, w szortach, w płaszczach kąpielowych. Grało się w tenisa, w siatkówkę, a nade wszystko — pluchało się w wodzie. Tili założyła się z Kingiem o „szczypta z zakręcaniem”, że będzie przez pół godziny pływać. Uczynne panusie poleciały sprowadzić Matkę. Zjawiła się zboląta, stojąca na pomoście, ale sformowane ad hoc jury nie dało jej interweniować. Jak sport, to sport. Zresztą interweniować nie było o co: mała foczka mogła tak baraszkować w wodzie i kilka godzin. Wylazła mokra, prychająca, jeszcze gramoląc się na pomost wołała: „Kładź się!” Jury złożone z tęgich wioślarzy przytrzymało Kinga, położyło czym trzeba do góry i łaskotało w pięty, aby się nie mógł „natwardzić”, to znaczy naprężyć mięśni.

Największą jednak atrakcją był kajak. Srebrzysty, gumowy składak typu „Piast” z wypisaną na dziobie nazwą KUWAKA. Znow muszę zapożyczyć się ze Smętka:

Z tą nazwą mieliśmy dużo kłopotu. Bo każdemu należy ją tłumaczyć, a sprawa jest zawila. „Kuwaka” jest to słowo rodzinne, będące wynikiem superlenistwa tatowego. Zalecam ten wynalazek wszystkim ojcom rodzin.

Pyta żona, jakie wrażenie zrobiła na mnie pewna osoba, a tu taka ciekawa gazeta... Więc odpowiada się:

– Taka... kuwaka...

Intonacją się podbarwi tak, że żona już wie, o co chodzi, a definicji szukać nie trzeba. Krysia, wieczny pyton, pyta, jak się nazywała kometa Halleya („grzyb – co to jest?”). Po co jej tam jakaś przedwojenna kometa? Mówię, że „kuwaka”. Potem już wygodne słówko przyswajają sobie wszyscy i to zubożenie mowy wszystkim wychodzi na zdrowie i „szczędzi nerwy” jak kawka HAG. Okazuje się, że jakieś kuwaki proszą do telefonu, przychodzą z rachunkami, proponują sprzedaż mydełek, że jakaś kuwaka siedzi u kucharki w kuchni, a inna kuwaka piele ogródek. Okazuje się, że toalety widzianych pań, o które zapytuje Mama, były kuwackie, że ten i ów postąpił bardzo po kuwacku, co może być, zależnie od intonacji głosu, pochwałą lub naganą. „Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie”, z czego wynika że język jest najmniej udolnym, fałszującym rzeczywistość środkiem porozumienia. Po cóż więc ten fałsz, tę gruboskórną botokudzką formę porozumienia wprowadzać do rodziny, kiedy uśmiech, spojrzenie i gest powiedzą wszystko?

Więc kiedyśmy sobie sprawili składak, który miał przynieść całą gamę wrażeń nieznanych, złych i dobrych, czyż mogliśmy postąpić inaczej, niż nazwać go słówkiem-wytrychem, słówkiem uniwersalnym? Został „Kuwaką” i nie przyniósł nam nigdy zawodu, bo nosił nazwę na wszystkie okoliczności.

Dzięki tej oto „Kuwace” King zrobił jedno z najkorzystniejszych odkryć w życiu. Odkrył mianowicie „genialnego mężczyznę”. Tyle zawdzięczam moim czytelnikom, że niechże im na schyłku lat przekażę tę doskonałą receptę.

„Genialnego mężczyzny” szuka się, kiedy człek nie chce się sam spracować. Kiedy kajak przedstawia jeszcze zbiór luźnych drewnianych żeberek i jego powłoka leży smętnie rzucona na pomoście klubu albo na brzegu, do którego dojechało się z Warszawy, ze składakami w

workach, należy mówić do „genialnego mężczyzny”, który właśnie skończył montować swój składak :

— Jakże pan to robi zgrabnie i precyzyjnie. Zazdroszczę panu.

Utalentowany szympans podnosi głowę: przynęta miga koło pyszczka ryby, ale jeszcze nie została chwyciona.

— Ja to mam naprawdę antytalent techniczny; widzi pan — na przykład to żeberko w tę pętelkę pan tak jakoś wsunął gładko...

Bardzo pomaga, jeśli się ma kobietę przy sobie. „Genialny mężczyzna” przyskakując do żeberka — pstryk! — gotowe...

Kobieta, która woli, aby „pasożyt” miał czas raczej na nią, podnosi wzrok pełen zachwytu:

— Ach, jaki pan zręczny...

— Ja proszę pani, mogę złożyć cały kajak w ciągu piętnastu minut.

— Nigdy nie uwierzę!...

— Jak Boga kocham, mogę. Proszę tylko spojrzeć na zegarek.

Po kwadransie, opływający potem, prezentuje złożony kajak. Jest rozczarowany, że King podziękował tak krótko, ale bo King już mówi tak, by inny wypoczęty szympans słyszał:

— To nie do wiary — ten pan, sam widziałem, wziął kajak jak piórko na ramię i w ciągu minuty zbiegł z nim ze stromego brzegu do wody.

Mama już też się potem podtrenowała, że natychmiast wyrażała absolutną wątpliwość, aby „nawet silny mężczyzna...” Nim zdążyła skończyć, już nowy szympans jest przy nas, tłucze się w klatkę piersiową i boży się, że on to zaraz pokaże.

Kajakiem pchaliśmy się w górę Wisły, umyślnie nie biorąc motorka, aby się trenować. Mijało się klub za klubem, piło herbatę w którymś z nich, jeśli się jej nie gotowało sobie na jakiejś wydmie, wracało się smolistym wieczorem do domu jaśniejącego oknami, chodziło się bosymi stopami po rośnych trawnikach ogródka, czekając, aż naciągnie aromatyczna herbata.

A w domu poczęły się — zwierzęta.

Tych dwoje znalazło się w Domeczku niemal równocześnie.

On — to było sześciotygodniowe szczenię. Airedale-terrier. Był synem Krzywickiej i wnukiem Grydzewskiego. Pani Irena przysłała go z kokardą czerwoną: śmieszne, ciepłe, kudłate, ruchliwe, życzliwe, usiłujące lizać czerwonym języczkiem, lejące w sposób nieposkromiony stworzenie. Toteż przez czas dzieciństwa nazywał się „wodociągiem”, nim w wieku męskim otrzymał imię Gaweł.

Ona — to było kilkutygodniowe syjamskie kociątko. Koloru cafe au lait z czarnymi pończoszками, ogonkiem (przełamanym rasowo), uszkami i połową mordki, tak jakby próbowała napić się atramentu. Dzieci nazwały ją Malwinką.

Gaweł i Malwinka mieszkali w jednym koszyku, wkrótce jednak szczeniak rosnąć zaczął na kosmatego potwora, pysk mu się zrobił jak kudłaty hak. Z tą swoją durną gębą na próżno usiłował się wtranżać na sen do coraz ciasniejszego dla obu zwierzątek koszyka. Malwinka patrzyła na te zabiegi błękitnymi, okrągłymi jak dwa paciorki oczami, w których widać było drwinę. Górowała nad Gawłem inteligencją, nieposzlakowanymi manierami, subtelną ironią.

Co dzień rano Malwinka robiła obchód domu, zaczynając od pokoju Mamy. Wskakiwała na łóżko, wkładała pyszczek między ucho i ramię i — napyrkocona rozkosznie — szybko lizała w ucho drobnym języczkiem. Po czym spieszyła z tym samym zabiegiem do Kinga i wreszcie do dzieci, nigdy nie zmieniając kolejki.

Podczas kiedy za „wodociągiem” trzeba było porządkować przez pierwsze trzy miesiące jego życia, podczas kiedy, idiota, przez pierwsze pół roku nie umiał się nauczyć podnosić nogi, jak przyzwoity pies robić powinien, Malwinka od pierwszych zaraz dni swego kocięctwa maszerowała do skrzyneczki z piaskiem. Ogrodnik ustawił jako fragment dekoracji

ogródka skrzynkę z roślinami górskimi; Malwinka, wypuszczona na spacer, przemaszerowała demonstracyjnie przez trawnik i zasiadła na skrzyneczce, patrząc z dumą swymi paciorkami, jak to ona umie się zachować.

Za to Gaweł był nieokiełznany „sauvage bidel z las”. To określenie miało kurs obiegowy w rodzinie od tego czasu, kiedy King otrzymał taką adnotację w dzienniku szkolnym od niepewnie władającego polszczyzną nauczyciela francuskiego. Gaweł był nieco jak jego pan: wskoczywszy do ogródka na grządkę świeżo rozkwitłych tulipanów, potrafił w okamgnieniu pozrywać pyskiem wszystkie co do jednego.

Za to, kiedy kot siedział w domu, pies towarzyszył nam wszędzie — do klubu, w kajaku na najdalsze wycieczki, a potem na wielotygodniowe rajdy samochodowe. Wracając do domu, witał się wylewnie z Malwinką: brał jej głowę w pysk i przynosił ją delikatnie Mamie do pokoju na pierwsze piętro.

King wracając z biura przywoził co dzień ze sobą kilo mielonej koniny. Oba zwierzątka punktualnie o pół do czwartej, o godzinie, kiedy samochód Kinga zajeżdżał, .siedziały grzecznie przed drzwiami. Malwinka dostawała swoją łyżkę mięsa na parapecie okiennym, bo inaczej potwór zżerał swoje kilo i połykał jej przydział bez reszty. Malwinka zaś lubiła jadać powoli i wykwinicie.

Gaweł, żyjąc z Malwinką w przykładowej przyjaźni, opanowany był nieprzejednaną nienawiścią do kotów i do krów. Ganiał wytrwale koty po całym obejściu. Gdy jednak przyparł kiedyś jakiegoś kota w kącie między ścianami, stał, ustawivszy się w niego głupią mordą i nie wiedział, co zrobić.

Przypomniało mi to pewnego wszędobylskiego reportera, który wkładał wielkie ilości wysiłku i zapachu, aby dotrzeć do jakiegoś Mussoliniego czy innej głowy państwa, a potem nic z tego ciekawego nie wychodziło.

Do pasących się krów Gaweł wyskakiwał z pędzącego auta, fikał ze trzy kozły, po czym — idiota — widząc oddalający się samochód, nie miał czasu na krowy, tylko gonił całym psim wysiłkiem za znikającym pyłem.

Airedale-terriery powstały podobno ze skrzyżowania buldogów, owczarków i chartów syberyjskich. Nie wiem, po którym z tych przodków odziedziczył ten pies upór bez granic. Kiedyś King jechał ze Słonima do Warszawy, a że Gaweł, siedząc przy Kingu, lubił, ujrawszy krowę, rzucać się do przeciwległego okna poprzez kierownicę i ręce Kinga, umieścił Gawła na tylnym siedzeniu. Pies jednak wlaził na przednie. Szofer, siedzący przy Kingu i nie prowadzący auta, musiał z nim walczyć przez cały czas, wreszcie wziął korbę i tłukł nią, kiedy Gaweł przełaził. Nic nie pomagało. Pies ponawiał swoje próby do samej Warszawy.

Mama, służące, dzieci — nie mogły brać Gawła na spacer. Nie słuchał, nie przychodził do nogi, a wzięty na smycz, ciągnął prowadzącą jak na potężnym żaglu. Kinga słuchał, ale King nie miał czasu z nim chodzić. Gaweł więc wymykał się z domu sam na spacer — wyrobił sobie technikę czajenia się na dzwonek i wypadania przez otwierające się drzwi. A że kagańca nie znosił i szalał, więc groził mu hycel, od którego dwukrotnie trzeba go było wykupywać. Dostawał basy, ale to nic nie pomagało. Mimo basów kochał przede wszystkim Kinga miłością wielką; może za to, że mu zawdzięczał atrakcję włóczęg samochodowych i kajakowych. Gdy King wyjeżdżał, pies był trawiony niepokojem, kiedy wracał, pies go witał furią radości. Poza tym był w wielkiej zgodzie z Martą kucharką. Kiedy Marta wychodziła za mąż — a za mąż wyszło kolejno z Domeczku pięć pokojówek lub kucharek — kiedy w kościele na Żoliborzu uklękła przy ołtarzu z panem młodym, nagle wpadł Gaweł, przeszorował przez cały kościół, wspiał się, nie bacząc na welon ślubny, i polizał pannę młodą po twarzy.

Czasy miłosne przychodziły nie tylko na dwunogich mieszkańców Domeczku, ale i na jego zwierzaki. Pewnego razu subtelna, dobrze wychowana, rozsądna i raczej sceptyczna i

ironiczna Malwinka poczęła wołać głębokim piersiowym basem. Zebraliśmy się nad zwierzątkiem czołgającym się brzuchem po dywanie i wstrząsanym namiętnością, która skręcała drobne, subtelne ciało.

Mama za czasów akademickich w Krakowie, kiedy jej King zaproponował wzięcie dorożki, bo inaczej się spóźni na wykład, uchyliła się od tej bezwstydnej propozycji, pełna zmieszania. Była to więc inna szkoła kochania niż Malwinki i Mama obrzydziała się na bezczelne wyrażanie chuci kobiecej siostry-kotki.

— Pamiętasz, co ci z powodu ciąży powiedziała Krysia?— przypomniiał King. — Teraz jeszcze tego ona nie zrozumie, ale na pewno w swoim czasie powiedziałaaby, patrząc na Malwinkę: „Jakie to śliczne!” — Wziął na ręce mały filigranowy organizm, chef d’oeuvre niebiańskich konstruktorów, rozsadzany przez krzyk żądy.

W rezultacie został sprowadzony wspaniały syjamski kocur z wielką głową, z wąsami jak huzar. Zamknęliśmy państwa młodych w pralni. Pomogło. Malwinka stała się znowu słodka i przymilna. Kiedy jej kształty poczęły się zaokrąglać, nastąpiło większe zbliżenie z Mamą. To fakt, że Malwinka coraz dłużej przebywała w mamowym pokoju, że przeciągnęła się między nimi dodatkowa nitka porozumienia.

Za to durnidło-Gaweł, pozostający w kawalerskim stanie, nic się nie rozumiał na tym wszystkim. W Domeczku każdy, ze służbą włącznie, mógł sprowadzać swoich gości, a więc pies też podejmował od czasu do czasu swoich znajomków niewąską kością. Malwinka mrużyła się na takie wizyty pogardliwie i nie raczyła bawić gości rozmową.

Kiedy jednak porodziły się kocięta, a Gaweł jak zwykle przyprowadził jakiegoś kolegę z ulicy — rozszrocona Malwinka z wielkim prychnieniem wyrzuciła intruza. Potem jakimś im tylko wiadomym porozumieniem zawezwała Gawła z powrotem do legowiska z kociakami. Szedł za nią bardzo niechętnie, tak że aż to zwróciło uwagę Mamy i Wisi, które podeszły zobaczyć, co to się kroi. Malwinka, doprowadziwszy Gawła do legowiska, wspięła się na łapki i wobec całego areopagu kobiet chlasnęła Gawła w pysk. A kiedy stał dumy, nic nie rozumiejący, chlasnęła w hakowatą szurpatą mordę z jednej i z drugiej strony, aż zdecydował, że lepiej wziąć nogi za pas.

Na Gawła jednak również przyszła pora. Wyrósł na pięknego psa, z ogniem, z chodami, pierś miał jak dzwon, brzuch wciągnięty, spojrzenie zaanimowane i zawsze pełne pytania. Mama twierdziła, że ten pies rozumie wszystko i miewała do niego długie przemowy.

Gaweł patrzył na nią żarzącym się wzrokiem, przysiadł, głuchy warkot wyrывał mu się z piersi — tak starał się zrozumieć mówiącego człowieka. Niestety jednak, rozumiał tylko elementarne psie słowa, ale miał ich wokabularz niemały. Słowo „na spacer” podrywało go z punktu do uciесznych susów. Rozumiał, kiedy King, siadając do samochodu, zapowiadał, że „pies nie pojedzie”. Spytany: „Gdzie jest Krysia?” albo: „Gdzie jest Tili?” — rozróżniał imiona. Otrzymawszy w sklepiu za rogiem pakiecik z poleceniem „zanieś panu”, donosił wiernie; ale już na nieco większy dystans tego polecenia nie można mu było dawać, bo się zawieruszał z psami. Może Kingowi się zdawało, że pies wyczuwa nastrój, ale niejednokrotnie tak było, że kiedy King miał zmartwienie i zasiadał do biurka, a praca mu nie szła, Gaweł podnosił się ze swojego miejsca pod kominkiem, podchodził do Kinga i kładł mu w milczeniu na kolana swoją szurpatą głowę.

Otóż tak piękny kawaler miał szalone powodzenie u wszystkich właścicieli airedale-suczek i był zapraszany na gościnne występy. Po raz pierwszy zdarzyło mu się to u Władka Broniewskiego; wrócił z wielkim białym, ślubnym bantem uwiązany dokoła szyi przez panią Broniewską, w pysznej formie, ale bez głębszych przeżyć moralnych. Teraz z kolei Mama jemu okazywała pogardę, stawiając mu za przykład ileż szlachetniejszą miłość Malwinki, która za nią zapłaci cierpieniem i brekekekes. Gaweł patrzył każącej Mamie w oczy, starał się zrozumieć, głuchy harkot szedł mu gdzieś z głębi piersi, ale nic nie rozumiał.

King — też. Kończyło się na tym, że „obaj mężczyźni” szli do swego gabinetu „pracować” i porozumienie nie następowało.

A jednak Mama, pozornie podśmiewana od jej dziadunia po jej dzieci, Mama-Fuksina, Mama-słodziutkie-milutkie, Mama-puszyste łapki — dzierżyła rządy tego Domeczku, w którym ludzie podobni byli do zwierzaków, a zwierzaki do ludzi.

Przede wszystkim Mama sama nosiła przezwisko — Królik. To poszło od tej anegdoty o dwóch warszawskich Antkach, którzy sprzedawali na Kercelaku — jeden psy, a drugi króliki. Buldog zdlawił królika, zrobiła się sprawa, a właściciel buldoga tłumaczył: „Panie władza — jak Boga kocham — to król zaczął. Buldog szedł spokojnie, a ten król na niego marszczył nosem — o tak!”

Ponieważ „wilk okropnie zły” nieraz wybuchał: „Bo ty zawsze zaczynasz ”, więc Mama została Królikiem.

Jej mąż, King, był Kingiem od czasów czytania W pustyni i w puszczy.

Krysia była Pytonem (za ciągle pytania), czasem Strusiem — za strusie zdziwione miny.

Sancho Pansa nosił wymyślny i nieprzetłumaczalny tytuł Pourcette. Ten neologizm francuski, pochodny od francuskiego pourceau — prosiątko, oznaczałby dosłownie prosię żeńskiego rodzaju. King dowodził, mimo protestów Tili, że „jest jako prosię — różowa od ogona, a biała przy nosie”, poza tym była „żerka”, łakoma, wesolutka i nie lubiła sobie zawracać głowy zbyt skomplikowaną problematyką w przeciwieństwie do Pytona.

Kucharka, stara Litwinka, wzięta kiedyś przez Kinga do ogrodu zoologicznego, litowała się nad kangurem:

— Biedniutki, i rency jemu odsechszu. — A o żyrafę spytała: — Ci to z kobyłki rośni wonż?

Od tego czasu została Wężem.

Wreszcie pokojóweczka, młodzianka dziewczyna o filigranowych rączkach i nóżkach, durnieńka, różowa na buzi i naiwna, przedmiot westchnień wszystkich epuzerów w okolicy, którą trzeba było — chcąc nie chcąc — hodować nieco jak córkę, jakoż i wydało się dziewczynę z Bożą pomocą — była nazwana przez Kinga Cielęciną, co się upowszechniło.

Ta cała menażeria obracała się dokoła pokoju Mamy. Była to świątynia lulania, śpiewania, pośmiania się, ale i nielicznych, lecz stricte przestrzeganych praw. Bogiem a prawdą, to łatwiej było przekraczać przykazania Kingowe niż Królicze. Takie przykazania, dla ludzi i dla zwierząt, nazywały się „niu-niu — nie można”.

Pokój Królika celebrował zwłaszcza uroczyste niedziele. Naprzód za drzwiami dawały się słyszeć dwa głosiki: „Ci można, ci nie można?”

Przekorny King grzmiał, że „nie można”. Na to Królik swoim melodyjnym mamowym głosem upoważniał towarzystwo w piżamkach do wkroczenia i już za chwilę były przy Mamie w szerokim łóżu.

Dzięki telefonowi i windzie do kuchni można było nie odczuwać służby i po chwili winda dwuprzędziłowa przyjeżdżała naładowana smakołykami.

Do pokoju tego. przenosił się ze swego sypialnego zarówno King, kiedy był chory, jak każde z dzieci. Przed Gawłem jeszcze był w Domeczku foksterierek Reksio. Wpadł kiedyś pod samochód, przynieśliśmy go ogłuszonego i złożyliśmy na jego poduszce w hallu na parterze. Reksio jednak osądził, że ma równe prawa z innymi domownikami, wziął poduszkę w zęby, przyniósł na pierwsze piętro i ulokował się na dywaniku koło łóżka Mamy.

Pewnego razu Mama obudziła się rano i poczuła wlepione w siebie oczy, a równocześnie coś żywego i ciepłego przy nogach pod kołdrą. Na dywanie przy łóżku siedziała Malwinka, wlepiwszy w Mamę błękitne perełki, w których malowała się niewysłowna duma. Przyniosła z dołu w pyszczku cztery kociaki — kociaka za kociakiem — i ulokowała w najlepszym miejscu, jakie mogła znaleźć w Domeczku. Była to wizyta matki u matki.

Na imieniny Mamy wszystkie zwierzęciny domowe występowały z darami, z okolicznościowymi pieniarami i tańcami — na co kogo stać było. Wyjeżdżając z Mamą w maju na zjazd Penklubów do Budapesztu, King pozostawił Dudom dwadzieścia złotych na zorganizowanie imieninowego przyjęcia.

Tydzień w Budapeszcie był tygodniem ciągłych festynów i doskonałego picia. Ogromni halabardnicy u Horthy'ego, kąpiące od klejnotów stroje węgierskie na raucie u Karolyich, minister rolnictwa tańczący czardasza nad Balatonem, król węgierskich Cyganów grający w hotelu Gellerta, a przede wszystkim te piwnice, gdzie na suchym piaseczku piło się z beczek, odbijanych bez końca, tokaje cztero-, pięcio-, sześcioputonowe, wyspy na Dunaju i znowu tokaj, znowu jakiś zamek i tokaj, znowu jakaś renomowana dziura z przedziwnym gulaszem i tokaj.

Mama zapowiadała, że od razu kładzie się do łóżka, choć przyjeżdżaliśmy do Warszawy rano.

Nic z tego!

W bramie ogródka spotkali nas uszeregowani domownicy, w których imieniu Krysia wręczyła okolicznościową wierszowaną laurkę. U góry arkusza laurkowego był nalepiony wielki królik, a potem kolejno nalepiane wizerunki słonia, strusia, prosięcia, węża i cielęcia, a przy każdym z tych wizerunków — winszowanie odpowiedniego domownika. Po wkroczeniu do domu rodzice musieli z członkami Komitetu Przyjęcia odtąńczyć uroczystego „terebentena”, przy czym King pogwałcił pewne tradycyjne figury, wprowadzając innowacje, zaczerpnięte z balatońskiego czardasza pana ministra rolnictwa.

„Gość w dom, Bóg w dom” — figury zyskały aplauz i Domeczek zaakceptował je na stałe do „terebentena”. Po czym wręczono przybyłym pięknie wymalowane dwa programy Powitalnego Dnia.

Dzień ten przeszedł intensywnością najbardziej natłoczone dni budapeszteńskie: otwarcie zaaranżowanej skały z roślinami góorskimi (z przemówieniami); bieg rowerowy sześciu zaproszonych uczestników dokoła osiedla (z nagrodami, które rozdzielala Mama; King strzelał z pistoletu startowego); obiad z ukwieconym fotelem solenizantki, złożony z niesłychanej ilości frymuśnych dań wymuszonych na Wężu, który jednak się zbuntował i nie chciał robić ani zupy z pokrzyw z ostrygami, o której Krysia wyczytała w książce kucharskiej Szeligi, ani brać udziału w tanecznej pantomimie; po obiedzie — bez chwili spoczynku nawet dla ziewającego Kinga („bo nie zdążymy wypełnić programu”) — koncert z popisowym numerem: „Malwinka”, gdzie Tili odegrała specjalną kanconę, skomponowaną przez koleżankę do słów Krysi poświęconych Malwinie; potem mocno nieudana pantomima, z której Wąż wyłamał się kategorycznie od początku, a Cielęcina uciekla przed samym zaczęciem, zaś oferta studwudziestokilowego Kinga, że odtąńczy ad hoc taniec umierającego łabędzia — została odrzucona.

Po kolacji, nadpsutej przez Węża odmawiającego sprokurowania pasztetu-niespodzianki, zawierającego żywe kanarki, ukwestowane po znajomych, ale która pomimo to była zorganizowana przemyślnie, aż do trunków o odpowiedniej temperaturze włącznie — następowało clou wieczoru — trzyaktowa sztuka, obsadzona (tak jak Świt, dzień i noc) przez dwu jeno aktorów: Krysię (onaż autor) i Tili. Krysia, grająca męską rolę, miała melonik Kinga, który mimo podłożenia spadał jej na oczy i w którym wyglądała jak grzyb. Był to właściwie wodewil muzyczny, bo w najbardziej sentymentalnych miejscach „świętuszek” — koleżanka Zosia Konderska, przewana na stałe przez Kinga „cypidonem” — biegła do fortepianu, aktorzy śpiewali i tańczyli. A ponieważ aktor mężczyzna w spadającym na nos meloniku miała imaginować czarny charakter, gnębiący Kinga w jego sprawach zawodowych, i jako taki starała się śpiewać basem, więc publiczność bawiła się do nieprzytomności, nim jej nie otrzeźwiono wtykaniem kwiatów przez podstawione osoby:

kwiaty miały być rzucane na scenę, ale pierwszej amantce — Tili — wręczyła Cielęcina przebrana za woźnego w tatowe spodnie w harmonijkę, bukiet kwiatów, a autorka była również wywołana na scenę i zaszczycona wezwaniem do łoża rodziców, którzy w danej chwili nie byli rodzicami, tylko Tata był „King I Wspaniały” i musiał interesować się twórczością autora i zadawać mu głupie pytania, po czym sprężyście (jak pisał „Korzystniak”, o czym dalej) wyruszył na taras, dając tym znak towarzystwu do przeniesienia się do ogrodu, mianowanego na ten imieninowy wieczór „królewskimi ogrodami wiszącymi, w których odbędą się ognie sztuczne”.

Ognie sztuczne wzbudziły entuzjazm publiczności, aczkolwiek „młyn czarodziejski” spalił Mamy ukochane ramblery, „burak” boleśnie rzepnął w bok Węża majdrującego coś za kulisami pirotechniki, „żabka” poskakała wprost na publiczność, a na skutek pożegnalnej rakiety przybiegł policjant.

Wieczorem solenizantka „przy świetle pochodni” (którymi okazały się świece bengalskie) została odprowadzona do obficie ukwieconej łożnicy. Był podobno w Komitecie Przyjęcia projekt odniesienia jej lekturą przez zwerbowanych ochotników (kolegów), którym miano uczernić gęby, jednak z powodu wąskości schodów, lękliwości Królika i braku środków finansowych na skonstruowanie lekturki — projekt upadł.

Za to przy łożu leżał „świeżutko spod prasy” numer „Korzystniaka”, pisma rodzinnego, ukazującego się dwa razy do roku: na imieniny Mamy i na Boże Narodzenie. Tytuł swój ów półrocznik zawdzięczał slangowi rodzinnemu, w którym wyrażenie „korzystny” było młodszym bratem „kuwaki”. „Kuwaka” — była słowem uniwersalnym, używanym dla określenia cech zarówno dodatnich, jak ujemnych (zależnie od intonacji). Natomiast, jeśli kto nie chciał męczyć się intonacją — na wyrażenie dodatnie miał słowo „korzystny” (korzystna opera, korzystny obiad, korzystny czyjś narzeczony, bardzo korzystne Wesele Wyspiańskiego), na ujemne — „żaba”. (Żabą okazywał się nagły gość, żabską — jakaś niemila jejmość, żabowatym — obiad, żabskim — jakiś koncert.)

Imieninowy numer „Korzystniaka” — zawierający ostatnie utwory obu latorośli (nieco już podawansowane od czasów „Pan Ludwik jest bardzo wesoły”) i kronikę zdarzeń rocznych — był już przygotowany zawczasu, z zarezerwowaniem miejsca na korespondencję o uroczystościach imieninowych, śpiesznie dopełnioną, tak że już była umieszczona.

Nazajutrz jednak z minami strapionymi do Kinga przybyła delegacja, złożona in corpore z wszystkich członków Komitetu Przyjęcia, to znaczy z Krysi i Tili. Delegacja musiała wyznać, że zaszła nieprzewidziana okoliczność; starannie nagryzmołone rachunki wykazywały deficyt w wysokości jeden złoty groszy dziewięćdziesiąt trzy, a ponieważ procedury uaktywniające bilans, w rodzaju sprzedawania róż, zaciągania kredytu i tym podobne, były przez Królika z wielkim gwałtem zakazane, więc szło o przeprowadzenie konwersji z oparciem o spodziewane wpływy z miesięcznych pięciozłotowych poborów, które jednak obecnie, w dniu 15 maja, byty bez reszty skonsumowane.

Dom, wykańczany łącznie ze wzrostem dzieci, zrastał się z ich życiem każdą nowo doheblowaną strużynką. Dobrze było siedzieć na jego tarasie zacienionym winem i szparami zielonego listowia patrzeć przez żółte okulary na płynące niebem obłoki. Chmury i liście nabierały pstrego, nierealnego koloru. Lepiej jeszcze było pójść do „lasu” — w kąt ogrodu między ukośnie schodzącymi się murami, gdzie rośło kilka drzew nieowocowych — i zagnieździć się między świerkiem a klonem na wilgotnawej czarnej ziemi. Czasem na sobotę uproszony King rozstawiał w „lesie” czteroosobowy namiot, tam się gotowało obiady i tam był wciągany nieszczęśliwy Królik na spanie.

Dobrze było harcować bosymi piętami po nie ogrodzonym jeszcze parku, zapuszczać się na pustacie wiślane, błądzić w wyprawach odkrywczych uliczkami Marymontu, napotykać pod Bielanami jakieś pałacyki z czasów Króla Stasia, o których nikt nie wie, pałacyki

wpółzrujnowane, z oknami zabitymi deskami, na których ganeczkach rozkładało się przyniesione wiktuały. Dobrze było po takiej wyprawie leżeć na dywanie w bibliotece przy ogniu buzującym na kominku, przy czym na chybił trafił piło się z półek trunek lektury mocny, a rozmaity. Albo wylazić na płaski dach domu przez kwadratowe okienko, zostawiając na dole piszczącego pod drabiną Gawła, i patrzeć „z góry” na osiedle, jak pan Riedel statecznie z teczką idzie do banku, jak Wąż, wyskakujący „aby na chwilę” po liść bobkowy, dziwuje się, że mu ktoś na sam nos spuścił kawałek tynku i nie wie skąd. Dobrze było szmyrgać do klubu, gdzie rozbawieni starsi panowie wtajemniczali obdraponogich Tatarów w coraz nowe sporty, a nawet nauczyli grać w bridża.

Nie było tu wprawdzie tyle Królestw Jasności jak na wsi, ale też nie było to trzecie pięterko bez balkoniku na ulicy Elektoralnej. To był Domeczek. Swój. Z przyległościami.

A przecież i na ten Domeczek płynęła groźna chmura. Ta sama, która wygnała z wiejskich Królestw Jasności.

Szkoła!

Nie darmo Sancho Pansa, ucząc się o grzechu pierworodnym, na skutek czego ludzie muszą cierpieć choroby, dodał: „i naukę”.

Chmura mogła spaść dwojakim deszczem: albo jako szkoła pepesowska w Szklanych Domach, koedukacyjna, biedna i lewicowa, prowadzona przez partyjnych, ale rzetelnie ideowych ludzi — tej chciał King. Ale Królik-konserwatysta czuł się mniej niebezpiecznie, myśląc o szkole zakładanej przez siostry zmartwychwstanki, gdzie przynajmniej dziewczynki będą chodziły, jak się patrzy, w czystych fartuszkach, pod którymi będzie zawsze uczone „zielone”, i w ogóle wiadomo, co i jak — podobnie jak na pensji pani Jastrzębowskiej, którą skończyła Mama.

— Znowu się będą godzinami bawiły w „Ach, ścinaj, kacie, moją białą szyję, niech ja już więcej nie żyję” — jadownicę King.

Była to zabawa w pojęciu Kinga wypełniająca wszystkie wielkie pauzy w cnotliwym zakładzie pani Jastrzębowskiej.

Królik zwykle z wielkim przejęciem spełniał rolę anioła: należało machać nad krakowianką rękami, imitując szelest skrzydeł, i śpiewać: „Nie lękajcie się, śliczna krakowianko, bo twoja dusza już w raju”.

— No i co? — irytuje się Tata. — Mam je hodować na anioły? Żeby tak jak ty niepokoiły się, gdy je narzeczony pierwszy raz pocałuje, że będą miały dziecko?

Królik się nadąsuje: uważa za największą hańbę swego życia tę wpadkę z wypytywaniem kuzynki po pierwszym pocałunku Kingowym i nawet usiłuje wmówić w Kinga, że wcale tak nie było. King widzi, że kroczy złą drogą, więc poczyną z innej beczki:

— Zresztą, co ja mówię! Najgorsze wydry właśnie pochodzą z klasztornej wychowania. Co Renia opowiadała o sacrecoeurskich koleżankach? A jaką wyższą szkołę jazdy zaprezentował Cześć po skończeniu Chyrowa? '

— Tak, to tak — mówi Mama zupełnie tym samym tonem, którym Wąż aprobował dysponowanie łososio-pstrągów i smażył befsztyk.

Mama bowiem wie, że nie chce odbierać dziewczynkom wychowania religijnego.

— Potem zrobią, co zechcą — mówi.

Dziewczynki bardzo starannie były przygotowane do pierwszej komunii. Krysia akurat zachorowała na gripę, ale nie chciała odkładać. Ksiądz przyszedł do niej. Siedziała w łóżeczku, w białym welonie na głowie, w wianuszkach. Bóg wszedł w dom, w którym od jaśnienia dusz dziecięcych i wzruszenia rodziców jasno było i cicho.

— Tak, to tak... — mówi Królik, uginający się zwykle pod autorytetem Kinga i nie podejmujący dyskusji.

King wie, że jeśli Królik tak mówi, to już będzie po jejnemu, i w rozpaczy chwytą się ostatniego sposobu: woła dzieci. Dobry to sposób na Królika, który do przesady liczy się z wolą dzieciaków.

— Dlaczego Krysia przestała chodzić na gimnastykę? — pyta King.

— Bo powiedziała, że nie chce — mówi poważnie Matka ku irytacji Kinga. Niechże więc teraz zostanie pobita swoją własną bronią.

— Widziałyście te dzieci w mróz przebiegające tylko w spodenkach kąpielowych z jednej bramy Szklanych Domów do drugiej? — kusi King. — To jest dopiero szkoła, do której należy was oddać.

Ale Dudy są zrezygnowane — im tam już zupełnie wszystko jedno, jak w tej szkole-niewoli będą biegały. Uważają, że są pytane jak ten karp, czy woli być smażony, czy gotowany. Tak i tak — noc ciemna przed nimi, czarność i niewola aż do tej jakiejś matury, otrzymywaną w podeszłym wieku, której pewno nie dożyją.

— No, jakieście takie głupie, to pójdziecie do tych jakichś ciotek-babek-zakrystianek — decyduje King.

— Do sióstr zmartwychwstanek — godnie podpira Matka autorytet przyszłych wychowawczyń.

„A nie mówiłam?”... — jak mówi Królik. Tylko że jemu się zdaje zawsze, że mówił, a ja naprawdę mówiłem, że nic nie wyjdzie z tego szkolarzenia u „sióstr-ciotek-babek”. Panowała tam zabawna atmosfera pachnąca staroświecczyzną. Wszelkie nowinki, wymagane przez kuratorium, siostry-babki przyjmowały z westchnieniem jako dopust Boży, i starały się je tylko jakoś umoderować. Komendantką harcerstwa została mianowana jedna z sióstr, która zapewne nie mogła zaimponować żadną z kozacych sprawności, wobec czego Dudy jednomyślnie odmówiły wstąpienia do harcerstwa. Wykłady o dawaniu pierwszej pomocy miewał wprowadzić narzucony przez kuratorium podchorążak z sanitarnej podchorążówki, ale chłopczyzna był tak krótko trzymany i tak wystraszony, że przy ratowaniu tonących kazał im ugniatać „górne części dolnych kończyn” zamiast po prostu — pośladki. W domu kiedyś King nakrył dzieci głowiące się nad wykresem uczuć Wiesława do Haliny, chór zaś szkolny na jakiejś uroczystości uraczył rodziców takim oto pieniem:

*A jeśli kiedy błędząc po świecie
Napotkasz okręt wichrem strzaskany...*

Następnie był jakiś rym „dziecię”, jakieś „bałwany” i wreszcie konkluzja.

*Poświęć mu, poświęć, łezkę choć jedną,
On tobie Polskę przypomni biedną.*

Dzieci, wysportowane, wolne, czepliwe życia jak ziele, patrząc na batutę zakonnic w krochmalonym kornecie, w suto namarszczonych kieckach do ziemi, śpiewały o tych strzaskanościach, zapewne nie chwytając nawet sensu słów — zbyt odległych... od rzeczywistości...

Niegodne praktyki Taty

A tymczasem... A tymczasem, kiedy szkoła ślizgała się po wierzchu, dom niekoniecznie dawał najlepszy przykład (to вина Taty) i niekoniecznie trzymał w cuglach towarzystwo, łącznie z Tatą (to вина Mamy).

Zacznijmy od win tatowych. To się poczęło jeszcze na Elektoralnej. Właściwie nie poczęło się — zawsze było.

King wściekał się na „ciotki-babki” i surowo spowiadał córki z każdego za dobrego stopnia — gdzie się za wiele przeuczyły. Mama z westchnieniem patrzyła na te Kingowe praktyki, w zasadzie, jak zwykle udzielając mu sporo kredytu, ale do granic rozsądku. Tą granicą był surowy nakaz: „Dwójek mieć nie można!” A że mamowe nakazy były nieliczne, ale żelazne, więc dwójek nie było. Ponieważ jednak i tatowy zakaz, że nie można mieć czwórek, był w danym wypadku chętnie wypełniany, więc cenzury świeciły przykładnym rzędem trójek.

Mamy ambicja cierpiała na tym i parokrotnie dyskretnie wspominała, że była pierwszą uczennicą, chcąc widać stworzyć szczytne przykłady.

Ale po pewnym czasie wścibsi Sancho Pansa wydybał tajemnicę mamowej młodości. Mamę nawiedzały dwie koleżanki — obie też Zosie, z jednej sławetnej pensji pani Jastrzębowskiej. Wedle zapewnień tych Zoś, każda z nich była pierwszą uczennicą. Stąd w Tilusi powstało przekonanie, że „wszystkie mamusie były pierwszymi uczennicami”.

— I wszyscy tatusie też — dopominał się King.

— Ha, ha, ha... ale od końca.

— Nieprawda — broni się King — za mną był jeszcze jeden kolega, Pasternak.

Mama, przejąwszy kiedyś dzieci z rąk Taty, po powrocie z Krynicy, prowadząc za rączkę malutką Tiluskę, została zaskoczona propozycją:

— Mamo, chodźmy „na jednego”.

— Co ty mówisz? Gdzie?... — nie zrozumiała Mama.

— Do bałszczu amerykańskiego.

Mama spoglądała z góry na małą kuleczkę w brązowej szubce, a kuleczka już ciągnie do „Baru Amerykańskiego” na Bielańskiej.

— Paniencie serdelki? — wita kelner starego kundmana.

— Tym łazem — powiada z nonszalancją ociupina, rozluźniając szalik na szyi — kiełbasa łaz na widelec.

Mama jest oszołomiona — tym adresem, tym obyciem, tym technicznym językiem. Zjada w depresji ducha zaordynowane przez latorośl „nelecki” i dopiero w domu odchodzi indagacja. Okazuje się, że Tata, prowadząc córkę na spacer, zachodził coś przegryźć, a jakże tu dziecko głodem morzyć?

— To mogliście zachodzić na ciastka.

— „Do Wróbla się nie chodzi na mleczko lub na kawę” — recytują ojciec i córka wiersz Tuwima.

O ile jednak w „Barze Amerykańskim” Tata istotnie nie popijał, o ile nie popijał w domu, ani gdzie indziej „detalicznie”, o tyle było parę uroczystości w roku, kiedy urzędowo wracał zalany „na biedronkę”.

To wyrażenie przywiózł Tata do rodzinnego języka z Morszyna. Nudno tam było niesłychanie i do jednej jedynej młodziutkiej i apetycznej mężateczki smała cholewki cały pensjonat. Paniusia jednak była aż za ostrożnie cnotliwa. Dosyć powiedzieć, że nie aprobowała nawet spacerów w kilka osób, i to pod tak pewnym patronatem jak Kingowy. Na

wszystko odpowiadała półobrażonym tonem: „Proszę nie myśleć, że jestem współczesna kobieta”. I jeszcze co krok: „Bo Józio by się na pewno na to nie zgodził”, „Bo my z Józiem mamy inne zasady...”, „Może kto, ale Józio — nigdy!...”

Wiecznie z tym Józiem, z tym „mężusiem”. Dowiedzieliśmy się, że Józio był komisarzem policji w Trembowli.

Pewnego razu w niedzielę zjechał Józio! Wzięliśmy go wieczorem do knajpy, odwieźliśmy — „na trupa”. Nazajutrz skoro świt ulotnił się do służby. Zastaliśmy przy śniadaniu „wdowę moralną”.

„Proszę pani — szlochała na łono właścicielki pensjonatu — panowie przywieźli Józia na biedronkę” (to znaczy, że ani rączką, ani nóżką).

King „na biedronkę” wracał po każdym balu dziennikarskim, który corocznie odbywał się w „Adrii”. Piło się do rana, rano o godzinie ósmej już otwierał „Turek” swoją piekarnię przy Dworcu Głównym, gdzie można było dostać kawy. Potem, o godzinie dziewiątej, trzeba było wracać do domu. Ale koniecznie oszczędnie, panie dobrodzieju... autobusem... bo oszczędność, panie dobrodzieju...

Tata więc w cylindrze, w rozpiętym futrze, w malowniczo fruwającym białym jedwabnym szaliku, spał oparłszy się o słup autobusowy i świecił gorsem fraka.

Widząc go w takim stanie, podszedł kiedyś z rewerencją Janusz Minkiewicz, jak Jafet do Noego, i zaofiarował się, że odwiezie Kinga do domu, i nawet więcej — że znajdzie w książce telefonicznej u „Turka” jego adres.

King jednak nie tylko pamiętał swój adres, ale i adres Minkiewicza oraz rozmowę sprzed dwu dni z delegacją jakichś kobiet oświatowych, które przyszły z żądaniem, by przejechać się po poecie. W jednym z wierszy poeta, osiedliwszy się z kolegą na ulicy Cecylii Śniegockiej, wraca z nim zalany późną nocą i nagle czuje nieprzepartą chęć dowiedzenia się, kto to była Cecylia Śniegocka. Dzwonią więc po wszystkich mieszkaniach po kolei, budzą ludzi, ale nikt nie wie. Poeta więc, zrozpaczony, inwokuje: „O Cecyljo Śniegocko! Przyjdź do mnie ciemną nocką” — powiedzieć wreszcie, kim jest. Delegatki w źle ocyrklowanych spódnicach piorunowały na nieposzanowanie zmarłej oświatówki, której były „młodszyimi koleżankami”. (Nie spotkałem jeszcze nigdy starszych koleżanek.)

— O Cecyljo Śniegocko! — obudził się nagle King — sam trafię.

Dudy już jednak były w szkole. Leciąły z powrotem z wielkim zainteresowaniem.

— Mama — pytały zaraz w drzwiach — czy na biedronkę wrócił?

Mama kiwała głową.

— Ha-ha-ha!...

Mama jednak nie powiedziała, że wróciwszy King zalokował się na dywanie, oparty o szafę. Mama mocowała się ze spinkami, z gorsem, z kołnierzykiem, z Kingiem, którego nie mogła przetaszczyć na łóżko, wreszcie „beknęła sobie”.

King natychmiast wytrzeźwiał.

— Jak chcesz — oświadczył — to ja natychmiast będę trzeźwy — po czym z nagłym rozczeniem — bo ja c-c-c-ie-bie w-więcej kocham niż wódkę.

Gorzej było, kiedy King wrócił urżnięty w dzień i zastał tylko Mariettę, która przyjechała ze wsi. Dzielną bratową, okazawszy fachową pierwszą pomoc, zatelefonowała jednak po Królika.

— Najlepiej zaraz przyjdź, bo on mi tu robi propozycje, których przez lojalność wobec ciebie przyjąć nie mogę.

Najgorzej, że dzieci, karmione „okrętami strzaskanymi” w szkole, mając przykład niebożny ojca w domu, nieraz musiały być świadkami nieobyczajnych pic w Domeczku. To wtedy, kiedy bywali Kingowi goście.

Goście bowiem bywali: tatowi, mamowi, dzieciowi i służcowi. Wszelkim innym — biada.

Bo goście Domeczku mogli się czuć dobrze tylko z listem żelaznym któregoś z domowników.

Pimpie mamowe, z których każda była pierwszą uczennicą i każda była w młodszej klasie niż koleżanka — niech tam. Były to nieszkodliwe stworzenia, pasające się w przestrzeniach pozakingowych, na łańch konfitur, biszkoptów i osmażanych owoców.

Wydry społeczne mamowe też były stanowczo masowane w haremowych połaciach domu, kalając je niedopałkami.

Pohukadła dudowe wsiąkały wszędzie jak kurz, zwłaszcza do biblioteki, ale trudno — dla nich był dom.

Kawalerowie służcowi, przystrojeni w zabójcze muszki i rozdziałki, przemykali się do apartamentów basementu. Dopiero po całych lecach przychodziły do zdumionego Królika błyskotliwe rewelacje:

— Proszę pani — zwierzała się praczka — ta Anielcia, co czasowie była u pani za młodszą, jak panna Wikcia szlub brała, to potem zamieszkała u mnie i kawalerów poczena sprowadzać. To ja mówię, proszę pani, do ty Anielci: „U mnie takie coś nie może być, to nie Dziennikarska 3”.

Czasem jednak zapuszczali się w obierze Domeczku — biada im! — goście bez listu żelaznego żadnego z domowników. Takie przyszywada rodzinne, przyklejada z kurortów, poznawada z przedziałów kolejowych, nudy z lat młodzieńczych albo żony braci nudów, szwagry ciotek-przyszywadeł, znajomi znajomych przyklejadeł i — zgoła zwolennicy „przedyskutowania problemu, który szan-pan poruszył”.

„Szan-pan” z tego powodu popełniał szereg zrywów, za które był potem okadzany przez tydzień zdwojoną dawką dydaktycznego smrodku. Zwłaszcza kiedy uroczystej (ale bardzo barchanowej) delegacji damskiej, która przysła namawiać do kwestowania na Mazurów, powiedział:

— Mazury? Napisałem już przecież o nich i niech ich drzwi ścisną.

Były jednak wizytatory niczym nie zrażone, zatwardziałe, zakamieniałe, podlewane przez Królika herbatą i łkaniem nie ujawnionym, a przez Kinga głuchym hurkotem z głębi trzewi, który, nim wyszedł przez gardło, wymodelował się w posępne:

— Czy pan ma już cukier ?

Był tam emerytowany dyrektor gimnazjum, zwany „Sędziwym zającem”, zasuszony wieczny asystent astronomii, noszący w Domeczku miano „Korzonka świętego Sulpicjusza”, spłoszona wielkooka akademiczka przychodząca po książki, którą King nazywał „Gazellą po lewatywie”, kolega z ostrym nosem zwany „Spirocheta” i gadatliwa jejmość, kiedyś mająca w Milanówku willę obok willi Królikowego stryja, którą nawet służba znała jako „Dzwoneczek świętej Agaty”.

— Gdyby mnie kto zapytał o cukier takim tonem jak ty, to już bym się nigdy nie pokazała w tym domu — wiał dydaktyczny smrodek.

Wobec tego Tata w stosunku do gości bez listu żelaznego wyrobił sobie protokół dyplomatyczny, z którego był bardzo dumny.

Nasłuchawszy się z pięć minut jakowegoś nudnego gęgania gościa, co spadł na głowę, chwycił się za zegarek, za łeb, znów za zegarek i wykrzykiwał:

— Ach! To my tu tak przyjemnie gaworzymy, tak się zagadałem, że zapomniałem o Bożym Świecie. A już dawno zaczęło się zebranie zarządu kooperatywy osiedla. I ja mam referować. Bardzo przepraszam, naprawdę.

Dzieciątka, o ile przy tym były, wypyrgiwały do hallu, dusząc się ze śmiechu, i jedna tylko Mama celebrowała z herbatą, herbatnikami i z biadoleniem, jaki to ten biedaczek zapracowany.

„Posiedzenie kooperatywy” wyewolucjonizowało nie od razu. Pomysł przeniósł się z biura Kinga, które czasem Dudy nawiedzały. Było tam masę ciekawości: zapalniczka elektryczna przymocowana na stole, papierosy dla gości w pudełku zrobionym z oprawy starej książki, kupionej gdzieś nad Sekwaną, długi na piętnaście centymetrów cybuch bursztynowy, trzy telefony na stoliku obok biurka, tabliczka z przyciskami, z których każdy był połączony z brzęczykiem na biurku innego referenta, okno z żaluzijką w ścianie, łączące z sekretariatem, i tak dalej. Najciekawsze było to jednak, że w tym biurze Tata kazał mówić dzieciom do siebie nie tylko w plusquamperfectum, ale i per „Panie dyrektorze” i na pierwsze „Tatusiu” niezwłocznie otwierały się drzwi, wchodziła sekretarka i mówiła:

— Panie dyrektorze, dzwonią z adiutantury pana prezydenta, żeby pan dyrektor zaraz przyjechał.

No i Dudy musiały już się wynosić. Nie pomagało mówienie następnym razem najcichszym głosem, ledwo dosłyszalnym szeptem. Nieznośna sekretarka natychmiast po wymówieniu słowa „Tatusiu” pakowała się ze swoim prezydentem. Z prezydentem Dudy miały jeden tylko zatarg, kiedy w wąskich przejazdach Starego Miasta King dał się wyminąć wozowi prezydenta, ale bynajmniej nie chciał dać się wyprzedzić przez jego świtę. Na pomstowanie z wozów ze świtą King otoczył usta ręką i wywrzasnął:

— Szlachcic na Fordzie równy Cadillacowi zamkowemu!

Kiedyś jednak sekretarka przeholowała, oznajmiając, że król angielski zamówił z Kingiem telefoniczną rozmowę w ambasadzie angielskiej na teraz właśnie.

Dudy się tropnęły, że jest w tym jakiś Kingowy kawał. Zdradził go woźny w czasie nieobecności Kinga: okazało się, że pod biurkiem jest przycisk i kiedy King podniesie kolano i naciśnie, na biurku sekretarki zapala się czerwony guzik. Wobec czego pewnego dnia wkroczyły do gabinetu Kinga z dużą paką.

— Panie dyrektorze — oznajmiła Krysia, trzymając pakę — są fotografie od Bułhaka, które chciałybyśmy były pokazać.

Tymczasem Tili udała, że się po coś schyla — akurat po tej stronie biurka, gdzie był przycisk.

— Pokaż, pokaż — mówił rozgorączkowany King. Bułhak, znany artysta-fotograf, był tak uprzejmy, że podjął się opracować Kingowi dwumiesięczny plon jego włóczęgi z aparatem.

— Panie dyrektorze — wsunęła się postać sekretarki — pan prezydent niezwłocznie oczekuje pana.

— Ależ gdzie, ale jak... — zbaraniał King, który jako żywo nie dawał żadnych sygnałów.

— A nie, nie — protestują dobrze wychowane córki — byłybyśmy sądziły, że pan dyrektor musi zaraz jechać.

— Proszę, panie dyrektorze — podaje Tili palto, a Krysia już jest z paką na ulicy.

Podobna instalacja jednak się w domu nie udawała. Na wiadomość, że jest pilny telefon wzywający Kinga na miasto, nudziarz się podrywał:

— Doskonale, to mnie pan podwiezie.

I King, diabli wiedzą po co, musiał wywozić kupę nudy aż do środka miasta i wracać. Wówczas wpadł na pomysł posiedzeń kooperatywy, które rzekomo odbywały się w osiedlu. Więc King po prostu szedł do swego gabinetu, wdziewał się w szlafrok i siedział jak mysz pod miotłą.

Jednakże trudno było Domkowi uchylić się od odpowiedzialności w dniu imienin Kinga. Był to dzień, w którym starszym — coraz starszym — panom miało zdawać się, że są jeszcze pegazami. Był to dzień srogi, kawalerski i pitewny. Z wieczora Matka, wzięwszy drobne dzieciątka za ręce, emigrowała na spanie do litościwych ludzi. W środku szykowało się przyjęcie dzikie i niesamowite, którego nie mogła żyrować.

Najprzód więc nie wiadomo było, ilu będzie gości. Udoskonalający się z roku na rok regulamin „Króla Migdałowego” (bo Kingowe imieniny wypadały na Trzech Króli) przewidywał, że każdy może przyprowadzić każdego, choćby nieznanego gospodarzowi. Następnie — goście nie byli wypuszczani z imienin, aż nie dokonała się elekcja Króla Migdałowego. Królem Migdałowym był ten, który w rezultacie współzawodnictwa nie mógł pod koniec przyjęcia ruszyć ani ręką, ani nogą. W zaproszeniach imieninowych wymieniało się szereg królów, kolejno panujących, i jednak nie zdarzył się wypadek, aby ten sam został królem dwa razy. Świadczyło to o chwalebnej powszechności pijaństwa.

Dom długoletnim doświadczeniem bogaty przeobrażał się na dzikoludztwo tak, że nie poznałbyś, że to ten sam Domeczek — zwykle ukwiecony, jasny jak pęcherz płynnego powietrza. Po każdych imieninach Mama egzorcyzmowała splugawione ognisko domowe ze dwa tygodnie, posyłając dywany do prania, szorując, doczyszczając, poprawiając, głaszcząc i przepraszając Domeczek.

Każdy przybywający na imieniny musiał przed zdjęciem palta spełnić kielich raz i po zdjęciu — dwa. Bez zagrychy. Poniekąd dawało się spirytus. Poniekąd dosypywało się łyżkę tartego pieprzu. W miarę lat, kiedy z tego bractwa porosły prezesy z zaokrąglonymi brzuskami, z nawalonymi wątróbkami, kielichy spełniano coraz bardziej na lipę; dyżurował kolega-łapiduch, który stopniował: komu wermut, komu tylko wino, a komu — po cichutku — lemoniadę. To było tak, jak z tym przebywaniem równika, gdzie marynarzy zanurzają z głową, a słabosilnym ledziusiom tylko myrzną pastą z shaving-creamem pod nosem. Ale groźny obyczaj trwał.

W hallu też zaraz witały przybyłych trzy antałki — syfony ustawione na lodzie; oryginalny Pilzner, oryginalny Munchener Hofbrau i Okocim. W jadalnym stały baterie skomplikowanych trunków i półmichy nieskomplikowanych potraw. W kuchni zwarty batalion kucht, pożyczanych po wszystkich kolegach, czynił swoją sprawę. Salon stał pusty i smutny, zastawiony gęsto stolikami bridżowymi. Gęsto też były porozstawiane gustowne rynienki z blachy. King, srodze skruszony maminym zawodzeniem, kazał po którychś specjalnie udanych imieninach sporządzić kupę takich szalup ratunkowych.

Towarzystwo: spokojne społeczniki, ideowce zatabaczone, przez rok okrągły nie oglądające kieliszka, wchodziło z duszy niepokojem, jak wół do rzeźni. Juści, nie przyszliby, gdyby nie myśleli, że oni się wykiwają, a komedię z innymi zobaczą. I patrzyli ciekawie, jak patrzą na siebie żołnierze przed bitwą: „Oto mój kolega chodzi, rozmawia, jest przytomny, a jutro może już nie będzie żył. A ze mną? Ze mną może jakoś obleci”.

Na razie wypływał jeden temat — młodość. Młodość szkolna, młodość uniwersytecka, młodość wojskowa. Byli to ludzie różnych poglądów. Życie uderzyło w to pokolenie twardą pięścią i już te rozprysła ciurkały sobie swoimi żłobkami życiowymi. Wielu z nich nigdy by się nie spotkało gdzie indziej niż w tym domu doskonale neutralnym czy raczej doskonale eklektycznym. Tylko że jest eklektyczność europejska z anemii i jest polska — której trzeba stawiać pijawki pod wiosnę.

Więc, żeby się nie klócić — same drańskie wspomnienia. Niedużo ich było. Nie mieliśmy burszenszaftów ani pijaństw, gorzką mieliśmy młodość i zaspolecznioną ponad wszelką miarę. A przecież młodość lubi się pośmiać.

I stare chłopcy uśmiechały się do wspominków.

Z ostatnim przed wojną Królem Migdałowym, szanowanym dyrektorem szanowanego przedsiębiorstwa, był kłopot. Facet się nie dotrupił, a tacy najgorsi. Stał na tylnych nogach, chwiejnie co prawda bardzo, i pomykiwał. Wszystkie ciała porozwożono już do domów albo same się porozwlekały, świt błądy począł mżyć przez okna — a ten tkwi. Najgorzej, że został pomagać gospodarzowi jeden z biesiadników — typu pijak ambitny i niedopity.

Pijak ambitny i niedopity, jeśli jest wkoło kupka ludzi trzeźwych, jest rozweselający w swoim usiłowaniu naśladowania trzeźwego. Kiedyś, kiedy Kingowie byli młodym i

niedoświadczonym małżeństwem i King wlewał w gości alkohol w obecności Królika, zdarzyło się, że Królik, wyprzymniając się do siedzącego przy niej personata, posła, działacza i czort wie nie co — złapał przerażony wzrok pokojówki podającej półmisek. Idąc za jej wzrokiem, spostrzegła, że całkiem przytomnie odpowiadający na jej kwestie poseł nałożył mięso na talerz, okrągłe kartofelki na obrus przed siebie, buraczki na serwetkę z boku talerza i patrzy dokoła dumnym wzrokiem — jak to on umie się zachować, jak to on wie, że wszystkiego na jeden talerz się nie zwala.

Ale taki gość z ambitem, który zostaje, kiedy nie ma trzeźwych, jest straszliwy w nawałnicach życia.

Ten, który został, miał ambicję wykazać, że jest trzeźwy, zaradny, przytomny i gospodarza (nie bez pewnego jednak przebłysku inteligencji) uważa za spinego i chce go wyręczyć.

Przed wszystkim więc zaaferował się, co pomyśli pani Wańkowiczowa, i jakże po świńsku wszyscy zdali egzamin z dworności i że on to musi odrobić, głównie dając hojne napiwki służbie, która tyle będzie miała do sprzątnia.

Z obdarowaniem jednak służebnic nie miał wielkiego kłopotu, bo powypożyczane po kolegach, porozjeżdżały się z ofiarodawcami, podtrzymując ich na siłach, a czasem — prawdę rzekłszy — podtrzymując się wzajemnie. Pewnego razu mocno szpetny, ponad czterdziestkę, kocmołuch wdryfował koło godziny trzeciej w nocy między pola stolików bridżowych, unosząc wysoko sukienkę i śpiewając: „Karioka-ech! — karioka!” Bridżowcy oniemieli na razie, po czym buchnęli śmiechem i przyłączyli się do karioki.

Pijak niedopity, ustawivszy chwiejącego się pod ścianą pijaka dopitego i udawszy się na poszukiwania, napotkał jedną tylko służebnicę. Długo przed nią grzebał w kieszeni, usiłując wyciągnąć portmonetkę, był to jednak wyczyn nie na tak późną porę. Wobec tego zdjął złoty zegarek z ręki i ofiarował go z gorącym i pokrzepiającym przemówieniem. Po czym, wypełniwszy pierwszą część programu rehabilitacyjnego, zabrał się do drugiej:

— Chodź, Janek — powiada — bo pani Zofia rano wróci i co zobaczy? — zawiesił retorycznie głos. — Żeśmy świnię — w tym miejscu płaknął krótko, ale boleśnie, i począł z obdarowaną służebnicą dygować niedotrupa za drzwi. King, protestując z lekka, szedł za nimi. Trójka zesła ze schodów tarasu, webrnęła w głęboki śnieg. Była noc z szóstego na siódmy stycznia, zimno jak cholera i King napominał pijaka ambitnego, aby pijaka niedotrupa ogrzewał własnym tchnieniem, jak to było, kiedy królowie przyszli do stajenki.

Pijak ambitny jednak ogrzewał go ciepłem moralnym.

— Chodź — powiada — Janek — powiada — przenocujesz u mnie. U mnie — powiada — nie ma takiego komfortu jak tutaj, ale — powiada — nie skompromitujesz nas wszystkich, nie będziesz — powiada — świnią, która na pijano nocuje w rodzinnym domu, do którego jutro — powiada — zawitają dwa niewinne dzieciątka.

Tu sobie chlipnął.

— Co? — wrywa się nogami w śnieg niedotrup. — Bez komfortu? Nie idę. Bez komfortu nie mog-gę...

— Właśnie — cieszy się z tyłu King, który ważył w sobie zamiar odwiezienia gości autem, ale trwożył się tylko o to, że nie trafi kluczem do dziurki w drzwiach garażu — prześpij się u mnie. Przecież co rok każdy Król Migdałowy u mnie śpi.

— N-nię mog-gę — upiera się niedotrup. — Stefan powiada, że będę świnią na pijano, I nagle z płaczliwą rozpaczą:

— Nie chcę być świnią na pijano... .

— Właśnie — żarliwi się pijak ambitny — chodź do mnie.

— Nie mogę, bo komfortu nie ma — płacze.

A tu mróz — aż szczypie. Zamarzną. Matka, wracając rano, znajdzie w ogrodzie stalaktyt kurtuazji i stalaktyt komfortu, a nie żywe ich uosobienia. Wobec czego służebnica woła pana

Gromka, dozorcę: zwolennik komfortu zostaje zaprowadzony do łoża; zwolennik kurtuazji wtłoczony do zapłaconej z góry taksówki, której numer się zapisuje. Uff! Imieniny odbyte.

Króle Migdałowi poprzednich roczników nigdy nie przynieśli gospodarzowi wstydu, aby stać na nogach. Ale kłopot bywał i z nimi. Pewnego razu, obchodząc zagonki bridżowe; grządki kanapek, na których nowo zbruderszaftowani wylewali na siebie zwierzenia, baterie przetrzebionych butelek, których trzymały się najuporczywsze pijaki, w kółko uparcie ryczące „sto lat”, ale już wcale nie wiedzące komu, paru panów, którzy przylegli zdrzemnąć się na dywanie przy jednym kominku, kolegę Bolka, który deklamował Norwida przy drugim kominku — King licząc i przeliczając gości — ani razu nie mógł napytać czcigodnego, ha... bardzo czcigodnego i piastującego wysokie stanowisko na emigracji przyjaciela.

Staął gospodarz na przestrzale dwu największych komnat osowiały i powiedział sobie gorzko: „Widać piłem i mijam się z nim”. Wrócił do kuchni i poprowadził tyralierę służebnic. Niewód, tyle że wyciągnął jednego z biesiadników spod kanapy, ale poza tym — pozostał pusty.

Uwagę zwróciła para buchająca kłębami z łazienki. King targnął drzwi — zamknięte. Wraził oko w dziurkę od klucza, rozeznał oświetloną łazienkę — pusto. Dopieroż z wnęki, w której stała wanna, doszedł plusk lejącej się z kranu wody i głucho postękiwania. Spod drzwi na korytarz płynęły strugi.

King skoczył do zalanego piwem hallu i uderzył w gong przeznaczony na Dudy spóźniające się na posiłki.

Pijaki — nie można powiedzieć — przytomne były i karne. Zaraz zlecieli się ze wszystkich poziomów domu.

— Zygmunt się topi — dramatycznie obwieścił King.

Wraz skoczyła ekipa, ale drzwi nie puszczają.

— Filong wybić — mówi kolega architekt.

— Ratuj, rządź... wrzątek leci... Jeśli się nie utopi, to się ugotuje...

Architekt spojrzął po obecnych.

— Ten — mówi, wskazując na Piotrusia Olewińskiego.

Senator Piotruś Olewiński miał najszerszy zad w całej Rzeczypospolitej. Wnet sześciu przyskoczyło, odwróciło Piotrusia, przegięło i...

— Eee... rraz! — w filong jak taranem.

Za drugim razem Piotruś przeleciał na tamtą stronę przez wyłamany filong. Ktoś sięgnął ręką, przekręcił klucz, wywlekli kłnącego Piotrusia, oczom ich przedstawił się widok straszliwego zniszczenia. Słoń w składzie porcelany zachowałby się rozsądniej. Szklana szafka była urwana, niklowe pręty na ręczniki — połamane; dookoła pływają utensylia toaletowe, wyspy z namokłego prześcieradła kąpielowego, bidet tryska w górę gejzerem gorącej wody, przy umywalce odkręcone kurki walą pełnym strumieniem, a w wannie w kłębach pary kotłuje się całkowicie ubrany Zygmunt, usiłujący ratować się od parzącego wrzątku.

To był dopiero Król Migdałowy! Jedna z udatniejszych elekcji.

Rano wraca Mama, dzieciątka na szczęście prosto od dobroczynnych ciotek powędrowały do szkoły — uporządkuje się, zanim wróć. Król Migdałowy, przewleczony w Kingowe giezło, chrapie wraz z dwoma wicekrólami w gościnnym pokoju. Mama chodzi po tym dzikoludztwie, z obrzydzeniem ogarniając szatki.

— Pusiuniu — mówi najśłodszy głosem — chodź tu na chwileczkę. Tu — na kanapę mamową. Miejsce kaźni. King już wie, jaka to będzie „chwileczka”, i idzie ze stulonymi uszami.

— No, czy sam jesteś zadowolony? — idzie z kanapy dydaktyczny smrodek. — No, czy ci samemu przyjemnie?

— Mm — myczy King. Oczy ma napuchnięte, łeb mu trzaska, ma zgagę, z kuchni gęsto cyrkuluje herbata z cytryną.

— Mm — ogania się jak może od mamowych dociekań.

Więc Mama — syfon. Więc Mama — okład zimny na czoło. Okno na przestrzał. Czarna kawa.

A wszystko — jak u wyszukanych oprawców. Docuci — i znowu swoje:

— No, sam powiedz? No, czy ci przyjemnie?...

— Skądinąd — usiłuje King rozbroić Mamę, naśladowując mądrzący się język dzieci — przyjemnie.

— Jak to? Przyjemnie ci siedzieć z taką napuchłą głową? Przecież to najcichsze biedaki padają ofiarą waszych dzikich zabaw. I co żony tych wszystkich biedaków teraz mówią? Co myślą o naszym domu? Żebyś choć poił rutynowanych pijaków — ale to przecie spokojni przyzwoici ludzie.

King czuje, że dydaktyczny smrodek już nieco rzednie jak poranne mgły, i poczyną przezeń przeglądać zaciekawione niebieskie oko mamowe. Zna to oko. Po raz pierwszy je ułapił, kiedy za narzeczeńskich czasów przyniósł ikonę Kazańskiej Bożej Matieri i powiedział:

— Powieś to nad łóżkiem zamiast waszych słodkich polskich Madonn. Częstochowska jest nasza, bizantyńska, czarniawa i hieratyczna, aleście ją przez setki lat wyrafaelili, wysłodzili. Mój Bóg jest groźny Bóg, Hospodi pomiluj mienia griesznawo, a nie wasz katolicki, z którym jesteście za pan brat; pierze sobie skubiąc w Adwencie, ziarno przebierając, rozsiadziecie się przy stole pod lampą, kundle pod stołem się iskają, baby folwarczne siorbają nosami — gdzież tu jaki strach? Siano podmokło — wzywa się Pana Boga, niech w dyrdy leci pomagać; ogórki schną — to samo, szopki robicie, Dzieciątko sławicie, Pana Boga Ojca za tym nie widać, a już co do Ducha Świętego, to i szkoda gadać. Miałem archimandrytów unickich w rodzie. To mój Bóg.

I wtedy Mama po raz pierwszy spojrzała tym okiem. Niebieskim. Jasnym jak sama jasność. Zgorszonym i strwożonym. I ciekawym. Ilekroć ta ciekawość przemagać poczyniała, King nabierał otuchy.

Więc i teraz mówi czającym się głosem:

— Widzisz, to takie zabawne: przyjdzie kilkudziesięciu rozsądnych ludzi, a wyjdzie kilkudziesięciu wariatów.

I zaraz, wykorzystując wyłom w dydaktycznym smrodku — do ataku przez wyrwę: że alkohol wyzwala człowieka; że ona sama widzi, że przecież alkoholu jako takiego on nie znosi; że tylko ciekawy jest ten „rausz” alkoholowy, który każe człowiekowi być właściwym sobą, mniej ostrożnym, mniej czającym się wobec życia i bliźnich, który potęguje jedną z czterech „mokrości”, co według Reja są przyrodzone ludziom i najsmadniej przy kuflu się ujawniają. Przy alkoholu pękają zastarzałe wrzody, wyszarpują się na światło dzienne skryte kompleksy, jeśli komu ma być powiedziane, że jest „świnia”, to wreszcie będzie powiedziane, z nagłą postanowieniami się stają niedonoski projektów. Teraz niejeden z nich ma nie tylko fizyczny, ale i moralny kacenjamer, jak ból po wyrwaniu zęba. Ale zagoi się — i będzie rad, że wyczyściło się, sypnęło, przecięło się. A ile nowych bruderszaftów zawarto, a jak pomstujący przeciwnicy polityczni sobie powiedzieli wszystko, co trzeba, zobaczyli, że nie taki diabeł straszny... Ot, Żydzi mądry naród, a tacy zaciekli w sporach między sobą, tacy skłócenici... Bo nie mają magicznej formułki: „Pójdziemy na wódkę” albo: „Zapijemy”. Że chyba ona wierzy w dobrą naturę człowieka, bo on, King, wierzy. I ona wierzy? — no to powinna sprzyjać wszystkiemu, co tę właściwą naturę człowieka wyzwala.

— Trrr...

King długo rozmawia przez telefon i wraca z rozjaśnioną miną. Okazuje się — dzwoni wybitny parlamentarzysta. Wrócił zawiany, pamięta tylko, że zdejmowany but odleciał mu za daleko, więc gwizdał na niego i kiwał, żeby się zbliżył do łóżka, bo jego panu zajmować się nim — zbyt trudno. Rano obudził go telefon komunikujący, że wygrał pół miliona złotych na Pożyczce Inwestycyjnej. Wziął to za senne marzenia i zasnął aż do chwili, kiedy przyszedł do niego reprezentant firmy samochodowej, następnie reprezentant dywanów perskich.

— Widzisz — mówi King — „napijesz się i będziesz nagrodzony”, jak pisał Milton w Raju utraconym.

Królik, który właśnie dyskutuje z wszechwładnym dozorcą Gromkiem co do naprawy filonga, dawno już przestał borykać się z Kingiem o jego cytaty — która prawdziwa, a która zmyślona.

— To jednak ja tymczasem nie będę wstawiać filonga — mówi do Gromka.

A kiedy dozorca wyszedł, wyjaśnia:

— Mam tkaninę „Ładu” — upnę ją; będzie na następny rok bezpieczniej.

Dz-z-z-żń! Dzieci wróciły.

Niosło je, jak niesie sportowca po wynik najbardziej emocjonującego poolu.

— Mama! Ilu królów?

Biedny król z wicekrólami również wyczmychiwać się poczynają. King w otoczeniu rodziny przyjmuje ich uroczyście, jednego za drugim. Dzieci są uprzedzone, że każdy będzie dowodził, że ma mocną głowę, że wcale nie był pijany, tylko się struł. Przy drugim wicekrólu dzieci nie mogą wstrzymać się od śmiechu i podczas kiedy Królik robi bolesciwie współczujące miny — wybiegają z pokoju.

Czy przycinać?

Mama wchodzi do biblioteki, w której King czyta. Właściwie biblioteka nie jest miejscem porządnej pracy, tylko bałaganienia się intelektualnego.

Mama wierzy we fluidy i pokój przymierza do rozmowy. Z rachunkami, kwestiami natury gospodarczej, rozplanowaniem czasu, wizyt, sprawunków, przychodzi zwykle do gabinetu. Dobrze jest układać sprawy przy odmierzonym rzędziku reference books i kilku encyklopedii, przy tej lampie z błękitnym światłem, kręcącej się na różne strony, nożyczach do papieru, uwieszonych na sznurku, przystawionym stoliku żaluzjowym z wiecznie gotową maszyną do pisania, telefonem na biurku, mając za świadków te tam różnokolorowe ołówki, kleje, spinacze. W salonie nigdy rodzice nie rozmawiają ze sobą — jest to najgłupszy z pokoiów. O dziecinnych sprawach, zwłaszcza z dziećmi, mówi się często u nich w ich ciepłutkim, wesolutkim jak piskłące gniazdko pokoju. Na tarasie mówi się o rzeczach przyjemnych, którym nie przeszkodzi żaden z ludzkich ani zwierzęcych domowników. Na kanapkę mamina wzywa się Tatę, kiedy ma dostać mycie głowy i Mama chce być koniecznie górą.

King siedział przy kominku w głębokim fotelu, mając przed sobą specjalnie przystosowany pulpit, zwany przez dzieci „czytułka”, na którym leżał atlas geograficzny i rocznik statystyczny. Zsunął pantofel i dotykał nogą zwiniętego na dywanie Gawła. Kiedy ręka Kinga spocznie na kolanie, Gawł podnosi piernikową szurpatą mordkę i dotyka jej czarnym, ruchliwym, zimnym i wilgotnym nosem. Chińska filiżanka, cienka, jakby zrobiona ze ścianki osiego gniazda, zawsze ta sama, stoi wypełniona do połowy niemal ciemnym miąższem po tureckiej kawie. King gryzie bardzo płaski munsztuk Dunhilla, choć fajka już się zapewne wypaliła. Biblioteka, oświetlona tylko przyćmioną lampą wbudowaną w kominek, jest przesiąknięta zapachem kawy, tytoniu i żywicy, którą perlą się trzaskające polana. W pokoju dobrym do pracy powietrze też musi być umeblowane, nie może być bez wyrazu.

Mama siada naprzeciwko na fotelu i King wie, że będzie jakaś ważna i ciekawa rozmowa. Biblioteka, ściśle wyłożona puszystym, ciemnozłocistym dywanem, opłynięta takimiż ciężkimi kotarami, z wielkim kominkiem projektu Tołłoczki, idącym aż do sufitu, zrobionym z surowej wyprawy wapna, z jedynym ornamentem wstawionych na kant dachówek, barwionych bydlęcą krwią, wmurowanym piaskowcem z surową herbową strzałą, cegiełkami malowanymi przez Lorentowiczównę na tematy wszelkiej scjenci i makatą złocistą w nielicznych miejscach pozostawionych na ścianie przez półki i boazerie dębowe — jest miejscem wypoczynku. Jakże przyjemnie jest brać w palce katalogi kłamrowe tematyczne, katalogi nazwiskowe i dysponować sobie najróżniejsze menu, dodając tego, podsypując owego, sprawdzając jedno drugim.

Te książki są zabawnie różne. Jeszcze zabawniejsze niż ludzie. Żeby człowieka ocenić, należy z nim zjeść beczkę soli. Taki jest zmienny i różnoraki. A czyż książka jest inna? Tylko że książki trzymamy w strasznym obozie koncentracyjnym, okrutnie poklasyfikowane. Ludzie w takimże obozie, topornie posegregowani kolorami naszywek na pięć kategorii: polityczny, złodziej, prostytutka, alkoholik, zboczeniec — już wydawali się pięciokrotnie mniej skomplikowani. A ileż więcej nalepek ma książka: nalepka imienia autorskiego, nalepka tematyki, nalepka gatunku literackiego, nalepka aktualności, nalepka przynależności ideologicznej, nalepka wydawcy, formy graficznej, papieru, czcionek, oprawy, impresja oceny, rzadkości, numerowania, okoliczności wydania.

Tak to całe bractwo jest wzięte w kluby katalogów kłamrowych, tak zagnane komentatorstwem, postygmywane werdyktami, że zipnąć nie może pod ciężarem trzech gwiazdek w Baedekerach literackich (extra fine!..).

Jak w katalogach po różniczkujących działach, tak i w bibliotekach amatorskich po innych półkach mieszkają książki niby po różnych apartamentach, poczynając od wspaniałych salonów wydań zbiorowych w skórę oprawnych, w tłoczenia złożone i wielobarwne — skończywszy na poddaszach, na półkach najwyższych — gdzie ciśnie się nieoprawny postrzępiony plebs z przygiętymi rogami, z całymi partiami nie porozcinanymi.

Chodząc po wyżwirowanych ścieżkach tych doborowych parków bibliotecznych, musisz się zachwycać wszystkim i trudno przyznać sobie samemu, że wiele wierszy Norwida wydałoby się grafomanią, gdyby tam bytowały pod sufitem, że grafomanią wydałby się Grób rodziny Reichstalów Krasieńskiego czy Wiry Sienkiewicza. A z drugiej strony — te wymuskane tony poezji, które nie zawsze chwytam, te fundamentalne dzieła, które często z trudem przyswajam.

Dopiero łącząc po górnych półkach człowiek się czuje jak na peryferiach tego wymuskanego ogrodu. Skończyły się strzępiaste frymuśne tulipany dla znawców, u których dohodowano się nieoczekiwanych plam, jakieś niesłychane okazy róż, ogrodzone jak pomniki na skwerkach, storczyki kryte szklanymi kołpakami — wszystkim tym nie udelektujesz się jak należy bez katalogu, bez rodowodu. Omijasz tu i tam sławne tomisko, wydęte, napuszone wielkością, podagrycznie nieomyślne i nieznośne — tym właśnie może najbardziej nieznośne, że muszą brać na wiarę, co mi opowiadają. Ta jaśnie wielmożna magnateria to są ci goście w moim domu, którzy mnie terroryzują, którzy mi zaszczyt przynoszą, przebywając pod moim dachem. Rozmawiają ze mną z wyszukaną grzecznością wielkich panów; pozwalają zwracać się do siebie, radzić się, zapytywać, ale moja osoba gruntownie ich nudzi i palca żadne z nich nie zagnie, żeby mi coś wytłumaczyć. Prześmiewają się między sobą krzywo safianowymi szyldami: „niech idzie, głupi, do eselbrucków”.

Odbijam się na tych książkach ze średnich rzędów. Wiele z nich nosi nawet moje barwy — standaryzowaną oprawę. Tym mówię bez ceremonii: „Niech skoczy do sąsiada i niech przyniesie”, „Niech sprawdzi”, „Niech przeliczy... pomnoży... doda... porówna”, „Niech no tam zajrzy i przyniesie wiadomość”. Średnie półki pełnią służbę właściwą: To jakby ogród warzywny, z którego wybiera się, co trzeba, pichcąc obiad.

Z tych to półek-warzywnika uciekasz do wyższych, niby w grządki coraz bardziej zapuszczone, aż najdalej pod płot parku, gdzie depczesz, jak chcesz, po zielonej pospolitej hołocie. To tałatajstwo jest jak formacje nieregularne, na które nie starczyło introligatorskiego uniformu, i tak jak formacjom rozdaje się tylko czapki — im rozdano tylko exlibris dwubarwny Chrostowskiego, a poniektóra książka, o której wiadomo z góry, że miejsca nie zagrzeje, nieraz nie ma i tego. Tu, pod tym płotem biblioteki, nie ceremoniujesz się z zielskiem, kreślisz na marginesach, zginasz, wynosisz do ogrodu, zapominasz na noc pod krzakiem, pękami rozdajesz znajomym, czytasz na wrywki, ot, za indeksem umieszczonym na końcu, tropiąc niewyszukany swojski smaczek.

I naraz jakaś taka zieleninka, podniesiona do oczu, tak ci szepnie drobniutkim niedostrzegalnym kwiateczkiem, że jego filigranowość, w której zamknięte są tajemnice żywe i przedwieczne, spłynie w ciebie ciepłą falą. A taka już najbiedniejsza czasem książka, co już nic nie ma, jak ta roślinka zbyta choćby kwiateczka — otworzona na chybił trafił, jawi się nagle jak ta roślinka zerwana i wyniesiona na do obłoków; kiedy niespodziewanie zwierzy ci taką przemyślność wiązania, taką grandezzę w profilowaniu listeczków, taką wolę chciwą życia i taki wykwint i umiar, taką rośność i polność, takie związanie z ziemią i z wiatrem, i z cieniami chodzącymi po niej — że aż zda ci się czymś nierealnym, jakąś krużą sączącą pasma modlitwy do nieba.

Jeśli wchodzę do prywatnej biblioteki, a nie widzę na górnych półkach tej papierowej hołoty śpiewającej Bogu niewymyślnymi słowami — czuję się nie w lesie, tylko w zoologu, gdzie w miedzianych prętach siedzą na łańcuszkach cudne, drogie, kolorowe, katalogowane ptaki.

Mama patrzy na czytułkę, na atlas i na rocznik i pyta dobrotliwie:

— Kwiczoły?...

Jest to znowu słówko rodzinne. Pochodzi z czasów budowania Domeczku. Zaistniało zagadnienie przeciągnięcia windy z kuchni na dole przez stołowy i pociągnięcia wyżej — do Mamy pokoju — i wyżej — do dziecinnego. Mama nie chciała, żeby było widać windę, Tołłoczko wykombinował kredens idący pod sufit i w jego części przeprowadzono windę. Od kredensu szły w boki dwie skrzynie-regały na bieliznę stołową, wbudowane w boazerię obiegającą stołowy. To teraz Mama nie chciała mieć „ciężkiego grata”, „organów”, „straszydła jakiegoś dębowego”. King musiał wymyślać, jak by tu rozwiązać i wykorzystać tę arkę Noego. Stolarz, niezapomniany pan Herodek, dumny z tego, że w Brukseli robił sypialny dla Cleo de Merode na zamówienie Leopolda belgijskiego, pocił się i sapał. Geniusz mu się otwierał dopiero po wypiciu całej butelki śliwowicy jugosłowiańskiej, rocznik 1890, z niebieską etykietką. Imć Herodek już takiejże śliwowicy z 1895 z etykietką czerwoną nie uznawał, jak nie bardzo chciał uznawać innego Martela niż ten z drobnym maczkiem napisów „extra” na etykiecie. Trzeba było czekać, aż stęknie z głębi grubego brzucha, podniesie wołowe oczy i zachwali: C’est fort, mais ce n’est pas mechant. W stosunku do mebli mawiał przeważnie pogardliwie: Cest vieux, mais ce n’est pas ancien. Po tej pochwie trunku można było dopiero przystąpić ad rem planowania, omawiać ułożenie słoí „w pióro” na drzwiach jesionowych, taksować okropny dyrektoriat przysłany przez starozakonnego Sieradzkiego z Kalisza (który Herodek upierał się immediatement zwalić na opał) i patrzeć, jak staremu mgłą zachwyty zachodzą oczy, kiedy próbował gładkość politurę na kancie jakiejś robaczywej komódki Biedermeier. Pan Herodek prychał, pomstował, drżał z oburzenia na „koczkodana z windą”, i strapiony King, który ubrdał sobie teorię, że wszystko jest piękne, co jest w najwyższym stopniu celowe, był osaczony przez komplet Królikowo-Herodkowy.

I wówczas „badzając się” z tym kredensem, budując i przebudowując jego szuflady, regały, półki, ślepe drzwi, podwójne dna i skrytki — począł sobie marzyć. A co by było, gdyby wróżka powiedziała: „Dam ci taki bufet, że w każdej szufladzie będzie co innego; zawsze gotowe do jedzenia, zawsze gorące. Planuj tak, byś miał największy jadłospis”.

King pocił się, rozplanowując setki szufladek, wyszukując pudełka ze smakołykami jak najmniejsze (jedno wyciągniesz, a już na jego miejsce jest następne). A cukry? A napoje? Na takiej małej przestrzeni?!

Innym razem wróżka była złośliwa: „Będziesz miał zawekowanych tyle ptaków jadalnych, że każdego następnego będzie dwa razy więcej niż poprzedniego. Ale warunek, że nie może być dwu ptaków jednakowej wielkości”.

Im więc mniejszego ptaka wybierze na początek, tym większa ilość wielkich ptaków będzie na końcu. King próbował więc mieć jednego mysikrólika, dwie sikory, cztery wróble, osiem skowronków (tu była obawa, czy skowronek nie jest równy wróblowi, i wtedy przepadnie dar wróżki), aż dochodził do weków z kilkudziesięcioma tysiącami kazuarów i około milionem strusi; wówczas miałby zapewniony byt do śmierci. Ale wróżka wyraźnie powiedziała „jadalnych”, wobec czego odpadł mysikrólik, musiałyby odpaść skowronki (powołanie się na francuskich skowronkożerców, jak i na Włochów zapychających ucellini, mogłoby nie uchronić od zarzutu kantów), trzeba było poczynać od: jeden kwiczoł, dwa bekasy, cztery przepiórki. Czy też odwrotnie: jeden bekas, dwa kwiczoły? Który większy? — dręczył King Bogu ducha winnego Królika, tak znakomitego kuchniologa, że na wycieczce

kajakowej położyła na patelni kawałek mięsa wielkości orzecha, będąc przekonana, że mięso tak samo narosnie jak baba w piecu, co widziała na własne oczy u Reginowej.

— Daj mi spokój ze swymi kwiczołami! — odpędzała się z oburzeniem. — Dorosły nierób takimi głupstwami się zajmuje.

Trzeba było machnąć ręką na pomoc od ludzi. Ale od czego eksperienca kulinarna? Powołało się ambelopulia, ptaszki jak mak, objadające cyprijskie figi, dobie w marynacie, znane jako „ostryga Dodekanazu”, ale kazuar i struś musiały wypaść z jadłospisu, sprawa kończyła się głuszcem, choć z okropnymi obawami, że indor okaże się tejże wielkości. I rezultat końcowy był wiele mniej imponujący.

Mama więc teraz pyta — czy znowu „kwiczoły”? Okazuje się, że tak. Tym razem publiczne, równie durne jak kwiczoły kulinarne. Że — powiedzmy — wróżka daje Polsce tyle a tyle kilometrów dróg, tyle a tyle inwentarza, tyle a tyle surowca, takie przewarstwienie ludności, takie oto przebudowy hydrograficzne, tyle a tyle budynków, szkół, szpitali, tyle obrabiarek i tak dalej. To wszystko jest związane bardzo srogim warunkiem: ma być streszczone w dziesięciu żądaniach, przy czym żądania muszą być celowo powiązane ze sobą i proporcjonalne. A tu albo rezerwa pieniężna (co do której wróżka zastrzega, że musi być stosunkowo minimalna) okaże się jednak zbyt mała, by otrzymane świadczenia materiałowe same obstały, albo nadmierne wyposażenie jednego działu wywoła korek w drugim, albo w tymże samym dziale nie przetrawi się wszystkiego wskutek zbyt małego przewidywania w przewarstwieniu majstrów, albo tych majstrów za wiele się zaplanuje i pójdą do niewłaściwej roboty — a za każdym razem wróżka mówi, że cała umowa na nic, i odmaszerowuje ze wszystkimi ofertami, tak jakby odmaszerowała, gdyby w łańcuchu wekowanych ptaków wziąć dwa kolejne gatunki jednakowej wielkości.

Tata więc, choć w bibliotece jest tak zacisznie i przyjemnie, ma bardzo wiele kłopotu i z atlasem, i z rocznikiem. Mamy mu trochę wstyd. Nieraz ze sobą rozmawiali, że takie „kwiczołowanie” jest spadkiem umysłowości szlacheckiej, żerującej na przywilejach spadłych z nieba, na „jakoś to będzie”, na „ni z tego, ni z owego będzie Polska na pierwszego”, na słomianym ogniu, na marzeniach, na planach bez pokrycia.

— Cóż chcesz? — bąka King nakryty na gorącym uczynku. — Każdy musi jakoś wypoczywać. Czy to lepiej grać w bridża albo czytać powieści detektywne? A ty z czym?

A Mama z tym: że te nalegania Kinga, aby od przyszłego roku przenieść dziewczynki do państwówki, nie mają sensu. Rozwydrzasz dzieci, uczysz je tylko szukać ciągle i ciągle czegoś, żeby nie było nudno. Pięknie to nazywasz, a co to jest w gruncie rzeczy? Pogoń za życiem ułatwionym. Tam u zakonnic przynajmniej jakiś sens moralny rządzi życiem. Niech będzie atmosfera zabarwiona tak czy inaczej, ale niech będzie. Ot, zobacz, ta pocziwa łacinniczka, siostra Laurenta, czyta im teraz Plutarcha Żywoty sławnych mężów. Co się ciągle natrząsas z tych „okrętów strzaskanych”? Niech sobie... A Plutarcha wolę niż wypisy szkolne z ełozami panów Prztyprztyckiego i Iksińskiego. W rządówce jest wypompowana wszelka atmosfera. Wiecznie „wkroczył” (to znowu słówko-wytrych: na wszelkich obchodach powtarzało się dzieciom do znudzenia, że 6 sierpnia Komendant wkroczył, że siedmiu ludzi niosło pięć siodeł czy też odwrotnie; kierunek piłsudczykowski, nasiąknięty bohaterską młodością, nie był w stanie stworzyć nowych wartości, czekał na zmianę warty, której tak bardzo nie było widać).

Nie wiem, czy istnieją rozwścieczone króliki, ale jeśli są, to akurat takie. King, wprawiony w hodowlę Królika, mówi, patrząc w ogień, że tak, że może racja. Wtedy zwykle Królik trąd kontenans. Gawel wstał, położył jej głowę na kolanach i patrzy orzechowymi oczyma. Polano trzasło i prysnęło ogniem — na ciepło, na znak.

— A co ty myślisz? — dopiero wtedy pyta Królik.

— Siostra Laurenta... Plutarch... bardzo pięknie. A jak ci się podoba książeczka, którą dziewczynki obdarowała gruba i pocziwa siostra Barbara?

Królik, pełen zdumienia, składa ręce. Książeczka mówiła o ubogim, cnotliwym dziewczęciu, mieszkającym z matką w chatynce pod lasem; dziewczynka wróciła prędzej z kościoła, by matkę uwarzyć ubogą strawę, ale za nią spod kościoła pospieszył młodzian pałający ku niej nieczystą miłością. Trudno dalej streszczać ckliwo-cnotliwo-bogobojny język żywotów Świętych Pańskich w przystosowaniu dla kucharek, dość że młodzian, kiedy cnotliwa dziewica odmawiała, zgwałcił ją i zamordował; matka, po nagadaniu się z kumoszkami, zastała zamiast obiadu spreparowaną córkę i nic tej sadystyczno-seksualno-kryminalnej historii nie mógł osłodzić fakt, że dusza cnotliwej dziewczyny znalazła się w raju.

Królik w ogóle ma biedę z lekturą Dudów, szmygających po bibliotece. Trudno do czegokolwiek zakazywać wstępu, trudno zabraniać jakiejś książki, ale jakże nie wyrwać z rąk Zmór Zegadłowicza, które King przywłókł do domu. King się irytuje, że nie będzie zastawiał sitem napływu książek do biblioteki, według potrzeb młodszych klas w zakładzie „ciotek - babek”, więc matka, jak kokosz osłaniająca pisklęta, stara się działać prewencyjnie.

— Tilusiu — wykrzyknęła — czytasz Szczenięce lata!? — i mdleje ze zgrozy, na myśl o „niemożliwych” ustępach.

— Ja jej, mamusiu, pospinałam agrafrkami miejsca, których ma nie czytać — uspokaja Krysia, starsza o niecałe dwa lata.

— Widzę, że je chcesz jednak zabrać od sióstr — mówi Mama. — Cóż im dasz na to miejsce?

— Pytasz, co im da państwówka? Twardość życia, której nie mają w domu — przechodzi do kontraktaku King. — Są tam ubogie dziewczyny z różnych sfer, biedne nauczycielki, zmuszone dla kariery urzędniczej rozbudowywać „Straż Przednią”. Jest atmosfera rozpychania się łokciami. Im prędzej, tym lepiej.

— Ale to przecież okropne...

— Pewno, że lepiej, aby dom dał im twarde życie. Ale z tobą... — macha ręką King. Akurat pod oknem przesuwają się Krysia, wracająca z maneżu w bryczesach i meloniku — czy koniecznie musi jeździć z tymi snobistycznymi małpoludami? Bo napała się? Cóż, dobry powód. A języki jak skała, bo ją to nudzi. Ach, Krysiuni to nie zajmie, ach — trzeba przerwać!...

— Ależ ty sam rozpuszczasz dzieci. Z każdej lekcji, z każdego zajęcia zabierasz je, ile ci razy trzeba, na jakieś wspólne przyjemności.

— Po pierwsze, nie rozpuszczam, a po drugie, to moje prawo. Ja zarabiam na chleb, ty rządysz domem. Ja tylko pomagam. Ty musisz tworzyć prawo domowe. Im twardsze, tym lepsze. Tym mniej łupnia od życia dostaną.

King spodziewa się kontraktaku. Ale Mama podnosi w zamyśleniu oczy na ogień i mówi cicho, jakby sama do siebie:

— Co ja zrobię... Nim urodziła się Krysiunia, myślałam wiele o wychowaniu, czytałam książki pedagogiczne, sądziłam, że coś wiem... Ale porodziły się takie inne. Ani w ciebie, ani we mnie. Przecież Tili zawsze twierdzi, że jest podobna do Frani. Takie chłopskie dziecko, Kmiotek-Roztropek. Pamiętam, miała dwa latka, ledwo to mówić mogło. Widzę, że usiłuje zgnieść patykiem muchę chodzącą po szybie. „Czemu chcesz zabić muchę?” — „A po co tu łązi?” Raz po raz zaskakiwały mnie w tych moich teoriach. A Krysia — płomień na wietrze... Więc już tylko sobie powiedziałam: idź za dziećmi w ich rozwoju, a nie przed dziećmi; niczego nie wymagaj, wszystko porządkuj, tak jak ich zabawki po skończonej zabawie; nie miej swego ideału dziecka, do którego je będziesz podciągać; nie chciej ich mieć takimi, jak sobie wyimaginowałaś — patrz, co z gleby rośnie; nie obciążaj ich sprawami starszych; niech mają prawo do dzieciństwa.

Tata z upodobaniem patrzy na Mamę. Kiedy się tak rozświecła, mówiąc o dzieciach, jest jeszcze piękniejsza niż w narzeczęskich uniesieniach. Duszę Tatę zalewa wdzięczność za ten „panteizm” Mamy. On sam na równi z dziećmi uczy się od Mamy, że każdy robak myśli,

kwiat cierpi, przedmiot martwy ma minę zdradzającą, że mu przyjemnie lub nieprzyjemnie. Stąd przekonanie, że dusza dziecinna jest czymś tak zachwycającym, samołuskliwym, samokwietnym, co chwila zmiennym, że tknąć tego nie wolno, tylko osłaniać od wiatru i patrzeć, jak rośnie. Stąd — ten najgłębszy, słowami trudny do określenia stosunek Mamy do otaczającego życia, sprawiający, że ludzie nablizający się do dziecinnego życia nie są klasami, zawodami, warstwami, tylko samodzielnymi — każda sobie — duszami, które dookoła nas rosną jak rośliny w ogrodzie.

— Ty mówisz — uspokaja się Tata, sięgając do przełącznika i pozostawiając tylko światło stonowane — że dzieci rozwydrzam. Musi być podział ról: my z dziećmi maszerujemy naprzód, ty porządkuj, pilnuj.

— Ale ty mi dajesz zbyt trudną rolę. Musisz oglądać się na moją robotę, jak ja pokrywam twoją. A czy to łatwo? Wczoraj był znowu ten pocziwy profesor, którego przezwałeś „Korzonek świętego Sulpicjusza”; on taki dumny ze swoich synów, tyle w nich wkłada. Mówi: „Moi synowie nigdy w ustach nie mieli nawet kropli wina”, a ty mu: „A moje dziewczynki już dwa razy były pijane”. I to przy dzieciach. Mniejsza o to, że Korzonek zaniemówił i powtarzać będzie lichy wie co. Ale potem nie mogę sobie dać rady z dziećmi: na wszystko jest odpowiedź, że Tata na to by pozwolił, że Tata tego nie zabrania, i ten protekcyjny ton do Królika.

— No pewno, że są niebezpieczeństwa przy tym wychowaniu. Ale jaka generalna zasada? Żeby nie zwalczać tak zwanych pokus zakazami, bo na dnie pociągu do pokusy leżą zwykle naturalne pobudki. Tylko wysunąć inną, szlachetniejszego typu atrakcję. Pamiętasz, jak małętasowi chciało się „neronić”? To wtedy kupiłem składak. Na pierwszą wycieczkę pojechaliśmy Wkrą, obnosiliśmy szesnaście młynów, wymarziśmy i grzaliśmy się, wygłodnieliśmy i obżeraliśmy się. Wyneroniliśmy się po swojemu. A Korzonek zabrania spróbować alkoholu. Zaproś tych jego synów na najbliższy wieczorek. Spróbuję jego flancem zaproponować wino. Zobaczysz, jak się przypną.

— No dobrze, ale dusze dziecinne chcą nie tylko wyżycia się, ale i ideałów. Jak im nie pomóc?

— To potem przyjdzie, wraz ze Sturm-und-Drang-Periode. Nie wierzę, żeby dziecko do lat czternastu potrzebowało coś formułować. Ono w tym wieku tylko gromadzi. Wczoraj znowu przyszedł ten drab, co udaje, że mu się koło rozsypało i musi przymusowo sprzedać drzewo. Narwał się, zapominając, że już raz Węża oszukał. Widzę, stoi i wyklóca się z Wężem. Wziąłem za kark i wypchnąłem. Narobiło się nieco hałasu, oglądałam się — procesja schodzi z góry: Pyton, za nią o stopień Sancho Pansa. Obie beczą.

„Co się stało?” — pytam.

...A Krysia pochlipując:

„A może ma żonę?”

...A Tiłi takież:

„A może ma dzieci?...”

...No więc co? Czy wróćą do swego pokoju i na kolację już przyjdą z gotową teorią? Że ojciec w gruncie rzeczy sam przed sobą znalazł godziwy pretekst, żeby dać po karku, rzekomo za oszustwo, kiedy, po prawdzie mówiąc, był oburzony, że drab śmiał zadzwonić z frontowego wejścia? Czekaj, wylezie to kiedyś. Ale tymczasem tylko zmagazynowały. Jeszcze się narobimy po łokcie, układając w swoim czasie ten bric a brac. Ale niech będzie co układać. A jak się zwykle robi? Śliczny chłopaczek, puściutka jeszcze pięcioletnią główką — jak złoto, hasa na kiju. Woła się go i dopiero piła odchodzi: „Kto ty jesteś”, „Jaki znak twój?” „Czym twa ziemia?”, „Czym zdobyta?” Polakierują takie futerały, wsadzą dzieciaki i każą paradować. A ja chcę, żeby rozkręciły każdy zegarek.

— Ale przecież w Anglii, która hoduje zdrowych ludzi, co dzień przez stulecia ojciec czytał dzieciom Biblię, a teraz taką Biblię ułożono im na każdym polu. Młody gentleman

rośnie w zasadach sportowych, etycznych, obyczajowych, towarzyskich. Jakże to osiągnąć inaczej, niż dając formułki? Chcesz hodować dzieci jak jakichś Tarzanów, dzikoludów aż do pełnoletności? Potem myślisz, że złapiesz tych dzikoludów na laso i mając wyhodowany świetny surowiec — ukształtujesz? Może być za późno,

— Ale i ty zaczynasz mówić paradoksami, choć na mnie za to się irtujesz — broni się King, biorąc dwoma palcami czarny psi nos i z lekka go ściskając. Trudno mu wyjęzyczyć się, szuka jakiejś formuły na to, co czuje. — Widzisz, Zachód to nie my. My jesteśmy kraj przejściowy. Możemy ze Wschodu i Zachodu brać i to, co dobre, i to, co złe. Dobre nabywa się większym wysiłkiem, więc i stąd, i stamtąd bierzemy złe. Anglik, jeśli każe dziecku wierzyć w gotowe formułki, jeśli strzeże od kolebki duszę dziecinną, to za to jej coś daje — podbudowę charakteru. To właśnie ten twój układ z dziećmi w drodze w mroź z Kowna. U nas wystarcza, jeśli się dziecko przyszyje, bez zasilania gruntu. Można, jeśli komu wola, strzyc gęsto rosnący żywopłot. Ale jak możesz nadawać formę rozchwianemu rzadkiemu krzakowi? Jedyna jego forma, od Boga dana, to rozchwiejność. Tak hoduje ludzi Wschód. Ale na to jesteśmy zbyt zachodni. Ostrzyżemy każde bogoiskatelstwo. I tak nasze wychowanie płynie: szukaj na własną rękę Boga, boś Zachód, nie maszeruj w gildzie, boś — eufemicznie mówiąc — Polak, co w gruncie rzeczy jednak wykląda: boś Wschód. Z tego wiesz, jaki powstaje krajobraz świata? Od Zbąszynia na Zachód — strzyżone szpalery. Od Stołpców na Wschód (mówię o dziejach) — wielki las popróchniałych, pokancerowanych drzew, pełno w nich dziupli smrodliwych, płazów, próchnicy — ale szumi. A pomiędzy tym i tym ktoś się szpetnie zabawiał... leszczynę usiłując strzyc w geometryczne figury. No, co najlepszego mogło u nas wyrosnąć? Żeromszczyzna, która tak się ma do dostojewszczyzny jak podstrzyżona leszczyna do wypróchniałego dębu. Judym? Nonsensy! Sieczka... Poszlachecka żeromszczyzna, wszystko po to, żęty móg słowami bez pokrycia wykręcać się od rzeczywistości. Anglik codziennym poddawaniem się przepisom płaci za swój światopogląd. Przecież każdy z nas nie będzie za swój płacił rozstawianiem się z jakąś Joasią. Więc trzeba konwertować. Konwertuje się na to, że „jak trzeba będzie, to się umrze”. I umrze się, pewnie, jeszcze jak... Ale tymczasem można z niczym się nie liczyć. Lekarz z jednego z naszych statków opowiadał, że wyszmuglował za jednym zamachem sześć maszyn do pisania z Ameryki. Z jaką dumą, z jaką chępliwością! W towarzystwie, publicznie, chwalił się, że oszukuje państwo. To można, bośmy nie w jeden rząd wystrugani Niemcy czy Anglicy, bośmy pełni fantazji Polacy. Ale temu pełnemu fantazji Polakowi nie pozwoli się na anarchię, nihilizm, bogoiskatelstwo, bo jesteśmy ludźmi Zachodu. Et!

To „et!” oznacza, że King jest niezadowolony, że zasypał Królika słowami, w które sam się uplątuje. Na szczęście dzwoni gong na kolację.

— Jedno wiem — mówi wstając z fotela — że na Europę idzie szpetny czas: totalizmu. Dawna epoka indywidualistyczna musi być rozbita i nic jej nie rozbije poza totalizmem. Na ten szpetny okres rosną nam dzieci. I nie wiem, czy nawet w późnym swym życiu doczekają syntezy, nowej epoki, w której w maksymalnie planowanym społeczeństwie będzie się rozwijał maksymalnie wolny człowiek.

Ze stołowego pokoju dochodzą już głosy dzieci. Rodzice zatrzymali się w progu.

— Więc cóż będzie z nimi? — pyta Mama. — I jak je przygotować na to, co idzie?

King boleśnie wzrusza ramionami. Głównie na kominku przygasają. Gaweł już wywędrował, czując zapach półmiska.

— Wcale się nie zachwycam ani stylem naszego życia, ani atmosferą naszego domu, w której dzieci rosną; jest zbyt hedonistyczna pod płaszczykiem eklektyzmu. Przydałoby się im więcej twardości, więcej odmawiania sobie, więcej poświęcenia. Ale w imię czego? Gorszysz się, że jestem sceptyczny w stosunku do Piłsudskiego? Mówisz, żeby w coś wierzyć, za czymś iść? Ale za czym? Patrzyłem, co się robi w tych chłopskich ruchach, które pewno przyjdą na zmianę sanacji, albo u tych poendeckich nowatorów. Przecież to sieczka... A gdzie

indziej? Przecież to straszne... Świat cały jest na takim samym bezdrożu. Łapie się dyktatorów w ostatniej rozpaczy albo chowa się do kruchty, jak ty chcesz dzieci schować. Musi się przebudzić wszystko na naszych karkach, na karkach naszych dzieci.

— A cóż im dać tymczasem?

— Nie wiem. Wiem jedno: jak jest trudno szukać drogi, to trzeba iść za instynktem. Niech rosną soczyste ludki na nową epokę, której ani nie rozumiemy, ani nie możemy ogarnąć. Cóż, każdy na drogę do tej nowej stajenki, nad którą jeszcze nie wypłynęła na niebo żadna gwiazda — bierze do kobiałki, co ma. Mają w spadku kulturę sobiepańską, kolorową, niechże w niej rosną. Za Boga, niech nie mają dusz zestawionych z lakierowanych tubek z zasadami: „Moje dziecko nigdy nie dotknie kart. Przysięgłem mi to na całe życie”... Cholera — a właśnie moje szczeniaki już grają w bridża. Te lakierowane futerały, kiedy katastrofa dziejowa dusze ściśnie, popękają, posypią się jak tynk, odsłaniając bezbronną larwistą małżę w tej słabej skorupie.

I znowu czuje, że mówi nie to. Biblioteka już ciemna, tylko w głębi błyszczą żar. Rodzice wchodzi w jasny krąg stołowego, gdzie Dudki i Gawęł pogrążone są w jakiejś ożywionej, cieplej, niefrasobliwej rozmowie. King rozkłada serwetkę na kolanach i mówi do Mamy:

— Wiesz, co Moskale nazywają do czortikow dogoworitsial Ale przecież — ty jesteś Mama z mazowieckich piaseczków, z katolicką Madonną, z krzyżykiem na dobranoc — może nie dopuścisz „czortikow”?

Rozrost

Wodami Polski

No, więc szło tam jakoś to wychowanie clopin clopant. To znaczy „wyścig z pokusami”, o którym mądrzył się Tata w bibliotece. Zaledwie pierwsze wody poczynają ciurkać, a o pierś ziemi uderzył mokry wiatr, w Domeczku wyjeżdżały na stół mapy, szlaki wodne. Dzieci uczyły się, jak pachnie mapa. Mapa to jest książka, którą można czytać bez końca; gdyby mi pozwolono wziąć jedną książkę na dożywotnie więzienie, wziąłbym atlas świata z wszwarzowaną „setką kątów najdroższych”.

Dzieci jechały paluszkami po mapie, wiodły nimi pod prąd grubej krechy wielkiej rzeki, zbaczały w dopływy, bobrowały, pchały się na wyobrażalne tak cienkie niteczki, żeby wiosło uderzało o oba brzegi. King się wyśmiewał, że trzeba będzie jechać z rondelkiem, spod rufy czerpać wodę i pod dziób podlewać, ale sam był ciekaw tego, jak to, nocleg za noclegiem, woda będzie narastać, aż wreszcie wypłynie się na prąd wielki, na arterię główną.

Na razie mieściła się cała trójka w jednym kajaku, jak Gawęł z Malwinką w jednym koszyczku, nim podrośli. Ociupiny musiały wiosłować nie na żarty, rozbijać namiot, czyścić ryby, gotować. Obiady miały być luksusowe, z sześciu dań. Po obiedzie towarzystwo leżało pod werandą, która przedłużała namiot, i nie było ani planu, ani terminarza, który by skracał pobyt na jakiejś specjalnie miłej polanie leśnej. Dobrze było bardzo wczesnym rankiem rosnąć trawą iść do wędek, ale dobrze też było późnym wieczorem, kiedy się spływało już o gwiazdach mrugających z nieba, przybić do brzegu, gdzie miał być nocleg, i kiedy z nagłą zapalały się w ciemności okienka znamionujące bliską wieś, spłynąć do niej, wejść w obejścia pachnące udojem, zapukać do pierwszej lepszej chałupy o mleko; wejść w koło przasných ludzi, siedzących na ławach za stołem, rzucić dostojne: „Niech będzie pochwalony” — najstarszy paszport podróżny — i z wolna obmacywać się z tym głębinowanym, Tacie za mało znajomym, światem, do którego się spuszczał jak w skafandrze, podczas kiedy Dudki rozsiadały się i terkotały bez żadnej żenady.

A kiedy nocą wypadł deszcz, czasem burza z piorunami — jakże przytulnie było w szczelnym namiocie z gumową podłogą, z okienkiem celuloidowym, zaopatrzonym w żaluzje, z lampą elektryczną „sześćdziesięciogodzinówką” u sufitu, na nadymanych materacach, w suchutkach, czystych piżamkach pod ciepłymi pledami. Rdzawiste wody Szczary; kwietne łąki dokoła Broczyska; lasy nadnarwiańskie; ostry zryw Dniestru; błotnista Żłota Lipa; bezmiar Naroczy nudniejszy z kajaka niż z brzegu; Wilia słodka, że aż oleodrukowa; jeziora braćławskie, gdzie się szerzy spustoszenie w ławicach okoni, zalegających dno, pracując „na podrywkę” pustym haczykiem bez przynęty; ciche zatony śródleśnych jezior święciańskich, głębokich, w których stoją szczupaki olbrzymie jak pnienie; mszary jelniańskie, gdzie tylko przewodnik przejdzie cztery kilometry wiadomą ścieżką pośród skarłowaciałych, strupieszających tysiącletnich drzew, aż wreszcie otworzy się oko jeziora cichego, obrosłego wielkim starodrzewem; nudna Biebrza, Pilica, Warta; do pełna wodą nalane jeziora kartuskie, na których da się odkrywać wyspy nie zamieszkałe; rezerwat wodny Rożnowa, gdzie się upatruje góry w polach stojące, starając się zapamiętać ich czubki, które się staną po zalaniu wysepkami dobrymi na biwakowania kajakowe; przełom Dunajca, ku któremu się mknęło przy skrzypkach Cyganów stojących w wodzie, pod girlandami trzymanymi przez brodzące dzieci; wark zimny po kamieniach najpierwszej Wisły i mdła rozlana polewka Wisły ostatniej; tajemniczy „przepych” pod nawisem gałęzi z Jeziora Suwalskiego na Śniardwy. Miejsce nam tylko znane: ciemne oko przy brzegu Jeziora Wyganowskiego, z którego, siadłszy o świcie, przynosiło się na ranne śniadanie pełne parciane wiaderko okoni na doskonałą, tłustą zupę; łachy rzek ciche, odcięte od nurtu, zabiłone nenufarami, pozygzakowane wodnymi pajakami, drygające deseniem rybiego

drobiazgu na płytkim piaszczystym dnie, natłuszczone linami, stojącymi w pomroce podwodnej zieleni, bramowane krzykiem bekasów, piskiem czajek, biciem derkaczy, ciężkim zapachem łąki, zebrane w sobie jak państwo samo dla siebie, dzierzawa wodna niczyja, odcięta od zdarzeń, od świata.

„Bo mój syn, proszę pana, w ustach jeszcze nawet kieliszka wina nie miał...”

— W ręce twoje, Krysiu! W ręce twoje, Tilusiu!.. Słońcem, wodą, rosą, piaskiem, deszczem, szlamem, ziębem i upałem.

King mógł już zupełnie nie zachowywać się tutaj jak Tata. Rosło, z nagłą odczuwane ostro, towarzystwo broni: kiedy ciemną nocą nagle prąd chwycił na grzbiet i poniosł w niewiadome na porohy niemeńskie przed Grodnem, o których zapomnieliśmy, kiedy trzeba było nocować gdzieś w dół od Mostów w rezerwacie bobrowym na lepkiem bagnie o splątanych niby mangrowce korzeniach, kiedy skakało się po metrze w opiętym kajaku z młynowych spustów, kiedy z nagłą, znowuż za ciemna, wzdęty wał na Jeziorze Augustowskim wziął wysoko na grzbiet kajak i rzucił w dół, pod stopy drugiego wału, a małe ludki załogi „Kuwaki” wykazały dobrą i karną determinację, kiedy na Pisie rozmiażdżyliśmy z Tilusią kajak o stawidła i poszliśmy lejem na dno, a smarkacz wypłynął dołem ze śmiertelnego chwytu, złapał płynący po wodzie beret i wiosło i dobił do brzegu.

Bogiem a prawdą niewiele co może się stać na wodzie człowiekowi, który umie pływać, ale tłumacz to Królikowi! .

Kiedyś, kiedy „Kuwaka”, znęcona pachnącą leśną polaną, odłączyła się niepostrzeżenie od wycieczki ogólnoklubowej (King wyda zaświadczenie dla szkoły o grypie obu córek), Królik wszczął niebywały raban z telefonowaniem do posterunku policji w miejscowości, w której „Kuwakę” stracono z oczu. Komendant posterunku starał się uspokoić Mamę, informując rzeczowo:

— Mogło się zdarzyć, że jeśli na ustroni nocowali, to kto pałką po głowie dał; to się prędzej czy później wyjaśni, może pani być całkiem spokojna.

W wyniku tego kajakowania spotkał Dudy zaszczyt: Klub ofiarował „Pannie Krystynie” i „Pannie Marcie” (Tata się wyśmiewał z patosu dyplomowego — koci ogon — panny ledwo od dziesięciu lat odrosłe...) dyplomy ozdobne „za największy kilometraż sezonu”. Kinga natomiast czekała kompromitacja: ściał się na egzaminie kajakowym. Żeby otrzymać czapeczkę uprawniającą do wypływania na największy nurt na Wisłę bez ingerowania policji i jeszcze jakieś tam przywileje, i jeszcze jakieś — należało zdawać egzaminy wodne niższego, wyższego i bodaj najwyższego stopnia. King, dopraszający się wiecznie pomocy „genialnego mężczyzny”, miał czelność stanięcia do najwyższego egzaminu. A trzeba znać zazdrość „fachowców”. Zasiadło gremium z nadętym pułkownikiem na czele, z mocnym zamiarem podciągnięcia poziomu sportu wodnego.

— Jak się buduje łódź?

— Najpierw ścina się drzewo — logicznie dedukuje King.

— To my najprzód pana zetniemy — naburmuszył się pułkownik.

Proszę sobie wyobrazić gaudium Dudów, kiedy się dowiedziały o tym.

— Tata, czemuś się nie umówił z panem Sekundą, żeby ci podpowiadał? — pytały fachowo.

Niestety, major Sekunda, członek jury, milczał jak pień.

Czołowa wyprawa kajakowa na Prusy Wschodnie, opisana w Na tropach Smętka, otrzymała w rodzinnej punktacji wakacyjnej... drugie miejsce. Mimo wszelkie atrakcje. Mimo wszelkie egzotyzy.

King i Sancho Pansa wrócili wcześniej o dzień. Pourcette, onże Tiriporek, onże Chłopek-Roztropek, onże w pewnych okolicznościach — Jeroboam, był pewien pogńębienia Krystyny.

Na drugi dzień zajaśniało w drzwiach wejściowych. Krystyna wracała jako urodziwa Poleszuczka z bajecznym haftem na śnieżnych bufiastych rękawach, w fałdowanej spódnicy, w gorseciku, w fartuszkach. Wracała z tak szumnie zwanej „praktyki rolniczej” u państwa Zaleskich na Polesiu, z pierwszej swojej praktyki, gdzie już jednak podobno brano ją wcale nieźle do galopu. Roześmiana, pełna wrażeń, jak ją konduktor w tym kostiumie chciał do trzeciej klasy wyprosić (dzieci zawsze jeździły trzecią, ale tym razem „pracodawcy” umieścili ją w pierwszej klasie).

E-he-he!... A co Tili? Prawda, że jej King kupił „żywy” zegarek. Ale czy kupił coś choć trochę podobnego do poleszuckiego stroju? Czy może ma się z nim równać niemiecka kacabajka z Königsberg?

Krysia więc już przed startem wykazała dobrą formę.

Królik sędziował.

— Nocowaliśmy na wyspie na Jeziorze Uplickim. Tata nastawił radio i słuchał własnego odczytu z Warszawy, który przedtem nagrał na styło — wypala Tili z największej armaty.

Krysia aż drgnęła, ale wzięła lepszą taktykę — oszczędza się na finisz.

— Przez całe wakacje co dzień jeździłam konno...

Tili poruszyła się niespokojnie, ale się nie daje:

— To co, pojedę na Wszystkich Świętych i odjeżdżę sobie. A myśmy z motorkiem przejeżdżali ogromne jeziora.

Krysia nie przejeżdżała ogromnych jezior z motorkiem (który dopiero w Prusach kupiliśmy). Ej, zdaje się, mimo całą parcjalność Królika, który chce jakoś wynagrodzić Krysę, że nie pojechała za granicę, weźmiemy ją o kilka długości.

— Tańczyłam na dożynkach...

— No to co — mówi Tili. — Nieraz tańczyłam na dożynkach. — Ale widzę, że cios za ciosem trafia ją prosto w serce. — A ja widziałam Tannenbergdenkmal — ot, taki duży...

Ale Tannenbergdenkmal nie podzielał — nic a nic.

— My z chłopcami zrobiliśmy trzydniowy rajd konny na jeziora.

Boję się patrzeć na Tili. Po chwili jednak słyszę głos, głos dzielnego człowieka, który walczy do upadłego:

— Spod krzyża, na miejscu gdzie zamordowano świętego Wojciecha, schodziliśmy ku morzu i tam na morzu coś się działo i zaraz obskoczyła nas tajna policja niemiecka, i King mówił, że to są wysłannicy Smętka, i chcieli nas aresztować.

I zaraz, ni z tego, ni z owego, by podmurować siebie :

— A w hotelu w Królewcu był spis potraw, w którym było sześćdziesiąt siedem dań, i King obstałował Hohenzollemtopf.

Spoglądałam na Krysę. Krysia, która jeszcze nawet nie zdążyła się rozebrać ze swego poleszuckiego stroju, bawi się z udaną obojętnością wstążką od warkocza. Nie raczy nawet spytać, cóż to był za taki Hohenzollemtopf, tylko cedzi niedbale:

— Byłam na weselu Samunka...

Samunka! Ukochanego Ksawerego Samunka! Tego od najlepszej czwórki fernalskiej! Tego, o którego maleńka Tilusia błagała na dożynkach, „aby go nie nadepnijcie na nóżkę”.

King rozumie, że już chyba się nie podniesiemy z porażki. Podnosi oczy na swego partnera, a partner, dzielny współzawodnik w tropieniu Smętka, siedzi z podkówką nieruchomą jak za najmłodszych lat i za chwilę ryknie.

Mamie, zadowolonej, że Krysia nie została pognębiona zagranicznymi wożaczami, teraz żal Tilusi.

— Wiecie — powiada — trudno osądzić: to przecież dwa tak różne rodzaje wakacji; każda miała bardzo udane wakacje.

Wiadomo — Królik zawsze po króliczemu.

Ale za to inna nagroda czekała Tiriliporka za jazdę z Tatą.

Priora znajdujemy w Na tropach Smętka:

- *Marka jest droga: więcej mnie, dzieciaku, będziesz kosztować, niż sama jesteś warta* – mówi Tata.
- *To ja sobie załobię (jakoś to r wciąż jeszcze nie chce się dać wymawiać).*
Na drugi dzień w biurze otrzymuję telefon, że chce przyjść do mnie.
Wkracza triumfalnie i od progu oświadcza:
- *Zawaham kontakt.*
- *Z kim? Na co?*
- *Na korespondencje. Poszłam do „Płomyka”. Tam jakiś pan siedział, obierał pomarańcze i miał łozłoszczoną minę. Ale ja mówię: „Jestem cótką Melchiota Wańkowicza, jedziemy składakiem na Mazuły, będę pisać atłtykuły”.*
- *A on co na to?*
- *A on powiedział: „Pisz, panna, to zobaczymy”.*
- *Ależ brawo, Tilusiu, musimy zapisać twoje przystąpienie do cechu.*
Wracamy z knajpy nieco zawiani winem. Była grupa dziennikarzy i pili zdrowie koleżanki. I tak jakoś sprytnie podpoili mi dzieciaka. Matka ją odbiera w fachowe dłonie i sama już pyta, kiedy pojedziemy.

Po powrocie z Prus Wschodnich zasiedliśmy do pisania. Nie wiem jak tam kto, ale ja pisać nie cierpię i tysiąc zawsze pretekstów wynajduję, żeby pisanie odkładać.

Wygłosiwszy więc parę budujących zdań o tym, żeby zdechł ten, co pracę wymyślił, parę wzniosłych aforyzmów, że praca uszlachetnia, ale lenistwo uszczęśliwia, szedł King do siebie pisać, a malec zostawał przyskrzybiony w sąsiednim pokoju, w którym pocił się jeszcze z dodatkowej przyczyny: King wymagał, żeby pisać od razu na maszynie.

Nic też dziwnego, że skoro obu literatom było tak straszliwie nudno, King od czasu do czasu wydawał jakieś nieludzkie głosy, które mały błaznek niezwłocznie cienkim głosikiem kopiował.

Po paru godzinach takiej oto kolaboracji Tirliporek wkroczył dumnie z gotowym felietonem.

King, ledwo spojrzał, zaraz począł kpić straszliwie:

— E-he-he!... Nie umie!... „Już dawno wybieraliśmy się z tatusiem do Prus Wschodnich. Jest to kraj położony niedaleko od Warszawy”... He-he... pękać można ze śmiechu. Opisz dokładnie położenie kraju, potem zabierz się do jego historii, ale nie potrzebujesz jej kończyć, bo jeszcze przy opisie kraju czytelnik zaśnie...

— No to jak mam pisać? — nadyma się Tirliporek.

— Jak? Ot tak: kudłaty Litwin miele na żarnach. A już potem się dowiesz, że Kmicic przyjeżdża i już przyjechał, a jeszcze nie wiesz, że jest z Oszmiańskiego. Najprzód zaciekaw akcją, a potem ci pozwolą dać wyjaśnienia.

Malec zawraca bez słowa. Na drugi dzień przynosi zupełnie nowe opowiadanie.

— Zaczynasz: „Warknęła śruba motorku”... To już od razu, jak wyruszamy — no, to już lepiej. Mogłabyś nawet zacząć: „Wir mnie przyparł do dna”, to znaczy od końcowej sceny podróży, gdyśmy na stawidłach potrzaskali kajak. Ale co to — „potem pojechaliśmy, a potem przyjechaliśmy”, a potem znowu pojechaliśmy, a wreszcie nie dopisaliśmy i felieton w koszu umieściliśmy — woła impetycznie King, mnąc pisanie i wyrzucając do kosza. A widząc, że małej zbiera się na płacz: — Przecież nie idziesz na referenta Urzędu Podatkowego, żebyś miała wszystko po kolei opisywać. Cóż to — lekcja, aby zbyć, czy pisanie? Natęż się, panna: nie masz prawa pisać, nim nie wywołasz obrazu. Masz opisywać, a nie referować.

— Tatusiu — mówi zniechęcony adept stanu literackiego — „piśnij” trochę na początku i na końcu.

— Co to, to nie! To nie szkoła, tu trzeba pracować. Każdą ściągaczkę ci napiszę (byle nie z matematyki), tylko Królikowi nic nie mów. Ale tu się nie da zrobić. Siedź i pisz.

Na trzeci dzień była już puenta, były obrazy, ale King kręcił:

— A gdzie tu dialogi? Opowiadanie zbite jak ciasto zakalcowate. Nie mówiąc o tak poziomych rzeczach, że za pół wiersza płaci się jak za wiersz, warto więc pokawałkować, ale i czytelnik jest taki dumy, że najbardziej mdły materiał strawi, byle był w dialogach.

Na czwarty dzień — była puenta, opisy, dialogi. King nie zretuszował ani jednego słowa, nie instancjonował u „Płomyka”, autorka zaniósła sama i czekaliśmy.

— A tu — bum! — jest pierwszy felieton.

W następnym numerze — bum! — jest drugi felieton.

— Tili — pęka z dumy King — będziesz ćwierćwieczny jubileusz literacki obchodzić, mając trzydzieści siedem lat.

I już po honorarium sam się wybrał, zostawiając ćwiczenia, jak się wydobywa honoraria, na następny, wyższy i trudniejszy niż nauka pisania, kurs.

Pan „płomykowy” nie jadł tym razem „pomałańczy”, tylko śmiał się i wybulił na stół osiemdziesiąt dwa złote z groszami.

King leciał jak na skrzydłach do domu. Potracił na Nalewkach budkę z owocami, musiał zapłacić pięć złotych na otarcie łez, nie odpiął pokrywy chłodnicy, podjechał pod Domeczek jak lokomotywa z pióropuszcami pary i począł wrzeszczeć na obiad.

Na obiad była gęś pieczona. Krysia lisnęła sobie zatłuszezony palec. W regulaminie, jak byk, był przewidziany ten wypadek jako ujęcie z końskiego konta trzech złotych i przestępca zmartwiał z póżłobizanym palcem. Ale i tego King nie widział, czy nie chciał widzieć. Dopiero przy deserze grzebie się po jednej kieszeni i powiada niedbale :

— Aha, Tilusiu, byłbym zapomniiał... Tu jest dla ciebie honorarium z „Płomyka”!

I pęc! — leci przez stół dwudziestozłotówka.

Towarzystwo zdębiało. Jakimże kolosem przytłaczających długów ciążyło nażarte u pana Płatka dziesięć złotych! Ileż inicjatywy wymagał business z różami, aby odkupić marną parę pantofelków! A tu... „aha... byłbym zapomniiał...”

King grzebie w innej kieszeni:

— O, tu jeszcze — wyciąga dziesięciozłotówkę.

— O, tu jeszcze — wyciąga następną dziesięciozłotówkę.

— I tu...

Rodzina jest zafascynowana.

— Tata mówił, że męskie ubranie ma czternaście kieszeni — emocjonuje się Krysia, patrząc na te machinacje.

— Ale to z paltem — mityguje ją Tili.

A tu z Taty leci a leci forsa wszystkimi otworami. Wreszcie nikiel. Wreszcie miedź. Tili siedzi nad górą 82 (literami: osiemdziesięciu dwu) złotych z groszami. Konto otworzyła w PKO. King zagroził, że musi trzymać na koncie znaczną część sumy, bo przyjdzie czas, kiedy trzeba będzie składać zeznania podatkowe. Konto mimo to malało, a pan Płatek tył.

Wyprawy bliższe kajakowe nie były tak złotodajne, ale nawet te weekendowe, kiedy się w sobotę wypływało z klubu po Wiśle, nie wiedząc, gdzie się rozłasuje namiot, pełne były przygód i ciekawości. Czasem się jechało ze złożoną „Kuwaką” do Wilanowa. Spływało się na cichą łachę zarosłą wodorostami, pod konary wielkich drzew, popasało się na łąkach gorzkich od mleczu, rozpylonych dmuchawcami, rankiem wypływało się cichą wodą łachy na bury, handlowy nurt Wisły, gościło się po kominkach różnych klubów, tu zjadłszy obiad, tam zagrawszy w siatkówkę, aż wreszcie, ciemną już porą, kiedy światła mrugały w wodzie,

mijało się most kolejowy i wyłaziło z ciężkim stęknieniem na pomost do werandujących panień.

Czasem, płynąc Wisłą późną już porą, wylapywało się z wody dowiosłowujących ostatkiem sił dalekoszlacznym turystów i zapraszało na nocleg do Domeczku, garażując ich kajaki u siebie w klubie.

Innym razem Kryśia sprowadziła z miasta stworę w rosyjskim tołubie, czapce z nausznikami i w rozwalających się walonkach. Stwora okazała się trampem kanadyjskim, podróżującym bez pieniędzy, który przesiąknął przez całą Rosję. Tramp nieźle sobie żył w pokoiku na górze, a „świnki trzy” litosiernie sprawiły mu buty i coś zamiast tołuba. Po czterech tygodniach „wilk straszliwie zły” pojechał jako inturist do Rosji z groźnym nakazem, aby przez ten czas trampa wylać.

Kiedy wrócił i „za nimi w dziuplę wlażł”, tramp sobie kwitł „pod gruzlicę”, którą wmówił Królikowi. Na próżno sprowadzeni lekarze bożyli się, że obibok jest zdrow jak koń; Królik dowiedział się, że ma „mamusię” w Kanadzie, wiernie jej składał relacje i poił draba jakimiś dekoktami.

W rezultacie King przyhaczył pocztówkę wysyłaną do Paryża do innego trampa, który się wybierał do Polski. Kanadyjczyk podawał adres Domeczku z informacją:

„Gospodarz dobry nie dłużej jak dwa, trzy tygodnie, Ale często wyjeżdża. Starą bujać na chorobę albo na sierotę”.

Pokazałem Królikowi. Daj Boże zdrowie drabowi, że napisał „stara”, bo to, zdaje się, przeważało.

Drogami Podkarpacia

Rosło to towarzystwo, rosło jak na drożdżach. One fasole zasadzone w wazoniku skakały co dzień o parę cali, ciasno im było w Domeczku, w szkole, a nawet na wodach. Za tymi wodami dyszał kraj — ląd nieznany, piaszkowy albo błotny, polny albo leśny, pocięty drogami polskimi uciekającymi w głąb, poznaczony odległymi punktami świateł, zapalających się w nieznanych domach, po których pulsowały nieznane życia, dzwoniący na nieszpory dzwonami z wieżyczek nieznanych kościołów, szumiący jarmarkami, zasklepyły w dworach, zajęzgly w chałupach, hyrczący w powstających fabrykach, przykisły po puszczech kresowych.

Już nie zadowalały wyprawy w świat fantazji, na ustawionych w rząd krzesłach imitujących wagoniki, przy opowiadaniach Taty, przy katastrofach przesiadania w Szczypinie, Kłujewie, Drapinie. Już kajak dał realne poczucie przygody, zdegradował tani świat marzeń. Już chciało się rozgryzać „na prawdziwą prawdę” dalej ten świat, nie mieć zabronionego żadnego jego zakątka. Dzieci chciały żywej prawdy, nie czytały Mayne Reida, Coopera, a nawet Krysia nie chciała czytać Verne’a. Kiedy maleńkim jeszcze dziewczynkom King sprawił pierwsze zegarki, przybiegły, szczęśliwe, pytać, czy zegarki są „żywe” (to znaczy: nie zabawkowe).

I tak z tego wszystkiego wynikło: „Tata — kup auto!”

Do Domeczku więc miała być wprowadzona ostatnia para mieszkańców. Takie pary stanowili King i Królik, Struś i Prosięcina, Wąż i Cielęcina, Gaweł i Malwinka. Jedna tylko „Kuwaka” nie miała pary w tej domeczkowej arce Noego.

Aż jej przybył Ford — Sedan de Luxe, limuzyna — który zaraz przez dzieci został ochrzczony Kacperkiem. Mały niedźwiadek-maskotka nazywał się Baltazarek, tak że kiedy Melchior siadł przy kierownicy, rzekłbyś — trzej królowie jadą za gwiazdą nieznaną.

Pierwsze wyczyny tej trójki mędrców łatwo mogły zaprowadzić ekipę jeśli nie do stajenki, to do kryminału. Otrzymawszy w szkole Froma dyplom: „Z prowadzenia wozów osobowych — celujący. Z prowadzenia wozów ciężarowych — celujący. Ze znajomości motoru — celujący” — King, pierwszy raz startując (już z prawem jazdy) na pustej Żelaznej ulicy, wskoczył pięknym zrywem na stojącą o piętnaście kroków przed nim taksówkę. Szofer taksówki stojący obok, aczkolwiek szoferski lud jest mocny w pysku, oniemiał na taki wyczyn i przeżegnał się. Na następny dzień popisy przeniosły się na Marszałkowską. King zaprosił już dwu przyjaciół i pogalopował pokrytą lodkiem Marszałkowską, mając sześćdziesiąt na tachometrze. Ze Skorupki wyjechała taksówka, Kacperek przyhamował, poleciał na lewą stronę ulicy, pośliznął się przez dwa tory tramwajowe na prawą, wpadł na wóz browarowy, wybił sobie szyby i odprzągnął dwa kosmate Meklemburgi tak gładko, że szkapę stały oddzielnie od wozu, nie poniosłszy najmniejszej szkody. Tegoż dnia ucząca się prowadzić Krysia rozwaliła bramę sąsiada na Żoliborzu i na .trzeci dzień „cała rodzina wesola” wyruszyła do kolegi w Biłgorajskie. Królik jednak, który zawsze niepotrzebnie obostrzał niefrasobliwe życie rygorami, zażądał, aby szofer wyprowadził za miasto. Przy ostatnim przystanku tramwajowym King więc wziął w fachowe dłonie kierownicę i losy rodziny i pojechał falistą linią w świat. W Lublinie była trudność w hotelu, bo trzeba było cofnąć wóz, a tego celujący uczeń szkoły Froma jeszcze nie zdążył zgłębić praktycznie. Nazajutrz w myśl zasady „na przełaj!... unikać utartych szlaków!...” King wybrał skrócony dojazd do szosy. Była zima, a dojazd szedł przez ukrytą pod śniegami porębę. Poszły na pniakach oba zapasowe koła, pękło trzecie, zaalarmowany kolega, pękaty Wacek Matraś, przybył na pomoc osobiście, z odwiecznym stęknieniem: „Bój się Boga, Melchuniu”, wsadził gości do bryczki i zainstalował na noc stojkę przy wozie, nad którym skrzeczały sojki. W

drodze powrotnej już na szosie oślepił autobus, King wziął w bok drogi i utknął na czymś twardym. Okazało się, że był to dobroczynny słup nad kilkumetrowym nasypem. Zajeżdżając do ciotki Mani, znowuż Kacperek zabuksował się w nieprawdopodobnym błocie chełmskim i ciocia Mania przysłała fornalikę, która doholowała. Tak więc, po tylu ogniowych próbach, wóz był gotów do prawdziwej podróży — dokoła Polski.

O, jazdy w przygodę!

Przedmieścia mijają — znamy.

Podmiejskie letniska — wiemy...

Ale potem — co kąt, to na pewno mieszka jakaś Reginowa albo ciocia Mania. Mostek... Droga polna w bok... o pół kilometra grupa drzew — i czyjeś życie. Tata — zajedziemy!...

Tata się uśmiecha. Pamiętał, jak uczniakiem będąc, zobaczył z okna wagonu gdzieś między Dęblinem a Nałęczowem mrugające w ciemności światełko. Marzył: a może tam mieszka piękna nieznana, przeznaczona losem, który należy przełamać? Wyskoczył. Brnął zwilgotniałym polem, na przełaj w noc. Zastukał. Trudno mu się było wyłgać zdumionym gospodarzom, czego chce. Poszedł spać do stodoły, na drugi dzień brnął do pociągu ze słomą we włosach i czarną rozpaczą w sercu, że taki głupi. Niebezpiecznie jest realizować marzenia.

W Radomsku, — nocleg. Hotel z przestronnymi komnatami, starymi meblami, wysiedzianymi kanapami, piecami do niskiego sufitu. I z samowarem. Ileż pokoleń stawiało tu z prowiantem, oddając synów do szkół! Ile sprzedaży lasu, wełny, kontraktów! Na tej kanapie mogli siedzieć jeszcze miejscowi dygnitarze powstańcy.

Groźny potok zdarzeń światowych szedł i idzie w każdej minucie, a nam tak ciekawie tej zamkniętej na cztery spusty Polski.

Nazajutrz Gidle... U wstępu do nich rozdroże trzech dróg i rozkonarzone drzewo z krucyfiksem zardzewiałym. Kościół z Matką Boską cudowną z Gidl, panującą tuż pod stolicą Jasnogórskiej. Tata poczyną opowiadać, jako się wadziły Matka Boska Ludźmierska z Matką Boską z Nowego Targu.,

W Częstochowie — ani śladu po Kordeckim. Wielu przekupni i wielu śpiewających dziadów. Tata opowiada, jak na ganku w Nowotrzebach śpiewał dziad, on się wsłuchał i zrozumiał, że dziad wyciąga ciągle to samo: „Kwarta — pół kwarty — półtoorej kwarty”. Niebezpiecznie sprawdzać dziadów, marzenia, legendy o świętych miejscach. Kwarta — pół kwarty — jedźmy dalej ku Katowicom.

Tata wywodzi o wielkiej pięćdziesięciokilometrowej niecce węgla, biegnącego pod ziemią, o tajemniczych sprawach geologicznych, o bogactwie polskim węglowym, o biedzie z węglem, którego czterdzieści milionów ton produkujemy, a zaledwie osiemnaście milionów ton spożywamy. Na szczęście te nudy przerywa wspaniały Packard, który wrył się czterema kopytami w szosę i salutuje Kacperka. To super-hiper-prezes super-hiperowatego koncernu węglowego wyjechał na nasze spotkanie. Nocuje nas, gości, poi najlepszymi winami — wszystko na próżno: nie wymigał się od epitetu „ziaba”. Kogo to spotka — trup!

Na kopalni dyrektor Michejda — ze wspaniałej dynastii śląskiej Michejdów — niesie tłumok i mówi dobrotliwie, że śląska, do Krysi: Nadzień to, kurzycko.

Po chwili spod kapuzów górniczych promienieją nie posiadające się ze szczęścia dwie mordki. W jednej ręce trzymają małe oskardy górnicze, w drugiej lampy. Natrząsanie się rodzinne z Królika, który wcale groźnie wygląda w kombinezonie górniczym, w hełmie, z latarką. Królik się skarży, że King pozwala z matki drwić i nawet podżega.

— Przecież zachwalasz Anglików czytających dzieciom Pismo święte — odgryza się King. — Te gagatki z Chamem na czele dosyć się pewno nadrzyły z mamy Noowej.

Zgrzytnęła winda — lecimy czterysta metrów w dół. Krople padają na twarz. Idziemy czarnymi korytarzami. Stajemy, czekając na odstrzał. Oparci plecami o stemple sosnowe (przybysze jak i my ze słonecznego świata), staramy się wyrozumieć mowę wnętrza ziemi; wiemy, że przecież ma ono swoje bujne straszliwe życie; że rozpierają je wody potężne,

ciśnienie groźne; że w ślepych zapamiętaniu napierają tysiącleciami, milionami lat olbrzymie masy, że my, robaki, pełzające po wierzchu, pojęcia nie mamy o tej walce tytanów. Gdzie teraz właśnie wre bój? Czy za lewą, czy za prawą ścianą, czy za nami?

— Jeśli się wysunie Pusteki — mówi Tata — duch polskich kopalni w starym górniczym ubraniu z zielonymi wyłogami, to pamiętajcie powiedzieć mu „Szczęść Boże”. On nie lubi, by go się bać. Grzecznie odpowie „Dej Boże” i zniknie w ścianie.

Po wyjściu z kopalni obiad zaciągnął się. Mama ze swoim ojcem jeździła kiedyś odwiedzić brata w akademii w Przybramie. Wyprawiono szumny komers, nadano jej imię piwne „Greczynka” i przyjęto do starego, zasłużonego rodu „Drani”, na razie jako fuksa. Znaleźli się inżynierowie z tego samego rodu „Drani”, znalazł się but dwulitrowy. Tym razem to Królik wyrósł w oczach Dudków na bohatera. Dostały zaproszenie na najbliższy „skok przez skórę”.

Późno już było, gdy odjeżdżającego Kacperka zegnał chór:

*Całuska śpiesznie lubej daj
I śpiesz w podziemny gnomów kraj,
Nas praca czeka tam,
Szczęść nam, szczęść, Boże, nam.*

Pomykaliśmy teraz świetnymi asfaltowymi szosami Śląska na południowy zachód, ku Cieszynowi, w krainę miodną, pszenną, pasterską i bukoliczną. Chlustem stukilometrowego pędu wyciepnęło maszynę na wiadukt Królewskiej Huty. Zgrzytnęły właśnie rozswory olbrzymich pieców; w łunach buchających ognia zamajaczyły, jak diabły, czarne sylwetki ludzkie.

Auto znów wpadło w cień; ale długo za nami drżało w czarnej nocy, niby żarzące oko, wnętrze czeluści, w której buzowała się stal.

Przenocowaliśmy w Jastrzębie-Zdroju u jego właścicieli braci Witczaków, których domowi patronowała święto Barbórka (święta Barbara, patronka górników), przestrelona kulą niemiecką, kiedy Niemcy w czasie powstania śląskiego oblegali dom. Z Jastrzębia-Zdroju pomknęliśmy w dół, ku górcom beskidzkim. Już się ukazały ich fioletowiejące rąbki. Kryśia zamyka oczy i prosi, aby powiedzieć, kiedy będziemy wśród gór. Ale gdy dobijaliśmy do nich, było już ciemno. Zerwawszy się rano z łóżek w zakładzie doktora Czopa w Jaworzu, widzieliśmy je pochylone nad sobą, a na nich nasadzoną ogromną śliwkową chmurę.

Zakład doktora Czopa miał w hallu wielką tablicę żywnościową, gdzie wymieniano kilkaset coraz cięższych do strawienia potraw. Na samym dole królowała gęś. Podobno sześć godzin.

Park zakładowy, pnący się pod górę, miał równe ścieżki, poskalowane, jak termometr, co dziesięć metrów. Doktor sercowo chorym przepisywał co dzień, ile metrów dzisiaj mogą zrobić.

Ruszyliśmy z tej świątyni zdrowia na Śląsk, byle dalej od tego termometru parkowego, byle bliżej jakiejś ociekającej smalcem gęsi.

Była niedziela. Ślązaczki w kolorowych „żywotkach” (staniczkach) szły do kościoła, kraj rolny i zielony uśmiechał się do nas połogimi wzgórzami. Skoczów z figurą świętego na rynku wyszedł nam na spotkanie jak dekoracja teatralna, Morcinek, śląski pisarz, przez którego Wyrębany chodnik przerabiała się Dudy przed wycieczką, witał nas wraz ze swoją matulką, górniczką w chustce związanej pod brodą, ze swoimi kotami, fotografiami i jabłonią w sadzie. Wieczorem byliśmy u pani Zofii Kossak-Szatkovskiej w Górkach, widzieliśmy, jak przygotowuje Krzyżowców, podczas kiedy bliźnięta-maleńtasy łąją po jej biurku. W Cieszynie poszliśmy na most do Czechosłowacji, potem włóczyliśmy się po gospodach Wisły i Istebnej, brodziliśmy po kamykach strumienia, który gdzieś dalej stawał

się Wisłą, wreszcie wpadliśmy w Małopolskę, łamiąc na przywitanie pióro w resorze na jej okropnych drogach.

Późnym już wieczorem spod Makowa skręcił wóz w prawo. Zanurzając się w dół Polski, ku jej granicy, mieliśmy po prawej ręce nieustający grzmot górskiej rzeki. To Skawa.

W Zawoi kilka wycieczek i pstrągowanie Kinga. Trzeciego dnia świtanie zajęła dobrze moszczony parokonny wóz góralski i para osiodłanych koni. Ruszyliśmy przez Babią Górę głębokimi lasami. Kiedyśmy zjeżdżali na Orawę, obtarci jeźdźcy przy wielkich szyderstwach Kinga wsunęli się do wozu.

Ziemia Orawska jest jak podpłomyk posmarowany miodem. Zielona, nagrzana słońcem, podana już ku południowemu morzu, ku winnicom, ku wartkiemu biegowi Wagu, płynącego do Dunaju, szczerbata po górskich uskokach ruinami zamków, połyskliwa parzenicami wyszywany na góralskich portkach co wieś to inaczej, z zatulonymi w zieleń odwiecznych drzew stromymi drewnianymi kościółkami, rozśpiewana od ciepła i ciągnących woni polnych wieczorami, pilikająca na dudach, na lipowych skrzypczkach, zbyszczająca ciupagami, przewiewna w swych miodopłynnych równinach przez rzeńskie smrekowe ciągi z gór, mrugająca w dojezdne wieczory oknami karczmisk jak z Legendy, jak z Sędziów Wyspiańskiego, z szynkwasem, Żydem w jarmułce, tablicą i kredą, chłopami w serdakach pociągającymi lulki i alkierzem dla lepszych gości, gdzie Żyd przynosi pejsachówkę, wino rodzynkowe i pstrągi.

W takim karczmisku w Jabłonce stary gospodarz dokumentnie opowiadał Dudom, jak to delegacja orawska pojechała w swych guniach do Paryża prosić o przyłączenie do Polski, jak wyszedł ku nim z końską twarzą wyblakły, wymacerowany Wilson i jak gazda Borowy, bywały po Ameryce, zahaczył jednak swego angielskiego, i jak głodził Wilsona po rękawie, a przekładał:

— Zostawta Orawsko przy Polsce.

Z tych konnojazd i przedzierania się góralskimi wózkami, karczem, kościółów, próchnicy odwiecznej, wysokopiennych świerków, rojkotu wód świetlistych biejących po kamieniach, świstów i poświstów, sprawujących pospołu ze świętkami rządu w Polsce, jaka była i będzie, Polsce trzymającej się jak mech skały, jak grzyb pnia, jak rój barci — dobiliśmy do szybkołędnego Kacperka i ruszyliśmy z kopyta w ciągu jednodniowego przejazdu kilka wieków w przód.

Zziajany Kacperek, który panoszył się bardzo między płótniskami bud góralskich wózków, zeszkromniał, przykuśtykując na znów nadłamanym resorze między lśniącej limuzyny pod hotelem „Bristol” w Zakopanem.

— Apartamencik dla państwa już przygotowany — wyleciał ku Kacperkowi zarządzający.

Panie w strojach wieczorowych. Kryszały, kelnerzy, kwiaty. Krysia przed lustrem przylizuje brwi. Śmiejemy się, że Struś przekształca się w światowca. Biedactwo — był to jedyny jej zabieg kosmetyczny; „lipsticka” nie znały dziewczynki do matury — i po maturze.

Nazajutrz King począł pływać w innej inności. Póki kobiety guzdrały się, uciał sobie rozmówkę z damską „ziabą”.

„Ziaba” na Kingowy gust nie była wcale taka „uobziedliwa”. Rzęsy miała jak firanki i nieskomplikowany, a bardzo a propos sposób rozmowy: ‘

— Czy pani lubi góry?

— U-oo... o... ou...

— Czy pani jada mamałygę?

— U-ou...

To „u-o-uu...” jest nie do oddania; szło z głębi trzewi, przypominało Malwinkę w czasie jej pierwszej przygody, ociekało to sexappealem.

Kiedy się przyłączyła do rozmowy kobieta, pani Lala (bo tak niewinnie nazywał się ten uzdrowski wamp), odpowiadała całkiem przytomnie. W ten jednak piękny ranek była sama z Kingiem na ławeczce i z głębi jej łona szło niczym nie tamowane hurkotanie, znamionujące Niagarę spazmu, żądy do nabycia w butelkach, a zausznice spływające ku łabędziej szyi wydawały zachęcający chrzęst.

— Tata, mama woła — rozżabił się smacznym głosem Tirliporek z naszego balkonu na pierwszym piętrze.

Skompromitowany Tata ciężko westchnął. Wamp stulił feerię i King pobrnął ku obowiązkom.

Przy toalecie stał właśnie Królik w zamszowej kurteczce, zamszowych butach, zamszowych rękawiczkach, w zamszowym kapelusiku i w zamszowym pasku.

— Wcale ciebie nie wołałam — mówi zamszowym głosem, biorąc zamszową torebkę. — No, jedziemy?

— Coś ty wymyśliła, Tili? — irytuje się King.

— A po co siedzisz z tą ziabą?

Królik parska śmiechem i całuje Chłopka-Roztropka. Ale to nie mama całuje córeczkę, tylko pocałowały się dwie solidarne kobiety.

Pierwszy dzień — najbliższe Zakopane. Wybiegane dziecinnymi nogami Kinga. Antałówka? — Chyba ją skopali? Wcale pokażna to była góra.

— Pójdziemy na Gubałówkę — powiada King. Pamięta, że jakoś mocno, się nadwreżył podążając na nią ośmioletnimi nogami. Nieznośna starsza siostra Renia szła wraz z innymi wiele w przód, tak że jej nie widział, zastając tylko na krzakach powbijane na gałęzie pomarańcze i udając, że wierzy starszym, że one tu rosną na drzewach, byle te figle nie ustały, bo bardzo się pić chciało przy „wspinaczce”.

Przypominając to sobie, King myśli, że z dziećmi jest to samo co z kotami. Dają z siebie kpić, a w gruncie rzeczy to ci mądrzy dorośli ludzie, którzy bawią się ich kosztem, są wykiwani.

— Gubałówkę?! — wydyma się Krystyna. — Tam niańki wożą w wózkach niemowlęta.

— Naturalnie — mruży niezadowolony King. — Liny, haki, klamry i na Mnicha!

Dotąd był alfą i omegą kozaczego ducha, nie chciałby rezygnować, a wie, że nieuchronnie zbliża się jegerowska bielizna i rumianek.

W wyniku kompromisu między Gubałówką a Mnichem Kacperek został popędzony do Strążyskiej, do Kościeliskiej, do Jaszczurówki. Trafił się stary Mróz z kobzą i długo coś pitulił uczepionym jego rękawów dziewczynkom o niedźwiedziu i zbójnikach.

A wieczorem po tych włóczęgach — jarzący się od świateł „Bristol”, szelesty długich sukien, podczernione oczy, dansing. A dzieci — spać. Krwawa krzywda.

Siedząc któregoś dnia nad Morskim Okiem, podczas kiedy Dudy pogalopowały do Czarnego Stawu, cieszyli się „staruszkowie” na te ich ciupażki, na tę niezmordowaną wsiąkliwość w życie.

— Właśnie... wsiąkliwość w życie... — mówi Mama. — Wieczorem znowu Krysia pocznie się buntować, żeby iść na dansing.

Tata odchrząkuje niepewnie. Co wieczora odpowiada niezmiennie na te zachcenia doprowadzającym do rozpacz: „Koci ogon”, ale dzieci wiedzą dobrze, że King przyznaje im w głębi duszy prawo, aby wszystkiego dotknąć i wszędzie wleźć, więc są zbuntowane...

— A może ich zaprowadzić do Trzaski?

— Brr — wykrzywia się Mama z obrzydzeniem.

— Cóż za obrzydzenie nagłe? — King spędza niehumor na Mamę, bo sam nie umie wyleźć z dylematu.

I zaraz jej wspomina incydent na dansingu w Biarritz z fordanserem — Murzynem. King nieznacznie wsuwał mu w łapę za każdy taniec z Mamą kilka franków, i czarna małpa bardzo to sobie upodobała. Mama też, bo dobrze tańczył.

— Wiesz — mówi z ożywieniem — Murzyni widać lubią blondynki.

— Popatrz lepiej w lustro, całe pięć palców na tobie zostawił — przestrzega King.

— Ach jej, ach jej! — biegnie Mama do lustra. Jest w crepe de chine sukience koloru gris perle. — To by było straszne...

A potem — deziluzja do kobiecego serca: King demonstracyjnie pcha w czarny automat kolejną stawkę za trzypięciominutową turę.

— Jak tylko robisz się taki dbały o mnie — mówi Królik — to zawsze z tego jakieś psie figle... Pamiętasz, jak byłeś „dobry” i suknie mi kupowałeś w Paryżu?

A z sukniami to było tak. Szef domu mód ustawił fotel Kinga o kilka kroków od fotela Królika. King nawet to spostrzegł, ale sądził, że dla jakichś przymierzań. Nagle wypłynął pierwszy manekin. Mama chłonie widok sukni. A tu King patrzy, co się robi? — W przyległym pokoju, do którego wpółotwarto drzwi i którego wewnątrz King widzi, a Królik nie — następny manekin się przebiera.

W rezultacie King siedział jak trusia, podpisywał czek, jakie trzeba, sam proponował, że może by „jeszcze co obejrzyć” i zasłużył na wylewne podziękowania Królika: „Jakiś ty dobry”, „jaki ty kochany”, „jaki ty cierpliwy”. Aż nie wytrzymał, i powiedział.

Zabawne to tak rozmawiać nad Morskim Okiem. Woda jest przejrzysta, powietrze rżnięte w ostry kryształ, skały przetchłe odwiecznością wyroków Bożych — a na tamtym końcu szeregu spraw ludzkich — confetti, kokoty, szampan, gigolaki, manekiny stąpające zabawnym, wymizdrzonym krokiem.

Kingowi, kiedy myśli o przeróżności świata, dusza piszczy z ciekawości, aby wszystko ogarnąć — od jednego bieguna do drugiego. Te małe krasnoludki, które właśnie wracają, nasunawszy kapturki na oczy, bo popadywać zaczyna, to właśnie taki sam nabój ciekawości. Wmościły się do Kacperka i zaraz Krysia:

— Tatusiu, pójdziemy do Trzaski?

Królik patrzy w szybę Kacperka. Tata niezłomnie odpowiada: „Koci ogon”, ale z głosu widać, że to jeszcze nie tak zupełnie bezapelacyjnie. W hotelu, kiedy Dudki poszły do swego pokoju, Królik wybucha protestem. King przecież też rozumie, że trudno dwunastolatki oprowadzać po dansingach, ale boi się wszelkich tęsknot po owocach zakazanych.

Kończy się na jakimś podwieczorku tanecznym. Akurat sąsiedni stolik sprawuje szumne pożegnanie pani Laleczki, która jutro wyjeżdża. Panią Laleczkę całują po rękach aż po łokieć. King jest zły. W pewnym momencie, gruchając swoim idącym z trzewi namiętym głosem, łapie Kinga w przejściu.

— U-o-o-ch... p-u-anie redakt-o-rze, pan mi się wpisze do albumu na pożegnanie.

King więc podchodzi do jej stolika i wpisuje:

Żegnamy naszą Laleczkę. —

Bawiła się tu w kokoszeczkę.

— Hihi, ha-ha-ha-ha, hi-hi... — cieszy się pani Laleczka — ale co to znaczy?

— Ach — trzepoce się niewinnie inna paniusia — bawiłam się w to jako dziecko.

Zagina manikiurowane paluszki.

— Temu dała, temu dała, temu nic nie dała — paluszek wskazuje na odpalonego porucznika — i poleciała...

Kiedy Tata wraca do swego stolika, spotyka go płaczliwy dwugłos:

— Tata, chodźmy już...

— No, nie podoba się wam? Ach, dansing... Ach, tańczyć... Ach, tatusiu, przecież wszyscy tańczą, przecież to sport taki jak inne — przedrzeźnia King.

— Ale tyle „ziabów” — konkluduje Tili. Stanowczo jeszcze woli tańczyć na dożynkach.

W tej wycieczce wzdłuż Podkarpacia wszystko było swoje. Ziemia była przesiąknięta przyjaciółmi, rodziną.

Drohojowscy, właściciele Czorsztyna i nasi krewni, umieścili nas w „Nadzamczu”. Kiedy obudziliśmy się rano i wyszliśmy na taras willi, płynęła ona po morzu; mieliśmy wrażenie, że stoimy w pełnym blasku ostrego słońca na pokładzie. Morzem okazały się jednak chmury pod nami, nad którymi nasza willa stała w blasku i przejrzystej jasności.

Schodząc w dół do Drohojowskich, mijano ruiny starego zamku. Tam „król zamczyska”, od niepamiętnych czasów trzymający w nim straż w skleconej przybudówce, stary Bryniarski — opowiadał, jak to „cysarzowa Terezyja z Janosikiem tańcowała”.

Dziewczynkom tak się podobały opowiadania Mroza i Bryniarskiego, że potem, kiedy zaczęły nartować, przywoziły do domu pęki opowiadań i śpiewek. Pamiętam jedną kolędę góralską:

*Pon Jezus maluśki, Pon Jezus nieduży,
Usiadł se na piecku, fajulkę se kuzy,
Matka Boska śpiwo,
Pietryk z Pawłem tańczy,
A Duch Świenty ziwo: „ua!”...*

King cieszył się na to, jak te zasadzone fasole nalewają się sokiem, pęcznieją zielonością i kolorem, ale Królik biadał, że — mimo tych tam konkursów dobrego jedzenia — są nie dochowane.

Ot i teraz — hrabina Szalamon z Niedzicy na Spiszu, którąśmy znali z Budapesztu, zaprosiła nas do siebie. Było to wielkie zamczysko, ciągle konserwowane i w stanie zamieszkalnym. Dudy, które jeszcze na moście przez Dunajec siadły, ku rozpaczyci Mamy, w swoich wyświeżonych sukienkach okrakiem na zieloną zbutwiałą poręcz, struchlały nieco na te baszty, tych hajduków, te stropy gotyckie i zachowywały się jak aniołki. Znikło to wszystko nam z oczu z młodą generacją węgierską i Mama, grzecznie wiodąca dyskurs, kręciła się nieco niespokojnie.

— No, jak tam zachowywałyście się? — spytała, gdy Kacperek ruszał.

— Bardzo dobrze, mamusi — zapewniała gorąco Krysia.

— Chłopcy chcieli iść na huśtawkę, ale my nie chcieliśmy po tym siadaniu na poręczy — sekunduje Tili. — Powiedziałam im: Je ne peux pas, parce que j’ai des pantalons sales.

Po zjeździe Dunajcem łodziami do Szczawnicy, po powrocie przez Trzy Korony z piciem herbaty u pustelnika, który sypiał w trumnie, po doskonałych pstrągach w gospodzie pstrągarzy, zasiadających ławy w wysokich po pas gumowych butach — Kacperek pomknął dalej.

Oddychała szeroko ziemia wczesnymi rankami.

Oddychała przeszłością i teraźniejszością. W Nawojowej Stadnickich oglądaliśmy potężne sklepienia, w których teraz mieściły się kuchnie, stojące w różny dwumetrowej długości, a zaraz tego samego dnia nocowaliśmy w Obozie Przysposobienia Kobiet do Obrony Kraju. Więc zaraz Królik przestał być Królikiem, tylko honorowaną przy ognisku osobą, która prowadziła, jak to kobiety działały w minioną wojnę. Kinga zamknięto w oddzielnym baraku na noc, przystawiając na zewnątrz dwie najszeptniejsze wartowniczeki. Kiedy go wypuszczono rankiem, zobaczył łągi zielone, idące popod pierścień gór, opływnięte rzeką górską, a na tych

łęgach, nad tą rzeką w dali nagie sylwetki kąpiących się kobiet. Pomyślał, że w tej rzeźkości dorannej tkwią gdzieś i jego dorastające córki, w tej rzeźkości dorannej, w fali kobiecej spienionej, wspiętej do życia.

Ta cała droga wzdłuż Podkarpacia zostaje we wspomnieniach jako zieleń, woda, błękit; ozon poufne zmywy ludzi z ziemią.

Na Łopacie w Muszynie plażowaliśmy na języku opłyniętym z trzech stron przez Czechosłowację. Na Przełęczy Dukielskiej, kędy szły ongi skrzypiące wozy z Węgier do Polski, pokłoniliśmy się samotni świętego Jana z Dukli. Nocowaliśmy w Wydrnej u profesorstwa Klingów. Ona, córka Wandy Siemaszkowej, wielkiej aktorki, za panięńskich czasów, kiedym ją chciał pocałować, tak rznęła kantem dłoni w nos, że spadłem z drabiniastego wozu. Takie znajomości się ceni.

Klingowie mieli drugiego Forda, który nazywał się Bonifacy. Kacperek zżył się z nim równie dobrze jak my z Klingami.

Na obiedzie w Jedliczu Stawarskich intrygowała Dudy szklana pończocha z lodem, pływająca w dzbanie z kruszonem, a Kinga dwanaście procent od brutta wydobywanej nafty.

Pod Iwoniczem natrafiliśmy na pierwsze szyby naftowe. Już pod Gorlicami, cętkowanymi nie tylko śladami straszliwych pobożowisk, ale i duczkami płytkimi, w które napływała nafta, opowiadali nam ludzie o najwcześniejszych tu poczynaniach genialnego aptekarza, Łukasiewicza, który pierwszy zapalił światu naftową lampę. Teraz dzieci z ciekawością oglądały łyżkę wślizgującą się na setki metrów w głąb ziemi i czarną ciecz tryskającą z tego wiercenia.

W Rymanowie, podanym w lasy, stary marzyciel, hrabia Potocki, opowiadał o urządzanych przez siebie „świętach pracy”. Naiwne marzycielstwo w stylu „z szlachtą polską polski lud” zamąciły zamieszki ukraińskie pod Ustrzykami w leskim powiecie. Ukraińskie oddziały występowały pono z karabinami maszynowymi, były sprowadzone dwa bataliony wojska, ale nic z tego nie dochodziło do świadomości ogółu. Rozgorączkowany, z punktu napisałem korespondencję do „Kuriera Warszawskiego” i wysłałem ekspresem. Jazda po Polsce trwała jeszcze kilka tygodni, następnie pojechaliśmy z żoną do Konstancy na trzy tygodnie, wracamy do Warszawy, wpadam pytając, co z tą korespondencją z Leska.

— A ukaże się, naturalnie, że się ukaże, jak tylko skończymy pański cykl Ziarna po Polsce — mówi dobrodusznie redaktor Trzebiński.

W Skolem King oglądał ze wzruszeniem zieloną, śródleśną górską polanę, na której w 1912 roku odbył pierwszy w Polsce instruktorski kurs harcerski. W Morszynie, z którego kiedyś do Domeczku przywędrował neologizm „biedronka”, piliśmy „dla honoru” gorzką wodę i potem żalowaliśmy tego gorzko, zatrzymując w dalszej drodze Kacperka w nieoczekiwanych miejscach.

Kacperek zapuszczał się coraz dalej, kraj zabielił się ukraińskimi chatami. Z Jaremca do Worochty przemknął bez kłopotu zielonym rozwarciem gór w ciągu godziny tam, gdzie przed paru laty King z Królikiem szli dwa dni, nocując w Tatarowie u Żyda, który miał dobre pstrągi w marynacie i miód storczykowy. Kiedy King zwrócił uwagę na zbyt słony rachunek, Żyd rozbajając powiedział:

— Ny, my na państwa już od wiosny czekali.

To niby, że tymi pstrągami powinniśmy opłacić kilkumiesięczną egzystencję jego i bachorów.

Te powiedzonka żydowskie, chłopskie, szlacheckie, księżowskie zbieraliśmy po całym kraju, jak Rut ziarna po żniwie, i pęczniliśmy nimi. Obnosząc któryś z rzędu młyn na wycieczce kajakowej i słysząc, jak młynarz-Żyd narzeka, że nie ma dnia, żeby do deficytowego młyna nie dołożył dwu, trzech złotych, zasapany i zły King spytał, z czego więc właściwie młynarz się utrzymuje.

— Całe szczęście, że un w szabas stoi — odpowiedział Żyd — to i z tego tylko żyjemy.

Wróciwszy ku Delatynowi, wzięliśmy kierunek — dalej na wschód. Dzieci emocjonowały się — do jakiegż to ściany Rzeczypospolitej dojedziemy, o jaką utkniemy zastawę, do ła się jeszcze rozciepii i rozwinogroni, do ła się jeszcze wyserdaczy, wyportczy i wykolorowi, i rozbuŃi, i rozśpiewa.

Jechaliśmy do Delatyna niedzielą, rozłogami zielonymi a rozłogami, jechaliśmy przez jakąś wieś sławną, ciągnącą się osiem kilometrów. Jak aplikacje po zielonym kobiercu białły bufy wyszywanych koszul ukraińskich — na cienkim jak pajęczyna gieźle pancierz grubego haftu.

Aż wreszcie Kołomyja, stolica mamałygi. Tyle, że hotel zamówiliśmy — pomknęliśmy na rezerwat cisowy.

Cisy tam tysiącletnie pono. Tyle zostało z dawnych alei cisowych prowadzących do dworów. Najtwardsze z drewn, jedliniak przyprószony słońcem i pyłem. Siedliśmy u skraju i przypominaliśmy ten kraj — w malwach, w słonecznikach, od gór staczających się ku równinom Podola. Pieczary w Krzywcy, idące (o ile pamiętam) trzy kilometry pod ziemią. Okopy Świętej Trójcy, gdzie się zbiega ład Rosji z ziemiami Polski i Rumunii, a bezradne jaskółki skośnymi ściegami nad Zbruczem usiłują zaszyć to pęknięcie ziemi. Mama znowuż prawła o Żabiem, o Huculszeżyźnie, o zjazdach Czeremoszem. Królik, w miarę zbliżania się do Kosowa, czuje się coraz bardziej panem położenia.

Do Kosowa bowiem Marna jeździła często i tam oddawała się postowym praktykom. King wpadał, jak po ogień, na jeden dzień, aby ją wyrwać z tego wszystkiego, i uwoził jednym rzutem z tych tam sałat na tłusty obiad do Kozła na Dominikańską we Lwowie.

Dobiwszy Kosowa, King pytał czerwonoportkiego Hucuła o dalszą drogę do zakładu doktora Tarnowskiego.

— Bolnycia, chorobyje... — usiłuje wytłumaczyć Hucułowi.

— Ce niedaleko — domyśla się wreszcie, o co pytam — tilki chworych ja tam ne baczyw, a durnych... bahaćko.

Istotnie zakład, w którym snują się na biało ubrani ludzie w siatkowych, przewiewnych szatach specjalnego kosowskiego tkania, płacą drogo i głodzą się — mógł się wydać prostaczkowi azylum dla kukunamuniowych panów.

Na bramie zakładu napis: „Władaj sobą”. Władnęliśmy i wtoczyliśmy się z Kacperkiem. Przy kolacji na próżno Chłopek-Roztropek dropiatym okiem szmygał za kiełbasą. King wywołał zgorszenie żądając scenicznym szeptem od usługującej Hani — kufla piwa.

Wieczorem Królik roztrząsał sumienie grubemu Kingowi:

— Nie można tak... Trzeba się liczyć, że to jest jak klasztor... Ludzie wyjeżdżają, nie tylko przeczyściwszy organizm, ale i duchowo przewentylowani. Stary doktor nie znosi nikogo, kto psuje atmosferę zakładu. Niezwłocznie każe komunikować, że jutro czekają konie, że ma wyjeżdżać.

Mama okrutnie się boi starego doktora (bo jest i młody doktor — syn, doktor Wit Tarnowski). Kiedyś zastała młodą pulchną mężateczkę popłakującą.

— Proszę pani — zwierza się przez chlip — byłam na konsultacji wstępnej, stary doktor pytał, co jem; jakem doszła z wyliczaniem po kolei do kolacji, wziął mnie za rękę i pociągnął z pasją na tyły zakładu, pokazał świnię: „Patrz pani, ona żre tak samo, ale jest świnią”. Co mam robić, proszę pani?

Na to Królik bogobojnie, że na doktora nie ma co się gniewać, że trzeba władać sobą, że tu srogie grubasy przyjeżdżają i chodzą jak baranki.

Więc i King miał być zaprowadzony do doktora, tylko Królik, który mężnie miał go pilotować, bardzo się emocjonował.

Nazajutrz — oczy rozbłyśły staremu doktorowi, kiedy ujrzał okazową statwę wkornakowaną do gabinetu przez wierną głodomorkę (piętnaście dni kompletnej głodówki).

— Co pan je na śniadanie?
— Ona — mówi złośliwie King — na śniadanie daje mi zwykle befsztyk z polędwicy, pokryty dwoma jajkami.

Cień Królika kurczy się na ławeczce pod ścianą.

— Z polędwicy? Z dwoma jajkami? — ożywia się stary doktor. — A jak duży bywa ten befsztyk, jak duży?

— Ja tak lubię, żeby zwisał z brzegów talerza.

— To funt mięsa? To więcej niż funt! — emocjonuje się stary doktor. — A na obiad?

— A drugiego śniadania pan doktor nieciekawy? Woźny mi przynosi: a to bigosik... a to wątróbkę...

— Wątroba, nic gorszego na skazę moczanową... Bigos pływa w tłuszczu, prawda?

— Aha — przytwierdza z lubością King, który przy porannym śniadaniu na próżno usiłował naładować się rzepą. Po czym w gargantuicznych rozmiarach i obfitościach maluje obiad, który go czeka, przygotowany pod auspicjami jawnogrzeszającej żony. Stary doktor przyskakuje i poczyną miętosić pacjenta po brzuchu.

— Jaka wątroba! Co za powiększenie wątroby — mówi z zachwytem. W głosie tli się niewątpliwa sympatia, jaką mają policjanci dla rasowych gangsterów. King więc kreśli wyszukany obraz podwieczorku z „kumpiem”, kolacja rozrasta się w ucztę Lukullusa.

— A potem to już tylko podkurek.

— Cóż to znowu?

— To już całkiem późno wieczorem, na kładzenie się spać jakieś jedno, drugie danie gorące. Mam taką naturę, że nie mogę spać na pusty brzuch.

Sukces był kompletny. Nie tylko stary doktor nie zagroził wyjazdem, ale rad widział. Może jako eksponat.

A przecież miał w Kosowie o wiele lepsze eksponaty. Ledwie konsultacja się skończyła, do chłodnącego z emocji Królika podeszła Mira Zimińska i poszliśmy dróżkami kosowskiego sadu. Naprzeciw nam łebdały się dwa stusześcdziesięciokilowe potwory — kupcy zbożowi z Pomorza, którym żony sznurowały buty. Ujrzawszy popularną aktorkę, monstra stanęły i rozdziawiły się zadowolonymi uśmiechami:

— Pani Zimińska! Powiedz nam pani co dowcipnego!

— Dupa — spełniła z gotowością prośbę pani Mira i poszliśmy w głąb sadu zostawiając osłupiałe hipergrubce.

A potem — trzeba było się rozstać. Rodzice jechali dalej, w świat. Nie było obawy, że Dudy naproszą się z rodzicami nad ciepłe morze. Już i tak ledwo kończyły drogę — bo z Bezka nadlatywały wieści o zdarzeniach niezmiernej wagi — wuj Zdzisław zbył łykowego deresza do Krzywowoli, ciocia Mania ma nowego wierzchowca.

Bo cóż znaczy świat, choćby najkolorowszy? Zawsze go bije pulsowanie własnego małego kąta na ziemi.

Szczenięce lata

Fasole puściły nowe pędy. Nie na próżno przyglądała Krysia brwi w „Bristolu”. Nie na próżno Tili zastawiała Mamę przed damską „ziabą”. Szło ku kobiecemu przedwiośniu, choć bakfisz to jeszcze były kanciaste i tatarowate.

I jak podróżny doświadczony po znakach nie dostrzeżonych, sobie wiadomych, poznaje, że już rychło krajobraz się zmieni, że wejdzie w inną aurę, tak i rodzice wymieniali porozumiewawcze, pełne wzruszenia spojrzenia na to kielkowanie kobiecości.

A tak niedawny był jeszcze czas, kiedy Tata wszedł do łazienki, gdzie Mama szorowała obie Dudy w jednej wannie. Krysia się nieco speszyła, ale Kmiotek-Roztropek ją zmonitował:

— Co ty, Stłus, wypławiasz? Ojca się będziesz wstydzić?

Tacie żal było, że przestały koło niego łązić te różowociałkie raczki. Przypomniwał, że małe buldożki francuskie poi się wódką, aby nie rosły. Nic się nie dało zrobić. Rosły, poczęły się chłopięce sylwetki zaokrąglać. Tata pocieszał się, że jeden zabawny pęd zanika, za to inne, jeszcze zabawniejsze, rosną. I tak było.

Poczęło się, jak zwykle się poczyną, od lekcji tańca. Baronowa Dangel, z której dziećmi na kompletach tańca King stawiał pierwsze kroki, zainicjowała obecnie komplety dla wnucząt — Jasia i Stasia Danglów oraz Stachny Wierusz-Kowalskiej.

Propozycja przysłała w sam czas, aby ukoić Mamę, która coraz to wpadała w popłoch. Okazało się ostatnio, że poetyczne dziewczęta, które się hoduje, aby umilały życie męskie, aby kondensowały czar kobiecości, wdziek kwiatu, promienie jutrzeńki, frymuśność sewrskiej porcelany — witały się z kolegami per „stary trupie”.

— Skąd im się to wzięło? — łamała Mama białe dłonie.

Tata wiedział, skąd. Ze sztubackich czasów pamiętał jędrną apostrofę: „Stary trupie — mam cię w... dużym poważaniu”. Choćby nawet pełna formuła nie doszła dziewczęcych uszu, to i tego „starego trupa” było dosyć, aby rodzice uradzili, że warto odrastałki ukobiec i podbaronić.

Projekt tym razem nie natknął się na opozycję Dudów. Wprawdzie początkowo z kinderbalów w Domeczku wyniosły przeświadczenie, że o wiele przyjemniej tańczyć z dziewczynkami, że z chłopcami to żadna zabawa. Szalało to, pohukując, po wszystkich piętrach Domeczku, kuksało dziewczynki, wyżerało wszystkie ciastka, zepsuło każdy żywy obraz celem podsmalenia ogniem bengalskim wymuskanej przez mamusię dziewczynki, rozbijało wszelkie „koło młyńskie za cztery reńskie”, „chodzi lisek koło drogi”, „kotka i myszkę”.

„Okłopni” byli ci chłopcy!

Mama też traktowała chłopców jak niepojęte naczynie męskości. Nieraz, zatrzymując Tatę przed wysypującą się gromadą chłopaczysków, starała się wyrozumieć elipsoidę, która zatacza taki embrion męski, rozeznac porządek rządzący tym wrzaskiem, tymi susami, wsuwała rękę pod ramię Kinga i zeznawała, że nigdy by chyba nie poradziła wychowywać syneczków.

— Lis i winogrona — śmiał się King na te antychłopcowe wynurzenia,

Ale chłopcofobia dziewczynek była szczerą. Potem jednak trudno się było obyć bez chłopców przy rajdach konnych, na nartach, na ślizgawce. No, a teraz okazało się, że cudownie z nimi tańczyć.

Tata i Mama wpłynęli do salonu baronowej wiodąc dwie córki (hm, hm... „Na wydaniu — koci ogon” — podrwiwał King). To koło Taty tak szasta się ta młodzież, to przed Mamą tak dygają te panieneczki. Usiadł Tata na pluszowej kanapce — jak Boga kocham na tej samej, na której ongiś przeżywał pierwsze przedmęskie wzruszenia! To do Mamy teraz i do Taty

przysiada się tak samo baronowa, jak za tamtych czasów przysiadła się do starszej generacji. King nigdy nie podejrzewał, że należy do starszej generacji, i nagle to zrozumiał. Zrozumiał, że trzeba się przyadaptować do nowej sytuacji, nabrał powietrza w piersi i powiada:

— Może przymknąć to okno, bo panienki się pozaziewają.

Tak to człowiek nie od razu wchodzi z jednego stadium życia w drugie, raz po raz ogląda się — przy każdym życiowym awansie — jakby wszedł do nowego pokoju.

W ten sam sposób pęczniały z dumy Dudy, wyawansowawszy z „kotka i myszki” do tych prawidłowych pląsów u baronowej, gdzie podprowadzany przez metra do pluszowej kanapki danser zginał się w ukłonie, gdzie zabroniło nie można było powiedzieć: „Te, Wojtek, Stasiek czy tam Józek — chodźcie tańczyć”, gdzie seksapilowało się młode towarzystwo w sposób bogobojny i wytworny.

Co jednak baronowa poczyniała wytwornie, to oni kończyli po tatarsku.

— Tak późno zaciągnął się komplet? — pyta matka.

— Nie, tylko zaszliśmy całą kompanią „na jednego” pod baronicę.

„Pod baronicą” nazywali wdzięczni pupile bar mieszczący się w tejże kamienicy na dole.

— Widzisz, do czego prowadzą twoje „barszcze amerykańskie” — wymawia Królik. — Niu niu niu chodzić po barach z chłopcami.

Od rzemyczka do koniczka — od baru „Pod baronicą” młode towarzystwo przeniosło się do jakiejś trzeciorzędnej kawiarni na Miodowej, zakładając w jej tylnej salce „kabaret literacko-artystyczny”, który nazywał się „Parabumba”. Kabaret zbierał się co tydzień, czytano swoje utwory, deklamowano, lewicowano. Matka siadała w przyległej salce, smętnie mieszając łyżeczką herbatę — biedna kwoka nad stawem, na który popłynęły kaczęta. Formalnie były w swoim prawie — nie chodziły do baru, skoro Mama nie pozwoliła, a przecież nie można im było zabronić uprawiać literatury. Niestety, czasy spinania agrafkami niedozwolonych stronic — mijały.

Skoro jednak pewnego dnia, spóźniając się z powrotem, zadzwoniły do Mamy, że zaszły do kawalerskiego pokoju Felcia Lechnickiego, który akurat przyjechał na uniwersytet, Mama przy telefonie po raz pierwszy chyba i ostatni zrobiła scenę: że natychmiast (to „natychmiast” było przerażające) wracać, że absolutnie nie pozwala chodzić po pokojach chłopców (ten pluralis był nabrzmiały tragizmem).

Wróciły mocno obrażone na Mamę i nic nie rozumiejące. Kmiotek-Roztropek chował dudy w miech, ale harda Krystyna nie mogła pogodzić się z czymś, czego nie rozumiała. Tym bardziej że Tata odmówił swego poparcia.

No, a jak tu wytłumaczyć? Przecież mają rację. Dlaczego nie miały zająć? Jeszcze do kogo — do Felka bliskiego jak brat.

Po Kresach

I wtedy, jak nadciągnęły wakacje, Tata powiedział:

— Trzeba znowu dobrze przetrząść dzieci.

Krysi już jednak żadne atrakcje nie mogły odwieść od rolnictwa. Pojechała na praktykę rolną do ojca chrzestnego.

Pojechałem więc z Tilusią. Wychowani na szlakach wodnych, znając je niby unerwienie liścia, teraz znowu drogą kołową wgryzaliśmy się w miąsz kraj, kierując tegoroczną wyprawę na Kresy.

Jechaliśmy od kominka do kominka. Pierwszy nocleg — w podchorążówce, drugi — w domu wariatów, następnie u Kossakowskich, u Bispingów, u Brochockich, Wagnerów, Balińskich, zaraz potem u śmiertelnego wroga ziemian — senatora Małskiego, potem u osadnika Bombika, u poety białoruskiego Maszary, u komunisty Lebiody.

Zwiedziwszy Pikiliszki marszałka Piłsudskiego, że to Wilno nie było daleko, a do wieczora jeszcze niesporo, pomknęliśmy polami na przełaj. Na przełaj — to znaczy drogami polnymi, gdzie między dwiema kolejnami trawa rośnie, to znaczy — bez mapy, bez drogowskazów, bez wskazówek, „na nos”, gdzie też nas wyniesie z tego wiru ziemi.

No i jak zwykle — fanfara drzew. Starodrzewu. Znaczy — dwór. A to rów, a to rojst, a to grobla — przed tym czubem drzew. Kiedyśmy wreszcie dokocłowali, ku podwieczorowi było. Wlokąc czarny ukośny cień po drodze przysypującej złocistym piaskiem, wpadliśmy w nawilżoną zieloność alei, w kałużę chlupką, kochaną, niewyschlą w tym tunelu by w upał największy i wypęczniliśmy się pod dwór drewniany, rozłożysty, naklapły w tej oazie zielonej jak narośl, jak część przedziwactw, które ze swego łona wypiera ziemia.

Na poskrzypujące drewniane schody, wiodące na taras nie-taras obszerny, werandę nie-werandę, na schody, którymi chodzić trzeba się było uczyć od dziecka, bo tam wypróchniało, a tam zapadło, a tam gwóźdź, a tam drzazga (tedy tubylce pilotują znanymi przejściami), wyszedł stary dziedzic z naftową lampą kulistą w rękę. I tak trzymając tę lampę niby granat obrotowy, pytał nachrypłym głosem — ktośmy zaś? Bo któż by motorem nadjeżdżał, jak nie urzędnik.

Okazało się jednak — z Wańkowiczów, tych a owych. Tedy kulista lampka zamieniała się w słup ognisty, wiodący do sieni przestronnej.

Pan Pisanko — on to był bowiem, a majątek zwał się Kowszadola — ledwośmy się zzuli z płaszczy, rzekł, jakby spieszył przekazać sprawę najpilniejszą:

— Więc kiedy przyjechaliście, do ogrodu proszę; nim słońce zajdzie, pokażę aleję.

Przeszliśmy róże i jabłonie, i łopuchy — jak zwykle na Kresach — wszystko w kupie Panu Bogu wieczorami modlące się chórem potężnym zapachów lubych, zmieszanych z zapachem gnoju, podorywki, butwiejących liści — i stanęliśmy przed najwspanialszym tumem gotyckim zieleni.

Prawa to ściana lip była, nie rozrosłych, jako to bywa, kiedy w pojedynkę stojąc lipa miodem pachnie i pszczołami brzęczy, jeno w mur, w linię, w pion przez zabiegliwego o prawnuki przodka sadzonych, ścisłych, strzelistych, w niebo wdanych, koronami zesklepionych, równych jak strzała.

Stary pan Pisanko zmacał pień pierwszej z brzegu, pojechał po jego szorstkości ruchem sobie wiadomym, jako jeździec ręką przeciąga przez kłęb wierchowca.

— Ot — mówi — w tamtą wojnę Rosjanie się cofali. Rozkaz był palić. Przyszli saperzy i ot — ręką drżącą wskazuje bliźnię zażyłą, cięcie topora straszne — od tej lipy zaczęli. Przybiegłem i stoję, nie wiem, co mówić. Oficer, saper, widać jakiś był światły. Pyta, co tak

patrzę. A ja, wiadomo, bez tołku, wiadomo, jak tu wytłumaczysz śmierć drzewa, dla nichżeż to tylko polano, mówię: „Ta aleja prosto do kościoła prowadzi! Myślałem zawsze — ostatni raz po ziemi moja droga będzie, jak mnie wyniosą tędy na spoczynek wieczny”. I wtedy on, niech mu Bóg wynagrodzi, odpędził sołdatów.

Wracaliśmy do dworu za ciemna, a już Gospodarz Świata kazał zabom grać. Poczułem palec Tilusi, ten sam „palać”, który ongiś odkryła w kolebusi, wślizgujący się w moją rękę. Znak to był nie umówiony a znany, znak wtajemniczenia, zaufania i znak łączności. Tirliporek szedł zasnuty w sobie i spokorniały, a pan Pisanko już pokrzykiwał na sługi o kolację.

Dopieroż przy kolacji — borowiki (wielkości spodka) na poprzek w plastry krajane, na słoninie (w teźże wielkości plastry przyciętej) przysmażane. Cerata poobdłubywana na stole długim jak zagon, żywiącym bez rachunku, kto ci przyjechał i siadł. Muchołapki szklane pełne nasiąkłych much. Śmierć Czarnieckiego na ścianie tak popstrzona, że ledwo widać biel wiernego siwka, żegnającego się z panem. Wianuszki jakieś z czyichś włosów — pewno turemna robota po 1863 roku. Wszystko jak trzeba opleśniałe jak głaz. A woda po nim rwie nowa. Pan Pisanko wyblakłe oczy wparł w ten bieg nowych lat i mówi:

— Ot i nastała wtedy ta Litwa Środkowa, Panie, zmiłujcie, czego nie wymyślą. Tu się urodziłem, wiek przeżywszy, nigdy człowiek nie myślał, że na Litwie i Środkowej żyje. Bieda była, wiadomo, wszystko poczynaj z początku. Lisów w polu, że nie daj Ty, Panie. Drut zardzewiały, pocisków nie wystrzelanych pełno, pastuchom nogi rwie. A inwentarz jaki? Śmiech tylko jeden.

„A wtedy sąsiad mój jeden zmyślił wystawę rolniczą w Podbrzeziu robić. „Wystawuj i wystawuj” — wczepił się. A cóż ja wystawować będę? A w ta pora pod oknem żrebuk był szedzszy. Tak on jego chwycił się. „Chcesz, wystawuj — mówię — ależ ja i sam nie wiem, czy on trzy, czy cztery nogi ma.”

...Nu, ot i odkryli ta wystawę. Sam delegat rządu przyjechał,⁴ śmiech powiedzieć — do czego delegat? I jeszcze nie zwyczajny delegat, a dwojga imion: i Walery, i Roman... Nu, cóż, czy nie w pięć minut my i cała wystawa obeszli: mój żrebuk, parszuk sąsiada, kura czubata...

...Ależ ten Falkiewicz straszć przyjmować lubił. Tak on z Postrabini lokaja pożyczał, białe rękawiczki jemu napiał i mówi do mnie:

„Siadaj, panie Janie, koło delegata”.

...Tak cóż — siedzę. A delegat — prosto trajkota jakaś. Nu, prosto zjeść nie daj!

„Czy podobala się panu wystawa?”

„A cóż, mój żrebuk, kura czubata.”

...Widzę — niezadowolony jakbyś.

„Nie widział pan nic godnego zobaczenia?”

...Nu, prosto jeść nie daj! Tak ja zezłumem się, gęba wytarłszy, i pytam się:

„A czy pozwoli pan delegat szczerze mówić?”

„Wzajemna szczerłość jest kardynalnym warunkiem stosunków pomiędzy obywatelami i przedstawicielami władzy”.

„Nu, kiedy tak, po mojemu największa osobliwość to pan delegat jesteś.”

...Tak on kiedy zasuponił się, co kawy nie dopiwszy, pojechał.

Zanurzaliśmy się coraz bardziej w ten świat znikający, tający w oczach, jak znika śnieg pod zalewem burych wód totalizmu. Siedziałem u pewnego ziemianina koło Zodziszek, kiedy przyszedł rozkaz od starostwa, aby zabić sztuki chore na wąglik. Szlagon poczerwieniał i wybuchnął: „Możeż krowy to czy starosty? Co chcę, to i zrobię z nimi!” A przecież wąglik

⁴ W przejściowym tworze zwanym Litwą Środkową Polska rządziła nie przez wojewodę, tylko przez „delegata” — Walerego Romana.

zagroził całemu powiatowi. Teraz, kiedy się przeszło przez tyle lat reglamentacji, wierzyć się nie chce, że jeszcze za swego życia coś takiego widziałem.

A przecież... A przecież sens dziejów idzie ku temu, aby w maksymalnie planowanym świecie żył maksymalnie wolny człowiek. Wtedy powietrze, które otaczało naiwnych starych ludzi na Kresach, przyniesie jeszcze falę, już daleką od dziwactw i wyziewów zacofania, już tylko przepojoną balsamicznym oddechem najlepszych rzeczy, którymi żył ten kraj. Przyda się ta nikła fala. Jak przyda się ta moja książka pisana w straszliwej epoce o życiu dwóch młodych duszków, o ich wychowaniu bez żadnych tabu, bez żadnych zmumifikowanych świętości.

Ich życiem, ich wychowaniem — słaby wobec nadciągającej lawiny — Domeczek protestował; ile umiał i jak mógł...

Była w tym świecie ziemiaństwa kresowego dziwna, wzruszająca łączność z przeszłością, tak wzruszająca, że świat zjaw stawał się czasami rzeczywistością, w której pulsuje żywa krew. Tę wzruszającą łączność, dla której nie istnieją przegrody tysiącleci, znajdowałem u mchem zarosłych rabinów, gdzieś w górach świętego miasta Swad północnej Galilei, kiedy mówiąc o Chrystusie, o saduceuszach, o faryzeuszach, powtarzali o ich życiu plotki tak żywe i osobiste, jakby to dziś jedna paniusia powtarzała drugiej, malując perypetie sporów o klucz.

Zajechaliśmy kiedyś do pana Rymszy, rezydującego w dworze obronnym, zbudowanym przez architekta włoskiego w 1620 roku. Dwór z bastionami po rogach, o potężnych murach, był pod opieką konserwatora. Pan Rymsza wywalił sobie na froncie ogromne weneckie okno. Konserwator płakał, a pan Rymsza się wściekał:

— Żeby jemu było ładnie, to ja muszę po ciemku siedzieć? Nic nowego? Tak ja jemu i powiedziałem: „Panie konserwatorze, dobrze, co za króla Kraka konserwatorów nie było. Bo my dotąd w smoczej jamie by siedzieli i Wawla by nie zbudowali”.

Pomyślałem, że tak samo byśmy dotąd w Bogurodzicy siedzieli i z czeska seplenili, gdyby Jagiełłę obsiedli puryści językowi.

— A jak powstało to przysłowie: „Większy Pan Bóg, jak pan Rymsza”?

— Łajdactwo! — wybuchnął pan Rymsza. — Toż dominikanie w buty ziemi ze swego pola nasypali i wszedłszy na nasze władanie, przysięgali, że na swojej ziemi stoją.

— A ile to lat temu było? — pytam, widząc, że mało apopleksja dziedzica nie udusi.. .

— Trzysta.

Jak z tej ziemi smętnej, krajobrazu nie afektowanego, kraju bez wina, bez morza, właściwie to i bez śpiewu, rósł humor przedni, gust do facecji na tradycji szlagońskiej naległy? Bogiem a prawdą to każdy człowiek był tam oryginałem; oryginałowie, maniacy, sobiepankowie byli cenieni; bezsilny, ginący świat buntował się przeciw ciągnącemu na ludzkość barbarzyństwu i sędzę, patrząc wstecz na zawałone ćwierćwiecze, że współczesny nam Domeczek o płaskim dachu, wielkich na całą ścianę oknach, szlusował w gruncie rzeczy do tych skrzypiących schodów przy ganku, szlusował do tego buntu.

Z dawna rosłem w tradycjach wielkich ziemiańskich kpiarzy. Kiedy słynny facecjonista, Żukowski z Kowieńszczyzny, zmarł, kiedy już leżał na katafalku, ludzie stali naokoło z ucieszonymi minami, oczekując nowego kawału. Pamiętniki Morawskiego, pamiętniki z Puzynów Guntherowej i innych roją się od kawałów. Babka moja opowiadała o takim, który płaszcz ze skórek jeżowych poszyć sobie kazał, inny, Zyndram-Kościółkowski bodaj, rozzłościwszy się na żonę, sześć lat w łóżku leżał, aż go pożar wypłoszył. Dzięki Bogu i za naszych jazd z Tirliporkiem żyły tu przed wojną oryginały niewąskie, jak ten procesownik Sakowicz, rybom świecący Protasewicz, jak Biszewski z Łyntup, skąpy przysłowiowo, a przecież ciągle coś budujący, bo mu Cyganka zapowiedziała śmierć, jeśli na chwilę budować przestanie.

Jadąc raz po raz na coś takiego trafiłeś, że ot, prosto, brzuch trząść się musiał, choć i w takich smutnych czasach.

Kiedy byłem w Baranowiczach, przyjechał tam obcokrajowiec (bo z innego powiatu), Napoleon Obuchowicz. U nich tak ten Napoleon wkleił się jak u nas Melchior.

Otóż siedzi pan Napoleon w przedziale, a razem z nim jedzie geometra ich powiatowy, złoty człowiek, tylko coś takiego z nim co jakie dziesięć, piętnaście minut robi się, że nagle jemu gębę na cztery wiatry skrzywi.

— Mówią lekarze, że to tik nerwowy — tłumaczy geometra — i żadnego ratunku na to nie ma. Znajomi — przywykszy. Ależ z nieznanymi najgorzej, bo żebyż to ciągle drgało, nu, wiadomo, każdy od razu rozumie — taka już natura. Ależ tu, człowieku, gadasz z nim z gładko twarzo, aż nagle kiedy nie chwyci... Jeszcze jak przy jedzeniu, to pół biedy: pytają, czy czego paskudnego nie wkąsił? Ależ jak bez jedzenia — tak każdego myśli, co ja przedrzeźniam się, i tłumacz tu, człowieku. Życie już z tym obrzydło.

— Nu, cóż — mówi wysiadając z pociągu pan Napoleon — chyba naprzód ogolić się?

— I toż prawda. Tylko ja, jak widzi, za pokupko zaskoczę.

Rozstali się i Obuchowicz do fryzjera poszedł. Mydląc go, ciekawy cudzoziemca, Żyd podejżdża z pytaniami.

— Chorego przywozłem — mówi Obuchowicz — tykoż zmartwienie u mnie z nim. Na peronie gdzieś zadział się i straszno trochę. Bo tak, nic sobie, spokojny. Ależ jak co najdzie jego, nie daj ty, Panie, wtedy u niego gęba takim manierem kurczy się (Obuchowicz naśladuje tik geometry) i ludzi różnie. Tylkożeż nadzieja moja, że to nieczęsto na niego przychodzi. Czasem i pół roku bez tego.

Zapłacił, wyszedł, zaraz potem wszedł geometra. Siadł, uprzejmy Żydek go wypytuje, mydli, nagle — jakżeż nie urznie biedak tika. Żyd — chodu z brzytwą ze sklepu, pomocnicy, namydleni goście z innych foteli też. Myślał — coś ciekawego na ulicy zdarzyło się, wyskoczył za nimi i on — a tu całe miasteczko od niego — chodu! Różnąć będzie...

Pod tą połyskliwą resztką dworów, które topniały jak śnieg na wiosnę, ukazywała się, jak gleba pod tęż wiosnę — jeszcze nie porośła zielenią, jeszcze tająca w sobie nie wyklute nasiona — bura, jednolita, zamknięta w sobie masa ludowa.

Za daleko by zabiegła ta gawęda, podmalowana tylko z lekka różowymi kolorami z różnych kątów Polski, gdybym zaczął roztrząsać czy błędy, czy tragizm, czy dramatyczne niemożliwości, czy głupotę naszych rządów na Kresach. Ale nie było dobrze. I kiedy nauczyciele w Stołpcach z zadowoleniem produkowali przede mną dzieci białoruskie śpiewające: „Ej, ty, Wiśło, modra rzeko...” — nudno mi się robiło i straszno. Kiedy wojewoda wileński mi mówił, że białoruski jest odmianą polskiego, kiedy starosta wołożyński, nawiany gdzieś z Kongresówki, karmił mnie, że po białorusku rozmawiam z ludnością, gniew ciężki mnie zdejmował, upokorzenie wobec pamięci przodków, którą schamają.

Widziałem w Nowogródzkim wzburzoną gromadę przed domem sołtysa, który kazał wędrować do odległego o kilkadziesiąt kilometrów Nowogródka o zaświadczenie podpisów na petycji o szkołę białorską, tak jakby nie znał podpisujących osobiście. Widziałem w Kłecku kooperatywę chłopską prześladowaną przez policję, która dzień w dzień obkładała mandatem karnym zarządzającego tą kooperatywą za niezachowanie przepisów ruchu kołowego, kiedy jechał na rowerze... po Kłecku, mandaty za brak czystości, zamykanie lokalu ze względów pożarowych, budowlanych, bezpieczeństwa. Widziałem w Mołodecznie księdza, który wyjednywał zwalnianie złodziejasków od dochodzeń policyjnych w zamian za przejście na katolicyzm, poczciewego prałata w wileńskim powiecie, który za to samo dawał dwa cetnary zboża, ojców marianów w Drui, którym zamknięto klasztor i wysiedlono „za bolszewizm”, jezuitów w Albertynie paćkających bez powodzenia unicką misyjną robotę, przebierających się po komediancku w prawosławne liturgiczne szaty, naśladujących prawosławną liturgię przy wyśmiewaniu się ludności. Widziałem wielu chłopów więzionych,

bitych po zakamarkach policyjnych za ruch białoruski. Siadywałem długie godziny nad Dzisieńką z więźniem z Łukiszek, dwuhektarowym gospodarzem, dobrym poetą chłopskim, Michasiem Maszarą. Oczepiała duszę mgiełką liryka Maszary, galopowały warkliwe, gniewne akordy Tanka — w niewiadome, w pustkę.

Bo nic nie znaczy wola, rozum, serce ludzkie, gdzie nie ma dobrego układu sił, bo na nic najlepsze pomyslenia federalizujących piłsudczyków, separatyzujących krajowców, tolerancyjnych liberałów, tam gdzie za ścianą skok w inne, tam gdzie po naszej stronie ściany biedno, i autorytetu nie wspiera ani kredyt, ani inwestycja, tylko policjant. Dlatego liberalni wojewodowie zakładający szkoły białoruskie i nie umiejący zatrudnić produkowanej przez nie białoruskiej inteligencji byli jeszcze gorszymi siewcami niezadowolenia niż ci, którzy uważali Białorusinów za odmianę Kaszubów. Bo nie rozumieli, że „akty miłości”, jak nasza Unia, „akty rozumu”, jak unia szkocko-angielska, nigdy w dziejach się nie robią ani miłością, ani rozumem, ani dobrą wolą, tylko tarcie sił. Na to między nami a Białorusinami była zbyt duża dysproporcja, aby strony traktowały z sobą jak równy z równym. A na to, aby się poczuł na swoim miejscu nad „Wisłą, modrą rzeką” — było ich zbyt wielu.

W tym złym układzie sił ziemianin się wynaturzał w dziwaka, wśród chłopów zerował swoisty mistycyzm. Kresy pokryły się dziesiątkami sekt. Zwykle promotorami stawali się reemigranci z Ameryki, którzy coś tam łyknęli z garnczka wiecznie buzujących popurytańskich dyskusji i przyprawiali na swój sposób słowiańskim mistycyzmem.

W Kucewiczach powiatu oszmiańskiego napotkałem takiego założyciela własnej sekty. Była to podbudowana silnie Starym Testamentem mieszanina wszelkich tez i herezji, jakie przeszły przez ludzkość. Cyfry kabalistyczne, swoisty chłopski humanizm, jakieś starochrześcijańskie prądy z pierwszych stuleci po Chrystusie, pomieszane z marksizmem. Prorok mi oświadczył, że miał sen, w którym Bóg kazał mu iść w świat i nawracać, oraz przepowiedział, że w siódmym mieście będzie umęczony, ale ziarna zostaną rzucone i wzędzą.

— Gdzie pan pójdzie? — spytałem.

Usta mu drgnęły, ale się wstrzymał nieufnie. Zrozumiałem: pójdzie przez zieloną granicę.

Kiedym był następnego roku w Kucewiczach, uczeń jego i zarazem parobek, który rozpucołowaciał, obiegając porzuconą żonę proroka, szepnął:

— Już poszedł...

Regulamin wycieczki, ułożony przez Tatę, nakazywał, aby z bagażnika wozu każde z nas brało na noclegi jedynie neseser. Tymczasem kiedy neseser tatowy był istnym składem wszystkiego, co można sobie wyobrazić, to nie zdarzało się, żeby z córkowego wyłoniło się co innego niż piżamka, pantofle i pasta do zębów.

Zaintrygowany Tata zajrzał kiedyś w ten ceremonialnie wnoszony neseser i zaniemówił: całe jego wnętrze zajmował ogromny nowy łapec białoruski, pleciony, ze sztywnego łyka.

Dopieroż przyciśnięty do muru Tirliporek wyznał, że równocześnie odbywa gdzieś tam wycieczkę kajakową Kazik Kott, wielka flama pensjonarska, ośmioklasista. Ten ci Kazik przysłał jej w upominku łapec, który kupił gdzieś na jarmarku.

— Ja rozumiem — powiada Tata — że chcesz souvenir od lubego mieć dzień i noc przy sobie, ale czy nie mogłabyś napisać o coś portatywniejszego? Całe szczęście jeszcze, że ci nie przysłał, na przykład, sochy białoruskiej — musielibyśmy ją wozić na dachu Kacperka i wturgiwać na wszystkie noclegi.

A swoją drogą — co tu robić? Straszliwe amoroso jest ten Sancho Pansa, wręcz odwrotnie niż Kryśia, która wyśmiewa się z chłopców. Kmiotek-Roztropek po wierzchu jest taki, a „w śłodku” — stuprocentowa kobietka. Od małego mówi, że wyjdzie za męża, a pytana przez Mamę kiedyś, jak sobie ułoży życie, odpowiedziała, że będzie ślicznie układać bieliznę męża i „skałpetki całować”.

Tymczasem w czasie wojny wygłosiła dwieście odczytów angielskich po Stanach Zjednoczonych i napisała książkę. Nigdy nie wiadomo, co komu...

Tata jest więc trochę zły.

— Zobaczysz — mawia do Mamy — Tili się kropnie bardzo wcześnie za męża. Jak nie będzie innego obiektu, to się wyda za kij od szczotki.

Więc choć śmieszy go i wzrusza ta zmobilizowana kobieca gotowość do zamęścia, szuka po głowie sposobu, jak przeciwdziałać.

Tol kiedyś zachował się genialnie w takim wypadku. Po drodze z Borysowa, naszej stacji kolejowej, był Hlewin — majątek Świdów, przyjaciół jeszcze rodziców. Pańska fortuna, rozległy dwór, stare lasy, bezmierne łęgi nad Berezyną. I Lala Świdówna, śliczna osiemnastolatka z buzią porcelanową. Tol ją od małego na ręku nosił.

— Wiesz, Tolku — zwierza się pani Stanisławowa Świdowa — taka niespokojna jestem: Lala nam oświadczyła, że zaręczyła się wczoraj.

— Lala?

Okazało się, że się podkreślił jakiś paniczek, łowca posagowy, na którego rodzice bynajmniej nie mieli ochoty.

Tol-mędrzec oznajmił autorytatywnie:

— Już ja to załatwię.

Poszedł do Lali.

— Słuchaj, Lala, jak to było?

— Poszliśmy na spacer do parku, powiedział, że żyć beze mnie nie może i że na pewno życie sobie odbierze. Bardzo się nastraszyłam.

— No, a ty bardzo go kochasz?

Okazuje się — nie bardzo wie — trochę się go boi, ale jeszcze się bardziej boi, że on się zastrzeli; teraz już za późno — wzdycha; już jest związana na całe życie...

Tol-mędrzec pokiwał głową.

— Tak, tak... Otóż to... masz rację... u polskiej dziewczyny narzeczeństwo — to ślub. Ale powiedz mi dokładnie — jak to było? Czy ukląkł oświadczając się i czy położył rękę na sercu?

— Nie — mówi skonsternowana Lala.

— No, to się nie liczy — mówi z ulgą Tol — to nieważne.

Zapewnił na dodatek, że wie z najlepszego źródła, że niedoszły epuzer się nie zastrzeli, i poszedł do rodziców.

— Zwracam wam córkę — mówi z emfazą.

Teraz King przemyślał, jak by pójść w ślady Tola. Na następnym postoju czekał list Kotta. King, niegodny, podważył kopertę ołówkiem. „Kochana moja dziewczyno” poczynął się list, najniewinniejszy zresztą, chłopczyński list (całe to towarzystwo było z reguły ze sobą na „ty”). King zakleił list.

— Wiesz — powiada — założyłbym się, że ten Kazik Kott zaczyna do ciebie list przez „Kochana moja dziewczyno” albo coś takiego.

— Skąd wiesz? — zmieszła się Tili.

— Znam takich pewnych siebie. Uważa, że jak się do niego uśmiechnąć lub napisać, to już zaraz jest właścicielem. To jest głupie i niesmaczne.

— Wciale — mówi dawną modłą naburmuszony Tirliporek.

— Ale King miarkuje po kilku dniach, że neserek zrobił się pojemniejszy. Najprzód spławił się łapęć, a potem powoli i jego ofiarodawca.

Krynolinki

Już więc poczynaliśmy się parać z pierwszymi miłościami, a tu, po powrocie z Kresów, czekał Tirliporka pajac od jakichś czytelników Smętka. Dla nich Tirliporek zawsze był dwunastoletnią dziewczynką. Sancho Pansa wydymał się, kiedy otrzymywał głupawe listy pisane do niej jak do dziecka, obiecujące lody, zapraszające na matkę chrzestną przy spuszczeniu na wodę kajaków, które chrzczono nazwami „Kuwaka” albo „Tirliporek”.

W tej formie dziecinnej chciała ją zaparafinować nie tylko opinia czytelników, ale i — w skrytości ducha — Mama. A prawdę powiedziawszy, to może i Tata. Podczas kiedy jednak Tata bawił się i zachwycał tymi nowymi pędami fasoli, Mama ich się bała. Zbliżał się wielkimi krokami bożek Sexus. Póki to było mżenie przysłoniętej lampy nad dziecinny łóżeczkiem, loteryjka z „kota-głową”, „Królestwa Jasności” — Mama, prawodawca najwyższy, rządziła rozsądnie a dobrotliwie niby Mojżesz z góry Synaj. Ale kiedy filigranowa Malwinka poczęła miauczeć grubym, gardłowym głosem, stłumionym przez namiętność, kiedy Gawel zaczął wracać ze swoich wypraw przystrajany przez właścicielki suczek białą kokardą weselną, kiedy Tata wykrył w Tilowym neseserku ten łapeć, nieszczęsny Królik mamowy przysiadł na ogonie i nie śmiał ruszyć nosem, żeby nie prowokować życia — buldoga.

Mieliśmy w swoim czasie klucznice, osłuchaną (jak to zwykle, kręcąc się po pokojach) z rozmowami i terminami, które łapała na chybił trafił.

— Najgorszy, proszę pani — wzdychała — to taki seksus, co wyzyska biedną dziewczynę i potem porzuci. Mieszkał taki jeden koło nas — komplementy, prezenty, a potem co? To ojciec dziewczyny pojechał i tak jego wyłupił, że tego seksusa do szpitala powieźli.

Mama ani temu seksusowi źle nie życzyła, ani nawet, teoretycznie, nie zarzekała się go, wierzyła na słowo Ringowi, że to wartościowy facet, ale co innego amerek, a co innego ten tam seksus. Co innego: „Ach, ścinaj, kacie, moją białą szyję” zakochanej krakowianki, a co innego ten grzeszny młodzian, co napadł dziewczę w chatynce pod lasem i przysporzył tymże aniołom kłopotów turganiem nowej świętej do nieba.

W 1920 roku, kiedy bitwy rozgorzały pod Warszawą, Mama jako bardzo młoda mężatka, godna nie tylko amorka, ale i seksusa, wybrała się na front na inspekcję gospód. W zapadłym miejscu postoju „wieczorową” porą znalazła samotną kantinę, a w niej młodziutką kantyniarke w opresji, mocno obleganą przez zgłodniały tłum wojacki. Niewiele co starsza pani inspektorka weszła tedy za bufet i poczęła urzędować z patronacką godnością.

Przystojny porucznik, widząc po paru nieudanych atakach, że nie przełamie tego bastionu cnoty, powiedział rozgoryczony:

— Az takimi poglądami to do klasztoru za poległych iść się modlić, a nie do nas żywych na front przyjeżdżać.

— Wiesz co — relacjonuje Mama po powrocie — doszłam do przekonania, że on miał rację.

— No, całe szczęście, że masz esprit d’escalier.

Ale Mama w sprawie wychowania córek nie chce mieć esprit d’escalier, nie chce, aby Tata był zmuszony poniewczasie seksusa obijać, albo żeby Mama miała wbrew woli uteścić się jakimś małpiszonem, nabiera powietrza w płuca i powiada bohaterskim głosem:

— Chcecie pić, to dobrze... — (hm... hm... mruczy zaskoczony Tata) — ale w domu.

Bo już się biedaczce zwidiało, że eskapady „na jednego” do baru „Pod baronicą” to pijaństwo i „neronienie się” na całego.

I tak powstały czwartki, w które panny domu przyjmowały, kogo chciały. Nie były to już wprawdzie dzieci z ulicy, jak w Jastarni, ale złąziły się chłopacydła i dziewczyska ze wszystkich końców świata. Nieraz na dzwonek Taty otwierał taki typek i pytał: „Pan do kogo?” W saloniku, w biblioteczce odchodziły jakieś zwierzenia i wałkowały się bardzo ważne sprawy miłosne koleżanek. Była to siódma klasa, okres przełomowy. King, nie można powiedzieć, żeby utracił w tym okresie zaufanie, ale uważany był w tych nade wszystko obecnie interesujących dziedzinach za nieco... jak by tu powiedzieć... głupawego. Królik, który z przejściem wysłuchiwał tych historii i przejmował się, jakby to on sam siadywał na ławce u Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, jakoś był bliższy.

W tym to czasie Wojtaszek Młodnicki, dwudziestoletni dryblas nie mogący pokonać siódmej klasy i cudnie tańczący kujawiaka, runął na klęczki, prosząc o błogosławieństwo i o rękę Tili. Nikt tego, oprócz samego Wojtaszka, nie wziął na serio. Pojechał do domu i poprosił ojca o sygnet rodzinny dla Tirliporka. Całe szczęście, że papa był rozsądniejszy. „Powiedział mi — donosił swoistą ortografią rozżalony Wojtaszek — że taka sportufka tylko sygnet zgubi.”

No i wtedy przyszedł — pierwszy bal nie-bal, ale już całkiem na prawdziwo — wieczór tańczący w Domeczku.

Kiedy zaistniał projekt — powstały dwa problemy: w jakim wieku gości zapraszać i jak się ubrać.

Pojęcie starca poczynano się w tym towarzystwie gdzieś zaraz po trzydziestu latach. Kiedy jedna miała lat piętnaście, a druga trzynaście, okazało się nawet, że jeden starzec miał lat dwadzieścia siedem. Teraz, kiedy podfruwajkom przybyło po dwa lata, okazało się, że granica lat starczych przesunęła się nieco, ale pojęcie młodości nie przekraczało podchorążaka, a ostatnie lata uniwersyteckie trąciły raczej zgrzybiałością.

Drugi problemat — suknie, żeby koniecznie długie — Mama dyplomatycznie rozwiązała, zaaplikowawszy krynolinki, zaprojektowane przez Renię Lorentowiczównę. Na dowód dorosłości zamówiono je u krawcowej Mamy. Przyklekła sklepowa, ze szpilkami w ustach, bierze miarę. Mama asystuje, przez ręce jej spływają migotliwości, migotliwości mienia się jak te spłonione młode życia, z zapartym tchem przeglądające się w lustrach. Mama wzdycha.

— Och, Tatusiu — przytulają się do Kinga pełne wdzięczności.

Przyjemnie jest ubierać kobiety.

Kiedyś Tata wybrał się z dziewczynkami bez Mamy na kupowanie sukien. Kiedy wrócili — Krysia zaprezentowała Mamie suknię z czarnej mory.

— Nie widzisz, jak ciepło z tej czerni wykwita szyja? — broni się Tata. I korzystając z tego, że Krysia odeszła, szepcze do Mamy, usiłując się podratować poetyckością: — Twarzyczka tak delikatnie błyszczysz w tej morze jak kwiat paproci.

— Kwiat paproci — z przekazem paruje Mama — z dziesięć lat jeszcze musi czekać na czarną szatę.

Mama przymierza do siebie; może uda się przyadaptować tę morę.

— Tili! — woła — pokaż swoją paczkę; coście tam nabroili?

Dropiate oko z niepokojem patrzy na mamowe ręce majdrujące koło sznurka pakunku: wyłania się — jaskrawożółta bluzka z lśniącego jedwabiu i czarna aksamitna spódniczka.

— Spróbujcie odmienić — jęknęła Mama.

— Nie masz racji — mówi Tata. — Jesteś... inna epoka. Tili szuka czegoś bardzo współczesnego do swojej mongolskiej mordki i swojej wesołości. Niech sama częściej kupuje — prędzej swój typ odnajdzie.

— Ale ze mną — mówi Mama.

Bal był więc — całą gębą. Suknie — dorosłe, picie — dorosłe. Po kątach dla panów stały papierosy, a nawet King, stary kpiarz, z namaszczeniem porozstawiał pudełka z cygarami.

Było więc wszystko, co małe ziele, przebijające się przez rodzicielską skałę, zdołało wywalczyć. Element niepożądany — mamy dziewczynek — zamknęliśmy w oddzielnym pokoju, gdzie ich kornakowała specjalnie ku temu przyuczona ciotka. Domeczek na wszystkich swoich czterech poziomach był znowu grzeszny tej nocy, tylko inaczej niż w Kingowe imieniny. Tonął w półcieniach, sącył melodie, dzwonił dyskretnie szkłem. Dziewczęta upojone, nieprzytomne, jak tylko nieprzytomna może być młodość, z błyszczącymi oczami, z wypiekami na twarzy. Królik, porwany tym upajającym, najświeższym tchnieniem młodości, sam miał wypieki i przestał sącyć dydaktyczny smrodek. Skała rodzicielska, przez którą przebiła się, którą opanowała zieleń, ginęła w jej pełzających na wszystkie strony omotach.

Nad ranem Mama trafiła na taką scenę:

Krysia mówiła podniesionym głosem do jednego z chłopców:

— W moim domu nie możesz się całować z dziewczynkami. Rozumiesz?

Kiedy na drugi dzień po tym wieczorze Mama ostrożnie pożeglowała rozmowę w tym kierunku i Krysia, jak to Krysia, poczęła czmychać i parskać w obawie, że jej będą mówić morały i nadepną na samodzielność, pojednawczy Chłopiek-Roztropek, zwykle reprezentowany przez „Kłysiunię”, wygłosił najwidoczniej w imieniu ich obu speech:

— Mama, ty się nic nie bój — my widziałyśmy na ślizgawce, jak się całował Janusz Markowski — bee! — wstrząsnęła się z obrzydzeniem.

—No, znowuż nie takie bee! — moderował King.

Ale kiedy dziewczynki wyfrunęły z pokoju, rodzice spojrzeli po sobie z uśmiechem.

— Widzisz, jak się ziele przebija, to się krzywi, a jak się przebije, to i znowu równo ciągnie do słońca.

— Wlazał na piątą poduszczykę i odpoczął odrobinę — odpowiada Mama słowami tyle razy mówionymi dzieciom na sen. Ale mówi to głosem takim jak żeglarz, który ominął któryś tam poroh i ma przed sobą gładką przestrzeń — na krótki czas.

„Seksusowy” poroh najniebezpieczniejszej siódmej klasy minął i już zbliżała się ogromna katarakta — matura. Tu was tedy przyskrzybią — za ściągaczki, za podpowiadania, za wagary z Tatą i bez Taty!... „A mówiłam !” — powtarza Królik. Tym razem ma rację: mówiła, Bóg mi świadkiem, że mówiła.

Na sto dni przed maturą program jest właściwie skończony. Szkoła udziela tych trzech miesięcy na pakowanie bagażu wiedzy, rozsypanego po głowie w ciągu tylu lat nauki. Bagaż ten ma być równiutko poskładany, rzemienie podociągane, jeszcze tylko rewizja celna przed komisją maturalną i po tej odprawie celnej — wjazd w Krainę Dojrzałości.

Tata pokpiwa, że jakoś nawet nikłej sylwetki brzegu tej krainy nie dostrzega. Zebrało się to — całe czterdzieści koleżanek — na uroczystość „studniówki” w Domeczku. Dziewczyska, często jeszcze nie wyrosnięte, cybate albo kluchowate, pozasiadały na łózkach, stołkach, stołach, obsiadły Domeczek jak stado szpaków. Była widać, wystawiona jakowaś warta, która dała nagły sygnał:

— Pani Luciakowa. Prędko, prędko...

King wyszedł do hallu, żeby przywitać wychowawczynię klasy, wprowadza ją — a tu czterdzieści dziewcząt kurzy papierosy, kopcą jak kominy. Krztuszą się, ale kopcą. Na znak, że już dorosłe.

— Koci ogon — mruczy King.

— O, ja widzę, że tu same dorosłe osoby — śmieje się pani Luciakowa.

Dorosłe osoby składają broń — w postaci ćwierć tylko nadpalonych papierosów.

Pokutne i pełne najczarniejszych przewidywań sto dni wlokło się straszliwie wolnym krokiem. Minęły dni, kiedy Chłopiek-Roztropek, czując dwójkę wiszącą w powietrzu, prosił:

— Mama, przysiądź mnie!

Królik wówczas z książką w ręku „zasiadał” ofiarnika ogromnym fotelem. Teraz role się zmieniły i wystraszonych panny nie można było oderwać od książki. Naturalnie zachciewało im się czarnej kawy i późnego chodzenia spać. Nieznośny King jednak zamiast czarnej kawy proponował chałwę i o jedenastej wieczorem wykręcał żarówki w pokojach panienek. Jednak młode towarzystwo dramatyzowało i nie dawało się wziąć na wieś na jakieś tam święta na dziesięć dni przed maturą.

— To siedźcie sobie jak te sowy! — powiedział zirytowany King i uwiózł Królika.

Wrócił po kilku dniach wczesnym rankiem sam, zostawiwszy jeszcze Mamę kilka dni na wsi. Była godzina siódma rano. Przeszedłszy cicho do łazienki, wlaż już na dobre do wanny, kiedy za drzwiami posłyszał jakieś szelesty, jakieś naradzania się.

— Kto tam?

— To my — rozległ się jakiś niepewny siebie głos Krystyny. — Już przyjechałeś, Tatusiu?

— Nie, wieczorem dopiero przyjadę.

— A czy, Tatusiu, prędko wyjdiesz z wanny?

— Koło obiadu.

Ale King czuje, że coś się stało. Za grzeczne, pełne dramatyzmu „tatusiu” i „tatusiu”...

— A co tam? Zbiłyście Królikową lampę (Królik miał straszliwie ukochanego „Lalique’a”, nad którym się trząsł).

Zza drzwi wionął jęk:

— Oj, Tatusiu, nie żartuj... Gorzej...

— Co do licha? — zaniepokoił się King. — Czemu nie słyszę głosu Tili?

— Jestem — wionął zza drzwi bardzo pokorny szept. King uspokoił się natychmiast.

— Coście zmalowały?

— Tatusiu...

— Skaranie Boskie: tatusiu i tatusiu! Co ci jest, córeczko?

King znowu się zaniepokoił. Krystyna, niezależna, krnąbrna, dumna Krystyna, nigdy jeszcze nie mówiła takim głosem. Cóż u diabła znowu stać się mogło? Wszystkie przecie zdrowe.

— Tatusiu, wydaliли Tili ze szkoły...

King parsknął śmiechem.

— O, jak to dobrze, Tatusiu, że ty przyjechałeś, a nie Mamusia.

To niby, że nie przyjechało Prawo Domowe, a współnik kawałów. Ale to za gruby kawał — wylanie na dziesięć dni przed rozpoczynającymi się egzaminami maturalnymi!

Za chwilę King w szlafroku siedzi przy śniadaniu, a winowajcy zaznajamiają go z aktami sprawy.

To znaczy winowajca jest jeden — wylany Chłopek-Roztropek, a Krysia adwokatuje.

Już się na to zanosilo od dawna, sam to Tata czuł i widział.

Tili została wyrzucona za konspirację w szkole.

Domeczek — był zanadto pełen tradycji, aby to nie ogarnęło i tych malców. Na próżno King zachłystywał się dziejowymi wakacjami Domeczku, hodował dzieci po pogańsku, samą chęcią życia, a nie nakazami jakichś obowiązków. Mama, moderując Kingowe ekstrawagancje, też zgadzała się dzieci „nie faszzerować”. Ale sączyło się to samo — przez te opowiaduszki powstańcze unoszące się jak pył kwietny w powietrzu, wianuszki z włosów, różańce z chleba po więzieniach robione, rodzinne krzyże Virtuti Militari i własne wspomnienia rodziców.

Z takimi wspomnieniami redaktor książki Kobiety POW Wschód, kapitan Ziemiański, jąkała i poczwier nieprawdopodobny, miał pełno kłopotu; tak mi się zwierzał w siedemnastce, idącej z Żoliborza:

— Ze... ze... ze... brałem z kopę tych fo... fo... tografii, ale cóż...

Owo „ale cóż” nie wiem, czy odnosiło się do trudności z ową kopą fotografii, czy do dwóch paniusz w wieku balzakowskim, które wtłoczyły się między nas.

Ziemiański chwilę pasował się między gentlemanerią i chęcią kontynuowania rozmowy, aż wreszcie rzekł, ustępując miejsca:

— Która z pań sta... sta... star... starsza, to p-p-proszę.

Paniusie — sourde oreille, jedna patrzy w jedno okno, druga w drugie okno.

— Jak n-nie, t-t-t-o nie... — filozoficznie stwierdza Ziemiański i wraca do tematu — ale cóż... ka... ka... każda chciała mieć fotografię z tamtych lat z odznaczeniami, które dostała jako babuleńcia. Cóż ja wi-winien, że je tak późno odznacжали?

Z tej książki i z tych opowiadań mamowych, z tych wspomnień o braciach i o latach przed wojną, i zaraz po wojnie, wyrastał w opowiadaniach Mamy nad wszystko — Komendant Józef Piłsudski, ten sam, któremu Stasiak, meldujący się po raz pierwszy z pancerni, tuż przed śmiercią, zamiast składanego raportu potrafił tylko powiedzieć ze swoją nieposkromioną wybuchowością:

— Do ostatniego tchu...

Nie śmiał powiedzieć „Komendancie”, bo nie był w Legionach.

Dom był przesiąknięty kultem Piłsudskiego. Tata protestował, pokpiwał, ale był rad, tak jak był w istocie wdzięczny żonie za to, że dziewczynki dostały ideową wielkiej wartości przewodniczkę przy przygotowaniu do pierwszej spowiedzi, za to wszystko, co Mama robi, że dzieci nie rosną na kundli.

Kiedyś w końcowym okresie Sulejówka rodzice wybierali się wieczorem na jakiś raut, na którym miał być Piłsudski. W południe diabli nadali wizytę jakiegoś damskiego koczodana. Koczodan ział nienawiścią do Piłsudskiego. Mama, uskromniwszy dzieci uprzednio do ich pokoju, wysłuchiwała z rezygnacją eksklamacji o bandytach bezdańskich i o Perlównie, i o tajnym porozumieniu z bolszewikami, całego potwornego brekekeksu, którym kundlizm obrzuca wielkość.

Nagle zza jakiegoś fotela wylazła Krysia, sześciolatka stwora w majteczkach, krótko ostrzyżona.

— Mamo, nie pozwól... Dziadunio źle zrobił, że im od razu wszystko dał, żeby dawał po trochu, toby tak nie mówili...

Była to po prawdzie tylko reminiscencja upomnień Mamy do Taty: „Nie dawaj tylko dzieciom od razu wszystkiego”, ale wypadła wcale a propos.

Napierała się w tych majteczkach — na raut, bo ma coś do powiedzenia „Dziaduniowi” (tak sobie urodzinniła legionowego „Dziadka”).

Przed wyjściem, pachnąca i ufryzowana Mama, szeleszcząc wieczorową suknią, podeszła do łóżeczka Krysi, aby dać krzyżyk.

Z łóżeczka wysunęła się piastka ze straszliwie pokarakułowanym papierkiem, na którym stało drukowanymi literami:

„Kochany dziaduniu, bardzo bym chciała psyjść do ciebie, ale nie mogę, bo już leże w łóżeczku. Krysia”.

Na ogół jednak Tata nie mógł narzekać. Żadnych „Kto ty jesteś? — Polak mały” nie było, a wielkie słowa były drastycznie wyśmiewane i pędzone. Przez długi czas język Domeczku był zwykłym językiem bez symbolów. Jedyne symbolem może było zaczerpnięte z Ani z Zielonego Wzgórza (Montgomery): „Czy on zna Józefa?”

Jeśli kto „znał Józefa”, nie był „żabą”, miał szeroko otwarte drzwi Domeczku.

Wiedzieliśmy jednak, że „izmy” przyjdą.

Wiedziała matka, kiedy wysiadywała w kawiarence na Miodowej pod zamkniętymi drzwiami salki, w której odbywały się występy „Parabumby”.

Wiedział ojciec, kiedy poczęły się lektury i dyskusje, nieporęczne, jak pierwsze chwytyszczeniaka zębami. Wśród gości „z ulicy” pytających gospodarza „do kogo?”, padały srogie wyroki:

— Wasz stary jest byczy chłop, ale filister.

Więc King robił rachunek sumienia i kiedy jakowys mędrzec-podchorążak zapytał, czy czytał de Manna, odpowiedział z pokorą:

— Nie, proszę pana, nie czytałem de Manna.

Czuł jednak, że się nie wysalwuje z bacznej obserwacji córek tym wierszykiem, i zasiadł nocną porą do tego cholernego de Manna. Gotów był na drugi dzień, rzucił się na podchorążaka z dyskusją, ale rumiany jak jabłuszko chłopak nic nie rozumiał.

— Tatusiu — powiedziały dziewczynki z wyrzutem — przecież wczoraj to był Wojtek z podchorążówki przeciwlotniczej, a dziś jest Stasiek z podchorążówki kawalerii.

— Licho was tam wie — mruczy King skonfundowany. — Wszystkich was wystrzygli jak kolano, na gębie jesteście tacy sami czerwoni...

— Ależ, tatusiu, Wojtek miał zielone patki, a Stasiek czerwono-amarantowe proporczyki. I wiesz, podchorążak z kawalerii nie czytałby de Manna.

King już przestał powtarzać z uśmiechem: „Dobrze, że nie mają innych problemów”. Bo problemy szły. I tak jak Mama bała się „seksusa” i pokornie wiedziała, że musi nadciągnąć, tak Tata wiedział, że musi nadciągnąć i to.

Krysia była trudniejsza dla tego ognia (krnąbrna, sobiepańska, nieufna, krytyczna, namiętnie ceniąca swobodę), dla tych tam miłości, dla tych tam ideowości. Z roli, z którą tak była zrosła, od ludzi wiejskich, których tak rozumiała, z prac ich twardych, które namiętnie kochała, wytworzyła sobie chropowaty, na wpół uświadomiony kult życia i głęboką nieufność do „przeżyć”.

— Wiesz — powiedziała kiedyś słuchając rozmowy o pięknie krajobrazu — jeśli się jest z ziemią, to się jej nie „przeżywa”. Jeśli się orze, to się aż nienawidzi tej ziemi — bo się nią żyje.

Sancho Pansa oglądał się tylko, za kim pokłusować, czy do cerowania skarpetek, czy do zbawiania ojczyzny.

Pewnych wakacji, wracając z Felem Lechnickim z konnej wycieczki, zagadała się o religii i o kwestii socjalnej. Towarzystwo miało: on — osiemnaście, ona — czternaście lat. Patrzyła w Felka jak w tęczę i entuzjazmowałaby się nawet koniugacjami łacińskimi, gdyby on tak chciał.

Wjehawszy na wzgórek, skrócili ostrego kłusa, którym szli czas dłuższy, i przeszli w stępa. Z łągów, które w dole rozesłały się pod nimi, przyleciał wilgotny ciepły wiatr nabuchany pokosami. Konie chłoneły i przyjemnie schły koszule.

Felek poprawił się w siodle.

— Na jesieni masz się zapisać do Straży Przedniej, tam ci może nieco w głowie rozjaśnią. Żyjesz bezmyślnie. Jakaż różnica między tobą a tą Fatimą? — klepnął rasową klacz po lśniącej szyi — chyta ta, że Fatima jest znacznie piękniejsza.

Piegowata mordka bakfisz siorbnęła pokornie nosem. Niegodziwy Felek!... Czyż może być coś piękniejszego od Fatimy-folblutki!... Ale po co musi to zaraz wytykać.

Kiedy na jesieni zapisała się do Straży Przedniej, Tata bardzo nosem kręcił i wydziwiał na tę „kazionną” instytucję, mającą hodować narybek sanacyjny pod wysokim protektorem ministra oświaty.

Ale Tirliporek wkładał własną treść. Ładowała Spencera i Cole’a (tego pracowitego idiota, który wszystko wie i nic nie rozumie... — według atestacji Taty), miała chaos w głowie, późno wracała, pracowała po robotniczych dzielnicach. Królik złapał na niej pchłę...

Tata znosił Cole’a, Mama pchły, ale działaczka przestała mówić, gdzie wychodzi.

Tata — już wiedział.

— Coście tam uzdajali, szczeniaki? Konspirujecie?

Tili podniosła głowę i sama się dziwi słowom, które mówi do ojca, towarzysza i kolegi, któremu wszystko się mówiło, oszczędzając Mamę, któremu pierwszemu się zwierzyło troskę o pierwszej menstruacji.

— Nie mogę powiedzieć, Tatusiu.

A serce Taty zalewa tkliwa czułość. Przygarnia konspiratora i całuje w jedno oko i w drugie. W drugie dwa razy, bo dropiate. I mówi, jak zwykła mówić ciotka Marietta do niespodziewanych i ekskuzujących się gości:

— Cóż zrobić — bardzo przyjemnie...

Konspiratorzy

— Cóż zrobić?... — powiedział Tata. Stała mu w oczach własna młodość.

W cóż wylały się rozwichrzenia strajkowe? I czy tylko stroiliśmy psie figle?

Uniwersytet rosyjski w Warszawie był bojkotowany przez Polaków. O kraj uderzyło przecucie niepodległości i tak zwane starsze społeczeństwo łamało się we frondach i secesjach.

Byliśmy więc bez wzorców i bez starszych kolegów-akademików, a na dobitkę sytuacja włożyła nam na barki ciężar nie lada: utrzymanie szkoły polskiej. W wyniku bowiem połowicznie wygranego strajku otrzymaliśmy szkolnictwo polskie bez praw.

Wysiłek utrzymania takiego szkolnictwa mogła wykrzesać tylko zdyscyplinowana więź społeczna, a tę więź trzymała konspiracja uczniowska.

Do tej konspiracji szło się długimi kanałami żłobionymi przez tradycje. Było to w krwi polskich pędaków.

W rosyjskiej jeszcze szkole, w drugiej klasie, założyliśmy kółko zbierające książki, pod nazwą: „Narodu Młodzi Przyjaciele”. Mieliśmy — własną pieczęć... i poduszczkę z zieloną farbą. Właśnie z zieloną. Na pieczęci były trzy litery NMP, co w razie rewizji policyjnej miało oznaczać Najświętsza Maryja Panna — niby że to kółko religijne. Bo, że rewizje przyjdą, że zbiry carskie rzucą się na Bibliotekę Dzid Wyborowych i rocznik „Biesiady Literackiej”, i „Wędrowca”, z których na naszą rzecz chętnie odśmiecali się ofiarodawcy, tośmy nie mieli żadnej wątpliwości. A potem — sznur kibitek, szlochania matek i długie nocne rodaków rozmowy o nas, kopiących gdzieś za kręgiem polarnym rudę, z której będzie topór na cara.

Trapiło nas, że kochanki powinny podążyć za nami na osiedlenie, a tymczasem nie było ich ani na lekarstwo. Przez podwórze mieszkała wprawdzie kandydatka na kochankę, ale była w piątej u Platerówny, a ja w drugaku u Chrzana. Skończyło się więc na tym, że skonstatowawszy, iż na mszy w niedzielę w kościele na Koszykach wzdychają ku sobie z jakimś Szostakiem od Konopczyńskiego, postanowiłem cierpieć w tajdze samotnie, i że moją mogiłą będzie pokrywało tylko wierne kwiecie na wiosnę.

Tak oto się zaczynało. Książki, które zbieraliśmy z naiwną wiarą, że wiedza będzie panaceum na niewolę, były z repertuaru naszych pozytywistycznych ojców; chęć samoofiary szła od romantycznych Dziadów, a tymczasem życie przed nami miało być półromantyczne, półpozytywistyczne, a w ogóle całkiem inne niż Dziady, inne niż Lalka, jakieś całkiem swoje i jeszcze nie znane.

W czwartaku poczynali do nas zaglądać koledzy ze starszych klas. Co za zmiana? W ogóle do wyższych klas w szkole żywi się uczucie niechęci „klasowej”, takiej, jaką mógł mieć gmin szlachecki do magnatów. Kto miał ukazujące się właśnie wówczas na rynku pióra wieczne? Naturalnie te stare byki. Kto nosił nadmiernie szerokie paski, spodnie w klosz, czapki o szerokich rondach? Naturalnie te fanfarony. Kto obstawiał wszystkie facetki na ślizgawkach? Kto milkł pogardliwie, gdy do rozmowy przypętał się któryś z nas, z młodszych klas?

Nagle podchodzi taki na pauzie na korytarzu i mówi per kolega: czy kolega sądzi to, a uważa tamto? Bo jeżeli kolega w ogóle... to może by kolega... ale to jest tajemnica, którą jednak uczniowi w czwartej klasie można powiedzieć... Tym bardziej że mamy już od dawna kolegę na oku.

Owo „mamy” spływa dreszczem przez krzyż pacierzowy. Naturalnie kolega czwartak też tak uważa, nieraz mówił to właśnie:

— No to niech kolega — w tym miejscu obejrzenie się uważne, czy kto nie podsłuchuje — w niedzielę po mszy szkolnej — Wilcza 44 mieszkanie 7 — z bramy na prawo, drugie piętro,

zadzwoić i spytać, czy jest pani Dymnikowska. Tylko, broń Boże, nie zapisywać adresu, należy pamiętać... Nikogo w kamienicy o mieszkanie nie zapytywać.

Koledze czwartakowi przez chwilę mignęło żałości, że właśnie w niedzielę miał Wackowi zaprodukować „turfy”, które wreszcie zdobył na miejsce szczeniackich „halifaksów”, każdorazowo przyczepianych do buta; ponieważ właśnie opanował wreszcie holendrowanie, przejedzie się przed nosem tej facetki od Rudzkiej, która nic tylko jeździ z tym siódmakiem, a siódma ślizga się jak krowa; nic nie będzie mówił, tylko raz i drugi zajedzie tak wspaniałymi holendrem, że ich zatkną, będą musieli się zatrzymać i może jednak tej facetce serce się ściśnie; ale on nic — ukloni się zimno i pojedzie do Mundka uczyć się pistoletu na jednej nodze; Mundek ma „panczeny” — aluminiowe długie wyścigówki.

Ale Wacek, Mundek, facetka, turfy, halifaksy, panczeny, holender, pistolet — przeleciało tylko przez głowę i znikło na rzecz tego adresu, którego nie ma się prawa zapisać.

W niedzielę w kaplicy koledzy dzwonią łyżwami, a czwartak stoi uroczyście w długich spodniach, wyprasowanych na kant.

— Co ty, nie idziesz na ślizgawkę?

Och, jakże by chciał zrobić tajemniczą minę, odpowiedzieć z udaną niedbałością, że jest inaczej zajęty, żeby poczęli zgadywać. Robiłby miny pozwalające przypuszczać, że ma randkę w Łazienkach. Ale tu przecież nie można. Jak on się wsypie, to wszystkich za sobą pociągnie, zaroją się więzienia. Gdzieś w głębi serca pyknęło, jak by to było ciekawie, jak by zazdrościli koledzy, co by powiedział „Szewc” — matematyk i opiekun klasowy; ale zaraz przyszła refleksja, których tyle odtąd pocznę ukuwać charakter chłopca: że nie można, że mu zawierzyli. Opowiada najnaturalniej jakąś zmyśloną historię o ciotce ze wsi.

Kiedy wychodzi ze szkoły mieszczącej się na Smolnej, mija się na zbiegu Nowego Światu z Wackiem; ale Wacek, zamiast dołączyć, machnął ręką z daleka i poszedł w bok. Na Marszałkowskiej koło Wilczej — znów mu się mignął.

— Gdzie ten znów łązi, przecież mieliśmy być na ślizgawce — mruknął do siebie i minął Wilczą dla niepoznaki, doszedł do Pięknej, okrążył poprzez Wielką, którą potem nazwano Poznańską, i podszedł do domu Wilcza 44 z przeciwnej strony.

Przed bramą stał stróż, potem nazwany dozorcą, i patrzył jakoś zanadto uważnie. Czwartak minął go mężnym okrążeniem, jakby objeżdżał facetkę najwspanialszym holendrem.

Panią Dymnikowską okazał się być onże starszy kolega, który dał adres. Wprowadził do bocznego pokoju, w którym na otomanie siedział onże Wacek. Przywitali się z dosyć głupimi minami, a ten starszy kolega mówi, że istnieje koło samokształcenia w naszej szkole, wobec tego, że szkoła jest pod nadzorem i nie może swobodnie dawać wszystkiego, co obywatel wiedzieć powinien. Że takie koła są w całej Polsce we wszystkich trzech zaborach, ale tym się nie mamy teraz interesować; natomiast, jeśli koledzy chcą należeć, to koledzy złożą przyrzeczenie organizacyjne, a jeśli nie, to nigdy nikomu i tak dalej.

Naturalnie koledzy chcą należeć i zostają wprowadzeni do przyległego pokoju, gdzie siedzi dwóch innych kolegów ze starszych klas, którzy jak raz w ostatnich dniach mieli ciągle jakieś preteksty, żeby rozmawiać a to ze mną, a to z Wackiem.

— Koledzy złożą więc przyrzeczenie — mówi jeden z nich, wszyscy się wyprostowują; ten najstarszy wyciąga papierek, z którego wszyscy poczynamy powtarzać przyrzeczenie organizacyjne, w którym jest o ojczyźnie, o niepodległości i o zachowaniu tajemnicy.

Potem siadamy, aby „omówić kwestie organizacyjne”. Chodzi o to, aby powołać koło samokształcenia w czwartej klasie.

Jesteśmy już ugotowani na miękko i na pewno, gdyby nam ci starsi koledzy kazali dziś zaraz zginąć, zginęlibyśmy; toteż jesteśmy nieco rozczarowani, gdy dowiadujemy się, o co chodzi: program samokształcenia jest przewidziany na wszystkie klasy. Ósmacy przerabiają Dmowskiego, Popławskiego i Balickiego; siódmacy — pisma Szczepanowskiego; szósta — trzech wieszczów; piąta — Libelta O miłości Ojczyzny, Mochnackiego oraz oba powstania;

my, czwartacy, mamy przerobić rozbiory, Konstytucję 3 Maja, epopeję napoleońską i Filaretów.

Ni mniej ni więcej — kucie przedpołudniami niedzielnymi zamiast ślizgawki. I nie tylko przed południami, bo każdy ma przygotować odpowiedni referat, więc — Jakich koledzy widzą kandydatów w swojej klasie?” Jeszcze przed chwileczką zapytani o siebie wzajemnie nigdy byśmy nie dali głosu jeden na drugiego; ja uważałem, że Wacek, syn z bogatego sitarza z Biłgorajskiego, który skłeciwszy fortunę na wysyłce sit do Rosji, kupił trzystuhektarowy folwarczek — jest zanadto zajęty gospodarstwem, nie ma wyobraźni, myśli po organicznikowsku; Wacek uważał, że człowiek, który tak błaznuje na lekcjach, nie nadaje się do niczego poważnego. Tymczasem z woli tajemniczej organizacji, której przysięgliśmy, mamy założyć jej koło w naszej klasie.

I niebawem kilku kandydatów na przyszłych ministrów (co nie okazało się dziecinadą, bo koledzy organizacyjni piastowali następnie najwyższe stanowiska w Polsce) siedziało, zamiast na ślizgawce, w bibliotekach publicznych, a potem kolejno każdy z nas zlewał swe wypociny na głowy współmęczenników. Wacek Matraś w swoim referacie o Promienistych cały czas dowodził, że prowadzili oni walkę z nieczystością i z „kornografią”. Pucłowate gąbki trzynasto- i czternastolatków wyrażały wielkie przejęcie: „kornografia” — to zapewne był szczyt ucisku carskiego.

Mnie przypadła epopeja napoleońska. Musiałem zakasować wszystkich. Trzymałem się wprawdzie dumnie i niezależnie wobec szeptanych zarzutów, że jakże może koło w klasie inicjować niemal najgorszy uczeń, ale mnie korciło, żeby nie znizając dumnie niesionego sztandaru wiecznie potencjalnego kandydata na drugorocznika, wyczynić coś imponującego. Poszedłem — do Korzona.

Stary pan, tonący wśród książek na Żabiej 4, spojrzał ponad okularami na czwartoklasistę przychodzącego go prosić o źródła historyczne. Grzebiąc po półkach, ciągle mruczał, że takie uczenie się wyrzywkami historii psu na buty się nie zdało.

— Hm... — epopeja napoleońska — mruczy, ciągnąc z półki ogromne osiemsetstronicowe dzieło o Napoleonie, bodaj Roger Peyer — dlaczego akurat napoleońska — odkurza Loreta Między Jeną a Tylżą — ambicje uniwersyteckie — wydobywa Skałkowskiego o księciu Józefie — a w głowie jak w Pikutkowie — ciągnie naręcz dalszych książek — podpisz no tu ten kwitek na wzięte książki.

Wyszedłem z duszą zmiażdżoną, z poważnym niepokojem, czyby nie należało właściwie rozpocząć referatu niedzielnego o Napoleonie dziejami Grecji, nie chcąc, aby moi słuchacze mieli w głowie jak w Pikutkowie. Niosłem pełno książek w tornistrze (bo na tę okazję wziąłem nigdy nie używany i pogardzany tornister, kryty włosiem z cielięcej skóry) i czułem się jak przysłowiowy żołnierz-frajer, który na dodatek do pożytecznej szczotki do butów pozwolił sobie wrzucić całkiem niepotrzebną buławę marszałkowską.

Niebawem tak zaplątałem się w studia o Napoleonie, że odkładając termin z tygodnia na tydzień, przed samymi wakacjami wyprosiłem odroczenie do jesieni. Całe lato siedząc sumiennie nad książkami, przyniosłem wreszcie w swoim referacie taką naręcz nie uporządkowanej tematyki, że zapewne nic to nie dało słuchaczom; było to jednak pokrzepiające, że referatów najmłodszego koła w szkole — ho! ho! — zrozumieć nie można...

Jak się potem okazało, szanowny zespół przyszłych ministrów i aktualnie uczonych był trzymany przez władze organizacyjne w tak zwanym podkółku, do którego bez większych trudności był wpuszczany element mający dopiero być selekcionowanym narybkiem do organizacji właściwej. Ale już i podkółka wytwarzały moment wysokiego napięcia; grupka chłopców związanych wspólnym zadaniem niesłuchanie wiele, po prostu wszystko znaczyła

w klasie; sprawiła, że poziom wymagań obywatelskich w stosunku do kolegów był jednolity, opinia uczniowska zdecydowana.

W tym mniej więcej czasie przed samymi wakacjami wyszło rozporządzenie rosyjskie, że od następnego roku szkolnego wykład historii i geografii będzie się odbywać po rosyjsku. W pierwotnym statucie znajdowało się zdanie, że w prywatnych szkołach język polski będzie wykładowym „z wyjątkiem języka rosyjskiego, historii i geografii”, co było rozumiane w ten sposób, że tylko rosyjskiej historii i geografii będą nauczali Rosjanie. Odkuwający się z ustępstw rząd rosyjski wyinterpretował, że obowiązek wykładania po rosyjsku rozciąga się na wszelką historię i geografę.

A więc najczulsze przedmioty — humaniora — miały być wykładane w nienawistnym języku przez obcych ludzi. Łatwo sobie wyobrazić rozpacz społeczeństwa i wściekłość młodzieży. Czas na to obwieszczenie wybrany był sprytnie — młodzież już rozjeżdżała się na wakacje i nie zdążyłaby zorganizować oporu. A zresztą taka była koniunktura, że opór byłby zdławiony i całe polskie szkolnictwo unicestwione.

Walka więc była przegrana. W naszej klasie jednak przeprowadziliśmy ją w sposób iście sztubacki.

Zajrząwszy do podręcznika Rariejewa, który od jesieni był zalecony jako rosyjski podręcznik historii, skonstatowałem, że pierwszym wykładem będą odkrycia morskie Portugalczyków, a drugim reformacja. Przewertowałem ogromne dzieło Peshla o tych właśnie odkryciach i kilka anegdotycznych przyczynkowych książek o reformacji. Wynotowałem dziesięciordne szczegóły drobne jak pchły.

Nastąpił wielki moment: pierwsza lekcja historii w szkole polskiej po rosyjsku. Dyrekcja naszej szkoły, mająca prawo swobodnego wyboru spośród nauczycieli gimnazjów rządowych, wybrała największą nieszkodliwą ciapę. Podpatrzyliśmy ją, nim przyszła na lekcję: w pokoju nauczycielskim siedział w granatowym mundurze ze złotymi guzikami blondyn o rozlazłej zamazanej twarzy z kozią bródką rosyjskiego inteligenta.

— Bucefał! — zdecydował, nie wiadomo czemu, któryś z podglądków. Analogiczna nazwa przyleciała do klasy i ten niemrawiec został na stałe Bucefałem.

Ostatecznie, jak się potem okazało, Bucefał był nieszkodliwy i jedyne, czego pragnął, to żeby on mógł sobie mruczeć na katedrze, a my żebyśmy sobie czynili w czasie lekcji, co nam się podoba, z jednym warunkiem, aby to nie było czynione aż tak głośno, żeby ściągać zewnętrzną interwencję dyrektora, którego obawiał się pospołu z nami.

Fakt, który go ostatecznie pojednał ze społecznością uczniowską, zdarzył się w siódmej B. Bucefał coś tam mruczał na katedrze, a w ostatniej ławce czterech drugoroczników grało w preferka. Nagle jeden z nich z uniesieniem wykrzyknął zbyt głośno:

— Totus bez atu!

Na ten okrzyk Bucefał przerwał mamrotanie i leci do graczy. Zwariował? Zrywa nie pisany układ?!

Tymczasem Bucefał doleciał drugoroczników, nachyla się i pyta z serdecznym zainteresowaniem:

— Nieużeli? Pokażitje...

— Stypus! — zdecydowała klasa. Ale była w tym nuta sympatii.

Wówczas jeszcze jednak, kiedy z pokoju nauczycielskiego po dramatycznym dzwonku obwieszczającym pierwszą lekcję historii po rosyjsku, nabiżał się ku nam wysoki umundurowany Moskał z dziennikiem pod pachą, a z każdego załamku korytarza galopowała postawiona pikietą, wpadając z wieścią: „Bucefał idzie”, nie wiedzieliśmy nic o jego właściwościach. Szedł ku nam wyolbrzymiony przez lekturę o Andrzeju Radku, tradycje szkoły rosyjskiej, tragedię Rollisona. Byliśmy zmówieni. Postanowiliśmy walczyć, jak można.

Kiedy Moskał wszedł, wprowadzony przez dyrektora, pocziwego, starego Szuka o złotym sercu, wstaliśmy jak mur — na żadnej gimnastyce nie odstawialiśmy tak wzorowego krycia i równania. Ćwiczyliśmy to przedtem długo.

— Zdarowo, gaspada... — mruknął bardzo speszony Bucefał.

— Dzień do-bry, pa-nie profe-sorze — wyskandowaliśmy na przeciwiczone tempo, siedliśmy na takty, siedzieliśmy wyprostowani nieruchomo, kilkadziesiąt par oczu było wlepionych w nauczyciela.

Pocziwy „Foka” — dyrektor Szuk, zrozumiał w lot. Cicho zamknął drzwi, opuszczając klasę. Były takie czasy, że wiele z tego, czego nie mogli robić nasi nauczyciele, robiliśmy my. Mogli być pewni, że nic nie przeciągniemy, nic nie popełnimy, co by mogło stanowić powód do przyczepia i narazić wspólnie umiłowaną szkołę na szwank.

Bucefał począł wykład do tych zastygłych chłopców, zupełnie tracąc się pod wlepionymi w siebie spojrzeniami. Chcąc przerwać wreszcie tę dławiącą ciszę, spytał po skończeniu wykładu, czy nie mamy pytań. Nie, nie mieliśmy pytań, tylko sprostowania, poważne sprostowania naukowe.

Pan Profesor mianowicie myli się, wykładając, że Portugalczycy wynaleźli kompas; uwzględnialiśmy uprzejmie, że pan profesor opiera się na takich to i takich przestarzałych źródłach; ale najnowsze źródła, powszechnie znane naszej klasie, stwierdzają, że kompas — przed Chrystusem jeszcze — wynaleźli Chińczycy, wtedy to a wtedy mianowicie i w takich to a takich okolicznościach.

Również twierdzenie pana profesora, że Przylądek Dobrą Nadziei po raz pierwszy opłynął Diaz w 1486 roku i tak go nazwał, nie odpowiada prawdzie, bo nazwał go Przylądkiem Burz, a dopiero król portugalski zmienił jego nazwę na obecną, a w ogóle to jeszcze wcześniej ten przylądek opłynął taki to a taki nie Portugalczyk, a Arab, choć i on nie był pierwszy, bo Egipcjanie...

Zbawczy dzwonek wybawia zdruzgotanego, okrytego śmiertelnym potem Bucefała. Wstajemy na tempo raz, dwa... ryczymy jak żołdaci: „Do-wi-dze-nia pa-nie pro-fe-sorze”, po czym, kiedy wyszedł, odbywamy dziki tan Zulusów z uciechy, bierzemy sobie odwet za mumiwate czterdzieści pięć minut.

Na przyszłą lekcję cała klasa ma zareżyserowane i porozdawane pytania: jak się nazywała siostra Lutra, jakiego rodzaju pismem, na jakim papierze były tezy przybite na drzwiach katedry augsburskiej, czy Luter w diabła ciskał szklanym czy metalowym kałamarzem. Po każdym pytaniu Bucefał patrzy wzrokiem bezbronny, jakim by musiał patrzeć jego przodek po najdłuższej służbie Aleksandrowi Macedońskiemu posłany do rzeźni; ale natychmiast wstaje któryś z podreżyserowanych spryciarzy i poucza pytającego kolegę źródłowo, z pierwszej ręki, cytując Schlossera nie Schlossera, Mommsena nie Mommsena. Sami uczeni jak cholera!

Z czasem Bucefał tak skruszał, że nie chciało się nam przygotowywać pytań. Po prostu jeden pytał ex promptu, jakiego psa miał Medyceusz, a drugi ex promptu odpowiadał, że dużego brytana apulijskiego, który się nazywał Belizariusz, był płowy z czarną pręgą przez grzbiet i pewnego razu ujadł w łydkę kardynała de Monte Cuculi.

— A wy po jakim istocznikam?—pytał tylko zawsze Bucefał, za każdym razem coraz bardziej beznadziejnym głosem, bo „istoczniki” były zawsze pierwsza klasa. Raz tylko nygus, nierób i duma pała, znęcający się nad Bucefałem olśniewającą erudycją, że Filip Hiszpański miał randkę na wyspie Guemsey z Elżbietą angielską, zapytany o źródło, stropił się, a że to było po lekcji fizyki, wypalił, że według d’Arsonvala, Gay-Lussaca i Faradaya.

— Czto to bolno fizyczeskije familii — lekko wąpił Bucefał.

Tak baraszkowaliśmy sobie z Bucefałem przez dwa lata, aż przyszedł koniec XVIII wieku i rozbiory Polski, z którymi Kariejew rozprawiał się krótko i lekceważąco. Ciekawi byliśmy, jak o tym będzie wykladał Bucefał, i pół setki młodych uczonych szykowało się z

miażdżącymi argumentami. Bucefał jednak coś marudził na ostatniej przed tym wykładem lekcji, zabawnie nabierał powietrza jak ryba wyrzucona na piasek, i parę razy nieudolnie wypuścił nieco nieartykułowanych dźwięków. Wyszło z nich wreszcie, że on by wołał przyszłego wykładu nie wygłaszać i że może by to zrobił za niego Wańkowicz.

— Dobrze — powiadam — ale po polsku.

— Rozumiejetsia.

Na następną lekcję Bucefał zasiadł na ławce, a ja wlażem na katedrę. Będąc w wiele lat później na obiedzie w Stanach Zjednoczonych u profesora Tadeusza Siemiradzkiego, autora hiperpatriotycznej dwutomowej historii Polski, mówiłem mu, że w tym dniu musiał mieć silny atak czkawki. Wykład o „z piekła rodem Katarzynie” i Targowicy był bazowany na jego książce.

Kiedy rozległ się dzwonek, przeciągnęliśmy jeszcze całą pauzę na wykład; dopiero kiedy w drzwiach ukazał się następny wykładowca, Bucefał podziękował za odczyt, aczkolwiek zastrzegając się, że po moim swiedzieniam dielo obstojało nieskolko inacze.

Wreszcie przyszedł koniec roku szkolnego, a na następny rok Bucefał nie miał już wykładać. Wszedłszy na swoją ostatnią lekcję, zobaczył wzdłuż katedry rzuconą wiązkę pięciu róż na długich łądygach: trzy były białe i dwie czerwone, jako że Chrzanem trzęsła bezapelacyjnie organizacja nasza — młodzieży narodowej. U Górala (gimnazjum Wojciecha Górskiego), który był w pachcie młodzieży postępowo-niepodległościowej, byłyby trzy róże czerwone i dwie białe.

Belfer zacukał się, zobaczywszy kwiaty. Podniósł wyblakłe oczy, chciał coś zapytać, nie ośmielił się, niezgrabnie, niby niechcący przesunął na brzeg katedry róże, aby móc rozłożyć dziennik; przez całą lekcję te róże, leżące z boku, uwierały jego i naszą świadomość. Wreszcie rozległ się dzwonek, ostatni dzwonek lekcji Bucefała w naszej klasie. „Weźmie róże czy nie?” wpatrywało się kilkadziesiąt par oczu.

Bucefał długo zamykał dziennik, długo wstawał, jeszcze wydobył chusteczkę, wycierał nos, odwlekał decyzję.

Czy bał się, że jeśli weźmie kwiaty, narazi się na okrzyk: „Rzuć, to nie twoje?” Z tym złośliwym chłopczyńskim Bandar-Logiem nigdy nic nie wiadomo... Czy bał się, nie biorąc ich, nas urazić, podkreślając niejako, że tak wychodzi z klasy, jak był dwa lata temu witany, kiedy do niej wchodził? Może w tym inteligencie rosyjskim, zapoczwarzonym w granatowy mundur ze złotymi guzikami, drgnęło jakieś studenckie wspomnienie?

Bucefał... wziął cierniste łądygi niezdarnie, kwiatami w dół i począł złazić z katedry. Klasa, która mu tyle dokuczyła, stała jak mur, ale to nie była szykana. Moskał skierował się ku drzwiom, widać meł w sobie jakieś słowa. Zatrzymał się we drzwiach, podniósł oczy i wówczas po raz pierwszy, zamiast spłowiiałych oczu stworzenia wleczonego do rzeźni, ujrzeliśmy — dobre, rozświetlone smutkiem spojrzenie zza cwikiera w złotej oprawie: usta ruszyły się, coś powiedział i poszedł. Siedzący najbliżej Strakacz, Gawroński i Grabowiecki posłyszeli:

— Spasiba, gaspoda.

Wśród tego wszystkiego postępowało wspinanie się po szczeblach organizacyjnych. Więc przede wszystkim przejście z podkółka do organizacji właściwej. Dowiedzieliśmy się, że jest to organizacja trójzaborowa, sięgająca ostatnich dziesiątków dziewiętnastego wieku, założona przez Jeża-Miłkowskiego. Że naszą naczelną władzą jest Sekcja Koronna, powoływana przez zjazd doroczny delegatów środowisk.

W środku organizacji młodzieży gimnazjalnej tkwił drugi, bardziej zakonspirowany jej stopień, tak zwany „Pet”, mający własne zjazdy trójzaborowe. W 1910 roku byłem przewodniczącym takiego zjazdu.

W środowisku akademickim były trzy stopnie z „Kołem Braterskim” i „Centralizacją” na czele.

Zadaniem Sekcji Koronnej, to znaczy organizacji na terenie zaboru rosyjskiego, poza samokształceniem obywatelskim, była nieustająca, nieustępliwa walka o szkołę polską. Teraz, kiedy tyle lat przeminęło i tyle zdarzeń, sędzę, że nie będę pomówiony o przesadę stwierdzając, że to dziesięciolecie między rewolucją 1905 roku i wybuchem wojny w 1914 roku dało zdumiewające objawy prężności polskiej; tysiące i tysiące młodzieży w całym kraju uczyło się w szkołach nie zapewniających dyplomu, w szkołach nie chroniących przed trzyletnią służbą w rosyjskim wojsku w charakterze bezcenzusowca.

Czyż można się dziwić, że King, pamiętający swoje lata, uszanował tajemnicę córki. Dziwił się tylko — o co tam kocołują te szczeniaki, skoro mają własną szkołę z prawami i niepodległość. Do harcerstwa Mama ich nie mogła zapędzić, bo to według nich było zabawą w „Aniołów i krakowiankę”, ze Straży Przedniej uciekły, bo to piła.

W końcu jednak ta wyobraźnia widać uczepliła się jakiegoś kośca ideologicznego, jakiejś konspiracji.

A teraz pękło i już nawet dyrektorka gimnazjum dowiedziała się, że organizacja nazywa się „Trzynastka”. Tak głosiły odezwy, na których kolportażu w szkole przychwycono Tili. Okazało się, że dwunastego maja umarł Marszałek i że wobec tego zaraz nazajutrz oni — Tili, Felcio Lechnicki i inni, obejmują rządy dusz w Polsce. Na razie te rządy skończyły się wylaniem przed samą maturą.

Mama była wzburzona. Wysocy dygnitarze ofiarowywali się zawezwać dyrektorkę do Kuratorium. I córki, i ja, i wreszcie też Mama sprzeciwiliśmy się temu. „Bo co by było z inną dziewczynką, której rodzice nie mieliby takich znajomości?” Mnie szło jeszcze o co innego: niech Tili sama rozgryzie konsekwencje swoich postępów. Nas wtedy od więzienia nikt nie mógł obronić i na złe to nie wyszło.

Mama więc tylko tyle, że zrzekła się godności przewodniczącej Koła Rodzicielskiego i już tylko jak najładniej ubrała córkę w nowiutki mundurek — w plisowaną spódniczkę, czyściutką bluzeczkę. Tili poszła sama. Kiedy wróciła, zapytaliśmy:

— Jak tam było, córeczko?

— Ano, hańbili mnie przed obu oddziałami — starała się zadowcipkować, ale usta jej drgnęły. Okazało się, że ponieważ Tili była przewodniczącą samorządu całej szkoły, więc oba oddziały ósmej klasy były zebrane, winowajca postawiony przed frontem i piętnowany.

Winowajca jednak na pięć minut przed auto-da-fe zdołał zorganizować odwet i w najpatetyczniejszych momentach mowy dyrektorki, na znak, który delikwentka dawała podniesieniem brwi, czterdzieści głów odwracało się ku koleżance, o której wiadomo było, że doniosła, a czterdzieści par oczu świdrowało ją uporczywie.

Na szczęście piętnowanej pozostawiono rolę bierną i nie kazano się kajać, boby cała ceremonia pękła.

— Do czego to podobne, żeby narażać dziecko na coś takiego! — rzekła Mama.

— Bo też już przestaje być dzieckiem. Zdaje maturę — wszechstronnie.

Matura przy błysku piorunów

Bóg dał, że przelazły jakoś przez te matematyki i chemie. Bóg dał, że nie poległy na łacinie, że wypsnęły się fizyce. Tata, proszony, aby „trzymał” (zgięty palec w zamkniętej dłoni, co przynosi szczęście), wiernie cały czas siedział w biurze, ściskając nabożnie knykieć — nie to, żeby wierzył, ale przez lojalność. Ale Królik wysiadywał całe dni pod drzwiami sali egzaminacyjnej, zabierał kadłubki maturalne niezwłocznie na babki śmietankowe. Te babki śmietankowe (symbol dzieciństwa) były widać okropnie potrzebne dorosłym pannicom!

Pewnego razu — po egzaminie z polskiego — ukazały się dwie zaszlochane postacie. Że na pewno napisały okropnie. To już była nie tylko histeria maturalna, ale i poczucie tego, jak należy pisać, a jak się nie umie. Nauczycielka jednak potem nosiła się jak kura z jajkiem z tymi ćwiczeniami, i Krysi ćwiczenie wyznaczono do czytania na obchodzie maturalnym.

Rodzice wielce byli ciekawi tego ćwiczenia. Kmiotek-Roztropek, mimo srogiej „konspiracji”, cały był na wierzchu, ale rodzice nie bardzo wiedzieli, co tam jest w tej Krysi. Od polemik politycznych się usuwała, od pisania, które „malec” chętnie popełniał — też. Zarzekała się wszystkiego na rzecz ziemi. Parskała śmiechem pogardliwym na „izmy”. Trudna była.

W Londynie otrzymałem z Polski zeszytik wierszy ośmioletniej Krysi, pisanych w Jodańcach w 1928 roku i przysyłanych do Warszawy. „Tatusiowi na imieniny”. Znalaziono je w gruzach domu.

Czytałem szukając, czym dziecko rosło...

*W Szumiącej trawie, między cieniem brzoź
fiótek mały sobie rósł,
Tak sobie żył, rosę z trawy pił,
i żył szczęśliwie do ostatnich lat,
póki go nie zdeptał myśliwego ślad.*

Drugi taki sam wierszyk o róży, która była pokryta rosą i ktoś ją zerwał. Było i opowiadanie prozą:

Był sobie jeden pocztylion; miał trąbkę, raz upuścił trąbkę, a chłopczyk ją podniósł i zaniósł do domu. Ojciec, który się wybierał w daleką żeglugę, wziął trąbkę ze sobą; wtem burza się zerwała i okręt zatonął, a tylko trąbka płynęła po wierzchu, aż przyptynęła do jakiegoś brzegu i usłyszała głosy Ojczyzny; ktoś ją wziął i zaniósł do pokoju, i tam leżała, aż przyszedł chłopczyk, który zbierał starzyznę, i dostał tę trąbkę; uszczęśliwiony pobiegł do domu i oddał ją matce.

Uśmiechnąłem się do tych starannie stawianych średników: mała małpka musiała się nasłuchać perorowania ojcowskiego na temat niewyzyskiwania średników. Uśmiechnąłem się do wywodzonych dziecinną ręką i kolorowym ołówkiem inicjałów i przerywników — ślad myszkowania po bibliotece. Ale skąd u ośmioletniego dziecka powraca motyw smutku o niszczonych kwiatkach, o głosach ojczyzny, które witają pamiątkę po zaginionym w odmętach?

Skąd ten smutek? Dlaczego ośmioletnie dziecko pisało w jednym z wierszyków:

...Lecz ja się nie żalę,

Lepiej jest tęsknić zawsze, niż nie tęsknić wcale...

Czy nam się zdawało, że ta młodzież tylko kopie piłkę? Czy żeromszczyzna wszczepiła się z mlekiem matek w to powojenne pokolenie? Czy może dusze dziecinne podległe są przeczuciom?

Kiedy tak myślę nad tymi dziecinnymi wierszykami, Mama przypomina mi, że wówczas w Jodańcach, mówiąc do Krysi, użyła zwrotu: „Jak będziesz miała dużo pieniążków...”

— Ja wcale nie chcę mieć pieniędzy.

— Dlaczego?

— Bobym wszystkie Polsce musiała oddać.

Było to chwalebne, ale Mamie nie podobał się patos u ośmioletniego brzdąca — wydał się manieryzmem. Dopieroż okazało się, że dziecko stwierdzało nieuchronny fakt: dziadunia tatowego obłożono kontrybucją po 1863 roku, dziadunio mamowy stracił na pożyczce państwowej sumę uzyskaną za sprzedaną kamienicę, stryj Tol stracił Kałużycę. Tacie został kikutek z Jodańc. No i ośmioletniemu dziecku ułożył się taki światopogląd, że to jest normalny tok rzeczy.

Ale to były już ostatnie Krysiowe wierszyki. Matka, widząc te poetyckie ambicje, poczęła im wówczas na Litwie czytać książkę:

Litwo, Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie...

Przez okna pobielanego domu widać było „pola rozmaite” i Mama czytała o domu drewnianym, lecz podmurowanym, o przyjeździe pana Tadeusza, o Zosi w porannym stroju z głową odkrytą. Czas był na udój wieczorny, farniki wracały, przecież dzieci jak urzeczone trwały przy tym czytaniu. Reginowa zawołała grzmiącym głosem — trzeba było iść na kolację. Mama spojrzała na Krysię wsuniętą w kąt odrapanego fotela. Dziecko zacisnęło na piersi rączki i podniosło błyszczące oczy.

— Mama — wybuchła — ja już nigdy nie będę pisać wierszy. Mama! Ja nie wiedziałam, że takie rzeczy są na świecie...

W nocy nie spała. Mama musiała aplikować baję o sierotce Marysi. Szczepionka literacka działała zbyt silnie.

I istotnie — odtąd nie pisała nigdy nic poza ćwiczeniami. Nauczycielka chwaliła ćwiczenia — Krysia wysłuchiwała pochwał z drwiącym uśmiechem. Teraz, kiedy ją zmusiła matura, dumna, twarda i krnąbrna dziewczyna, zmożona wielotygodniowym szarpaniem nerwów, płakała, że nie zdoła nic napisać, że napisała tak źle.

Nie było jednak sposobu odmówić tego czytania na obchodzie. Był to zresztą odwet Domeczku na szkole za Tili — za to jej hańbowanie przed klasą.

Praca była o Żeromskim.

Względem Żeromskiego Domeczek miał wielkie długi. To przecież od niego Tata zapożyczył tytuł swej książki. U Mamy na sekreterze stałe stały Popioły. W obyczaj weszło, że Mama brała książkę do ręki i przewracała jej karty — na próżno. Mama szukała ostatniej myśli poległego brata!. Kiedy Kazika wieźli z frontu z jego śmiertelną raną, siostra z pociągu sanitarnego mówiła, że kazał jej szukać w Popiołach cytaty. Mówił już coraz słabiej. Spłoszona, starała się trafić na odpowiednie ustępy. Z niecierpliwością dawał znak, że to nie to; kazał sobie podsunąć książkę pod rękę, mdlejącymi palcami szukał. Nie dowiedzieliśmy się, co chciał przekazać... I na próżno Mama przez całe życie przeglądała Popioły.

Dłużniczką Żeromskiego była i Krysia. Zbiorowe jego wydanie całe zasmarowane było wewnątrz jej notatkami. Chłoneła zły czar bezlitosnej przyrody, niszczący żywioł miłości,

mękę dusz rozpiętych na torturach musu wewnętrznego, piołun i żółć, którymi wytrawiał dusze Polaków. Tajemniczy, najcichszy szept ziół zdawał się słyszany w bibliotece, aromat zgniłych liści przedwiośnia uderzał w nozdrza.

— Cóż z tego, Krysiu, coś z tego? — pytał z troską ojciec, kiedy wychodziła na któreś tam wezwanie na kolację z pionową zmarszczką między tymi strzeliście zarysowanymi łukami brwi.

Cóż z tego? Co da Żeromski dziecku w wolnej Polsce?

Prychała pogardliwie po swojemu i wzruszała ramionami. Tata nie lubił tego wzruszania ramionami, tej niepotrzebnej hardości. Wtedy kolacje upływały w milczeniu.

Ten ostatni wieczór szkolny przed wyruszeniem w świat to był wieczór jeszcze w mundurkach — w białych bluzkach i plisowanych granatowych spódniczkach. Tata znał ten widok — miewał czasem odczyty w klasie córek. Zostało mu w oczach lśnienie jasności dziewczęcych czoł. Czoła te emanują aureolą młodości. Pod tymi czołami — oczy — jasne, ciekawe, przepytane już po świecie kilkunastoletniego istnienia — a przecież Tacie, mówiącemu o różnych istotnych ważnościach, zdaje się, że to nie nastawione jeszcze oczy noworodków.

Teraz — po raz ostatni oczami obejmuje tę klasę. Już dziś, po rozdaniu matur, stanie się, jakby kto służy użyźniającą otworzył, kiedy poczną wylewać się przez drzwi wejściowe na Polskę. Drobnymi strużkami poszczególnych żyć będą sobie żłobić drogę po różnym gruncie. Strużki się zabarwią — każda inaczej, oczy się nastawia — każde inaczej, bluzki białe znikną na rzecz sukien różnorakich, torebek, parasolek, lipszyków. Zaraz, za chwilę, nożyce dojrzałości przetną nić szkolną, na której błyszczą życia dziewcząt jak jednolity naszyjnik. I nim te oczy poczną nastawiać się indywidualnie na dobro i zło, na ciężar powszedni, na jazgot dnia codziennego, na męki macierzyństwa, harkot walki o byt i ponurą praktyczną mądrość — ponad tłum koleżanek wykwiita postać mojej córeczki.

Jeszcze ma dwa grube warkocze — to dziecko. Z kim się spokrewni, komuż rękę przez istnienie czasu poda, o czyje słowo się wesprze?

Czy o Rafała, osiłka wiejskiego, co, jak ona, chciał żyć, a nie przeżywać?

Czy o rafinowanego Cedrę, czy o Gintuła, wzywającego „dzieci wdowy” w obronie piękna?

Czy może ewokuje „siłaczkę” albo Judyma, czy też odskoczy od trosk społecznych i po ludzku, po kobiecemu pochyli się nad Ewą Pobratyńską?

Tu jest zaduch — poczęła słowami Cezarego Baryki. I już dalej pasowanie się ze słowami Gajowca:

Zbyt wielu mamy wrogów dookoła i na szerokim świecie, wewnątrz i na zewnątrz, abyśmy dziś i na długie lata mogli wypracować i ustawić na naszych drogach ideę. Gdy mnie kto w nocy napadnie, to moją wtedy ideą jest bronić się. Gdy mi wciąż grozi, że mnie z domu mojego wygoni i na niewolnika mnie weźmie, to, oczywiście, muszę sobie przygotować coś do obrony. Obronić się przed straszną koalicją wrogów — oto pierwsza idea.

I kiedy prawuje się przed salą za Czarusia, który w latach Przedwiośnia był omal w jej wieku, kiedy mocuje się z dojrzałym panem Gajowcem, który oto i we dwadzieścia lat po tej rozmowie każe odkładać ideę — staje się rzecz, która, zmyślona w powieści, byłaby tanim efektem, ale która stała się w istocie.

Niebiosa wmieszały się do tego harowania, niebiosa wspomogły pana Gajowca. Padł piorun i zaraz zrobiła się ciemń. Potoki deszczu uderzyły o szyby i począł padać piorun po piorunie.

W półmroku zmierzchłe twarze maturzystek tłoczyły się do wyjścia. Mama przygarnęła do siebie buntowniczą córkę, która zwiotczała nagle i stała się pisklęciem pod mamowym skrzydłem.

Wtedy przez tłum przecisnął się Tadeusz Lechnicki i poprosił: „Dajcie mi chrześniaczkę — musi oblać tę dojrzałość”,

— Pójdę z wami — powiedział Tol. — Niech stryj będzie za ojca.

Po paru godzinach Tili wróciła opchana melbą. Obaj opiekunowie podpisali się aforyzmami na karcie win.

Tadeusz wypisał dziesięć przykazań na drogę życia.

„Nie pij, kiedy nie masz ochoty” — brzmiało pierwsze przykazanie ojca chrzestnego, utrzymane ze względu na Mamę w formie przeczenia. Roztropek jednak prawidłowo wywnioskował, że ma pić zawsze, kiedy ma ochotę. Drugie przykazanie głosiło: „Po wódcę zawsze zakąsić”. I tak dalej.

Tol miał większy kłopot z aforyzmem. Chciał, żeby to, co napisze, miało wagę nie tylko doraźnego żartu. A niebezpiecznie jest wypisywać aforyzmy dla ufnej młodości na nieufne życie.

Więc tylko wypisał: „Wspomnij nas za lat dziesięć, kiedy nas nie będzie”.

Był to rok 1938.

Smak przed jazdą

Tata okazał się też nie od macochy. I on zaprowadził swoje damy na ucztę maturalną. Tata miał być Wierzyńkiem i Dudy zachodziły w głowę, czy naprawdę otrzymają po złotej misie. Ale Tata na to robił pogardliwą minę i powiadał, że Wierzynek jest pętańcem wobec tego daru, który je czeka. Wszelkie chody i podchody nic nie pomogły. King, budząc się co rano, już od dwu miesięcy zaklinał Królika:

*Jeśli się zdradzisz mową albo innym znakiem,
Odpowiesz za to głową lub czym innym takim.*

Teraz więc towarzystwo, „zaprzężone w trójkę”, podążało z wielką emocją do Bocqueta. „W trójkę”, to znaczy, że Mama jest stangretem, czy też mamą wyprowadzającą na spacer dzieci, które idą przed nią. A „dzieci” czy tam konie to byliśmy my — każda panienka uczepiona innej ręki Kinga. King odwalał kłusaka środkowego, idąc wielkim skrochodem, a przyprężone musiały galopować, bo nie nadążały metrowym krokiem. Biedny stangret zbierał nogi i nawoływał do ustatkowania.

Tym razem Tacie nieco przeszkadzała tęga wypchana teka, w której miał być dar wierzyńkowy. Tata strzegł jej jak oka w głowie i przysiadł za sobą w restauracji.

Podbiegł kelner.

— Dziś — powiada King — jest wielka uroczystość i będziemy pili dobre wino. Potrawy wybiorą damy. Panie tylko pozwolą, że ja najpierw zaordynuję ostrygi?

Akurat były ostrygi i King dla kawału kazał podać pół tuzina na całe towarzystwo. Wina — nie będę gorszył powojennych uszu — były, co tu gadać! Nawet, aby całkiem pogłębić „damy” — butelka szampana. Trudno, raz się dojrzało w życiu i trzeba zapić tę „żałobną okoliczność”.

Kelner przyjął obstalunek i zwraca się do dam, a tu jeszcze odchodzi szep... szep... szep... nad trudnym samodzielnym wyborem.

— Ja proszę o parówki — mówi wreszcie Krysi.

— A ja o serdelki — pospiesza Tili zaznaczyć swoją odrębność.

— To ja też parówki — śmieje się Mama.

— A ja serdelki — mówi po bohatersku King.

Tak to zmagало się dzieciństwo z maturą, jak śnieg topniejący na wiosnę młodości. Ulubione, ukochane serdelki, babki śmietankowe, chałwy, „lizaki”, przezimowawszy w Domeczku lata kiełkowania dzieciństwa — przekształcają się w inne rozkosze. Tata bierze z nabożeństwem na widelec kawałek serdelka, smaruje musztardą i pożywa na pożegnanie „niedojrzałości”. Po tej jednakże symbolicznej potrawie wyjeżdża na stół chytrzę zmrugnięte coś lepszego; winko też Tata wybrał półśłodkie i ciągniemy, że ha... Po dorosłemu...

Wreszcie, kiedy temperatura jest już dostatecznie dla toastów rozgrzana, Tata wyciąga tajemniczą tekę, kładzie na stole, bierze kieliszek w rękę i wznosi toast maturalny:

— Drogie dzieci!...

Strzeliło dropiatę oko Tilusi, skoczyła figlarna brewka Krysi. Z allokucji zrozumiały, że Tata będzie bajdurzył, ale po takich bajdurzeniach następowały jakieś rozkosze, o czym zdawała się świadczyć ta wypchana teka.

— Drogie dzieci!... — peroruje Tata — im dalej będziecie od matury, tym bardziej cenić sobie będziecie wiedzę, którą wam szkoła dała. I smutne by to było, zaprawdę, gdyby która z was, karmiąc maleńkie niemowlę, tak jest, maleńkie niemowlę — z uporem nieco zawianym roztkliwia się Tata — zapytana nagle o consecutio temporum, zepsuła sobie pokarm, tak jest,

pokarm — ogania się od Królika — uczuciem żalu z powodu zapomnienia. Jakże to będzie, jeśli moje wnuczę, ganiając na kijku, zapyta: „Mamusi, co to jest sinus i cotangens?”, a mamusia, wstyd powiedzieć, tyle odpowie, co tu obecny Królik, który spędził lata wiośniane na zabawie w „Krakowiankę”.

— Tatusiu! — jęknęła niecierpliwie Krystyna — pokaż już, co masz w teczce...

— W tej teczce — uroczyście podniósł King teczkę — jest skarb na drogę życia, który pozwolili wam uchronić od hańby wobec potomności dobre imię gimnazjum Klementyny z Tańskich Hoffmanowej. Widziałem, drogie dzieci, jakieście na kupę zwaliły niepotrzebne, według was, podręczniki. Uratowałem je — to mówiąc, King wysypał z teki potłamszone książki. — Wierście mi, drogie dzieci, że wobec tego daru niczym są szczerozłote misy Wierzyńka. Gdyby ten podręcznik historii otrzymał zamiast złotej misy król cypryjski, obecny u Wierzyńka na uczcie, toby w cztery lata potem nie dał się zarzącać...

— Nie dręczcie ich bez końca — prosi Królik.

— Do tego więc skarbu, który daję wam na drogę życia, pozwólcie, lube dziatki, że dołączę mały i skromny maturalny podarek...

King sięga do kieszeni na piersi i wydobywa trzy granatowe książeczki ze złoceniami.

— Paszporty... — mówi bywały Tirliporek.

— Ale jakie paszporty! — rozdaje King trzem kobietom, każdej przynależny paszport. — Patrzcie — najprzód rysopisy: Tirliporek, nos pyrkaty...

— Nieprawda — szybko sprawdza Tili.

— Krysia — cechy szczególne: strusie miny. Królik — rusza nosem i pierwszy zaczyna. A teraz przewróćcie kartki. Niemcy przekreślone, ungültig — nie ma zgody na wasz przejazd. Ale dalej Belgia... I jeszcze Francja. I jeszcze Szwajcaria. I jeszcze Włochy... I jeszcze Węgry. Hm, co?

Ostatnie „co” wydobywa się spod kupy oszalałych uścisków.

Wagoniki zabaw dzieciennych! Macie się urealnić...

Marzenia o włóczęgach, rozpalone przez Tatę! — oto dzieci stanęły u ich progu...

Koła pociągów będą stukwały już nie „na niby”, ale na prawdziwą prawdę, zziąjany Tata nie będzie potrzebował odwalać portiera, dyrektora hotelu, kelnera, złodzieja kolejowego, właściciela traktierni portowej, przemysłnika, toreadora — to żywy tłum tych prawdziwych postaci obiegnie tę podróż.

O, imaginowane stacyjki: Całuska, Kłujewa, Szczypina, wcielające się w pachnącą czeremchą stacyjki Rejowca, Trawników, Kościana, Święcian, Śniatynia! Oddalacie się w daleki kres zbiegających się w cieniutką linijkę szyn kolejowych, kiedy z drugiej ich, poszerzającej się strony, rosną, nabiegają lśniąco lampionami morza torów paryskich, migocą jak słupy telegraficzne duany, zollamty, nablizają się marmurowe kaskady mediolańskiego dworca.

— Tata, kiedy jedziemy?

— A przede wszystkim — kędy?... Patrzcie — już mi przybili w konsulacie wizę niemiecką, raptem przyleciał jeden taki, mówi, że mi się Smętek kłania, i kropi tę pieczęć „nieważne”. (Kiedy MSZ zorganizowało mi obiad z szefem prasowym ambasady niemieckiej, Braunem, przedstawił się słowami: „Smętek jestem”.)

— No więc kędy?

— Morzem, morzem, ciemna maso. Macie dwie kajuty na statku „Cieszyn” — odpływa za dwa tygodnie. Zdołacie się wyguzdrać?

— Przecież w ciągu trzech dni możemy być gotowe — mówi gorąco Krystyna.

— Proszę przynieść blankiet telegraficzny — mówi King do kelnera. Po czym układa depeszę:

Kapitan Meissner. „Cieszyn”. Gdańsk.

Ponieważ możemy być gotowe już za trzy dni, prosimy od jutra palić pod kotłami.

Krystyna Marta

— Mama nie pozwól MU.

Ale mama, onże Królik, nic już nie ma do pozwalania. Królik, proszę państwa, jest autentycznie ululany. Ponieważ rozwścieczone jagnię i ululany królik należą raczej do fenomenów, więc wszystkim robi się nagle bardzo wesoło, zwłaszcza że Mama ma vin gai. Tata nie posiada się z radości, kiedy uda się co wtrąbić w Królika.

— A co będziemy zwiedzać? — pyta Krystyna.

— Przytułki dla starców, kluby filatelistyczne, Instytuty Geodezyjne. Tili! „wciale”... — (King odsuwa nowy kieliszek szampana, który kelner tymczasem nalał i w którym maleńtas poczyną kręcić mieszałą) — Urzędy Miar i Wag, Stacje Doświadczalne Walki z Filokserą, Izby Clearingowe, Międzynarodowe Stowarzyszenia Opieki nad Kretynami z Przedwcześnie Otrzymaną Maturą, a wreszcie zostaniecie na rok dla przetarcia się za granicą.

— Gdzie? — usiłują coś wyłowić z tej lawiny pięknych perspektyw.

— W Oddziale Armii Zbawienia: „Uczłowieczanie Dzikoludów”.

Mamy nie ma co już wzywać na pomoc; Mama tylko się śmieje: wszystko jej się okropnie podoba.

Wobec czego King powiada już serio:

— Jeśli chcecie coś więcej wiedzieć o swojej wycieczce — patrzy na zegarek — to wstąpcie do Touring Clubu po plan waszej drogi, który już tam musieli przygotować. My tu z Mamą posiedzimy jeszcze i spotkamy się na naradę wszyscy w domu.

Dzieci wychodzą, a rodzice zostają sami. Lekka mgiełka papierosów przesiąka powietrze, wypite wina, szmer nierozeznawalnych głosów ludzkich stwarza atmosferę zagubienia się w czasie i przestrzeni.

— Więc my naprawdę pojedziemy bez ciebie? — pyta Królik.

— Bezmnie — potwierdza dziecinnym językiem King. — Dobrze, że dzieci większość czasu będą i bez ciebie, bobyś je zamorzyła bogobojnie u Duvalów.

— No pewnie, że nie poprowadzę małek do Montagne — mówi Mama i oboje parszają śmiechem na wspomnienie pana Montagne, prezesa klubu smakoszków Francji, w jego małej, ale bardzo ekskluzywnej restauracji, 5 rue Echelle; u pana Montagne kaczkę a la Rouen (jak oszczercy mówią, pojone miodem nad żywym ogniem, którym przesiąka mięso) są lepsze na pewno niż w samym Rouen w lokalikach lepiących się do kościoła St. Macloux; w restauracji pana Montagne biegną pod sufitami półki starych książek. Tam ci z nabożeństwem serwują dania z epoki Luis XV, nie skażone naleciałościami potage d la Xavier, cailles a la Mirepois, poulets a la Villeroy, potage a la Conde, gigot a la Mailly. Ale, jeśli poprosisz po prostu o gulasz — wpierw ci przyniosą asortyment książek, wytłumaczą ci, jak ten gulasz przyrządzali Persowie, a jak Rzymianie, a jak Medyceusze, aż wreszcie jakże to uskutecznią pan Montagne. Bo, jak orzekł La Rochefoucauld: „Jedzenie jest koniecznością, ale jedzenie inteligentne jest sztuką”.

Sam pan Montagne — natchniony, w szlafmycy na głowie stoi na tle jakichś gorejących ognia i dwu kuchcików, za szyjkami flakonów, słoikami, bańkami, sosjerkami przypraw, które wyglądają jak narzędzia kultu. Kiedy winda z czeluści przynosi pod ogień potrawę, kuchciki, biali ministranci, poczynają działać, po czym Wielki Wtajemniczony, pan Montagne, ostatnim podlaniem, pomieszaniami, posypaniem dokonuje definitywnej przemiany chef d’oeuvre’u w niepojętą irracjonalną tajemnicę.

Tata się rozczulił kulinarnymi wspomnieniami:

— Koniecznie, jak już będziesz we Francji, daj Dudkom ślimaków. Pamiętam, na transatlantyku, na drugi dzień podróży dali escargots. Pytam intendenta, jak to zrobił — mówi, że we frigidierze ślimaki oddzielnie trzymał, a przed podaniem w skorupki powsadzał.

Taki był dumny, że aż światło zgasił, podając; kiedy zapalił, patrzymy, aż tu przy każdym stole kelner ze świeżymi escargots stoi... I żaby... i mule... Pamiętasz, jakeśmy w Barcelonie nacięli się na te same ślimaki morskie, na które już patrzeć nie mogliśmy w pensjonacie w Alicante? A pamiętasz qui pro quo we Florencji?

Mama się podśmiewuje:

— Z pięknym błogosławieństwem na drogę je wypuszczasz: jak i gdzie się objadać. Wróciłeś teraz od Sigridy Undset. Płynąłeś po tym pięknym jeziorze Miosen, którym jakby rozpękł szmat lesistej i górzystej Norwegii, byłeś w tym pięknym Lillehamer...

— Królik, jaki ty wymowny robisz się po winku!

— I co mi opowiedziałeś? O tym, że ci w drodze powrotnej u Horchera w Berlinie dano do szczupaka wspaniały biały sos „Orly” z kawiozem.

— Musiałem zaprosić panów z Kalisyndicat i z Farbenindustrie.

— A rodzoną żonę to zabierasz do tego okropnego Vaterlandu i każesz zjadać po trzy obiady dziennie dla „studiów” w pokojach poszczególnych dzikoludzkich nacji... W Paryżu, pamiętasz — ja chodziłam z Baedekerem, a ty z Guide du gourmet a Paris. A te płetwy rekina, którymi kazałeś mi się opychać? A te larwy musze, które sam jadłeś?

Ależ pamięć ma ten Królik!... No i cóż — istotnie jadłem. Indianin, który mnie woził po bagnach Xochimilco w Meksyku, uważał gęsty jam jajek na palec grubo naskładanych na liściu tataraku za największy przysmak. Trzeba było spróbować. Czy to takie rzeczy, czy takie poświęcenia dla wiedzy ponosili badacze? Żółtą febrę szczepili na sobie, rentgenem palce spalali... W najbliższej rodzinie mamy chlubne przykłady: Cześ (najstarszy brat), urządzając wyprawę myśliwską w Mongolii, pojechał do koczowiska bogatego Kirgiza, od którego zależało zaopatrzenie karawany w zwierzęta pociągowe, musiał się więc z nim liczyć. Kirgiz usadowił go w jurcie, wydobył dwie filizanki z pięknej chińskiej porcelany, popłuł, wytarł połą jedwabnego chałata, żona jego, która właśnie podsycala kiżlakiem (nawozem krowim) ognisko, tymiż samymi palcami nakruszyła do brudnego kociołka herbaty ze skamieniałej cegiełki, która przeszła przez tysiące łapsk jako pieniądz obiegowy, córka nastrugała z pałeczek, obrośniętych zeszlą krwią bydlęcą, okazałą ilość przyprawy do tego wrzątku, a tymczasem mama Mongołowa przyniosła mleko, zgarnęła tąż rączką kozuch do buzi i wykończyła i herbatę, i gościa, który musiał ją pić, boby nie dostał jucznych zwierząt i nie mógł szukać swego czarnego tygrysa i jaj ichtiozaura, których i tak nie znalazł.

— Jakim to wysokim celem służy podniebienie...

— Et... — machnął ręką King — co wy tam wiecie, kobiety. Wiesz, co Anatol France odpowiedział w ankiecie na temat prawa głosowania kobiet? Że żadna kobieta nie zasługuje na prawa wyborcze, jako stwór niższy, co najlepiej z tego widać, że się nie zna na sztuce gastronomicznej...

W Domeczku znajdujemy już młode osoby rozgorączkowane i pełne niepokoju. W Touring Club dano im grubą kopertę, a w niej spisy setek Auberges de la Jeunesse — gospód młodzieży w krajach, do których mają wizy.

Tata też jest poruszony. Następuje jeden z najwspanialszych momentów — mapy wyjeżdżają na stół.

Przecież te piskłeta ruszają w świat — martwe tematy szkolne wypełniają się żywą krwią. Trzeba im zaszczepić szaleństwo eksploracji, niedosyt i pokorę.

Dzieci już od małego — przez kajak, auto i rower — mają wszczepiony kult mapy. Przede wszystkim — kult mapy fizycznej.

Mapy! Przez tysiąclecia — poczynając od glinianych tablic babilońskich; map faraona Sesostrisa; pieiwszej mapy świata Anaximandra na pół tysiąca lat przed Chrystusem (zabawny wycinek cylindra z Morzem Egejskim na pierwszym planie, siedzący w cieczy wszechświata); Leucocippusa, który sądził, że świat z zachodu na wschód jest dwukrotnie

krótszy niż z północy na południe; Eratostenesa z Cyreny, który pierwszy starał się określić wymiary ziemi, a Morze Kaspijskie uważał za początek Północnego Oceanu; Ptolemeusza, który, na odwrót, nawet Ocean Indyjski uważał za morze zamknięte; mapę Italii, rytą w marmurze w świątyni Tellus; mapę wreszcie Imperium Rzymskiego, wykonaną na rozkaz Cezara — przez stulecia człowiek wytrwale dążył do wywołania obrazu tej ziemi.

Z jakąż wielką czułością patrzy się na mapę z 1280 roku w katedrze w Herford, gdzie oznaczono lądowanie Noego, raj, wieżę Babel, ale gdzie jednak ląd ziemski — srodze zmasakrowany, jakby się dostał pod koła ciężarowca (z górą Synaj, wypchniętą aż pod Cejlon, z zabawnie powyginanym basenem Morza Śródziemnego) — jest realną wizją, opartą na poszukiwaniach przez stulecia, jest zniekształconym odbiciem prawdziwego świata.

Przez stulecia pracowite mrówki ludzkie budują kartografię, już jako tako zbudowały wizję świata, maconą tylko od czasu do czasu przecuciem Antypodów, jak na przykład te próby kanonika kartografa z St. Omer.

Aż tu nagle w jako tako uporządkowany świat map wwała się doktryna Kopernika; wwalają się odkrycia Amerigo Vespucci, Kolumba, Vasco da Gama. Powstają ogromne centra kartograficzne w Amsterdamie i Antwerpii. Na mapie Mercatora z 1569 roku wygląda już Europa całkiem przyzwoicie, ale obie Ameryki są zabawnie spuchnięte i pod biegunami kasza okropna. Delisle, kartograf końca XVIII wieku, już przestaje wierzyć w legendę o ogromnej Antarktydzie, pokrywającej połowę kuli ziemskiej. Przez XIX wiek już wielkie instytuty kartograficzne pracują pełną parą. Aż wreszcie, na kilka lat dopiero przed pierwszą wojną światową, międzynarodowe kongresy geograficzne, przy udziale delegatów kilkudziesięciu państw, stawiają sprawę światowej mapy, tak zwanej milionówki (milimetr równy kilometrowi).

— Teraz, kiedy chcecie gdzieś jechać, nie potrzebujecie się zaręczać per procura z obiektem marzeń, jak ci książęta średniowieczni, którym przywożono nieudolne konterfekty oblubienic. Macie najsubtelniejszą skalę, najprecyzyjniejsze warstwy, filigranowo odtoczoną konfigurację, możecie odbywać wpierw podróż w marzeniu, a potem konfrontować ją z rzeczywistością. Uczcie się wyobrażać sobie świat. Pomyślcie, Prus nie był w Egipcie, dając jego opis w Faraonie! Patrzcie, tak będziecie podjeżdżać do Antwerpii. Dzień cały płatać się między namokłymi lagunami. Przecież to widać z mapy. Tuż na wprost Anglii. Jakież tam może być klimat w tych lądach wyglądających na mapie jak embrionalny początek świata w drugi dzień stworzenia, kiedy Bóg rzekł: „Niech będzie rozpostarcie w pośrodku wód”. Skrzypów już nie zobaczycie, ale będzie pewno wilgotna mgła i mewy będą nadlatywały, tak że czasem poczujecie na czołach wiew ich skrzydeł. Jednak to będzie nudny ten ostatni dzień na „Cieszynie”, więc choć w Skaldzie nie będzie was już bujać, będziecie tęsknić do lądu i oliwić rowery.

Oczy dziewczynek błysnęły — w Tacie pękł cichutko pęcherzyk premedytowanego ukontentowania. Z dawna już to weszło w obyczaj, że trzeba bardzo uważać; bo zawsze deus ex machina pojawia się biała mulica obładowana cennymi darami. Tata więc głądzi o geologii i kartografii; bobruje po Piśmie świętym — a sam po cichu pęka ze śmiechu, bo wie, że dzieci słuchać muszą i tylko czyhają.

No i pęc! Jest... Rowery?...

— Tata, gdzie my rowerami pojedziemy?

Wtedy Tata wyklada inny komplet map drogowych Automobil-klubu.

— Widzicie, jak to fajnie teraz się te mapy drogowe robi z tymi czerwonymi cyframi kilometrażu na każdy odcinek. Myślicie, że Itinerarium Scriptum rzymskie było tak przejrzyste? Albo ta Tabula Peutingeriana — mapa drogowa mnicha z Otmaru, na której tak zabawnie jest narysowany półwysep włoski między dwiema jakimś kiszkami — lądami?

— Tata — nie może już znieść tego głądzenia Krystyna — gdzie pojedziemy?

A wtedy już sam Tata wytrzymać nie może i wyrzuca, siląc się na obojętny głos:

— Tysiąc czterysta kilometrów przez Belgię, Francję, jak Bóg da — Włochy.
— Na rowerach?
— Aha...
— Same?
— Może by tak tandem trzysiodelkowy kupić i pedałowalibyście z Królikiem.
— Ach, Tata, nie żartuj! — wyrywa się protest niemal z jękiem. Obie mają wypieki. Tata jest zadowolony.

— He? Co?... To nie gorzej niż wodę kopać w Australii?

Bo to Kazik Kott (ów ofiarodawca łapcia, wożonego przez Tili), mający obecnie za sobą rok studiów na politechnice w Birmingham, pisał do Tili o planach wakacyjnych — że dobrze by było we dwójkę pojechać w step australijski i przy wyciu dingo, pod gwiazdami, kopać sobie wodę w ziemi, potrzebną dla zwarzenia posiłku.

Rok wyjazdu dzieci do Francji to był rok 1938. Nie mogłem z nimi jechać, wykańczałem Sztafetę, książkę pieczętującą dwadzieścia lat naszej niepodległości. W tym jej dwudziestym roku działały się rzeczy z Litwą i Zaolziem, których nie mogłem przeturystować po Francji, chociaż Bóg widzi, jaka to krzywda nie pojechać ze swoimi dziećmi przy ich pierwszych krokach w szeroki świat.

Burza nadciągała na ten świat — a jeśliś chciał widzieć jej nadciąganie, tedy nie w mózgach mężów stanu, nie w biurach businessmenów, nie na łamach pism, tylko w sercach kobiecych. Tak, jak niektóre zwierzęta mają nastawiony węch, wzrok i słuch na częstszą ilość drgań, jak pies rzekomo w pewnych wypadkach widzi „ducha”, czyli ciało astralne, percypując szerszą gamę fal eterycznych niż człowiek, jak ptaki „czują” burzę, bo ich zmysły obejmują dalszy parametr, tak bezwolne przez wieki stworzenia kobiece, skazane na bierne oczekiwanie zmian, które zaważą na ich losie, wyrobiły sobie technikę odczuwania, której lekceważyć nie można. A ja miałem aż trzy kobiety!

Kiedy Tili była jeszcze bardzo mała, wygłosiła, wybierając się z Tatą na spacer, jakąś maksymę, jak się Tata ma ubrać czy zachować, kiedy idzie z „kobietą”. Parsknęliśmy śmiechem, że ten projekt na kobietę naśladuje mamowy ton dydaktyczny.

— No, jak nie z kobietą, to z kobietką — sprostowała.

Miałem więc w każdym razie jedną kobietę i dwie kobietki.

Idące wypadki i zmiana ciśnienia politycznego miały w tym babstwie skutek dwojaki. Kobietki — niecierpliwą chciwość wrażeń, nażycia się, zdążenia przed niewiadomym jutrem. Kobieta — tkliwe obejmowanie, jeszcze aby dotknięcie, jeszcze aby pogłądzenie.

Nakupowawszy się gwintów, zakrętek, dętek, latarek, pompek, oliwiarek, багажników, klejów, map, filmów, wiatrówek, skonstruowawszy zabierany na rower багаж w ten sposób, aby były i piżamki, i pantofelki, i pledzik, i szorty oraz bluzka na zmianę, i po sukience reprezentacyjniejszej, bez żadnego, na szczęście, tym razem łapcia od żadnego ukochanego — cóż było robić w tym podnieceniu, niepokoju, skoro obrzydliwy kapitan Meissner nie chciał wcześniej począć palić pod kotłami i pozostawało czekać jeszcze dobry tydzień?

Przytulić się do roli dosłownie. Siąść na podorywce, wciągając nozdrzami zapach ziemi i patrzeć na długie plamy bobrujących gawronów w ostrym wschodzącym słońcu; zapaść głową w łękę i nagle być przeniesionym w inny świat — mikrokosmosu — chrobotów i chrząstów miliarda żuczków z utrudzeniem wielkim ciągnących swoją dzienną sprawę; przewrócić się na wznak i nagle przenieść się znowu w pozaludzkie istnienie — w makrokosmos nieba, gdzie obłoki przesłaniają jakieś poblaski wielkich spraw, wielkich stawań się; i znowu wrócić na ziemię, pochylić twarz do strumienia i być urzeczonym jego klarowną, choć tak płytką głębią — przecież to kilka centymetrów świetlistości grającej po kamyczkach wody, a jakieś miliony lat między twarzyczką dziecinną a tą istotą wodną, pędzącą uporządkowane istnienie w cichym zatunku pod kamieniem; wracać dośpiałym

południem do domu w ciepły brzęk ludzki, który teraz dla wypowiedanej, wykomunikowanej duszy jest bliższy owadziej i ślimaczej, i gawroniej, i podniebnej, i łąkowej sprawy — i czuć, jak przyleciał i siadł na sperlonym czole wietrzyk, brat dobry; iść przedwieczernem ku łąkom wzdłuż stawów, kiedy już pierwszy najdelikatniejszy zmierzch przyprószył leciuchno, i ujrzeć z nagłą, jak ostatnie słońce tryumfalnie w tej szarości zasnuwającej świat rozpało czerwona kresę nad dziobkiem kurki wodnej, że tkwi, jak ognisty wykrzyk, akcent postawiony niedościgłym majstersztykiem Największego Malarza; sięść nad rowem przy drodze i patrzeć, jak w rzęsie wodnej żaby stroją gardła na wieczorny koncert; przywrzeć z nagłą wezbraną czułością do trawy nędznej w koleinie wyżłobionej wózkami chłopskimi, a trawa zaraz ci się odda zapachami białej koniczyny, rumianku, miodunku, zmiętych koprów i szczawiu, koncertem woni miękkich i ostrych, słodkich i gorzkich, mdlejących i rzeźwiących, które obiegną jak łaskawe psy, wypychać się będą zwilgotniałymi mordami, suchymi i wilgotnymi nosami, lizać, manifestować swoją wielką miłość; bo nagle się czuje, że i nawet ten kamień obrosły swoją przemyślną sprawą od wybranej strony, jak trawa z koleiny, jak ptaki, jak psy i jak ślimaki, i jak obłoki sączy wielki hymn miłości, drapieżny, nierozpoznany.

Tam tedy w tej prasprawie wsiowej zegnaliśmy się tego burzliwego lata. Snadź jednak pożegnania było nie dosyć, bo Mama przyjechała w ostatniej chwili w dół Polski opętane ileś tam kilometrów do Iwonicza na jeden dzień, by pożegnać się raz jeszcze. Snadź jednak ciągle mało było tych pożegnań w tak nasilony czas, bo w dobę po jej wyjeździe Tata zdecydował się przerwać kurację na czterdzieści osiem godzin, siadł w pociąg i wycelował jak raz przybycie na dworzec warszawski w chwili, kiedy odchodził pociąg z kobietą i kobietkami do Gdańska. Przebrawszy się w swoim przedziale, ukazał się w piżamie na korytarzu sypialnego wozu akurat w chwili, kiedy Tilusia siedziała na straponie. Rozwarła nie bardzo inteligentnie usta i wołała czmychnąć do Mamy z zapytaniem — czy to ON? Więc wiele było śmiechu i radości, i nadziei, że ON — też jedzie, bo nigdy nie wiadomo, jakich niespodzianek czekać należy. ON jednak nie jechał — chciał tylko pożegnać raz jeszcze.

W Gdańsku podróżniczki były od wczesnego rana do odcumowania, które następowało późnym wieczorem. Tata nie mógł nadążyć za nimi ze swoją bolącą nogą, wypożyczoną z kuracji. Było ich pełno i w Zeughaucie, i na ratuszu, i w pokrętnych uliczkach starego miasta w cieniu Marienkirche. Żarliwie wypatrywały, prowadzone przez radcę Zalewskiego z Generalnego Komisariatu Rzeczypospolitej — Rzeczypospolitej minionych śladów: orłów, nazwisk słowiańskich zalegających szyldy zniemczoną pisownią. Witął je Gdańsk patrycjuszowski złoceniami, gmerkami mieszczańskimi, sklepionymi balkonami zawieszonymi nad cieśniną zaułków, jednolitym zglajchszałtowaniem sklepów w swastyki i napisy, że Żydzi nie są pożądani. „Koledzy” — Niemcy, pierwsza młoda generacja obcego świata, którą napotykały na wstępie, chodzili sztywnymi patrolami, podnosili rękę z gardłowym glajchszałtowym pozdrowieniem, wygrywali fanfary, zbierając datki do uswastykowanych puszek.

Na bramie szczytowej domu na wprost katedry przeczytały wielki napis:

Gedult, es kommt der Tag, da wird gespannt ein einziges Zelt auf allem Deutschland

— Tatusiu — mówią poruszone, a rozmowa ma miejsce na motorówce u podnóża starego Krantoru — jak to ciekawie, kiedy ożywają tematy szkolne i maturalne. Przez tyle lat urządzano nam Święto Morza, obchody, odczyty — wszystko to mniej warte niż ten jeden dzisiejszy dzień.

— Tak, za naszych czasów mieliśmy w młodszych klasach wodne kontury map, które dopiero musieliśmy rozpracować kraikami. Musieliśmy wiedzieć, jak się nazywa która ze

ślepo zaznaczonych rzek, musieliśmy wznosić między nimi grzbiety górskie, sens wewnętrzny mapy wyjawiał się, kiedy między tymi brunatnościami gór wywoływaliśmy zielonym kolorem pojęcie płaszczyzn. Podobno już zaniechano tego sposobu uczenia, ale to dochodzenie pełni wyrazu z bladego konturu dawało dużo przyjemności. Tak samo jest z waszą nauką szkolną. O, już pojęcie „Gdańsk” nałożyłyście kolorem. Pamiętam, jak w tym samym miejscu, gdzie teraz jesteśmy, równo osiemnaście lat temu, uczyłem się, tak jak wy teraz, tego tu Gdańska, punktu, z którego pocnie się pożar światowy, uczyłem się w chwili jeszcze bardziej dramatycznej, jadąc z Jodańc okrężną drogą przez Gdańsk, bo już droga na Warszawę była odcięta, pojechałem motorówką, tak jak my teraz, i widziałem „Triton”, statek angielski naładowany bronią, który stał nieruchomy, bo robotnicy portowi odmówili wyładowania. Wtedy zrozumiałem, co znaczy tchawica narodu w obcym ręku. Ale przecież nie trzeba tak dramatycznego, tak bijącego w oczy przykładu. Owszem — mogą nam dać niepodległość, ambasadorów, protokoły dyplomatyczne, hymny narodowe, kompanie honorowe i dusery, a tak samo niepodległość dusić za gardło. Kiedy zaraz po wojnie chcieliśmy się odkuć z eksportem i zaofiarowaliśmy światu pierwsze sto tysięcy ton cementu, to obce linie pod wpływem cementowni zagranicznych nie chciały go zafrachtować, a swoich okrętów nie mieliśmy. Kiedyśmy chcieli wykorzystać strajk angielski w 1926 roku i wejść z węglem na rynek światowy, to obcy armatorzy dobili po półtora szylinga na tonie, tak że niepotrzebnie nadpłaciliśmy koło ośmiu milionów złotych. Przeplacaliśmy Bremie za transport bawełny, Holendrom i Anglikom za śledzie, temu tu Gdańskowi za maszyny, kęsa nie mogliśmy w usta włożyć, by nie zlatywały się chciwe harpie i nie rwały lwiej części. Nie bardzo was tego po obchodach uczono. Na ten obchód matki niezamożnych dziewczynek przepomagały się na jaką taką bawełnianą spódniczynę. Trzeba im było na obchodach mówić: „Każda by miała po dwie i tańsze sukienki, gdybyśmy naprawdę panowali na morzu”, a nie; „Ach, morze prasłowiańskie, ach, morze Piastów...”

King zaalterował się. Ciemń już padała na zgniłą wodę, po której poczęły się kłaść smugi ognia z Neufahrwasser. Motorówka szła teraz ku morzu i po prawej zaczerniał ląd ciemny, w zapadającym wieczorze rysowała się sylweta muru.

— Westerplatte — powiedział głucho radca Zalewski. — Dwustu ludzi zamkniętych, odciętych, otoczonych.

I zaraz potem — o tych pocztowcach, o kolejarzach polskich, o polskich celnikach i robotnikach, o nich tu wszystkich zamkniętych, jak ci na Westerplatte, i sposobających się do rozprawy. O szykanach codziennych, wyzwiskach, prowokacjach. King mówi, że zawsze to tak było na tej ziemi Smętka. Przypomina, jak rozzuchwalony Gdańsk ścinał jedenastu kaprów morskich, żołnierzy Króla Jegomości, wdziawszy im na urągowisko korony słomiane.

Wylot więc w świat tych młodych maturzystek polskich w roku Pańskim 1938 nie był turystyką na Lazurowe Wybrzeże, tylko odbywał się w krajobrazie z Lilii Wenedy — wśród ciągłego łyskania piorunów.

„Pegaz”, wóz radcy Zalewskiego, podążał za nami późnym wieczorem na przystań. Na czarnej wodzie świecił gotowy do drogi „Cieszyn”. Stary znajomy, kapitan Meissner, z którym odbyłem trzytygodniową „cruzę” pierwszym rajdem „Batorego”: Triest — Dubrownik — Barcelona — Casablanca — Madera — Lizbona — Londyn — Gdynia, witał na schodni, niby dziedzic wita na stopniach dworu wiejskiego. Dwie przygotowane kajuty, obszerne, z podłogami z desek wzdłuż idących, z jakimiś komódkami, firankami, łózkami wstawionymi luźno — też „miały minę”, jakby za oknem stała jabłoń.

Nieradośnie się było żegnać na tej czarnej wodzie w tym 1938 roku. Jeszcze King pospiesznie mówi Mamie na ucho, co ma robić, gdzie depeszować, skąd brać pieniądze, jeśli zostaną rozłączeni.

Już podnoszą schodnię, kapitan salutuje, kundel pokładowy szczeka, merdając równocześnie frędzlą ogona, aby uspokoić, że to „na niby”. Pływająca chałupa polska z wolna

odcumowuje, wioząc do Antwerpii koniczynę, meble gięte, no... i pasażerów. Ten ostatni, najmniej cenny towar, przegiął się przez burtę i woła w ciemność poprzez huk motorów:

— Tata!

Pewno tam Królik „płaknął sobie”.

Ruszamy z radcą na dworzec, skąd mam wracać do Iwonicza. Kiedy czekam na platformie, mówi o podsłuchu nieprzyjacielskim, którym jest otoczony, i uśmiecha się blado:

— Pamiętaj o kaprach morskich.

Pociąg ruszył. Długo nie mogłem zasnąć. Tam gdzieś dzieciom już nikną z oczu ostatnie promienie, które im Polska wysyła sześciu milionami świec z latami Stefana Żeromskiego na Rozewiu. Radca Zalewski przed pójściem spać, jak zwykle, ogląda w kasie ogniotrwałej cieniutką pajęczynkę jedwabnych niteczek rozpiętych między papierami, mającą zdradzić, czy nie zajrzał niepożądany gość. Jutro, kiedy się obudzą, może mnie doleci na którejś stacji kolejowej zdyszana wiadomość, że kaprowie morscy...

Jednak zdarzyło się to dopiero za rok, kiedy radcę Zalewskiego i kolegów z Komisariatu wśród urągliwych okrzyków pod adresem Rzeczypospolitej przepędzano przez szpaler bijących esesmanów, kiedy w sąsiedniej z Zalewskim celi wyrywano język polskiemu posłowi na sejm gdański, Lendzionowi, a naszych pocztowców, celników, kolejarzy i ludność cywilną wyrzynano na podwórku więziennym. A Westerplatte, otoczone i samotnie walczące, nie mogła ich osłonić zbrojnym ramieniem.

Dowódcę Westerplatte, majora Sucharskiego, spotkałem we Włoszech na parę tygodni przed jego śmiercią, a radcy Zalewskiego zobaczyć już nie mogę: zamknęły się za nim wrota klasztoru kontemplacyjnego. Bywają takie ciśnienia, w których nie można wyżyć, z których ucieczka jest w śmierć albo do Boga.

Uniwersyteckie wspominki

Wyjazd Mamy z dziećmi za granicę miał również na celu umieszczenie Tili w jakimś zakładzie naukowym. Krysia bowiem bez żadnej wątpliwości szła na rolnictwo, w dodatku w Poznaniu, gdzie mniej wymagano teorii. Miała zamieszkać na poddaszu, na mansardce studenckiej. Dlaczego na poddaszu i na mansardce, to już była tajemnica „Pytona”. Dla Tilusi, która miała największą ochotę sposobić się do stanu małżeńskiego, należało znaleźć zakład dla szlachetnie urodzonych dziewczyc, w którym by podszlifowano tatarskie maniery. Tu jednak King i Królik nie mogli się pogodzić. King w głębie był reakcyjny, szlagoński, przepytujący o parantele, ale dzieci chciał mieć chowane w Szklanych Domach pepesiackich i nie kochał tych „zakrystianek”, to znaczy siostr i matek zmartwychwstanek. Właściwie to najlepiej basowali sobie z Mekiem Niedziałkowskim, kiedy zaszedł czasem na obiad i na buteleczkę i opowiadał o przodkach-biskupach.

Królik — odwrotnie — był straszliwie postępowy, nienawidził królów, ale jak co do czego — zwłaszcza do wychowania dzieci — przyszło, to postępował najokropniej bogobojnie. Kingowi udało się go nabrać, bo zapisał dziewczynki na ich rowerową trasę do lewicowych Auberges de la Jeunesse, ale nie miał wątpliwości, że Królik na wszystkie jego wywody i propozycje, i prospekty lewicowych zakładów naukowych odpowie jak Maria przy obstalowywaniu łososio-pstrągów:

— Tak to tak... Ale musi bulion i befsztyk bedo więcej podchodzące.

Co prawda panna miała zaledwie szesnaście lat i trzeba było dołożyć perswazji wobec dyrektorki szkoły, żeby chcieli jej dać dyplom.

Tata, wyprawivszy swoje kobiety po runo uniwersyteckie, siedząc na naświetlaniach, przygrzewaniach, przypalaniach i moczeniach w „Excelsiorze” iwonickim, medytował sobie o własnych latach uniwersyteckich i usiłował złapać sens idących zmian.

Co będą zamierzały dzieci, a co zrobią?

Uśmiechnął się: po ukończeniu prawa na Wszechnicy Jagiellońskiej i równocześnie Szkoły Nauk Politycznych przy tejże Wszechnicy miał zamówione stanowisko pomocnika nauczyciela na Uniwersytecie Ludowym w Pszczelinie; na następny zaś rok — roczną praktykę w Towarzystwie Szkoły Ludowej w Tarnopolu u późniejszego wojewody Srokowskiego... Potem miało być trzy lata Cambridge i po dwa lata na Francję i Niemcy. Pięknym planom przeszkodziły dwie katastrofy: wojna i małżeństwo.

Może im nic nie przeszkodzi?

Choć co tu planować z dziewczynkami? — Przyjdzie pierwszy lepszy dureń i całe planowanie przewróci. I będzie uważany za wielekroć mądrzejszego od setki Tatów.

Kraków pozostał w moich wspomnieniach nie taki, jaki był — tylko na pewno taki, jaki się wydawał. Gdzieś tam, zakryte przed nami, płynęło realne życie Krakowa, jeśli wierzyć Nowaczyńskiemu — najobrzydliwszego „Pokrakowa” miast polskich, życie zduszonego kołtuństwa.

Dla nas Kraków — to był cudowny, arealny splot naszej młodości z sędziwością miasta, z wiewiórkami na Plantach, gołębiami na placu Mariackim, kwitnieniem bzów, witrażami po ciemnych kościołach, szmaragdowością Błoni, uciekającego w seledyn kopca Kościuszki.

Na skutek bojkotowania przez nas uniwersytetów, rosyjskich czterdzieści procent młodzieży studiującej wówczas na Wszechnicy Jagiellońskiej pochodziło z zaboru rosyjskiego. Zanim zapisałem się na uniwersytet, już przyjeżdżałem do Krakowa na nasze zjazdy młodzieży szkolnej.

Granice przechodziło się nielegalnie. Na dnie tego wszystkiego leżał chłopczyński fason, żeby nie prosić Moskali o paszport, jadąc do drugiego zaboru.

W Mekce narodowej dopieroż było używantes!... Od patriotycznych dewocjonali i aż mżyło w Sukiennicach. Renia, która zawsze lubiła wyczyny, przewiozła w majtkach (że to wówczas noszono bogobojne, ukoronkowane, do kolan) — dwa duże medaliony drewniane z wypalonymi na jednym z nich — Orłem Białym, a na drugim — Pogonią. Po czym niezwłocznie, przybywszy do Warszawy, wyraziła zdumienie, jak można było takie paskudztwo ciągnąć ze sobą, i podarowała medaliony stróżce. W ten sposób stół stojący w salonie w Nowotrzebach, zawierający suweniry ściągane ze wszystkich badań: konchy, krzyżyki szklane, sarenki na poczekaniu odlewane w Murano, koralowe fiołki wrzepiane przez lazzaronów, szyszkę cedrową, muchę w bursztynie, kalejdoskop ze sklepiku w Niemczech, pieska gipsowego z Karlsbadu, kałamarz z chleba, popielniczkę z soli z Wieliczki — został uchroniony od ostatecznego suwenirowego przeładowania.

My, akademicy, wyższe istoty politycznego wtajemniczenia, gardziliśmy tym wszystkim wyżywając się w przewożeniu bibuły w „ornatach”, to znaczy w zeszytych podwójnie materacykach z otworami na szyję, które władowywało się pod marynarkę. Ponieważ ornat sterczał na wszystkie strony, więc na ten cel było organizacyjne futro, kiedyś w zamierzchłej przeszłości skartowane przez jakiegoś kolegę od stryja i po najdłuższym przebywaniu tego kolegi w świątyni wiedzy zapisane na rzecz przyszłych pokoleń. Były to tumaki, wspaniałe może kiedyś, mocno jednak szarpnięte zębem czasu. Do rytuału należało, że kupowało się takiej „żyrafie” bilet pierwszej klasy do Ząbkowic — pierwszej stacji rosyjskiej. Nieograniczonej dobroci Bożej i równie nieograniczonemu lenistwu żandarmów chyba przypisać należy, że przepuszczali te raz po raz uroczyście promenowane tumaki, zdobiące dwudziestoletnich frantów-blondynów na przepustki czterdziestoletnich brunetów, zawsze z biletem do Ząbkowic (bo w Ząbkowicach już brunet przenosił się do trzeciej klasy).

Kiedy patrzę wstecz na te uniwersyteckie lata, wydaje mi się każdy kawałek Krakowa czarowny, dzwoniący najgłębszą poezją, nasycony najważniejszą ważnością.

Wszystko było w nim amarantowe, wszystko hej-hejowate. Wszystko — kontusze, karabele, cechy, bractwo kurkowe, sokole dolmany, sukmany paradebauerskie, czamary powstańców, stróże nocni z halabardami, togi profesorskie, lajkonik, procesje, wszystko to otrąbywane urywanym hejnałem, obdzwaniane dzwonkami kościołów — wszystko to było niby jedna wielka rekwizytornia narodowego nierealnego misterium.

Nurkowaliśmy po tej narodowej świątyni pamiątek wśród żałobnych celebransów, Skałki, obchodów, zjazdów, jak stado wróbli albo kawek, które opaskudzają gotyckie cuda.

Jeśli życie Krakowa było teatrem, to teatr był najczystszy, najrealniejszy, najbardziej twórczym źródłem życia. Z paru zażyłymi kolegami-teatromanami wykupywało się z góry w agencji bilety na wszystkie premiery, zawsze na te same miejsca w drugim rzędzie galerii, po sześćdziesiąt dwa halerze (kanapka „drapacz chmur” u Hawelki kosztowała dwa razy drożej). Parę lat przede mną Prokesch pochlebna recenzję z Wesela uwieńczył podobną pochwałą: „Udatną całość zakończyły ochocze tany”. Za moich jednak czasów Wyspiański był gepruft und freigegeben. Rajcy miejscy mieli szacunek dla sław narodowych, choć czasem myliły się im w hierarchii. Kiedy w Radzie Miejskiej podniesiono protest z tego powodu, że kała się pamięć Kilińskiego, tolerując dom publiczny na ulicy jego imienia, wyrzucić domu nie można było, bo właścicielka miała długoletni kontrakt — zaliczono ten narożny dom do przylegającej ulicy Słowackiego (com słyszał, tom napisał).

Toteż nurzaliśmy się w Weselu, Wyzwoleniu, Warszawiance, Kłątwie, Sędziach, chwytałyśmy każde słowo z ust Solskiego, Wysockiej i Bończy, który był naszym ulubieńcem. Przyjeżdżała czasem Siemiaszkowa, Solka, przyjeżdżał na gościnne występy Frenkiel.

Jakoś ten teatr, w dobie, kiedyśmy szukali rozwiązań dla Polski, był bliższy życia niż ta otaczająca rzeczywistość Krakowa. Wychodząc z przedstawienia, szliśmy Plantami przez czarne tunele sklepione cieniem olbrzymich kasztanów. Kraków hofratów, centusiów, emerytów, którzy byli suplentami, i suplentów, którzy będą emerytami, Kraków wyszymlowanych poruczników kawalerii i zugsfuhrerów spał o tej porze. Pokraków — miasto nie tyle forteczne, ile poforteczne, okaleczone, ściśnięte w rozroście — parował wyobraźnią. Księżyc ogromny siadał nad kasztanami Plantów, nad zjawiskową, nierealną, ustawioną na tę tylko noc dekoracją Bramy Floriańskiej, wystrzygane kościoła Mariackiego, niemrawą zaciszą zaułków ginących w cieniu Dominikanów, Świętego Andrzeja, Świętego Piotra i Pawła, Świętego Idziego. Kiedy chodziłem po księżycu między ruinami egipskiego Luksoru albo libańskiego Baalbeku, albo azteckiej świątyni bożka Quetzacoatla w Meksyku — czemuż robiło mi się w duchu przewiewnie, prąd życia szedł przez stos pacierzowy? Poszerzały się granice wszystkich pięciu zmysłów? Czemuż w miejscach poświęconych oślepiłem pięciu się ku nieśmiertelności, ku przekazaniu się potomnym przez zasypujący piasek, zamulającą wodę, rozkruszający mróz, rozchylający wiatr — z nagłą podnosił się w ciele rozkoszny war krwi, w pamięci wykwiłało wspomnienie włóczęg po mieście, które Boy nazywa lunatycznym, po mieście tak odciętym od naszego życia, że wisieliliśmy w nim niby w bani płynącej w przestworza, chodziliśmy po jego zaczarowanych ulicach, które też wydawały się „na niby”, wytyczone na tę jedną noc?

Nie pomagały głupie figle: przewieszenie szyldu akuszerki optykowi, optyka szewcowi, a szewca — profesorowi zwyczajnemu Wszechnicy Jagiellońskiej, Almae Matris dostojnej, której niegodne szczenięta tak oto baraszkowaliby przy cycku: nie pomagało wycie w nagle rozwarte lufciki domów, lepiących się pod Wawelem, urządzenie zgiekliwych gęsi marszów. Miasto-grobowiec, miasto-lunatyk, miasto-dekoracja tymi czarnymi nocami okazywało się silniejsze niż nasza młodość. Ten czy ów krzykacz odłączał się nagle, niepostrzeżenie, siadał na ławce na Plantach, patrzył w wyiskrzone niebo i skrzętnie na drugi dzień zatajał przed kolegami te zwariowane „godzinki”.

Od tego naporu patosu i księżyc uciekało się byle gdzie w świat realiów. Więc do knajpy. Pamiętam, jak kolega, z którym nabłędziłem tak bez sensu, dobiwszy do popularnego „Wołka” i zamówiwszy potężną „gicz wołową” kropnął jeden za drugim dwa większe, co na ogół nie było u nas w modzie, wybałuszył na mnie z lekka pomętnięte oczy i stwierdził z widoczną ulgą, wskazując na wnoszoną górę mięsa:

— To jest, bracie, wół. Nie, ale czy to rozumiesz? Waży tyle i tyle; wymiar ma — taki, a taki; póki świeże — krwawi; kiedy za długo leży — cuchnie; wpuścisz do brzucha — syto; polać go szampanem — lubi; i ja lubię (panie starszy — jeszcze jeden dziecinny, wzmocniony kropelkami). Re-a-le... rozumiesz, Re-a-le — wiesz, co to znaczy? Nie grobowiec Kazimierza Wielkiego. Umarł, to niech po nocach nie łązi i da nam żyć. Prosit... Ale co ty rozumiesz?... Ty piszesz księżycową sonatę... słoń a sprawa polska... niepodległość środkiem czy celem... Kazimierz Wielki, rozumiesz, ichtiozaurus, a wy — żaby nadymające się na ichtiozaurusa... Ichtozaurus nie żyje, to niech nie straszy... to niech do muzeum. A na żaby są bociany... szybko was wyzbierają, oho... nie ma strachu! Panie starszy — jeszcze raz dziecinna wzmocniona i tego, porcja... tego...

— Gulaszu panu dobrodziejowi? — pomaga wybrnąć z obstalunku kelner.

— Nnie... porcja księżycy ugotowanego r-r-r-ealnie, z cebulką.

Było co tam z nauki w tym nygusowaniu i politykowaniu?

Sam jestem zdziwiony, jak to się zdarzyło — ale było.

Przyjechałem z mocnym postanowieniem nieuczenia się wiele.

Bo skoro człowiek rozkłada sobie naukę na trzynaście lat w trzech krajach z seminariami w Polsce, to można się nie kwapić, można tylko łązić i wdychać życie.

Tymczasem złapała mnie wiedza znienacka za ogon. W Szkole Nauk Politycznych.

Od pierwszego wykładu — poczęła się wyłaniać Polska inna, o której pojęcia nie mieliśmy. Uczyliśmy się o tej Polsce z 24 obrazków, które były kamieniem węgielnym wiedzy o historii polskiej u ogromnej większości mego pokolenia; z sentymentalnych posiorbywań popowstaniowych, z nudów szkolnych; z szowinistycznej historii polskiej Siemiradzkiego, z rozważań wieszczów, polityków, reformatorów, którzy mówili syntezami. Nie mieliśmy podbudowy. Jakoś nikt nie czytał ani Kalinki, ani Bobrzyńskiego; Szajnochę, Kubalę czytaliśmy, bo łaskotali wyobraźnię historyczną. Dlatego też bardzo czytany był Askenazy, a już od Korzona stroniliśmy jako od nudziarza.

A tu nagle w Szkole Nauk Politycznych przyszły beznamietne cyfry, jako wykładowcy przyszli nie tylko ludzie nauki, ale i działacze prowadzący konkretne prace we wszystkich trzech zaborach.

Te trzy zabory wyłaniały się z nagłą przed nami nie jako ziemia pamiętna historycznymi wspominkami, a jako terytoria o konkretnych zagadnieniach. Uczyliśmy się cyfr o wywłaszczeniu w Poznańskim, o kadastrze galicyjskim, o problemie chełmskim w Królestwie. Wtedy po raz pierwszy uszy nasze nastawiły się na percypowanie nie tylko dźwięków przeszłości, czy to były trąby grające na palach wbitych przez Chrobrego w dno Sali, czy to Bogurodzica spod Grunwaldu, czy surmy spod Chocimia, czy lękliwe litanie z Króz — chwytałyśmy głuchy chrzęst niby fabryki w ruchu, słuchając sprawozdań z Kas Stefczyka i Reiffeisena, z Kółek Rolniczych w Poznańskim, z Towarzystwa Szkoły Ludowej w Małopolsce, Macierzy w Królestwie.

Coś się tam pełniło w tej Polsce — jacyś ludzie w maciejówkach, strzyżeni na jeża, piszący koślawe rachunki w pachnących myszami spółdzielniach, jakaś Polska nieromantyczna, nieatrakcyjna — dopóki te koślawe rachunki tysiącem ciurkotów nie zbiegły się na katedrze wykładowcy i nie poczęły fluoryzować najbardziej zachwycającym światłem fantazji.

Wówczas przychodził na wykład geografii politycznej, oddany tematowi z głową, profesor Fuks — ten z plejady Romera i Sujkowskiego, wówczas młodych geografów, zbuntowanych przeciw fatalistycznej geopolitycznej tezie Nałkowskiego i częściowo Rejmana.

Profesor Fuks wystrzygał z kartonu sylwetkę naszej międzymorskiej ojczyzny, przeciągał nitkę przez środek, ważył — czy się przechyla ku wschodowi, czy zachodowi. Tropiliśmy razem z nim izobary, izogony, faunę i florę, i pokłady ziemi, pytaliśmy wiatry i deszcze, rośliny i zwierzęta, i nawet kamienie o świadectwo samoistności, celowości dziejowej tego istmu europejskiego naszej ojczyzny, nad którą zwały się wody oceanu Wschodu i Zachodu.

A potem, mając w uszach szum motorów pracujących na tej ziemi, mając w wyobraźni wszczepioną jej wizję w świecie, byliśmy przenoszeni przez naszych preceptorów w wizję otaczającego świata.

Widzieliśmy, jak myśl ludzka koncepcjami niby obręczami ściska jedność tego świata:

Filozoficznymi — przez ustawienie stosunku do Universum, do wolnej woli, do zszeregowania bodźców działających, do wykrycia ich ukrytego sensu, do wykazania brzucha pod pokrywą imponderabiliów i, z powrotem, do wykazania imponderabiliów w trawieniu brzucha.

Prawnymi — przez nitowanie, począwszy od Arystotelesa przez różnych Morusów i Rousseau, form socjalnego współżycia, przez szlifowanie konstytucji, systemów wyborczych.

Ekonomicznymi — które poczynają się niemrawymi teoriami kameralistów, merkantylistów, fizjokratów, jak poczyną się malarstwo rysunkami w pieczarach, aby wreszcie osiągnąć doskonałość dwuplanowego rysunku bez perspektywy, aby wreszcie dojść do Adama Smitha i spocząć na laurach.

Tak jak rosła przed nami mapa jedności geopolitycznej Polski, tak ujawniała się jedność gospodarcza świata, jego zachwycająca i coraz szybciej rosnąca współzależność, jego

archimedesowy sens naczyń połączonych. Zobaczyliśmy wielkie księżycowe obrazy przypływów i odpływów oceanów ekonomicznych, prawo podaży i prawo popytu. Asystowaliśmy, nic nie rozumiejąc, przy misteriach czarnej mszy, w której przepływały tajemnicze mutacje pieniądza, borykaliśmy się z monometalizmem i bimetalizmem, z pokryciem, emisjami i clearingami i wciąż, nie mogąc odkryć sensu tego wszystkiego, upraszczaliśmy to wszystko, jak poczciwy ksiądz proboszcz naukę o Trójcy Świętej (który nauczał, że czapka składa się też z sukna, podszewki i daszka, a przecież jest jednym) — czepiając się żelaznego prawa o pokryciu jednej trzeciej złotem. Schachta dopiero było trzeba, wołyżów sowieckiego rubla, cudów monetarnych Wielkiej Wojny, żebym zrozumiał, że nasi profesorowie-kapłani uczyli nas jak ten proboszcz o Trójcy Świętej.

Biegło się do Biblioteki Jagiellońskiej i stawało się w zaczarowanej krainie Stu Dróg. Każda poczyniała się z książeczki drobnej, z monografii pachnącej ułamkowym zainteresowaniem, jak ścieżka polna pachnie drobnym oczkiem kwiecia. Wnet jednak ścieżka wpada w drogę, droga w trakt i spiętrza się sarabanda traktów, po której z hukiem suną wielomotorowe sprawy.

Byłe stłumić pierwszy upadek ducha i wdrapać się do kierownicy takiego kamionu, byle się nie dać speszyć, że kierowany nieumiejętną ręką, zatacza się do rowów, już ci poczynąły pod ręką iść przekładnie i sprzęgła, manometry, tachometry, amperometry.

Katalogi kartkowe wybiegały jak wesoły tłum robotników, wytyczający zielonymi palikami kierunek; spisy rzeczy podstawiały zgięty kark, aby ułatwić wdrapanie się na najpotężniejszy kamion; a wtedy indeksy, dobre duszki domowe każdego dzieła, przychodziły poufale i zdradzały tajemnicę gospodarza.

Z tych opukiwań Polski i świata wynosiła kreda wykładowców na tablice audytoriów kolumny cyfr, które znaczyły nieomylnie zbliżającą się katastrofę. To były rosące cyfry eksportu niemieckiego, wzrost siły floty handlowej i marynarki wojennej, wrastanie ich koneksji w glob świata, kolej BB (Berlin — Bagdad), demonstracja morska w Agadirze, flirt z Japończykami.

Były więc to czasy gorące — rok 1912, rok wojny bałkańskiej, która była uważana za preludium. Wojny ogólnej czekał każdy Polak aż do ostatniego fiakra. Więc też batiary wydzierały się na Plantach:

*A na Bałkani tera
Jest wojna jak cholera.
I biją się ludziska,
Aż jucha z pyska tryska.*

Nasze skromne kadry w Związku Strzeleckim poczęły rosnać w ochotników. Jeszcze większość musiała na ćwiczeniach markować strzały klaskaniem, ale już pojawiły się pierwsze mundury. Na jakiejś uroczystości na dochód „Strzelca” kazano mi podać występującej aktorce bukiet w mało jeszcze znanym strzeleckim mundurze. Kraków, miasto obchodów, przymrugnął z widowni; zrozumiał, że to przybywa jeszcze jeden paradebauer.

Po wieczorze Daszyński fundował nam wszystkim — królom, witezom, Stańczykom, Chochołom, Balladynom, Konradom, Kordianom, Czarownikom, Anhellim, Chłopickim — wódkę. Siedziałem w tym feldhimmelgrau z całym poczuciem, że jestem za paradebauera krwawej szopki narodowej Fashion 1912. Do stołu podszedł weteran 1863 roku, zbierający na Towarzystwo Szkoły Ludowej, z białą reprezentacyjną brodą, w granatowym mundurze, w maciejówce ze srebrnymi nićmi na krzyż... Kazano mi przepijać do staruszka. Potem przyszła ze swoją tradycyjną skarbonką-świnką powszechnie znana postać — uczestniczka akcji bojówkowych z lat 1905—1907. Błyszcząc siwą czupryną i rasowym profilem, Ignacy Daszyński, szlachcic wypisz-wymaluj i czerwony postrach hrabiów galicyjskich, wbulił do

puszki koronę. Wbulaliśmy i my swoje szóstaki. Potem szliśmy Plantami, rozcapierzony na kasztanach księżyc lał na nas parafinę wawelską, byliśmy jak aktorzy ciągnący przez ciemną scenę między papierowymi dekoracjami, aby się ustawić. Czuliśmy, że dłoń ukrytego inspicjenta dziejów lada chwila przekręci taster i zaleje nas rzęsiste światło, i spoczną na nas oczy milionowej tonącej w cieniu widowni.

Ale rankami — przepadały widma, nikły koturny. Za ciemna jeszcze, połknąwszy szklankę mleka, pędziliśmy na zbiórkę przed lokalem „Strzelca”. Pospiesznie, biegnąc, sięgałem do kieszeni po białe patki, odznakę podoficerską.

Nasi oficerowie — niżsi z niebieskimi patkami, wyżsi z czerwonymi, w sztylpach, w zgrabnych mundurach — to były istoty wyższe, półbogowie. Komendant Okręgu, Ryś Trojanowski, miał złote patki.

Pedałowanie przez Europę

Ze wspominkami — to jak z dywanami perskimi; są barwniki trwające przez wieki, patynujące pięknie, są barwniki, które wyżera czas. W pewnej kategorii dywanów perskich czas wyżera jakiś zjadliwy czarny barwnik — tam gdzie było czarno, jest dziura. Pustka. Domyślaj się, człowieku.

We wspominkach zaś ludzkich najmniej trwały kolor to szarość. Zdarzenia szare, nijakie, rozślimaczone, wślizłe w codzienność ludzką, rozpięte jako osnowa na kolorowych kołkach życia — więdną i opadają. Potem widać tylko same kolorowe kołki. Ach — powiadamy, czytając wspomnienia Casanowy — co za barwne życie... A to przecież tylko kołki kolorowe mamy w rękach, a tkanina — stłała.

Przesypując w rękach kolorowe kołki wspomnień, starałem się wyobrazić — jak też Dudkom pójdą lata uniwersyteckie? Żebyż jak najwięcej tych kołków...

Od Królika otrzymałem pierwszą kartkę z drogi — z Kanału Kilońskiego:

„Leżymy na pokładzie... Słońce... Zielone brzegi... Dudy biegają z piaskiem... Ach, co za wypoczynek...”

Schowałem list do kieszeni — poczekajmy meldunku z Morza Północnego.

Z początku Dudy szmygały, jak dwa pieski, za kapitanem.

Kapitan Meissner, wyrocznia, obwieszczał prawa żelazne, obowiązujące na morzu. Na przykład: „Rzygasz? — twoje prawo. Ale tylko na zawietrznej burcie”.

— A to co?

— Lina.

— A to co?

— Kołowrót.

Za jedno kompanię z nimi trzymał kundel bosmana Cygan, żółw porucznika Nierojewskiego i marynarze, podatni do śmiechu jak dzieci, których bawiły te dwie turystki mające ganiać na rowerach przez trzy kraje.

Ledwo wypychił się swoim przedpotopowym motorem „Cieszyn” — dobroduszną słowiańska binduga wraz z kundlem, żółwiem, piosnuszka i tym oto beztróskim leżakiem, z którego Mama wypisywała holidayowe listy, ledwo się wtranżolił z sadzawki bałtycko-prasławiańskiej w nowocześnie przekopany Kanał Kiloński — wystruniła się przed nim równa, zgłajszachtowana stalowa woda, brzegi z emaliowanych łęgów z pasącymi się holendrami scudziały, z zollamtów trysnęły złowrogie spojrzenia, pilot, wpuszczony na pokład, czekał twardym głosem — rzekłbyś — sęp pierzasty nogą nastąpił i wyszarpuje krwawym dziobem. Tak więc wygląda w pełnym blasku niekonspirowane panowanie Smętka, tropionego pod polską ścianą przez Tatę; Smętka, który w osobie niemieckiego konsula rąbnął w przygotowane paszporty wielką siną pieczęć: ungultig.

Już wtenczas nie garnęły się ku polskiemu statkowi z brzegu wielometrowe tyki, na których sprzedawcy ofiarowywali przeróżne różności. Kapitan tylko w czasie postoju na służbie sprokurował kupę ananasów. Dziewczynki jadły słodko-cierpkawy owoc przynoszony do domu tylko na wielkie uroczystości, wkładany przez czekoladową pannę u Wedla z oszczędnym umiarem — po jednym ocukrzonym plasterku na pudełko. I nagle ościerpł im ten egzotyczny smak nieznanego świata, przysiadły przy mamowym leżaku, czekając tęsknie, aż znowu pod dziób statku podbiegnie żywa morska woda.

No i stało się, co prorokował Tata — podbiegła. Jeszcze jak!

Kmiotek-Roztropek wolał się uskromnić w sam czas, ale Don Kichot szarżował na wiatraki choroby morskiej, nie zapominając jednak o zawietrznej stronie.

Kucharz, mistrz nad mistrze, łyś jak kolano, ale za to nazwiskiem Czupryna, pracował już tylko na rzecz kapitana i jednego jedyne go pasażera, który trwał. Przez przepierzenie kajuty słyszał było głos kapitana i żalosne nazwy coraz przemyślniejszych homarów nie homarów, które serwował steward Hugo.

— Hugo! — nalewaj. Pamiętaj, dwu było Hugonów— ty jeden, a Kołłątaj drugi. Prosit... Hugo! — nalewaj.

Dopieroż w ostatni dzień, na niemrawym zalewisku Skaldy, kiedy przestało bujać i podrzucać, pasażerski ładunek wylaź na dek.

— Oj, kapitan zjadał takie dobre rzeczy, a my nie mogliśmy...

Kapitan, w niepokalanej bieli, gotów do wypyrgnięcia na ląd, kłania się szarmancko:

— Ja zawsze byłem do dyspozycji.

A więc młodociane turystki — prosto z tej chałupy omal słomą krytej, jaką był „Cieszyn” — znalazły się w pępku najzachodniejszej Europy. Prysnęły Mamie na rowerach na Antwerpię, między średniowieczne mieszczańskie kamienice, trzyokienne a spiczaste, w hałas portu, do muzeum korsarza Stena, do vivarium. W Brukseli obijały się po „oddzielnych Brukselach” zadzierając głowy na ich koronkowe ratusze, gapiły się na klockowanie koronek, odciągnęły bogobojnie zachwycającą się Mamę od Świętej Goduli na wyścigi psów, gdzie Królik człowieczy musiał podziwiać pościg za królikiem sztucznym, wyprawiły się do Muzeum Kolonialnego w Terveuren, dochodząc do przekonania, że Europa to mało, że dopiero by dobrze było dobić ze swymi rowerami do krain, gdzie po górach brzmią tam-tamy.

Mama, z pobłażaniem obserwująca to wzdymanie się małych kindżątek na przygody, wspominała, jak przed kilku laty w tejże Antwerpii na też tematy kolonialne wzdymało starego Kinga. Na wystawie światowej w pawilonie Wielkiej Brytanii na ogromnej mapie plastycznej przesuwali się makietki okrętów i zapalała się coraz inna część Wielkiego Imperium — dominia, kolonie, mandaty, kondominia — osiemdziesiąt dwa kraje, piętnaście milionów mil kwadratowych — trzecia część globu — pięćset sześćdziesiąt milionów ludności. Wyskakujące cyferki wyjaśniały, że ten kolos posiada połowę całego światowego złota, niklu, kauczuku, trzecią część manganu, cyny, ołowiu, że dławi go kakao, kopra i inne dobre rzeczy. Ta Belgia, właśnie to maleństwo dwunastokrotnie mniejsze od Polski, posiada w koloniach sześć razy więcej ziemi niż Polska. A jakież ich przyrost, a jaki nasz?

Wyszedłszy na ulicę King zobaczył gromadę młodzieży tańczącej po jezdni i dołączył się wraz z Królikiem. W małej knajpcie potem piło się z nimi dużo wina, śpiewało „Niedaleko od Krakowa” (bardzo udatnie wyciągali chórem „o-o-o”). Żegnali wyjeżdżających do Kongo kolegów, nie potrzebowali się zabijać o półtorastozłotowe posadzinki, brak ich na skrzydła przygoda.

Teraz z tegoż miejsca miała wziąć na skrzydła przygoda dwie polskie maturzystki, jadące w świat ożywiać tematy maturalne.

Zabiegliwa Mama ułożyła w belgijskim Touring Clubie ostateczną trasę wycieczki. Noclegi miały się odbywać po gospodach dla młodzieży.

Mama, kiedy już spały, szła jeszcze w brukselskim hotelu chorągiewki narodowe na rowery. Skoro świt wyszła przeprowadzać córeczki. Poleciały w świat w ten perlisty ranek.

Kiedys Tata, wracający z Madery, uświadomił sobie dojeżdżając do Warszawy, że „Madera 1922 roku”, którą ofiarowali tamteczni winiarze (wożona żaglowcem do Indii Zachodnich i z powrotem dla przebycia właściwej fermentacji) — nie będzie dla Mamy dostateczną atrakcją. Prosto więc z dworca ze wszystkimi bagażami pojechał na Miodową do Peszla i zakupił dwie papużki inseparablki z klatką. Wręczył ptaki z opowieścią, jak je osobiście łapał na Maderze na lep na najcieńszych gałązkach smoczego drzewa. Kazał nawet łapki oglądać, że jeszcze lepkie.

Papuzki były przedmiotem podziwu wszystkich koleżanek: że to niebieskie inseparablki, bo wprost z drzewa z Madery, bo w Warszawie można wprawdzie kupić, ale tylko zielone.

Aż pewnego dnia — wyleciały przez okno. King usiłował się złościć.

— Ale żebyś wiedział, jak one poleciały... Rozwinęły skrzydła, taki był jasny słoneczny dzień. Poleciały takie szczęśliwe, upojone...

— Już je tam jakiś szczęśliwy, upojony kot kończy dojadać — gasił zachwyty King.

No więc teraz wyfrunęły z maminych rąk na tych rowerach jak te inseparablki. Mama westchnęła. Wróciła do hotelu i pojechała do Paryża — czekać ich z drogi.

O drogo jasna w świat! Kiedy pod sobą ma się sprawny nośny rower z wolnym kołem, z przekładnią w sam raz, z wygięciem kierownicy jak ułał, bagażnikiem pełnym wszystkiego, czego dusza zapagnie, kiedy na sobie ma się lekką bluzeczkę i szorty, w najbliższej perspektywie dobry obiad z owocami i winem, w nieco dalszej — nocleg w nieznanym miejscu, jeszcze dalej — Mamę w Paryżu, potem znów setki kilometrów, morza i góry, a po wakacjach już nie zagrożenie powrotem do szkoły, tylko odmet nowych, nieznanych ciekawości...

O drogo jasna w świat! Kiedy pod sobą ma się sprawny nośny rower kwitnące młodością, robotnicy z fajami, przyjacielsko kiwający dłonią ku mijanym turystom; drogo, ku której zbiegają się domki na przestrzeni dziesiątków kilometrów; drogo podążająca w rozgwarze festynu ludzkiego, wpadająca na zacienione placyki, ku którym otwarte gospody pachną winem, drogo mieniąca się murami pokrytymi lawiną kwiecia.

Na granicy żadnych formalności. Celnicy pomachali im rękami i mknęły dalej już Francją. W Tournais — wpadły w zwariowane miasteczko — przeciągał doroczny pochód Copains Gilles w fantastycznych strojach, z pióropuszcami na głowach, pochód tańczący po jezdni, śpiewający, porywający przechodniów. Wytańczone z „gillistami”, jadły karczochy na jakiejś zacienionej werandzie, po czym pomykały na południe dalej. Jak te inseparablki... W upojeniu... W słońce...

Pierwszy nocleg. Tupot tańczących nóg i dźwięki organków oznajmiają kantinę. Dobroduszny Pere Aubergiste daje im śnieżyste sacs de couchage, po czym zaraz porywa je La galette, taniec z klepaniem się po kolanach, z wirowaniem do utraty tchu. Towarzystwo wszystkich narodów świata mówi sobie per „ty”. O dziesiątej wieczór nieubłagany „Pa” każe iść spać. A na drugi dzień rankiem, wymieniwszy adresy, zaprzyjaźnieni „na zawsze” — rozjeżdżają się rowerami albo motocyklami, albo rozchodzą we wszystkie strony świata. Na następnym noclegu będzie nowa porcja chłopaczydłów z organkami, w kratkowanych trampowskich koszulach, nowa paka dziewcząt opalonych, z odrapanymi nagimi kolanami, nowy jazgot wieży Babel wszelkich języków i ten czarowny, wszystkim zrozumiały volapuk młodości, śmiechów, pogwizdów, przygrywania i przytupywania zdronionymi piętami.

Obie turystki napisały w „Kurierze Porannym” cykl felietonów z tej wycieczki.

Tili (tak oto wyawansowawszy od czasów pierwszego honorarium z „Płomyka”) pisze o gospodach:

W kilkunastu gospodach rozsianych na trasie Bruksela — Nicea poznałyśmy całą kolekcję wspaniałych trampowskich typów. Leży przede mną notes z ich adresami.

Poste-restante w Paryżu — to adres Chary’ego, młodego Szwajcara. Oczy koloru wody morskiej w spalonej słońcem i wiatrem twarzy; włóczy się już od dwóch lat; trampował po wielu krajach; przechodzi granice jak ścieżkę na własnym podwórku.

Ten angielski – to adres dziewiętnastoletniej Angielki, nazwanej przez nas „Citronelle” od płynu na komary, którym się z zapalem smarowała; widzę ją, jak siedzi na łóżku w sypialni dla dziewcząt; ma jasne loki zwinięte nad czołem; w szortach i koszuli wygląda na chłopca. Citronelle urodziła się w Chinach. Studiuje socjologię w Anglii. Obok niej siedzi opalona miedzianowłosa Belgijka i Gaskonka o poetycznych oczach; dyskutują: taka sobie młodzieńczo nierealna (pisze Tili z wysokości swoich szesnastu lat — p. m.) dyskusja o Paneuropie, o zniesieniu granic, o solidarności między ludźmi.

Oto adres młodego Syryjczyka mieszkającego stale w Maroko; arabski i francuski są na równi jego macierzystymi językami; powtarza co chwila: *oh, que la vie est belle*; podróżował po całej Europie; był w Polsce; kiepsko wspomina drogi i bardzo dobrze ludzi.

Oto adres młodego Belga, Roberta, wspaniale wygrywającego na harmonijce (jak większość tych trampów) i na banjo; a to znowu adres Egona, Austriaka, zamiłowanego alpinisty. I jeszcze jeden, Amerykanina Raymonda – uosobienie wesołości, sam skoncentrowany uśmiech.

Przesuwają się przed mymi oczyma smukli, opaleni, weseli. Zatarły się w pamięci ich nazwiska. Pamiętam ich uśmiechy, ich piosenki, ich miłe twarze, pamiętam ich dyskusje przy wspólnym stole. Pękały bariery graniczne, rozsadzaliśmy świat. Okazało się, że jest szeroki. Starczy powietrza na głęboki oddech i przestrzeni na odkrywczę wótczugi.

Dwa tylko tematy są zakazane w gospodach: polityka i religia. Nie po to są gospody, aby wprowadzać jakiekolwiek segregowania, aby pozwalać na jakiekolwiek waśnie. Na ogół ajistes (członkowie klubu Auberges de la Jeunesse) podporządkowują się temu chętnie. To nie są problemy, o których rozmawia młodzież po odwalonych stu kilometrach na rowerze czy czterdziestu kilometrach piechotą. Wtedy to nie są sprawy równoważne z tym, czy jutro będzie lać, czy też będzie słońce, czy bouillabaisse jest lepsza tu, czy gdzie indziej, czy warto obejrzeć Chateau d'If, czy ciekawa jest Korsyka i dlaczego dynamo przy rowerze nie działa, mimo że żarówka jest w porządku.

Ale są i tacy, którzy się buntują i w złotej księdze, jaką ma każda gospoda, piszą swoje zdania:

„Mon cher Pere. Nie zostaje mi nic innego, jak tylko podporządkowanie się Twojej decyzji. Dyscyplina ajistowska przede wszystkim. Ale pragnę skorzystać z tej książki, aby ci powiedzieć kilka słów na temat dyskusji politycznej. Każda rzecz może spowodować dyskusję, która według ciebie będzie polityczną. Na przykład ajizm to nie jest ruch polityczny, a przecież wierzę mocno, że spełnia swą rolę polityczną, wiążąc narody, niszcząc różnice klasowe, wyznaniowe, narodowościowe. Więc widzisz, Pa, że...”

Zapytałam o ten wpis Pa, ojca gospody. Odpowiedział ze śmiechem, że nie pozwolił kiedyś na jakąś dyskusję i oto skutek.

– Śpiewajcie, grajcie, tańczcie, roznośćcie całą gospodę (bylebyście ją potem zestawili z powrotem), ale nie zniósę żadnej propagandy, żadnego politykierstwa. Enfin, zrobisz lepiej, zamiast sobie tym zaprzętać głowę, jeśli pójdziesz spać, jak to już zrobiła większość twoich towarzyszy.

Na takie dictum powiedziałam potulnie:

- Bon soir, mon pere.
- Borne nuit, ma filie.

Jednak antypolitykierskie trampy nałożyły ząb drogi, aby zwiedzić ośrodki polskie w Lille, Kiedy w 1946 roku wygłaszałem w tych ośrodkach odczyty, wszędzie natrafiałem na wspomnienie o nich.

I znowu jeden z tematów szkolnych — temat dorocznych zbiórek na rzecz dzieci polskich za granicą ożył w realnej postaci w kwaśnym zapachu kafejek, w ciekawym aliażu polskiego charakteru narodowego wymodelowanego w szkole niemieckiej (bo uchodźstwo przyniosło ze sobą formy życia społecznego z Nadrenii) i zaszczepionego na galijskiej kulturze.

Rozdzieliwszy się, przez kilka dni pracownicy eksplorują między dwudziestoma siedmioma organizacjami, które co niedziela urządzają przeciętnie koło pięciuset zebrań o frekwencji ogólnej trzydziestu tysięcy uczestników. Tym razem nie Smętka tropią, a zagony kundla, który przycwałował z Polski; stają wobec dylematu każdego z nas: dlaczego kundlizm i najwyższe poświęcenie gnieźdzą się w tym samym narodzie.

Zgryzamy w sobie dwa wrażenia — zadowolenia i zmartwienia

piszą dziewczynki w felietonie z wycieczki, opracowanym i podpisanym wspólnie:

Dziwimy się obie, gdzie indziej dni spędziwszy, z innymi ludźmi mówiąc, że w każdej pracy polskiej są dwie strony.

Na pierwszym zaraz noclegu, w Cambrai, już jest depesza.

Depesza jest wprawdzie przekazana w jakimś chyba azteckim języku, adresowana do „Vancoveiere” głosi: „Cranam hotel Jacob”, ale podpis jest wyraźny „Mama”, więc już wiadomo, że „cranam” — to „czekam” — zwykły los wszystkich mamusí.

Mama tymczasem rozstawiła sieci. Wzięła wielki pokój z trzema łózkami, co dzień w nim chytrze stawia owoce i lemioniadę. Pewnego dnia znajduje owoce zjedzone i lemioniadę wypitą. Więc są. Istotnie. Zostawiły kartkę z adresem paryskiej gospody.

Mama pojechała je wydobywać. Pod wskazanym adresem zobaczyła dwa rowery z polskimi chorągiewkami, oglądane przez trampów. Niebawem wpadły dziewczynki zaaferowane szukaniem sac de couchage, który im się gdzieś zadział.

— Mama, wyproś nas u Pa...

Gruby Pere Aubergiste podniósł oczy znad książki rachunkowej, spojrział zza okularów:

— He toi! Tu dors ici? As tu ton sac de couchage?

Dopieroż było gadulenie w metro. Z jakim strachem jechały przez Paryż. Kiedyś widziały, jak w cyrku małpki jechały na rowerkach po drucie. Trzęsły się ze strachu w swoich kolorowych kubraczkach. Teraz z nimi było coś podobnego.

— Krystyna, to chyba Notre Dame...

— Aha... aha...

Ale teraz z Mamą — pewność i bezpieczeństwo. Kiedy tylko Królik jest w pobliżu, wzmagą się ku jego utrapieniu kozaczy duch. A tu tymczasem Królik nawkuwał się Louvre’ów nie Louvre’ów i czai się arkanem dydaktyki:

— Pójdziemy do Panteonu.

— Do Panteonu?...

— Cóż się tak wykrzywiacie?

— My chcemy iść do kabaletu — startuje Roztropek.

Królik się opiera. Krysia poczyną robić „strusie miny”. Roztropek jeszcze jest potulniejszy, ale Krystynie, jak mówi Tata, „pałki rosną”. No i aktualnie: „Tata by nigdy nie darował...”

Królik wzdycha. Dobrawszy męskiego szaprona, wieczorem są w kabarecie. Męski szapron stawia szampana. „Damy” są w siódmym niebie. Nagle na scenę wysypuje się rój gołych kobiet. Roztropek jest rozśmieszony, ale Krystyna wydyma usta i mówi, że już chce spać.

Nazajutrz, skoro się obudziły, niegodziwy Królik bierze sobie odwet:

— No, dzisiaj znów idziemy do kabaretu. Może Chat Noir, może Lapin Agile?

— Mama, może już dosyć?

— O, nie, jak zabawa, to zabawa. — Mama usiłuje naśladować Kinga, który nie pozwalał z siodeł przenosić się na wóz.

Ale po wydobyciu tej reakcji Mama prowadzi do Notre Dame, która niech już mówi za siebie. Zielone spatynowane chimery wyszły do nich ze stronic Wiktora Hugo. Dumas z Naszyjnikiem królowej oprowadzał po Tuileryach. Lektura dziecinna od L'Aiglon, po Huragan, lektura nie uporządkowana, historycznie Nat-Pinkertonowata, z nagłą zarysowała się lśnącymi konturami rzutowanymi w ciemność przeszłości. Obrazki dobrze znajome, nieważne, jak ta kopia Une Matinee Corota, wisząca w hallu dziecinnego piętra, nie zauważona niemal, nagle jaśniały w Louvre perlistością nieogarnioną brzasku; szpetne „turefele” cynowe, przekleństwo każdego burżuazyjnego saloniku, nagle upostaciowały się w Tour Eiffel, z której chwiejnego czuba ogarniało się Paryż — Ville Lumiere; biegło się do tego Paryża w dół łąpczywie, by zginać w rozgwarze Champs Elysees, w. cieniach Bulońskiego Lasku, w wąpiach hal o szarym świetle; oglądało się, przez przemądrzały małpkowski kilkunastoletni snobizm, stare gawiury i złocenia w skrzynkach u bukinistów nad Sekwaną i nagle — z tych tam snobizmów i dumasizmów, z niewiele wartego bric a brac suweniowych figurynek, z ulic huczących poósmym sznurem aut, z blasku neonów, z zapachów perfum, z ciemnych, sytych wilgocią plam platanów, z kaszkietów i paskowanych koszulek robotniczych, z argot, chlapiącego w twarz jak bryzgi przybrzeżne z zachodniego oceanu — wyłaniało się przeczucie starego świata romańskiego.

— Mama, już jedziemy... — parło w ten świat, w sam jego miąższ, w sam jego, nie przerobiony przez turystów, surowiec.

Mama — samą oszołomiona, raz jeszcze przez te chciwe oczy przeżywająca własne szesnaście lat, kiedy z ojcem i braćmi chodziła po Paryżu, poddana została przymusowi uważnego dobierania po warsztatach rowerowych jakichś bardzo wymyślnych akumulatorów samoladujących, pompek samopompujących, plastrów do opon samolepiących, zachwycających zakrętek. Tak badacz, mający w podwodnym dzwonie zejść na kolorowe dno oceanu, robi drobiazgowo przygotowania. Mama — bakcył turystyczny wyhodowany na żelatynie Cooka — z zainteresowaniem oglądała tych człowieczków organizujących wojaż.

Wprowadziła je z rowerami gdzieś daleko — człowieczki popedałowały.

W Vichy — znowu wszystko było przygotowane na stęchłym oleju turystyczno-uzdrowiskowym. Dla Mamy — stół zarezerwowany w pensjonacie, serwetka w kółku. Te same żujce na prawo, te same na lewo. Deptak. Doktor, który każdemu tak samo na papierze rysuje jego wątrobę (w koszu sterczy już kilkanaście rysunków wątrób, epatujących za każdym razem od nowa każdego z kilkunastu poprzednich klientów). Poranki symfoniczne. Deptak. Wycieczki autokarami do cudów przyrody. Kufelek ze szklaną rurką na wodę. Deptak. Odczyt o Mistralu. Krem z truskawkami w kasynie. Znowu żujce w pensjonacie, znowu bezsensowny potage.

I nagle któregoś dnia — pukanie do szyby pokoju. A za tym welwetem firanki, przesiąkłym fluidami nudzących się much — jakby nabój słońca — dwa opalone, upiegowane, obdrapane trampy.

Zaraz się w pensjonacie zrobiło jasno, nienudnie i przedsiębiorczo.

— Mama... b-r-r-r, ona się od tygodnia nie myła — skarżypyci Krysia, czująca odpowiedzialność jako senior.

— Chcesz, to szoruj — wspaniałomyślnie pozwala Tili.

Naturalnie Królikowi w to i graj. Bucha para w łazience.

Uwieszone z obu stron Mamy idą na deptak — i nagle okazuje się, że wszystko jest niezmiernie interesujące i niezwykle.

— Kup mi...

Królik nie umie tych propozycji pomijać z imponującą obojętnością Taty i wiecznie się obkupi bzdurami, które w następnej minucie okazują się niepotrzebne.

Doktor zobaczywszy rowerzystki zapomniał narysować kolejną wątrobę i tylko orzekł:

— Superbes.

Oba „Superby” miały jednak obtarte pięty, które Królik musiał zagajać, wysłuchując tymczasem trajkotania o tym, co było w drodze. Okazało się jednak, że relacje dla Królika były w wydaniu dla młodzieży. W wydaniu dla Taty, w opowiadaniach późniejszych w Polsce, okazało się, że podjęła je autostopem wraz z rowerami jakaś ciężarówka, której szoferzy bardzo poczęli się zalecać.

— No i co byście zrobiły, gdyby tak was chciał pocałować?

— Dałybyśmy w nos...

— Ależ on silniejszy...

Wówczas okazało się, że przed wyjazdem, kiedy napastowany o rewolwer King odpowiedział niewzruszenie „Koci ogon” — zakupił na Kercelaku dwa kastety .

O tych zakupionych przyrządach, o tych okropnych przygodach nic jednak nie wiedział Królik maszczący pięty. Wypuścił je stosunkowo bez strachu na dalszą turę, naznaczając następne spotkanie w Nizzy, i podeptaczył na mineralne wody.

A ci tu mija tydzień i nie ma ani choćby pocztówki. Różowogęby listonosz sypie co dzień listy żujcom na lewo, żujcom na prawo, a do Mamy od dzieci nic nie ma... Mama już wybiega na spotkanie tego listonosza, ale i to nie pomaga. -

— Pójdziemy na policję dowiedzieć się — mówi utleniona la patronne.

Ale klockowaty sergeant, oczekujący z la patronne, jest duchowym krewniakiem polskiego komendanta posterunku znad Wkry, który uspokajał, że jeśli ciała w krzakach nadbrzeżnych gdzie leżą, to się i znajdują bez obawy.

— Voila! Jeśli w ciągu dwu miesięcy się nie znajdą, to poczniemy szukać.

W następnej więc po listonoszu i policjancie instancji Królik udaje się do Pana Boga i przesiaduje w kaplicy, wydatnie uszczuplając frekwencję na odczycie o Langue d’Oc. Ale następnego dnia — znowu nie ma wiadomości. Wówczas zaprzęzona zostaje instancja najwyższa i ostateczna:

King otrzymuje telefon w Warszawie, że dzieci znikły. Nie ma ich. Były i nie ma...

King okazuje się być spokrewniony z polskim i z francuskim policjantem:

— Nie ma ich? To będą...

Czy na pewno będą, Pušku? — pyta telefon.

Rzecz prosta, że na pewno.

Otrzymawszy wreszcie źródłową informację Królik z miejsca uspokaja się całkowicie. Ale następnego dnia ten parszywy listonosz znowu nie przynosi listu. I znowu rozmówka Vichy — Warszawa.

King nie lubi tych rozmów, bo słono kosztują. Kiedyś zatelefonował do Kiepury do Paryża, proponując, żeby zaśpiewał na Święto Morza.

— Czekaj pan — powiada „chłopak z Sosnowca” — to najlepiej będzie zaśpiewać: „Hej, flisacza dziatwo”. Jakże to idzie? Aha...

To rzekłszy odśpiewał całość przez telefon, a wściekły King zapłacił za ten koncert sto piętnaście złotych.

Pragnąc więc przeciąć złotą serię telefonów, King zainterweniował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Ministerstwo Spraw Zagranicznych telefonowało do konsulatów w Tulonie, Nizzy, Marsylii; konsulaty w Tulonie, Nizzy, Marsylii telefonowały do Mamy, Mama znowu

telefonowała do konsulatu w Marsylii (przez którą bynajmniej nie szła trasa wycieczki dziewczynek), bo otrzymała z tego miasta „uspokajającą” pocztówkę:

„Mateńko, siedzimy w tawernie portowej, ale nic się nie bój, bo tu są tylko sami kolorowi”.

Otrzymawszy takowe „Hej, flisacza dziatwo” przez telefon z Vichy, King zawrzał oburzeniem. Co za wiele, to niezdrowo... W Marsylii... Sami kolorowi... Ładna historia — miasto Meteków, Marokańczyków, Algierczyków, Tunezyjczyków, Kochinchińczyków, Lewantyńczyków, handlarzy opium, żywym towarem i wszelaką zbrodnią. Ależ nawarzyły, szczeniaki, piwa.

— Sprowadzić pannice do Vichy, pakować kufry, żadnych już Riwier ani Włoch — grzmiał przez telefon Tata. — Wracać. Jak tak, to tak...

A było tak, że najprzód odbiły się od wszystkich poczt w górach pod Grenoble. Komuś tam dały pocztówkę, ktoś pocztówki nie wysłał. Pięły się tymczasem (zostawiwszy rowery w ostatniej górskiej gospodzie, do której można było dopedałować) pod górę, do schroniska położonego na wysokości tysiąc czterysta metrów.

Ledwo widny ślad ścieżki górskiej prowadzi lesistymi zboczami; wynurzając się z lasów, idą brzegami stromych urwisk w szklanym dźwięku dzwonków bydła pasącego się na zielonych halach w dole; czerwone pudełka domów, rosnące jak grona wilczej jagody po przęślach białych dróg, są niezmiernie daleko; tu — wydęły się liliowe pagórki wrzosów; ta liliowość stoi w mroźnym powietrzu jak preparat chemiczny; jedyne żywe, ciepłe, krwiste — to te dwie ludzkie istoty w wiatrówkach przepoconych ciepłym potem, najcieplejszym tam, gdzie do łopatek przywiera mały plecaczek.

Była już szósta po południu i po śniegach, zalegających rozpadliny, kładły się długie cienie, kiedy zobaczyły domek schroniska La Morte.

Odsapnęły, dobyły organki i ruszyły do niego, grając piosenkę „ajistów”: reveille. La joie te reveille.

W otwartym oknie — pisały potem w felietonie do „Kuriera Porannego” — siedzi chłopak w wiatrówce. Inny, w krótkich szortach, w sportowej koszulce, rozciągnął się na łóżku, oparłszy nogi „o pułap”. Stałam w progu nieco niepewnie:

— Bon jour — gdzie jest Pa?

— Ja jestem Pere Aubergiste. — Spuścił nogi i poderwał się mały człowieczek w szortach.

— Dzień dobry. Nie wierzysz, że jestem Pa? No więc jestem Fils Aubergiste...

— No, to masz nasze legitymacje, Pa — zastosowałam się do dowcipu.

— Polki? To wspaniale — ucieszył się. — Dawid (prezentujący gest w stronę siedzącego na oknie) — to Anglik. Ja jestem Rosjanin, nazywam się Jurij, poza tym mamy jeszcze Austriaków i Holendra.

Do gospody poczynają sphywać pozostali chłopcy, jest ich sześciu.

— To wyście teraz przyszły? — przerywa znajomienia się stary siwiutki paysan, który też się zjawił. — Georges, czy powiadomiłeś, że one będą na kolacji?

Fils Aubergiste, Jurij, onże Georges, emigrant rosyjski, przytulony tu jakoś na dłużej, myje się właśnie z chlupotem. Wszyscy się śmieją, że to z uroczystej okazji naszego przybycia. Na tę też okazję zapewne ma na sobie długie spodnie zamiast szortów, a pozostali poprzywdziewali jakieś cywilizowane szaty, a nawet czyste koszule, czego nie omieszkali zaznaczyć.

Przebierając się w sypialni, słyszę, że z wielkim hukiem i dużym talentem żonglerskim cała szóstka nakrywa do stołu. Krzyczą do mnie przez drzwi:

— Marta, spiesz się. Jurij już niesie zupe.

Willy usiłuje komplementować Krystynę w zabawnej francuszczyźnie.

- Co za czarujące *vis a vis* przydzieliliście mi, Jurij !
- Daj spokój, Willy – poskramiają go inni – nie wymaľpiał się.

Zrzekam się drugiej porcji deseru, co wywołuje burzliwą owację, równą prawie tej, jaką w chwilę potem otrzymuje Mere Aubergiste, dumna ze swego dzieła kulinarnego.

Chłopczy są usposobieni szarmancko, nie pozwalają nam zmywać naczyń. Mówimy o swoich włóczęgach, krajach, a potem chwytamy za grzebienie i bibułki. Najpierw na intencję Austriaków gramy walca Straussa. Muzykalny Jurij, śpiewający ładnym barytonem, grozi, że Strauss w grobie się przewróci. Więc Willy i Egon poczynają Oczi czornyje. Jurij jako kilkuletnie dziecko w czasie rewolucji wywieziony został z Rosji. Nie mogą też wracać Austriacy. Rozbitki bez ojczyzny...

Toteż kiedy chłopcy poczynają grać Warszawiankę, czują się szczęśliwa własnym miejscem we własnym niepodległym kraju.

Przy Marsy Hance grzebienie odlatują od ust, śpiewamy pełnymi piersiami najwspanialszy z narodowych hymnów. Potem, chociaż nie ma żadnego Amerykanina, śpiewamy o Yankee Doodle, który przyjechał do miasteczka na swoim małym pony.

Trzeba już chyba iść spać. Zbliżają się do nas z minami zaambarasowanymi.

W sypialni dziewcząt są na razie zainstalowani robotnicy, którzy tu pracują. Chyba wam to nie robi różnicy, że będziecie spały z nami? Wyniesiemy się na górne prycze... Zgadzacie się? No, to my się teraz wyniesiemy na parę minut: Wy się myjcie i rozbierajcie. Jak będziecie gotowe, zgaście światło.

W parę minut potem, okutane w białe chłodne płótno, przykryte puszystymi białymi kocami, słyszymy w świetlicy wielkie chlupoty. Chłopcy wchodzi i wskakują na górne prycze. But za butem leci z hukiem na podłogę. Zwieszają się starannie złożone „na kant” spodnie. Ktoś jeden, odosobniony, klęka do pacierza.

- Ja co dzień wieczór odmawiam akt strzelisty do Marksa – mówi któryś z Austriaków.

Zasypiamy już prawie, słysząc kołysankę Brahmsa, a potem Good night śpiewane z górnych pryczy. Willy zaczyna coś trzeciego, ale kateryczne: „One już chcą spać...” zamyka mu usta.

Słyszemy jeszcze, powiedziane po polsku:

- Dobranoc, Kristina.
- Dobranoc, Marta.

— Bo ty, tatusiu, nie wiesz, jaka wspaniała jest młodzież na świecie — mówiła Krysia, wróciwszy do Warszawy. — Widziałeś tych ponurych idiotów, dmących w trąby na ulicach Gdańska na takt, przerywających trąbienie na takt i na takt podnoszących rękę z hitlerowskim pozdrowieniem. Ach, gdybyś zobaczył Egona!... Ach, gdybyś zobaczył Jurija!... Ach, gdybyś zobaczył Willy’ego!... Naprawdę świat może być jedną wielką rodziną.

Czułem, że nie zawsze można się opędzić pogardliwym, że to „pałki rosną” (jak u młodej wronki, kiedy poczynają się skrzydła i próbuje latać), że to „koci ogon”. Przychodziły na Kinga czasy kapitulacji honorowej, cofania się na z góry upatrzone pozycje — przed tą młodością tak pewną siebie, taką skorą do zachwytów. A cóż tej promiennej wierze można było przeciwstawić w roku grzmotów, roku 1938, roku nadciągającej wojny totalnej?

I King już poczynął pogadywać:

— Starajcie się zrozumieć, co mówię. Ale zawsze róbcie, jak wam się zdaje. Bo wasz instynkt silniejszy.

Mama mówiła:

— Poopalają się o te jakieś światła...

— A co robić? — bezradnie rozwodził ręce King. — Co im dasz? Mocarstwowość? I wiesz... znowu nazwiesz mnie egoistą, jak wtedy, kiedy w smutkach przychodziłem trzymać za piętę kilkuletnią śpiącą Tilusię — ja się teraz tak ich moralnie chwytam — tej ich wiary.

Minęło kilka lat. W gardzieli Cavendishu w bitwie o Monte Cassino bure słupy gliny wylatywały wyszarpywane eksplozjami wybuchów. Tam — ku Widmu, ku St. Angelo coraz bliżej buzował się ten war ziemi — wykańczał się atak bohaterskiego siedemnastego batalionu, któremu zabrakło naboju. W dole ode mnie był pierwszy skład amunicji. Z tego piekła wynurzali się coraz to posyłani żołnierze, sadzili wielkimi susami w dół, po czym pełzli, dysząc ciężko ze skrzynkami na ramieniu. Pomiedzy nimi zobaczyłem znajomego kapitana angielskiego, Stevensa, oficera łącznikowego. Jego chłopięca twarz nabrzmiała piegami, koszula, otwarta głęboko, aż do pasa była mokra.

— Cheer up! — wrzasnął przyjacielsko do mnie, przykucniętego za głazem, i potaszczył swoją skrzynkę w gąszcz ognia.

Czułem się za tym kamieniem dosyć samotnie i nieszczęśliwie. Nic z mojego miejsca widzieć nie mogłem, dopiero trzeba byłoby wspinać się przez szczyt Widma w tej artyleryjskiej nawale. Byłem też mokry z przemęczenia, zapewne i ze strachu, tkwiłem dosyć bezradnie za tym durnym kamieniem, łapiąc oddech w piersiach i chowając łeb, kiedy coś gwizdało. Ładny korespondent wojenny!

A tu przeszła z tym cheer up — fala młodości; piersi jak miechy, nogi jak stalowe sprężyny, oczy błyszczą jakąś niebywałą frajdą, kiedy wszystkim się zdawało, że i to drugie, jakże krwawe natarcie się załame. I wtedy — nie po bitwie, a wtedy (bywają takie chwile w odmęcie najkolorowszych zdarzeń, że przesilony umysł przestaje percypować i odbiega w nierealność jak umysł słuchacza pod koniec przeładowanego wykładu) — przypomniałem sobie ów „koktejl narodów” w schronisku górskim La Morte i słowa Krysi: „Ach, gdybyś znał Willy’ego!”

Ach, gdybyż tak spotkać Willy’ego w tych krwawych górach! Przecież ta piekielna bitwa musi się przesilić. Gdybyż tak wyjąć mu z ręki śmiercionośny tomigun, zdjąć hełm stalowy, który tak ciśnie, wyłować z czeluści kieszeni napierśnej połamany grzebyk, zdobyć bibułkę papierosową i zaproponować odegranie beztroskiej ajistowskiej piosenki La joie te reveille!

Jeśli to nie był Willy, ten chłopak z rozwianą czupryną, z piegami jak moje córeczki w czas wycieczek, to na pewno jego kolega. Światło przeszło koło mnie, i dobro, i sama miłość, która nie ginie w bitwie.

I to wtedy po zejściu z La Morte począł się mętlik z zaginieniem dziewczynek. W Grenoble powiedziały sobie, że „Tata (naturalnie, jak jakie głupstwo przed Królikiem usprawiedliwić, to zawsze Tata) nigdy by nam nie darował, gdybyśmy nie zwiedziły Marsylii”.

Może i miały rację, żebym im nie darował, gdyby nie zwiedziły na przykład Chateau d’If, choćby za te moje irytacje o czytanie Hrabiego Monte Christo, ale nie „takie coś”, jak wyczyniły.

Dobiwszy do Marsylii o dziesiątej wieczorem, że to trzeba było ze zwiedzeniem spieszyć ze względu na nieprzewidziany wyłom w planie i oczekującego w Cannes Królika — przebrały się z szortów i rąbnęły... do tawerny portowej. Bobby Tata nigdy nie darował...

Włożyły kastety w zewnętrzne kieszenie wiatrówek i wkroczyły na salę. Między stołami, zalanymi plamami absyntu, kręciły się wyróżzowane dziewczyny w grubych pończochach, usługujące wielokolorowym gościom, siedzącym w fezach, kefijach i kaszkietach nasuniętych na oczy.

Zamówiły porcję kus-kus i poczuwszy nagłą skrucę, napisały tę „uspokajającą” kartę do Mamy.

Były widać nie lada sensacją, bo sam patron postawił im kawę i poczęstował papierosami pour les demoiselles, od których zakręciło im się w głowie.

Od sąsiedniego stolika wstał stary robociarz ze zwisającym wąsem i podszedł do nich.

— Co tu panny robią?

— Zwiedzamy Marsylię — dosyć pokornie przyznały panny, oszołomione papierosami, dymem, wyziewami absyntu, czując w ustach cały piekielny pieprz zjełczałego kus-kus (mielone mięso baranie opiekane na patyczkach).

— Proszę zaraz zapłacić rachunek — rozporządził się robociarz. — Odprowadzę was do domu. Gdzie mieszkacie?

Okazuje się, że i klan tatusiów, rozsiany po różnych szerokościach globu, ma swoją solidarność.

W drodze do oberży napotkały ajistów, których rozesłał na poszukiwanie Pere Aubergiste, latający po dzielnicach portowej z rozwianym włosiem.

Na drugi dzień postanowiły się uczłowieczyć, „wybocić” (od beaute), ale cóż, kiedy fryzjer, z którym się zaprzyjaźniły, Monsieur Olivier (w Marsylii każdy jest, jeśli nie Marius, to Olivier), dowiedziawszy się, że zwiedzają Marsylię, absolutnie kazał im pójść na walkę byków. Przerwawszy ondulowanie, stanął przed lustrem w swoim białym fartuchu, z grzebieniem za uchem i począł demonstrować pchnięcia. Trzeba więc było pójść na tę corridę, „boby Tata nie darował”, i Królikowi stuknęło nowe dwadzieścia cztery godziny czekania.

Mama, skomunikowawszy się wreszcie ze zbiegami w Marsylii, przeniosła się do Cannes i znowu minęły trzy doby nad program, i znowu nie wiadomo było, co się z rowerzystkami dzieje.

A działo się tym razem — na jednym z najradośniejszych szlaków ziemi — na trasie przybrzeżnej Marsylia — La Spezia, której czterysta z górą kilometrów jedzie się w ciągłym upojeniu — wśród palm, migdałów, drzew pomarańczowych i cytrynowych, fig, laurów i powoi, tuż nad wodami najlazurowszego z mórz, przez przechłód lasków piniowych, wpadając nad z nagłą podbiegające pod nogi wyprażone turkusowe zatoczki, w ciągłej gęździe wiecznie świętującego genus humanum, w ciągłym poczuciu, że na każdym z czterystu tysięcy metrów tej drogi jest nocleg dobry, jedzenie jeszcze lepsze, zorganizowany wypoczynek, sporty, przyjemności.

— Z Marsylii — pisała Tili — wyjeżdżaliśmy nie na wielki szlak Marsylia — Tulon, lecz na wąską szosę, wijącą się między górami, nad brzegiem morza przez Cassis.

Jadę o kilkadziesiąt metrów za Krystyną, która znika za zakrętem. Wyjechawszy za zakręt, widzę wywrócony rower, wiszący jednym kołem nad urwiskiem, i jakieś dziewczęta leżące na drodze, patrzące w dół urwiska. Podbiegam, przechylam się, patrząc.

Na ziemi, zwinięta w kłębek kolorowej bluzki i białych szortów, leży Krystyna. Jest blada, na czole ma gęste krople potu. Zupełnie nieprzytomna. Jedna z dziewcząt poskoczyła przynieść plecaki. Odczepiła manierkę z wodą. Przewracam Krystynę na wznak.

Jest ciągle nieprzytomna, na głowie, wprost na ciemieniu, ma ranę, z której cieknie krew, pod włosami aż na policzek, który robi się coraz czerwieńszy. Oglądam ją starannie, czy sobie czego nie połamała. Żebra całe, ręce też, nogi też. Ale skóra z całej lewej dłoni zdarta, paznokcie u obu rąk głęboko połamane i czarne od stłuczenia; zsiniały od razu. Bluzka w strzępach. Z tyłki zdarta skóra. Bok mocno stłuczony. To wszystko, co mogę na razie zauważyć.

Tymczasem dziewczęta oblewają Krystynę wodą, wlewają jej parę łyków w usta, ocierają twarz. Po paru minutach odzyskuje przytomność.

Z auta, które się zatrzymało o kilkaset metrów, wysiadło czterech młodych ludzi i z podręczną apteczką w ręce podchodzą do nas, żeby pomóc.

Biorę to wszystko, co mi podają, w nieporadne ręce. Krystynę postawiłam już na nogi. Stoi i zaczyna już nawet słyszeć, co się do niej mówi. Nie widzi za to nic naokoło. Trochę mnie to z początku przeraża, ale po paru minutach i to jej przechodzi.

Teraz więc, kiedy widzę, że właściwie wszystko jest w porządku („dosyć specjalne masz określenia” – mówiła potem z goryczą Krystyna), ogarnia mnie szalona, nieprzezwyciężona ochota, żeby sfotografować Krystynę i jej czterech lekarzy. Myśląc o tym, nie przemyslam należycie jej głowy, palców i pokaleczonych rąk;. Patrzą na mnie z niemym wyrzutem, wreszcie jeden odbiera mi wszystkie medykamenty i sam zaczyna to robić ostrożnie, starannie i umiejętnie.

Jestem pewna, że jodyna, którą wylał Krystynie na głowę, więcej ją otrzeźwiła niż wszystkie manierki z wodą. Sięgam po aparat, ale powstrzymuje mnie oburzone spojrzenie młodego człowieka. Bałam się okazać do reszty cyniczna, więc zostawiłam, żałuję tego serdecznie; zajęłam się rowerem Krystyny. Był – o dziwo – mniej uszkodzony niż ona. Trochę scentrowane tylne koło, złamany w jednym miejscu gruby drut przy bagażniku. Oł i wszystko. Po parominutowej naprawie koło chodziło już dobrze, bagażnik podwiązany sznurkiem i rzemieniem chwiał się trochę, ale trzymał. Niewiele się tylko dało zrobić z rozprutym bokiem skórzanego futerału od aparatu fotograficznego. Okręcam go więc jakoś rzemykami i przywiązuję do kierownicy.

Krystyna przysiadła na głazie koło drogi. Jeszcze nie bardzo i tylko z dużym wysiłkiem może zrozumieć zdania, które się do niej mówi.

Upinam jej włosy, bo sama nie może: bolą czubki palców i naciągnięte mięśnie w rękach. Wyciągam świeżą bluzkę z plecaka (tę trzeba wyrzucić). Mówię wreszcie, że chyba zaczekamy tu, aż ktoś ją weźmie stąd do Cassis, dokąd ja sprowadzę potem rowery. Ale Krystyna usiłuje w sobie odnaleźć resztki „kozaczego ducha”, mocno nadwężonego na kamieniach.

Mówi, że pojedzie. Obwiązuje więc jej rękę dwiema chustkami, żeby ją jako tako mogła położyć na kierownicy, i jedziemy do Cassis, sześć kilometrów, na szczęście zjazdem.

Krystyna kładzie się od razu do łóżka. Przyniosłam bandaż, jakiś płyn na skaleczenia i robię kompresy. Obandażowana wygląda jak kukła. Po całej prawie nocy niespanej, przewracając się z boku na bok aż do rana, czuje się następnego dnia o wiele gorzej i ledwo chodzi. Lewej ręki nie może ani zgiąć, mi rozprostować, cały lewy bok okazuje się już siny, zdarta skóra na ręku boli, dziura w głowie nie pozwala rozczesać skrzepłej krwi we włosach i piecze.

Ładujemy się do pociągu, żeby dojechać do La Seyne, dziesięć kilometrów od Tuluzy, skąd do Les Sablettes i gospody już tylko cztery kilometry.

Tymczasem Królik, siedzący bez wieści w Cannes, rozpoczął ponowną sarabandę depesz, ale obawiając się powtórnej kompromitacji w warszawskim emeszecie i u polskich konsułów — w promieniu wszelakich oberż młodzięży w departamentach Bouche du Rhone, Vaucluse, Basses Alpes i Var.

Mere Aubergiste gospody w Hyeres, mieście karczochów i Conrada, oddepeszowała dobrodusznie: „Nie przyjechały dotychczas, ale na pewno przyjadą”, co Królika znakomicie pocieszyło.

Mere Aubergiste w miejscowej gospodzie w Cannes, prosta kobiecina, miała powkładane karteczki z adresem Króliczego hotelu za ramę lustra, pod patarafkę pod lampą, na półce w kuchni.

Wreszcie pewnego dnia w tym właśnie hotelu pojawiła się Tili z wiadomością, że Krysia leży w gospodzie.

— Mama, pokolońskuj — zaanonsowała chora wchodzącemu Królikowi.

W ten sposób z dawna zwykły się wypraszać od jodynowania. Królik bowiem stosował trzy zabiegi lecznicze: podmuchanie, pojodynowanie, natarcie wodą kolońską.

— Mama, nie pozwól jej!... Ona zdrowa — zazdrości Tili.

Z dawnych czasów — zachorowanie oznaczało frajdę i przywileje. King, wracając z biura i czując gripę, mówił, wchodząc do domu:

— Kładź mnie.

Kiedy który z domowników za długo chorował, pozostali naglili, żeby wyzdrowiał, bo teraz ich kolej.

— Patrzcie, jakie tu palmy — mówi Mama.

— Phi...

— Patrzcie, coś za wspaniałe dzikusy — mówiła Mama wskazując na spahisów w fezach.

— Kolorowi? Phi...

Nie ma rady. Doszczętnie zblazowane towarzystwo, a biedny Królik — prowincjonalna mama, która przypadkiem powiła dwie gwiazdy na Olimpiadę.

Ale to się skończyło już na progu mamowego pokoju. Pokój był duży na trzy łóżka; pełno ciastek, owoców i kwiatów; dwie naszykowane piżamki; kupiona nowa książka *Ces dames aux chapeaux verts* (właśnie idzie film pod tym tytułem).

Dopiero z łóżek odchodziło nieposkromione gadulenie, jak z żabiego rowu. Dopieroż Królik się zżymał słuchając o noclegu w górach z chłopakami, o tawernie portowej...

— Na pewno papieros, którym was poczęstował ten gospodarz z tawerny, był z narkotykiem. Na pewno!... — mówi ze zgrozą Królik.

Królik wie zawsze „na pewno”, czy na przykład królowa angielska kocha swego męża, albo co myśli Malwinka, albo co kto robi w filmie albo powieści. Więc wie i o tym papierosie. I chciałaby bardzo tego robotnika francuskiego z długimi wąsami, który kazał pannicom wracać do domu, zaprosić do Domeczku.

Wtedy chmura wojny, która ciążyła w Gdańsku i w Kanale Kilońskim — zasnuła znowu horyzont. Widziały po prawdzie po wioskach francuskich plakaty: *La Paix*, słyszały wyrzaski: *A bas la guerre!*, ale wówczas nad wszystkim górowała troska o dętki i dynamo. Młodość — jak ostrowidz dobrze widzący na odległość — nie widzi, co pod nosem. Dyskusje po gospodach o Paneuropie były stokroć wyrazistsze niż ta powrzaskująca, nie zauważona rzeczywistość.

Dopiero Mama, symbol stawań się codziennych, trosk realnych, obaw powszechnych a ludzkich, uziemiła te odbiorcze anteny. I zaraz już się uwyrzyszcili przekupki, krzyczące: „Nie jesteśmy idiotki — nie damy synów do wojska!”, a wiszące na murach ogłoszenia o obronie przeciwlotniczej, piasku na dachu, wiadrach z wodą — cieniem zawisły nad Domeczkiem.

To już szedł — na ten ciekawy barwny świat otwierający się dopiero młodości — zamróz zguby. Rwały się, jak mogły, z niego w nasłonecznione, w jeszcze nie zaszronione miejsca. Pociągnęły Mamę do kasyna gry, by narazić się na despekt, bo wspaniały portier wytłumaczył całkiem jasno, że Mama wejść może, ale co do panien — to „koci ogon”... Ten „koci ogon”, wróg osobisty, gonił za nimi po Europie i nadązał rowerem.

Mama je uspokaja, że i ona straszliwie się oburzała na ten koci ogon, kiedy sama miała szesnaście lat, ale ją ojciec pocieszał: że z młodości najprędzej się człowiek wyleczy.

Tymczasem zaś, wobec niewątpliwej kulminacji tej choroby, poprowadziła podfruwaje do Muzeum Oceanicznego.

Kto stąpa ziemią Monte Carlo, czuje pod stopami niby pognój stuletniego nawożenia zbytkiem. Każdy tu zakątek rzeźbiony do spoczynku, ławka każda w przepysznym parku,

każda intymna ścieżka schodząca w nim ku morzu — nabrzmiały przeżyciami nawarstwionymi przez lata.

Pierwsze dni pobytu w Monte Carlo to westchnienie, że właściwie jakże biednie jest gdzie indziej żyć, bunt, żeby tu przecież się osiedlić, słodki szum w głowie, jaki daje materialna bez troska, pielęgnowanie zachceń.

Dni następne — to niepokój, niesmak, chęć ucieczki zaboga. Łagodne prądy powietrza drgające między cyprysami, które zdawało się są po to, by przynosić westchnienia miłosne, emanują zdenerwowaniem nieosiągnięć, mętным wyziewem nie kąpanych dusz ludzkich.

Ale dziewczynki były w pierwszym dniu Monte Carlo i w najpierwszej wiosnie życia. Chropowata kora palm paździerzy się wówczas tylko żywym szczęściem, nieznosne cykady wlewają do duszy musujący napój.

Olbrzymi żółw-starzec podpłynął w basenie ku nim na wstępie do mrocznych pieczar muzeum. Ciała młode, rozgrzane tysiąc czterystu kilometrami pedałowania, zesmagane wiatrami górskimi, spalone słońcem, wygarbowane wodą morską po przygodnych plażach, ciała żywe, pulsujące gorącą krwią, spał mrok, a za nim ściany szklane ze światem głowonogów, mątw, sepij, ukwiałów, ryb-młotów, ryb-pił, ryb elektrycznych, jaszczurów tonących w ślizu, mrugalców głębinowych, feeryj zwodnych i niepojętych, zimnego okrucieństwa.

W pieczarach przesłoniętych wodorostami raki pustelniki tworzyły wielką walkę trwającą od czwartego dnia świata, kiedy nakazał Bóg: „Niech hojnie wywiodą wody płaz duszy żywiącej”. Zimnokrwiste ośliwce, skrętce larwowe, czeczujce z innego świata, uporczywie haczyły o siebie szczypce, mocowały się, kruszyły, rozpadały, borykały w zielonawej wodzie.

Z tą ponurą sprawą wyszły z głębinowego piekła w narosły nad nim świat, który uśmiechał się... jeszcze.

I tu już był koniec trampowania.

W Ventimiglii — pisze Krysia — załadowaliśmy rowery do pociągu. Stojąc w otwartym oknie wagonu chłonęliśmy obraz południowego dnia. Patrzyliśmy na szosę biegnącą brzegiem morza i myślałyśmy, że już nie rozwiniemy szybkości naszych rowerów na jej gładkiej powierzchni, nie rzucimy ich przy drodze, żeby się wykąpać w morzu, ani nie kupimy winogron w przydrożnej winnicy i nie będziemy ich jeść wyciągnąwszy się na trawie albo na nadmorskim piasku: jednym słowem nie możemy już robić tego wszystkiego, co robiliśmy dotąd.

Szorty poszły do plecaka, buty kolarskie też. Bardziej cywilizowane szaty — troskliwie wiezione przez mamę, z którą spotkałyśmy się jeszcze w Cannes — nareszcie znalazły zastosowanie. Skończyły się dni pełne po brzegi wrażeń, zmęczenia, radości, zdobywanej przestrzeni, słońca, winogron, dni pełne widoków coraz to innego krajobrazu, innych ludzi, pogwarek po gospodach, kończące się mocnym, twardym snem i wschodzące nazajutrz białym szlakiem nowej, nieznanej jeszcze drogi.

Szwajcaria — po tym całym świetlistym zgiełkliwym południu, wydała nam się zadeszczona, szara i ponura. Tili robi się nieswojo; ma tu zostać cały rok; lubi gwar i ruch, a tu tak cicho; cicho i szaro. We Fryburgu przekazujemy ją przełożonej internatu szkolnego, mieszczącego się w uroczym położonej willi „Beata”.

„La Reverende Mere Superieure” przyjmuje nas w małym salonie. Informuje się, czy Tili ma welon do kaplicy i jak stoi z angielskim (welonu nie ma, a z angielskim wcale nie stoi). Prosimy „Reverendę”, żeby pozwoliła Tili przenocować dziś jeszcze z nami w hotelu i jutro rano odprowadzić nas na stację. Wielebna niepokoi się: jakże ona sama przejdzie z dworca do

„Beaty” (o kilka ulic) ?! Żadną miarą nie chce się zgodzić na ten niebezpieczny wyczyn i oświadcza, że przyśle zakonnicę, która ją przeprowadzi do willi.

Spojrzałam na Tili. Siedziała z miną tak żałościwą, że omal nie parsknęłam śmiechem, ale zamroziła mnie dostojna mina „Reverendy”.

Tak więc niebożątko, przerażowawszy tysiąc czterysta kilometrów po nieznanych drogach obcych krajów, została uroczyście przeprowadzona przez trzy kwartały Fryburga. Kiedy wczesnym świtem wyjeżdżałyśmy z tego najciotliwszego z miast, noc granatowiła. Wagony pełne były żołnierzy w bojowym rynsztunku, jadących nad granicę, peron przepętniony płaczącymi kobietami i ryk syren nad tym wszystkim (próba obrony przeciwołotniczej).

Za to dla Królika teraz dopiero poczęła się turystyka jak należy: z jedną dobrze urodzoną dziewczicą, umieszczoną w solidnym custodium, z drugą panną na wydaniu w jeździe „do wód”. Bez czekania, latania, trampowawania, telegrafowania, leczenia, obszywania — dobrze znajomymi szlakami tragarza, kartki hotelowej, agencji podróżniczej i Baedekera. Zmożony przygodami Pyton zdawał się cieszyć nawet tym burżuazyjnym życiem i jedyny duch oporu był reprezentowany przez rower, którego kolega pozostał wraz z Tili. Bydlę nudziło się w wagonie towarowym i na każdej granicy wytaczało się z tysiącem celniczych kwestii. Zmiędlona przez celników Mama, paździerzająca się kwitami opłat cłowych, błagała, żeby dotować ten przyrząd na najbliższe szlachetne cele, ale Pyton dramatycznie pytał, czy i ją, Pytona, mogłaby matka porzucić, no i za scentrowany wiatropęd na następnej granicy znów należało płacić.

Stanąwszy w Wenecji wieczorem, ujrzawszy na ścianach hallu hotelowego fotografie różnych distinguished visitors od dagerotypów począwszy, uczuła Mama ulgę na widok hiszpańskich bródek, spodni pepita i pań kąpiących się na Lido w majtkach do pół łydki, z bufami na ramionach. Krystyna, której trzymały się już tylko resztki potłuczeń, poczuła powracający duch inicjatywy i proponowała nocną „włóczęgę po zaułkach”, ale cóż Królik... „każdą zabawę zepsuje” — co było raz na zawsze zgodnie ustalone między dziećmi i Kingiem.

Im bliżej do Polski — tym bardziej znów nabiżała się wojna. Okazało się, że z Budapesztu nie ma połączeń kolejowych; dzięki poselstwu turystki dostały się na samolot. Dodatkową emocją dla maminego serca był Węgier poznany na przyjęciu w poselstwie, który się oświadczył całkiem formalnie o Krystynę i zjawił się na lotnisku z pękiem białoczerwonych róż.

Srebrny Lockheed szybował nad zwałami chmur i Mama, patrząc przez otwierające się luki na urwiska Tatr, wtulała twarz w kwiaty odrzucone przez prychającą Krystynę. Pytona interesowała jeszcze nade wszystko technika lotu, i róże nie przysporzyły jej emocji. Za to Mama była sploniona i przeżywała nawrót dziewiczego wzruszenia. Cóрка, to ziele zielone, „fasola” hodowana najdziwaczniej przez Tatę, wywieziona zaraz po maturze, zdążyła wdziąć niektóre pomaturalne szmatki dopiero w Budapeszcie. I nagle z trampa z poobcieranymi kolanami wyłoniła się osiemnastoletnia kobieta z pierwszym dorosłym sukcesem.

Tata podążył na spotkanie turystek „za miasto pod słup na wzgórek”, to znaczy na lotnisko. Chwycił w objęcia wysiadającego z luku nie „dudka”, któremu się wiecznie wygrażało „kocim ogonem”, tylko zgrabną panienkę w kostiumie tailleur.

— Tatusiu, nasz towarzysz podróży — przedstawiła gramolącego się z samolotu pana — prezes związku eksporterów cytrusów w Palestynie, zaprosiliśmy go na obiad.

— Koci ogon — mruczy nieco zbity z pantałyku Tata. — Bardzo nam będzie miło — zwraca się do cytrusowca.

Tata nie może pierwszy raz w życiu nadażyć wzrostowi hodowanego ziela. Dotąd była jedna radość i zabawa. Szedł z tymi dwoma Dudkami przez życie jak na spacer, trzymając je za rączki, ciesząc się z nowych dowcipasów, nowych narastających pojęć.

Aż tu — nagły skok. Na nowo otworzonej karcie już nie figurował tenże „Krasnoludek”, tylko panna w kostiumie tailleur. Tak niedawno jeszcze grzmiał ojciec przez telefon do Vichy: „Basta... koci ogon... zabierać dzieciaki z tej rajzy”. A tu „dzieciak” przedstawia okrągłym ruchem znajomka, którego zaprosił na obiad, a tu nie jest już dzieciak — tylko panna.

Było tak ojcu, jakby skończył jedną część zamkniętego cyklu powieściowego i miał odczytywać na świeżo drugi, który właśnie powstaje pod zapisującą ręką życia.

Przyskrzybiony u zakonnic Chłopiek-Roztropek złamał pióro, więc Krystyna objęła końcowe felietony.

Mój rower odpoczywa — kończyła cykl — dobrnął w końcu do Warszawy okrężną drogą przez Wiedeń, bo droga przez Czechosłowację była zamknięta. Zwyciężywszy i polskich celników, przyszedłam do przekonania, że nie ma granic, przez które bym go nie przeciągnęła.

Teraz stoi bezużytecznie koło wieszaka. Przechodząc, patrzę na niego z dumą; maleńkie dynamo (u nas nie ma takich), reflektor o szlachetnym kształcie, po którym ślizgają się podługowate błyski, siodełko pociemniałe od deszczu. Ma minę rasowego włóczęgi.

Domownicy potykają się na nim i narzekają, że przeszkadza. A on czeka do lata. Niech tylko słońce przygrzeje, wyjadą na stół mapy. Zacznie się mozolne wyliczanie kilometrażu, plany i marzenia o nowej włóczędzie.

Plany i marzenia o nowej włóczędzie... Już nie miały się spełnić nigdy. Przyszły jednak granice, przez które nie potrafiła Krysia rowerem przeciągnąć — kiedy wyruszyła na nim w Powstanie.

Jakże zielono w Gołańczy!

Miało być owo „poddasze” studenckie na rolnictwie w Poznaniu, miała być sroga nauka. Tymczasem Mama znowu nakierowała w inną stronę. Najprzód umieściła jedną córkę u nowej, zagranicznej edycji „zakrystianek”, a teraz z Krysią... Zawsze tak było, że King huczał i fukał, i panował, a Królik zrobił, co chciał.

Kiedy w ostatnim roku przed maturą King zaprowadził Krysię w wykombinowanej w tajemnicy przed matką sukni z czarnej mory na bal dziennikarzy w „Adrii” i wrócili w stanie znamionującym, że nie poszli „na mleczko ni kawę”, Królik wybuchnął rozpaczami, że już jedno z marzeń uciekło: jak to zaprowadzić córkę „na pierwszy bal” w tiulowej sukience z bukietem fiołków. Potem Królik był na jakimś filmie, na którym młode dziewczęta jadą na rowerach w rozkwitającą wiosnę, ptaszki siedzące na drutach telegraficznych układają im się w kształt nut; dziewczęta, ptaszki i ziemia poczynają śpiewać.

Tak o tej wiosnie i o tych ptaszkach, i o tej wiosnie, i o ptaszkach... I o bukietu, i o koktajlach w „Adrii”, że brrr... I znów o wiosnie i ptaszkach... No i ani się spostrzegł zdumiony pan domu, jak Krysię wywiozła, zamiast na „poddasze studenckie” — do Jodańc.

A tam wszystko — jak za nieboszczki pani Szwoynickiej. Daleko od „Adrii”. Na dworcu spotkał je Tadzik Kognowicki, śliczny chłopak jak trzcina, harcmistrz polskiego harcerstwa na Litwie. Przyszedł witać „koroniarkę”, ale zobaczył pannę w kożusku nie pokrytym sukniem, z warkoczami po kolana. Mama cieszyła się, patrząc na nich, na najdelikatniejszą pierwszą wiosnę i śpiew ptaków.

— Panna Regina widać spóźniła się, bo gruda; zamówiła hotel, mama czeka z obiadem.

— Ależ my chyba bezpośrednio pojedziemy do Jodańc, żeby nie jechać za ciemna przez Uźledzką Górę.

Tadzik spojrział na Krysię, a Krysią, zwykle namiętne rwąc się na wieś, stoi cicho, nie przyłącza się do Mamy.

— W każdym razie proszę zapamiętać; telefon du-sze-szi-asztoni-kieturi-kieturi.

— Ha! — wpada do hotelu Reginowa — spóźniłam się, mam świniobicie. Co? Obiad?... nie dostaniecie obiadu w Jodańcach... Przecie świniobicie, wszyscy potracili głowy.

Przydało się du-sze-szi-asztoni-kieturi-kieturi.

Była wreszcie — u siebie.

Magiczne słowo — „u siebie”.

Kiedy po dzieciństwie spędzonym w kobiecym otoczeniu u babki, jako ośmioletni chłopiec po raz pierwszy przywieziony zostałem do osieroconych męskich Kalużyc i wzięty na polowanie na kaczki, i kiedy gajowi, okręcając mi ramię łapci, cieszyli się, że „panicz przyjechał na swój majontek” — poczułem, że właśnie tu jestem na miejscu, w tych torfowiskach, między mgłą i brzoźami na sapowatej ziemi.

W dwadzieścia lat potem, kiedy już po rewolucji rosyjskiej z ganiań za sprawami powstającego państwa polskiego, z biednego mieszkania na Elektoralfiej przyjechałem do Jodańc, też zdziwiałych, zbiedniałych, tkwiących na resztkę z reformy rolnej, mających dokoła zubożonych nowych ludzi, dygnitarzy litewskich, od których byliśmy zależni — stary rządca, który wychowywał mnie jako dziecko, kazał mi na Boże Ciało prowadzić celebrysa pod rękę. Stara ławka kolatorska jeszcze tak samo służyła i zbiedniały wymiotek ze światów wiódł proboszcza pod baldachimem w woni kadzideł, po kwiatkach, które sypały dziewczęta w bieli. Nikt się nie dziwił, nie potrzebowałem się wykazywać, stawać do żadnych współzawodnictw. Byłem — u siebie.

I kiedy, po następnych dwudziestu latach, Krysia przyjechała do Jodańc — wciąż jeszcze była „u siebie”. Na łąkach nad Niewiażą obozowali harcerze. Kiedy wartownik meldował: „Tadzik, jakaś panna pyta o ciebie” — został ukarany. „Jakaś”. Nie jakaś, a z Jodańc. I zarazem — z wymarzonej Polski.

Siedzieli do późna w noc przy ognisku kręgiem pod mrugającymi gwiazdami i śpiewali ad hoc ułożoną piosenkę, jak mają sobie cenić ten dzień:

Bo tu siedzi między nami

Panna z Polski (!) z warkoczami... (!)

Gorzej było w tej nudnej Szwajcarii. Listy z niej przychodziły codziennie — listów ze wsi w Polsce nie można się było doprosić. Ich autorka pisała, że sama się dziwi — że tak solidnie pracuje.

Rodzice dziwili się niemniej.

Okazało się, że leniuszydło, które tańczyło, śmiało się, jeździło konno i czego tylko mogło nie robić, to nie robiło, i gdzie się mogło neronić, to się neroniło — wpadło w atmosferę kosmopolityczną burżuazyjnych panien z całej Europy, zjeżdżających z kuframi sukien, wymakijazowanych, wypielęgowanych. Czuła się między nimi jak szara mysz, niedociągnięta i niedoubrana. Zaczęła pracować na Uniwersytecie Fryburskim najpierw „na złość”, a potem naprawdę. Ojciec de Muynunck, filozof, dominikanin (po którym obecnie katedrę objął ojciec Bocheński), ogromnej szpetoty i wielkiej promieniującej dobroci, gruntownej wiedzy i uduchowienia, otwierał przed uczennicą państwowego gimnazjum Klementyny z Tańskich Hoffmanowej horyzonty, o których pojęcia nie miano w „Klubie Trzynastki”. Elegancki, dynamiczny, nieco afektowany profesor Cherix, wykładający literaturę francuską, na przykładzie Maria Jose de Heredia wykazywał, jak jeden drobny tomik może być rezultatem życia i otwierać drogę do palm akademickich. Od starych prowansalskich poetów po Verlaine’a i Baudelaire’a szła po nie kończących się kręgach drogą nabijaną srebrnymi światłami.

— Czemu tak pracujesz? — powściągała matka przełożona. — Czy nie uważasz, że czas odnowić permanente? Takie masz blade usta — czyż nie powinnaś ich podkreślić pomadką?

Skoro jednak kandydatka na debutantkę, która miała wyjść spod fachowej opieki odpowiednio katolicka i odpowiednio sexapilowata, nie wykazywała w pożądanym kierunku dostatecznych postępów, La Mere Superieure doszła do konkluzji:

— Tak, rozumiem, czemu tyle pracujesz; bo wy, Polacy, jesteście narodem na dorobku.

Na dorobku? Trzydzieści sześć milionów? Chrobry... I właśnie ambasador Łukasiewicz ogłosił kilkudziesięciostronicowe dzido zatytułowane Polska jest mocarstwem. Odsiecz Wiednia... I właśnie polityka mocarstwowa i powrót Zaolzia, i ukorzenie się Litwy, która musiała otworzyć granice... I Konstytucja: 3 Maja... I ten Staszek, który jest w zenitówkach, i Piotruś, który fabrykuje aeroplany... Dobry sobie ten babsztyl ze swoim „na dorobku”.

Dawniej, kiedy przykrość spadała, biegło się przytulić do Mamy. Mamy nie było, a zresztą nic by tu i Mama nie pomogła. Gdzieś trzeba się przytulić do Polski, nie tej mocarstwowej, ale i nie tej, co kozy pasie w pojęciu arystokratycznej wychowawczyni. Do jakiejś Polski prawdziwej. Ale gdzie jej szukać, kiedy za wielka i za bliska — nie objąć jej prawdziwej prawdy przez żadne „Trzynastki”.

Paderewski koncertuje w Lozannie. Pojechać!

Owszem, pozwolą pojechać, ale w asyście zakonnicy, która odsiadywała ze szlachetnie urodzonymi pupilkami wykłady uniwersyteckie, nudząc się jak mops. Złośliwi koledzy, urządzający pod internatem księżycowe serenady i wywołujący ku rozpaczcy zakonnic do okien wszystkie głowy, ulitowali się nad strażniczką cnoty i w miejscu, w którym zwykła siadywać, wycieli kozikiem na pulpicie dobroduszną radę:

Petons pour nous distraire.

Szapron-koczkodan, któremu z wściekłością w sercu panna z marsylskiej spelunki miała obecnie zafundować bilet kolejowy i bilet na koncert, nie mógł sobie skracać chwil przeczekiwania koncertu, idąc za tą radą, bo koncert odbywał się, bądź co bądź, w miejscu Bogu poświęconym: protestancka katedra spowita w szarość po strop, tylko tam, gdzie ołtarz, na wyniesieniu — fortepian. Kiedy Paderewski wszedł, nie rozległ się ani jeden oklask, wszyscy powstali. Kiedy ukończył, znowu powstali w milczeniu.

Wracała z koncertu „zadośćuczynienia”, żując w sobie bezsilne myśli, jak by tu zaszachować „Reverendę” tym koncertem. Ofiarami tego bezsilnego wrzenia padły wszystkie Polki w Holy-Child — dwie Psarskie i Baczyńska. Dziewczyska musiały uczyć się śpiewów, wierszy i wywijasów, a ich Taty dosyłać ekstra forszę na kostiumy. Wreszcie odstawiły „Wieczór polski”, na którym zziajana inicjatorka musiała być i aktorem, i akompaniatorem do jakichś mozolnie wypichconych po francusku „okrętów strzaskanych”. Audytorium zebrało się pour se distraire, nic nie zrozumiało, ale było zadowolone.

Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Tili na Święta Bożego Narodzenia miała jechać z koleżanką, Amerykanką, na narty do Chateaux d’Oex, ale już na miesiąc przed feriami Bożego Narodzenia zagęszczały się listy opiewające rozkosze domowego ogniska, pilność pewnych spraw w Warszawie i wysławiające taniość jakichś biletów powrotnych. King puszczał to wszystko mimo uszu, aż po tym wyczynie patriotycznym Królik orzekł, że jego sprawczyńi musi zobaczyć Polskę, w której „tak dużo przez czas jej nieobecności się nadziało”. Betty, Amerykanka, też znalazła się w kropce, zwichnęła nogę i nie mogła nartować.

No i naturalnie stało się, jak zawsze w sprawach dzieci, to, co chciał Królik: przyjechały obie — Tili i Betty.

Na dworcu oczekiwał Tata w fokowej czapce, która wywoła entuzjazm Betty. Zatkaną ją Sergiuszem Piaseckim w angielskim tłumaczeniu to make her feel at home — tematem gangsterskim, a w domu — befsztykiem szczegółowo zadysponowanym jeszcze listem ze Szwajcarii. Po obiedzie Tili — koń siedemnastoletni — wgramoliła się Mamie na kolana, a Betty rozejrzała się za naczyniami do mycia.

Tę Amerykaneczkę — po amerykańsku wesołą, po irlandzku romantyczną — poczynając od tej czapki futrzanej i naczyń, których myć nie trzeba, czekało w Polsce szereg zdumień.

Nasze dziewczęta się trapiły, że Polska wyda jej się zbyt uboga. W te pędy poprowadziły ją pod „Prudential”.

— Tylko czternaście pięter?

— Ale tam pod ziemią jest dwadzieścia pięter — poszła po rozum do głowy polska koleżanka. — To ze względów obronnych.

— Oo... tego u nas nie ma. — Betty musiała się poczuć pokonana.

Remedium jednak generalnym na wszystkie braki Polski okazały się chłopaczydła. Dużo tego było, wszystko dobierane jak orzechy i wszystko się zleciało na przyjazd szwajcarskich panien.

Polskie koleżanki nauczyły pośpiesznie Betty wszystkich najpotrzebniejszych, Tata zaś — wszystkich najmniej potrzebnych zwrotów polskich. Z tego konglomeratu wychodziły na przykład takie rozmówki:

— Czy pan mufi po francusku? — skrzeczy jak maszynka nauczona Betty. — Czy pan mufi po angielsku? — Czarnooki Lutek, okazuje się — „nie mufi”.

— Czy pan umie mufić bez słów?

— Oo — entuzjazmuje się Lutek — umiem.

Wspaniale mówiła ta młodość bez słów. Betty już nawet poczęła śpiewać żurawiejki.

Uginała się pod terrorem różnych tajemniczych coutumes nationales. Niektóre były wcale przyjemne, na przykład całowanie rącek. Amerykanka bardzo się strzegła, by nie urazić gospodarzy niestosowaniem się do obyczajów miejscowych, i należało chronić ją przed szantażem chłopaków, którzy żądali od niej w imię obyczajów narodowych najniemożliwszych rzeczy.

Pewnego ranka Mama znalazła ją w łóżku, trzymającą się za brzusek.

— Co ci jest, Betty?

— O madame, ce coutume nationale...

Dziewczynki uważały za obowiązek zaznajomić Betty kolejno ze wszystkimi potrawami, i poprzedniego dnia były kołduny. Chłopcom udało się niepostrzeżenie wytłumaczyć, że jest to tradycyjna potrawa, której dwa tuziny musi zjeść gość po raz pierwszy wchodzący w progi domu, jeśli nie chce obrazić gospodarzy.

Betty zadomowiła się doskonale i co wieczór w Mamy sypialnym odstawiała przed pójściem spać śląskiego trojaka z pannami domu, wyśpiewując:

Zasiali górale żyto, żyto....

Ale najbardziej ją oszołomiła polska wieś. Najprzód u Lechnickich. Janczary... sanki... dachy słomiane... łapki zajęcze po śniegu... tańce sąsiedzkie z pohukiwaniem... marymonckie figury... odbijany... picie wina na klęczkach, chusteczka...

Dopiero kiedy zagrano tango, jasnowłosa glamorous girl z czarnymi oczami czuła się w swoim żywiole. Ku zszokowaniu ciotczynej kanapy tańczyła obyczajem amerykańskim cheek to cheek — przytulając policzek do policzka. Aż Felek Lechnicki delikatnie odsunął ją w tańcu i powiedział po ojcowsku: „Nie tak, mademoiselle; nie w Polsce”. Trudno jest ogarnąć te wszystkie coutumes nationales...

Z rana Betty czesze przed lustrem włosy i mówi z rozmarzeniem:

— Cze-len-czina!...

Zwraca do polskich koleżanek głowę:

— Jakież piękny wasz język!... Jakież to piękne, upajające słowo.

Okazało się, że Tadek Rzewuski wytłumaczył jej, że to znaczy: „Kocham ciebie!...”

Przy Wilii wyciągnęła spod obrusa źdźbło siana z pięcioma odgałęzieniami. Panna Michasia, rzeczoznawca od wszelakich Andrzejek i wróżb, bezapelacyjnie orzekła, że znaczy to, że będzie miała pięcioro dzieci. Wiotka Betty skurczyła się na tę prognozę (w chwili kiedy to piszę, będzie miała za miesiąc czwarte).

Kiedy wyjeżdżały na stację w Rejowcu, odprowadzający Felek poczuł się zaniepokojony wrażeniem, jakie Amerykanka może wynieść z biednej Chełmszczyzny:

— O — wskazał ręką na czyste pole — tu się mieszczą olbrzymie bloki kompleksu fabrycznego.

— Nic nie widzę.

— Ze względów obronnych nasze fabryki są chronione przez specjalny wynalazek. Oficer mówi: „Obłok — raz!”... i już nic nie widać.

— Oo!... — zdumiewa się Betty.

W Poznaniu w pałacach bogatego ziemiaństwa czekają ją nowe zdumienia. Kręci się zerkając, czego chce od niej może lokaj stojący w czasie obiadu za krzesłem. Będąc w parę miesięcy potem u jej rodziców w Filadelfii, wykryłem, że panna w liście pisała: „Służba w Polsce podaje potrawy na klęczkach”. Żał tylko miała, że jej nie uhonorowano śpiewem łabędzim. Okazało się, że w Turwi Chłapowskich pokazywano jej łabędzie i informowano, że

coutume natiomle każe na cześć gościa zabijać łabędzia, aby dać usłyszeć gościowi przedśmiertny śpiew ptaka.

Kiedy w przechowalni tramwajowej oddano jej zgubiony portfel z dolarami, a w Zbąszyniu na stacji zapomniany w wagonie płaszczyk, i kiedy zawiadowca w czerwonej czapce nie chciał wziąć... napiwku (a przecież cały czas ją uczono, że się daje napiwki), ale natomiast ucałował w rękę — wyjechała ze szczęśliwym zamętem w głowie.

Kinga przed samą wojną zanosła do Stanów Zjednoczonych jako delegata na Kongres Pen Clubów.

Tłum na Broadwayu stanął zmrożony, kiedy na drapaczu „New York Times” pobiegły litery wieszczące wkroczenie Hitlera do Pragi.

Na Kongresie przewodniczący Jules Romains jeszcze bronił, jeszcze usprawiedliwiał ludzi Monachium. Ale Kongres już przepływał pod znamienym znakiem zapytania: „Wieża z kości słoniowej czy skrzynka do mydła?” Na przysłowiową skrzynkę do mydła dla wygłaszania agitacyjnych przemówień już nie było dane wgramolić się literaturze.

Wszędzie panowała konfuzja.

— War is European business — mówili Amerykanie na rautach do europejskich gości. Dając wedlowską czekoladę pani Roosevelt od moich dziewczynek, mówiłem, że czuję się w Białym Domu jak u sąsiada na wsi, podczas gdy na audyencji u Horthy’ego, władcy czegoś nie większego niż pół New Yorku, czułem się zmiażdżony pompą. Pani Eleonora roześmiała się:

— Ma pan — pokazała list, w którym jakaś gospodyni z wycieczki z Texasu gromi ją srogo:

„Pani Roosevelt — zajrzałam u was do centralnego ogrzewania i pobrudziłam suknię. Zamiast robić politykę, lepiej by pani pilnowała, żeby w domu męża nie było brudno.”

Potem samotny głos Becka powiadomił przez radio, że nie mamy honoru na zbyciu.

Studwudziestoletni Polak w obierzach farm polskich na wydmuchach Wisconsin, który przybył do Stanów jeszcze żaglowcem, gdy mu powiedziałem, że w jego rodzinnej Gołańczy gniazdo bocianie mieści się na tym samym drzewie przy kościele, wołał z łóżka trzęsącym się głosem do stuletniej żony:

— Żono, żono, ludzie z Gołańczy przyjechali!

Toller, emigrant niemiecki, który w swoim czasie, po pięcioletnim więzieniu, zakończył książkę słowami: „Włosy mam białe; nie czuję się stary” — teraz się załamał. Tłumaczył mi w ciszy weekendu, że pisarz wyrwany z gruntu — kończy się. W trzy dni po tym weekendzie odebrał sobie życie. Jakaś tam jego Gołańcza okazała się ważna.

Do tej polskiej wielkiej Gołańczy wróciłem po czteromiesięcznej nieobecności na dwa miesiące przed wojną. Chciałem oblecieć jeszcze ostatni raz morskie kąty Polski. Bociek wciąż miał swe gniazdo pośrodku najruchliwszej ulicy w Gdyni, jak przed laty, kiedy tu było obejście gospodarza Gruby. Było jasne, co tu się stanie. Na Oksywiu zaaresztowano mnie za fotografowanie. Było jasne dla chłopców z Jastarni, którzy przymaszerowali na przystań w dwadzieścia kilka struganych z drzewa karabinów pod dowództwem dwunastoletniego podporucznika. Nie było jasne dla pana Błęszyńskiego, zajętego budowaniem na Jastrzębiej Górze elektrycznego dźwigu, który by przewoził gości wprost z plaży do hallu hotelowego (pod hotel nie zaczęto kłaść jeszcze nawet fundamentów).

Tili do Holandii, gdzie była u koleżanki, posłałem jeszcze z Kopenhagi kilkaset dolarów i list, że na pewno wojny nie będzie. Może nie połapie się i zostanie w Holandii.

Do Warszawy jechałem, czując się, jakbym wirował w kalejdoskopie: halabardnicy Horthy’ego, parówki Rooseveltovej, Gołańcza chłopca z Wielkopolski, Gołańcza Tollera i

Gołańcza chłopców z Jastarni, i Gołańcza Becka, amerykańscy Błeszyńscy, propagujący Święto Gór.

My, literaccy Błeszyńscy, przygotowaliśmy na jesień uroczystości Słowackiego w Krzemieńcu, a w międzyczasie zjazd polsko-litewskich literatów w Kownie.

Przywiozłem autobusami do Jodańc trzydziestu polskich i trzydziestu litewskich kolegów na konkurs jedzenia kołdunów. Kołduny przygotowywała stara Kazimierzowa, od której Stasiuka, jako dziecko, otrzymałem niejednego guza. Stasiuk wyemigrował do Ameryki, pisałem więc o jego adres: „Musi na kont stancii” — domyślała się Kazimierzowa.

Pijąc zdrowie litewskich gości, cytowałem starą pieśń z wojen z Krzyżakami :

Perkmie, Dewajtie,
Ne musk Žermjtie,
Musk tiptajp Guda
Kajp szuniruda.⁵

Ale nie łaszczyli się na te grunwaldzkie podszczuwania. W muzeum kowieńskim litewski przewodnik uświadomił nas, że to Wielki Książę Witold się bił, podczas gdy spolacony Jagiełło przez całą bitwę się modlił. Patrzyli wilkiem i pili wodę.

Z okna, przez które w powstaniu w 1863 roku wyskoczył ranny w rękę wuj Korejwa przed rewizją kozacką, teraz prezes Litewskiego Związku Literatów, Ludas Gira, odbierał rejestrowane kołduny. Otrzymał pierwszą nagrodę z rąk naszej konsulowej. W rok potem był komisarzem na Litwie. Zamęt był w każdej Gołańczy.

⁵ Perkunie, bożku,
nie bij Żmudzina,
bij Germanina
jak psa rudego.

Wykorzenianie

Lawa

Myślałem, że ten nieszczęsny czas spotkają tylko rodzice. Okazało się, że nie ja jeden ściągnąłem na wojnę.

Krysię pożegnałem, opuszczając Litwę, kiedy konno odprowadzała nasz autobus, Mažas paukstelis an diedlio žargas⁶ — powiedział któryś z Litwinów. Zapamiętywała się tą swoją wierzchówką, jeszcze tej klasy konia nie miała w życiu, zachłystywała się wsią — może nie zdąży na wybuch?

Zdążyła. Spozregła się. Przyleciała do Warszawy aeroplanem 31 sierpnia wieczorem. Na drugi dzień rano obudziły nas bomby. Radio nadawało gimnastykę.

W czasie nalotu wszyscy z biura wojskowego zbiegli do piwnic. Zobaczyłem dwie dziecinne łydki i dwa grube warkocze — mała skautka przydzielona do służby pomocniczej, której kazano robić jakieś napisy, leżała na brzuszku i wywodziła litery na rozłożonym arkuszu.

— Proszę na dół.

Pyzata buzia spojrzała na mnie z wielką powagą:

— Przecież to pilne.

Tyle od tego czasu stało się strasznych rzeczy. Nie wiem, czemu stale prześladuje mnie myśl o właścicielce tych klockowatych łydek wypoczwarczającego się dziecka. Gdzie i kiedy zginęła?

Roje ich widziałem na drugi dzień, objeżdżając rejon obrony miasta. Ciągnęli jakieś kubły z wodą dla żołnierzy, pracowali po cyrkułach policyjnych nad aktami mobilizacyjnymi, przyszłe Szare Szeregi. Rad byłem, że choć jednej mojej nie ma. Już nie dojedzie. Jeszcze 25 sierpnia posłałem jej list, że wojny na pewno nie będzie. Wierzyła zawsze ojcu. Decydowałem się nadużyć to zaufanie.

Na drugi dzień wojny fotografowałem dom rozwalony przez bombę, zabitego kota i jakiś landszaft wyniesiony z pogorzezi. W artykule wstępnym pod tytułem: Życie i śmierć, który już był złamany w ostatnich w Polsce „Wiadomościach Literackich”, ale już się nie ukazał — ten kot zabity i ten bohomasz widniały odbite jako dokumenty strat i krzywdy.

W nocy zbudził mnie cichy płacz. Matka siedziała na łóżku i kiwała się w bólu: „Moje dziecko, moje dziecko”. Powiedziałem: „Chcesz, żeby tu była? Tu będzie — Serbia”. A przecież przez całe te dwa dni zrobiłem szereg prób umożliwienia jej powrotu. Powrotu tego nie chciałem, ale liczyłem się, że kiedyś zażąda ode mnie rachunku. Niekonsekwencja. Wiele było takich.

Czwartego dnia, wracając do domu, posłyszałem radio. Namaszczone antyniemieckie inwokacje. Nagle uświadomiłem sobie, że to kabotyństwo nudnie ciurkające pod trzask bomb to wyjątek z Na tropach Smętka. Skurczyłem się w sobie. Nie czułem, żebym mógł coś komuś dać, nie mając wiary. To chyba bardzo źle z nami — jeśli w ten sposób szukają moralnego oparcia.

Nagle rozkwieciło się, rozjaśniło w pokoju. Posłyszałem stuk drewnianych sabotów — po chwili obejmowała mnie Tili. Przyleciała przez Szwecję, jedyną wolną drogą. Nie zastawszy nas, głupi dzieciak przebrał się w kostium holenderski, by rozproszyć ciężkie nastroje. Tak to sobie wymarzyła powrót — jak ten kiedyś Krystyny w stroju poleskim. Właśnie wróciła matka. I kiedy brzmiały działa przeciwlotnicze, drewniane saboty odstukały nam jakiś radosny taniec z epoki, która już przeszła.

Tak stulił się pęk listkami powitań. Teraz listki miały się odrywać — pożegnaniami.

⁶ Taki mały ptaszek na takim dużym koniu.

Pierwsze pożegnanie było w Lublinie 9 września, kiedy po zalanych szkłem ulicach, pośród leżących trupów biegliśmy z żoną do zdarzonej okazji — do samochodu! — Miała rozkaz ze swego Przysposobienia Wojskowego Kobiet udania się do Lwowa. Pożegnanie było krótkie i na sześć lat. Ręka z auta zrobiła, odwiecznym ruchem, krzyżyk w powietrzu. Nie powiedziałem jej o radio niemieckim z Wrocławia, którego wysłuchałem poprzedniego dnia: że jestem w Lublinie; że pojadę za rządem; że mnie złapią „tropami Smętka”.

Kurów, gdzie tego ranka miałem dołączyć do brygady pancernej Roweckiego, zastałem w gruzach. Brygada wymaszerowała w nieznanym kierunku. Wróciwszy do Lublina, już nie znalazłem nikogo z władz. Ruszyłem, jak przewidywali Niemcy, na wschód, szukając okazji, bo mój wóz został unieruchomiony na lubelskiej szosie. Byłem rad, że ta pierwsza okazja — to samochód do Święcicy. Dzieci tam były. Miałem je wtedy zobaczyć w Polsce ostatni raz.

Święcica była przepełniona uciekinierami ciągnącymi na wschód. Dom Święcicki, głuchy na odgłosy kanonady armatniej, już dochodzącej znad Wisły, uparcie traktował to wszystko jako gości. Obiady dawano na trzy zmiany, starając się nastarczyć serwetek i przyzwoitych deserów. Co rano Zdzisław Lechnicki z ręką na temblaku, ranny odłamkiem bomby w Chełmie, wychodził przed ganek. Ładującym się do koczobryków oszalałym ludziom mówił:

— Cóż państwo nas tak prędko porzucają? Myśleliśmy, że pobędziecie choć kilka dni.

Wieczorem nabiżały się jakieś nowe tabory z wysoko wypiętrzonymi pierzynami, z uwiązanyimi krowami, i Zdzisław wygłaszał orację powitalną:

— No, nareszcie zdecydowaliście się nas odwiedzić. Wybieraliście się jak sójki za morze.

Zdzisław uparcie powtarzał, że front trwa, że sytuacja opanowana, a na argumenty, że słyszać działa, przytaczał bardzo skomplikowane teorie akustyczne.

Tam nastąpiło drugie oderwanie listka — pożegnanie drugie. Z Krysią. Siedzieliśmy wieczorem w altance; jutro rano miałem ruszyć. Mżyło ostatnie światło, ale wciąż widziałem wyraźnie jej twarz. Uprzytomniłem sobie z całą świadomością, że może to po raz ostatni.

Ratowanie się

Rankiem Tili odwiozła mnie na szosę. Miała kłopoty ze źle podkutą kłaczą. Te kłopoty górowały na dzisiaj, bo jutro jechała na służbę do szpitala polowego. Kiedy stanęliśmy na szosie, wydobyła z bryczki swoją ukochaną maszynkę do pisania — „Hermes Baby”:

— Weź ją, tatusiu, może coś załobisz...

Wiedziała, że mam tylko sto złotych. Nacieplone jeszcze z dzieciństwa „ł” zawisło w powietrzu na pożegnanie. Wymachując blaszanką z benzyną, skusiłem jakiś przepełniony samochód. Uwiesiłem się. Pojechałem.

Okazje ciągle się rwały. Ludzie wszystko robili, by mnie pchnąć dalej. Ludzie nieznani i najbliżsi. Czytelnicy. Z tych czasów jestem przytłoczony ciągle świadomością zobowiązania, które mam spłacić pisaniem, i nie mogę.

Do ostatniego cypla Polski byłem w cieple serc. Żywili, ubrali, poprowadzili przez Dniestr. Strzelali za nami. Nad głęboko rwącą wodą Dniestru, dochodzącą do piersi, wzniosłem wysoko rękę z maszynką do pisania.

Na tej maszynce, ociekając wodą, pisałem w pociągu, do Bukaresztu artykuł. Pułkownik oddziału uwięzionego wraz ze mną, któremu jako najstarszemu rangą wskazałem jedyne łóżko, powiedział:

— Teraz nie stopnie wojskowe znaczą, a wy, pisarze.

Z dworca wprost pojechałem do trzech kolejnych redakcji. Ale nad Europą wisiał już strach.

W kawiarniach przewalało się polskie błoto. Do mego pokoiku przychodzili pobandażowani chłopcy — prosto z wody Dniestru i Prutu. Wpierali we mnie palce oczy i pytali — co się stało? Myśmy, przecież, walczyli! Kawiarnie odpowiadały, że Beckowa wywiozła zaszyte w spódnice złoto Rzeczypospolitej. Z żołnierzy kpiono, że uciekali „Szlakiem Marszałka”. Marszałek, internowany w samotnej willi w górach, mówił do późnego zmierzchu do jedyne go człowieka, który się do niego dostał. Ręce jego zaciskały się wkoło poręczy fotela. Głos ciężko wychodził z krtani. Rozróżniłem:

— Mówią, że m tchórz...

Beck w złotej klatce w Braszów, chodząc nerwowo po pokoju, podkreślał, że przecie przemówienie króla angielskiego przez radio poprzedziły tylko trzy hymny: angielski, francuski i polski. Że te trzy narody zasiądą do stołu przyszłej Konferencji Pokojowej. Było jeszcze daleko do San Francisco i w samym środku wishful thinking. Po ośmiu godzinach rozmowy, o drugiej w nocy, przyznał, że jeszcze w lutym sądził, że nawała spłynie dołem Polski, Dunajem na Bałkany. Tak kończyłem oto tę audycję, wysłuchaną, przed dziewięciu miesiącami w New Yorku. Audycję, w której samotny człowiek mówił o honorze.

Żołnierze odpływali; tkwiłem bez możliwości wyjazdu; gorączkowo pisałem Wrzesień zagwiany; po dwóch miesiącach dowiedziałem się, że wszystkie moje kobiety żyją. Przeżyły dwa miesiące dławiącej pustki, poczucia odcięcia od świata. Pierwszy był list Betty. Nie list — rysunek. Nastraszona niezrozumiałymi europejskimi cenzurami, narysowała dziewczę modlące się pod krzyżem. To ona — Betty. Obawiając się używać jakiegoś obcego języka, napisała: „Co pan? Co pani? Co Tili? Co Krysia?” Potem przyjrzała się modlącej dziewczynie, oceniła widać, że intencja nie jest jasna, polskiego zabrakło, więc podmachnęła drobnutko: For Poland.

Mnie mogła śmieiej bombardować listami, których francuski zachłystywał się namiętą angielszczyzną: niech Tili przyjeżdża, na Boga, czeka ją drugi dom rodzinny i zastępczy rodzice.

To zadecydowało. Byłem bez środków. Niech ta mała wprzód się przepchnie.

Krysia pisała:

Systematycznie wysyłamy dzieciaka w Twoją stronę; Królik, popłakując, co dzień pcha jej do spęczniałej walizy jakąś nową szmatkę.

Widać łyzy Mamowe stały się uniwersalnym zabiegiem od moli, bo młodsza latorośl, nadrabiając humorem, donosiła:

Porządkowałyśmy Twoje rzeczy z Królikiem, który rzewnymi łzami oblewał każdą sztukę Twojej bielizny z desusami włącznie. Ja zapatruję się na tę sprawę ze współczuciem acz cynicznie, bo gdyby nie to, że się boję szybkiego zobaczenia i Twoich gromów, to uważałabym, że niektóre Twoje szaty świetnie się nadają na kostium. Nie przejmuj się tym ani w ogóle. Jeszcze wszystko będzie „kuwaka”.

Tirliporek zawsze był ten sam — za nic nie chciała się martwić, zawsze się pocieszała: „Co by to nam skodziło, dobrze, ze sobie pojechali!” i zawsze poradnie rozglądała się za jakąś Wikcią, która „będzie da-ać”.

Wreszcie przyszedł taki dzień 24 marca 1940 roku, kiedy spotkałem na dworcu bukareszteńskim pociąg przychodzący z Rzymu. Przygotowałem dla niej łóżko za szafą w moim pokoju i jakieś smakołyki. Obejmowała mnie rękami, które zdawały mi się jeszcze nieco klockowate, jak w dzieciństwie, ale w tych rękach wyczuwałem obcą sprawność. Dropiate oko strzelało psim figlem, a przecież gdzieś po tej dziecinnej buzi błąkał się cień czegoś, czego nie mogłem zidentyfikować jako zmarszczki ani jako skurczu, ale cień był obcy.

Z jakimże nabojem szczęśliwego dzieciństwa wyniesionym z Domeczku, z jakim zapasem wiary w człowieka po gospodach dla młodzieży weszła w ten straszny okres życia! Patrzyłem — co z tego zostało?

Krysia, kiedy nas ostrzeliwał lotnik niemiecki na drodze do Święcicy, zwierzyła mi się na wpół z niepokojem, że nie umie nienawidzić Niemców. Tili, kiedy do jej szpitala przywieziono pierwszego rannego Niemca, młodziutkiego chłopaka, który drżał ze strachu — gładziła go po włosach i uspokajała. Jej książki, dla tych momentów ludzkich, nie chciano przedrukować następnie w Drugim Korpusie.

Te momenty nie były jednak wynikiem pięknoduchowego wychowania. Tkwiły widać głęboko w psychice polskiej, skoro nie tylko siostry jej szpitala, ale i prości sanitariusze dawali swoją krew do transfuzji — dla jeńców niemieckich.

W rozkisłym Chełmie, w brudnym zalewie, w żydowskich radosnych wiwatach, gniły ciała polskich obrońców. Po dwunastu dniach przyszła okupacja niemiecka i przyniosła nową falę grozy, połączonej z zabijaniem Żydów i wystrzeleniem domu dla obłąkanych, a wraz z nimi czterdzieścioro dzieci zbłąkanych po szosach i odstawionych tam na przechowanie; a sale szpitalne, przepełnione, brudne, walczące z głodem i brakiem już wszystkiego — były ostoją duchową.

Leżeli tam ludzie, jakich mieliśmy najlepszych. Z bitwy na szosie włodawskiej o dwanaście kilometrów od Chełma, z ostatnich walk Kleeberga pod Kockiem. Mieli czyste sumienie, chcieli wierzyć i chcieli się śmiać. Wieczorem Tili klękała na środku sali i rozpoczynała modlitwę.

„Ojczy nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja...”

Krystyna była na wsi. Wuj był ranny, jedna z ciotek chora. Dostojne miny się nie liczyły — to nie wojna pióropuszy. Krysia, wiejski człowiek, wrosły w każdą tu grudę, zbiera toboły; przeprowadza tajemnicze nocne ewakuacje, eskortuje ciotki w głąb, wraca. Osadnik Franciszek Pająk, były żołnierz z pancerki wuja Staśka, któremu Lechnicy nadzielili ziemię, teraz przychodzi na tajemnicze konszachty z Krysią; wozy odchodzące nocą przewożą nie tylko pierzyny, ale i broń.

Pytam o Mamę. Mama — coś tam robiła w swojej komendzie we Lwowie, potem w Krzemieńcu. Potem, kiedy już wszyscy pojechali do Zaleszczyk, dążyła do Święcicy. Okazjami i pieszo. Polami na przełaj. Kiedy dobrnęła do Święcicy, pierwsze jej słowa, nim jeszcze weszła na ganek, były pytaniem o męża. Było tyle wiadomo, że poszedł na wschód. Mama jak kokosz biegała to do Tili, to do Krysi. Kiedy były z Krysią na szosie, samolot niemiecki ostrzelał je z tak niska, że widziała twarz lotnika. Położyła się na Krysi, osłaniając ją sobą. Wyrwała Tili ze szpitala, ale tylko na dzień. Było to 22 września i akurat przyjechał na motocyklu wuj Tadeusz, w mundurze podpułkownika, w hełmie. Poprosił o chwilę rozmowy ze Zdzisławem. Jakiś pułkownik, z tych ostatnich wycofujących się, który czekał z autem na ruchu przed gankiem, otworzył niecierpliwie drzwi. „Zostaję” — powiedział Tadeusz, i pułkownik pojechał. „Starsi oficerowie zawiedli” — powiedziała jakaś pani, uciekiniarka. „Może okaże się, że nie wszyscy” — powiedział wuj Tadeusz i ruszył w stronę kanonady. Zginął w tydzień potem, atakując śpichrz pełen Niemców w swoim powiatowym Janowie. Więc i Tili ojciec chrzestny zginął. Potem okazało się, że Zdzisław powiedział Tadeuszowi, że każda godzina walki ma wartość.

Tili, która opowiadała to wszystko, ma już za sobą szpital, który przechodził głód i nędzę, ma za sobą dwumiesięczną pracę wśród konających, podawanie nocników, zakładanie kateterów, naloty, dramat młodych pokonanych żołnierzy, ma za sobą łyzy, jedyne, jakimi płakała w ciągu tych dwóch miesięcy, kiedy obce wojska, lokując swoich, kazały wyrzucać naszych rannych z łóżek, grozę chełmskich masakr i rozstrzeliwań, gorycz upokorzenia i terror okupacji.

A przecież, kiedy mówi o poległym ojcu chrzestnym, mówi jeszcze jakimś dziecinnyim językiem. Pamiętam, jak tym językiem dziecinnyim uwielbienia mówiła o Tadeuszu, który wracając z polowania, zażądał wody, a one mu nalały pełną szklankę wódki, a on wypił jednym haustem, nic nie dał poznać po sobie i powiedział:

— Dziękuję, bardzo byłem spragniony.

Kiedy przyszli Niemcy, Zdzisław wrócił do rozdrapanego domu. Mozolnie zebrał cztery odzyskane po chłopach konie, kazał zaprząć w lejc, co nigdy przed wojną nie było praktykowane w słomą krytej Święcicy, nałożył białe rękawiczki (wuj Zdzisław) i powiedział, jak zwykle, do Mamy:

— Pospieszcie, bo przyjedziemy do kościoła na gaszenie świec.

Dziwnie błyska te osiemnaście lat wydobyte z gruzów. Wiem, że w czasie silnego bombardowania Tili została jedna jedyna z ciężko rannymi na sali. Że umierający żądali, żeby ich trzymała za rękę — do końca. Czy Sancho Pansa, czy Tiriporek już dorósł, dojrzał, przeobraził się w kobietę?

Nagle mówi, że kiedy był największy głód i wszystko garnięto tylko dla chorych, siostry dla siebie przeznaczyły tylko worek spleśniałych sucharów. Mama, chcąc być bliżej niej, osiedliła się u nieznanomych w Chełmie, otrzymując wyżywienie, z którym było ciężko, w zamian za pomoc w gospodarstwie. Raz zdarzył się jubel — gęś, z której Mamie wydzielono nogę. Przyniosła ją owiniętą w papier.

— I ja... tatusiu... tę gęsią nogę... zjadłam... do końca... Królik mówił, że wcale nie jest głodny, ale ja wiedziałam, że to nieprawda... I zjadłam... do końca...

Usta, jak u małej dawnej Tili, skrzywiają się w podkówkę. A przecież oddawała chorym ostatnie kęsy. Wszystko, co rośnie, zostaje najdłużej zielone — od maminej strony.

Gawła zastrzeliło żołdactwo w nocy. Dowłókł się do domu, położył na progu kwadratowy piernikowy pysk, wilgotnym czarnym, bufiastym nosem dotknął drzwi. Tak go znaleźli rano.

W szpitalu Tili pracowała do końca, aż Niemcy usunęli polskie siostry. Ale już wszystkich niemal swoich rannych wyprowadziła przedtem za bramę szpitalną: w życie lub na cmentarz.

Gdy opuszczała szpital, żegnając się z pacjentami, podeszła do Alexandra — Niemca, którego знаła jeszcze z polskich czasów szpitala. Śliczny dziewiętnastoletni, kulturalny chłopak, doskonale mówiący po francusku. Nasze siostry dawały swą krew na transfuzję dla niego, a Tili poświęciła jego pielęgnowaniu wiele nocy. Żarły ją problemy zaszczerpane wtedy w schronisku La Morte. •

— Przez dwa miesiące dochowałam prawa szpitalnego, nie mówiłam o polityce. Ale odchodzę. Oboje jesteśmy w tym samym wieku, oboje niedawno otrzymaliśmy maturę. Chcę wiedzieć — czy nie jest panu (vous francuskie brzmi mniej oficjalnie) żal tego, coście zrobili w Polsce.

Na wrażliwej twarzy Alexandra odbiła się przykrość :

— Nie, siostró. Nie jest mi ani przez chwilę żal — odpowiedział bez chwili wahania.

Chlorofil

W Warszawie nie było opał i gnieździły się w jednym pokoiku Mamy, tuląc się do siebie w łóżku. Wsuwając się w lodowatą pościel, Tili śpiewała:

Ach, jak przyjemnie kotysać się wśród fal...

Pewnego razu wieczorem zapukano. We drzwiach stał człowiek, którego głowa pokryta była skrzepem krwi. Kazik Kott! Ten, którego łapęć ongiś woziła, ten, który proponował kopanie wody w Australii. Uciekł po rynnę z badania gestapo w Alei Szucha.

Ledwie go odmyto, odpoiono gorącą herbatą i ułożono, pukanie rozległo się ponownie. W tej porze każde pukanie po godzinie policyjnej niesło grozę. W drzwiach jednak stał właściciel sąsiedniego domu:

— Proszę pani, chciałem tylko panią uprzedzić, że panienki są młode, nieostrożne i że za przechowywanie, na przykład ludzi, grozi śmierć nie tylko całej rodzinie, ale i mieszkańcom domu.

Oczy dziewcząt zawisły na matce.

Ale Mama, ten protekcyjnie traktowany w rodzinie „Króliczek”, odpowiedziała:

— Wiem. Czy pan sądzi, że narażałabym własne dzieci?

Obejrzał się podejrzliwie po kątach i wyszedł.

Nazajutrz ściany domów pokryły się plakatami z fotografią Kazika i obietnicą nagrody dwu tysięcy złotych za jego wskazanie. Następnego dnia Mama i Tili, nasadziwszy mu jakiś włóczkowy hełm rzekomo od mrozu, przeprowadziły go na inne schowanie. Jednak nie chciano go tam przetrzymać dłużej niż dobę. I nazajutrz flegmatyczna Marysia powitała wracające do domu:

— Proszę panienki, ten pan, co to na afiszach, znowu przyszedł.

Wtedy wywieziono go daleko na wieś. Zginął po kilku latach.

W dzień wyjazdu Tili — obie siostry poszły na ciastka. Pożegnać się jak za pensjonarskich czasów, kiedy pęczniały w cukierni Pomianowskiego. Potem Tili, już w Ameryce, opisała pożegnanie:

Ostatni dzień w Warszawie. Ostatnie godziny, w które chce się zmieścić wszystko, co nie było powiedziane, tyle nie powiedzianych rzeczy. Ostatnie minuty ważne jak wieczność i prędkie jak strzał.

Było po południu. A gdzieś tam o północy miał odchodzić pociąg do Krakowa, którym miałam wyjeżdżać z Polski. Bezpośrednia linia Warszawa — Wiedeń była zarezerwowana tylko dla uprzywilejowanych członków Herrenvolku.

Szłyśmy Nowym Światem, Krysia i ja, miałyśmy te ostatnie parę godzin już tylko dla siebie. Ostatnia wizyta pożegnalna była już odbyta, wszystkie formalności przebrnięte, łapówki popłacone uczciwie, przepustki i pozwolenia z gestapo, z magistratu, z krakowskiej centrali General-Gubematorstwa otrzymane. Fotografie z Warszawy i materiały organizacyjne były w walizce, która już szczęśliwie była zrewidowana, opieczętowana i zamknięta przez Niemców.

Szłyśmy wolno, nie patrząc na kikuty rozwalonych domów, znane na pamięć, znane lepiej niż dawna ulica. Nad ziejącą dziurą wejścia do kupy gruzów ostał się dawny srebrny napis: „Szukasz szczęścia — wstąp na chwilę”, jeden z tych paradoksów warszawskich, które były

może prawdziwe. Wiedziałam, że jadąc zostawię za sobą coś, czego mi żaden inny kraj i żadne inne życie nie da.

– Zobaczysz ojca... – powiedziała Krysia.

Żal mi skoczył do gardła, że muszę ją tu zostawić, o tyle bardziej wrażliwą, o tyle żarliwszą ode mnie, dławiącą się w Warszawie, gdy ja jadę w szeroki świat nie ogrodzony karabinami, w świat, w którym można oddychać. Spojrzałam na nią ukradkiem z goryczą o tę jej promienną, niebieskooką, warkoczową dziewczęcość, skazaną na te gruzy naokoło i na te srebrne napisy: „Szukasz szczęścia”.

Szła tuż koło mnie, prosta i krzepka, bardzo młoda, w swoim kożuszu, w chusteczce, spod której spadały na plecy długie warkocze.

Zachnęła się nagle. Usłyszałam śmiech. Obejrzałam się. Dwóch żołnierzy niemieckich szło za nami. Jeden z nich żartobliwie pociągnął chusteczkę Krysi. Śmieli się do nas przyjacielsko, niegroźnie.

– Psiakrew! – powiedziała Krysia. – Wejźmy gdzieś. Muszę z tobą pomówić.

Weszłyśmy do najbliższej cukierni Bliklego.

– Zamów dla siebie dwa ciasta – powiedziała wspaniałomyślnie – ja płacę.

Zamówiłam i objadałam się nimi po prosięcemu. Patrzyła przez chwilę pobłaźliwie, starszosiostrzowo. Potem znów powiedziała:

– Zobaczysz ojca...

Zwolniłam tempo i spojrzałam z mieszanymi uczuciami psa nastawiającego uszy na nowy dźwięk.

– Nie mogę do niego pisać – mówiła – ale tęsknię do niego bardzo i chcę, żeby coś o mnie wiedział...

Zdziwiłam się. Pierwszy raz słyszałam Krystynę, mówiącą o jakiejś swojej tęsknocie. Była skryta i chodząca własnymi prostymi drogami.

– Powiedz mu – mówiła – powiedz mu o naszym życiu tutaj. I że damy sobie radę. Niech się nie martwi. Powiedz mu, dlaczego wróciłam do Warszawy dopiero w miesiąc po tobie. Że miałam ważną pracę na wsi.

Szło wolne, ciche opowiadanie, które słyszałam pierwszy raz. Półstowa dające pełną treść zdarzeń. Zorganizowana praca w terenie. Zbiórka broni po chatach, po polach, od żołnierzy wracających. Smarowanie, owijanie, zakopywanie wznaczonych miejscach, do użytku kiedyś. Rozciąganie sieci organizacyjnej od wsi do wsi, od chaty do chaty.

– Raz o mało nie wpadłam – mówiła spokojnie. – Wzięli trzech podejrzanych osadników. Zbili ich do krwi, do nieprzytomności. Potem kazali Franciszkowi kopać dół dla samego siebie. Gdy wykopał znojnie w twardej, listopadowej ziemi, zawieszono mu oczy, postawiono nad dołem. Głos plutonowego szczeł mu komendy nad uchem powoli, z rozmysłem. Franciszek słyszał szczeł przierzucanych karabinów w rękach żołnierzy. Stał w przepoconej od kopania koszuli, z rozkrwawioną twarzą, szczełając zębami z zimna i ze strachu. Zaczął mówić głośno: „Kto się w opiekę...” rwącym głosem... Ostatnia komenda nie padła. Franciszek urwał modlitwę. I słuchał, nie widząc. „Spocznij!” – rozkazał plutonowy.

...Znowu gruchotliwy szczeł broni. Kilka przerzuconych śmiechliwych zdań. Krótki, suchy zgrzyt potartej zapałki. Po kilkunastu minutach znów seria rozkazów. I znowu bez tej ostatniej komendy: „Pal!”

...Dręczyli go tak trzy godziny. Wreszcie puścili go do domu. Nie mieli konkretnych dowodów przeciw niemu, a nie chcieli rozdrażniać do ostateczności okolicy, i tak podminowanej ostatnią masową egzekucją. Ale nachodzono chatę Franciszka regularnie i grożono. Nastraszyli go tak, że mało nie wygadał wszystkiego, co wiedział. Osiwiał przez te

trzy godziny przestane nad własnym grobem z zawiązanymi oczami, przez te dni nocnych najść, pytań i bicia.

...Wtedy się kółko zaciskało naokoło mnie. Może i coś wygadał, nie wiem. Nie używaliśmy go więcej. Ale aresztowali Mańkę, która była moim łącznikiem. Dotąd siedzi... Powiedz ojcu, że myślałam o nim wtedy, że byłby rad ze mnie i z mojej pracy. Jeśli zapyta, czy się bałam, powiedz, że się bałam. Ale wytrzymałam.

Nagle naszła na mnie instynktowna pewność, że ktoś na nas patrzy i że ktoś nas słucha. Poprzez okrągły marmurowy blat stolika wyciągnęłam rękę do Krysi i powiedziałam, że zaczyna szarzeć i że zimno na ulicach, i że chodźmy może do domu. Zamilkła natychmiast. Rozejrzałyśmy się naokoło uważnie. Patrzyłam w prawo, poza kolumnę, na dymiącą futrami salę. O dwa stoliki jakichś trzech Niemców w nie znanych mi mundurach. Tuż niedaleko nas ziemiańska rodzina w szubach i szalikach. Dwóch studentów dyskutujących Maritain... Spojrzałam na Krystynę nieco upewniona i zdziwiona, że mnie tak speszyła ta nagła, niedorzeczna świadomość czyjejś napiętej uwagi, przyklejonej do naszego stolika. Ale w oczach Krysi zobaczyłam, że jednak miałam rację. Obejrzałam się lekko, raz jeszcze, w stronę kuchennego wyjścia, niedaleko którego stał nasz stolik. I wtedy zobaczyłam ich. Tuż przy ścianie, przy małym, okrągłym stoliku takim jak nasz, przedzielonym od nas tylko wąskim, kelnerskim przejściem. Siedzieli tam dwóch, w niewyraźnych, nie do zapamiętania paltach i z niewyraźnymi, nie do zapamiętania twarzami. Jeden z nich popijał swoją szklankę herbaty małymi, wolnymi łyżkami. Drugi siedział sztywno, z nogami wyciągniętymi daleko poza stolik, z rękami w kieszeniach, przyciskając łokciem „gadzinówkę” na stoliku i patrząc na nas upartym, trudnym do odparcia wzrokiem z kamiennym wyrazem oczu.

Spojrzałam znów na Krysię i widziałam, że myśli o tym samym: „Gestapo czy nie? Czy słyszeli? Cóż za idiotki z nas, żeby mówić o takich rzeczach w cukierni!...”

— Skończmy nasze ciastka i chodźmy — powiedziałam.

Wiedziałam, że to by wyglądało zaledwie nienaturalnie, gdybyśmy zostawiły ciastko nie dojedzone. Łykałam z wysiłkiem słodkie okruchy, nagle bez smaku. Nie mogłyśmy wymyślić żadnego tematu rozmowy. Siedziałyśmy milcząc i czekając.

Nieznany człowiek patrzył na nas przez chwilę tym samym kamiennym, upartym wzrokiem, jakby nie widzącym, ale przeszywającym na wskroś. Dopił jednym łykiem resztki herbaty w szklance i wstał od stolika. Zgarniał swoją „gadzinówkę” wolnym ruchem. Jego towarzysz nie podniósł oczu. Stężyłyśmy w naprężeniu. Szedł ku przejściu, ku naszemu stolikowi. Patrzył wprost przed siebie, nie na nas, wcale nie na nas. I gdy nas mijał, przechodząc tak blisko, że dotykając połą płaszcz, powiedział wyraźnym szeptem, nie otwierając niemal ust:

— Szczęniaki!

Był tam gniew i coś jakby rozrzewnienie. Spojrzałyśmy po sobie i uśmiechnęłyśmy się. Podniosłam rękę przeszłoletnim, odruchowym gestem i przeżegnałam się.

Tili przyjechała przez Włochy. Mieszkała u koleżanki włoskiej. Pytano ją, czy przyjechała na Primavera. Wożono ją — na pokaz mód. Pokazując ruiny Colosseum bawiono rozmową: „To musi pani przypominać Warszawę — prawda?” Na stację odprowadzono ją z — bukietem róż. Wolałyby parę tartinek. Zupełnie nie miała pieniędzy po zakupieniu biletu, bo matka bała się jej dać ponad sumę dozwoloną. Toteż nie jadła w ciągu drogi trwającej dwie doby. W kilka lat potem odwiedziłem w Rzymie Lucy — tę koleżankę włoską. Przez parę dni nie jadła nic, ukrywając się z mężem w nomansland. Chciałem spytać, czy nie dał jej kto na drogę róż. Nie od razu nastawia się wzrok.

Wtedy w Bukareszcie przyszła do Tili pocztówka od Stasia Dangla. Kompletów tańca już nie było. Staś pisał lakonicznie:

Pozdrowienia. Znalazłem w końcu książki, które pożyczyliśmy od Ciebie. Wydaliśmy je, jak prosiłaś, Stasi. W kawiarni nic nowego. Ostatnio ilość gości znacznie się powiększyła. Dwa razy widziałem Stasię. Przesyła tysiące pozdrowień dla Ciebie. Moja praca kelnerska, tak jak dotychczas, dobrze mi idzie. Jeszcze wciąż jednak mam trudności. Nieraz rozbiję parę kieliszków. Wieczorem długo, aby zabić czas, dużo czytam książek.

Tili zauważyła mikroskopijną cyferkę „5” w dolnym rogu strony adresowanej. Podkreśliliśmy co piąte słowo:

„Książki wydaliśmy w ilości dwa tysiące. Praca dobrze, jednak parę zabić”.

Była to wiadomość o moich broszurach przeszwarcowanych do kraju. Były to fragmenty książki o wrześniu właśnie, o tych chłopcach przychodzących do mnie, książki, której rząd w Angers zabronił wydawać. Tamci chłopcy w kraju to zrobili, płacąc straszliwie. Staś Dangel został rozstrzelany na Lesznie, jego brat, Jaś, wywieziony do Dachau, jego drugi brat, Jurek, zestrzelony nad Zatoką Biskajską, ojciec zabity przy rewizji przez Niemców, matka dwa i pół lata w ciężkim więzieniu w Berlinie. Więcej dzieci w tej rodzinie nie było.

Tyle jej miałem, co te sześć tygodni — nim się otrzymało wizę amerykańską dla niej (ja już taką miałem) i zdobyło miejsce na okręcie. Nie rozstaliśmy się przez te sześć tygodni ani na chwilę; chodząc po ulicach, trzymała mnie, jak dawniej, za palec. Kiedy dzieciaka prowadziłem, jak za dawnych lat, ku jego rozpacz, do dentysty, czekałem w poczekalni, a nocą spała za szafą w moim pokoju, przy czym umówiliśmy się, że jednego wieczora ja ją lulam na sen, a drugiego ona mnie.

Potem już, z Ameryki, będzie pisać do Krysi:

Pobyt z Kingiem był bez jednego cienia. Byłam tak szczęśliwa, jak zdawało mi się, że nigdy nie byłam. I może dlatego właśnie moje listy czy karty stamtąd mogły się Wam wydać puste. Tak nam się dobrze żyło razem w tym zakaraluszonym nieskończenie pokoju!... Od czasu do czasu budziły mnie jakieś hałasy. To King, nie mogąc spać, urządzał kampanię antykaraluchową. Łupy dochodziły do kopy wspaniałych, czarnych, wielkich sztuk. Graliśmy namiętnie w „zechcyka” do późnej nocy, oszukując się wzajemnie nieskończenie. Chodziliśmy razem po Bukareszcie i naprawdę nie pamiętam jednej godziny, żebyśmy nie byli razem; prócz jednej partii szachów, na którą poszedł chyłkiem, przez „psie figle”, jak Mama mówi, z której przyleciał galopem, niosąc pęczek rzodkiewek na kolację i bardzo zawstydzony, i żałujący.

Zasypiałem jednak stale pierwszy, bo dzieciak pisał z wysuniętym językiem książkę swoich wspomnień z czasów okupacji, która następnie ukazała się w Ameryce. Nadto odczyty po polsku i po francusku. Wśród tych poważności, na które czmychałem nieufnie, tkwił jeszcze — bachor. Ostatecznie przegrany w sześćdziesiąt sześć miałem zostać „Wielkim Cwokiem Sześćdziesięciosześciowym” na cały czas rozstania. Chodziłem więc w blasku tego tytułu przez dziewięć lat.

Wyjeżdżało dziecko przeraźliwie pędzone w dojrzałość, z fasonem, tak jakby do Bezka. Miałem również wizę do Stanów, ale zostałem, bo w Paryżu składano Wrzesień zagwiący po polsku, kończono tłumaczenie francuskie, zaczynało angielskie. Świat ciekaw był wówczas wojny, i prywatny nakładca uważał, że wydanie będzie korzystnym interesem.

Szły ostatnie chwile, a ja uplątałem się w bagażowe, paszportowe formalności; wydobyłem się do jej pociągu na ostatnią minutę. Kiedy pociąg ruszał, wystawiła swoją mongolską mordkę z okna wagonu trzeciej klasy i w dropiatym oku błysnęła znajoma iskierka:

— Tata... obok mnie siedzi rudy pan z taką, o... brodą — ha... ha... ha...

Rozumiałem, patrząc na Tiriporkowy śmiech, że to na bardzo długo. Miałem ją zobaczyć już jako matkę dwojga dzieci.

Tego wieczora miała jeszcze po drodze odczyt w Krajowej, ale nie pojechałem dla oszczędności. Rano, kiedy otworzyłem szafkę, by przyrządzić śniadanie, leżały w niej jeszcze papierowe serwetki, które ona kupiła, i jakaś niewytchła wstążeczka po niej.

Potem już przysłała tylko pocztówka, napisana przy wsiadaniu na okręt „Washington” w Genui, rozpoczynająca się „Najukochańsza z tłustych żab...” I jak zwykle — ha... ha... ha... — że za honorarium za odczyt w Krajowej zakupiła bluzkę z wyszyciami rumuńskimi dla Betty i że ma szaloną ochotę ją zwędzić; że jakiś pan napoił ją Chianti; carabinieri jej się oświadczył „całkiem na serio”; że jest już półtorej godziny na pokładzie i jeszcze jej nie przydzielili miejsca; i że jeszcze ha... ha... ha... i brekekeks...

Równocześnie przyszedł list z Paryża, że wydanie mojej książki o walkach wrześniowych udaremnił rząd w Angers.

Ciężko było w tym napięciu duchowym być nieużytecznym. Czytałem w „Volkischer Beobachter” obficie ilustrowany reportaż: sprawozdawca zwiedza ośmiopiętrową kamienicę od suterenu po poddasze i okazuje się, jak wszystkie siły ludzkie są wykorzystane w Niemczech dla wojny.

Ciężko było. Z córką nie pojechałem, łudząc się, że będę potrzebny. Równocześnie okupacja stężała, stało się jasne, że na tamte dwie nie mam co czekać. Ale za córką już jechać nie mogłem, jej statek był ostatnim odchodzącym z Włoch do Stanów, a do portów alianckich, wskutek zakazów rządu w Angers, nie mogłem otrzymać wizy.

Zostałem czekając, aż Niemcy spełnią swoje radiowe pogróżki.

Trwanie

Pusta szafa ziała nieznośnym wspomnieniem. Było jedno miejsce w tej Rumunii, o które zaczepiała się myśl: Carmen Silva nad brzegiem Morza Czarnego, trzydzieści kilometrów na południe od Konstancy. Wspomnienie pobytu z Mamą. Wspólnych wyjazdów na połowy. Jakiejś tęczowej ryby zwanej jaskółką morską, która wpuszczona do miednicy roztaczała festony kolorowych skrzydeł. Może tam jeszcze drży w powietrzu szczęśliwy uśmiech Mamy nad tym cudem zaklętym w tęczę blasków wyłowionych z morza?

Dwunastego czerwca przyjechałem. Plaża była martwa. Rosjanie szli na Besarabię i zapewne pójda dalej, zabiorą Konstancę. Nie przyjechał nikt, mieszkańcy wyjeżdżali w popłochu. Szedłem w Carmen Silva brzegiem na południe. W coraz rzedniejących domkach jacyś zapóźnieni ludzie kończyli zabijać deskami okna na zimę. Zaczęły się pustacie, przerywane drobnymi płachetkami kartoflisk. Wreszcie — samotna willa, przez fantazję chyba w pustkowiu dźwignięta. Dalej — już tylko step pogłębiający się hen, na Dobrudżę.

Pchnąłem drzwi, obszedłem pustych szesnaście pokoi. Ściągnąłem rzeczy. We frontowym największym pokoju wychodzącym na morze pokryłem puste łóżko płaszczem kąpielowym. Szlafrok miał być kołdrą. Pokój miał wielkie weneckie drzwi, wychodzące na werandę wiszącą nad urwistym brzegiem. W dole kotłowało się morze. Na werandzie stał duży stół i krzesło. Nie ma elektryczności, a nafty nie można kupić w wyludnionej Carmen Silva. Będę kładł się z pierwszymi gwiazdami.

Kiedy obudziłem się świtem, na ścianie stał fioletowy kwadrat blasku. Leżąc na wprost rozwartych weneckich drzwi, miałem poczucie, że żegluję po morzu. Wyszedłem nago na werandę. Po niebie rozgrywały się dziwne przedranne wprawki.

Przez zdumione cenzury przedarła się depesza Reginowej:

NIE BĄDŹ GŁUPI, WYJEŹDŹAJ STAMTĄD

Potem następna:

WYJEŹDŹAJ AMERYKA STOP TAM POMOGĘ STOP INACZEJ ANI CENTĄ STOP

Biedna Reginowa. Sama, już ogarnięta, nie wiedziała, jak zaklinać, jak szantażować, bym w czas umknął.

Nie wiedziałem nic, jak z tym niebezpieczeństwem. Z zajęciem Francji przestała przychodzić prasa francuska. Przed moją werandą miałem wspaniałą scenę obrotową, na której co pół godziny morze i niebo stwarzały inną sensację. Ale co się działo poza linią horyzontu — nie wiedziałem. Może Niemcy zajęli już i Londyn? A może Rosjanie są już tuż, może już wchodzą do Konstancy?

Gdzieś ludzie walczyli, gdzieś dobywali wszystkich sił. Cóż mogłem poradzić?

Myślałem teraz o drugiej, o Krysi. Tili mówiła, że Mama z Krysią odprowadzały ją na dworzec, że zapadła godzina policyjna i musiały nocować w hotelu przy dworcu. Myślałem, co się działo w duszy Krystynki, kiedy ją mijał ostatni wagon pociągu, co myślała w tę noc...

Krysia pisała:

Myślę, że Tilusi teraz jest ciężko i gorzko. Ale cieszę się, że ją wypchnąłeś w świat, że pomagasz jej rozwijać się. Ale ja też nie skapituluję. Wezmę się w karby, będę pracować, stworzę sobie możliwości. Żeby czerpać z życia, trzeba mu dać albo talent, albo pracę, albo miłość, albo wiarę, albo wolę. Mam tu Króliczka i dom, i wszystko jeszcze mogę zrobić ze swego życia. A że wojna jest, trudno, na to nie poradzę, i że giną sami mili chłopcy...

Z listów Mamy i Krysi dopiero wyjrzał bezmiar nieszczęścia. Najeżone były nazwiskami. Każde nazwisko albo wrosło było w nasze życie i po wyrwaniu jego ziała rana, albo pełgało młodością otaczającą dzieci i teraz, zdmuchnięte z innymi światełkami, odeszło w coraz bardziej zaścielającą się szarość. Listy Krysi mocują się z tą szarością:

Piszesz, że nieszczęście hartuje; wołałabym jednak hartować się w czynie.

I zaraz — przeszywający znak:

Tu słabi marnują się, a silni giną. Dla pierwszych życie ogranicza się do codziennych zabiegów, dla drugich jest pełne i ciekawe, ale...

Ale do tego było jeszcze daleko.

King starał się wypełnić przepaść dawnym przekomarzaniem: „Wyszukaj sobie jakiego boy-frienda; to jest bardzo dobra instytucja; zażądaj prospektów od Tili gratis i franco”. Ale bezsilny język dzieciństwa zatapiało wzburzone morze okrucieństwa. Jego wszechobecność ciążyła zwłaszcza w nocy. Wracając za ciemną ze sklepienia w odległej o dwa kilometry Carmen Silva, King słyszał puszczyka siedzącego na ostatniej latarni. Siedział tuż, ale już w nieprzeniknionej ciemności. Grudy ziemi ciskane w ten głos piekła nic nie pomagały. Ptaszysko kołowało w ciemności skrzydłami, nie myśląc odlatywać, bezpieczne za tym oślepiającym kręgiem światła. Kładł się spać po ciemku, jakieś chrzęsty chodziły po pokoju. Bładym świtem widział, że to warstwa żuków naleciała za dnia — wielkich żuków, w jakichś dziwnych chitynowych kołnierzach, nie spadających na odwłok, tylko nastawionych na górę. Żuki leżały na plecach, chrzęszcząc przez noc bezsilnie. Na werandzie do gniazda czterdziestońózki przylatywał owad-potwór, dwukrotnie większy od szerszenia, i z wielkim hukiem wybierał wykryte przez siebie jej jajka.

Tam u nich — życie poczęło zwracać takie i owakie wkłady. Pierwszy zjawił się pewien Janek, goniec „wyprowadzony na ludzi”. Przyjechał specjalnie ze wsi z wyładowaną kobiątką. Wytrząsnął pięć kilo masła, słoninę, pół kopy jaj, dwie kuropatwy. Potem przychodzili inni i inni z jakimiś dawno skreślonymi długami, z nie liczącymi się zobowiązaniami. Przedmioty nawet martwe szły z pomocą, odnosząc pełne naręcza wspomnień. Najwdzięczniejszy, najlojalniejszy okazał się Domeczek, który w swoim czasie tyle wchłonał starań. Trafiony był w serce — świecąc wybitą przez pocisk armatni ścianą mego gabinetu. Nie było ani jednej szyby. Rury centralnego ogrzewania popękały, a w ogródku grusze były popalone, zginęła połowa róż i nie opatrzone brzoskwinie.

Mama szukała w tym pogromie punktu oparcia dla Krysi.

Ciężko ranny inwalida-Domeczek był czymś pierwszym potrzebującym skupienia wysiłku. Jak pierwszą troską rozbitka jest szalas.

Przedsięwzięcie wydawało się nad siły i możliwości dwu kobiet. Krysia pisała o decyzji:

Będziemy się pracowicie porać z życiem, jak skrzętne żuki ciągnące patyk przez ścieżkę. Ten dom Ty przecież stawiałeś. Na razie niesie nas Twoja praca i Twój dorobek, a kierując nami, nawet z daleka, Twoje listy. Są one podtrzymaniem, bodźcem do pracy, dowodem

miłości, która pomaga nam żyć i mimo tylu ostrych słów w moim kierunku, po których przeplakiwałam ranki i wieczory (wstrętna żaba, w każdym niemal liście udziabał), nie wiem, jak Ci dziękować za te Twoje listy, w których każda literka napęczyła sercem.

Domek, jak dobry przyjaciel, wchodząc ponownie w życie, łączył. Przy przenosinach ojcowych sprzętów i biurka Krysia pisała:

Wszystkiego ponownie dotknęłam: od młodzieńczych artykułów poprzez liczne felietony i klisze, poprzez sprzęt kajakowy, artykuły, recenzje, terminarze – kolejno zobaczyłam Twoje życie: pasje fotograficzne, myśliwskie, kajakowe, szachowe, automobilowe, rybackie, pracę, rozwój talentu, utarczki z ludźmi, troskę o nas, kolejne etapy walki z życiem. Mój Kochany!... Gdybym znów mogła żyć z Tobą, umiałabym to cenić dla siebie.

Dalej szły wyliczenia, jak czterdzieści pięć żarówek musi być w porządku, jak należało zrobić pięćdziesiąt kluczy, przygotowując Domeczek na podnajmowanie, jak trzeba zaciągać ileś tam setek metrów podłogi, jak odratowała winogrona i jedną brzoskwinię i jak „powstaje jakiś punkt stały na ziemi, do którego Ty i Tili będziecie mogli myśłą wracać jako do swego domu”.

Listy czytałam w polu, bo pokój był nasiąknięty bezsennymi nocami. Przeczytawszy, urwałam wielkie kule dmuchawca. Każda kula składa się z dzwonek-kielichów jarzących jak kwiat miodem. Po jednym odłamuje je niewidoczny wiaterek i lecą, roztopiając się w słońcu. Potem rozpoczynałam „liczyć kwiczoły”, snuć nierealne i niekosztowne marzenia. Te kwiczoły to był ochronny pancerz mimikry na mózgu chłonnym i prężnym, z którego trybów zdjęto transmisję.

I tam, w tym dalekim domu, życie przepoławiało się na czarną stronę strachów nocy pełnej okrucieństwa i jasny dzień młodości.

Przed furtką ogródka człowiek czuje się niepewnie, jak w dżungli; po zamknięciu furtki i przekroczeniu klucza ogarnia atmosfera wiejskiego domu. – pisała Krysia.

Do tej wiejskości przyczyniła się Reginowa. Gorączkowo partycypując w strapieniach rodzinnych, grzmiała w jednym z listów z Kowna: „Twoja rada, by Zosia zbierała dolary, jest chyba nierealna, bo podobno Niemcy za to rozstrzelują. Zobaczę, czy to prawda”. Co ta Reginowa znowuż wygaduje, co wybiera się zobaczyć?!

Okazuje się, że zajechała z dwudziestoma dolarami za pazuchą: to one widać miały jej pozwolić zobaczyć, czy to prawda.

Nie wniósłszy wielkiego posagu dolarowego w życie Domeczku, przepełniła go za to furia inicjatywy. Inicjatywa obawiała się być głodna. Niebawem więc po Krysiowych grządkach poczęły skakać króliki, po których chytra Reginowa obiecywała sobie abundancję mięsa, i nad Mamą zawisła groza zakupienia kozy, którą połączonymi siłami Mamy i Krystyny odwrócono.

Ciotka zwiozła poza tym ze sobą mężne serce i niewyżyte namiętności kulturalne.

Po kolacji zasiadamy do głośnej lektury, wybieranej przeważnie z żelaznego repertuaru norwidowsko-mickiewiczowsko-słowackiego – pisała Krysia.

Wtedy King przymknął oczy i siedząc na swojej werandzie wsączał się w ciszę dnia. Przecież to już dobiegały dwa miesiące zupełnej samotności, bo posiłki przyrządzał sobie sam. Nie sam. Co parę dni widział rybaka, który mu przynosił ryby. Bydlątka różne tak się oswoiły, że raz mógł dotknąć ogona kawki drącej się na werandzie. Ptasek szary z czarnym

długim ogonkiem (ale nie pliszka) pilikał mu nad samym nosem, szpaki nic sobie z niego nie robiły. Po wąskim zrębie urwiska pod werandą przechadzały się stale dwa przepocieszne dudki. Przyplątał się pies z bumerangowatym ogonem. Kiedy morze zrobiło się stalowe ze spokojnego gniewu, King dookolną ścieżką schodził z urwiska i płynął w morze. Bumerangowaty kundel czekał przy pierwszej fali, patrząc w morze cierpliwymi kaprawymi oczami.

Do Polski było jeszcze blisko. Przecie to tu, w Konstancy, siadając z Mamą przed czterema laty do pociągu złożonego z polskich wagonów, zobaczyłem na ścianie wagonu fotografię z serii „Piękno ziemi” — widok zdjęty z altany w Jodańcach na Niewiażę. I teraz było blisko. Płynąc w odmęcie obcego żywiołu, czułem bliski brzeg, czułem kochające oczy.

Mój Kingusiu najmilszy, moja kocham Kuwako! — pisała Krysia — śniesz mi się trzecią noc z rzędu. Najmilszy Tatuśku! — nie wiesz, czym dla nas są Twoje kochane listy. Królik zwykle nad nimi ryczy pierwszy raz po przeczytaniu, a potem stale odczytuje i czerpie z nich wytrwałość i cierpliwość. Ale ty, biedna, biedna żabo! Chora i unieruchomiona, sama i bez flotki. I wyciągająca te dolarzyny z buta na przejazd Tili. Gdybyś wiedział, jak całym sercem jesteśmy przy Tobie, i gdyby dobre i czułe myśli mogły pomagać, toby Ci powinno ulżyć. Kochany — nie piszę na maszynie, bo późno i nie chcę przeszkadzać. Przez okno bucha zapach maciejki. Dziś nadszedł Twój list ze wspólną fotografią z Tili. Ileż przeżyliśmy wrażeń. Na moim biurku Twoja młodzieńcza fotografia, ta w mundurze. Taka w niej miękkość i spokój młodości — taka, mimo wszystko, jest twarz Tili. A w Tobie — ileż cierpienia. Okropnie jest, że nie możemy nic, tylko myśleć o Tobie. Królik niestety fotografię zaraz porwał i zaciągnął do dziurki, żeby móc kontemplować w pokoju ducha. Może uda mi się wykraść ją i zrobić kopię, żeby mieć swoją. Jak dawniej dawateś nam zawsze ciekawość życia (Mama rozpacza, że nie umiemy przez to oceniać codzienności) tak i teraz, nawet z daleka, nam ją dajesz.

Po takich listach ręka, zbierająca ich kartki, poczyniała tracić celowość ruchów, bezwładnie szukać, jakby czepiając się pustki. Na lewo w skos, za urwiskiem, stała lepianka, tam mieszkał rybak rumuński żonaty z chłopką z Wołynia, zarzuconą aż tu przez tamtą wojnę. Przed czterema laty trafiliśmy z żoną na nią. Zżerała ją tęsknota. Było już szesnaście lat po wojnie, ale ona od nas dowiedziała się dopiero, że jej powiat został przy Polsce, że można pisać. Padła nam do stóp. Błogosławiła. Odchodząc brzegiem morskim, oglądając się wstecz, widzieliśmy ją za sobą na tle nieba na urwisku, wyciągającą ręce. Potem przywlekła się z koszem ryb — w darze. Szły za naszym pośrednictwem- do odszukanej rodziny jakiś czas niemrawe listy, nim ustały.

Mnąc listy, brnąłem przez tłusty, słony pył, by ją nawiedzić. Ale już nie było po co. To już nie był ostatni stopień egzaltacji sprzed czterech lat, tylko umysłowa choroba. Kobieta siedziała nad ceberkiem obieranych kartofli ze szklanym wzrokiem. „Mamusia dom postawiła” — kiwała się z bólu. To były jedyne słowa powtarzane w kółko. Mąż pokazał ręką kręćka na czole: „Biję ją, ale to nic nie pomaga”.

— Czy nie ma pan ułowionej jaskółki morskiej? — chciałem odświeżyć kolorowe wspomnienie.

— Owszem — pokwapił się, wywalając ceber ryb. To, co wskazał w masie szarych ciał, nie różniło się niczym od innych.

W liście Krystyny było jedno silnie zakreskowane zdanie. Pod wieczór bardzo ostro zachodziło słońce. Wziąwszy arkusz pod jego ukośne światło, odczytałem połówkę zakreszonego:

...pogłębiany jest moją rozpaczą, że się zapadam, zapadam, zapadam... Westchnij, święty Franciszku z Carmen Silva, za najlichszym z kochających Cię stworzeń.

Bezsila jest chyba najstraszliwszym z uczuć. Tej nocy, znowuż bezsennej, arkusze blachy na dachu szarpane wiatrem wydawały głuchy chrzęst. W ścianie znowu rozległ się szurgot słyszany poprzedniej nocy — jakby coś starało się w niej obrócić zamurowane ciało.

W tej bani, z której wypompowano powietrze i w której żyję, i w której nic się nie dzieje — widać wyobrażenia zapełnia próżnię. Coraz więcej sobie przypominałem zdarzeń, powiedzeń, ludzi, przeżyć, po których sumiennej analizie przychodziłem do przekonania, że to wszystko nie miało miejsca. Widać sny moje były ukryte przede mną samym i zburzona została jakaś przegródka pomiędzy nimi i rzeczywistością.

Czasem tylko łapię te obrazy, które są równoznaczne z czuwaniem. To są zabawne stany. Widzę okno, widzę światło księżyca, które wpada. Gdyby ktokolwiek wchodził do pokoju czy mówił — widziałbym i słyszał równocześnie — czy to równoległym uczuciem, czy kruszynką jednomilionowej sekundy snu — przeżywam krótką jak błyskawica scenę. Dziś zobaczyłem — przysiągłbym, że bez zasypiania — mężczyznę siedzącego w kącie mojego pokoju. Rzuciłem ciężkim fajansowym talerzem. Talerz roztrzaskał się o ramę okienną tuż przy jego głowie, wszystkie ułamki poszły mu w twarz, w oczy... Zobaczyłem zamiast żywej głowy taką wystylizowaną drewnianą, jak mają awangardowe wystawy. W tej martwej nieruchomej głowie były trzy rzeczy żywe: jedno oko o wywiniętych krwawych powiekach, z których wolno toczyły się ogromne krople gęstniejącej krwi; drugie oko, które pokryło bielmo; usta, które uśmiechały się skrzywdzonym uśmiechem w sposób irytująco głupi. Chwyciła mnie rozpacz, usiadłem na łóżku. Na fosforyzującym zegarku było trzy minuty po jedenastej. Czytać nie mogłem, bo nie miałem światła. Gdybyż to, jak za czasów sypiania Tilusi za szafą w Bukareszcie, wyszedł z jakiego kąta dobry duszek z tatarskimi oczkami, napuchniętymi od snu, w których zostały tylko szczelinki, gdybyż przydreptał do mnie w koszulince i zaproponował: „Tata — pałyjkę”, znowuż .bym spał, jak wówczas zasypiałem.

Zażyłem jeszcze jeden proszek i wychodzę w ciemń worka powietrznego na werandzie, czekając na sen. Nasłuchuję w sobie, czy nie zacznie emanować pęcherz ze snem. Jest on umieszczony gdzieś pod przeponą brzuszną i czuję, kiedy się otwiera. Wówczas fala znieczulenia poczyną iść bolącym ciałem. Jeśli dojdzie do mózgu, będę spał.

Pstryk!... dopełzło do mózgu. Widzę na jawie ten sam mój pokój, ale na wprost pokazuje się dwoje rozmawiających ludzi. To jest markiza i ktoś drugi, ale go nie widzę. Porcelanowe statuetki, ale wielkości ludzi. Markiza — to Mulatka o mięsistych wargach; jest cała szklista i nieruchoma, tylko oczy jej latają — patrzy na mnie tymi swymi białkami i mówi o mnie.

I znowu — tylko mój pokój. Nie spałem wcale, a tę markizę, jak co wieczór co innego, widziałem na jawie. Coś delikatnie, wytrwale rozmierzonym tempem puka w klapę dachu. Może to woda ścieka? Ale skąd?

Dźwigam się z wyrka — to nie jest łatwe zadanie. Umieszczone jest w skrzyni, której tamy wznoszą się wysoko. Trzeba się mocno wesprzeć ręką o sterzącą deskę i wydźwignąć. Rzekłbyś — sypiam w trumnie.

Następnego dnia okazało się, że kawki uwiły gniazdo w kominie, że owo przewracanie się w ścianie to wyrosnięte już ptaki próbujące skrzydeł. Kiedy nierealne strachy w ten sposób rozpraszał dzień, nie było dla nas ucieczki od życia rzeczywistego, mimo że ja ślęczałem nad angielskimi słówkami, a Krysia nad urządzeniem domu.

Uczę się codziennego dnia — pisała — jego drobiazgowości, zmechanizowania, nudy i celowości. Robię to z wściekłością w sercu, ale się nie wyłamuję, bo nie znajduję nic na to miejsce ani w sobie, ani na zewnątrz. Mama się cieszy, że tak jest, bo mówi, że nie można całego życia spędzać na wyczekiwaniu na moment wielkiej przygody i że dzielność życiowa

polega na godnym znoszeniu życia takiego, jakie do nas przychodzi, a nie na wyłamywaniu się z jego nudy i uciążliwości.

Wtedy, na granicy wytrzymałości, przebił się zza oceanu przez trudności i długości cenzur, transportów, barier, obmacywał na granicach neutralnych, półneutralnych i wojujących — pierwszy list Tilusi.

Przeflancowany malec — już pierwszy zdawał się puszczać ponownie pędy.

Odkąd w konsulacie amerykańskim kazano jej z nagłą podnieść rękę i przysięgać na coś, czego nie zrozumiała, była nieco speszona obcością świata, w który się zanurza... bez Taty, który, obrzydliwy, miał wizę, miał bilet i nie jechał. Teraz, kiedy ją wzięli po wylądowaniu do ciupy na Ellis Island, kiedy stanęła przed komisją orzekającą na wysokim podium, właściwie nie rozumiejąc, co do niej mówią — Taty przy niej nie było. Zasłania się listem zapraszającym Betty. „Zapewne granicę przekroczyłaś nocą przebrana za chłopaka” — entuzjazmuje się Betty.

— Did you? — przechyliła się ku niej przewodniczący z wielkim zaciekawieniem.

Na brzegu dwadzieścia cztery godziny biegła jak kokosz Betty. Porwawszy Tilusię w swoje objęcia, pomknęła na Empire State Building, który przytłoczył warszawiankę swymi stu czterema piętrami, mimo że nie miał, jak warszawski „Prudential”, dwudziestu pięter pod ziemią.

Zaraz potem, jeszcze ściśle w myśl niewytchłych nakazów Taty — kupiła używaną maszynę do pisania. Wydawszy z posiadanych pięćdziesięciu dolarów trzydzieści pięć na to narzędzie przyszłego zarobku przyszłej literatki, lekka i obładowana jedynie widokami na przyszłe zarobki przyszłego pisania na przyszłe tematy przyszłą angielszczyzną, którą nabędzie — pomknęła do Considinów do Filadelfii. I podczas kiedy staruszkowie przyjmowali ją na swe łono, z kuchni wytoczył się... powitalny trojak, którego Betty nauczyła tańczyć brata Jimma i Billa, swego przyszłego męża.

Papa Corisdine, chrześzcząc sztuczną szczęką, odmówił zwykłą modlitwę przed obiadem, którą uzupełnił podziękowaniem Bogu, że Tili szczęśliwie dojechała. Potem ubezpieczył ją na życie tak, jak każde ze swoich dzieci, potem wyznaczył jej na wydatki kieszonkowe pięć dolarów miesięcznie, tak jak i dla Betty. Odmachnął się, kiedy mu Tili mówiła o jakichś rozrachunkach.

— Ależ ja mówię poważnie, Mr Considine.

— Nigdy nie mów poważnie; just smile — tylko się uśmiechaj.

Zbliżał się zabór niemiecki, rząd angielski ofiarował się wywieźć pięciuset zagrożonych Polaków z Rumunii i z Węgier. Było jasne, co czekało mnie, jako autora Smętka. Na szczęście sprawy ewakuacji tych pięciuset powierzono ministrowi Mirosławowi Arciszewskiemu, który mnie na liście umieścił. Odjazd transportu był wyznaczony na 2 września z Konstancy. Wyjeżdżaliśmy z kraju neutralnego, z którego można było pisywać.

Korespondencja ta, idąca przez brudne łapska do najdroższych, najbliższych, najintymniejszych, musiała tak się przystosować jak grypsy z więzienia.

Cenzura niemiecka traktowała widać listy jako wywiad i w najmniejszej mierze nie krępowała ani ich rozmiarów, ani częstotliwości wysyłania,

Trudno jest pisać — pisałem do żony — przez przełęcz tytu cenzur i urzędowych, i tych, które człowiek sam sobie narzuca. Tak, jakby między nami wyrosły wielkie góry. A przecież słup powietrza, który stoi nad dolinami, z tej i z tamtej strony jest ten sam. Niech listy będą jak ten słup powietrza, którym odetchniemy — wspólnie.

a pod względem treści była niepokojąco tolerancyjna. Jeden z żołnierzy pokazywał mi pocztówkę od osiemnastoletniego brata: „Tym draniom tośmy zeszłej niedzieli wysadzili most, ten, pamiętasz, a jeszcze nie to im zrobimy”. Na szaleńczej pocztówce stała pieczęć Geprüft. Listy roiły się doniesieniami, że „Ciocia Gercia jest chora i nie dożyje do wiosny”. Wszyscy tak pisali o Germanii i każdy był dumny z wynalezionej symboli, aż znudzony cenzor na jednym z listów (sam widziałem) dopisał: „Ciocia Gercia jest zdrowa i dobrze was za mordę trzyma”.

Ale nad tymi listami znad morza, ogromnymi listami, liczącymi po kilkanaście stron, wysyłanymi co dwa, trzy dni, musiała cenzura wzruszać ramionami. Pełno było w nich o wschodach i zachodach, o morzu i o wietrze, a nic niemal o zdarzeniach. Położone na stole w Domeczku, kiedy zamknięto furtę i zapalono na kominku i kiedy przez okno wpływał zapach kwiatów, listy nagle zdejmowały kwef jak tajemnicza wymuskana dama, która przybyła z daleka, i mówiły prostym, zrozumiałym językiem.

Z ostatniego listu Krysi rozumiałem — że i tam — już poczynają iść pędy. Po zgnieceniu, po zapuszczeniu korzeni przez wskrzeszenie Domeczku, przez obowiązek dnia codziennego, za którym wyczuwałem planową troskę i inicjatywę matki, nieśmiało, jak błady kiełek wypełnia się chlorofilem, przyszedł pierwszy list... zielony, zapowiadający bolesne kiełkowanie duchowe:

Nie wiem, co można jeszcze robie więcej w tych warunkach. Znajomi, którzy tu są, handlują po kawiarniach, a w najlepszym razie kelnerują i szklą szyby. Piszesz, że nie rozumiem sytuacji, tego, co się dzieje na świecie. Istotnie. Chciałabym mieć Twoją wiarę w to nowe wielkie jutro świata, ale dotąd czuję tylko zalewające nas fale zła. Kto ma stworzyć to jutro? Nienawidzący czy zrozpaczeni? Gdzie są twórcy? Na pewno dojrzewają sprawy, które potrząsną światem, ale nic z tego do nas nie dochodzi. Jesteśmy tu jak na wielkiej powierzchni stojącej wody i tylko kołyszące się na dalekim horyzoncie trzciny dają świadectwo jakiejś nadchodzącej burzy. Gdybyś tu mógł być, na pewno umiałbyś nam rozświecić, co się dzieje. Tutaj tylko dzieli się świat na wrogów i sprzymierzeńców bardzo uproszczonym sposobem. To jest okropne! A tymczasem każdy list pisze ze strachem, że to może już ostatni, bo zapowiadają utrudnienia. Tatuśku, nie chcę myśleć, że zerwie się kontakt z Tobą. Całuję mocno. Daruj mi moje pałki, widocznie nigdy z nich nie wyrosnę. Nie bądź dla córki zbyt surowy, bo robi, co tylko może, a życie jest dostatecznie trudne. Całuję.

Pod listem był podpis: „Krystyna”. Przekreślony. Na jego miejsce podpisała: „Twój Struś”. Dziecinny, zapomniany przezwiskiem. Dorosła dziewczyna tym dziecinny zaklęciem z głębi lat wzywała ojca, który stawał się nad wyraz potrzebny.

To był ostatni list, otrzymany w przeddzień wyjazdu. Następnego dnia siedziałem w świetlicy polskiej pełnej wygnańczych tobołów i mrowiących się ludzi i pisałem do żony list, w którym nie mogłem podać nawet, dokąd wyjeżdżam, list siedemdziesiąty trzeci i ostatni:

Więc to jest ostatni list do Ciebie. Odtąd będę mógł zapewne dawać wiadomości krótkie, okrężne i nieregularne.

Morze od dwu dni poczęło się zmieniać — -nigdy takie nie było. Pod czarnym niebem — jaśniejące i biegnące w dal. A od wczoraj rano zerwała się wichura, jakiej nie widziałem przez całe osiemdziesiąt jeden dni pobytu, i do dzisiaj trwa. Willa chwiała się i trzeszczała, blachy dudniły na dachu, worek powietrzny zasłały gęsto listki akacji.

Dziś, kiedy wyjeżdżałem rano na dworzec — ten huk i poświst trwał, ale niebo wystąpiło na swoją rękę z pożegnaniem: wywindowali ogromny szafirowy tron, aż czarny na niebie, które poczęło jaśnieć. Tron stał na tym blasku i był jakby na dwie osoby. Pomyślałem — czemu to wyobraźnia ludzka nie wytworzyła Boga żonatego — coś jak dawni Grecy. Zawsze

by z tego tronu sądził czy współsądził ktoś z mniejszą może logiką, a więc — łaskawiej. Kiedy tron jechał w górę, pod fioletową zasłoną, starałem się ją przebić wzrokiem, czekałem, jaki też będzie sąd nade mną. Spod zasłony trysnął blask — ktoś zasiadł sądzić na majestacie, ale ja, biedny robak, nie wiem, ani kto, ani jak osądził. I jadę.

Droga, najmilsza moja!... Piszesz, że oddając list na pocztę, czujesz się kilkaset metrów mnie bliższa — pomyśl, jak mi okropnie tak się oddalać. Trwałem jak najbliżej Ciebie, póki można. Zdaje się, że już dłużej nie mogę...

Na koniec jeszcze otrzymałem list Twój z 23 sierpnia nr 62 i z 28 nr 63, i ten list bez numeru ze wsi, i ten list bez numeru — krótki, lotniczy.

Więc jeszcze na pożegnanie zapachniało mi kościółkiem w Olchowcu, w którym baby śpiewały Godzinki, a Ty modliłaś się o mnie... „ledwo oczy przetrzeć zdołam...” O, moje oczy, moje oczy błękitne.

Dziś jest drugi września. Za tydzień, w przyszły poniedziałek, rocznica, kiedy Ciebie w Lublinie wsadziłem w samochód. Podobno, według relacji Tili, Króliczek za miastem chciał zatrzymać samochód i wracać, ale się bał, że King będzie krzyczał. Nie martw się, że tak nie zrobiłaś. Stało się, co się musiało stać.

Wyciągam do Ciebie ręce na północ, jeszcze jest tak blisko, jeszcze przez cztery godziny nie oddalam się od Ciebie. Powziąłem przemyślnie okazję, popłaciłem — jeszcze mogę otrzymać list od Ciebie, który dziś przyszedł do Carmen Silva. Ten list może jeszcze dojdzie, ale inny, który jest w drodze i sapie, wywiesił język i przepycha się przez kordony i cenzury, przyjdzie do Carmen za późno, siądzie na kamieniu i będzie płakał. Ale się nim zaopiekują: A ja — jeszcze z Konstantynopola napiszę do Ciebie. W Aja Sofia jeszcze może zostało coś z Ciebie, pamiętasz — nie chciałaś z niej wychodzić. Pomodlę się do Twego wspomnienia i powiem do tureckiego Boga: Ona takim słodkim głosem śpiewała „Allah jest Bóg!” — Miej pieczę nad nią.

Polecam Ciebie Wszystkim Bogom, Najdroższa moja: Godzinkom śpiewanym po kościołach, macierzankom pachnącym po rowach, wróblom skaczącym jesienią na zmarzłych łapkach. Polecam Ciebie powietrzu, co drga nad Polską, zimie puszystej, wiośnie słonecznej, latu i znowu jesieni... Polecam Ciebie dobrym myślom moim o Tobie, które naokoło Ciebie są wciąż w obłoku niewidocznym, w pyle, który się unosi, w podłodze, która skrzypi, w kałuży, co błyszczy przed Twoimi nożynami. Spij spokojnie — ongiś nienacalowana moja, teraz ta, do której pisanie mi nie dosyć, nie dosyć.

Do widzenia!... Do widzenia!... Do widzenia!...

Odrost

Jak broniło powietrze?

Od dłuższego już czasu krążyły wieści, że „Rój”, Towarzystwo Wydawnicze, które założyłem w 1926 roku, skonfiskują Niemcy. Toteż od dłuższego czasu trwało wywożenie książek do przeróżnych składów, rozrzuconych od Mokotowa po Wolę i Żoliborz. Wydawnictwo trwało w grubych, pozałamywanych przez bombardowanie 1939 roku, murach Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, jak twierdza czekająca na szturm. Teraz Mama, Króliczek domowy, rozpięła nad biurkiem męża jakieś tkaniny „Ładu”, powiesiła Matkę Boską Ostrobramską, stale zmieniała we flakonie biało-czerwone tulipany i czuła się silnie okopana,

Poczciwy dyrektor wydawnictwa, Włodarski, ustawił biurko w pierwszej sali, wejściowej, tam gdzie nie siadywał nigdy. Nazywało się, że jest to Żwaniec, który wstrzymywał pierwsze uderzenie na kamieniecką twierdzę.

Pewnego razu w Żwańcu zagotowało się. Królik wychylił nos i zobaczył oficera niemieckiego w otoczeniu gestapo z karabinami. Niemiec darł się doskonałą polszczyzną, przeplatając ją skrzekiem niemieckim. Zobaczywszy Mamę, zorientował się, że to właścicielka, ruszył w głąb, prosto na te tulipany. Jeszcze zawrócił do tej pierwszej sali:

— Wszyscy tu... Natychmiast.

Dyrektor stał nieporuszony w Żwańcu. Kasjerka, pocziwa stara panna, z wypiekami na twarzy trwała za swoją kasą. Prokurent, zatrudniony w „Roju” od samego powstania wydawnictwa, nie wstawał z krzesła, to samo buchalter, który wrył się oczami w swoją przebitkową księgę, to samo ekspedientki, biuralistki, woźni.

Dietrich (tak się bowiem nazywał ów absolwent lwowskiego uniwersytetu wyznaczony dla nadzorowania spraw księgarskich), zobaczywszy woźnych tłoczących się w drzwiach prowadzących do magazynów, poskoczył ku nim:

— Raus! Pan za magazyny odpowiada — postawił przy drzwiach szarą cywilną osobistość.

Personel nie ruszał się. Ceglaste wypieki wybiegły na twarz Niemca.

Skoczył na ten fort z tulipanami i tkaniną „Ładu.” i z nagłą spokojnie poprosił:

— Proszę, niech pani ich tu zawoła.

Natychmiast ruszyli się wszyscy, stanęli kołem.

— Wydawnictwo przechodzi pod zarząd niemiecki. Proszę jutro stawić się w zwykłej porze do pracy. Teraz zostanie tylko pani i dyrektor.

Ponieważ trwali na miejscach, podniósł głos:

— Wszyscy precz!...

Nikt się nie ruszył. Kasjerka, panna Helena, stała na przedzie. Ze swoją aksamitką na szyi wyglądała jak indyczka i tak ją po cichu personel nazywał. Teraz indyczka, cicha i zahukana zawsze przy swojej kasie, gorzała chęcią zostania Joanną d’Arc.

Dietrich targnął się ku gestapowcom i wpadł na wchodzącego młodego chłopca:

— Czego?...

Chłopak bystrym spojrzeniem ogarnął sytuację.

— Poproszę Biały Kieł Londona — wyrecytował.

— Nie ma dziś. Przyjdź jutro.

Ale już ochłonał i znowu:

— Niech pani każe im opuścić biuro.

— Proszę, niech państwo zostawią nas samych.

To mówi, a oni rozumieją, że mówi do nich: „Kochani...”

Wyszli, porozstawiali się po załomkach schodów, po wnękach, żaden nie poszedł do domu.

Dietrich nagle się zmienił. Znał hierarchię ludzi w Polsce. I niełatwo jest odszlifować się z kultury, w której się wzrosło.

— Pani wybaczy — skłonił się — przykro mi za to, co zaszło. Jestem tylko wykonawcą.

— Za co to nas spotyka?

Zniżył głos:

— Radzę nie zadawać takich pytań. Mąż pani napisał Na tropach Smętka.

Nie powiedział, skąd te względy. Okazało się, że zagarnia „Rój” dla swej kochanki, Polki, której mąż był w oflagu. Na to potrzebny był mu tytuł przejęcia z powodu „nieobecności właściciela”. Żona jednak właściciela, mając rejentalną plenipotencję, wносиła sprzeciw. Kiedy w parę dni potem była w biurze Dietricha u Geberthnera i Wolfa, zamknął drzwi do przyległego pokoju i powiedział z naciskiem:

— Radzę protestów zaniechać.

Jednak protest złożyła, ale zatonął pod bibułą; Dietrich wołał nie wyciągać konsekwencji, bo gdyby właścicielkę wydawnictwa zesłano do obozu i przedsiębiorstwo skonfiskowano, jego kochanka nie miałaby zysków.

Kiedy, nałożywszy pieczęcie, odjechali, zastała na zewnątrz personel w komplecie, portiera Franciszka oraz Reginową i Krystynę, które zaalarmował jakiś tajemniczy telefon.

Pan Franciszek przysunął się konfidencjonalnie:

— Proszę pani, tam z piwnic jest wejście do magazynów. Tamtędy by można...

Książek już nawyciągano., z prywatnych składów co niemiara i z tego żył personel aż do powstania, ale gorzeli chęcią działania, a Reginowa tubalnym głosem podsycala święty ogień.

Rano o ósmej następnego dnia przybyła do Domeczku, triumfalnie wiodąc ze sobą pana, którego na gwałt zwerbowała, jako że mieszkał w domu z obszernymi piwnicami. Przez całą noc ładowali na sprowadzone i umieszczone na tyłach podwórza fury. Pan zwerbowany, personel, woźnice wiedzący przecież, że to nie jest legalna robota, pan Franciszek i jego syn, który potem zginął w Oświęcimiu, pracowali gorączkowo, a z okien patrzył na to, kto chciał. Skoro tylko rano godzina policyjna się skończyła, fury wyjechały, ludzie się ulotnili.

Na godzinę dziewiątą zebrał się personel i przyszła szara cywilna osobistość wraz z Dietrichem. Podczas kiedy Dietrich pieklił się, kontrolując księgi, szara osobistość pograżyła się w czeluściach składów. Był to istny labirynt wysokich na dwa piętra sal, w których półki szły pod stropy budynku, stawianego na wzór weneckiej prokuratorii.

Pozna czy nie pozna?

Dietrich po paru godzinach poszedł sobie, szara osobistość co jakiś czas wynurzała się ze składów i widząc, że za więdnącymi tulipanami nie ma właścicielki, pomykała wśród wrogich spojrzeń z powrotem. Wreszcie, kiedy godziny biurowe minęły, zrezygnowana osobistość wciągnęła do składu dyrektora:

— Panowie patrzą na mnie jak na swołocz, a ja przecież też Polak. Zrobię taki remanent, jaki tylko się da. A to wejście do piwnicy, które zostało nie opieczętowane, to ja widziałem...

Tymczasem do Domeczku przyszedł pan, przedstawił się mruczando i powiedział, że tego chłopaka, co wczoraj pytał o Biały kiel, to oni przysłali „zmiarkować, czy pani nie wywożą”. I przyszedł spytać — jak sprawa stoi.

Przyszedł czas, kiedy w telefonie rozległ się głos tego samego pana:

— Miałem rewizję, skoczyłem przez okno, pogonili za mną. Niech pani ostrożnie zbada sytuację, jeśli nie ma ich w domu, proszę wynieść walizę spod łóżka.

Wskazany adres podawał dom odległy o kwartał. Krystyna — już była za drzwiami. Matka pobięła za nią z sercem ściśniętym trwogą. Puszczono je bez pytania do wskazanego pokoju, dano zabrać walizę bez sprzeciwu.

Po paru miesiącach zmarł ów pomocnik Reni. Książki zeskładowane przez niego mogły przepaść, bo któż je wyda? Ich właścicielka poszła na pogrzeb, zagadnęła pana wygłaszającego mowę żałobną; pan wygłaszający mowę żałobną skierował do pana administrującego kamienicą; pan administrujący kamienicą skierował do stróża dzierżącego klucze do centralnego ogrzewania; stróż kiwnął głową i powiedział: „Sie zrobi”.

Powietrze drgające nad Polską brało w opiekę.

Pierwsze wiązki ziela

Cypr, który okazał się miejscem azylu dla pięciuset polskich nieużytków, był wyspą. W Rumunii czuli się na wyspie moralnie odcięci od zdarzeń. Tu, na dobitek, byli na wyspie fizycznie. „Jest taki Cajprus w Śródziemnym Morzu, w którym się ludzie w czas wojny morzą” — poczyniała się popularna, ułożona adhoc piosenka.

W ostatnim liście skierowanym do Rumunii Krysia pisała:

Masz zapewne stale mdłą głowę błękitne niebo. A może naszego zazdrościsz? Bo pod zawsze błękitnym trudno jest wytrzymać.

Trudno, córeczko. Morze pod oknem szumi w dzień i w nocy. Jestem leśny człowiek. Nie zwiedzie mnie przymilność drobnej plażowej fali. Czuję za nią w każdej minucie dnia miliardy ton wody. Z drugiej strony, o kilometr, góry — strome i zżarte erozją. Na tej małej płaszczyźnie między nimi i bezmiarem wody mieszkamy jak w muchołapce. Góry też starają się być przymilne — na połowie ich wysokości stale stoi perłowy obłok. A nad tym wszystkim to ich lazuruwe niebo. Błąkamy się po szczupłej przestrzeni muchołapki, po polach wyżartych przez skwar, pokrytych „makkią”. To jest zespół roślin zdrewniałych przez wieki suszy.

Już zaczęły się sączyć okrężnymi drogami wieści z Polski. Wieści straszne o bliskich. Ci, których poraziły, mają do opanowania w sobie konkret nieszczęścia. Ale olbrzymia większość nic jeszcze nie wie. Rozumiemy tylko z tych listów, że rodziny w Polsce zostały wyrwane z korzeniami z normalnego życia, że pędy młode zerwane, zniesione w dół przez lawę, sterczą tu i tam, nie zakorzenione, usiłujące żyć.

Nie mam listu z Polski.

Nie otrzymałam ani jednego listu z Ameryki.

Chronimy się w opar bridża, robót włóczkowych, uczenia dzieci.

Ale idzie, zbliża się Wigilia.

Przedrze ten opar.

I niczym jej odwrócić nie można.

Wilia odbyła się w wielkiej sali hotelu, o który bije morze.

Łamanie się opłatkiem poprzedziła introdukcja:

*Teraz właśnie i nasi bliscy w kraju
Są duchem z nami w myśl odwiecznego zwyczaju,
Po chłodnych mieszkaniach w tej właśnie chwili
Siedzą przy skromnie zastawionej wilii.*

*Stół jak dawniej nakryty, pod obrusem siano,
Puste krzesło przed miejscem, w którym nas sadzano,
Na talerzu opłatek... Cicho!... Teraz drogie ręce
Z nami go przełamują w serdecznej udręce.*

Sala stężała.

Cicho... Jak serce bije... Przez takie przestworze

Zda się, że ich słyszymy. Nie – to szumi morze.

Głos recytującego załamał się. Nagle histeryczny krzyk:

— Dosyć!...

To inżynier P. Otrzymał wiadomość, że córkę jego wywieziono. Porwał się i wybiegł z sali.

Siedziałem po tej wili na ostatnim głazie nad morzem, patrząc na Gwiazdę Polarną. Pamiętam tę oznaczoną listami godzinę wigilijnego dnia, kiedy przyrzekliśmy sobie z żoną z jej uderzeniem spojrzeć na ten sam punkt w przestworzach. Potem patrzyłem na zachód — tam gdzieś była Tili. A na wschód leżała Mersyna na tureckim brzegu, potem jakieś Arabie, Indie, Malaje, bezmiary Pacyfiku. Równie dobrze mogłem patrzeć na zachód. Ziemia jest okrągła. Na wschód i na zachód, na północ i na południe stała ściana przestrzeni.

I nagle przypomniałem, jak Mama czytała dzieciom jedną z pierwszych książek — W pustyni i w puszczy. Jak biedny słoń King stał uwięziony w wąwozie i ginął. Ale dzieci poczęły mu rzucać wiązki trawy. I jak odtąd przyłgnęła do mnie nazwa King.

Kiedy się przywlokłem do hotelu z powrotem, służący, Grek, powitał mnie rześkim Kali mera!... i podał depeszę. Ten żółty skrawek papieru mógł przynieść straszne słowa.

Ale słowa były te:

Hoping working remembering ewrything, am with you tonight

Pierwsza wiązka ziela padła do zamkniętego wąwozu.

Niebawem uwięziony King zaczął otrzymywać coraz więcej tych kielków. Pierwsze listy, jak się okazało, na skutek nieporozumień pocztowych szły pół roku. Następne po trzy miesiące, potem dwa, wraz z przystąpieniem Ameryki do wojny znowu trzy, aż wreszcie w ostatnich jej latach — miesiąc. Zważywszy, że i w tej najlepszej fazie na zapytanie i odpowiedź schodziło najmniej dwa miesiące, trzeba powiedzieć, że osiemnastolatka była sama. Z Krysią było jeszcze gorzej. Była za to z nią matka, ale był i codzienny dławiący dzień.

List wigilijny od Tili przebił się później. Był pełen tęsknoty i skupienia.

Każda ławka w kaplicy umie już na pamięć wszystkie Wasze potrzeby i wszystkie moje marzenia. Jestem z Wami do tego stopnia, że ubierając tutejszą choinkę w szklane kule, jakich się u nas nigdy nie wpuszczało do domu, nie widzę ich, robię to zupełnie machinalnie. Choćbym już nigdy, nigdy nie miała Was odnaleźć, miałam dziś swoją wilię, byłam z Wami.

Pierwsze te kielki ziela rzucanego przez ocean były jeszcze bardzo blade i nie nalane chlorofilem. Considinowie wzięli ją na wycieczkę po kraju. Kąpiąc się w jeziorach, których nazwy były dla niej legendami z Coopera czy Mayne Reida, oglądając wspaniałości nowego świata, pisała do Krysi.

Zazdrościsz, że kąpię się w Michigan? Dziwiłaś się, że nie zwiedzałam Rzymu? Ty byś też nie zwiedzała. Jestem jak człowiek nieomal zamarznięty na śmierć.

Ale listy do Taty były pełne „ha... ha...” śmiechu i gadulenia. Stary, otrzymawszy taką kopertę wypełnioną wesołością, czmychał nieufnie. Rozumiał, że biuletyny kielkowania były kłamliwe, i nie wiedział, jak poza tym błazenkowaniem odbywa się proces istotny.

Dom Considinów współdziałał z tą regeneracją osiemnastoletniej płonki, jak mógł. Kiedy przyszły jej urodziny, wniesiono uroczyste tort z dziewiętnastoma świeczkami. Dad, bo

starego Considina nazywała, tak jak Betty, tatusiem, wygłosił modlitwę: God bless Marta and keep safe her people, a Betty cichutko i pośpiesznie dodała: And bring her a letter. Bo listów nie było. Po czym kazano jej gasić świece jednym dmuchnięciem i zgromadzone młodziaki nie mogły się nadziwić, że mają przed sobą kogoś, kto pierwszy raz gasi świece na swoim torcie urodzinowym. Cztery świece nie zgasły — wróżba, że za cztery lata wyjdzie za mąż, spełniła się potem co do joty.

Odcelebrowawszy z dadem i mummy, młodzież wieczorem kopnęła się do restauracyjki, gdzie powitano solenizantkę kujawiakiem odśpiewanym po polsku. Betty знаła wszystkie słowa, Bill, kandydat na narzeczonego, musiał się wkuć prawie całości, za to Jimmy, brat Betty, umiał tylko: „Ja ci buzi dam, ty mi buzi dasz”.

Considinowie dali całą dobroć, na jaką mogli się zdobyć tylko bardzo dobrzy ludzie. Mummy, szyjąc sukienkę dla Betty, równocześnie taką samą ściła dla Tili. Zorientowawszy się, że „nowo przybyła córka” nie przywykła do robót w kuchni, pod wszelkimi pozorami usiłowali jej ich oszczędzić. Wytworzyli atmosferę rodzinną w najdalszym promieniu. Tego dnia urodzin Tili raz po raz była wzywana do telefonu. Telefonistka mówiła, że ma dla niej message urodzinowy, coś tam odśpiewywało całą piosenkę urodzinową Happy brithday to you, po czym telefonistka mówiła; Signed Bill albo jakaś Catherina czy inny Joe. Za chwilę — trzeba było znowu lecieć do telefonu i wysłuchiwać śpiewania.

To całe ciepłe staranie szlachetnych ludzi przypominało troskliwe okopywanie sadzonki. Ale nigdy nie wiadomo, czy sadzonka się przyjmie. I jak się przyjmie. W gruncie obcym i w samej roślinie są opory.

Tili pisała do matki:

Jane, siostra Betty, przyjechała nas odwiedzić pod Chicago. Za cztery miesiące spodziewa się dziecka i promienieje, bo to było jej marzenie. Wyobraź sobie, Mamo, że Mother trzymała to w wielkiej i wstydlivej tajemnicy przed Betty i przede mną! Szydełkowała pracownice jakąś białą kołderkę, ale objaśniała, że to na dobroczynny cel. Gdy Jane przyjechała, zaczęła się do nas obu cieszyć na ten temat i była nieco skonsternowana naszym zdumieniem. Zdaje się, że Mother dotąd nie może ochłonąć z szoku. Imagine!... Mówić na ten temat... Och, Wielki Boże! — Gdzież ja tu jestem i jakim sposobem? Czasem myślę sobie, że gdyby Mother and Dad znali mnie naprawdę, taką jaką jestem z Wami, to byłiby przerażeni i zdumieni, zawiedzeni nawet. Cóż ja na to poradzę? Nie zmienię siebie i nie zmienię Was, i nie zmienię swego wspaniałego dzieciństwa, i swoich szesnastu lat, które dla mnie, mimo że jeszcze nie jestem starszą panią wspominającą rzewnie pierwszą młodość — były cudownym okresem. I nie zmienię swojej tęsknoty do Was, do dawnych form życia, mamowej kojącej miękkości, Kingowej niezbędności w każdej ważnej chwili, Krystynowej kanciastej potrzeby bycia blisko, jak powietrze, którym się oddycha. Czasem myślę, że to nie dlatego, że jesteście moją rodziną (każdy ćwok kocha swoją rodzinę), ale że Wy jesteście swego rodzaju ideały, les types tego, co to jest Matka, Ojciec lub Siostra.

Całuję Was, Ideały — do następnego listu.

Z pomocą Considinom przyszło college. College „Holy Child”, prowadzone przez ten sam zakon, co i „Beata” w Szwajcarii.

Pierwsza lokata z romanistyki na uniwersytecie we Fryburgu, kucie w „Beacie” i cała działalność społeczna miały się teraz nieoczekiwanie wypłacić. Rewerenda szwajcarska w listach do Rewerendy amerykańskiej nie mogła się dosyć nawychwalać grupy czterech polskich dziewcząt. I kiedy jedna z nich się zjawiła — Rosemont ofiarowało pełne stypendium. Na młodą Polkę oczekiwał najlepszy pokój i pełne czynnej życzliwości

przyjęcie. W Rosemont jeszcze wisiały plakaty malowane przez Betty: The Poles are starving wzywające do ofiarności na cele polskie.

Przybyła urządziła sobie pokoik na istne stoisko polskie — z pasiakami, Stryjeńską, mapami i Matką Boską Ostrobramską. Tak okopawszy się, rzuciła się do pracy, gryząc angielski w terażniejszości i przeszłości rozpaczając, że skromne słowo the miało dawniej nie tylko trzy rodzaje, ale i pięć przypadków, czego nie pochwałała bynajmniej. Mimo to po dwóch miesiącach, kiedy zaproponowano napisanie sztuki na tematy biblijne, zgłosiła się, zapytując, czy sztuka ma być napisana w staroangielskim. Klasa kulgała się ze śmiechu, ale sztuka nie tylko została napisana, ale i odegrana przez zespół teatralny college'u.

Dawnym zwyczajem college'ów amerykańskich uczennice mające stypendia były częściowo zatrudniane bądź w biurze, bądź w infirmerii, kuchni, pralni czy innych działach. Nie tylko nie żądano tego od Marty, ale tak starannie to zakonspirowano, że dowiedziała się o istnieniu tego zwyczaju po roku pobytu.

Koleżanki amerykańskie zwróciły się do Betty z poufnym pytaniem, czy mogą zbiórką w całym college'u sprawić Polce Easter Suit, to znaczy kompletną wyprawę.

— Za Boga, nie róbcie tego — nastawiła czarne oczy Betty. — W jej pałacu ludzie przyklękali z półmiskami.

Zakonnice starały się z całą dobrą wolą hodować to kukułczą, podrzucone z egzotycznego kraju.

Mała pisała w ćwiczeniu:

Tatusz zawsze mówił, że szkoła to zawracanie głowy (a useless burden and a waste of time). Kiedy raz pod koniec roku miałyśmy pięćdziesiąt procent godzin opuszczonych, a mimo to osiągnęłyśmy promocję, w tajemnicy przed mamą zabrał nas do restauracji, aby oblać to osiągnięcie.

Ojciec dał nam smak życia, łapczywość na dźwięk, barwę, smak, zapach. Konspirując przed ciotkami, a nawet czasami chwilowo przed mamusią, ojciec nawiedzał z nami jakieś szyneczki, zabawy podmiejskie. Był czasem zaambarasowany naszym soczystym słownikiem, ale sądzę, że mało która z moich rówieśniczek w Polsce zna tak dobrze język polski z jego grającą gamą cieni, z jego slangiem ulicznym, gwarą chłopską, żargonem polsko-żydowskim, wszystkimi wibracjami góralskimi, kresowymi i kaszubskimi.

W tym miejscu, jeśli father był zaambarasowany, to tym bardziej byłoby to dozwolone zakonniczy-nauczycielce. Tymczasem dobra dusza akurat przy tych szyneczkach opatrzyła margines bogobojnym pismem: A good legacy.

Kiedy jednak w dalszym ciągu tego zabawnego ćwiczenia adeptka do graduation bogobojnego college'u i to przypisywała Tacie, że I was taught never to rely on teachers' judgement („nauczyłam się nie przywiązywać wagi do opinii moich nauczycieli”), zakonnica bardzo wstydliwie drobnym maczkiem odnotowała: This is a little harsh. Brawo, paniusiu! Sam Tata tu by napisał zamaszystym pismem: „Pałki!... Koci ogon”...

Bo też dziecinne to było jeszcze bardzo. Pół listu czasem bywało poświęcone uciesze z odkrycia orzecha kokosowego, a jakie mleko, a jaki miąższ, a jak ona taki orzech przywiezie do Warszawy, a Struś będzie wyprawiał strusie miny, i jak usiądziemy przy kominku i będziemy gadać, i kto po kim będzie gadać, i jak były namotane różne plany, i nawet kupiony jakiś cudowny cybuch dla Kinga, „żeby mógł sobie słuchać i podmuchiwać”; na zły stopień były jeszcze łyzy — nie było na podorędziu oparcia w cynizmie Taty, a honor bolał („z tymi ćwokami, które od małego wiedzą, co tu, kto jak w tej Ameryce, kiedy powiedział albo napisał, trudno konkurować”); stopnie celujące były celebrowane „indiańskimi taniami”; o zachwycającej sukience jedwabnej w jakieś pasy, na co wydała całe swoje zarobione

pieniądze (o czym potem) — były dwie strony listu, które ważyły i obwachiwały podejrzliwie cenzory i wiół jakiś okręt, ryzykując w konwoju od bieguna do bieguna.

Mała trzymała się praktycznej zasady pisania listów przez kopię i posyłania wszystkiego do matki, siostry i ojca. Listy do siostry były drwiąco-przekomarzające — tam najłatwiej można było obserwować chandrę i pałki. Swoimi chandrami, swoją tęsknotą nie chciała obciążać rodziców — zapominając, że przecież wszystkie listy są wspólną własnością całej rodziny. Listy do ojca — były porachunkami sumienia. Za to w listach do matki — wychodziło dziecko, które przed każdym straszniejszym egzaminem prosiło:

— Mama, trzymaj.

Tata pamiętał, jak za warszawskich czasów zauważył, że Mama ma stale lewą dłoń zwiniętą naokoło schowanego dużego palca.

— Tili ma klasówkę — tłumaczyła z zakłopotaniem — i przyrzekłam jej, że dziś będę „trzymać za nią”.

Koleżanka Rosemarie, glamorous girl z falą platynowych włosów spadających na ramiona, wpadła kiedyś do pokoju-stoiska propagandowego, aby poplotkować na bardzo zajmujące tematy. Tili wtedy miała bardzo ostre zapalenie ucha i nie mogąc zająć się żadną umysłową pracą, wystrzygała nieskończoną ilość sylwetek górali, które miały być nalepione na afisze propagandowe.

Rosemarie zobaczyła, że jej polska koleżanka, kiwając się z bólu, strzyże przemokłych górali, lży padają po nich jak groch, a twórczyni kiwa się i powtarza:

— Mama-a-a, Mama-a-a!

— Mama—jest to słowo międzynarodowe. Rosemarie cichutko zamknęła drzwi.

Niech Bóg odpłaci im wszystkim, którzy przyczynili się, by jeszcze rozdmuchać dzieciństwo mogące się skończyć przedwcześnie: Considinom, ich dzieciom, kolegom ich dzieci, koleżankom w Rosemont i wychowawczyniom. I grubej siostrze Ambroise, klucznicy, która wieczorami wkraczała do pokoiku-stoiska z czerwonym jabłkiem na talerzu i rozprostowując pofałdowane spódnice, rozsiadała się na łóżku, wysłuchiwała eksklamacji światopoglądowych i odpowiadała jak kucharka Maria, której Tata dysponował łososio-pstrągi: „Tak, to tak... Ale musi, co befsztyk będzie więcej podchodzący”.

Co najważniejsze — znalazła Polaków. Poznała w Stevens Point starego pana Romera, współpracownika Gwiazdy Polarnej, który od czterdziestu już lat był w Stanach. Stevens Point jest zapadłym miasteczkiem otoczonym przez farmy polskie, w których ludzie jeszcze w czwartym pokoleniu mówią po polsku, i miasteczko w dni targowe wydaje się żywcem skopionowane z jakiejś Gołańczy. Pan Romer ani w ząb nie mówił po angielsku i tęsknił do Polski. Przeniósł tę tęsknotę na „pannę z dworku”, jak stale pisał w listach, i na wszelkie możliwe okazje pod każdym pretekstem posyłał czekoladę, aż Betty go zaadoptowała jako „Uncle Gustave”.

„Uncle Gustave” przyjaźnił się z drugim samotnikiem — starym panem Lilienem, który borykał się z dziełem swego życia — wielotomowym słownikiem polsko-angielskim. Starzy panowie zabawnie konspirowali na rzecz „panienki ze dworku”. Pewnego razu pan Gustaw przysłał dziesięć dolarów z wiadomością, że „jeden z moich przyjaciół, p. E. L., tak się zachwycił rękopisem artykułu ojca Pani ze Stevens Point, że przysyła 10 dolarów z prośbą o zezwolenie na zakupienie jego do Muzeum Polskiego w Chicago”.

Kiedy Reginowa wobec zbliżenia się Rosjan wysłała zwariowaną depeszę: „Ratuj ojca, poślij czterysta dolarów na przejazd, zwróć”, mała przerażona, co tylko przybyła, nie znająca Ameryki, postawiła się na głowie i w przeciągu tygodnia potrzebną sumę zgromadziła, nic nie mówiąc o swoim kłopotcie Considinom; pan Romer przysłał wszystko, co miał, o czym dowiedziałem się już potem, mianowicie pięćdziesiąt dolarów z listem, że te pieniądze są mu, absolutnie, ale to „absolutnie na nic niepotrzebne”.

Ostatnie cukierki przyszły bez zwykłego listu. W tydzień potem sprawę wyjaśnił list Liliena:

Pan Romer, polecając wysłać czekoladki, nie mógł już pisać. Umarł następnego dnia. Nie powiadamiałem Pani o tym, nie chcąc, żeby czekoladki przyszły równocześnie z tą wiadomością, bo wiem, że taka by była jego wola.

Pewnego dnia otrzymała list od pana Łodzieskiego, właściciela piekarni i szeregu sklepów piekarskich w Cleveland. Pan Łodzieski czytał Smętka i dowiedziawszy się, że córka autora jest w Rosemont, pisał:

Nie wiem, w jakich Pani warunkach się znajduje, ale sądzę, że w takich samych jak wszyscy inni tułacze polscy. Przeto ośmielam się Pani ofiarować wszelką pomoc w Pani tragizmie. Niech Pani pozwoli być zastępcą ojca w potrzebie. Żołnierze polscy, rozrzucony po całym świecie, szukali swoich matek, a gdy takowych znaleźć nie mogli, prosili inne kobiety polskie przez ogłoszenia, aby zechciały zostać ich przybranymi matkami. Takim też przybranym ojcem chcę zostać dla Pani, jeśli mi Pani pozwoli.

O panu Kocielu niech opowie jej list:

Wczoraj po południu powędrowałam do, pożałuj Boże, redakcji najstarszego pisma polskiego w Filadelfii, „Patrioty”, żeby zobaczyć się z redaktorem Grzegorzem Kocielą. Byłam nie zapowiadana. Wcisnęłam się w brudne stosy papierów między maszynami drukarskimi i przedstawiłam się człowiekowi po sześćdziesiątce, w okularach spadających na nos i z oczami ponad nimi tak wyblakłymi z niebieskiego, że prawie koloru szkieł. I kiedy patrzył, wydawało się, że dwa duże szkła patrzyły bez oczu za nimi. Przeszło tygodniowy zarost i ekstra wąsy, rozchełstana koszula, nie dopięte spodnie i nie oczyszczone buty. Siadłam na stosie papierów na ofiarowanym stolku i zaczęłam rozmawiać. Jest tutaj trzydzieści osiem lat. Po raz bodaj pierwszy spotkałam się z kimś, dla kogo moje nazwisko nie znaczyło ani Ciebie, ani pustki, ale mnie i tylko mnie (wiedział o mojej robocie propagandowej w Rosemont). Kiedy szłam do niego, uprzedzano mnie, żeby się „nie zrazić”, bo tam straszliwa nędza, ale że Kociel sporo wie. Słuchałam przez dwie godziny. Ludzie tak zawsze dużo mi o sobie opowiadają. Może dlatego, że wiedzą, że mi ciekawie. A może mówią o mnie, a patrzą gdzieś w Polskę. Kociel opowiedział mi takie po prostu pensjonarskie wszystko o sobie, bez amerykańizmów, ale najzabawniej literacką górnołotnością pomieszaną z gwarami wszystkich części Polski. A potem znów powiedział trochę się zacinając, jak Łodzieski: „Dosyć spojrzeć na pani twarz, a tam – Polska”. Wstałam, nieco zmieszana. Przeżywałam na jawie „Wspomnienie z Maripozy”. Wyciągnęłam rękę na pożegnanie. Wytarł ze swojej chustą farbę drukarską. Poczułam na swojej ręce najprzód wąsy, a potem nie golony zarost, a potem nie zdawkowy inteligencki, ale sumienny chłopski pocatunek. Wyszedł z zaśmieconej klatki do równie bałaganowatej drukarni. Szedł za mną i ciągle opowiadał. Mówił w drukarni. Mówił stojąc w progu. Wyszedł za mną, mówiąc ciągle, na ulicę. Tam wreszcie powiedziałam do widzenia. Poszłam ku przystankowi. Obejrzałam się. Z ręką na odrzwiach stał „Kociel” na progu „Patrioty” i patrzył za mną. Słońce błysnęło na szklach okularów i na rozchełstanej koszuli. Nie machnął ręką. Nic nie krzyknął. Stał i patrzył za mną. Teraz o tym myślę – chciałabym sama spotkać kogoś, o kim bym myślała, że to – Polska.

Czyż ta jej jazda w życie nie była dalszym ciągiem tych przeżyć sześciolatniego dziecka, które wsadzone w pociąg z ośmioletnią siostrą jechało samodzielnie z Warszawy za Lublin,

ochraniane przez konduktora, przez tragarza, przez przygodnych pasażerów, którzy brali dzieciaki do wagonu restauracyjnego, przez przygodne mamusie, które patronowały im do ubikacji? Czy nie była dalszym ciągiem tych zawierzeń ludziom na sportowych wycieczkach, gdzie im pomagano montować składaki, pompować rowery? Czyż nie była dalszym ciągiem noclegu z chłopakami w schronisku górskim, czyż nie była dalszym ciągiem opieki wąsatego robociarza w tawernie portowej w Marsylii? Tego ufego stosunku do świata nie mogła stłumić niepojęta rozmowa z dziewiętnastoletnim pogruchotanym Alexandrem, rozmowa tkwiąca w duszy jak cierń, który usiłuje się otorbić.

W tej ufności — napisała do Ignacego Matuszewskiego. Jako że był ministrem skarbu, a ona obawia się egzaminu z ekonomii, żeby ją ratował.

Wiedziałam, że ma niestęchanie wiele roboty, zwłaszcza że Yolles jest teraz na urlopie. Wątpiłam, czy znajdzie czas na wkuwanie głupiego ćwoka, ale równocześnie nie umiałam sobie wyobrazić, że mógłby mnie zawieść. W środę koło siódmej, pośrodku obiadu, przyszedł telegram: „Przyjechałam, jestem do rozporządzenia w hotelu Adelphia”. Zaraz poszłam, usiadłam z wiązką papierów na kolanach i przez blisko cztery godziny monologowałam odpowiadając na pytania z tematów, które miał poprzedzający rocznik i które mu na próbę przyniosłam. Nie chciał wyjechać, aż będzie po egzaminie. Kuł mnie jeszcze nazajutrz rano, czekał z obiadem, aż przyszłam z egzaminu. Wzięłam na obiad Betty. Kazał sobie pokazać pytania i powiedzieć, jak na ich temat napisałam. Powiedział, że zapewne wszystko jest pomyślnie, zapłacił rachunek i wrócił do New Yorku. Przez cały ten czas nawet nie miałam okazji zapytać „How are you”. Jak się ludziom dziękuje za taką dobroć? „Dadowi” bardzo zaimponował przyjazd pana Ignacego. Powiedział: „Your father must be of very fine people if his friends stick by you like that”. Co mnie ucieszyło no end.

Prędzej, niż należało się spodziewać, poczęli się apsztyfikanci. Stało się, kiedy zaczęła pisywać do prasy polskiej i angielskiej.

Przed trzema tygodniami redakcja znowu odesłała mi list. Gdzieś z obozu artylerii od jakiegoś Stanleya, który „ze stylu i idei wywnioskował, że wspólna postawa moralna sprzyja wymianie idei”. Odpowiedziałam dosyć zdawkowym krótkim listem — też po angielsku. Na to otrzymałam wielkie liścisko po polsku. „Kochana Marto” — rozpoczyna młody człowiek, po czym okazuje się, że „zawsze miał serce otwarte wszystkiemu, co polskie”, i że nawet ma „Smętka” w domu. „Panna wybaczy, jeszcze tej książki nie przeczytałem, no, ale wnet się ujarzmię do tej roboty.” „Byłem od dawna jakoś poetycznie nastrojony, różne imaginacje kombinowałem i w ten sposób napisałem też do Panny. Teraz, gdy Panna mi odpisała i nieba uniżyła, jestem więcej pewny siebie. Wyobraziłem sobie, że jesteś Panna jak poranek polski, uciechna, świeża i radosna.” Najbardziej zdumiewający jest jednak koniec listu. Zapowiada przyjazd, a potem... „Naprawdę będę się musiał Pannie wypowiadać. Mam coś powiedzieć. Cała moja wina w tym, że poetycznie nastrojony. Zawsze chciałem piękną i dobrą dziewczynę znaleźć. Co Panna by zrobiła, gdyby trzy serca naraz znalazła? Czasami myślę, że najlepiej zostać pustelnikiem z tego powodu. Napisz mi, Panmo, coś o sobie i czy mogę tak tylko mówić: Maria.”

Wytańczyłam dziki tan uciechy czytając ten list Betty, po czym machnęłam ręką wzorem Bisia: „Głupia zabawa”. Ostatecznie po diabla uniażać nieba dwukrotnie i robić młodego ćwoka bardziej poetycznym na temat polskiego poranka. Poza tym nie bardzo byłam ciekawa informacji na temat trzech serc znalezionych naraz. Wobec tego nie odpisałam. Ale przed trzema dniami otrzymałam list napisany po angielsku dla pewności i zatytułowany „Dear Tili”. Jęknęłam kompletnie załamana; okazuje się, że młody ćwok ujarzmił się do czytania i oto

dezawantaże popularności. Okazało się, że wpatruje się rzewnie w moje dwunastoletnie fotografie. Pomyślałam: zwariował młody człowiek! i postanowiłam zakończyć jego marzenia o eterycznie polskiej piękności, oczekującej go w Filadelfii. Wobec tego odpisałam króciutko, że ku memu żalowi intensywne studia nie pozwalają mi na obszerniejszą korespondencję, poza tym, że niech sobie nie robi iluzji na temat polskiego poranka, bo sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i sześćdziesiąt dwa kilogramy żywej wagi w żaden sposób na to nie pozwalają. Mam nadzieję, że może incydent skończy się na tym prozaicznym oświadczeniu.

Myślicie, że „Stanley-situation” jest rozwiązana? Gdzież tam!

Dziś rano właśnie dostałam nowy, czwarty, chwała Bogu, list. Sytuacja rozwija się pierwszorzędnie. W sobotę rano nieznany wielbiciel zapukał do bram domu, robiąc specjalny dwustokilometrowy wojaż na tę intencję. Nic nie mogę zrozumieć i bezradnie drapię się w głowę (moralnie oczywiście), patrząc ze wstrętem na Betty, która wiję się z uciechy. Że też mamy zawsze niestworzone wydarzenia! Poznałyśmy w Rosemont młodego człowieka, komandora. Potem dał znać, że leży w szpitalu. Wzięłyśmy książki i pojechałyśmy. Wpadłyśmy na dwóch młodziutkich sanitariuszy żujących gumę i dyskutujących ostatnie wydarzenia base-balowe. „Komandor XX – skrzywił się pocieszenie bardziej zadartonosy. – Hej, komandor, chodź no tutaj.” Obejrzałyśmy się bardzo zdetonowane, bo komandor okazał się sierżantem. Okrągłogłowy Murzyn w windzie śmiał się serdecznie.

Teraz – Stanley pisze: „Oczekiwaj mnie”. Oczekiwam, więc, oczekiwam.

Dlaczego my zawsze mamy jakieś nadzwyczajne awantury? Dwa dni temu byłyśmy z Betty na stacji i zobaczyłyśmy jakiegoś obdartusa pijanego na biedronkę, potykającego się co krok o ciężką walizę. Wobec tego ja chwyciłam za walizę, Betty za obdartusa i wpakowałyśmy go do tramwaju. „Thank you, honey, thank you sweetheart.” A potem najnieoczekiwaniej po polsku: „Dziękuję”. Betty podskoczyła z uciechy i zapytała starannie: „Czy pan mufi po polsku?” Coś mruczał. Siwowłosy dobroduszy portier roześmiał się, gdy wróciłyśmy. „Ależ macie odwagę, girls... Ten pijak pobił tutaj rano tragarza.” *Rappelez-vous, mes enfants, chaque bonne action est toujours punie!* – przypomniałam Ringowe pouczenia. Byłyśmy bardzo zdekoncentrowane. No, a teraz Stanley.

W sobotę zamiast jego przyszła depesza: „Żałuję, że nie mogę przyjechać. W wojsku nigdy nie wiadomo. Keep smiling”.

W dwa dni potem otrzymałam list. Że „ach, ironio!”... Że: „Taki kontrast!” Że: „Kiedy miałem Czas spędzić z Panną, to zostałem zamiast tego w tej szarości wojskowej”. Z długich i enigmatycznych wywodów wynikało, że szarością wojskową był jakiś karniak z dyżurem w kuchni. Konkluzja: „Jeśli mnie w moim smutku z rzewności Panna chce pocieszyć i ból uśmierzyć, list od Panny będzie najlepszym panaceum”: Jestem w rozterce, czy temu garkotłukowi wojennemu pancejnąć raz jeszcze, czy się przytaić – może się odczepi.

Zaczynam już kolekcjonować listy „samotnych serc”. Jest taki jeden w Szwecji. Jak zaczął mnie tytułować „Dobrą Wróżką”, tak już z niej złazić nie chce. Dostałam przed kilku dniami list kilkunasty z fotografią o heroicznym marsie i dedykacją – znowuż „Dobrej Wróżce”.

Mama – co robić? Wiem, że dla tych różnych chłopców, zwłaszcza zamkniętych w obozach, listy to wielka atrakcja. Staram się pisać miłe, choć to tak trudno wymyślić dziesięć różnych listów do osób, których się nie zna. Ale nie chcę zanadto przez oceany rozdmuchiwać tych sentymentów. Gorzej z paczkami. Teraz wprowadzono tak zwane request labels, wydawane jeńcom przez władze obozowe. Tu Wy możecie pomóc. Przysyłajcie adresów jak najwięcej, a przede wszystkim przyslijcie adres Tadula, Kazia i Stefka, o które już kilka razy Was prosiłam. I Zygi. I Ludka. No i w ogóle wszystkich, jakich tylko możecie.

Tata, odczytawszy tę kopię listu do Mamy i Krysi, zrozumiał: sadzonka kiełkuje. Przy odpisach był list do niego, z zachwytami, że ziemia jest okrągła: więc stąd wniosek, że King może do Ameryki przyjechać.

King przypomniał rozmyślenia wigilijne, kiedy nie wiedział, czy twarzą zwracać się na wschód, czy na zachód, bo ziemia jest okrągła, bo między nimi są takie przestrzenie. Dla niej — to właśnie był plus.

Młodość... Jakież to czepliwe!

I z Polski wiązki ziela poczęły wpadać do pułapki cypryjskiej. Listy szły przez Tilusię, więc miały jeszcze dwakroć dłuższą drogę.

Wilię w Domeczku klecono na nowo. Było bardzo biednie, i Krysia z dumą donosiła, że kupiła dziesięć świeczek. Z tamtej topieli sprzed dwudziestu lat przechował się obrus kalużański, tak zwany adamaszkowy. Obrusy takie podobno przodkowie obstawiali w Holandii. Był obliczony na trzydzieści sześć nakryć i cały przerabiany w herby Wańkowiczowskie. Krysia złożyła go w ósemkę i położyła na sianie wigilijnym.

Mama, borykając się z rzeczywistością, starała się, by podtrzymać dawny styl życia, starała się, aby szarość nie zalała tej młodości. I kiedy miejsca najkolorowsze z kolorowych — Bezek i Świącica, i Kamienna Góra, i Serebryszcze — byty na razie niedostępne z powodu spraw wrześnieowych, Mama, jak gdyby nigdy nic, wyjeżdżała z Krysią do Zakopanego.

W Zakopanem szalało gestapo, które strzegło przejść przez Węgry. Kuzynce mojej znajomej zadusili w jej oczach kilkumiesięczne dziecko, raz po raz zwalniając uchwyt i pytając, czy będzie zeznawała. Młoda kobieta nie wydała, ale, na szczęście, połamano jej krzyż i zmarła.

Góry jednak to było państwo wolności. Świerki stały jak w dawnej Polsce i woda rwała w potokach po kamieniach jak dawniej. Była z nimi Hanka Jastrzębska, koleżanka Krysi. Przyjechały zmierzchem, kiedy gestapo kolejowe szło na kolację i nadzór słabł. Przemknęły wprost z dworca w góry — na Halę Gąsienicową. Tam — było królestwo polskie. Sami wysokogórcy. Czupełne to, z ceprami nie rozmawiają. Ale Krysię wzięli na wyprawę wysokogórską z klamrami. Wróciła szczęśliwa. Kąpała się w siklawie, choć to był październik. Dla Mamy też była atrakcja — powrót reglami, lasami mżącymi różnokolorowym listowiem. Mama mówi teraz, że takiemu zachłystowi wolnością równa się tylko uczucie, z którym się szło do powstania.

Ale i w tym czystym powietrzu górskim nagle uderzył o nie zaduch niewolnictwa. Poszły na Kasprowy. Tam był wspaniały hotel-schronisko i pełno Niemców. Kelner na werandzie pochylił się ze współczuciem:

— Polakom mogą podawać tylko zupę.

Wtedy — poczęły wyjmować specjały przysłane przez Kinga z zagranicy: prawdziwą kawę, rodzynki, migdały, czekoladę, sardynki.

Szwaby przy sąsiednich stolikach trącały, się łokciami, wskazując na tę ucztę. Smętny triumf.

Innym razem pojechały do Czorsztyna, do Drohojowskich. Ale willę nad chmurami w Nadzamaczu zajmowali Niemcy.

Drohojowscy pomagali niejednemu przedostawać się za granicę. Jeden z młodych ludzi nadesłał kartkę... z podziękowaniem. Drohojowskiego i jego syna wzięto za to do Oświęcimia i zamęczono. Drohojowska siedziała w Ravensbruck. W domu samotnie, z ogrodnikiem, przebywały dwie młodsze siostry (najstarsza poszła do klasztoru). Dom był zapowietrzony tym podejrzeniem o przeprowadzanie za granicę, podejrzeniem przypieczętowanym krwią. Matka z Krystyną zamieszkały w przylegającym do ogrodu żydowskim hoteliku turystycznym. Właścicielki, Żydówki, przechowywały się w piwnicy, ale wieczorami wysuwały się, aby przygotować rybę po żydowsku i naużalać się dwóm życzliwym duszom.

Na trzecią noc przyszło gestapo. Matka z Krysią, siedząc w swoim pokoju na łóżku, słyszały... Zawodzące kobiety zawleczono do ogrodu, rozległy się strzały.

Małe Drohojowskie, żyjące w ustawicznej trwodze, w ustawicznej niepewności, kiedy na nie czas przyjdzie, chwyciły się przyjazdu rodziny jak odprężenia. Zaprosiły Krysię na „bal kostiumowy”. Krysia nie chciała się przebierać, ale matka powiedziała:

— Możesz się nie przebierać, ale pójdz do nich. Biedactwa uciekają od rzeczywistości. Czego człowiek nie robi, aby od niej choć na chwilę uciec!

Starsza panienka, już dwudziestoparoletnia, przebrała się za małą dziewczynkę, z gołymi kolanami, z kokardami w warkoczach.

Na ten „bal kostiumowy” przyszli i nieproszeni goście. Włamało się gestapo.

Przyszli po starszą Drohojowską.

— To ja.

— Jak będziesz kłamać, to i ty się przespacerujesz — zagrozili. Ekstrawagancki pomysł niespodziewanie uratował życie.

Przemknęła przez most (co było zabronione) hrabina Szalomon ze starszą córeczką Margeritą, która już wyszła za któregoś Karolyi — przywitać się.

— Z Niemcami idziecie...

— Nie chcieliśmy, aby Budapeszt wyglądał jak Warszawa.

Ale i na Budapeszt przyszedł czas. Jak i na wszystko między Morzem Czarnym i Bałtykiem.

Z czasem Krysia zaczęła wyjeżdżać.

Kiedy tylko mogła, chroniła się na wieś. Teraz do Rejowca trzeba było jechać dwanaście godzin.

Przyglądam się płaskim nudnym polom — pisała — które znam tak dobrze, splewiatym od dojrzewającego żyta, ścieżkom wąziutkim wytartym w białych sapach, dzieciakom mocującym się z krowinami po przydrożnych rowach. Nie chciałabym tego odjeżdżać nawet za cenę Ameryki.

Na Kamiennej Górze „Syria chodzi, jak zawsze, z wysoką klasą”, ale wojna wlewała się i przez szczelnie omknięte wiejskie życie.

Chodziliśmy patrzeć, jak walą takie piękne wysokie sosny, co stały w bezkim lesie, pamiętasz? Licho wie, kiedy sobie takie wyhodujemy znowu. Chorzele odebrane. Sioła zagrożone, ale jeszcze nic pewnego. Leszka sprawa wygląda coraz gorzej. Z cioci Niny został tylko cień — łudzi się, że wydobędzie Kubę.

Ta rzeczywistość nie opuszcza i w snach:

Śniłam na Kamiennej Górze, że widziałam ojca, jak był chory i zmęczony. I cały sen miał tak okropną barwę, że obudziłam się z poduszką mokrą od łez i przez wiele godzin do rana przeleżałam bezsennie. Nie wiedziałam, że można tak straszliwie się żyć i zmęczyć przez sen. Tak strasznie mi tęskno do ojca.

Domeczek coraz bardziej przypomina arkę Noego — pisała Krysia — tyle w nim mieszka przeróżnych stworów: Mama, ja, ciotka, Marta, Marysia, osiem sztuk lokatorów, kotka i ciotkowe króliki. W sumie więc Domeczek przypomina dobrze wyładowany kuferek z wszelakim dobrem, który należy przydusić kolanem, żeby zechciał się zamknąć. Nasza arka ma też pretensje do samowystarczalności, począwszy od żywności, której się jak najmniej

kupuje (cały ogród wzięliśmy pod warzywa), a skończywszy na własnym, w Domeczku mieszkającym, adwokacie, fryzjerze i maszynistce, którzy sobie czynsze odrabiają świadczeniami na rzecz współmieszkańców. Kultywuje też nasza arka wzniosłą ideę zbratania wszystkich stanów i dzielnic. Poza baronem i fryzjerem mamy warszawiaków, Litwinów, poznaniaków i lwowian. A part od szturmów na łazienkę uznać można przy odrobinie optymizmu, że ekipa jest doborowa, solidna i jakoś dobrze się nam żegluję po wzburzonych fluktach. Dopiero teraz oceniłam, jaką pomocą może być dobre współżycie z ludźmi.

Marta i Marysia wspomniane w liście — to dawna Marta, którą Domeczek wydał za mąż. Mąż jej był w niewoli. Mama spotkała na ulicy wynędzniałą rezerwistkę pchającą wózek z dzieckiem — Marysią. No i sprowadziły się do „Arki”.

Krysia, odciążona w posługach i gospodarstwie przez Martę i Reginową, poszła w ślady Domeczku, kończąc kolejno wszelkie praktyczne kursa wszelkich praktycznych umiejętności, pasujących do niepraktycznej sytuacji.

Nie chcę ci pisać o swoich osiągnięciach, Tatusiu (za pompatyczny to termin na nauczenie się nowej strony słówek czy przebrnięcie choćby przez ciężkie dzieło), bo w ten sposób moje małe sukcesiki rozdrobnię w listach i niczym się już nie ucieszysz przy przyjeździe. To tak jak z tymi prezentami bożonarodzeniowymi, które chowałyśmy starannie do dnia Wilii przed Twoim świętokradczym okiem. Dlatego nie chciałam pisać, że zdałam w tych dniach egzamin na zawodowe prawo jazdy. Chciałam, żebyś po przyjeździe zdziwił się, że Twoja córka jest takim dobrym szoferem. Poza tym wstydzę się porównania z listami Tiluszka, bo co to znaczy mój skończony kurs gotowania, szoferowania lub pisania na maszynie w porównaniu z tym, co ona z siebie wydobyła. Zbyt mocna konkurencja w ubieganiu się o Twoje najwyższe ojcowskie laski. Chcę jednak, żebyś pamiętał, że istnieje. Więc słuchaj — jestem szofer zawodowy, z czerwonym prawem jazdy, miałam już ofertę na taksówkę. Po egzaminach urządziliśmy popijawę i niespodziewanie odkryłam w sobie Twoje talenty do urzynania ludzi, bo ja jedna zostałam trzeźwa.

W liście do siostry były dalsze szczegóły:

Zaprosiłem do Domeczku jakiegoś mego bardzo demokratycznego kolegę z kursów szoferskich; czarnobrewy Ukrainiec, któremu na imię Paweł. Ale nietaktowne chłopię zaraz na drugi dzień przyniosło butelczynę jakiegoś pseudoszampana i pomarańcze, których zresztą nie jadłam od nie wiem jak dawna, a na Wielkanoc przysłał tak czerwono-zieloną pocztówkę z wielkanocnymi jajami, że Mama wyraziła głośny i zdecydowany protest, a ciotka Regina powiedziała, co myśli „o zawieraniu znajomości nie w swojej sferze”.

Skoro więc wyrok ciotkowski i mamowa nieubłagalność podcięły „szoferowi dyplomowanemu” i „z czerwonym prawem jazdy” skrzydła, wróciła do robienia weków i sprzątania.

Wiedziemy teraz żywot całkiem prowincjonalny i Mama mówi, że nabiera on koloru powieści „Ces dames aux chapeaux verts”.

Mama jednak po cichu starała się, jak mogła, zaradzić tej szarości.

Dziś, chcąc uczcić moją pełnoletność, przyniosła mi Mama ten jedyny pierścionek i ten szmaragd, który zamykał jej perły. Te dwie rzeczy jakimś trafem umknęły losom neseseru w

Lublinie i rozgromowi w Świątym i reprezentują jedyną Mamową biżuterię. Jest najmiłsza i najśladza i tak bym chciała, żebyś i Ty mogła się do niej choć na chwilę: przytulić. To bardzo pomaga żyć.

Dostałam także sporo kwiatów, a nawet czekoladek, chociaż ciotka robiła opozycję przeciw tak cynicznemu rozgłaszaniu mego zapóźnionego, rzec można, staropanieńskiego wieku.

King, czytając kopie tych listów, zrozumiał, że Mama, chcąc tchnąć dawne przedwojenne ciepło, którym był nasiąknięty Domeczek, walczy słabymi rękami z otaczającą rzeczywistością i nieukojoną duszą córki. Dawniej tak siadała z piosneczkami na brzegach łóżeczek, kiedy dzieci były chore.

I zaraz list Mamy donosił o imieninach Kinga 6 stycznia, które zlazuirowiały i zrodzinniały. Zgromadzona rodzina przemawiała do pustego fotela, umajonego jak za dawnych lat, wieszcząc, że solenizant złota nie przywiezie, ale wielki dorobek duchowy.

King przerwał czytanie i spojrział na stół. Na stole miał przed sobą do połowy napisany protokół postępowania honorowego swego klienta przeciw panu, który miał opowiadać, że klient usiłował tworzyć w Bukareszcie legion żydowski. Nie było właściwie jasne, na czym tu miała polegać obmowa, poza tym tamta strona szczerze się kruszyła i gotowa była odwoływać i przepraszać, ale King poccił się nad wynalezieniem formuły przeprosin najbardziej upokarzającej.

W dawnych czasach bywało, że Mama wpływała do gabinetu Kinga i kładąc rękę na czole mówiła: „Pusiuniu, no jak ci nie wstyd? Proszę tego natychmiast zaniechać, przeżegnać się i iść spać”. King straszliwie huczał „bo ty nic nie rozumiesz” i „są życiowe konieczności” i że „przecież nie można pozwolić, żeby...” i „że zobaczylibyśmy, czyby”, na co Królik mówił, że „tak, to tak, ale befsztyk musi będzie bardziej podchodzący” i kazał się najpierw wyspać.

King sapął: „Wszyscy na tej wyspie robimy się nienormalni” i zmiął papier do kosza. Ziele padające na dno pułapki robiło swoje. Czytał dalej:

Po imieninach, kiedy wszyscy się rozeszli, zajrzałam do Krysi i zobaczyłam, że coś szyje. Kiedy zbliżyłam się, zobaczyłam, że ceruje. Myślałam, że dla oflagu. Ale to były Twoje skarpetki, które widać gdzieś wynalazła. Prychnęła na mnie, jak zawsze ona: „Przecież trzeba, żeby miał wszystko gotowe, jak wróci”. I nawet wzruszyła ramionami. Pamiętasz, ile z nią mieliśmy z tego powodu kłopotów? I nagle pociemniała jej twarz, podniosła na mnie oczy, które tylko u niej tak fiołkowieją, kiedy się wzruszy, i powiedziała: „Chcę... jakoś zbliżyć sobie jego obecność”. Jeszcze to dziecko. Choć i ja nie dałam Twego jutra, które by się przydało Tolowi. Bo przytulałam się do niego, jak mi już bardzo ciężko.

Srebrne wesele

Zaraz potem przyszedł list mamowy o srebrnym weselu. Bo akurat nadeszła rocznica. Znowu, przez tyle odmětów, przyszła Mama. Tak jak przychodziła zmieniać opatrunek przy jakimś autowym czy kajakowym skaleczeniu.

Teraz Mama — przypomniała. I Kingowi stanęły przed oczyma te ich najpierwsze lata.

Co jesień, kiedy przez biura kwestury przelewała się masa stremowanych żółtodziobów, organizacje zapuszczały więcierz.

Nasze „Zjednoczenie” dbało o ciało, aranżując tańcówki, i o ducha, organizując odczyty. Pamiętam swój odczyt pod tytułem „Trójpółówka miłości”, na który spłynęło wiele pierwszorocznych koleżanek, zwłaszcza z wyższych kursów Baranieckiego, co było bardzo pożądane, bo u Baranieckiego były durniejsze i ładniejsze.

Odczyt rozwijał tezę, że tak jak technika postępuje naprzód, na skutek czego aparaty fotograficzne, maszyny do pisania i w ogóle przedmioty pomagające nam w życiu robią się coraz bardziej portatywne, rozkładalne, poręczne, tak i technika miłości uczy nas, że należy jej nieporadną budowę, odziedziczoną po przodkach na równi z żarnami i kieratem rozłożyć na trzy doskonale zaprojektowane i wykończone gatunki kobiety: kolegi — od sportu, nauki, gospodarstwa; kochanki — od tej właśnie dziedziny wymagającej wąskiej specjalizacji; Beatrycze — od natchnienia. Mieć jedną kobietę, w której wszystko się mieści, to właśnie mieć taką niezdarną młockarnię, która w żadnym stadium swej działalności nie jest precyzyjna. Nie mam zaufania do przereklamowanych „zegarków z wodotryskami”, bo to i godzinę źle pokażą, i wody dadzą tyle, co kot napłakał.

Całość była zakropiona cytatai z literatury i historii.

Rezultat nie był na razie taki, jakiego oczekiwałem, zabiegając o porobienie zapasów na rozpoczynający się rok uniwersytecki. Okazało się w następnych dniach, że wszystkie chcą być — Beatryczami. Jednak w braku wakansów czasami zgadzały się chwilowo na miejsce w innych grupach.

Na odczyt tylko nie przyszła ta, której przyjsie mię korciło — przyszły Królik, najautentyczniejszy Królik, bogobojnie sączący „dydaktyczny smrodek”, Królik, który zawsze jest „a mówiłam”, Królik, który pierwszy „zaczyna”.

Królik bardzo pilnie, diabli wiedzą po co, studiował jakieś siedemnastowieczne akta referendarskie i mężnie stawał na kolokwia, na których spotykały go czasem hańby, jak na przykład, kiedy stary profesor Bujak interesował się nie aktami referendarskimi, tylko śmiesznymi guziczkami u kostiumu i na ich intencję dał notę zadowalającą.

Królik był to najcichszy akademik. Tłum wzdychaczy nazywał ją „Świątą z kałamarzem”, z którym chodziła na wykłady, nie znane nam bowiem były jeszcze wieczne pióra. Najcichszy akademik unikał więc najhałaśliwszego, potem jednak, już po wpadunku małżeńskim, odkryło się, że gryzmolił w stosach pamiętniczków nabożne rozważania na temat duszy schodzącej na manowce i co by było, gdyby ktoś życzliwy okazał tej duszy pomoc...

Naturalnie, ten ktoś pomyślany był apersonalnie.

Kiedy wojna wybuchła i wszystkie plany wzięły w łeb, przypomniałem „Świątą z kałamarzem” i powiadał, że się z nią ożenię.

Królik był nazwyczajony do wzdychaczy, że badali swe szanse okrężnie. Stropił się nieco i powiada, że nie wybiera się za mąż, ale ze strachem to powiada. Bo taki odpalony właściwie powinien iść, i strzelić sobie w łeb.

Zaaprobowałbym, owszem, taką próbę uczuć, ale co z tego, kiedy przekonana mogłaby już tylko całować zimnego trupa.

Mówię tedy, aby się nie martwiła, dając mi odmowę, bo mam na dzisiaj bilet do teatru, to pójdę sobie i w ogóle zamierzam pędzić komfortowe życie.

— To po co pan mi się oświadcza, jeśli pan mnie nie kocha?

— Żeby mieć kulę u nogi.

Było więc w tę albo wewtę, ale co tu gadać — jasne było, że coś z tego będzie. Nie pozwoliła przysyłać kwiatów do domu: szpital je miał, szkoła miała, koleżanki miały, aż wreszcie, zniecierpliwiony, strzeliłem bukietem iście epuzerskim prosto do rodziny.

Stary Małagowski obejrzał gmaszysko kwiatów nieufnie i powiedział srogo:

— Słuchaj, Dziunia, bez kozery takich kwiatów się nie wysyła... I nie przyjmuje.

— A co — powiedziałem do Opoki Panieństwa, której już tylko cypel sterczał w odmęcie epuzerskiej nawałnicy — żaden Wańkowicz nie pozwolił sobie na kompromitowanie kobiety nawet przed rodzonym ojcem — idę się oświadczać, pocałujmy się, bo bez tego ani rusz.

Luba, objęta ramieniem, pokręciła się, uchylając, ale miękko się pokręciła.

Uznałem, że kto milczy, ten się zgadza, i poleciałem do gabinetu ojca.

Stary pan uśmiechnął się, owszem, nawet ciepło i pokręcił głową:

— Jakże pan dał sobie z nią radę? — zainteresował się fachowo, bo sam nigdy ze swoim babstwem dogadać się nie mógł. Byłem świadkiem, jak wielce dumny, przyniósł córce pewnego razu kapelus, który sam wykoncypował: były tam strusie pióra, zielony mech, liliowe wstęgi, kwiaty, wypchane ptaki — istna kanapka od Hawełki: trzy inne z jednego można by zrobić. Kobiety umierały ze śmiechu, przymierzając ten tort z osiemdziesięcioma świeczkami, ofiarowany królowej Wiktorii w osiemdziesięciolecie jej urodzin.

— To może ją jednak poprosimy? Dziuniaaaa!...

— Eee — powiedziałem niepewnym głosem — może najprzód się rozmówimy...

Kiwnął głową uspokajająco, co miało oznaczać, że rozumie, że za kobietę gwarantować nie można.

Wezwana jednak była lojalna:

— Jeśli pan Mel tak koniecznie chce...

Pan Mel miał dwadzieścia trzy lata — Boże, zmiłuj się nad głupotą młodości — i koniecznie chciał. Wobec czego panowie zostali sami, a stary pan począł wtajemniczać młodego pana, jak stoją jego finanse i ile Dziunia dostanie na rękę, a ile potem, a ile po śmierci ojca, a ile w jakich papierach. „Święta z kałamarzem” okazywała się dobrą partią.

— W jakiej edycji więc te papiery banku Azowsko-Dońskiego? — pytałem z marsem na czole, rozpaczliwie tuszując owe niemożliwe dwadzieścia trzy lata.

Potem, jak się patrzy, przyjechał Tol, jako starszy brat, dziękować za zaszczyt wyświadczony rodzinie, z ogromnym pudłem czekoladek, wiechciami kwiatów, panie dobrodzieju, z wąsami, w bekieszy. Żałoba padła na dom — stary Małagowski skrycie przeboleć nie mógł, że Azowsko-Dońskie papiery nie pójda na te tam krowie ogony w Kalużycach, tylko na jakieś niejasne społeczno-literackie fiu-bździu.

Srebrne wesele odbyło się z wszelką możliwą pompą.

Poprzedziła je mała corrida z Reginową, którą doprowadzono jednak do zrobienia specjalnej uroczystej szaty. Maminy wuj, Fredzio Wysocki, dostarczył najprzedniejszych win z ambasadorskich ostatków i kropnął mowę (znowuż do pustego fotela) na temat, że kobieta nie może być sama i że, panie dobrodzieju, jubilat przebywa na wyspie, na której z piany morskiej zrodziła się Wenus, co stanowi dobry prognostyk. Tak sobie uświęcony barok emanował z polerowanego stołu pod koronkami i srebrem, przebłykiwał w różnych kolorach trunków i w szklach o różnych formach i rżnięciach, jakby za furtką nie szalały łapanki.

Kuzyn, którego nazwiska nie wymieniam, kropnął mówkę, że po wojnie właśnie przez wrozoną sobie przekorę drogi solenizant oceni w swych książkach wartość duchowego

spadku, który mu dało pochodzenie. Złotousty kuzyn przed wojną przygalopował pobladły na konwentykl rodzinny, relacjonując o wystawie księgarskiej. Ukazały się wówczas Szczenięce lata i Opierzona rewolucja jednocześnie i na wystawie widniało w rzeźbie papierowej ogromne drzewo genealogiczne, z którego pękata figurka autora zrywała tarczę Jerzego Wacławowicza (ojca Wańki) i Sońki Giedyminiówny i wieszała na szczycie tarczę z młotem i sierpem.

Tol, brat starszy, który gwoli starszeństwa tego odbył swój ślub na dziesięć dni wcześniej, wstał i wygłosił tradycyjne przemówienie o tym, co, panie tego, wniosła bratowa do naszej rodziny. Takie przemówienie przed dwudziestu pięciu laty ja, jako jego družba, wygłosiłem w czasie jego wesela. Wtedy, tak jak teraz za oknem łapanki, stała za progiem rewolucja, bo był to luty 1916 roku. Ale Tol w Mińszczyźnie żenił się jeszcze z hucznym zjazdem z kilku guberni, kuframi wypraw i sztabem służby, który zjechał do Kalużyc z panną młodą. Nasz ślub w Kijowie był według wzorów wojennych. Obrączki nam włożył staruszek ksiądz Pomirski, kolega ojca z wygnania na Syberii.

Wyjeżdżając z kościoła, dwudziestoczteroletni Pan Młody siedział w karecie, jak kołek, przytłoczony odpowiedzialnością. Wówczas „Święta z kałamarzem”, odchylając welon, ucałowała go jakoś po matczynemu. Było w tym pocałunku przecucie ciężarów życia. Ten pocałunek przychodził teraz, po dwudziestu pięciu latach, na falach tego jubileuszowego listu. Opatrunek został zrobiony.

Małe kobietki też szły tą maminą drogą.

Mamie pisać do nich było łatwiej. Listy Mamy były podobne do młynków tybetańskich. „Moja córeczko... Moja najdroższa... A jak Twoje uszka?... A nie przepracowuj się... A moja kochaniutka...” i tak całe bite strony.

Ale jak się one teraz mają zająć Mamą, która zawsze była tylko dla nich, na każde zawołanie, na każdą potrzebę? Kinga można ucieszyć, przysyłając chociażby obszerniejsze wypracowanie po niemiecku, który szwankuje najbardziej, ale co dać Mamie, która niczego nie wymaga, nic nie żąda?

Był wprawdzie w stosunku do tej Mamy nie pisany, ale wyraźny ton opiekuńczy. Nawet narzekała nieraz, że „Króliczka” traktują ociupiny w sposób protekcyjny. „Mama, tsymaj się tego na górze”, pouczały, wskazując na pętlę zwisającą w tramwaju i przeznaczoną do trzymania się ręką. Odwoływało się Tatę, kiedy zatokował się z jaką „żabą”.

Teraz przez oceany szły „szep... szep...” namawiania się, co do Mamy napisać, aż wreszcie z tych szeptań przyszła pewnego razu paczka. W paczce była płyta.

— Mamusiu, nie przejmuj się zanadto, bo to będzie głos Tili — Krysia z bólem serca zdecydowała się zdekonspirować sprzysiężenie.

Usadowiła matkę w fotelu i puściła płytę. Po paru chrypieniach — wydobył się taki świeży, taki jeszcze dziecinny głos:

*Gołąbeczku, leć w drogę,
Leć do mojej mamusi,
Lecieć z tobą nie mogę,
Mimo wielkiej pokusi.*

Królik „beknął sobie”. I on dostał nieco świeżych liści.

King teraz obracał te listy warszawskie i jeszcze nie wiedział: czy tam sadzonka się przyjęła?

W listach Krysi przebijała inspektowa biologiczna troska o odrost. Młoda dziewczyna przed nadchodzącym nieuchronnie okresem przewartościowań skupia się w takim biologicznym zaciszu, w jakim młode matki skupiać się zwykły w okresie ciąży.

22 czerwca 1941 roku

Jest niedzielny wieczór. Mama poszła do stryjostwa zaczerpnąć wiadomości i zarazem się uweselić (spójrz na datę listu). Siedzę w rozwartym oknie biblioteki, przez które pachnie świeżość polanego ogródka. Dom jest napęczniony ciszą. W wazonach stoją piwonie i wajgelie, i irysy z ogródka. Taras, przykryty zielonym dachem wina i jarzącymi się pelargoniami, daje złudzenie zaciszności, odcięcia od ulicy zalanej wojskiem, parnej, wulgarnej i wrogiej. Spędziłam dziś na tarasie cały dzień, nasiakając słońcem, z książką Ujejskiego o Conradzie. Przechodzę teraz gorączkę conradowską, tak jak kiedyś żeromszczyzny. Miałam zielone okulary na nosie, przez które świat robi się w południowym słońcu trochę wieczorny, rzeczy widziane stają się jakieś bardziej plastyczne i zanurzone w świetle czystym i zielonkawym, chmury są bardziej puszyste, a przestrzenie czystego nieba między nimi głębsze. Dom jest tak miły i tak kontrastuje ze światem zaraz zaczynającym się za furtką ogródka, że nie lubię się z niego wyłaniać jak z twierdzy, której obwarowałam kawałeczek dawnego (powiedzmy) życia.

Te sztucznie kultywowane nastroje przebija następujący raz po raz bunt:

Ach, siostro... Gdybyś mogła rzucić te swoje Rewerendy, a ja swoje działki marchwiowe, i gdybyśmy mogły ruszyć, jak kiedyś, razem w świat pierwszą lepszą drogą prowadzącą „na zachód słońca i na wschód księżycy”, w szortach i z plecakami, zostawiając za sobą daleko całą płataninę kompleksów i urazów, jakimi ludzie torturują się wzajemnie, całe brzemie nienawiści, lęk o jutro, gorycz niespełnień... Ale to wszystko nie da się zostawić. Trzeba brnąć mozolnie, przedzierając się przez džungle skażeń, aż do krwawego potu walczyć o własną niepodległą prawdę. Ale kiedyś zrobimy sobie takie wakacje. Ty i ja. Takie radosne i takie głupio beztroskie jak w dzieciństwie i jak w dzieciństwie najeżone wyczynami „kozaczego ducha”.

Ale tymczasem:

Przypomina mi się opowiadanie o jakimś świętym, który spytany w czasie pauzy szkolnej, co by robił, gdyby się dowiedział, że za pół godziny umrze, odpowiedział: „Byłbym się bawił dalej”. Tak i ja będę dalej czyścić buty i pleć, póki nie podbiegnie dziejowa fala.

King kręcił głową. Że — odrost trudny. Że — mimo tych wszystkich wyrzeczeń — stabilizacja wisi na włosku. Że jeśli się odrost spełni, to żadna siła ludzka nie powstrzyma od owocowania. Czekał go i bał się. Bo przecież dojrzałych owoców też żadna siła ludzka nie zatrzyma na roślinie.

Wobec tych ślepych sił był bezradny z tej wielkiej odległości.

Owocowanie

Jak długo nastarczą ręce mamine?

Stabilizacja obu dziewczynek to jak stabilizacja kogoś, kto nie opanował jeszcze jazdy na rowerze. Nie ma już pod sobą czterech kół i tylko tempo daje mu równowagę. Więc Tata podsycał tę szybkość.

Zrywam się po otrzymaniu każdego Twego listu — pisała do ojca Krysia — i pędzę do biurka pracować, byle nie stracić czasu za żadne skarby.

Najmilsza Żabo — pisała Tili — nie gniewaj się, jeśli co zrobię nie tak. Staram się, jak mogę.

Obie dziewczynki dopingują się też wzajemnie:

Do widzenia, Krystyna!... — kończy Tili ośmiostronicowy list ze szczegółowym sprawozdaniem ze swej pracy — Obyśmy nic nie miały sobie do wyrzucenia przy najostrejszym rachunku sumienia. Jaka Ty będziesz? Jaka ja będę? Obyśmy się mogły spotkać bez lekkiego zażenowania.

Tili — mija się list Krysi z listem Tili — gatunek człowieka poznaje się po postawie wobec niepowodzeń. Mama jest przerażona Twoim ewentualnym przepracowaniem i bodaj że pisze listy: „Nie przemęczaj się, córeczko, szanuj oczki” itp. Błaga mnie, żebym i ja do Ciebie w tym duchu pisała. Ale tego nie zrobię, bo żaden dzień nie wraca. Nie będę Ciebie namawiać do oszczędzania sił, bo uważam, że psim obowiązkiem człowieka godnego tej nazwy jest wyborowanie z siebie czegoś na obraz i podobieństwo Boże.

A więc odrost z gruzów rozbitego życia następował niewątpliwie. Po nim musiało przyjść owocowanie...

Dla matek tej wojny upostaciowaniem całej krzywdy, całego zawodu życiowego — był dominujący ból, że nie mogły córki ubierać na ślub, upiąć welonu. Na tej wymarzonej chwili skupiały się myśli z lat matczynego wychowania i poświęceń.

Dla ojca — było wielką ofiarą nie widzieć, jak dziecko, obiekt opieki, starań, wysiłku duchowego — nagle owocuje pierwszą pracą, pierwszym dokonaniem.

Wobec zajęcia Krety, złotą klatkę z „gośćmi Króla Jegomości” postanowiono przenieść do Rodezji w Afryce. Pasując się ze sobą na dworcu w Tel Avivie, King nagle skrył bagaż. Do stojącego na peronie przyskakiwał delegat rządu polskiego i jego pomocnicy z groźbami, że nie otrzyma zasiłku. Szedł ze zwieszoną głową rozpalonymi ulicami, nie bardzo wiedząc, co robić. Chciał być — jakoś — bliżej tego owocowania.

Na szczęście do odchodzącej po kilku dniach drugiej części transportu tłoczyło się ludzi aż zanadto, bo kleszcze niemieckie podchodziły z jednej strony pod Aleksandrię, z drugiej pod Stalingrad. Więc zrzeczenie chętnie schwycono i przyznano zasiłek w kwocie sześciu funtów miesięcznie.

King zaczął pisać książkę o Żydach. Żaden szlafkamrat nie wytrzymałby stosów książek i papierów. Prosił delegata rządu, że jeśli opłaci połowę czynszu za pokój, naprawę maszyny do pisania oraz papier i kalkę, to całą pracę swoją da darmo dla rządu i nie będzie rościł pretensji do honorarium. Delegat rządu pokrył tylko naprawę maszyny w wysokości funta i pięciu szylingów, bo to mógł ukryć jako naprawę własnej, ale umożliwić pracę bał się. Wobec

tego należało oszczędzać na jedzeniu i eks-gość JKM gotował raz na trzy dni, kolejno krupnik, to znów kapuśniak i przez następne dwa dni odgrzewał.

I teraz mieszkał tuż nad morzem, w literalnie ostatnim domu Tel Avivu. Dalej szła pustacz ze śmieciami.

Listy z kraju jeszcze przez pięć miesięcy mogły się sączyć — do przystąpienia Ameryki do wojny.

Z Krysią działo się to, co się dziać musiało. Jeśli w czasie pokoju przed zbliżaniem się pełnoletności przychodzi natarczywe pytanie — gdzie jest sens życia, to w czasie programu to pytanie musiało się wyostrzyć. „Jeśli całe zespoły planetarne zachowują się w ten sposób jak nasza maleńka ziemia — pisała do Tili — to pełny komplet anielskich buchalterów nie dałby sobie rady z rozwiązaniem zabałaganionych pozycji”...

Rusza, więc do ataku na te zabałaganione pozycje.

Mama, troskając się o przetrzymywanie jak najdłużej rośliny w inspektach, chwytą się ostatniego, teraz zwykle skutkującego środka — że „Tatuś przecież pisał, żeby praktycznie...”

Ale Krysią się otrząsa:

— Mamo, na humanistów kolej... Do czegoż doprowadziła technika?!

I już nie można załatwić żadnym: „Tak, to tak, ale befszytk będzie lepszy”.

Mama dowiedziała się o domu, w którym się zbiera kurs tajnego uniwersytetu. Tam — otrzymuje skierowanie do szkoły Górskiego, gdzie teraz mieści się aprobowana przez Niemców szkoła przemysłowa. Wymienia hasło. Pod bezpośrednim kierunkiem profesora Kotarbińskiego rozpoczyna się nauka tak intensywna, jak intensywny był poprzedzający okres stabilizacji. Krysię otacza gąszcz odrastającego ziała.

Są to nieco hysiorowate, ale porządne chłopaki, z mózgownicami naładowanymi aż po wręby wszelkiego rodzaju mądrościami. Z podziwem patrzę, jak nie mając oparcia materialnego, z porozsypywanymi po świecie rodzinami, samotni i niedokarmieni – pracowicie, z zaciętością wydobywają się z otaczającej nędzy i beznadziejności, jak po wielogodzinnym dniu ciężkiej pracy fizycznej nie uwalą się na łóżko, ale uczą się po nocach, siedzą po bibliotekach, organizują samokształceniowe koła, pochłaniają stosy książek i umieją się sami utrzymywać w tak surowych ryzach bez pomocy wszelkich ram rodzinnych, szkolnych, wojskowych czy zawodowych.

Mama już za tym nadążyć nie może, jak kiedyś, kiedy utknęła na ich trygonometriach. Ale ręce Mamy, niewidocznie, kierują. Domeczek jest pełen kwiatów, podłogi błyszczą, wiaterek porusza białe firanki — znów, jak za dawnych czasów, pełno w nim młodych głosów, w Domeczku odbywają się kursy i egzaminy. Domeczek jest zawsze otwarty dla kujonów, którzy nie mają własnego kąta, a że godzina policyjna to nie żarty, więc stale któryś z takich, co się zakuł i zasiedział — i przenocuje, i podkarmi się. Wielkie dryblasy nauczyły się przychodzić do Mamy siedzącej przy kominku, siadywać na dywanie i kłaść głowę na jej kolanach. Za furtą Domeczku znowu ich czekało obrzydlistwo codziennego dnia.

Wieczory literackie stale organizowane przez Krysię przynoszą owoce egzotyczne, nieznane i zakazane, a tak aromatyczne.

Dziś dostałam od Ciebie opowieść poetycką „Kwiaty polskie” – pisze do Tili. – Napisz autora!... To jest klasa,.. I nie tylko. To ma wdzięk i dobrego gatunku sentyment. Tym przystaniem sprawiłaś mi wielką uciechę; Mama mówi, że to było najszcześniejsze wydarzenie ostatnich tygodni. Nie wiem, czy świadomie, czy nie, tam jest i Mickiewicz, i Staff, i Norwid, i Wiech, i Tuwim. Napisz koniecznie autora!...

Równocześnie zapowiada, że:

Na przyszłą sobotę organizujemy u siebie wieczór młodzieżowy. Ładosz będzie recytował. Tą drogą, między innymi, zalansujemy ten wiersz „Wróć nas do kraju” i inne, które nam przysłałaś. Ładosz też będzie czytał ten taniec na leśnej polanie z mojej ukochanej książki...

Widać gremium sobotnie pomogło ostatecznie rozszyfrować książkę:

„Kwiaty polskie”, te fragmenty, które mi przysłałaś, są bardzo dobrego gatunku. Czesław Miłosz przypuszcza, a i ja tak myślę, że napisał je autor „Grenady”. Choć zrazu nie wpadłam na ten pomysł, bo mi się wiersz wydał tak świeży i prosty, jakby go naskrybał jakiś młody talent. Przy tym u autora wiersza o karabinie i bruku owe wzdychania do Odległej i Zbłąkitnionej. Widać, siedzi w niej jakaś diabelnie silna moc przyciągania. Czesław był bardzo podniecony, słuchając wiersza, choć normalnie ma taki spokojny sposób bycia.

Ale jak długo nastarczą ręce mamine, przygotowujące kanapki, jak długo nastarczą ręce siostrzane, rzucające fragmenty Kwiatów w zapługawiony świat okupacji? Cóż mogą pomóc listy od ojca, wytchnięte przez cztery miesiące drogi, adresowane do Tili i znów przeadresowywane. „Myślę ciągle o ojcu. Nigdy jeszcze nie czułam się taka samotna. I nigdy jeszcze nie potrzebowałam go tak silnie.”

Na imieniny Mamy jednoosobowa redakcja wiernie wydaje „Korzystniaka” z wielkim opowiadaniem w stylu Prousta, jak oczekuje na peronie wracającego ojca i siostry. W dziale ogłoszeń: „Mama — poszukuje świętego spokoju i rozproszonej rodziny” i „Krysia — poszukuje światopoglądu”.

Atak na buchalterów niebieskich trwa. Przez morza Tata nasłuchuje, czy go nie dojdzie — dźwięk pękającego kasztana.

Jak długo jeszcze będzie potrzebny ojciec?

Jak uprawianie marchwi Krysi, tak kucie w college'u nie mogło starczyć Tili. Odjeżdżając z Genui, wlokła za sobą pamięć o ziemi, od której odbija. Sweter, który do połowy zrobiła dla siebie, uległ spruciu i przerobieniu na męski. Po tej pierwszej paczce poszła następna. Zrobiła dwadzieścia swetrów własnoręcznie, doszedłszy do takiej wprawy, że szydełkowała, ucząc się. Słała do obozów niemieckich.

Jej korespondenci — jeńcy zapadali się czasem w niewiadome, by potem wypływać na powierzchnię nieoczekiwanie w najniemożliwszych kątach świata.

Droga Panno Marto — pisał jeden z nich — nie wiem, czy przypomina sobie pani pewnego jeńca nr 562, Stalag VIIG Arbeitskommando 800. Otóż jeńiec ten przestał być wreszcie jeńcem i z dobrym charakterem w nogach znalazł się znów w szeregach. Jako dobry syn wojenny spieszy się swą radością podzielić.

Korespondencja poszerzała się sposobem łańcuszkowym — jak te listy, które należy trzy razy przepisać i posłać trzem osobom. Jeden z nowo przybywających korespondentów, marynarz, na jednym z naszych torpedowców, inicjując pierwszy list, zaadresował wydostawszy adres w którymś z pism polskich, umieszczających felietony Tili; zwierzał się, że go bardzo zniechęcał do tego zamiaru kolega, twierdząc, że na pewno nie otrzyma odpowiedzi. Zaszedłszy w parę dni potem do kabiny kolegi, zobaczył list zaadresowany „Miss Marta Wańkowicz, Rosemont College”.

Kiedy już nie może nastarczyć ani swetrów, ani listów, ani paczek, postanawia się zwrócić do koleżanek amerykańskich. Zbliżenie nie nastąpiło od razu. Mała nosiła uparcie włosy upięte na głowie i patrzyła z bogobojnym zdumieniem na koleżanki wpadające z zabaw college'owych „na tygrysa”, to znaczy pocętkowane lipsztykowymi śladami pocałunków. Z drugiej strony glamorous girls obserwowały z rozbawieniem polską mrówkę, wiecznie ścibającą swetry, piszącą sztuki staroangielszczyzną, segregującą wycinki ze swymi artykułami z prasy polskiej, a potem już i angielskiej. Hallo, genius! — wołały, kiedy się ukazała, albo chórem skandowały: Work!... Work!... Były inne — mniej się uczyły niż dziewczęta w Polsce, ale miały praktyczniejszy dotyk do życia. Samo katolickie college Rosemont miało inny do tego życia dotyk, skoro dziewczęta poddawane testom miały między innymi pytania, czym się leczy syfilis, a w szkole u zmartwychwstanek, do której chodziły w Warszawie, nie wolno było mówić o masowaniu pośladków na kursie ratowniczym.

Na to ma się osiemnaście lat, aby mieć ciekawość życia. Obustronną. Z wolna kok na upartej polskiej głowie „sam się rozwiązał” i opadł na ramiona; wśród Amerykanek powstał zachwyt, że „genius” się zglamoroził i... kok już jakoś nigdy z powrotem na czubek się nie wydrapał. Z wolna ta i owa poczęła zaglądać do pokoiku-stoiska, w którym szydełkująca pustelnica oddawała się niezrozumiałemu Work!... Work!... Zaczęło się od poduczenia naondulowanych łebków, skończyło się na generalnym duszpasterstwie.

Teraz, jeśli listu nie pisze nocą, to obfituje on w takie oto passusy:

Boję się, że ten list do Ciebie nigdy nie będzie skończony — pisze do Mamy — już trzecia girl wchodzi do pokoju, i muszę zobaczyć, co to takiego, o czym Ci za chwilę (oby...) napiszę.

Upłynęły czterdzieści trzy minuty. Obiecałam Ci streścić, co się działo w pokoju. Pierwsza, która mi wtedy przerwała, to była Pat Mac Donald, redaktorka pisma szkolnego,

pytająca o moje zdanie w jakimś zatargu pisma z dziekanem. Powiedziałam jej, co myślałam, w formie raczej zwężłej (list do Ciebie...), ale wyczerpującej. Zadowolona poszła do Tea-Room'u, a ja zabierałam się do kontynuowania, kiedy słyszę ponowne pukanie. „Come in!” Maria Nebel. Sprawa biletów na bal klasowy za tydzień. Wracam cło listu. Pukanie. „Come in!” Jenny Araneta. Maleńka Filipinka z Manilii, zawinięta cała w miękki czarno-czerwony chiński szlafroczek. Spytałam, czy autentyczny. „Oh, I don 't know — odpowiedziała. — Kupiłam w Szanghaju”. Przyniosła mi jakieś dziesięć centów, które była winna, i jasno widzę, że chce pogadać. Usadowiłam ją więc w fotelu i gaduliliśmy przez pięć minut na polsko-filipińskie tematy, gdy nowe pukanie i nowe „Come in” sprowadziło Łucję Bellinger z jakimś maszynopisem w ręku i twarzą białą od cold-cream'u, w czerwonym szyfonowym szlafroczku z aksamitkami. Od razu zaczęło się pokazywanie Waszych fotografii: i Kinga, i Kuwaki, i Copu. A wreszcie na wyraźny „hint” Łucji, Jenny wymknęła się z pokoju swymi drobnymi wschodnimi kroczkami. Wtedy Łucja mi powiedziała, że chce mi przeczytać swoją nowelę. Jakiś konflikt wojenny — narzeczony jednej przyjaciółki zabija narzeczonego drugiej, który walczy po przeciwnej stronie. Dałam jej parę fachowych wskazówek (ha-ha-ha) i błogosławieństwo na drogę, i wyprawiłam spać. To już chyba ostatnia na dziś, bo zrobiło się późno. Wzdycham z ulgą, ale na ogół dobrze mi z tym: wyszłam z mojej skorupy kompletnie i jestem w samym środku wszystkiego, co się tu dzieje.

Nietrudno już się domyślić, czym to się skończyło: „Słoniem — a sprawą polską”.

One tu nie mogą zrozumieć mojej krzotaniny z paczkami. Myślą, naturalnie, że mój „najdroższy” tam oczekuje na moje przesyłki.

— Do you love him? — pyta mnie Dorothy.

— Co przez to rozumiesz? — wzruszam ramionami.

— No, tak jak ja kocham Dona.

— Nie — mówię szczerze.

— Ech, nieprawda. Na pewno go kochasz. Inaczej byś nie robiła sobie całego, tego kramu.

Trzy dni temu przyszła — tym razem — Pat Brody:

— Czy go kochasz?

— Tak — westchnęłam zrezygnowana.

— No to musisz być szczęśliwa, że jest w obozie; to jest, naprawdę, good luck.

Spojrzałam zdumiona.

— No, bo go nie zabiją przynajmniej — powiedziała spokojnie.

— Psiakrew...

— Co mówisz?

— Mówię... hm... Mówię, że masz rację.

Wówczas powstał w jej głowie chytry plan: spławić cały ten niewyżyty dziewczynski romantyzm na polskie stawidło, odciążyć się od tych listów i od tych swetrów.

Listy do polskich chrześniaków sprawiły, że wszedłszy do pokoju Jenny, zobaczyła ją pogrążoną w grubym tomie Great Men and Women of Poland; siedząc w hallu usłyszała Peggy, jak zbiegając ze schodów nuciła autentycznego oberka, Anne-Marie postanowiła zapisać się na wstępny medyczny kurs w college (wpływ Polish School of Medicine in Edinburgh). Peggy wracając ze świąt przywiozła pięć czy sześć historii o Polakach, które natychmiast poszły w kurs. Phyllis nosi orzełka polskiego jak lucky charm. Coraz to któraś wpada do pokoju-stoiska z odkryciem w rodzaju: „Imagine — on mi pisze, że to wyście odkryli, że ziemia kręci się dookoła słońca”.

W tym nastroju „Wieczór polski” zorganizowany przez Martę cieszył się wielkim powodzeniem. Długo przygotowywał ten wieczór Komitet Organizacyjny, złożony poza inicjatorką z dwu Filipinek i Francuzki. Betty wysadziła się na afisz, na którym szarżował polski ułan. Rozpoczęła Dorothy wierszem Słńskiego:

*O Poland. Poland, Poland!...
Yours who are yearning believe
That God is standing with you
Now in your days of blood...*

Barwny polski zespół taneczny z Filadelfii wpadł tańcząc krakowiaka i oberka. Po polsku odśpiewały Betty „Trojaka”, a Frances Conroy „Za górami, za lasami”. Jane Schwartz odśpiewała kujawiaka po angielsku: Geese are out of sight, ducks are out of sight. Popłynął czarujący wiersz Balińskiego In days filled with futile flowers, wiersze, piosenki, deklamacje i wreszcie film o Polsce, i wreszcie, clou wieczoru — kontest wiadomości o Polsce w formie odpowiedzi na dziesięć pytań rozdanych na hektografowanych arkuszach. Tu dopiero mające korespondencyjnych polskich boyfriendów pokazały wyższą szkołę jazdy, ale były niebożęta, które napisały, że Paderewski i Piłsudski walczyli o niepodległość Stanów Zjednoczonych w 1776 roku. (Jakże to daleko od Ameryki!...)

Hymn polski zakończył wieczór. Dziewczęta stały z pałającymi oczyma. Dolary sypały się na postawioną tacę.

Nazajutrz nastąpiła procesja:

Ktoś zapukał do moich drzwi. Sekundę przedtem usłyszałam szybkie drobne kroczki i pomyślałam: „Jenny”. Ta Filipinka jest czarująca. Ma nóżki tak maleńkie, że jeśli ma klamrę na pantofelku, to stopy nie widać spod klamry. Masę czarnych lśniących włosów, otaczających matowe żółte policzki. Wygląda ze swymi stu dwudziestoma centymetrami wzrostu jak figurynka w muzeum. Nawet jej ładnie z tymi krwistymi paznokciami i ustami jak rozgniecione maliny.

Tak, to była Jenny. Zapukała i powiedziała:

– Otwórzcie, bo mam pełne ręce.

Otworzyłam drzwi.

– Hallo, Jenny.

Spod stosu ubrań, jaki dźwigała w ramionach, odpowiedziało mi nieco przytłumione „Hello”. Czarna z loczkami główka i słoneczny policzek wychynęły spod czerwonej spódniczki rzuconej na szczyt tobołu. Westchnąwszy rzuciła kolorowy węzeł na moje łóżko.

– Myślałam, że może zechcesz użyć to dla jakiej twojej zbiórki – powiedziała. – It’s for Poland.

Zachnęłam się zdumiona ilością:

– Czy jesteś pewna, że nie potrzebujesz nic z tych rzeczy?

– O nie – uśmiechnęła się promienie. – Dla mnie byłoby to za duże, ja to specjalnie kupiłam.

Po jej wyjściu wstawiłam nową pozycję: 10 sukienek, 2 kostiumy, 4 bluzki, 1 sweter, 1 kurtka skórzana, 2 komplety ciepłej mięciutkiej bielizny, 3 spódniczki. No i jak tu nie lubić serdecznie tego stworzonka!...

Od tego wieczoru całe college stało się polską agenturą — pięćdziesiąt dziewcząt pracowało przy wysyłaniu paczek.

Ludzie byli zdecydowanie dobrzy, świat był zdecydowanie piękny. Tylko na dnie duszy tkwiła ta rozmowa z Alexandrem.

I nagle ojciec napisał, że spotkał w Tel Avivie lekarza, Żyda, który wówczas w Chełmie leczył Alexandra.

Drogi Skolopendrze — eksploduje entuzjazmem list Tili do siostry, która w coraz to innym nagłówku chrzczona jest coraz to innym przypomnieniem jakichś rodzinnych zwrotów — King pisze, że kiedy Alexandra miano ewakuować, prosił doktora Litmanowicza, aby go ucałował.

— *Pan zapomina, że jestem Żydem — odciął doktor Litmanowicz; pamiętał, jak umarł ten podoficer niemiecki, odmawiając transfuzji w obawie, że może to być krew żydowska, i jak Alexander aprobował tę decyzję.*

— *Jak się tak wiele przecierpiało, to człowiek zdążył wiele w sobie przemyśleć i przebudować — szepnęła Alexander.*

Czy Ty rozumiesz, co znaczy ten list Taty do mnie? Rażniej się chce pracować, bo jasno widać, że jest tylko jedna droga — która się stała ze schroniska La Morte. Otrzymanie tej wiadomości to jedna z najradośniejszych chwil w moim życiu.

Jeśli jednak Maleńtas uważał, że przybywszy do USA znalazł się w schronisku La Morte, to niebawem poczęto go oblewać zimną wodą.

Pierwszy raz to było z Chińczykiem. Doskonale ułożony Chen Ting zdobył właśnie swój Master Degree i jechał na dalsze studia do Harvard. Tili, ciekawa świata, zaszła z nim na jakąś kawę i przegadała parę godzin. Wpadła do domu rozentuzjazmowana znajomością, ale wylewy przyjęto zdławionym milczeniem. Na drugi dzień Mother zeszła ze swego pokoju na piętrze, już na schodach oświadczając, że całą noc nie spała ze zmartwienia. Był wezwany Dad, który ze smutkiem stwierdził, że nie spodziewał się takiego postępowania przybranej córki.

— Ależ przecie z ilu młodymi ludźmi chodziłam na kawę, na lunch, na sporty...

Spojrzeli nie rozumiejąc, o czym mówi... Czemu by nie miała chodzić? Betty też chodziła i to przecież zupełnie na miejscu. Ale nie — z Chińczykiem!...

— Dad, ależ ten chłopak wydaje się z bardzo dobrej rodziny, jedzie robić pracę doktorską na Harvard, najbardziej wymagającym z uniwersytetów. Czyżbyś go nie przyjął w domu, gdyby złożył wizytę?

— Naturalnie, że nie...

— No, a gdybym ci, Dad, przyprowadziła Czang Kai-szeka, głowę państwa chińskiego? Czy również byś go nie przyjął?

— Officially, but not socially.

Reginowa, pomstująca na Krysię za przyjęcie kolegi szofera, miała swego amerykańskiego odpowiednika, tylko nieco w innym desenie.

W International Student's House Tili i Betty poznały ślicznego młodego chłopca, Rosjanina w mundurze amerykańskim, który mówił równie świetnie po francusku, jak po angielsku, i równie dobrze czuł się u siebie w Ameryce, jak i w Europie. Po odczycie poszły z nim i z profesorem, którego odczyt ściągnął ich do Student's House — na obiad.

O wpół do dziewiątej wróciliśmy przykładowie do domu, jak Pan Bóg przykazał, i tu — czeka na nas awantura. Awantura, o dziwo, była o to, że profesor i Mikołaj są Rosjanami. Kiedy Dad wysunął jako argument, że ich wcale nie znamy, (argument w Ameryce zupełnie nieważny, zwłaszcza w takim jak ten wypadku), powiedziałam mu, że nie miał nie przeciwko zadawaniu się z zupełnie nieznanymi Polakami, nawet ich nieraz przyjmował na obiedzie.

Wówczas powiedział coś, co mnie zupełnie rozbroiło: „*You are safer with a million Poles than with one Russian, or even American for that matter. Polacy są ulepieni z dobrej gliny. Każdy Polak, choćby z najniższej klasy społecznej, będzie zawsze gościnnie przyjęty w moim domu*”.. Zła byłam, powstrzymałam się jednak od rozbicia tego niewątpliwie pięknego mirażu, bo mnie chwycił za serce.

Ojciec, którego nagabuję w tym labiryncie między młodzieżą w La Morte, Alexandrem i papą Considinem, stale odpowiada: „Tak, to tak, ale pewno befszytk... tym lepiej staniesz ideowo na nogach, im więcej będziesz umiała. Syntezy — same przyjdą”.

Wyczytuję Twoje listy jak Ewangelię. Pełno rad i wskazówek sypie się na mnie, biednego ćwoczka, który tutaj pracuje jak szkapą dorożkarską. Zemdlałam podczas Pasterki i pięciu gentlemanów wynosiło mnie z kaplicy Rosemont, sapiąc i dysząc. Doktor orzekł ogólny rundown moralny spowodowany przepracowaniem. Ale co on rozumie: myślę, że po prostu składałam w Palestynie i w Warszawie, i wszyskim tam błyskawiczną wizytę.

I tak się złożyło, że gdy byłam u doktora z siostrą Ambroise, dam znać, że jest list od Ciebie. Polecałam do mego pokoju czytać — był kochany i dopingujący, jak zawsze. Zaczęłam wylewać takie potoki łez, że nieszczęsna Mother Ambroise, która z trudem po paru minutach doptynęła do mojego pokoju, była poważnie zaniepokojona. Gdy się z trudem dopytała wreszcie, o co chodzi, i gdy się dowiedziała ode mnie, że rozpaczam, bo za mało zrobiłam i za mało pracuję, i marnowałam czas — spojrzała z niepokojem, szukając objawów choroby, jeśli nie umysłowej, to przynajmniej nerwowej, jako że całe college huczy pierwszym wypadkiem w dziejach college’u — moim przepracowaniem. No, ale zapakowali mnie tydzień temu do łóżka, karmili jak bekonika tuczonego na sprzedaż, zasadzili przy mnie nurse szkolną, która cały dzień była tylko dla mojej obsługi — oto jestem kwitnąca i pyzata, i wracająca dokładnie do tego, co robiłam przedtem.

W dwulecie rozstania się na dworcu bukaresztańskim, wyrachowując się sumiennie niemiłosiernemu ojcu, wyliczała przewagi osiągnięte w ciągu ubiegłego roku: stanie się punktem amerykańskim dla dwustu dziewczęciu jeńców w dwudziestu dwu różnych obozach, pięćdziesiąt wysyłających paczki, dwadzieścia korespondentek; napisanie i wydawanie książki Pod dwiema okupacjami, przetłumaczenie jej na angielski, dziewiętnaście artykułów w polskich i angielskich pismach, dwanaście artykułów w szkolnym piśmie, dwa wieczory polskie, kilkanaście odczytów po polsku i angielsku, no i wreszcie... otrzymanie dyplomu z ukończeniem college’u with distinction.

A więc owocuje!

King przypomina sobie początki tego pisania w USA:

Dwa dni temu dostałam odmowny list z Atlantic Monthly. Schowałam starannie jak i inne do szufladki i przysięgłam, że nie wyjadę z Ameryki, póki nie będę miała jednego artykułu w „Atlantic”. Boję się, że będę tu siedzieć do końca życia, bo jest to bezsprzecznie czołowy i najsSelektywniejszy z tutejszych „magazines”. Tych odmownych listów mam już całą plikę. Betty się dziwi, że je tak starannie chowam. Ale może je jeszcze kiedyś im pokazać.

Istotnie, zaczęła drukować. Kiedy pierwszy raz miał się jej artykuł ukazać w „świętym świętych”, w „Wiadomościach Literackich”, redakcja umieściła go na jednej kolumnie z artykułem ojca i autorka wybuchła chępliwością bez miary:

Ha!... Ha!!! – Wielki Ćwoku Sześćdziesięciosześciowy! Nareszcie dożyłam triumfu bycia na jednej stronicy z Twoją Wielkością. No i jak Ty teraz wyglądasz?... Czy dziwiłeś się i czy podziwiałeś: „A to beczelny szczeniak”...

*Całuję najmocniej
bardzo dumny
TIRLIPOREK*

Tata przypomniał, jak pierwszy raz nauczyła się słowa „paść”, jak dostała szczypa, bo nie wiedziała, że w alfabecie istnieje litera „Q”, jak napisała wiersz „Pan Ludwik był bardzo wesoły”, jak czytali wspólnie Sienkiewicza, jak pisała pierwszy felieton, jak inkasowała mając dwanaście lat pierwsze honorarium, jak mając szesnaście lat pisała w „Kurierze Porannym” cykl całkiem już dorzecznym felietonów.

A teraz — mając osiemnaście lat — wydaje książki, a mając dziewiętnaście lat drukuje w „Reader’s Digest” i innych. Dalibóg owocuje...

Tacie przypomniało się, jak w dzieciństwie został obudzony w nocy. Eksplodowała kwiatem wielka stuletnia agawa w salonie, co było wyczekiwane przez dziesiątki lat. Mówiono, że kwiat w obcym klimacie nie zawiąże się w owoc, i tak się stało.

A tu... owocuje moja córeczka, owocuje!

Marta zakończyła college. Krystyna miała już wyznaczoną pracę doktorską. To teraz miał się zarysować czas owocobrania. I właśnie po przystąpieniu Ameryki do wojny kontakt z krajem się urwał, a listy między Ameryką i Palestyną szły do trzech miesięcy. Pamiętałem, że tam u Krysi i jej kolegów odbywa się „szturm na buchalterów w niebie”, a amerykańska córka napisała wręcz przed upływem drugiego roku, że „jeśli pobędę tu dłużej niż dwa lata, to już w ogóle nigdy nie będę mogła być sobą, stanę się międzynarodowym kundlem bez własnej budy”.

Czując, że przyjdzie im w tej nowej fazie być nawet bez listowego oparcia, piszą ostatnie umacniające listy.

Marta do ojca:

Pacyfik zamknięty. Jeśliby to miał być i mój ostatni list w tej zawierusze, jaka się, chwala Bogu, rozpełtała nareszcie do imentu – tyle jest rzeczy, które bym chciała Ci powiedzieć, ale mi niewyraźnie. Najważniejsze to chyba, żebyś nie wątpił we mnie, bo Cię już nigdy chyba w życiu nie zawiodę. I że zawdzięczam to Tobie. Że myślę o Tobie zawsze jako o kimś najbardziej na świecie kochanym i że nawet gdybym Ciebie nigdy już nie miała zobaczyć, dałeś mi tyle przez dziewiętnaście lat naszej „znajomości”, że nigdy nie tego nie zatrze we mnie.

...każdy mój wysiłek próbuję Tobą. Choćbyś nie mógł pisać, będę myśleć – Co Ty byś powiedział. I sądzę, że zawsze będę wiedziała i że nigdy nie udam przed sobą – że nie wiem.

Mama do Marty

Moje Dziecko Najmilsze!... Dostałam wczoraj Twój liścik. O Moje Najdroższe!... Tylko o wiadomościach od Kingusia nie pisz, gdzie się trafi, a zaraz na początku listu i szczegółowo każde słowo!... Nie streszczaj, choćby to były wiadomości pobieżne, bo dla mnie jest bardzo ważne każde słowo, moje Milutkie... Myślę, że wyzwoli w sobie teraz wszystkie możliwości pisarskie, kiedy jest wolny od obowiązków rodzinnych i widzi egzotyczne kraje; on tak umie patrzeć i czuć, że może wszystkie moje troski będą radościami, kiedy zacznie pisać dla ludzi, których dusze pogłębiają się też przez cierpienie...

Nie na próżno tak się Domeczek umacniał przed idącym huraganem. To był ostatni list z Polski. Po trzech miesiącach Marta otrzymała ze Szwajcarii depeszę od Staszka Jasińskiego, jednego ze swych chrześniaków wojennych, że „w domu wszystko dobrze”. Staszek otrzymywał trzy franki tygodniowo i na depeszę wydał sześć. Napisała do niego, a po trzech miesiącach donosiła z triumfem:

Jasiński przetransportował mi krótki liścik. Same czułości, błogostawieństwa i pytania o Ciebie. Najukochańszy nos króliczkowy... Nie zdziwiłby się nawet, gdybym mu powiedziała: „Pisz na ręce księżycy”. Napisałby grzecznie, niczemu się nie dziwiąc, żeby się nie martwić o nich i żeby King dbał o siebie, i że całuje mocno, i że czeka naszego powrotu.

I potem już tylko dwadzieścia pięć słów przez Czerwony Krzyż, dwadzieścia pięć słów podpisanych: „Domeczek”.

Potem powoli, już patrząc wstecz, poczęły się wywikływać dzieje dalszych lat. Tych amerykańskich wcześniej, tych polskich — o wiele za późno...

Kiedy Marta skończyła college:

Przyszła papa Considine z poufną miną i powiedział, żeby niczym się nie martwić, bo on będzie most happy indeed zapłacić moje chesne na uniwersytecie, i że oni chcą, żebym się uważała za ich córkę, i że nie robią nic innego niż to, co — they feel sure — Ty i Mama zrobilibyście dla Betty w Polsce, gdyby była w mojej sytuacji.

— *Skąd pan to wie?*

— *Bo znam ciebie. Nothing good ever comes out of bad.*

Ale nie skorzystała z tej uprzejmości, wpisy skłeciła sama, zdobyła na Pennsylvania University magisterium prawa rozprawą o traktacie ryskim, po którym zaproponowano jej asystenturę.

Ognie jednak zaczęły podchodzić.

Z Polski do Palestyny przedarł się przez Bałkany Felek Lechnicki, ten sam, który kiedyś uważał, że klacz jest piękniejsza niż dziewczynski podłotek. W Palestynie długo chodziliśmy nad morzem.

— Felek, co będziesz robił?

Nad morzem leciał aeroplan. Felek wbił palące oczy we mnie.

— Stryja mi zabili, przyjaciół mi pomordowali. Chcę tylko jednego — rzucił ręką w niebo w stronę znikającego samolotu — ...latać nad Niemcy.

Tata, donosząc o tym do USA, w obawach zbytniego entuzjazmu (bo Felek siedział bodaj pannie w głowie już w Polsce), wykrzywił się, że Felek to jest... taki egotysta... taki... niekoniugalny typ.

Ty też chyba jesteś raczej niekoniugalny typ — odpowiedział „Koci ogon” — a przecież trudno chyba sobie nawet wymarzyć lepszego ojca na całym świecie (no, chyba że tak...)

Zaproponowała Felkowi napisanie wspólnie książki o okupacji po angielsku. Wydawca był, rząd polski dałby mu delegację w tym celu do Stanów.

Ale niebawem komunikowała żałośnie:

Felek woli latać. Pisz: „Mnie pociąga bardziej latanie, a nie zwykłem się nigdy do niczego naginać (Ćwok! — przypisek mój). Jednego tylko żałuję — że nie będziemy razem pracować”.

No, więc nic z tego nie wyjdzie. Właściwie jestem rada, że Felek woli latać, choć książka chyba byłaby stokroć pożyteczniejsza. Cóż, jeszcze jeden okrucieństwo imponderabiliów, które tak cenimy.

Ale w niej wstaje gorzki żal.

Chodzę i myślę, chodzę i myślę. Wiem tylko jedno z całą pewnością, że więcej tutaj wysiedzieć nie będę mogła. Po prostu wykipię jak mleko. Albo przypalę się. Pisałam już zresztą do Ciebie i czekam na Twoją opinię. Tak bardzo tego chcę. Dostyc już mam tych swetrów. Cóż za klęska być takim nieszczęsnym potyradłem kobiecym, piątym kołem u wozu, w takich czasach! Mieć muskuły mocniejsze niż niejeden chłopak, wspaniałą formę fizyczną i nie móc nic, nic wtedy, kiedy każdy ochotnik jest tak potrzebny.

W Ameryce osaczają ze wszystkich stron — że potrzebna.

Wiem to sama. Ale ja chcę munduru; żeby mi ktoś rozkazywał; żeby mi jadła nie to i nie tyle, co chcę; żeby mi nie miała trosk poza wygrzebywaniem się z kolejnej sytuacji; żeby mi się plany kończyły na jutrze albo, najdalej, na pojutrze; żeby mi nie dbała o suknie i nie miała wyrzutów sumienia o każdy nowy kapelusz; żeby mi było tak samo głodno i gorzko jak Krystynie i Mamie, i żeby wtedy właśnie było mi radośnie. Jeśli mi kto powie, że za wiele chcę, przyznam mu rację. Ale pracowałam na ten przywilej trzy lata, w listopadzie będzie trzy i pół, kulałam w college'u, kulałam na uniwersytecie, w pocie czoła kleciłam swoją osobistą propagandę, że aż mi jedna własna myśl w głowie nie została, bo wszystkie odmierzałam tą miarą, i przez trzy lata byłam nieprzerwanie „państwowotwórcza”, „inteligentna”, „dobrze wychowana”, „patriotyczna”, „na poziomie”. Więc teraz, psiakrew, po tych trzech latach, zasłużyłam sobie na wszy, jak w Chełmie, i na mięso końskie, jak w Warszawie. I na swoje własne miejsce w szeregu. I niech mnie już nikt więcej nie szantażuje „jutrem Polski” i „wyrzniętymi kadrami inteligencji polskiej!” Buntuję się. Ja chcę od nowa bać się przeraźliwie i cieszyć się, że mimo to się nie cofam; mieć mdłości na widok robaczywej rany czy płwocin na brodzie żołnierza, który nie może poruszyć rękami i prosi o otarcie ich; zapamiętywać dygocącym od strachu mózgiem hasła i odezw, i marszruty; obierać kartofle, szorować garnki, robić cokolwiek, ale jeśli już nie walczyć, to chociażby być tam, gdzie się ludzie biją.

Na te protesty rzucono się ze wszystkich stron z przekonywaniem, a potem z nakazami. Że „pestek” jest dosyć, a osób mających kwalifikacje propagandowe nie ma, że jest zmobilizowana i, tak jak i żołnierze, nie może sobie przydziału wybierać.

Nie ma co gadać ani się rozżalać. Zostanę tu. Tego wieczora, kiedy się zgodziłam na propozycję „Polish Information Center”, poszłam zobaczyć film o „Spitfire'ach” i szlochałam jak bóbr, że ich nie zobaczę. Muszę się przyzwyczaić, polubić robotę. Tymczasem jeszcze mi dosyć ciężko.

Jej korespondent palestyński tymczasem właśnie miał tam pójść, gdzie się tak wrywała, przysłał fotografię w mundurze korespondenta wojennego.

Obnoszę Twoją fotografię jak świętą kość. Została już wprawiona w portfelik z czerwonej skóry z wyłożonym monogramem „M.W”. Jadąc tramwajem, wyciągnęłam ją i patrzyłam, i śmiałam się nieomal na głos, aż się ludzie naokoło do mnie uśmiechali. Mój Najmilszy, Najdroższy!... Zapewne zgubię Cię znowu z oczu jak perkoza nurkującego pod wodą, ale wytknij czub na powierzchnię, kiedy tylko będziesz mógł, pamiętaj, i odezwij się.

Przypuszczam, że będziesz teraz się bawił intensywnie pchaniem palca między drzwiami. No cóż, trudno... Ale niech „nie przytłuką mocno Ci”, jeśli to tylko możliwe. Głupio zresztą o tym pisać do Ciebie, ale tak już się napisało, więc niech zostanie.

Tili więc i King dali nurka na dwie strony.

List od niej znalazł „perkoza”, kiedy wynurkował dnia 17 maja 1944 roku z ruin Monte Cassino. Na wzgórze klasztorne wspinała się właśnie ekipa mająca zawiesić sztandar w towarzystwie obcych korespondentów i towarzyszących im naszych oficerów z kwatery prasowej. Jeden z nich miał w kieszeni list od Tirliporka. Ten dawny Tirliporek pisał, że wygłosił na terenie Stanów z górą dwieście odczytów po angielsku i że we wrześniu odbędzie się jego ślub z Jankiem Erdmanem, dziennikarzem, podchorążym odznaczonym w Tobruku, attache prasowym ambasady w Rosji, i ostatnio kierownikiem wydawnictw Polish Information Center w Stanach Zjednoczonych.

Ognie podchodzą

Anglicy w Domeczku

Nigdy uczucie bezsiły nie było większe, nigdy świadomość izolacji i porzucenia silniejsza, niż kiedy zalew niemiecki stał bezkresem na wschód i na zachód, jak wylew powodzi, i kiedy przeszły nad porzuconą Warszawą burze pierwszych wielkich obław na ludzi.

Nagle szeptana od człowieka do człowieka poszła wieść: w Warszawie ukrywają się Anglicy; coś przygotowują; są w kontakcie z naszymi...

Mama pierwszy raz wyraźniej o nich posłyszała w tramwaju. Tramwaj warszawski to żywa, czujna społeczność, rozumiejąca się wzajemnie, zorganizowana, dająca sobie zrozumiałe znaki, wysłuchująca piosenek skowronków ulicy warszawskiej, obdartych uliczników, wyśpiewujących o „panu tymczasowym”, o „głupim malarzu”, to zwarta społeczność osłaniająca śpiewaczych andrusów, wywnętrzających się patriotycznie pijaków, niezbyt ostrożnych kolporterów podziemnych pism.

Jadąc przez poszarpaną Warszawę, upstrzoną rumowiskami, pomnikami, siedzibami nowych władców — tramwaj kurczył się i rozpręzał w sobie, reagował spojrzeniem, uśmiechem, półsłówkiem.

Na rogu Koziej i Krakowskiego Przedmieścia tramwaj zwykle niechętnie odwracał oczy — na barze wisiał napis: Nur für Deutsche.

Tym razem trącono Mamę w ramię:

— Niech pani spojrzy.

Bar był zamknięty. Napis znikł.

Tramwaj żarliwie szeptał, że tu zbierali się oficerowie niemieccy, a usługiwali agencji Intelligence Service. Miano ich dziś nakryć, ale oni wszystko wiedzą — ho!... ho!... Kiedy gestapo przybyło, bar był pusty.

Serce zalało się radością. A więc są... Działają... I jacy przebiegli...

A już potem niedługo było tak. Mama poszła do Tolów. Przeflancowany przez rugi niemieckie z Kujaw w okolice placu Narutowicza, Tol był ustawicznym enfant terrible rodziny i otoczenia.

— Czekaj pan! — krzyczał przez trzy rzędy do kogoś w tramwaju, z kim coram publico wiódł dyskurs o tym, co się dzieje na świecie — ot, ja zaraz panu pokażę, przecież wyraźnie napisane.

To mówiąc, wyciągał triumfalnie wobec struchlałego tramwaju ostatni numer tajnego biuletynu.

Tym razem, wszedłszy przez nigdy nie zamknięte drzwi (ustawicznie okradane z palt, tkwiło mieszkanko na Filtrowej cały Boży dzień otwarte, jakby drzwi wiodły na ganek z kolumienkami. „Kto słyszał na dzień drzwi od domu zamykać!” — grzmiał dziedzic) — Mama zastała w saloniku foremnego cywilnego pana, mówiącego po angielsku. Tolowa wzniosła oczy ku niebu — miało to znaczyć: „Tol znowu kogoś do domu przyprowadził... Szykujemy się, kobiety, jak zneutralizować nowe szaleństwo”.

Nie trzeba było długo czekać, żeby się dowiedzieć, kto jest zacz angielski gość. Rozpromieniony Tol od progu grzmiał, że to oficer angielski i że „będziemy go wraz z drugim jeszcze przez Bałkany przerzucać”.

Owo „będziemy” — wygłoszone z emfazą, miało oznaczać, że będzie go przerzucać „kochany Drolcio”, równie kochany Lulu, jeszcze kochańsza ciocia Różia — jednym słowem dobrana ziemiańska sfera, wyrzucona z leżysk na Pomorzu i w Poznańskim.

Na schronionych do Warszawy niedobitków z tej sfery, jako mówiących po angielsku, organizacje podziemne zepchnęły zadanie żywienia i przechowywania Anglików, którzy coraz częściej poczęli zbiegać z niewoli niemieckiej.

Gościa nazywano krótko — Nick. Tol go upchnął na jedną noc do Stasia Czapskiego, na drugą noc Nick ruszył z Felkiem Lechnickim do Zakopanego, gdzie go miała przeprowadzić panna B., śliczna dziewczyna z Kujaw.

Z wolna namnożyło się tych Anglików jak maku. Uszczęśliwiony Tol witał każdego w nie zamkniętym domu, jakby sąsiad przyjechał w gości — „siadaj, kochany!...” Uszczęśliwiona ciocia Różia, kochany Drolcio, czarujący Lulu, hrabia Staś rozchwytywali zakurzone i nie ogolone „ozdoby salonów” po podwieczorkach dla nich aranżowanych. „Ozdoby salonów” odjadały się setnie na jakichś całkiem przedwojennych smakołykach, będąc zmuszone podjąć rewizję co do polskiej kuchni. „Dziwne menu mają Polacy — mówili — zupy i zupy”. Co głuptasom było tłumaczyć, że kartoflanki, którymi ich żywiono po drodze, były jedynym pożywieniem tych ludzi, którzy im przychodzili z pomocą. Nie rozumieli nic. Uciekali po wybuchu wojny z Rosją na wschód, przekonani, że ta Rosja leży tuż za Warthegau. Opowiadał jeden z nich, że przekroczywszy granicę General-Gubematorstwa, ustawili się w rząd we czwórkę i pomaszzerowali, śpiewając Tipperary. Pierwszy z brzegu napotkany Polak struchlał. Chwytał za klapy, niesamowite znaki wyczyniał, powtarzał Germans..., robił gesty rozstrzeliwania, zamykania na klucz. Przecież mówiono im wyraźnie, że droga, którą przekroczyli, to frontier. Zrozpaczony Polak popchnięciami doprowadził ich do chałupy, zamelinował, ugościł („dziwnym polskim menu”), zawiadomił, gdzie trzeba, aż ich pojedynczo poholowano przez szereg kartoflanych krupników aż tu, do kochanego Drolcia, świetnie paplących po angielsku cioci Rózi i Lulu.

Ciocia Różia zwłaszcza spalała się chęcią propagandy. Ciocia Różia miała zawsze dryg w tym kierunku. Na kilka minut przed wojną zorganizowała „dziecięciminutowki antybolszewickie”. Ona sama, ta droga Żańcia, obie córki tej kochanej Żanety i kilka jeszcze wolontariuszek zobowiązały się, że każda dziesięć minut dziennie poświęci na propagandę antybolszewicką. Ciocia Różia oburzała się na „drogą Żańcię”, że się wykpiwa w najtańszy sposób z zobowiązania: po prostu kuczy głowę bolszewikami swojej pannie służącej w czasie porannej toalety.

Teraz — czy nie raj? Anglik jest usadowiony i nie ma dokąd uciec. Wtraja jeden półgęsek — jednego Sobieskiego pod Wiedniem, jeden kawałek tortu — jedno przedmurze chrześcijaństwa. Kiedy dochodzi do Psiego Pola, jest już zupełnie zrobiony propagandowo. Patrzy rybim okiem na ciocię Rózię i zupełnie z nią się zgadza : „Yes, madam. Of course, madam. Perfectly, modam”.

Wreszcie i Mama dostała swojego Anglika. Arystokratyczne okolice placu Narutowicza wchłonęły wszystkich oficerów — na Żoliborz łączniczka przyprowadziła sierżanta Jamesa.

James był rudawy, różowy na nosie i wesolutki jak szczygieł. Dostał wygodny pokój i objadał się sumiennie. Miał powiedziane, że nie ma łązić po mieście, ale się lenił pomagać kobietom w okopywaniu warzyw, posadzonych na miejscu dawnych ramblerów, i raz po raz smykał na dziewczynki. Wracał wesoły, po coraz nowych znajomościach, z coraz większym zapasem słów. Był to bardzo dzielny chłopak i straszne dumidło. Kiedyś, wracając tramwajem na Żoliborz (bo już myszkował po całej Warszawie), pokłócił się z konduktorem i nie mogąc sobie poradzić po polsku, otworzył się na cały regulator po angielsku. Zachwycony, rozpromieniony i struchlały tramwaj otoczył go zwartym kołem, wziął go w macierzyńską opiekę, wypchnął na najbliższym przystanku.

Już Anglicy poczęli wsiąkać i na Żoliborz. W willi naprzeciwko od kilku dni nasłoneczniał się jakiś rudzielec — wypisz wymaluj Anglik. Rudzielec, ile razy zobaczył kogoś w Domeczku, wyszczerzał się i powrzaskiwał bardzo po przyjacielsku przez ulicę — wszak James był jego sitwesem.

James aklimatyzował się coraz lepiej. Wynalazł sobie jakąś Mańkę na Marymoncie i pomagał swemu sweetheartowi szmuglować słoninę. Do Domeczku sprowadzał sitwesów

pożyczać książki. Te książki angielskie stały się przekleństwem Domeczku. Pewnego razu Wanda, córka znanej pisarki, rojną niedzielą samym południem przywędrowała po książki ze swoim narzeczonym Anglikiem. „Nie łażcie tak po rojnych ulicach” — jęknęła Mama. Ale nie mogła się gniewać — tacy byli szczęśliwi i młodzi!

Z wolna improwizacje Tola i cioci Rózi zanikły. Czuć było rękę, która ewidencjonuje i ujmuje w karby całe to beztroskie bractwo. Ta ręka sprawiła, że James otrzymał inną kwaterę i opuścił Domeczek. Ta ręka sprawiła, że pewnego dnia zabrzmiał telefon: „Pani Zosia przyprowadzi gościa”.

O zmierzchu pani Zosia, łączniczka, śliczna elegancka kobieta o popielatych włosach, mówiąca świetnie po angielsku, przyprowadziła Christophera. Był to oficer angielski nie znanego nam stopnia. Wysoki, postawny, ubrany w fashionable raglan, z elegancką walizeczką w dłoni. Ujmował zachowaniem pełnym dyskrecji, jasnym uśmiechem, który kontrastował ze smutkiem czającym się w patrzących prosto i uczciwie oczach. Syn zamożnego przemysłowca, wychowany częściowo we Francji, mówił płynnie po francusku.

Krzysztof — bo tak go nazywały — został. Mieszkał długo i stał się niejako członkiem rodziny. Nie od razu. Był do końca bardzo powściągliwy w wyrażaniu uczuć. Pani Zosia przyprowadziła go po tyfusie, który przechorował w jej domu, z którego go wyciągnęła z całym poświęceniem kobiety oddanej sprawie, a może nie tylko sprawie... Krzysztof pierwsze tygodnie jadł dużo, zmiatał wszystko, co się przed nim postawiło. Ale to nie był prostoduszny James; orientował się, jakie niebezpieczeństwo zawisło wraz z jego obecnością nad Domeczkiem, widział, jak kobiety same uprawiały ogródek działkowy, jak trudno jest z żywnością, ciążyło mu to widać. Po kilkakroć przychodził do Mamy i przełamując swoją powściągliwość zapewniał, że Anglicy bardzo dobrze przyjmują Polaków na swej wyspie, że to, of course, nie może wytrzymać żadnego porównania z tym, co oni otrzymują od Polaków, ale w każdym razie chce, żeby wiedziała, że i oni robią, co mogą, i że nigdy nas nie opuszczą.

Krzysztof był niewątpliwie w kontakcie z naszymi podziemnymi władzami i widać był przełożonym Anglików przebywających w Warszawie. Zjawiali się do niego na odprawy coraz inni. Domeczek nie był „spalony”, leżał na skraju Żoliborza, w ogrodzie otoczonym potężnym murem, zamkniętym na ciężką dębową furtę. Dzwonek przy furcie był naumyślnie zerwany, ażeby w razie łomotania mieć pretekst zwłoki. Przez taras na tyle domu można było zsunąć się za mur sąsiedniej posesji, a stamtąd było niedaleko do pustaci nad Wisłą.

Pierwszym pośrednikiem między mieszkankami Domeczku i Krzysztofem był kominek. Tak zdarzyło się, że dłuższy czas po jego przybyciu nie było drzewa, więc nigdy nie wprowadzało się Krzysztofa do biblioteki. Któregoś wieczoru Kryśia go zaprosiła. Spostrzegła, mimo całego opanowania Krzysztofa, jakie na nim zrobiło wrażenie, kiedy wszedł w ten blask kominka. Zasiadł w fotelu przy kominku z miną, z jaką człowiek spełnia całociwowy nawyk. Przykucnęły obok dosyć pokornie samotne kobiety — oto siedzi przed nimi opiekun, symbol pana domu.

Odtąd — stał milczący układ, że znajduje się w Domeczku nie jako funkcja walki wspólnej obu narodów, że przy tym kominku, w tym domu, mieszka jako on, jako Krzysztof. Zaczął przyprowadzać kolegów. Nie na odprawy, a na pogawędki. Aczkolwiek te pogawędki nie były ożywione.

— Proszę pani, jestem synem szewca — ni stąd ni zowąd na wstępie do rozsiedzenia się przy ogniu oświadcza przyjaciel Krzysztofa, mały, krępy, zadzierzysty.

Krzysztof, już oswojony nieco, śmieje się:

— Proszę pani, on jest synem architekta. Ale, rozumie pani, przysłała go „czoczko Róża”.

Mały zadzierzysty poczyną z Krysią śpiewać piosenki angielskie, Ewa, jej koleżanka, przyniosła album swoich zdjęć z Anglii. Sypią się nieskończone „verynajsy”, Wszyscy są zadowoleni z wyjątkiem Krzysztofa. Piosenek wysłuchał przez grzeczność, na fotografii nie patrzy. Nie chce się rozhartowywać? Bo to może grozić przy tym ogniu i w tym polskim

domu. Wyznał Krysi, że zostawił w Anglii matkę, którą kocha ponad wszystko. Powiedział kiedyś, że czuje, iż z życiem z wojny nie wróci.

Widać, że Niemcy obserwowali te fluktuacje Anglików w Polsce.

W Zakopanem przy przechodzeniu granicy złapano tego Nicka, który był podejmowany u Tolów. Złapano tę panienkę z Kujaw. Potem z ręki polskiej padł przewodnik, który ich zdradził.

Najwięcej nici Niemcy łapia na zachodzie, skąd Anglicy uciekali. Gruchnęło już, że w Poznaniu nastąpiła rzeź za przechowywanie Anglików. Obława zawęży się, dochodzi do Warszawy, do niefrasobliwego placu Narutowicza.

31 grudnia 1943 roku Mama jest w Domeczku sama. Krzysztof poszedł spotkać Nowy Rok do pani Zosi. Krysia wyjechała do znajomych na wieś.

Tol zadzwonił, żeby przysłała witać Nowy Rok wspólnie.

Wchodząc dowiedziała się, że i ten Anglik, narzeczony Wandy, został schwytany. Nowy Rok nie był podobny do pogodnych dni na placu Narutowicza. Tol rozpaczał, Marietta na próżno maskowała niepokój. Okazało się, że Nick, męczony widać, wyspał. Areszty poszły szeroką falą. Uwięziono Tola przyjaciela od serca, wyaresztowano po całej Polsce jego rodzinę. Panienka z Kujaw nie wiadomo, czy jeszcze żyje... Czapski, który zarabiał prowadzeniem sklepu, a w którego domu nocował Nick, uciekł i tuła się po znajomych. Do jego domu i do sklepu co dzień się nawiaduje gestapo. Kiedy bije dwunasta, podnoszą tradycyjnie kieliszki, ale wszyscy rozumieją: każdy nasłuchuje, czy u drzwi nie zabrzmi dzwonek.

W następnym dniu zostaje aresztowana matka Wandy, potem przychodzi wiadomość, że przyjaciel Tola, były minister, Olszewski, jego brat, jego siostra — wszyscy straceni.

Plac Narutowicza jest zdenerwowany. Ciocia Róża skurczyła się i pół dnia spędza w kościele. Staś się ukrywa. Drolcio się ukrywa. Lulu otrzymał posadę w RGO, zakamuflował się, wyjechał na prowincję.

Ale ci inni, ci niewidoczni, którzy kierują walką — działają. Jak dawniej Domeczek ma rozkaz przechowywać Krzysztofa, jak dawniej Krzysztof odbywa swoje tajemnicze odprawy. Uśmiech ma zawsze jasny i chłopięcy, tylko oczy smutne.

Co zrobić, żeby ten człowiek, przytłoczony brzemieniem codziennego niebezpieczeństwa, codziennej odpowiedzialności, odetchnął z ulgą, jak wówczas na widok ognia na kominku?

Wtedy już była elektryczność. Ale Krysia tego wieczoru jej nie zapala. Rozjarza, jak za dobrych czasów, świece we wszystkich świecznikach. Miękkie światło równo oświeca pokój. Kwiaty stoją w kryształach. Domek za grubym murem ogrodu usiłuje żyć swoim przedwojennym życiem.

Marta od razu dostraja się do otoczenia. W białym czepeczku i w fartuszkach przesuwa się bezszelestnie z półmiskiem. Oczy wszystkich trzech kobiet patrzą na Krzysztofa. Czy zadowolony.

Nagle pukanie do furty — najprzód delikatne, potem mocniejsze. Jest po godzinie policyjnej — to mogą być tylko... Niemcy.

Krysia ma szybkie reakcje. Wybiega, nim matka i Marta zdążyły ją uprzedzić.

Wraca po chwili — spokojna, skoncentrowana. Pobladła jeno nieco. Krzysztof patrzy na nią bacznie, prawą rękę włożył do kieszeni. Krysia jednak mówi tak równym, spokojnym głosem, że nic z niego nie może rozeznaczyć.

— Mamo, Niemcy. Pytali o pana Ratajczaka. Poszli do niego na górę.

— Niemcy — informuje matka Krzysztofa.

— Co mam robić? — pyta flegmatycznie, jakby się informował, gdzie ma postawić wazon kwiatów.

— Pan z Krysią do biblioteki.

Tuż przy wejściu do biblioteki, w hallu, jest zejście na dół do części gospodarczej domu. I stamtąd można wysmykać się okienkiem na podwórze dużej posesji. Ale trzeba wprzód sprawdzić — co u Ratajczaka.

Pan Ratajczak, Poznaniak, wynajmujący dwa pokoje i zamieszkały z rodziną, schodzi właśnie z góry.

— Proszę pani — mówi zmieszany — to są dwaj Polacy z Poznania. Uciekli z eszelonu wojskowego idącego do Rosji. Mieli mój adres. Ja wiem, że panią narażam, ale co mamy z nimi robić? Przecie musimy ich przenocować!

Mama biegnie do biblioteki. Krysia i Krzysztof trzymają fason — rozmawiają jakby nigdy nic o *The New Brave World* Huxleya.

— Zaraz spalę ich mundury — zapewnia Ratajczak.

— Broń Boże — oponuje Krystyna — mundury i papiery pan tu przyniesie. — Biegnie do szafy z ubraniami ojca. Mama idzie do pokoju Krzysztofa i zabiera jedną z poduszek. Dla tych... Niemców.

Ratajczakówna chce urządzić bridża polsko-angielsko-niemieckiego. Ale starsi ją gromią. Lepiej niech się nie poznają. Człowiek jest kruchy.

Tej nocy spał w Domeczku zbieg angielski i dezenterzy niemieccy.

Nazajutrz uwiadomiła siostra Ratajczaka, mieszkająca w śródmieściu, że szukano u niej dezenterów. Mieli widać poszlaki. Tym tropem dojdą i do Domeczku.

Uwiadomiona organizacja kazała niezwłocznie usunąć Krzysztofa. Znowu zjawiała się po niego łączniczka Zofia. Mama dała swoją walizkę, w którą upchnęli niemieckie mundury.

Mama liczyła się z powściągliwością Krzysztofa. Ale nie mogła na sobie wymóc rozmowy o pogodzie. Wyszło więc pół po angielsku i pół po polsku — pogładziła go serdecznie po rękawie. Uśmiechnął się tak jasno, uśmiechem, który zostaje w pamięci na całe życie.

Wyszli — młodzi, promienni, kochający się, tacy piękni! — roztaczając tę atmosferę dobroci, która emanuje z zakochanych. Przy furcie jeszcze ich dogoniła — przypomniła, aby zdjąć z tej walizki z mundurami bilet z nazwiskiem i adresem.

W kilka dni potem, kiedy Mama była na dyżurze w patronacie opieki nad więźniami, przyszedł meldunek, że pani Zosia i jej matka zostały aresztowane. Zdjął ją niepokój o Krzysztofa. Ale nie było jak pytać.

— One obie siedzą na Pawiaku — informowała opiekunka rejonowa. — Wzięli je nawet bez płaszczy. Jeszcze by można dosłać na dworzec (wysłanniczki patronatu podkradały się do transportów i nieraz udawało im się wręczyć pakunek).

— Nie można — zdecydowała sekcyjna. — One wzięte za ukrywanie Anglików pójdą prosto do pieców, szkoda płaszczy dla Niemców.

Mana jednak wywalczyła dwa płaszcze. Sekcyjna miała rację. Obie uwięzione stracono niezwłocznie po przywiezieniu do Oświęcimia.

Na ulicy zatrzymała Mamę pani Basia. Szpetny gruby babsztyl, rzekomo z najdalszych kresów sprzed tamtej wojny, a najpewniej gdzieś z Rosji. Na jej zruszczalą polszczyznę boczono się w patronacie, tym bardziej że pracowała w kuchni „Bristolu” zarekwirowanego przez Niemców. Kradła jednak tak wielkie ilości żywności dla więźniów politycznych, że była bardzo ceniona. Przy tym przynosiła wiadomości z pierwszej ręki.

— Nu wot — zwierzała się z przejęciem — tego Anglijca, co kwaterował się u pani Zofii, pojмали i bili na Pawiaku. Ale młodec — nikogo nie wydał.

Nie, Krzysztof nikogo nie wyda. Ale ziemia paliła się pod stopami. Dwie sfory szły dwoma tropami: jedna za dezenterami niemieckimi, druga za robotą angielską. Która dopadnie Domeczku?

Na drugi dzień przed wieczorem przybiegła zdyszana Marta z wiadomością, że pod furką stoi James z jakimś angielskim kolegą i czegoś chce.

Mały James wciągnął na wezwanie wysokiego, tykowatego i ponurego Pataszona i wyjaśnił, zaśmiewając się, jakby mówił najlepszy dowcip, że drągał uciekł z niewoli, a on, James, też nie ma gdzie nocować.

Poszli spać, a Mama do późna usiłowała złapać kontakty. Góry organizacyjnej nie знаła. Plac Narutowicza był sterroryzowany do reszty — ciocię Rózię wywieziono do Oświęcimia, gdzie zginęła. Wreszcie otrzymała skierowanie.

Nazajutrz daje drabom śniadanie i wymawia zbolalym głosem, że nie spała przez całą noc.

— O — zmartwił się pocziwie James — pewno pani za wiele na noc zjadła.

Machnęła ręką i tłumaczy, że mają się niezwłocznie udać pod adres pewnej pralni na Powiślu. Tłumaczy, żeby byli ostrożni. To daleka droga. Przez całe miasto. Aż zbyt niebezpieczna dla zbiega-recydywisty.

— Do pralni mamy iść? — ucieszył się Pat-James. — O, ależ to cudownie!

Zabrał swego ponurego Pataszona i znikli.

Domeczek się broni

Strach rósł pod nogami jak trawa, strach wdzierał się do płuc jak zaduch, strach leżał na żołądku jak kamień, strach palił oczy, drażył uszy, czernił pierwszymi zmierzchami, rznął wstającą świadomość pierwszym brzaskiem. Na Żoliborzu robiło się coraz groźniej. Do Oświęcimia wzięto z rodzicami Krzysia Wąsowicza, kolegę uniwersyteckiego Krysi, zabrano Jaxa-Bykowską, długoletnią współpracowniczkę Mamy w pracach społecznych. Widząc ją w patronacie, Mama radziła wyjechać na pewien czas z Warszawy. „To już — za późno” — odpowiedziała. Czuła się osaczona. Aresztowana nazajutrz, zginęła wraz z córką.

Zabierano na Żoliborzu całe domy.

Wzięto o parę domów znajomego architekta, Brzozowskiego. Ładosz, mieszkający na Żoliborzu, który tylekroć recytował na wieczorach literackich w Domeczku, skoczył przez okno między murarzy, schwycił kielnię i ocalał. Z Kaniowskiej wybrali całą rodzinę, została tylko samotna służąca, która wiernie nosiła paczki na Pawiak. Naprzeciwko Domeczku, z Dziennikarskiej, zabrano Kazimierza Gregera z osiemnastoletnim Witoldem i szesnastoletnim Andrzejem. Niebawem nazwisko jego pojawiło się na czerwonym afiszu — rozstrzelanych. Koło domu Riedlów, przed Tucholską, też naprzeciwko, siadywał żebrak, o którym mówiono, że jest szpiclem — został potem z wyroku polskiego sprzątnięty. Z trzeciej strony (Domeczek tkwił między trzema ulicami), na ulicy Krasińskiego, o jeden dom, mieszkał młody chłopak, Polak, szpieg, na którego dokonano nieudanego zamachu. Z czwartej strony w dużej kamienicy mieszkał granatowy policjant; pewnej nocy odbył się w jego mieszkaniu sąd i wyrok wykonano.

Równocześnie siła oporu nie słabnie, a rośnie. Regularnie raz na tydzień przychodzi stara pani, uginająca się pod ciężarem wyładowanego plecaka. To kolporterka „Polski Walczącej” Witolda Hulewicz, aresztowana potem i wywieziona do obozu.

Co tydzień też przychodzi nieznajoma, a potem już dobrze znajoma pani; siada, wygłasza na pamięć komunikat zdarzeń i idzie obsłużyć następne domy.

W tej grozie wszyscy sobie pomagali. Patronat, kiedy nie miał pieniędzy, sprzedawał byle co po ulicach. Ludzie zawsze wiedzieli, na jaki to cel. Kiedy sprzedawano w niedzielę przed kościołem lizaki, poważni panowie, uściwszy zań wielokrotną sumę, maszerowali z godnością z lizakami w dłoni.

Ale jak zaradzić na ból, na lęk?

Kiedy osadzili na Pawiaku Stasia Dangła (tego, co przysłał do Bukaresztu szyfrowaną kartkę), Mama poszła do prywatnego mieszkania strażniczki na Pawiaku. Nie знаła jej, nie miała poleceń. Trzymając paczuszkę z jedzeniem, zadzwoniła, polecając się Bogu. Otworzył sześciolatek chłopczyk:

— Mamusia poszła do sklepu; zaraz wróci.

Po chwili, kompletnie zaprzyjaźniony, zwierza się:

— A wie pani, że jak się rodziłem, to strzelcy kaniowscy grali pobudkę. Bo mój tatuś był plutonowym.

— Tatuś tego chłopca był plutonowym — mówi Mama do wchodzącej strażniczki; i zaraz, jakby to stało w najlogiczniejszym związku — to jest paczka dla mego siostrzeńca, Stanisława Dangła; pani doręczy?

Wzięła bez słowa protestu. Nazajutrz przyniosła kartkę od Stasia. Ale Staś został rozstrzelany. W kilka miesięcy potem jego los podzieliła i strażniczka, i liczni jej koledzy. Małemu synkowi nie na szczęście grała kapela.

Matka jeździ za Krysią. Krysia nie mówi, dokąd jedzie, irytuje się na te mamine opieki. Ależ kiedy ci młodzi gadają po tramwajach tak nieprzytomnie! Mama wystaje przed

bramami, w których znika Krysia. Ach, jakież długie czekanie, podnoszące włosy na głowie. Ach, jakaż nieprzytomna radość, kiedy mała ukazuje się znowu. Matka ma swoją córeczkę przy sobie, będzie ją miała przez całą noc.

Kiedy czeka w domu, pusty jest przed oczami świat, w którym tkwi tylko jedno: cyferblat. Posuwają się wskazówki ku godzinie policyjnej.

Może Krysia zapomniała o niej, ucząc się z Niną Rostańską? Mama dzwoni.

— Nie, nie ma panny Krysi u nas — mówi pan Rostański — ale przyjdzie na czas, na pewno przyjdzie.

Pan Rostański mówi takim dobrym głosem, że Mama się uspokaja na chwilę, tak jak wtedy, kiedy telefonowała z Vichy do Warszawy i Tata zapewnił, że na pewno nic się nie stało.

Ale wtedy było co innego. I Mama znów chodzi dookoła stołu.

Okrutna jest młodość — zwykle dopiero tuż przed policyjną godziną trzaśnięcie furtki spływa jak błogosławieństwo. I już zaraz ręce na szyję i śmiech: „Mamuśka!”... I wołanie na Martę, że jest śmiertelnie głodna, i jakiś smakołyk przygotowany przez Martę.

Rzadko przychodzi sama. Zwykle przyprowadza kogoś z chłopacydłów, który dla czegoś musi nocować poza domem. Mama nie pyta, Marta nie pyta, tylko dostawia talerz. Czasem już po godzinie policyjną zjawia się gość. Tak zwykł robić Adaś Grocholski, rozstrzelany potem u siebie w Poniatowie. Bojąc się pukać do furtki, przeskakiwał mur i cichutko skrobał do drzwi.

Niektórych zabierała Krysia na dłużej. Tomkowi Rusanowskiemu, którego wydobyto z Oświęcimia, dała pokój, zamknęła palto i czapkę, przyskrzybła, żeby się uczył do matury.

Mama rozejrzawszy się, kogo tego dnia Domeczek gości, telefonowała do innych matek — że... jest. Z tamtej strony telefonu przychodziło ciężkie westchnienie ulgi. Tamta matka dziś spokojnie zaśnie. Mama zaśnie spokojnie. Matki, jeszcze mające dzieci, zasną spokojnie. I ta noc jeszcze należy do nich.

Ale co przyniesie jutro? Pana Rostańskiego wzięli i w bardzo krótkim czasie przyszła wiadomość o jego śmierci. Błada jak opłatek Ninka Rostańska w ślicznej wiśniowej sukience przyszła się dalej uczyć z Krysią, opanowana i spokojna.

— Dziewczynki, czy zjecie poziomki? — pyta Mama po obiedzie. — Ninko, podsuń talerzyk.

— Dziękuję pani — bierze Ninka talerzyk — tatuś... bardzo... lubił poziomki...

Streify idą coraz częściej; rzekłbyś przez Warszawę raz po raz szatan niewód ciągnie. Żoliborz, część Warszawy — to jednocześnie małe miasteczko. Ma swoje lokalne znakomitości, swoje obchody, swoje problemy, niedomogi, inwestycje, swoje dni triumfów, kiedy rusza nowa linia tramwajowa albo inauguruje się park, swoje dni podniesienia na duchu, kiedy właściciel budki z wodą sodową nagle zakłada sklep, a fryzjer, pracujący kątem, otwiera zakład. Na Żoliborzu można kupić bez pieniędzy w każdym sklepiku, i z tego kredytu korzystała nie tylko mała Tili u pana Płatka, ale nawet Gaweł u rzeźnika; można zapomnieć portmonetki — w tramwaju z dziesięciu miejsc ofiarują się z pożyczką; Żoliborz rozumie się na każdym ślubie, na każdym pogrzebie miejscowym, Żoliborz mówi, że po coś jechać należy „do Warszawy”. Żoliborz uśmiecha się do „swoich” dzieci, do „swoich” zwierząt, toleruje „swoich” pijaków i daje prawo azylu „swoim” półgłupkom, inwalidom, starcom, ba, rad jest, że porasta nimi jak drzewo korą chropowatszą pod starość. Bo na Żoliborzu już minęły pionierskie czasy wydmuchów, na których stawiano domki w pustaci, na które trudno było zwerbować służbę, w których osiedlali się rzemieślnicy-partacze i zbiedniali sklepikarze, i urzędnicy w dziurawych portczyinach. Żoliborz ma kościół i park, klub sportowy i liczne szkoły, czytelnie i restauracje, i kawiarnie, i kwaciarnie, i ponad wszystko — ludność, której

dobrobyt gruntuje się wraz ze wzrostem dzielnicy, której indygenat jest tak świeżej daty, jak sama egzystencja narodu na własnych śmieciach pod własnym pomysłem.

Kiedy streifa ciągnie Żoliborzem — wyrywa Żoliborzowi nieznanych lokatorów spod danego numeru domu — wyrywa Żoliborzowi sąsiadów, klientów, towarzyszy zabaw sportowych, sąsiadów z tramwaju, znajomków z kościoła. Nie niknie — „jeszcze jeden”, tylko „ten właśnie”, którego już się przestanie widywać, którego będzie brak.

Więc Żoliborz się broni, broni się zażarcie, cicho, nieustępliwie, zwartym murem solidarności, którego nic nie przełamie.

Normalnie ludzie nic nie wiedzą, nic nie widzą, o nic nie pytają. Przysięgłbyś, że komplet tajnego uniwersytetu funkcjonujący w Domeczku nie może być przez nikogo zauważony. Kilkunastu młodych ludzi przychodzących pojedynczo do ustronnego domu na rogu między trzema ulicami nie może nie rzucać się w oczy. Ani sąsiedzi, ani sklepik, ani fryzjer, ani stróż z sąsiedniego domu, ani koleżanki Marty zabiegające na pogawkę — nikt nigdy jednym słowem nie zapytał o nic, nie dał do zrozumienia, że coś zauważył. Nagle w Szklanych Domach nakrywają komplet socjologiczny (wszyscy uczestnicy zginęli) i Domeczek ze wszystkich stron natychmiast zostaje powiadomiony przez przygodnych ludzi. Skąd wiedzieli?

Telefoniści, którzy właśnie przed kilku dniami zakładali dodatkowy aparat telefoniczny nielegalnie, elektryciarze, którzy na złość zarządzeniom niemieckim przeprowadzili jeszcze jedno połączenie, z frajdą uspokajają: „Nie bój się, paniusia, uskutecznim na fest”, szewc, który wygłosił przedwczoraj rozprawę doradczą o najtańszym żelowania sposobie, sklepikarz, który wczoraj z mrugnięciem oka wyciągnął zakazany produkt spod lady — ci wszyscy sportowcy uprawiający zapalczywie codzienny sport przetrwania — dzisiaj, kiedy streifa ciągnie ulicami Żoliborza, kiedy olbrzymi niewód nasuwa się od placu Inwalidów po plac Wilsona — są zmobilizowanymi członkami jakiejś wielkiej straży pożarnej o nie pisanym statucie. Po uliczkach tonących w ogrodach biegną szybko gońcy, zwiastując, że streifa ciągnie. Po mieszkaniach słychać charakterystyczny szum wody — to żoliborzanie oczyszczają dom z nielegalnej literatury. W stronie przeciwnej kierunkowi streify poczynają się zagęszczać zakamarki. Domeczek jest ostatni na skraju i ma płaski dach. Marta stoi u furty, Mama u drzwi wejściowych, Krysia na górze schodów pod drabiną ad hoc przystawioną do otworu dachu. Na tym dachu kładzie się młodych ludzi na płask, jak sardynki, potem odejmuje się i chowa drabinę.

Mała czteroletnia Marysia, córeczka Marty, jest ulubienicą Domeczku, ale w takich wypadkach nie jest bezpiecznie, jeśli widzi te praktyki — może czymś się zdradzić.

Dziecko przyszło zabiedzone, bardzo sprytnie, bardzo chytre na życie; mocne dziecko sfery, w której uczą się od małego dawać sobie radę. Patrzyło spod oka — dosyć łapczywie, nad wiek mądre, nad wiek samodzielne i zaradne. Teraz grubaśna, utuczona niby kuropatwa pod jesień, nieodłącznie jak piesek pałętała się za słodkim brzękiem Krystynowych kluczy.

„Panienko” — słychać było przymilny głosik.

Krystyna srogim spojrzeniem ogarniała fąfla poddanego jej pedagogicznym wyczynom; jak gospodarskim okiem patrzyła na przyplątanego psa Burka, jak przedtem na wsi doglądała swoją wierzchówkę, tak teraz patrzyła na dom, Martę, jak — co tu gadać — na rodzoną matkę i cały zawierzony jej pieczy inwentarz. Po czym ręka sięgała w jakiś opancerzony zakamarek i do rączki Marysi przelewała się garstka migdałów otrzymanych od Taty przez Turcję.

Kiedy Krysi nie było, Marysia wmaszerowywała do pokoju Mamy.

— Psst, pani — kładła, przestępując drzwi, porozumiewawczo paluszek na buzi. Nie chciała ściągać matczynej pogoni.

— Wsiąka to do pani jak kurz, jak woda — desperowała Marta.

Po prawdzie Mama nie krzywdowała sobie na to wsiąkanie. Tak lżej było czekać na nieobecna Krysię. Dostyc strasznych godzin nachodziła się dookoła stołu, nawybiegała do ogródka, przed dom, do najbliższego skrzyżowania.

Zasiadły z dzieckiem do loteryjki, starej loteryjki, zachowanej z dziecinnych czasów. Kiedy Marysia wykrzykiwała z triumfem; „Kota głowa!...”, wyciągnąwszy odpowiedni obrazek, zdawało się na chwilę, że czas stanął, że koła jego poszły wstecz.

Z czasem Marysia definitywnie przeniosła się do Mamy pokoju, który służył domownikom wszelakiej sierści i różnorakiej ilości nóg. Tu ongiś chory foksterierek Fufcik przyniósł w zębach poduszkę z dolnego hallu, tutaj syjamka Malwinka przyniosła dla prezentacji swój pierwszy przychówek.

Dziecko poszło w ślady zwierzaków. Czy że w pokoju służby pojawiła się rzekomo wilgoć — czy z innego, byle jakiego powodu — u Mamy zainstalowano jej trzcinowe łóżeczko.

Zima była ostra. Życie skupiało się w tym najcieplejszym pokoju, w nim często spożywano kolację. Mała Marysia skakała po swoim łóżeczku, obrywała smaczne kaski, po czym przewracała się nagle i już spała z rączkami na kołderce, pęczniąc ze snu.

Wówczas — wyjeżdżał na stół „Biuletyn” albo inny egzemplarz gazety konspiracyjnej, odczytywany na głos. O wojsku polskim; o polskim rządzie; o bezecnościach niemieckich: o tym, że wyłapują po Polsce dzieci o typie nordyckim, to znaczy błękitnookie i jasnowłose.

Sroga Krystyna żądała, aby czteroletnia Marysia uczyła się samodzielności i samodzielnie wędrowała do pobliskiego przedszkola.

Pewnego razu, na drugi dzień po takim czytaniu, Mama zobaczyła, że mała, ubrana przez matkę w kapturek, czegoś zwłóczy i mizdrzy się przed lustrem.

— Co ty się tak przeglądasz?

Spod czerwonego kapturka spojrzwały oczy — bardzo niebieskie, aż granatowe, jakieś niedziecinne w tej chwili.

— Pani, ja chowam łocki, żeby oni nie widzieli, że jasne.

Widać nie spała jeszcze w łóżeczku wczoraj.

Burka też trzeba było wiązać, bo się rzucał na Niemców. Jakoż podzielił los Gawła. Ale Burka zastrzelili Niemcy.

Ciężkie lata, w których doroślały dzieci i uczłowieczały się zwierzęta.

Noc z Wielkiego Czwartku na Wielki Piątek była pełna zapachu napieczonych ciast i przygotowanego mięsiwa. Warszawa, leżąca na drodze przemarszu milionów, żyła dostatnio; Niemcy nazywali ją najbogatszym miastem świata. Rzeczoznawcy orzekli, że Wielki Piątek jest najuroczystszy świętem u szkopów, że może poniechają miasta na ten dzień. Wielu nielegalników zaryzykowało na tę noc wrócić do domów. Widać to obliczyli Niemcy.

Ó piątej rano tego Wielkiego Piątku biegł człowiek ulicą Tucholską i krzyczał w głos: „Łapanka!... Łapanka-a-a!...” Nim skręcił w Dziennikarską, już poznano, że to pan Augustyniak, stolarz.

Głos pana Augustyniaka: „Ł-a-p-a-n-k-a-a-a!...” niknął dalej, a już po wszystkich oknach osiedla literatów i dziennikarzy zabłysły światła. Żoliborz pamiętał ostatnią straszną obławę na ludzi, kiedy za włosy odrywano kobiety od mężczyzn wywlekanych z domów i ładowanych do bud.

Kryśka pobiegła narządzić drabinę, weszła na dach, zobaczyła Niemców, kołujących się po ogródkach domów w szerokim promieniu. A więc nie na osiedle idzie łapanka, tylko na całą dzielnicę. To było lepiej. Ale zobaczyła, że pierścień jest tak ciasny, że już nad Wisłę nie można się wymknąć. Z Domeczku nie było wyjścia. Chyba — do budy...

Łomot kolbami w dębową furtę. Dzwonek przy niej był urwany umyślnie. Czasem natręci przechodzili mimo...

— Mamusiu, otwierajmy...

— Jeszcze chwilę...

Przecież tyle domów mają do zrewidowania. Może wezmą dom za opuszczony, zniecierpliwią się i pójdą.

Łomot się powtarza.

Mama wychodzi na ścieżkę. Ma na sobie szlafroczek biały, jedwabny, w wielkie niebieskie kwiaty, przywieziony z Nowego Jorku przed samą wojną przez męża. Ma znamionować niefrasobliwość, ma ludzić burżuazyjną elegancją, bezbronną kobiecością, ach — bo jakichże się sposobów chwycić, jak się bronić? Krysia w domu!...

Przez wierzch muru, w który jest wpuszczona furta, przedostaje się Niemiec ze schmeisserem w rękę. Ręce mu się trzęsą na te tulipany, bo wszak za tym murem mogła być zasadzka i strach rekompensuje się złością.

Zgrzytnął klucz. Do ogrodu wpadło ich siedmiu, Pięciu żandarmów z oficerem i gestapowiem. Wniosło ich do hallu (a już Mama widzi — Krystyna schodzi z góry w ciepłym płaszczyku, z torebką w rękę, która stale była przygotowana).

— Krysiu, siądź przy dziecku — rzuca.

Niemcy są sentymentalni... Może widok łóżeczka Marysi ich zmiękczy (czegoż tu czepiać się, jakiej nadziei, jakiego sposobu...)?

— To jest mój dom — mówi — trzy kobiety i dziecko.

Pięciu pobiegło na górę, gestapowiec z żandarmem wpadli do pokoju Mamy (już w tę noc Marysia spała w przylegającym stołowym). Z nieomylną wprawą wyszarpnął spod warstw bielizny listy przewiązane wstążeczką. Listy od Tili.

— Z zagranicy! — sypał po stole koperty znaczone podłużnymi znaczkami lotniczymi US. (O, jakże dawno przestały przychodzić, jak dawno zanikły ostatnie wiadomości o nich...)

„Kochana Mamusiu” — zaczęły nagłówki. Odrzucił paczkę listów.

Niepostrzeżenie poszła do tych na górę. Minęła oficera z żandarmem na pierwszym piętrze, bo na drugim słysząc było jakiś srogi gwałt. Znalazła tych trzech w schowku na prowianty, mocujących się ze skrzynią książek.

— A więc tu żydowskie książki się chowa! — wywijął triumfalnie czerwonym tomem jeden z nich.

— Myli się pan, to japońska książka — poznała japońskie tłumaczenie.

Żołdak, oddzierający dalej wieko zabitej skrzyni, skaleczył się. Widząc krew, powodowana pierwszym odruchem, powiedziała:

Ojej!... pan się zranił, tam jest woda — wskazała na łazienkę. I w tejże chwili instynktowny długoletni nawyk, żeby zaraz pójść do apteczki, i pożałowała powiedzianych słów. Przecież to Niemcy...

Posłyszeli i podnieśli głowy z wyrazem tępego zdumienia. Słowa padły w świat nienawiści i natychmiast zwiędły.

Zobaczyli — szafy spiżarniane. Poczeli wytrząsać Krystynowe zapasy. Mama pomyślała z ulgą, że to mniej niebezpieczne zajęcie, i podążyła na dół.

Z pierwszego piętra wynieśli się dawni, mieli wprowadzić się nowi lokatorzy. I meble stały spiętrzone pośrodku pokoiów wobec generalnych porządków. Młody oficer stał w dawnym gabinecie pana domu, oparty o ramę okna, i bębnił po szybie. Nastawiony był romantycznie na wykrywanie składów broni, na strzelanie zza płota i zza murów. Ten dom pusty, samotny, za grubym murem, wielopokojowy, w którym mieszkańców maskowały trzy kobiety i dziecko... Te meble pozostawiane jak barykady... (żandarm cały czas trzymał schmeissera na — gotuj broń!)

— Gdzie mężczyźni? — rzuca szorstko.

— Same jesteśmy.

— Same? (Jest nieco bezradny wobec tych wielkich błękitnych maków jedwabnego szlafrocza i spokojnego głosu; wybrał się po laury, a tu nie wiadomo, jak się wychodzi z

tego... A może istotnie tu w siedmiu ludzi wojuje z trzema kobietami, podczas kiedy czas ucieka, kiedy obława czeka?)

— Zobaczymy — rzuca groźnie — na dół!...

Na dole już się odprężyło. Tylko łapacz-gestapowiec rzuca się jeszcze bezładnie po bibliotece, skacząc do najwyższych półek. Jeden żandarm bawi się ciągnięciem widy idącej z kuchni przez kredens na górne piętra.

— Kultur... — cmoka.

Inny, już starszawy, pstryka palcami do Marysi. Marysia (różowa koszulka, wielkie szafirowe oczy, burza jasnych włosów naokoło różowej. buzi) uśmiecha się do niego. Niemiec od windy przyłącza się do zabawy. Marysia kolejno zwraca twarzyczkę na każde pstryknięcie palców to jednego, to drugiego Niemca i wykrzywia się w uśmiechu. Oni to biorą za dobrą monetę, ale Mama zna dziecko — mała Marysia gra.

Wrzask w hallu — łapacz wzywa Krystynę, każe podać dowód osobisty. Na szczęście wrzask jest o skarpetki, które znalazł w skrzyni. Skarpetki są pochodzenia wojskowego i będą skonfiskowane. Pod gardło podchodzi fala ulgi.

Oficer wpada do sypialnego Mamy. Na sekreterze fotografie braci w mundurach z roku 1919 w charakterystycznych dla tamtego czasu kożuszkach, za ramką zatknięte krzyże Virtuti obydwu.

Ach, więc jednak ten trusiowaty dom ma swoje tajemnice!...

— Doch, hier sind polnische Offiziere!...

— To moi bracia.

— Gdzie są? — ogląda się, jakby już mieli wyleźć z jakiegoś kąta.

— Die beide sind gefallen im Jahre 1919 — rąbie po niemiecku (przydała się bona Niemka).

Niemiec wpada do hallu.

— Raus!... — krzyczy, aż drżą szyby.

Trzech knechtów niezdarnie zbiega z drugiego piętra, dudniąc po schodach butami.

— Raus!... — krzyczy oficer do łapacza o latających oczach, który ociąga się czegoś.

Wywalili się za furtę i już ich nie ma. Krysia mówi spokojnym głosem:

— Marto, proszę śniadanie.

Mama siada w fotelu, przy którym stała, kiedy się ważyły losy Krysi. Więc będzie ją miała nadal. Wzrok błądzi po fotografii chłopców, którzy uratowali.

Czy dają opiekę zabici? — Mama zabiera się do porządkowania po rewizji.

Kiedy wchodzi do pokoju, w którym stoi łóżeczko małej Marysi, dziecko podnosi na nią nagle postarzałą twarzyczkę.

— Pani, ale cienzki my dzisiaj mieli dzień...

Ognie doszły

Po wyspach z Anglikami Domeczek stale miał się na baczości, która zdwoiła się od czasu aresztowania kompletu w Szklanych Domach i rajdów niemieckich na pracowników Patronatu.

Płaski dach mógł być schronieniem, ale nie ucieczką. Gdyby jednak rewizja była tylko w Domeczku, to uciec by można przez okienko piwnicy wychodzące na podwórze tego właśnie sąsiadującego wielkiego domu. Wprawdzie wielki dom na zlecenie niemieckie trzymał wszystkie wyjścia zamknięte, mając tylko jedno wejście — przez bramę, ale tam już każde mieszkanie będzie schronieniem. Należy tylko mieć czujne baczenie, by zdążyć uciec (w tym celu furta była stale zamknięta na klucz, co dawało czas), i szybką orientację, czy oblawa nie obejmuje i dużego domu, bo wówczas uciekanie tylko by skompromitowało.

Toteż kiedy pewnego dnia Mama posłyszała suchy trzask strzałów, skoczyła do furty, by ogarnąć sytuację. Ujrzała na rogu chłopca strzelającego wzdłuż domu z pozycji klęczącej. Błyskawicznym spojrzeniem ogarnął ją, podniosła rękę gestem uspokajającym i cofnęła się. W chwilę potem jakaś kula wybiła szybę w jadalnym. Potem rozległ się warkot motorów. Cisza. A potem zaraz przez nieocenioną Martę wiadomości, że była zasadzka na auto niemieckie, że trzech Niemców zabito w pobliżu, że zamachowcy odjechali przygotowanym wozem, że ów strzelający, którego Mama widziała, stanowił ubezpieczenie; nie zdążyli go koledzy zabrać, ale wpadł w ten duży dom i zastał wszystkie furty otwarte. I uciekł.

Tegoż dnia Mama Wysłała Krysię z Warszawy.

Znowu znalazła się w Kamiennej Górze. Wierchówka Syria wciąż była do jej rozporządzenia. I lasy głębokie. Właściwie było to samo, co w Warszawie — naokoło stał lęk. Przed samym przyjazdem Krysi jakaś banda obrabowała dwór doszczętnie z wiktuałów. Ciocia Jania i Krysia, nie mogąc, ze względu na represje niemieckie, mieć broni, sypiały z raszplami przy wezglowiu. Za obrębem band byli Niemcy administrujący śmiercią z większą precyzją. Pod Chełmem, w czystym polu zanieśionym śniegiem, trzymali tysiące jeńców rosyjskich za drutami i bez jadła. Obóz szybko wymierał na masowy tyfus. Zwiedziano się, że są w nim Polacy, wyjednano ich zwolnienie, rozmieszczono po dworach, na Kamienną Górę wypadło ośmiu. Kiedy wysadzono te łańchmany ludzkie przed gankiem i wyszła do nich ciocia Jania, poklękali na śniegu i klęczeli milcząc.

Ale jak w Warszawie Domeczek był wyizolowanym punktem spokoju, tak tu ten spokój trwał pod kopulą lasu, aż po lasu tego granice. Krysia, jeżdżąc przeświecłonymi duktami, mocowała się z sobą. A raczej — z nią mocowały się siły utajone. Są pewno przy owocowaniu moce wsteczne, działające potężnie. Jakże .przeciwdziałają, zanim kasztan pęknie i runie na ziemię, aby skorupa się nie rozwarła, aby utrzymał się w przyjemnej zieleni jak najdłużej, jak najpóźniej znalazł się — na ziemi.

Ten proces dojrzewania był u Tili bardzo szybki, u Krysi nad wyraz powolny. W szkole i na uniwersytecie była aspołeczna. Nie miała przyjaciółek. ani żadnych godności w samorządzie szkolnym, kpiła z tajemniczych konspiracji w „Trzynastce”. Tata spod oka spoglądał .na to wszystko i przypuszczał, że zachodzi tu jakiś proces znany z doświadczeń Mendla — i przeskoczenia przez parę pokoleń. Dziewczynka wzrosła w mieście w atmosferze bardzo libertyńskiej, przecież czuła się dobrze tylko na roli i znajdowała od razu sposób bycia z wiejskimi ludźmi. Ten sposób życia był wesoły i przyjacielski, zachwycał ciotki, ale na tatowe gusta był staroreżymowy. Tili, Chłopiek-Roztropek, była chodzącą demokracją. Krysia przy tym Sancho Pansie była Don Kichotem, gotowym zawsze walczyć z nierealnymi wiatrakami; Tata starał się jej ukazywać wiatraki realne, ale do tych wiatraków szturmował tłum, a tłum Krysia nie cierpiała.

Na trzeci dzień wojny, kiedy jeszcze pociągi kursowały jako tako, Tata odwiózł ją na dworzec, wyprawiając na Kamienną Górę. Wzięła ze sobą pełno skryptów uniwersyteckich. Patriotycznie demonstrujące tłumy napełniały ją odrazą. Było życzeniem ojca, by ją przechować na wsi w ten niespokojny czas, ale dziwiło go, że ona się na to zgadza, podczas kiedy tamta, młodsza, przebijając się przez Skandynawię do płonącej Polski. Kiedy pociąg miał ruszać, ojciec dał nieostrożny wyraz swoim wątpliwościom.

— Czy mam zostać? — spytała.

— Ach, nie, ależ wcale... Wszystko, co możesz teraz zrobić, to uczyć się — skłamał.

Nic nie pomoże rodzierać pąk rękami. Należy czekać, aż soki nabrzmieją i tajemniczymi mocarni — powłoka kwiatu pęknie sama.

Kiedy w tydzień potem na wsi szli łąką, wrogi lotnik się zniżył, ostrzeliwując pastuszków. Krysia powiedziała, patrząc za znikającą maszyną: „Niepokoję się, że nie mogę nienawidzić”. Była w tym przekora przeciwko tłumom trzęsącym się po schronach i wyżywającym się w nienawiści. Chciała żyć wolnym nieskrępowanym życiem duchowym, niezależnym od żadnych zdarzeń. Kiedy bombardowano Serebryszcze, ona jedna nie zeszła do piwnicy i wybrała ten właśnie czas — na robienie manikiuru. Czytała książki. Wysypiała się. Chciała żyć, za wszelką cenę, dawnym życiem. Życiem według swego wyboru, niezależnym od żadnych konieczności. Buntowała się, że zdarzenia czy ludzie, swoi czy obcy, mogą jej narzucać jakieś przymusy.

Kiedy zaraz po wrześniu przyszła akcja chowania broni, kiedy poczęli — a jakże prędko poczęli — przewijać się pierwsi emisariusze od pierwszych konspiracji, trzeba ich było przewozić nocami i ukrywać. Kiedy aresztowano i torturowano za tę akcję Pajaka i dwóch chłopców Baranowskich, którzy już nie wyszli z Oświęcimia, to Krysia wiązała te nici do końca. Ale bo to były te właśnie nierealne młyny dla donkiszockiego Szturmu. Kiedy potem poczęły się szeptania i roznoszenie biuletynów, zmywy i rozmowy, słuchanie tajne radia — nie brała w tym udziału.

Ojciec jeszcze przed wojną dowodził, że ten wyniosły stosunek wiedzie pod pięknymi pozorami prostą drogą do kwietyzmu. Przekonywał, że Polski nie należy szukać, jak jej szukał Rozłucki, pod konarami starego dębu, rozkopując grób wygnańczy, bo to prowadzi do niezbyt higienicznego całowania pieszczeli, tylko należy ją znaleźć na przykład w pachnącej kwaskowato spółdzielni mleczarskiej, w której mazurskie typki z perkatymi nosami zapisują udój ogryzkiem ołówka. Kmiotek-Roztropek już był gotów lecieć do tej spółdzielni, ale Struś robił strusią minę i prychnął pogardliwie.

Tata — przez te dziesięć dni wojny, przez które jeszcze ją widział, ważył w sobie niejedno. Robił rachunek sumienia.

Przecież przez te dowojenne lata niejednokrotnie myślał o wierszyku ośmioletniej dziewczynki — „lecz ja się nie żalę — bo lepiej tęsknić zawsze, niż nie tęsknić wcale”. Wiedział, że Domeczek stoi na ogniach. Chciał ognie opóźniać. Przez kpiny i przez: sport, przez eklektyzm i przez powąchanie świata, przez budzenie przekory i przez wszelaki smak życia. Ognie, które przyjdą zbyt wcześnie, zniszczą porębę i zostawią pustynię. Ale jeśli przejdą lekkim podszyciem starego lasu, zniszczą wszelkie próchno, a nie uszkodzą drzew. Wiedział, że ognie podejdą — prędzej czy później.

Teraz, kiedy na dworcu tłumy szalały, a ona odjeżdżała... ze skryptami, przestraszył się, czy ta swoboda wychowania nie zatarła poczucia rzeczywistości, teraz, kiedy nie ma innej drogi jak pozwolić grać najprymitywniejszym instynktom.

W dzień, w którym Krysia miała wracać z Kamiennej Góry, został zabity z wyroku polskiego Igo Sym, aktor. Streify poszły gęsto, miasto zaroiło się patrolami i skrócono

godzinę policyjną. Ale już nie było czasu odwołać przyjazdu telegraficznie. Mama z Reginową (która znów była na Litwie i wróciła) pojechały na dworzec. Pociąg przychodził po godzinie policyjnej; zaopatrzyły się w przepustkę na trzy osoby i czekały.

Na ławicę ludzką czyhał na peronie drapieżny tłum niemieckich mundurów. Mieli już system w tym zbójckim procederze. Rozstawili się daleko po peronie interwałami na szerokość wagonów. Pod czapami z wygiętymi daszkami świeciły tłuste pyski, oczy błyszczały podnieceniem w przeczuciu zbliżającej się gry.

Pociąg, długi, powolny, „polski” pociąg, wpłynął na stację. Z jego otworów począł się wyciskać szary brud. Babiny, których nie było widać pod napiętym tobołem, szczeciniąści mężczyźni ciągnący ogromne wory, panusie o przekrzywionych kapelusikach, rozczochranych lokach, ciągnące pękate walizy wzmocnione szpagatem. O to wszystko uderzył szczęk niemieckich komend, świst szpicrut, uderzenia kolb; nim jeszcze pociąg zdołał się wybrzuszyć do reszty, już peron ciekł mlekiem, rozbitymi jajami, nad czapami niemieckimi gdzieś w tył leciały półcie słoniny. Tęgo dnia za zabitego zdrajcę miała zapłacić długim głodem niejedna rodzina i ruiną materialną niejedna samotna żywicielka. Ciężki jest widok resztek walczącego oddziałku. Ale nie ma bardziej upokarzającego przeżycia, jak widzieć maltretowany, poniewierany tłum. W rozgardiaszu razów i pokrzykiwań pełniły się jakieś aresztowania, patrole odprowadzały ludzi w niewiadome.

I nagle — nad harkot wymyślań niemieckich i głuchy jęk tłumy — gdzieś z góry padł świeży, radosny głos:

— Mamusku!... Ciotka!...

Krysia ukazała się we drzwiach, wysoko. Wychodziła ostatnia. Zatrzymała się na chwilę, jakby ważąc, czy się pogrążyć w ten szaty oddech. Była w swoim kożusku wciętym w pasie, przepasanym wąskim paskiem skórzanym, w czerwonej jedwabnej chustce na głowie, pod którą było widać wielkie świetliste oczy, wygięty łuk brwi i zarumienioną twarz. Wszystkie oczy zwróciły się na nią. Kolejka, która już przeszła poszturchiwana i cisnęła się do wyjścia, zapaliła się rzędem kolejnych uśmiechów idących po twarzach. Łapacze wpili się oczami badawczo i groźnie. Przez chwilę nad tym tłumem chwiała się czerwona chustka; dziewczyna w nią ubrana wykwitła nad szarym nieszczęściem jak jakiś wspaniały mak. Zaraz potem wpadła między matkę i ciotkę, które ją osłaniały, przygaszały rękami, sobą, to kwitnienie, ten blask młodości.

Jadąc z dworca dorożką, zobaczyły pod muren na ulicy Długiej pijanego człowieka, opartego o ścianę. W taki dzień obecność na ulicy po godzinie policyjnej znaczyła śmierć.

— Niech go pan zabierze — mówi Mama do dorożkarza. — Przenocuję go.

Pijak, któremu starano się wytłumaczyć, co ryzykuje, wyjaśnił z emfazą, gdzie ma szkopów, ale dał się usadowić na koźle. Kiedy przecinali Rynek Starego Miasta, z przeciwległej strony wysypał się oddział niemiecki i rozrzucił się w streifę, idącą przez rynek. Dwóch młodziutkich chłopców-oficerów, prowadzących tę tyralierę, zbliżyło się, pytając o przepustkę, która była tylko na trzy osoby. Pytając, patrzyli na Kysię. Krysia odwróciła się. Przeszli na drugą stronę, usiłując zajrzeć jej w twarz. Pijak ocalał, jak przypuszczała Reginowa, dzięki jej grzmiącej niemczyźnie.

Tomek Dworakowski, towarzysz wypraw konnych, eskapad sankami z tych lat wojennych, ten wysoki, postawny chłopak, który miał tak sprawne i zaradne ręce, taki bezpieczny, budzący zaufanie uśmiech, taką celną i nieskomplikowaną orientację we wszystkich „izmach”, Tomek Dworakowski, postrach na katzenjammery, Tomek, który jakieś swoje konspiracyjne obowiązki zarzucał na ramię lekko jak silny chłop zadający ciężki wór, Tomek Dworakowski, z którym ze szczypiącego mrozu wpadali do domu z wołaniem o jedzenie, nie oczekiwał jej tym razem.

Mama, rozsypawszy Krysię z kożucha, włożywszy w miękki szlafroczek i nakarmiwszy, powiadomiła ją ostrożnie. Tomek zginął w akcji na Wołyniu. Panią Dworakowską doprowadzono do miejsca w lesie, w którym był zakopany.

— Mamo — łamała ręce — taki silny, taki zaradny...

— Córeczko — mówiła matka cicho — oni w tył głowy strzelają.

Ręce zatrzepotały nagle. Rzekłbyś — ognie, podchodzące długo, doszły do czubków palców i trysną.

Dopadła matki. Znowu, na chwilę, dawne dziecko wyszło z tej skorupy, w której tkwiła.

— Mamo... Tatuś pisał, że cierpienie nie bywa neutralne. Że jest na użytek albo na zgubę... Ale jakże?... — podniosła na matkę oczy. — No jak?...

Tamtych ośmiu z obozu, klękających na śniegu, to jeszcze była część Polski, część zagadnienia. Ale Tomek Dworakowski, który ginie, to już życie... najwłaśniejsze.

Złożyła porządnie serwetę. Nałożyła gospodarski fartuszek.

— Będę porządkowała na strychu, bo nie ma gdzie pomieścić weków.

Wieczorem ujrzała ją matka, jak schodzi z wielką ramą w ręku.

Poznała od razu — to portret Staśka.

Stasiek... ten młodszy brat matki... Krnąbrny chłopak o wielkiej łepetynie wystrzyżonej maszynką, wiecznie poodrapywany, którego szorowała niemiłosiernie ryżową szczotką z całą surowością starszej o trzy lata siostry, pasowanej w wieku lat ośmiu na panią osieroconego domu i gospodynię. Ten matczyny stosunek do utrapionego Staśka został już na zawsze. Matkowała jemu i starszemu Kazikowi, kiedy na dywanie w salonie odbywali z kolegami walki zapaśnicze, a wszystko sypało się z etażerek. Matkowała, kiedy na dzikich wyścigach rowerowych rozbijali się o przyzmy kamieni. I nadziwić się nie mogła, że nagle ten nieusłuchany Stasiek (kiedy pojechała z ojcem odwiedzić go w Akademii Górniczej) występuje jako jej opiekun, dyryguje jej przyjęciem na „fuksa” do rodziny piwnej.

Mimo tego dorostnięcia nie opuszczało postrzelenie małego urwisa o wystrzyżonej głowie. Kiedy wybuchła pierwsza wojna, zgłosił się „ni w pięć, ni w dziewięć” na ochotnika do wojska rosyjskiego. Taki już dostał przydomek w rodzinie — „Ni w pięć, ni w dziewięć”.

Kiedy wybuchła rewolucja rosyjska, wstąpił do korpusu Dowbora i sformował „pociąg pancerny”, pociąg pancerny, „ni w pięć, ni w dziewięć”, złożony z lor odkrytych, obłożonych piaskiem, za którymi ustawił działa i karabiny maszynowe. Mało tego: jako saper sformował „ni w pięć, ni w dziewięć” pluton trzydziestu konnych saperów-wybuchowców, który wyładowywał błyskawicznie wraz z końmi, dotarłszy najdalej jak można w głąb bolszewickich pozycji, i dopadał okolicznych obiektów wysadzając je w powietrze. To w takiej właśnie operacji pod Tieluszą jego ukochany sierżant, Pająk, teraz wspólnie z Krysią zakopujący broń, spalił rękę do kości, bo sznur Bickforda zamókł i należało przynieść głównię z chłopskiego pieca do wysadzenia toru.

Pociąg nazywał się Związek Broni. W Korpusie tłumaczono sobie tę nazwę tym, że służyli na nim saperzy, kawalerzyści, artylerzyści, pancerniacy i wojska kolejowe. W gruncie rzeczy Związek Broni była to nasza konspiracja wojskowa, która z chwilą przybycia emisariuszy z kraju złączyła się z Polską Organizacją Wojskową. Stasiek był komendantem Organizacji na pierwszej dywizję i całą załoga pancerni zaprzysiężona. Do tej załogi, patrzącej w niego jak w tęczę, wygłaszał przemówienia z bantem czerwonym przy mundurze jako „polski socjalista” („ni w pięć, ni w dziewięć” — pożałuj, Boże).

— Stasiek, jakże ty możesz utrzymać dyscyplinę przy tym sposobie bycia? — spytałem go, kiedyśmy, jadąc strzemię w strzemię, odsadzili się w przód od oddziału. Przyjechałem z ramienia Komendy Głównej Związku Broni jako jej członek i bardzo nam zależało na utrzymaniu spójności oddziału.

— Bo co?

— Bo te imieniny Ocipki.

Ocipko był zabawną postacią pucybutującą w oddziale, warzącą strawę, pilnującą koni. W oddziale dwudziestokilkuletnich byków na schwał, batiarów na pierwszy kaliber, moczymordów patentowanych i niewyczerpanych tańcówników po wsiach ten czterdziestoletni Ocipko był przedmiotem pokpiwań.

Kiedy przyszło święto Józefa, przy stole, dookoła którego zbierała się cała załoga, stały w środku dwa umajone fotele — jeden dla nieobecnego, bo uwięzionego wówczas w Magdeburgu „Komendanta”, dla którego: „polski socjalista” miał kult. Drugi fotel — dla Józefa Ocipki.

Na stole stało wiadro stuletniej starki, wykopanej gdzieś pod klepiskiem stodoły, gdzie ją starał się ukryć uciekający dziedzic. Komendant pancerni pił i pić kazał pełnymi szklanicami, spełniając toast na cześć „obu Józefów”. Po czym wygłosił, nieco już pomętniałym głosem, toast na cześć Ocipki, którego praca przy kuchni „wiele więcej znaczy niż całe panowanie Rady Regencyjnej”. Było to już bardzo „ni w pięć, ni w dziewięć”, bo na Radę Regencyjną, powołaną przez Niemców, właśnie kazano Korpusowi przysięgać w tym krótkim czasie, kiedy Korpus utrzymywał kondominium z armią niemiecką.

Potem szły toasty na cześć sążnistego Kempy, który pełniąc wartę, tak rzepnął o asfalt Niemca, gdy podłazł za blisko, że szkopa powieziono do szpitala; i starej panny w kantynie, od której Jasio Onufrowicz wycygał czerwona wstęgę, rzekomo jako szarfę honorową dla oddziału.

— Baczność, Jasiu! — komenderował Stasiek. — Kubek w dłoń! Odpowiadaj, Jasiu: gdzieżeśmy wyfasowali worek z amunicją luzem do nagana?

— W ichniem składzie, panie poruczniku.

— Dobrze. Wypij. Nalej. A gdzie ten skład był?

— W Krasnym Brzegu, panie poruczniku.

— Dobrze. Wypij. Nalej. A co się zrobiło nagle?

— Worek był dziurawy i sypało się.

— Wypij, nalej. I co zrobiłeś?

— Uny podchodziły już i Dreczkowski krzyczał, coby siadać, to ja związałem...

— Czym związałeś, Jasiu?

Pijany Jasio wypucza się na starą pannę:

— Wstażką panny Sabiny.

Więc dopiero — podrzucanie panny Sabiny.

— No, więc widzisz — troskliwie truchtuje obok — jak się potem z dubeltówki całujesz z Jasiami i Ocipkami, to jak ciebie słuchać będą?

Obejrzał się na oddział, który śpiewał:

Prosiłem ją raz w agreście,

Żeby dała mi nareszcie,

i poprawił się w siodle.

— Widzisz, oni wiedzą, że ja za najmniejsze nieposłuszeństwo w pysk strzelę.

Po rozbrojeniu Korpusu, kiedy pancerniacy Staśka obsadzili bramę forticy bobrujskiej i aresztowaliśmy Dowbora, Stasiek, dobrawszy kilku żołnierzy, rusza na Ukrainę wysadzać mosty Niemcom. Pamiętam plażę i Staśka spalonego na brąz, jak leżąc w tłumie piękności kijowskich przyjmował niepostrzeżenie łączników.

Znalazszy się w Polsce, zbiera dawną załogę, odtwarza pociąg pancerny. To już nie to cudactwo z worków klecone, o którym niemiecki komendant stacji Rohaczew meldował: Es ist etwas fantastisches durchgefahren. To już porządne wieżyce obrotowe, grube pancernie. Po

odsiecz y Lwowa, na froncie wileńskim poczyna się szeroki tor, tworzy się więc duplikat pancerki, na który idzie Kazik, brat Staśka, student mediolańskiej politechniki. Pierwszy poległ Kazik. W trzy tygodnie potem poległ Stasiek w wypadzie z pancerki.

Jak może kwiecie rosnąć na ogniu? Bywa tak na torfowisku: ogień tli się wewnątrz, zeżre wreszcie łąkę. Już niczego w tym Domeczku nie było, zdaje się, by podsycać płomień. Zapakowane głęboko leżały papiery dotyczące przeszłości, listy, wspomnienia, pamiętniki.

Mama, przekładając i porządkując przesłaną spuściznę — szkice Kazika, listy Staśka, fotografie, drobne przedmioty i pamiątki, dotykała tego wszystkiego lekko i ostrożnie, niby czegoś, co ma w sobie siłę ognia.

Składając te papiery, ślad straszliwych żarzeń, zgarniała do skrzyni każdy drobiazg, jak zgarnia zapobiegliwa ręka każdą iskierkę. Tkwiły na strychu, tkwiły w piwnicy jak ognie stłumione, jak ognie zablokowane w zamurowanym chodniku, o których pouczał brat-górnik. Żeby nie podeszły...

Tylko dla siebie... Tylko dla siebie, tyle co na sekreterze, te parę fotografii. Ta nieduża fotografia poległych braci, z wstążeczkami ich Virtuti za ramką, ta fotografia ojca męża w czamarze, kiedy siedł do powstania 1863 roku. Tylko, tylko dla siebie... Dalej, dalej od dzieci...

W ich pokoju były świątki Lorentowiczówny, słoneczniki van Gogha. I tyle. Nawet antyków nie miały, żeby ze starej czeczoty nie trysnął płomień Mebelki miały grzeczne, współczesne, lakierowane w trzy kolory, aż naiwne swoją bezmyślną wesołością.

A przecież — wiedzieliśmy: Domeczek był postawiony na torfowisku, na dnie którego od pokoleń buzuje żar.

W liczbie tych papierów na strychu był portret Staśka. Przyjaciół jego serdeczny, Władek Siemieński⁷, kolega szkolny, podkomendny z pancerki, dał powiększyć portretowe zdjęcie u tego pana Piekacza na zapluty podwórku kamienicy na Elektoralnej. Pan Piekacz, chlubiący się gablotą ze ślubnymi parami wystawioną w bramie, włożył cały kunszt, wyretuszował twarz na gładko, zrobił błyszczące oczy, podrysował wężyk oficerski na kołnierzu. Władek, sam półprzysłomny z żalu, dał oprawę prostą z dębu i pod szkło wsunął zakrwawiony kawałek bandaży, który zdjął z konającego.

Mama zobaczyła teraz Krystynę, znoszącą z góry ten nieudany portret w owalu z passe-partout, ze zrudziałym strzępkiem gazy w dolnym rogu.

Jednym błyskiem rozdarła się pamięć lat. Jak King przywiózł wiadomość, że brat zginął. Była w siódmym miesiącu z tą właśnie Krysią. Padła na dywan, klękała, zgięta w bólu, mocując się z sobą. Mąż jej troskliwie starał się odjąć ręce od twarzy — ktoś uprzedzał, by uważać, podając wiadomość o śmierci, bo dziecko zostanie z płomieniem na twarzy od tego dotyku.

Dziecko urodziło się bez płomienia na twarzy, ale ogień gdzieś był, głęboko.

Po śmierci obu braci demonstrowano film z pancerki. Leżeli już obaj w grobie, przywaleni ziemią, a tu chodzili w blasku młodości. Stasiek pokazał się w zbliżeniu na cały ekran, spojrzał na nas i uśmiechnął się. Wszystka krew zbiegła matce z twarzy, płód w niej począł się miotać.

⁷ Od zakończenia pierwszej wojny światowej stale miał kompletnie wyekwipowany plecak na wypadek wojny. Ewakuując we wrześniu 1939 roku stadninę z Racotu, został ciężko ranny na bombardowanej szosie. Kazał się złożyć w rowie i prowadzić stadninę dalej. Wydobyl pistolet: „Nie dam się wziąć Niemcom. Ratujcie konie”. Wrócili, gdy przeszła fala bombardowania. Ale zastali martwego.

Teraz matka patrzyła na to uroczyste schodzenie z wielką ramą portretu, na kwadrat rozwartych drzwi strychu, z sercem ściśniętym, jakby ognie, stłoczone przez tyle lat, podeszły pod dach.

Krysia zaczęła wbijać gwóźdź w centralną ścianę saloniku. Matka patrzyła w milczeniu. W hieratycznym rytmie młotka było coś z misterium i coś z obrzędowości kładzenia kamienia węgielnego. Dawniej, kiedy zakładano fundament, wmurowywano Ewangelię. Wierzono, że poczet przodków asystuje obrzędowi. Gdyby tak było, to wówczas w tym salonie był duch dziadka powstańca, poległych wujów, poległych ojców chrzestnych.

Krysia uderzyła ostatni raz młotkiem i zeszła ze stołka.

— Mamo — powiedziała do milczącej matki — jak ja mogłam tak żyć! Z tą nauką, z tym gospodarowaniem! Jaka głupia byłam...

Matka słuchała pokornie. Ognie doszły.

Płomień już teraz szedł — niewstrzymany. Domeczek pełen był nieznanych kursów, nieznanych gości. Mama przemykała się między pokojami, nie ważąc się do nich wchodzić. Wszedłszy kiedyś do jednego z nich, zobaczyła jakichś ludzi pochylonych nad jakimiś metalowymi częściami. Uspokajali ją:

— Niech się pani nie obawia, my tylko uczymy się składać broń.

W Domeczku odbywa się teraz kurs oficerski, w Domeczku Krysia otrzymuje szlify. Ginie nieraz na całe dni, coś rozwozi na rowerze po mieście. Jest przydzielona do PEŻET (Pomoc Żołnierzowi), ma wyznaczony posterunek na wypadek powstania.

Ale czas przygotowań się wlecze, Krysia chce być już w czynnej akcji. Matka dowiaduje się, że ma jechać do oddziałów leśnych na Wileńszczyźnie. Matka pamięta te dwie młodzietkie dziewczyny z ONR, Halę i Małgorzatę, jak tuliły się do jej kolan przed wariacką wyprawą za Bug. Potem przyszła wiadomość, że poległy wraz z całym oddziałem, ledwo ten oddział ruszył w teren. Mama jednak niczego już nie potrafi powstrzymać.

Zdarza się wypadek, który kieruje inaczej. Pewnego wieczoru skierowano do Domeczku na noc młodego człowieka. W takich wypadkach nie należało się pytać, kogo się gości. Młody człowiek jednak okazał się znajomym z pociągu; całą drogę przegadali żarliwie z Krysią na tematy światopoglądowe. Teraz też powiedział swoje nazwisko, ale w tych wypadkach, kiedy nocował ktoś „nadany”, było się przekonany, że nazwisko jest pierwsze z brzęga, i nie słuchało się nawet.

Chłopak był dobrze ułożony, ale nosił się jakoś dostojnie i sztywno. Jadł zabawnie, jedną ręką, rozcinając widelcem miękką sznycel. Kiedy poszedł na spoczynek, począł się silny nalot rosyjski. Wywołany, aby zszedł do piwnicy, coś długo z ubraniem marudził. Wyszedł grzeczny i opanowany, ale znowu do piwnicy zląził dość nieporadnie i powoli, schodząc jedną nogą w przód i przytulając się do ściany. Bomby padały na Żoliborz, Domeczek „chodził”, Krysia i gość z fasonem kontynuowali dawne dyskusje.

Nazajutrz, kiedy opuścił dom, Marta wyniosła prześcieradło zbroczone krwią.

Był to Rafał, dowódca kompanii «Parasola», który schronił się do Domeczku po akcji pod Krakowem, w której był ranny. Krysia nie straciła z nim odtąd łączności. «Parasol» był oddziałem wyborowym, który miał otrzymać przeszkolenie spadochroniarskie.

Krysia wymeldowuje się z PEŻET, zmienia pseudo „Natalia” na „Anna”. Będzie w szturmowce. Będzie łączniczką.

Ma inne obowiązki, innych kolegów. Te dawne adresy, rozkłady dnia matka już rozeznawała. Teraz to nikle narządzone życie rozwiewa się. Już pędzi, niepowstrzymane, ku czarnemu ujściu. Matka nie śmie wiedzieć, ku czemu. Matka tylko chce być najbliżej.

— Krysiuniu, żebyś choć karteczkę zostawiła, kiedy wracasz... Córeczko, tak ciężko wyczekiwać...

Podnosi na matkę oczy świetliste, jasne, oczy zbudzone, nagle ściągnięte z innych widzeń. Jak Kazik, kiedy się zapamiętał w malowaniu.

I znowu maszyna stuka. Matka siedzi skurczona na tapczanie i patrzy na córkę. Krysia pisze — godzinami. Mama zerka — listy, spisy, „Przydziały ludzi”, „Przydziały broni”, „Dyspozycje”, „Rozkazy”.

— Córeczko!...

Przypada do tapczanu. Wtula głowę w matczyne ramiona. Tak przybiegała przez długie dni dzieciństwa i dziewczęctwa. Czemuż weszli między nie ludzie nieznani?!

— Córeczko... Zginiesz!...

Ciemna fala rumieńców przeszła przez twarz. Czy lęk przesunął się przez oczy? Pochyliła się ku matce. Chciała coś powiedzieć. Pocałowała tylko.

Po chwili już jej nie było.

I tych nie dopowiedzianych słów.

24 lipca są imieniny Krysi, a rok jest 1944.

Rano, kiedy jeszcze leży w łóżku, wkracza do jej pokoju procesja: Mama z darami, Marta z darami, Marysia z paczkami, wreszcie Burek z kokardą i przypiętymi do niej jedwabnymi pończoszkami, przysłanymi przez ojca i ukrytymi przez Mamę do tego dnia.

Dawnym obyczajem ze wsi zasypali łóżko solenizantki kwieciem. Mała Marysia nie może doczekać się, kiedy, „panienka” pootwiera paczki i to wszystko się zobaczy, „co w śłodku”.

Mama rozgląda się po jej pokoju. To ten sam pokój, zrobiony przez Renię Lorentowiczównę, w którym kiedyś małe baki malowały kapustę. Teraz znikły romby na ścianach dzieciennego pokoju, znikły lakierowane mebelki. Teraz sama go sobie urządziła i uroczy jest ten pokój — jedwabne i lniane tkaniny, stare jesiony, pełno książek i wszędzie kwiaty.

Tylko świątek — ten sam. I słońce bije pod tym samym kątem na krawędź łóżka, jak wtedy, kiedy Mama budziła w dzieciństwie. I uśmiech jest ten sam, dawny, kiedy przeglądała podarunki.

Rozwinęła płat jedwabiu milanowskiego, który podarowała jej Mama na sukienkę. Bładozłota fala rozwinęła się i spływa na dywan, a słońce po niej chodzi. A po Mamie chodzi ten ciepły uśmiech. Ręka Krysi przelewa jedwab.

— Tak się cieszę, szkoda, że tak niedługo...

Słowa w te wyostrzone dni zbiegają się w zasadzki, Krysia pośpiesza je rozproszyc, dosyć niezręcznie:

— Że jeszcze długo do ich przyjazdu.

Mama pośpiesznie zachwala: że nie gniecie się, że układa się, że się szczupło w tym jedwabiu wygląda.

Ziele na kraterze

Domeczku w ten wieczór imieninowy byś nie poznał. Znikły kursy, nie ma papierzyśków, nie ma żadnych tajemniczych skrzynek. Domeczek wymuskał się jak za dawnych lat, wzdął się muślinem firanek. Okna są otwarte na ogród, by nałapać świeżości lipcowego wieczoru. Jest 24 lipca 1944 roku.

Jakże piękne są te młodziutkie dziewczęta, jak świeże, jak wyglądają wypielęgowane. Mama krąży między nimi, tej poprawi fałdkę, tamtej przypnie kwiat. Mama wie, jak ciężkie mają życie, jak chodzą po brzegu nędzy i po brzegu śmierci. Mama nadziwić się nie może tej fali miękkiej, jakiejś przedwojennej kobiecości. A może to tylko ta upajająca młodość, która sprawia, że nawet Mama doświadczonym okiem nie dojrzy podcerowań, przeróbek? A gdzież mieli dojrzeć ci chłopcy! Stłoczyli się w progu salonu nieco onieśmieleni, tak jakby to były lekcje tańca u baronowej Dangel, tak jakby nie łączyły ich z tymi dziewczynami samotne eskapady, podróże, niebezpieczeństwa. Mało trzeba, a poczną prosić do tańca z ukłonami w myśl wszystkich przepisów maestro Blancharda. Mama patrzy w tę gromadę chłopczyńską i wie, że Romek jest stróżem nocnym, Adaś handluje walutami, Piotruś pracuje przy obrabiarce, tamten wysoki jeździł jakiś czas riksą, a ten utrzymywał się ze szklenia okien. Zarobki i kursy, i akcja konspiracyjna — silny to, potrójny eliksir życia widać, bo te chłopaki wydają się Mamie królewiczami. Skąd, po pięciu latach poniżenia — te oczy błyszczące, jasny wzrok, szeroki uśmiech? Mama jest upojona jak za tamtych dziecinnych wieczorków. Tylko tam kiełkowały te roślinki ludzkie, a tutaj wywaliło się zielsko mocne, zielsko czepliwe, nabrzmiące fantazją jak jej Stasiek sprzed dwudziestu pięciu lat.

Portret Staśka patrzy ze środka salonu. Ten by poprowadził mazura! Pamiętam, po zajęciu Lwowa, prowadził na wielkiej sali kilkaset chyba par. Na lewym ramieniu omdlałe ze szczęścia lwowianki uczepiły mu wielki pęk wstęg wodzirejskich. Właśnie skończyło tańczyć moje karo; nim się zwołało następne, sala zaświeciła pustką na środku. Widziałem przez ten prześwit, jak w wejściu ukazał się żołnierz w pełnym rynsztunku, w hełmie podpiętym paskiem, i świecąc żółcizną świeżo wyfasowanych ładownic, pomaszerował do Staśka. Stasiek przeczytał rozkaz i krzyknął:

— Wszystkie pary!...

A kiedy stanęła ogromna kolorowa kolumna, jeszcze rozbawionym, wodzirejskim głosem:

— Panowie na prawo, panie — na lewo... Stajemy vis a vis.

I nagle głosem komendy:

— Załoga «Śmiały» wystąp! Kierunek — wyjście... Marsz...

Nie wiem, czy powiedział parę słów usprawiedliwienia, bo już nogi nasze dudniły chodnikami Lwowa na dworzec. Po pół godzinie strzelaliśmy na Rzęsnę Ruską.

Krysia jest w siódmym niebie. Nastawiła płytę ulubionego mazura: „Czy pozwoli panna Krysia?” Poprosił ją w pierwszą parę wodzirej, Tadzio Rzewuski z Sielca, towarzyszyć tylu konnych eskapad. Tłoczy się nadmiar par w salonie, pomieścić się nie może.

Oto pary:

Druga para: Krzys Łoś, też z Lubelskiego. Towarzysz zabaw dziecinnych, uczestnik kinderbalików w tym tu Domeczku. I Aniela Załęska. Fala platynowych włosów. Koleżanka z uniwersytetu, która przyłgnęła do Domeczku, zwłaszcza po rozstrzelaniu brata na Pawiaku. Trudniła się, poza nauką, przewożeniem broni. Miała pomalować te swoje jaśniejące jak białe złoto włosy, żeby mniej zwracać uwagę.

Trzecia para: Piotruś Szuch. Wysoki, cybaty, strasznie dobry chłopak. Syn przyjaciółki od serca z młodości. Jego ojciec był kolegą Staśka. Piotruś, przeszedłszy w 1939 roku z oddziałem granicę litewską, zbiegł z niewoli i znalazł przytułek i opiekę u Reginowej. Teraz gdzieś pracuje w warsztacie. Zdarzyło się, że przychodził umorusany w kombinezonie wprost z pracy do Domeczku, odszorowywał się i gawędził. Przy nim Nina Rostańska, ta właśnie, której ojca Niemcy zabili, którą Mama odchuchiwała w Domeczku.

Czwarta para: Romek Wańkowicz, syn Tola. Zabawny, wesoły chłopak, który kiedyś ojcu zwał za morze nie dostawszy promocji, teraz pomagał rodzicom swymi deputatami żywnościowymi. Śmiejąc się zaraźliwym śmiechem, schwytał siostrę, Bisię, tę, co to kiedyś była „Górą Tahiti”.

Piąta para: Tomek Rusanowski. Jasna sfalowana czupryna. To ten, którego po śmierci brata w Oświęcimiu udało się wydobyć, to ten, którego Krysia zamykała, aby się kuł; Tomek, wesołość przelewająca się przez brzegi, inicjator wszelakich zabaw, który stale uciekał od nauki, aby wytańcowywać z Krysią, nim ta się nie połapała, że to podejście, i nie zagoniła do książki. Tańczy z Magdą Morawską z Jurkowa, córką Kajetana. Znajoma to z dzieciństwa, a potem powinowata przez małżeństwo Hanki, córki Tola, z Krzysiem Morawskim. Magda jest zjawiskowo piękna. Przez tę piękność delikatnie modelowanej twarzy w aureoli jasnych włosów, przez gibkość dziewczęcej postaci piąta para jaśnieje pośrodku kolumny mazurowej jak spięcie.

Szósta para: to Staś Kiciński, młodziutki chłopak. Z jego bratem bliźniakiem, Jasiem, i Terenią, ich siostrą, dzieci Domeczku bawiły się w piasku. Hania Jastrzębska, z którą tańczy, to znajomość wojenna, ale bliski człowiek. Całe dni uczyła się z Krysią, towarzyszyła wycieczkom Mamy i Krysi do Zakopanego. Tkwiła w robocie konspiracyjnej znacznie wcześniej niż Krysia.

Siódma para: to Adaś Grocholski, ów przeskakujący przez furtę Domeczku po godzinach policyjnych, i Ewunia Matuszewska, znana Domeczkowi od pierwszego tchnienia, przed pierwszym tchnieniem, z której matką, Stasią Kuszelewską, King wytańcowywał na uczniowskich wieczorkach, której ojciec, Ignaś, był serdecznym przyjacielem i kolegą szkolnym poległych chłopców. Ewunia — brązowe loczki, szafirowe oczy, uroczy uśmiech, pogrążona nie tylko w pracy medycznej, ale i w konspiracji. Ewunia wkładała broń w ręce zamachowcom w ostatnich chwilach przed akcją, wykradała z pociągów dzieci zrabowane w pacyfikacji zamojskiej, wywożone do Niemiec. Znając angielski, przychodziła do Anglików w Domeczku śpiewać ich piosenki i gawędzić.

Ósma para: Andrzej Romocki, syn Pawła Romockiego, z którym mieliśmy wspólne przeżycia w ciężkich czasach rewolucji rosyjskiej i Dowbora. Ojca zabili Niemcy. Dwaj pozostali chłopcy przyrzekli matce zdać maturę. Dotrzymali. Otrzymaawszy maturę, przyszli do matki.

Więc, mamó?...

— Dobrze — powiedziała — wyście dotrzymali słowa i ja swego słowa dotrzymam. Pójdziecie do akcji, ale stawiam jeden warunek: będę o wszystkim wiedzieć, będę we wszystkim współdziałać.

Odtąd dom ich zamienia się w punkt operacyjny. Pod podłogą przemyślnie ułożone pokłady broni. W akcji pod Wilanowem już dowodzi starszy Andrzej, uczestniczy młodszy Jaś, matka jest łączniczką, ona przekazuje dalej telefoniczne meldunki, ona przyjmuje wracających z akcji. Andrzej nie znał tej młodzieży, stanął w ostatniej parze z koleżanką szkolną dzieci od zmartwychwstanek, Krysią Heczkową. Krysia zdawała się miłą, poprawną i nijaką.

— Patrz, Tadziu promienieje Krysia pełne dwa kara. Całkiem prawdziwy wieczór tańczący.

Tadzio podrzuca ramieniem zniecierpliwiony: gdzież w tej ciupce miejskiego saloniku prowadzić mazura?

— A czyż w Świąticy więcej miejsca? — mityguje go Krysia.

Prawda... A jakież szalone mazury prowadził jego wuj, Tadeusz Lechnicki. Przez okno wyprowadzał do parku, Żydki rzępolące szły za tańcownikami. I Tadzio skierowuje osiem par przez okno na taras do drzwi ogrodu. Mama za nimi pośpiesznie wynosi patefon. Tańczą — od ciężkiej furty dębowej, o którą kołatali Niemcy w dniu rewizji, po „las” (jak dziewczynki z emfazą nazywały kąt, w którym rosło pięć nieowocowych drzewek). Pod „lasem” trudno tańczyć po zrychlonym wzgórku. Mama już ten wzgórek skonstatowała przed paru tygodniami, ale nie powiedziała Krysi, że wie.

Pantofelki dziewcząt migają po trawie w refleksach bijących z okien. Mama z przerażeniem konstatuje, że kiedy okno salonu buchnęło mazurem, zapomniano zgasić światło. W Warszawie obowiązuje zaciemnienie. W domach osiedla otwierają się czarne luki, niewidzialne głowy starają się rozeznąć, czym kipi ten ogródek za murem. Ale zasłaniane okno gasi błyski, to coś za murem nalewa się smołą nocy. Zostawiony sam sobie patefon usiłuje jeszcze wyciągać — „Mazur to ostatni...”

Powstanie

Wiadomo było, że lada dzień będzie powstanie. Raz już Krysia otrzymała rozkaz udania się z ekwipunkiem na punkt zborny. Był to jednak alarm próbny.

Nic nie wiadomo było, czym się to skończy, wiadomo tylko było, że trzeba będzie chodzić i chodzić, że trzeba zmobilizować wszystkie buty.

31 lipca Marta wróciła od szewca z niczym, ale z błyszczącymi oczami: Stasiek, chłopak szewski, oświadczył, że już butów do reperacji nie przyjmuje; siedzi na warsztacie i czeka na łączniczkę, bo już będzie powstanie. Już pożegnał się z matką.

Tegoż dnia rano zagnieździł się w Domeczku oddziałek «Parasola» z samym Rafałem. U Niemców były jakieś przygotowania, wiadukt dzielący od Warszawy najeżył się ciężkimi działami. Przez ulicę Krasińskiego ciągnęły bez końca tabory ze wschodu. Mimo to, koło południa, zaczęli się włączać za furkę Domeczku jacyś młodzi chłopcy. Mama poznała między nimi Janka, kolegę córek, bardzo lewicowego. Wiedziała, że był pomocnikiem murarza na Pradze.

— Poprowadziłem z Pragi oddział SOB (Socjalistycznej Organizacji Bojowej) — mówi Janek. — Mogą zostać odcięci na Pradze, chciałem prosić, by ich tu zalokować. Oni będą walczyć — uprzedza energicznie, widząc niechęć na twarzy Mamy i Krystyny.

Małe to było, chuderlawe, w przetartych ubrankach, o cerach ziemistych i niedożywionych — te chłopaczki, które się przedarły przez zbrojny chrzęst Pragi, mostu, ulicy Krasińskiego.

Pierwszego sierpnia Domeczek obudził się napęczniały ludźmi z AK i AL, leżącymi pokotem. Mama od rana wychodziła do swojej roboty. Była zastępczynią kierowniczką PRŻ (Pomoc Rannemu Żołnierzowi) i łączniczką AK do Czerwonego Krzyża, Krystynę też Rafał wysyłał jak zwykle z rozkazami.

Marta miała polecenie w razie wybuchu powstania, gdyby nie wróciły, zdać wszystkie zapasy i w ogóle wszystko, co się nada, najbliższemu szpitalowi: Z rzeczy osobistych miała pilnować tylko walizy z rękopisami — owocem czteroletniej pracy.

Wyszły w pelerynkach deszczowych, bo padał silny deszcz.

— Do widzenia, Mamusku!...

Matka patrzyła za jej rozwiewającą się peleryną, dopóki rower (ten przewieziony przez siedem granic) nie znikł na zakręcie.

Co było w te pierwsze dni z Krysią, stało się wiadome dopiero w pół roku potem z opowiadania odnalezionej Marty.

— Ci wszyscy chłopcy z dołu i z góry wyszli zaraz rano. Przygotowałam obiad, barszcz w filiżankach z pasztecikami, jak panienka lubi. Nie można powiedzieć, panienka nawet się nie spóźniła. A tu patrzy, przy paterze z kwiatami na stole w jadalnym stoi oparta zapieczętowana kartka od tego pana z ranną ręką (tak Marta nazywała Rafała). Panienka przeczytała i mówi:

„Nie należy opowiadać, ale powstanie już się rozpoczyna. Muszę iść na Gdańską 2.

„Panienko — mówię — nie wiadomo, kiedy przyjdzie się zjeść.”

...Więc zjadła naprędce, a potem dopakowałyśmy plecak, który już był pełny, i jeszcze na wierzch włożyłam sześć moreli w woskowym papierze, bo pomyślałam, że pani by tak zrobiła. Założyłam panience plecak, przez kierownicę przewiesiłam deszczową pelerynę. Wróciłam do furty i jeszcze, pamiętam, dziwowałam się, jak pięknie kwitły dalie, które panna Krysia sadziła na powrót pana, i jak gałęzie jabłoni pełne były jabłek. I, pamiętam, zatrzymałam się, żeby podwiązać morele, rozpięte pod murem, bo wspaniale dojrzewały. I nagle podniosła się strzelanina, i drobna, i gruba. Wypadłam za furkę, ale gdzie tam... nigdzie już; panienki nie było widać. Tak waliło cały dzień, a zwłaszcza na Marymoncie, gdzie

pojechała panienka. I w nocy to strzelanie nie ustawało. Trzymałam ciągle jedzenie w piecyku, żeby natychmiast podać, jak się zjawi, i żeby starczyło na kilka osób. Drugiego dnia koto południa w okolicy zacichło, tylko w Warszawie strzelali. Ale panienka przyszła dopiero pod wieczór z tym panem dowódcą z ranną ręką, z jakimś starszym panem w sportowym ubraniu i z jakąś panienką. Panna Krysia poczęła wołać: „Marto, jeść!... Dużo jedzenia!”

...Byli strasznie zmoczeni. Panienki granatową układaną spódniczkę to musiałam wyżywać z wody. Suszyłam ich ubrania, czyściłam, prałam. A panienka przyszła do mnie do kuchni na bosaczka. Usiadła przy mnie i opowiadała, że wtedy, jak wyszła, to zaraz zaczęli strzelać, więc nie mogła jechać aleją Mickiewicza na Marymont, tylko wzięła w bok nad Wisłę, przeprowadzała rower działkowymi ogrodami, nim podeszła do ulicy Potockiej, ale tu coraz więcej pociski padały. Myślała przebiec, ale Niemcy wzięli pod ostrzał. Domki były pozamykane na głucho, biegła w ogniu, aż tak uderzyło tuż, że sama skoczyła, czy ją rzuciło na okna, rozbiło szyby, zamroczyło widać, bo w następnej chwili już była w środku, a nad nią pochyleni jacyś ludzie.

...Potem znów wybiegła, potem na ulicy Rymkiewicza trafiła na pierwszą naszą placówkę, którą dowódca, podporucznik, był już ranny w rękę. Powiedziała hasło, puścili, dalej musiała czołgać się, mimo zabitych naszych, których obszukała według broni. Dopełzła, jak kazali, do Gdańskiej 2, tam jeszcze był pan z ranną ręką. Strzelali się z Niemcami całą noc. Nad ranem ten pan mówił, że powstańcy wycofują się na Puszcę Kampinoską, ale on ma rozkaz ze swoją kompanią do swego oddziału na Wolę («Parasol» jako doborowy oddział był przeznaczony dla ochrony Dowództwa, które wówczas mieściło się na Woli).

„Panienko — mówię — już ja bym po takich przygodach więcej nie poszła. Niech panienka nie idzie.”

„Żołnierz jestem” — tak się do mnie uśmiechnęła z wyrozumieniem, że zmilkłam.

...Daliśmy na kolację jajecznicę, bo były jaja, i ten zapiekany makaron z szynką, co trzymałam. I prawdziwą herbatę, z tej jeszcze, co w kopertach przychodziła od panny Tili.

...Tego dowódcę to położyła na łóżku pani, że najwygodniejsze, temu drugiemu dała buty pana. Taka była wesoła, że to powstanie, a ona będzie w domu, w swoim własnym łóżku. Nazbierała brzoskwiń w ogródku i rozdała wszystkim i Marysi. Rano wstała najpierwsza, przyszła przed piątą, żeby szykować śniadanie.

...Panienka i rower, i plecak zostawiła tam, gdzie ją zamroczyło, bo nie myślała, że powstańców wyprą. Teraz znów zebrałam, co mogłam, do chlebaka, który był w przyborach w składzie. Ubrała się w granatową spódniczkę, w szarą bluzeczkę, z koszuli pana, w grube pończochy pod kolana i w buty narciarskie. Nie wzięła pierścionka, tylko złoty krzyżyk na łańcuszku.

„Widzi Marta — mówi — to od załogi pancerki. Po śmierci wujów cała pancerka była moim chrzestnym, przysłali całą delegację!” Wzięła w chlebak ręcznik, mydło, watę, opatrunki, trochę migdałów i rodzynków z tych, co pan przysłał. I kawy. Mówiła, że choć sanitariat nie jej rzecz, ale kawa przyda się, jak kogo rani.

...Taka była wesoła! Ucałowała mnie i Marysię, zbiegając ze stopni tarasu, wyciągnęła prawą rączkę, jak wtedy w mazurze, a już przy furtce wołała:

„Dziękujemy Marcie za kwaterę, pyszna była kwatera!”

...Aż się tamci panowie śmiali.

Rafał ze swoją kompanią dołączył na Wolę.

Co było z Krysią w czwarty i piąty dzień powstania, stało się wiadome dopiero na wiosnę 1945 roku z opowiadania sanitariuszki Zuli. Pamiętała łączniczkę Rafała, Annę. Pamiętała nawet, że ubrana była w granatową układaną pensjonarską spódniczkę, w panterkę ściągniętą szerokim pasem, włosy miała porządnie ułożone w wałeczek i biały kołnierzyk u bluzeczki.

Zapamiętała ją, bo Anna była „nowa”, przysłała z innego przydziału, a zwróciła jej uwagę dzielnością i spokojem.

Zula dyżurowała na przymurku kaplicy cmentarza kalwińskiego.

Barykady były na Młynarskiej, na Żytniej; przy czerwonym domu na rogu stała barykada z beczek, a przed nią zasieki. Granatniki niemieckie trzymały barykadę pod ciągłym ogniem.

Zula widziała kilkakrotnie Annę cyrkulującą między barykadą i dowództwem w domu starców. Ostatni raz, piątego sierpnia po południu, widziała, jak Anna, stojąc w pełnym ogniu na barykadzie, meldowała coś Rafałowi., Pamięta, że wskazywała na nią i pytała, kto to melduje z takim „fasonem”. Pod wieczór ruszyły na barykadę czołgi, burząc ją z dział. Kompania Rafała przeniosła się do punktu obronnego w domu na rogu Młynarskiej i Żytniej.

Co było dalej, relacjonował latem 1945 roku Zbyszek z grupy «Gryfa». «Parasol» się cofał i Rafał wydzielił grupę «Gryfa» do działania opóźniającego i osłony. Było trzynasta chłopców i łączniczka Anna, która się wprosiła. Gryfa już poznano, że podejmuje najtrudniejsze zadania, i uważało się za honor być u niego.

— Byliśmy — relacjonował Zbyszek — z Hanką (bo tak nazywaliśmy Annę) na pierwszym piętrze przy piacie, bo byłem w nim przeszkolony. Czołgi się nie pokazywały, a jedzenia nam naznosili w bród, nie zjedlibyśmy tego i przez miesiąc.

...Śmieliśmy się i gadaliśmy tak głośno, że Gryf, robiąc obchód, zwymyślał nas. Więc ściszyliśmy się i przegadaliśmy całą noc. Pamiętam, mówiliśmy, że to dopiero sześć dni powstania, a to wydawało się odległe o. wieki. I że jeśli mamy być trafieni, to najlepiej w głowę. O samym świcie ruszyły na nas Tygrysy i taki był huk motorów, że drżały ściany domów.

„Zbyszek, strzelaj!” — woła Gryf.

...Muszę się przyznać, że tak straszno było dojść do okna, że biegłem do niego z zamkniętymi oczami.

...Żeby strzelać, trzeba się było wychylić z okna do połowy ciała i piata sobą przycisnąć. Więc dałem pierwszy strzał za pośpiesznie i chybiłem. Zaraz potem zrozumiałem, że jak będę chybiać, to zginę. I że zmarnuję zrzutowego piata. Następny strzał już ulokowałem w celu, ale brzegiem. Dopiero od trzeciego strzału Tygrys przedni, będący już pod oknem, okręcił się w kółeczko i koniec. Gryf krzyczał przez huk:

„A co, Hanka, dobrze strzelamy?!”

...Huk stoi taki, że trzeba dobrze krzyczeć. Z czołgami niemieckimi idzie natarcie i widać już piechotę. Strzelamy, czym możemy. Hanka, brodząc przez łuski, podbiega do Gryfa i coś mu krzyczy. Widzę, że Gryf daje jej automat.. Podbiegła do okna i wystrzelała całą taśmę, ale nie od razu, tylko krótkimi seryjkami. Kiedy zakładała następną, Gryf krzyknął, że się wycofujemy, że ja zostaję w osłonie, a Hanka ma iść. Ale prosiła, by zostać z osłoną. Oddział począł się wymykać z domu, prócz tych, po mieli osłaniać. Gryf czekał, aż wyjdzie ostatni żołnierz; wychodząc raz jeszcze zwrócił się do Hanki. Można jeszcze było wyjść tyłem domu.

...Hanka została z nami, aż koło dziesiątej; otrzymaliśmy rozkaz wycofania się. Przebiegliśmy szczęśliwie. Żytnią na cmentarz. Tam było zacisze i odbywała się odprawa. Staliśmy na baczność, a przed frontem Gryf i Jeremi. Potem oficerowie poszli ku bramie, my poszliśmy ścieżką dalej. Wyszliśmy przez dziurę w murze, szliśmy gęsiego przez nie ostrzeliwaną ścieżkę wzdłuż drewnianego płotu i Hanka — a z nią cały nasz oddziałek — poczęła śpiewać taką piosenkę, która się wtedy przypętała:

*Pałacyk Michla, Żytnia, Wola,
Bronią się chłopcy spod «Parasola».*

...Nagle rozległ się huk i upadłem rannym kiedy już byłem u końca ścieżki. Potem zaraz padły za mną jeszcze dwa granaty. Więcej nic nie wiem, wynieśli mnie, potem leżałem w szpitalu, straciłem łączność z oddziałem, który wybili, i przez to żyję.

Popiół

Losy szesnastki

Oto dzieje szesnastki imieninowego mazura na sześć dni przed powstaniem.

Pierwsza para: Rzewuski i Krysia. On zginął na Woli. O niej mówiono, że ją widziano w późniejszych dniach powstania.

Druga para: Łoś i Załęską. Jego ciało znaleziono na Wilanowskiej na Czerniakowie. Ona została zastrzelona z transportem broni.

Trzecia para: Piotruś Szuch i Nina Rostańska. On — zginął z całym oddziałem, wyprowadzanym na Wilanów. Ona...

Mama, cyrkulując w czasie powstania między swymi szpitalami, natknęła się na Ninę w dziurze przełazowej muru między dwoma podwórzami. Pytała, jak wszystkich, o Krysię. Ale Nina widziała ją ostatni raz tylko w przeddzień powstania, jak Krysia wiozła orzełki mundurowe na Żłotą. Nina. była w depresji, dwa razy podchodziła do linii ognia, by się przedostać do matki chorej na serce, powiadomić i wrócić; ale nie mogła. Dawnym nałogiem Mama powiedziała: „Przyjdź odpocząć, mam kaszę”. Dziewczyna pokręciła głową: „Będę jeszcze próbowała przedostać się do mamusi. Boję się dla niej ataku serca”.

Po kilku dniach Mama miała kwaterę jej oddziału i zaszła. „Gdzie Joanna?” — spytała pseudonimem Niny. Nikt z obecnych nie reagował, wszyscy odwrócili oczy. Z sąsiedniego pokoju wyszła znajoma dziewczyna, pociągnęła Mamę do okna. Na dole w podwórzu widniały trzy krzyżyki.

— Nina leży pod tym na lewo. Nie udało się jej przedostać do matki. Przynieśliśmy tu ciężko ranną.

Czwarta para: Romek i Irenka Wańkowiczowie. Romek poległ w pierwszym dniu, a jego siostra — w dniu ostatnim. Długo matka szukała ciała „Knota”, wesołego chłopca, który się wybrał na przygodę i padł w szturmie na bunkier niemiecki na Mokotowie. Kiedy go rozpoznano wśród ekshumowanych, Mama nie pozwoliła zbliżyć się bratowej. Było to już przecież po upływie pół roku. Przyklękłszy zawinęła w koc szczątki w butwiejącej kurtce, którą sobie przed samym powstaniem sprawił; z której był tak dziecinnie dumny, w długich butach, którymi się tak chełpił. A jego siostra?

Opowiadały dziewczęta, które ostatniego dnia powstania szły kanałem, że zmyliły właz, że u jego wyjścia złapali je Niemcy i równocześnie otrzymały wiadomość, że powstanie skapitulowało. Zaprowadzone do gestapo na ulicy Szucha zastały w sali badań Irenkę stojącą pod ścianą, przesłuchujący Niemiec pienił się, bo nie chciała mu dawać żadnych informacji. Dziewczęta starały się dać znać Irence, że już wszystko można mówić, że nastąpiła kapitulacja, ale się bały. Zresztą zaraz je wypchnięto do sąsiedniej sali.

Zwłok Irenki nie znaleziono.

Piąta para: Tomek Rusanowski i Magda Morawska. Tomek Rusanowski zginął na Starym Mieście, podziurawiony jak rzeszoto. Pielęgnowająca go sanitariuszka naliczyła dwadzieścia trzy rany. Magda Morawska poległa na szósty dzień powstania; była tak piękna po śmierci w fali złotych włosów, że kiedy ją wynoszono, aby pochować, chłopcy prosili, aby nie zakrywać trumny. Nieśli ją w trumnie otwartej między stanowiskami, wyniesioną jak protest nad klękających obrońców barykady, jak światło piękna, które zanikając błogosławi.

Szósta para: Staś Kiciński i Hania Jastrzębska. Staś walczył w «Harnasiach», ciężko ranny dostał się do szpitala na Śniadeckich, zainstalowanego w gmachu, z którego wyrzucono Niemców. Pewnego dnia Mama zobaczyła dziwny pochód: przeprowadzał się szpital Maltański — lekarze w fartuchach na szpicy, dalej szeregi noszy, siostry w bieli, przy nich flaga Czerwonego Krzyża. Niemcy nie strzelali do nich. Szpital zagnieździł się w piwnicy.

Tam znalazła Stasia. Był ranny trzykrotnie, ostatnio ciężko. Byli z Jasiem, bliźniakiem, na Traugutta, szły na nich czołgi, pędzące przed sobą grupę cywilów.

— Strzelajcie, nie zwracajcie uwagi na nas... — wołały jakieś dziewczęta.

Nagle poznali wśród nich siostrę Terenię.

— Biegnijcie ku nam, uskokcie do bram!... — krzyczeli.

Tereni udało się skryć. Czołg spalili, dalsze się cofnęły. Mama obmyła rannego, dała ostatnie bezsilne tysiąc złotych.

Hanię Jastrzębską, łączniczkę Kmicica, rozdarła bomba na strzępki. „Takie miała małeńkie rączki” — dawała matka informacje poszukującym przy ekshumacji.

Siódma para: Adaś Grocholski i Ewunia Matuszewska. Adasia rozstrzelali w tych krótkich sześciu dniach między mazurem a powstaniem. Ewunia poległa w ostatnim dniu. Oddział jej cofał się, ale dwu chłopaków — jeden ze zgruchotanymi nogami, drugi z raną brzucha — musiało zostać. Jako sanitariuszka została dobrowolnie z nimi. Dowódca się spostrzegł, posłał w tył do nich kilku żołnierzy. Ale już ogień czołgów nie dopuścił. Już z drugiej strony dochodzili Niemcy. Do Ewy tylko przedarł się jeden, szesnastolatek, któremu przed kilku dniami ocalała życie. Niemcy rozstrzelali tych dwoje i tych dwu rannych. Ich nie pogrzebane trupy leżały na ulicy przez pół roku, zanim ponownie Warszawa poczęła się zaludniać.

Ósma para: Andrzej Romocki i Krysia Heczkówna. Andrzej wraz z bratem Jasiem ruszyli do walki z rąk matki. Jakieś kanapki do plecaka, jakiś guzik — cóż więcej mogła? Andrzej!... — jeszcze mu wsypała do torby garść cukierków. Andrzej, starszy, sensat, czytający poważne książki ekonomiczne, lubił cukierki. Taki był jeszcze dziecinny!...

Zamilkły kroki, opadły ręce w straszliwie z nagłą pustym domu. Gdy nagle przez drzwi wsunęła się — męska twarz jej syna, a spod hełmu spojrzały dziecinne dla matki oczy i rozległ się głos, jak dawniej, kiedy chował się za jaki sprząk i kazał siebie szukać.

— Mamuśka, jestem jeszcze.

Po Zawadzkim (Zośce) — dowodził jego kompanią. Przeprowadził, rzecz nieprawdopodobna, kompanię ze Starego Miasta przez Ogród Saski, pilnował odcinka Wisły na Czerniakowie. Kiedy siedzieli, tak już przedzeni, w trawach nadwiślanych, mówił do kolegów:

— Moja mama to jest o, taka mama, wszystkich was zaprosi do nas na przyszlą Wilię.

Kiedy już są w ogniu nie do przebycia, jego łączniczka, Krystyna, wraca od pułkownika Radosława ze zbawczym rozkazem wycofania się. Ale jest ciężko ranna, więc czołga się na plecach. Kiedy dowieka się, Andrzej jest w przeciwuderzeniu, w którym ginie. Jego brat ginie również.

Kiedy z czasem ich matka poszukuje ciał na próżno, w pewnej chwili towarzyszący jej Anoda, uczestnik tych walk, zmienia się na twarzy.

— Co panu? — spytała pani Romocka.

Ale Anoda nie przyznał się, że poznał sterczący spod gruzów but Andrzeja. Nazajutrz dopiero go wygrzebano, w obecności matki. Przeprowadzili się przez Wisłę po trumnę, czekała kilkanaście godzin przy ciele w trzaskający mróz — chciała wygodniej ułożyć szczątki tego, co było niegdyś ciałem Andrzeja. Obróciła zwłoki. Torba, przewieszona przez ramię, przekręciła się i posypały się z niej — te cukierki. „Mamuśka, jestem jeszcze...” (Jaś, jego brat, też poległ.)

A jego tancerka, cicha dziewczyna, Krysia Heczkówna? Była wśród tych, którzy z Żoliborza przebijali się do Warszawy. Przy oddziale było dziewięć łączniczek. Na wiadukcie dzielącym Żoliborz od Warszawy stały czołgi niemieckie, a nadto artyleria niemiecka strzelała wzdłuż ulicy. Siedem łączniczek poległo.

Ich kapelan, ksiądz Truszyński, błogosławiony przez biedaków swojej parafii na Marymoncie (kiedy już tłała na nim dawna sutanna, parafianie sprawili mu nową), ujrzawszy

po wojnie Mamę w szpitalu, w którym leżał jako ranny, zwrócił na nią oczy z wyrazem cierpienia:

— Proszę pani, ja raz załamalem się i nie podszedłem do konającego na barykadzie.

Wówczas doczołgał się pod wiadukt i dysponował Heczkównę na śmierć. Umierając powiedziała:

— Słodko jest umierać za ojczyznę.

Była nieporadna w wyrażaniu uczuć i źle pisała ćwiczenia. Tę samą nieporadność widziałem także w bitwie o Monte Cassino, gdzie umierający żegnali się z życiem szymlem najbardziej górnolotnych i oklepanych frazesów; frazesy nagle nabierały rumieńców; nabierały wagi relikwii.

Heczkównie przyszedł z pomocą Plutarch wdrażany przez matkę Laurentę i ideologia „okrętów strzaskanych”.

Oto dzieje szesnastki — ziela na kraterze.

Non omnis moriar

Powstanie upadło. Ludność wypędzono z Warszawy.

Matka Krystyny jako łączniczka AK przy Czerwonym Krzyżu pozostaje i teraz w zupełnie pustej Warszawie przy komórce PCK pozostawionej dla wyszukiwania i ewakuacji ciężko rannych. Ta mała grupką to jedyni żywi ludzie w dawnym milionowym mieście.

Można odwieść wzrok od jednego jarzącego punktu. Można znowu być matką. I szukać swoich, jak we wrześniu, kiedy skończyła się służba we Lwowie. I znów, jak wtedy, szukać własnego życia.

Tłumacz PCK poszedł z nią szukać jakiejś niemieckiej przepustki dla żeglowania po gruzach.

Dopiero na placyku, na którym zbiegło się pięć ulic, zastali patrol. Broń była ustawiona w kozły. Młody, jak z igły, oficer o aroganckiej, ubranej w monokl twarzy począł besztać tłumacza przez polnische Schwein-hunde. Przeszła więc pośpiesznie skwerek, stając przy besztanym biedaku. Opięty w hitlerowski mundur kabotyn postanowił zagrać gentlemana:

— Czym mogę służyć. szanownej pani?

— Proszę o przepustkę na Żoliborz.

Szeroki uśmiech zadowolenia rozjaśnił wymonoklowaną twarz.

— Droga pani — rozciągał, akcentując zdumienie. — Cóż tam pani znajdzie? — zatoczył łuk ręką. — Nigdzie nic nie ma, wszystko leży w gruzach, wszystko zniszczone — wybuchnął śmiechem.

— Może... znajdę... kogo...

Wygiął się we wdzięcznym łuku, wyciągnął ku niej półkolistym ruchem rękę:

— Daję pani moją dłoń jako gwarancję, stwierdzoną słowem honoru niemieckiego oficera, że nic i nikogo pani nie znajdzie.

Spojrzała nieruchomo na wyciągniętą dłoń i rola pękła. Ręka opadła, monokl stał się śmieszny, człowieczek bezradny.

— Zresztą, nie wydaje się przepustek — burknął i począł się odgrywać krzycząc na żołnierzy.

Był wieczór. Wracła zgłębiona. Kiedy zbliżała się do siedziby Czerwonego Krzyża, poczynano się robić mniej widmowo i jakby ludniej. Pod ścianą przemykała się jakaś hiena ludzka.

— Co paniusia uważa?

— Chciałabym dostać przepustkę na Żoliborz.

— Można, czemu nie? Ale to będzie dużo kosztować. Masz paniusia pieniądze?

— Nie mam pieniędzy.

Hiena nagle przestaje być hieną. Rozgładził swój poradlony lisi pysk, wyszły na zwiędłą twarz pobladłe psie oczy,

— Daj mi pani koniaku parę butelek i już...

— Nie mam koniaku.

— No to papierosów.

Miała sto sztuk. Ale cóż to znaczyło! Wróciła do domu z niczym.

Nazajutrz postanowiła ruszyć bądź co bądź. Była siódma rano, ale już o tej porze rozpoczęła się akcja dobijania bezbronnego miasta, i oddziały podpalaczy ruszyły od placu Zbawiciela. Na rogu Koszykowej i Marszałkowskiej dopędziła ją furka z Ukraińcami ubranymi półwojskowo. Gramolili się z furki i przeciągali się. Nie wiedziała, na jaką robotę przyjechali.

Dalej Marszałkowska, podpalona z obu stron, paliła się całymi odcinkami, formując tunel ognisty. Musiała robić głębokie obchody, stąpając po stacjach powstania: tu przechodziło się pod barykadą; tam spalono nasz szpital.

Cisza wokoło. Przez rozłupane ściany widać podwórza, a na nich krzyże grobów. Na rogu Hożej jakiś bydlak niemiecki nakręca na patefonie sztajerka. Cofa się, obchodzi go z daleka.

Wydobywa się znowu na Marszałkowską. Kiedy ma wspiąć się przez opuszczoną barykadę, przechodzi przez nią z przeciwnej strony silny patrol niemiecki. Widać, że to żołnierz frontowy dopiero sprowadzony. Twarze wychudłe w hełmach podpiętych rzemieniami. Stężale oczy odbijają martwą groźbę miasta. Idą jak we śnie.

Nie może się już cofnąć, więc pyta, czy może iść dalej. Oczy patrolu ściągają na pytającą powoli i z wysiłkiem, jakby wracały z niezmiernych światów. Podoficer robi ręką ruch, w którym przebiega rezygnacja czy ogromne znużenie. Ruch znamionuje:

Ach, co tam...

Poszli dalej od pyłka, który zaplątał się z życia z zapytaniem o ziemskie ausweisy — w ich świat przeżyć, leżący poza wszystkim, czym żyły partitaki. Matka poszła w swoją stronę — od śmierci do tego, czym nasycone były dni przed tym, co się stało. Po ich promień, który może... nie zgaś...

Już Saski Ogród, trzeba skręcić w Królewską. Dwaj Niemcy przed ogrodem. Już się nie cofnie. Idzie na nich.

— Halt!...

Młodszy chwyta ją za ramię i trzęsie z wściekłością:

— Czego tu chcesz?

Odręca go:

— Przejdź Królewską na Krakowskie.

Oczy młodego zwężają się drapieżnie: zabije.

— Ach, przestań! — mówi starszy. — Zabroniono się włóczyć, nikt nie ma być w Warszawie, raus!... — krzyczy, popychając ją w stronę, z której nadeszła.

Nie ogląda się, wraca, czekając na strzał.

— Daj spokój — słyszy głos starszego.

Skręca w pierwszą ulicę, na rogu, gdzie usypisko znaczy miejsce, w którym stała kamienica Hersego.

Na placu Małachowskiego — żywi ludzie?

Żywi? — Coś roi się na noszach, coś sklamrzy na matach. Dziesięć paralityczek (czy z resztek jakiego zakładu, czy pozbieranych luzem?) wywożono przy ewakuacji i porzucono tutaj. Ktoś kiedyś obiecał jakoś czymś po nie przyjechać.

Kredytowa — droga gruzów. Spinający ją gmach Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, który w trzydziestym dziewiątym wstrzymał starymi sklepieniami bombę — leży w gruzach.

Matka skrada się wzdłuż resztek Pałacu Kronenberga — tam trzeba będzie przechodzić przez otwarty plac, by Królewską wydobyć się na Krakowskie, a w Pałacu Bruhlowskim mogą być Niemcy.

Białe jasne rano. Białe pusty plac.

Byłe przebiec. Byłe przebiec tę niewielką przestrzeń pod okiem Niemców w Pałacu Bruhlowskim.

Targnęła się za róg — by wpaść na patrol!

— Idę szukać dziecka — zaatakowała, podoficera, wręczając mu setkę papierosów, jak astronauta wyrzuca jedyny worek piasku. — Czy mogę przejść?

— Pod ścianę... — popycha ją na skos przez jezdnię. — Prędko pod arkady, bo mogą przez plac strzelić.

Arkady Domu Funduszu Kwaterunkowego stoją nienaruszone. Wybiegła pod nimi na Krakowskie Przedmieście.

Mickiewicz stoi jeszcze, Brzozy chwieją gałązkami. Wkoło martwa cisza. Trudno to objąć rozumem, że wypędzone zostało milionowe miasto.

W ruinach domów odzywają się głosy ptaków. Koło Karowej Niemiec. Pojedynczy. Stoi nad basenem i myje ręce. Chyba nie jest na służbie, chyba nie będzie groźny.

Spostrzegł, że się zawahała.

— Nic się nie bać — informuje uczynnie. — Już nie ma tych, co tu strzelali.

Tak. Ich już nie ma. Ale zostało po nich surowe milczenie. Tu już dochodzi dech Starówki. Nie słysząc ptaków. U wylotu Miodowej na Krakowskie pierwsza barykada. Jeszcze jej nie usunęli. Jeszcze świadczy.

Barykada jest potężna, nie to co barykadki w południowej części miasta. Mnóstwo żelastwa, jakieś przewrócone wehikuły.

Wspina się na nią, patrząc wprost przed siebie. Umocniła się wyruszając, żeby się niczym nie przejmować po drodze. Nie może przejmować się Warszawą. Musi dojść do swego domu na Żoliborzu. Może jest dom, w nim stare biurko, a na biurku kartka z wiadomością.

Zeszła z barykady w tunel usypisk Miodowej. Nic z niej nie ma. Buchnęła ogniem trzech barykad, pieśnią szturmówek i znikła.

Przeszedłszy drugą barykadę, zobaczyła skrzynię pełną kieliszków z cienkiego rżniętego szkła. Ktoś wyjął tuzin i postawił na denku skrzyni. Stały na swoich wysmukłych cienkich nóżkach, dziwiąc się kruchością deseni temu słońcu, które grzało już w pełni.

Wówczas poszła przez третią barykadę, zamykającą Miodową od placu Krasińskich. Teraz były w tych barykadach przejścia, którymi pędzono ludzi z Warszawy. Przejścia te szły to w górę, to w dół.

Schodząc zobaczyła patrol idący z Długiej. Oficer, dziecko niemal, wyskoczył z pistoletem.

— Pani wie, że zabroniono wracać?

— Wiem.

— Zna pani prawo wojenne.

— Znam.

Stropił się.

— A cóż panią broni?

Co ją broni? Nie bronią ci, co stawiali tę barykadę, bo już ich nie ma. Nie broni przepustka, bo jej nie otrzymała. Nie bronią papierosy, bo je oddała.

Przeszła połowę pustej Warszawy, szła parę godzin, a było, jakby przeszła wieki i niezmierzoność pokoleń, które tu żyły. Cóż ją broni wobec tego nawiałka, który znaczy tak mało, i jego pistoletu, który może znaczyć tak dużo?

Bloss das — przeżegnała się wolno szerokim uczciwym krzyżem i poszła.

Plac Krasińskich — pusty. — Tu «Parasol» Krystyny po wycofaniu się z Woli, broniąc Starówki, codziennie salutował swoje godło, wiszący parasol. Nie ma pomnika Kilińskiego. Przez prześwit widać, niby majaczenie Disneya, Stare Miasto zburzone, ruiny czegoś, co było, wiszące w powietrzu, plamy polichromowanych fasad arealnie polatujące nad ziemią. Może tu gdzie jest na tym placu i tłucze jeszcze o mury podarte strzałami parasol, którego druczany szkielet salutowano do końca, nawet wtedy, kiedy już pocisk odkruszył rękojeść?

Idzie wzdłuż Bonifraterskiej. Zdrzutany szpital Jana Bożego. Jego obłąkani pacjenci, kiedy podmuchy bomb otwały cele, rzucili się w swoich szlafrokach więziennych bez broni do ataku na Dworzec Gdański i wyginęli.

Zdrzutany mur getta, niszczonego specjalnymi maszynami po stłumieniu żydowskiego powstania, świeci krajobrazem pagórkowatym. Gdzie była Franciszkańska, Dzika, Gęsia — wiją się wiejskie drogi przeddeptane na chybił trafił.

Dociera do wiaduktu na Żoliborz. Żoliborzanie jeździli po nim z dumą, za każdym razem z tymiż rozmowami: że skraca drogę, że jest.

Teraz wiadukt jest pusty. Idą po nim, wyjąc, pociski bolszewickie, które pękają gdzieś znacznie dalej. Na całej jego długości tylko kij jakiś improwizowany z gałęzi, który zapewne wypadł komuś z dłoni, i czyjaś chustka perkalowa na głowę.

Powstańcy gruchotany Żoliborz śpiewał:

*Rzucili na nas tysiąc Stukasów,
Lotniczych asów,
Sto Tygrysów, sto Tygrysów...*

Poranne słońce świeci, rosa lśni na trawnikach placu Inwalidów. Jeszcze chwila, roztasują się przed Hotelem Oficerskim kosze przekupek, rozświergocą dzieci wracające ze szkół, zadzwoni przepełniony tramwaj, a może wysunie się zza rogu znajomy rower i błysnie roześmiana najdroższa twarzyczka i rozrzucone ciemne włosy...

Cisza zupełna. Idzie wzdłuż parku. Pamięta, jak Krysia i Tili, zabawnie przysiadając, dziecinnymi rączkami sadziły w nim pierwsze drzewka. Teraz zbocza parku pokryte są grobami. Ale nie wszystkich widać jeszcze wchłonęły groby. Na ulicy Czarnieckiego leży dwóch poległych powstańców. Jeden padł na trawę na wznak z rozkrzyżowanymi rękami, drugi leży na progu małego domku...

Na końcu ulicy widzi sylwetkę swojego domu. Czyżby istniał?

Dwa żałosne znaki przeszłości przedwczorajszej i wczorajszej:

Szyldzik „Lody” — miejsce rozkoszy brzdąców, rumianych mimo okupacji.

I... biała płachta z narożnego domu — ostatni akord.

Przed Domeczkiem na Dziennikarskiej — barykada.

Przechodzi przez barykadę wprost w rozwaloną furtę ogrodu.

Czy to możliwe, aby do tego stopnia nie było domu?

W deszczowy ranek pierwszego sierpnia, zasunięte w peleryny, wychodziły wraz z Krysią przez te dębowe drzwi wejściowe, które leżą wyłamane. Żegnały dom, który ochraniał je murem ogrodu od streif, ostrzegał przed niebezpieczeństwem skrzypieniem furty, ogrzewał zmarzłe serca i dusze ogniem na kominku.

Dom czekał już powrotu bliskich ze świata. Wraz z całą Warszawą, która milczącą umową przestała sadzić kapustę i pomidory i ukwieciła się różami i daliami — ogródek na miejscu okupacyjnych kartofli wyciągnął zieloną płachtę trawnika, rozegrał barwami kwiatów.

Książki w bibliotece stały różnokolorowymi rzędami; te klasyczne, oprawne w tłoczone skóry, z tytułami na safianowych szyldach — ochraniane od sprzedaży przez długich kilka lat; te z dedykacjami — szumiące słowem powitalnym tyłu w ciągu tych lat tragicznie zmarłych ust; tamte — drobiazg szary; nieoprawny, pokreślony notatkami, tłum świadków, tłum niespokojnych znajomych, z którymi rozmów nie skończył ktoś drugi, kto już wkrótce miał wrócić.

W spiżarni stały pękatymi rzędami słoje.

Przed samym powstaniem cały dom został wyporządkowany od strychu do piwnic. Rękopisy starannie ułożone w skrzynkach, listy w teczkach, książki na półkach, bielizna w szafach. Wszakże dobiły już do brzegu długich okupacyjnych lat.

Lśniły wymyte szyby i pofroterowane posadzki, pachniały świeżo wyprane tiulowe białe i błękitne firanki w oknach. Trzydziestego pierwszego lipca poczyszczone zostały klamki u drzwi i zasuw u okien.

Domeczek jaśniał czystością niby „Bóg zapłać” za to przeżyte przedwojenne rodzinne życie, za tę ochronę w ciężkie dni wojny.

Przelatywały nad nim streify żandarmskie, łapanki, łomotania do furty. Zamknięty w sobie, żył swoim upartym życiem.

Ot, taki sobie dom, jak tyle innych w Polsce, swój dom, najukochańszy, najwłaśniejszy. Żył z ludźmi i myślał, kiedy Niemców ogarniała panika, że doczekał się bliskiego już zadośćuczynienia i nagrody.

Pierwszego sierpnia matka i Krysia rozstawiły po pokojach bukiety. Takie kolorowe jak na Matkę Boską Zielną.

Teraz furta dębowa leżała wyrwana, zostały jeszcze schodki, po których spływał był mazur imieninowy, z których zbiegała już w trzecim dniu powstania Krysia, dziękując Marcie za kwaterę.

— Do widzenia, mateńko!...

To tu, kiedy szła do powstania, powiedziała te ostatnie słowa.

Matka przywarła do stopni.

Potyka się o próg piwnicy. W świetle ręcznej latarki widzi rozwaloną skrzynię z papierami. Sięga ręką w głąb popisanych kart, albumów i czuje jakiś twardy przedmiot. Pudełko. Gdzieś kiedyś sama skryła, schowała, zaprzepaściła je — najgłębiej. Wyszarpuje zameczek. Na białym atłasie złoty medalik. I położyła karta, którą Stasiek napisał, zanim sam poległ, odsyłając pamiątki po poległym bracie:

Non omnis moriar

Brat

Po tej stronie frontu długo nic nie było wiadomo.

Odczyt mój w sali bogini Izydy w hotelu Shephard w Kairze przeznaczono dla zamkniętego koła za zaproszeniami. W chwili gdy zagajający wezwał mnie do zajęcia miejsca przy pulpicie pod ogromnym posągiem bogini, zatrzymała mnie w przejściu znajoma pani i szepnęła, że ma wiadomość przez Szwecję o śmierci mego brata.

Mówiąc odczyt, myślałem o poległym bracie, myślałem tak intensywnie, że jest dla mnie dotąd niezrozumiałe, jak umysł ludzki może równocześnie podejmować wysiłki w dwu tak różnych kierunkach.

„Czołg zawisł nad przepaścią — czuję, jak mówią moje usta. — Dowódca dywizji nie zezwalał go zrzuć, ręce kierowcy drżały na drążkach, wzdęła się rannymi zakorkowana mula tropa, płynęły kwadranse długie jak przedśmiertna agonía.”

Żonę przywiozłem do Kalużyc po raz pierwszy na wiosnę 1916 roku. Na froncie był chaos, pierwsze poddmuchy rewolucji, jechało się w tłumie, brudnymi wagonami. Nagle przed stacją czekał powóz w cztery konie w lejc i uniósł nas na miękkich poduszkach i kołyszących resorach w inny świat. Mój kraj uroczyście witał panią, wynalezioną w Polsce: tej wiosny zbiegła się pora kwitnienia drzew owocowych i bzów. Wsie, stojące w oćmie młodych listków, starym obyczajem zawierały wrota — musieliśmy się wkupywać. Na granicy pierwszego folwarku ukazał się Tol na Mohorcie pod ustawioną bramą. Osiemnastoletnia jego żona, Marietta, witała nas chlebem i solą u wejścia do domu.

Tego dnia do białego świtu siedzieliśmy pod lipą, tą samą, o której ojciec pisał z osiedlenia na Syberii: „Straszny tu wiatr dzisiaj. Myślę, że może ten sam wiatr poruszył gałęzie kalużańskiej lipy, a może dotknął i Twojej sukienki, Mateńko”.

Życie — z nagłą cofnęło się i zastygło. Przybysze z burzliwych szlaków, którymi ciągnęły setki tysięcy wygnanych ludzi, weszli w odwieczny obyczaj domowy, niezmienny, od czasów „pana Mela” (ojciec Melchior tak wrósł chłopczyńskim imieniem i obyczajem białoruskim w pamięć potomnych).

— Alinka, mówiłem ci tyle razy, żebyś nie wchodziła bez pukania — piorunowałem, widząc, jak stara panna, która mnie wychowała, wkracza bezceremonialnie co rano do naszej sypialni i podnosi firanki.

— Kto wie, co nie wymyśli... Dzieciaki, dziwaczka się tylko. I nie myślę pukać.

Szybkim spojrzeniem obrzucam audytorium. Wszystko w porządku: sylwetki głów tkwią nieruchomo, są zasłuchane.

I znowu jestem myślą tam, przed laty dwudziestu dziewięciu.

Po odczycie była coctail-party. Znajoma pani nic nie wiedziała poza tym, że brat został zastrzelony. Otoczyły mnie panie, było całkiem dziwnie, przyjechawszy z włoskich kwater po wsiach, znaleźć się w atmosferze salonu. Paniom też było dziwnie: paliły końskim nawozem w Kazachstanie, zmuszone potem do wdziania się „w te ohydne battle-dressy”, znów były w sukniach wieczorowych wchłaniały atmosferę wykwinotnego hotelu.

Późno było, kiedy wracałem pod Kair do swego pensjonatu w Meadi. Na stołach, na półkach, na podłodze leżały plany, oleaty, druki — przyjechałem tu kończyć Monte Cassino. Jeszcze dziś rano każdy z tych papierów grzał i świecił swoim światłem — teraz leżały martwe.

— Jaką suknię każe jaśnie pani przygotować? — pyta Antonina, wkraczając za pokojówką, wnoszącą śniadanie — bo pani starsza mówiła, że dziś na obiedzie będą goście (Tol irytuje się na to jaśniepanowanie, które nie było w modzie w Kalużycach).

— Mariecik, kto przyjeżdża?

— Ee nie masz co się stroić — mówi osiemnastoletnia „pani starsza” — takie dwie figury.

— Wiesz — mówi do męża ze zgorszeniem pani „młodsza”, przybyła z bardziej bądź co bądź demokratycznej Polski środkowej — te figury okazały się doktorem i inżynierem z Ihumenia.

Wtedy w Kalużycach młodszy brat wpisał bratowej w safianowym sztambuchu ze złoceniami pełnym miłych zachwyków, wyszukanych aforyzmów i francuskich sentencji:

„Daj wam Boże, byście umarli na własnej ziemi”:

Była to niewątpliwie ekstrawagancja, której szusowatość temperował co dzień każdy następny popis doskonałego kucharza

Pamiętam — zaraz już potem ten wpis do albumu rozepchnął się między gotyckimi literami wychowanek Sacre Coeur i grzecznym toczonym pismem wychowanek Jazłowca, rozepchnął się, schamiał i zawisnął nad całym złożonym sztambuchem. Kalużyce odpadły.

Potem przyszedł dzień ich przyjazdu do nas, do kamienicy na Elektoralej.

Z mroku klatki schodowej, cuchnącej kotami, wionął pewnego dnia szept:

— Zosia!...

— Marietta!

W dasze podbitej gronostajami, aby widać stało się zadość wszelkim symbolom według trafaretu Trędowatej, tkwiło niemowlę — Hania, biała jak papier. Tol na dole windował dwuletniego Jura, bagaż, wychowawczynię, pannę Manię, pannę służącą Antoninę, kucharkę Konstancję.

Mnie było łatwiej, on był o dziewięć lat starszy, wrósł w tamten obyczaj życia. Póki były walki Dowbora, wojował zawzięcie, ale tylko do Kalużyc. Skoro tylko zmienne koleje wojny domowej w Rosji odsłaniały Kalużyce, zląził z konia i obsiewał pola. Patrząc na brata, rozumiałem mechanizm pospolitego ruszenia, rozłazącego się w miarę odsuwania wroga z Polski. I skutki były podobne. Tol trzy razy zasiewał, ale ani razu nie zebrał. Teraz, kiedy znowu Kalużyce były zajęte, siadł na konia i pojechał wojować. Marietta jeździła do niego na front. Kiedy poczuła się w ciąży z trzecim dzieckiem, a przyszłość w tej nieznanym Polsce była dla tych ludzi wyjętych ze skorupy majątków jak dla wyłuskanej z muszli ostrygi, demokratyczna bratowa pocieszała:

— Nie płacz, Marieci, ułan ci się urodzi. Wszystko tu będzie szło naprzód, a on też, już w nowych warunkach.

— Ale przysięgnij, słyszysz, przysięgnij, że już w naszym życiu nie będzie wojny.

Zawierzyła. Urodził się Romek.

Tol w dzień wybuchu powstania był w swoim mieszkaniu, kiedy Marietta, otrzymawszy od komendantki rozkaz: „Wszyscy na placówki”, wpadła pożegnać się z mężem i z dziećmi. Romka już nie było, Irenkę (tę, która była wyspą Tahiti) zdążyła jeszcze ucałować. Już ich więcej nie zobaczyła.

Przed oknem ich mieszkania na Filtrowej szedł mur chłopców do ataku, na gmach Dyrekcji Lasów i kładł się pokotem. Wieczorem zapalił się Mokotów. Tam walczył w «Baszcie» Rom i poległ tegoż dnia. Tol siedział w fotelu całą noc i modlił się. Miał sześćdziesiąt trzy lata.

W kilka dni potem wpadli... Tol i jakiś ksiądz starali się schować dziewczęta. Pocięli im twarze żyłkami, aby oszpecić.

Potem wyrzucono ludność. Tol z żoną znaleźli przytułek we dworze pod Warszawą. Miasto walczyło, było w nim ich czworo dzieci. Nie wiedzieli, że Rom już zginął, że Jur ranny, że Irenka jeszcze żyła. Jedynie Hania, będąc w ciąży, nie brała udziału w walce, jej mąż, Krzyś Morawski, trzykrotnie ranny i pozbawiony oka w kampanii wrześniowej, i teraz był w linii.

Tolowie kilkakrotnie podchodzili pod roгатki — na próżno. Pewnego świtania, jeszcze zmierzchem, Tol wstał, by przemknąć się przez warty stojące w majątku. Rozległ się strzał. Marietta posłyszała głos: „Niemcy mnie zabili”. Wniesiono go. Miał przestrzeloną wątrobę. Odmówił doktora, prosił o księdza. Mdlejącymi rękami sunął po ubraniu.

— Wypruj dolary... Obszukaj mnie dokładnie...

W ostatniej trosce zwierzał jej te nędzne kilkadziesiąt dolarów.

— Dobrze miałem dzieci...

Ten czas przeszły był jak tchnienie lodowe.

— Niech pan nie mówi ciągle o rodzinie — pospieszył ksiądz — niech pan pomyśli o sobie.

— Wyspowiadałem się, mam nadzieję w miłosierdzie Boże... Nikogo nie skrzywdziłem... Zgrzeszyłem chyba słabością.

Po chwili już bardzo słabo:

— Żeby z karabinem...

— Giniesz jak żołnierz — mówi żona.

— To... nie... to samo...

Przypadła do niego:

— Dziękuję za życie, za szczęście...

Uśmiechnął się do niej i umarł.

Właśnie, gdy to piszę, mija dziesięć lat od dnia, kiedy Tol prosił Tilusię na uroczystość maturalną, aby go wspominała za tych dziesięć lat — kiedy go już nie będzie.

Matka

Po zakończeniu wojny ciągnęły przez Brenner rzesze Polaków do Włoch — między nimi żołnierze AK wywiezieni po powstaniu do Niemiec. Przedostał się też kolega córek, który przysłał mi list, powiadamiając, że widział Krysię za drutami kobiecego baraku w Pruszkowie. Między ich barakami była odległość stu pięćdziesięciu metrów, ale on ma dobre oczy, i Krysia też go poznała i machała ręką.

Dziwiącego sierpnia pisałem do Tili z Rzymu:

Jakby w Niemczech umarła, tobym już wiedział. Taka wiadomość szybko idzie. Musiała gdzieś wcześniej opuścić obóz i przetrwała u jakiegoś chłopca niemieckiego. Na wschód chyba nie poszła, wie, że jestem z tej strony, i zapewne sądzi, że jeśli matka wyżyła, to jest ze mną. Lada chwila będę ją miał, a przynajmniej wiadomość o niej. Tu tyle osób przyjeżdża z kraju, że wydaje się, że każdy może przyjechać. I nic nie pomaga, że sto razy na dzień przestrzegam siebie przed tym błędem optycznym: oglądam sukienki po wystawach, myślę, gdzie będzie mieszkać, jak jej stworzę tyle olśnień, na które reaguje tak wrażliwie. Złapałem się na tym, że nie pojechałem na operę w termach Karakalli, mówiąc sobie, że to już z Krysią. Obcowanie z wielu ludźmi w przeddzień ich śmierci uleczyło mnie z wiary w przeczucia. Inaczej bym mówił, że mam tak silne przeczucie jej przyjazdu, że musi się sprawdzić. To bardzo okrutny proceder — tak czekać.

A tymczasem matka poszukiwała po Polsce żołnierzy «Parasola», uczestników powstania. Jechała w różne kąty Polski furmankami, lorami otwartych pociągów wojskowych, wojskowymi ciężarówkami, do których się można było dostać za wódkę. Wyrobiła w tym poszukiwaniu przemyślność szmuglerki, obrotność szabrownika. Mama, którą nazywaliśmy puszystym Króliczkiem.

Zasygnalizowano, że we wsi w Małopolsce mieszka dziewczyna, która widziała Krysię po powstaniu. Dotarła do niej. Była to Danka Drobnikówna, córka znajomego dziennikarza, mieszkająca na Żoliborzu, znająca się z naszymi dziećmi. Okazało się, że Danka nie tylko widziała Krysię i opisała dokładnie, zgodnie z prawdą, jak Krysia była ubrana, ale rozmawiała z nią w Pruszkowie, przy czym uskarżała się, że nie wie nic o losach matki.

Ale z Niemiec, mimo wszelkie wysiłki, nie było żadnej wiadomości, nawet żadnego jej cienia. Nikt, nikt nie potwierdzał słów Danki. Na świadomości ciążyły zeznania Zuli i Zbyszka. Nikt, nikt nie potwierdzał słów Danki. Szukała... Spotykały ją wszędzie albo pustka i zawód, albo oczy spłoszone, brak wiadomości. Czy zatajanie? Zaciekle walczyła o wydarcie tajemnicy ludziom — jeśli ją mają.

Gdy ludzie milczeli — pytała ziemi. Tej ziemi na Woli.

Przeszukiwała na cmentarzu kalwińskim groby, szukała znaków, krzyżyków. Ziemia była stwardniała mrozem, oszroniona, osłonięta śniegiem. Pośrodku cmentarza stał zdobyty niemiecki wóz z amunicją, jużznaczony lilią harcorską. Szła linia zamazana płytkich okopów, którymi się «Parasol» pośpiesznie umacniał, tu i ówdzie widniała w nich jakaś szmatka. Wszystko tak było, jak pozostawiły sierpniowe walki.

Odnalazła Martę, ale Marta wiedziała tylko o pierwszych trzech dniach, nie wiedziała o Woli.

Na wiosnę, gdy ziemia zmiękła, przekopywała ziemię przesiąkniętą wiosenną wodą. Wola wciąż była pusta, ani jeden dom nie był zamieszkały.

Latem przekopywała pole. Porosło gęstą trawą. Drewniane płoty rozebrali już na opał pierwsi mieszkańcy. Wycięli też drzewa, a chwasty bujnie zarosły. Ale знаła już chyba każdy kamień Żytnej, wygląd każdej barykady, cały bieg zdarzeń.

W niedzielę biegła na mszę w ruinach kościoła Świętego Krzyża. Ludzie napływali, stali pod klepsydrami zbiorowymi, pod ogłoszeniami pytającymi o losy zaginionych. Pod klepsydrami «Parasola» znajdowała uczestników walk albo ich szukające rodziny.

Odnalazła łączniczkę Zulę, odnalazła Zbyszka, który był z Krysią do dnia swego ranienia. Ci znali dobrze teren, ale nie mogli stwierdzić śmierci Krysi.

Teraz już łączyli się w kopiące drużyny.

W jednej z okolicznych piwnic znalazła na murze napis: „Żołnierze Parasola”. Przechodzący robotnik powiedział, że pochowano tu siedem ciał. Zula mówiła, że słyszała, że na tej ścieżce pod cmentarzem, którą wycofywał się ubezpieczający oddziałek Krysi, poległo wówczas siedmiu.

Odnaleźli grób zbiorowy i to miejsce w nim, gdzie złożono tych siedmiu.

Skleciła siedem trumien. Zdobyła dwa prześcieradła dla owinięcia ciała Krysi. Poznałaby je. W lutym, kiedy zaczynała kopać, był mróz, jeszcze by widziała resztki rysów. Potem już może tylko plisowaną spódniczkę. Ale wiosną ziemia była podmokła, więc pewnie już tylko warkocze... panterkę... krzyżyk od załogi «Śmiałego».

W grobie było sześciu chłopców i dziewczyna. Krysia była jedyną kobietą w oddziale. Więc — już kres... I pewność.

Nachyliła się nad zetłętymi resztkami. Wie nieomylnie — to nie Krysia. To nie jej układ rąk, to nie Krysia (zwłoki zidentyfikowano następnie jako sanitariuszkę Irenę z grupy «Józka», też z «Parasola»).

Wiedziała, że będzie szukać dalej. Oddając te dwa jedyne prześcieradła na ostatnią przysługę nieznanej dziewczynie, zmagala się ze sobą.

Wiozła te sklecone siedem trumien platformą na Powązki. Był skwarne dzień i trumny cuchnęły. Na Powązkach odbywała się uroczystość grzebania poległych Armii Ludowej. Nad otwartym przygotowanym grobem nie zastała grabarzy. Ściągnęła wraz z woźnicą trumny i zakopywała porzuconymi przez grabarzy łopatami.

Gdzież i jak było szukać, jak i gdzie jeszcze kopać w milczącej ziemi?

Odpyływała fala matek, które znalazły i pochowały pomordowane dzieci. Tym samotniejsze te, które szukają. Na Skorupki dzień w dzień wynędziała kobieta prymitywnymi narzędziami odwała ruiny domu. W Ogrodzie Krasińskich blondyna ze śladami piękności, dosyć starannie ubrana, mówi z pogodnym uśmiechem, że już zebrała wszystkie części syna, tylko jeszcze nie może znaleźć głowy. Ludzie pierchają od tego uśmiechu.

Matka Krystyny ma dyżury dla «Parasola», szuka jego poległych wśród zwożonych ciał w Ogrodzie Krasińskich, choć tam przecież nie zwożą poległych z Woli, Krysi tam nie będzie. Leżą rzędami w długich butach, w panterkach. Czy może, że tak leżą rzędami, czy że już rysy ich są bezimienne, wyglądają jak dęby, wspaniali. Skurczona staruszka na ławce siedzi tygodniami z fotografią córki. Pokazuje ją każdemu i każdemu mówi, że córka nigdy nie chciała się fotografować, a właśnie wtedy, jak szła na powstanie, sfotografowała się i dała matce fotografię. Z fotografii patrzy jasnowłosa dziewczyna. Wejrzawszy się w staruszkę, widać, że to jeszcze niestara kobieta. Nikt nie chce, nikt nie może wysłuchiwać jej nie kończącego się opowiadania o fotografii.

Wysłuchiwanie tych biedaków jest świadomą częścią obowiązku i świadomą częścią dyżuru. Jest samotny ojciec, który stracił córkę. Jest ciężkim jakaś, a dławi go chęć mówienia o poległej. Była w grupie «Giewonta», dobrze uzbrojonej, mającej początkowo powodzenie. Mówi, że otrzymał od niej w czasie pierwszych walk telefon, radosny,

dźwięczny, że zwyciężają, że idą naprzód. Ten przynajmniej odnalazł córkę symbolicznie. Ciężka bomba zawałała dom, kiedy oddział jadł śniadanie. Gdy odkopano kamienicę, były tylko kości i broń. Te kości pochowano z bronią; nad wspólnym grobem umieszczono napis wyjaśniający, że tu leży oddział «Giewonta».

Te rozmowy na ławeczce nad dołem trupów przerywa każda kolejna ciężarówka ze zwłokami. Tych, przy których znaleziono legitymacje, kładzie się w trumnę i wiezie na kwaterę «Parasola» na Powązki. Trumien jest mało, mniej niż zidentyfikowanych żołnierzy, trzeba się bardzo z tym liczyć.

Jana, dziewczyna ze szturmówki «Parasola», pracująca przy selekcji zwożonych trupów najprzód tam na Woli, a teraz tutaj, brnie przez usypisko zbiorowego grobu w lekkich prunelowych bucikach zabranych z resztek spalonego zakładu pogrzebowego.

Zionąc straszliwym fetorem, zbliża się i mówi, że jest ciało małego chłopca, musi mieć nie więcej niż czternaście lat. Na kartce splamionej posoką można jeszcze rozeznaczyć tekst: „Pałacyk Michla...” Piosenka «Parasola».

— Weźmiemy go na naszą kwaterę — mówi matka Krystyny.

Widzi w oczach Jany troskę. Prawda... brak trumien.

Więc chwilę się przemaga i mówi:

— Wiesz, Jana, ja mam trumnę nadetatową.

Bo już rozumie, że nie znajdzie, jeśli będzie szukać po omacku. Jest podobno jeden jedyny człowiek, który wie, gdzie Krysia leży, który ją pochował. To — Gryf, jej dowódca, który wtedy do tych siedmiu poległych zawrócił, który zdjął własną kurtkę i okrył ciało poległej, który podobno ich wszystkich zdążył pochować.

Gryf został ciężko ranny. Po powstaniu ewakuowany do Niemiec. Trzeba jechać, odnaleźć go, widzieć.

Uczepiona przez ten cały rok o skraj realnego życia, zarabkując jako sekretarka uruchomionego gimnazjum, mieszkając w klitce ocalałej w ruinach domu na Pradze, dzieląc czas między szkolne zajęcia a poszukiwania, żywiąc się zupą ze wspólnego kotła, warzoną w szkole, nie wiedząc zupełnie, gdzie się obraca mąż, nie mając wiadomości od córki w Ameryce — musi teraz myśleć o wyjeździe na Europę, w nieznane, kiedy granica uszczelnia się coraz bardziej, kiedy pieniądz z tej sekretarskiej pensyjki tonął w ekshumacjach.

Wie, że ma iść. Nie wie, jak, ale wie, że ma iść. Tam jest Gryf. I tam są oni, ci żywi. Przecież oni będą żyć. Może wrócić? Może razem wrócić, z wiadomością od Gryfa. Może... odbudują dom?

Pragnie te ruiny zabezpieczyć. Może ogrodzić? Może znak jakiś postawić?

Zapomniała o Domeczku, zapamiętawszy się. Poszła go odwiedzić. Poszła pożegnać. Poszła go — może jakoś zabezpieczyć. Na przetrwanie.

Domeczek walczył zażarcie o życie. Wykurowany z ciężkich ran 1939 roku, w powstaniu swoim murem dał podstawę barykadzie na Dziennikarskiej, był jej częścią.

Potrząskany pociskami armatnimi, bombami samolotowymi — trwał. Po wyparciu powstańców Niemcy zniszczyli granatami jego wnętrze — mimo to w piwnicy przechowywał słowa pocieszenia.

Przyszła zorganizowana przez Niemców ekipa podpalaczy.

Kiedy nie dogorzał — dobijał go oddział wysadzający.

Jeszcze gruzami trwał i łączył: kiedy nad nimi, już po wejściu Rosjan, siedziała Marta z wynędzniałą Marysią, nic nie wiedząca, co dzieje się z mężem, nic nie wiedząca, czy mieszkańcy Domeczku żyją, dziecko nagle schwyciło matkę za spódnicę. Po chwili zobaczyło ją w czyichś objęciach. Z logiką pięciolatka wyostrożoną przez zdarzenia, zapytała:

— Czy ten żołnierz to jest tatuś?

Rozmawiali przy schodach tarasu — jedynej pozostałości domeczku mającej kształt dawny. Słońce padło na cement ruchomą plamą — rozświecił się ciepłym spojrzeniem umierający Domeczek, który raz jeszcze połączył.

I jeszcze raz przyszła matka na miejsce dawnego życia.

W schodki cementowe były tym razem polskie oskardy robotników porządkujących ruiny.

Obok już się kleciły kramy. Poszła i za ostatni grosz, za wszystko, co miała, kupiła chleba i kiełbasy. Wiedziała, że ma jeszcze kogoś... w swoim domu...

Rozłożyła zapasy na zrudziałej trawie, pod zwęglonymi gałązkami brzoskwini, która przetrwała w 1939 roku nie zaopatrzona od mrozu, i poczęła rodzić niezmierne ilości owocu przed samym powstaniem.

Zawołała w stronę, gdzie huczały oskardy. Po jednym poczęli wychodzić.

Przełamując chleb, powiedziała:

— Wy jesteście moimi ostatnimi gośćmi.

Jedli i pożywali.

Powietrze broniło — do końca... Broniło przy Niemcach. Broniło potem. Broni teraz.

Zawiedli agenci-złodzieje. Zawiedli wysłańcy-oszuści. Zawiedli do tego stopnia, tak całkowicie, że nawet nie wiedziała, czy mąż jest we Włoszech. Ale nie zawiodły, jak nie zawiodły w 1939 roku — serca ludzkie, które matce pomogły, gdy ze Lwowa szła pod nasuwający się front szukać rodziny, które przepawiły ojca do granicy i przez Dniestr, które ratowały „Rój”, które wspierały się wobec łapanek.

Nad mostem na Olzie stało to samo powietrze. Jakoś doprowadzono, jakoś ominęła wartość.

Dochodząc do mostu, schylała się po grudkę ziemi na próżno. Był mróz, ziemia skamieniała. Biegnąc mostem pamiętała: ileż śmiechu jej dzieci zaczępiło się o te przeszła!

Poczęła odmawiać Ojcze nasz. Kiedy dochodziła do „jako i my odpuszczamy” wiatr mroźny uderzał w twarz, modlitwa się rwała. Rozpocząła na nowo i znów nie mogła przejść tych słów. „Zmówię, jak się opamiętam” — pomyślała.

Była Wilia 1945 roku. O godzinie drugiej obudził mnie telefon. Portier powiadamiał, że przyjechała żona. Skoczyłem na korytarz. Otoczyły mnie jej ramiona i głos, który pamiętałem przez te wszystkie lata, powiedział:

— To ja.

Miała ze sobą zawiniątko, w którym była zapasowa koszula i pończochy, futrzana czapka moja, znaleziona w ruinach spalonego domu, i zeznania sanitariuszki Leny i łączniczki Zofii.

Relacja łączniczki Zofii

„To było szóstego dnia, w niedzielę, w dzień Przemienienia Pańskiego.

Siedziałam pod drzwiami, na stole rusznikarskim, gdzie reperowali broń. Słyszę huk. Mietek biegnie od strony cmentarza kalwińskiego i woła:

— Sanitariuszki, na cmentarz!... Ranni...

Byłam najbliżej. Chwytam opatrunki i biegnę w stronę cmentarza.

Przebiegając wzdłuż drewnianego płotu, zauważyłam chłopca leżącego twarzą do ziemi. Przechodził właśnie przez przełaz w płocie.

Leżeli sznurkiem, jeden za drugim, siedmiu zabitych, od strony Żytniej. Wszyscy mieli rany szyi lub głowy. Pierwszy to był młody piękny chłopak z jasną czupryną, drugi starszy człowiek o grubo ciosanej twarzy. Dalszych rozróżnić nie mogłam, bo byli zasypani ziemią. Musieli dostać serię z karabinu maszynowego.

Dalej leżała Anna.

Wsunęłam rękę pod panterkę: serce nie biło.

Oczy miała półzamknięte. Usta rozchylone. Płynęła z nich krew. Już małym strumykiem.

Kulę dostała w głowę. Leżała na boku. Rękę miała wysuniętą, z rozłożonymi palcami.

W tej chwili uderzył pocisk. Upadłam ranna. Nie miałam świadomości, jak mnie zabrali w tył. I znowu w tył. I do szpitala na Bonifraterskiej.

Więcej nic nie wiem.”

Relacja łączniczki Leny

„Szóstego byłam na cmentarzu kalwińskim z moim punktem sanitarnym pierwszej kompanii Rafała. Widziałam, jak grupa «Gryfa» przebiegała Żytnią. Wyrzałam przez furtkę: była cisza, formowali się w dwójki. Widziałam, jak przechodzili dziurę w płocie, śpiewali piosenkę «Parasola»: Pałacyk Michła. Łączniczka Rafała, Anna, szła z nimi. Widziałam, że czegoś się śmieje.

I w tym momencie uderzył pocisk. Padło wielu. Anna była najbliżej. Podbiegłam, chwyciłam ją za rękę, zawołałam jej prawdziwym imieniem:

— Krystyno!... Krystyno!...

Nie odezwała się. Nie było pulsu, nie było oddechu. Już nie żyła.

Przez dwa dni z powodu ostrzału nie można się było zbliżyć do nich. Wreszcie podpełzł Rafał, Gryf i kilku innych, aby ich pochować.

Potem Rafał przyniósł mi zegarek Anny, z wyrytą na nim dedykacją od matki, do oddania rodzinie.

Kiedy zostałam ciężko ranna na Czerniakowie, oddałam zegarek Bożenie, siostrze Szarego. Bożena zginęła na Powiślu. Rafał zginął przed Pałacem Krasińskich, w obronie Starego Miasta. Gryfa nie odnaleziono dotąd.

Więcej nie wiem.”

Epilog i prolog

List do Krysi

Obudziłem się późno i wzrok mój padł na buciki stojące u drzwi.

Wczoraj, widząc te twarde, pokrzywione buty z grubej skóry, powiedziałem, że zaraz jutro je się wyrzuci. Podniosła na mnie wzrok pełen zdumienia — jak to, takie świetne buty? Zrobiła je jakimś wielkim szarpnięciem się u szewca w Milanówku, służyły jej (jak jej służyły!) w poszukiwaniach na Woli, które Jana odbywała w prunelkowych pantofelkach ze sklepu pogrzebowego, służyły jej w drodze do męża. Jeszcze nawet nie zelowane. Takie świetne buty!

Patrzyłem na te grube, pokrzywione buty z Polski, które przyprowadziły mi żonę. Spała ciężko, nieznajome bruzdy miała na twarzy. Ale i przez te twarde bruzdy jaśniała miękka zaciśność rysów „Świętej z kałamarzem”. Ta zaciśność osłaniała kielkujące życia dzieci. Teraz czułem, jak ich matka sama jest wykorzeniona okrutnie, zniesiona, rzucona tu przez katastrofę. Jakże nieść ratunek, kiedy już nie było żadnych czekań, żadnych poszukiwań, tylko jasna świadomość, która trwała i nie opuszczała, która już nie opuści nigdy, trwać będzie bez zmian?

Nagle zobaczyłem, że przy butach pod drzwiami ręka służącego wsuwa list. Poznałem po kopercie, że z Ameryki, i ucieszyłem się, że śpiąca nie obudzi się w dzień, który by był kontynuacją tej ciężkiej nocy, tylko że między ten dzień a noc, na przebudzenie, przyjdzie głos dziecka — tak świeży, jak ten, którym przemówiła z przesłanej płyty.

Ale z koperty — wypadł list pisany ręką Krysi. Tili, już niezależnie, dowiedziała się o śmierci siostry. Uwiadamiając mnie, włożyła jej list, pisany na rok przed śmiercią, dążący do Tili okólną drogą.

Myślę, że wiele spraw o ojcu teraz dopiero dotarło do mojej świadomości. Tak niewypowiedzianie mi go brak, tak strasznie tęsknię. Jak go miałam, to nie umiałam docenić tego. Kiedy o tym myślę teraz, taki żal wzbiera w sercu, że aż gorzko w ustach. O chwili spotkania z nim myślę z mieszanym uczuciem. Na pewno będzie oczekiwał, że więcej zrobię, że się dociągnę do jego wymagań. Jak o tym pomyślę czasem w nocy, wstaję i biorę się do pracy. Bo cóż innego mogę zrobić? — Nic... Nic... Wojna jest podła — zabiera córkom ojców wtedy, kiedy ich najbardziej potrzebują.

Przesyłając ten list, Tili przypomniała słowa Krysi, powiedziane przy ostatnim pożegnaniu w Warszawie, kiedy rozmawiały o sprawie Pająka i gromadzonej broni:

Powiedz ojcu, że rad byłby ze mnie. Jeśli spyta, czy się bałam, powiedz, że tak, ale że wytrzymałam.

Podając te słowa, Tili dodała:

Piszę, żebyś wiedział, że postanowienie było pięć lat wcześniejsze i że byłeś w tej decyzji ważny, choć daleki.

W tej decyzji?...

Na Cyprze wiele serca okazała Polakom Angielka, pani Worcester. Jej jedyny syn, lotnik, zginął w Libii. Powiadomiono ją o tym telegraficznie, a potem przyszedł kolejny list od niego, wysłany jeszcze za życia. Odpisała i zaniósła na pocztę wojskową. Chciała za wszelką

cenę przedłużyć dawny stan, kiedy pisywała do syna. Wtedy nie byłem w stanie tego całkowicie pojąć. Teraz — sam pisałem do nieżyjącej.

Krysiuniu!...

Dzisiaj od Ciebie przyszedł list pisany do Tili jeszcze w 1943 roku. List, w którym nie wiesz, gdzie jestem.

Piszesz, jak ciężko jest nie mieć ojca koło siebie, kiedy jest tak potrzebny.

Na ten list nie otrzymałaś odpowiedzi. Wzywałaś mnie na próżno, jeśli istotnie próżne jest wysyłanie żarliwej myśli. Teraz Ciebie nie ma i Domeczku nie ma. Tak mi ciężko, Córeczko, że Ci nie odpisałem.

Powietrze naokoło drga Tobą, rzucam te pisane słowa w powietrze. Czy dojdą?

Nie ma nawet Twego ciała, Krysiu.

Mama przez rok przekopywała Wolę, poczynając od kalwińskiego cmentarza, od tej ścieżki. Przewoziła wykopane ciała, potem nierozeznawalną ich miazgę na Powązki. Różniłaaby. Ale nie było Ciebie.

Te straszne szczegóły to nie o Tobie, Krysiuniu, bo ty chodzisz pomiędzy nami, pochylasz przeczyste czoło, łuk brwi, ciepłe rumieńce twarzyczki, bo ciągle nam się zdaje, że stajesz w progu, pytasz: „Wołałaś mnie, Mamusku?” Pamiętasz, tak mówiłaś do matki.

Więc skoro tak Cię czujemy przy sobie, to może pochylasz się i czytasz, co piszę. Tak jak pochylałaś się, pamiętasz, a ja nagle w środku ważnego tekstu wystukiwałem o osiołku, który mi patrzy przez ramię.

Odpisuję Ci na Twój list. Nie jestem już sam. Matka przyszła z Polski z małym zawiniątkiem, którego połowę stanowiły pamiątki po Tobie, wygrzebane w popiołach Domeczku.

Wiesz, Krysiuniu, Mama mi powiedziała, że wasz «Parasol» ma swoją kwaterę na Powązkach. Wielki dębowy krzyż stoi pośrodku. I napis „Tibi — Patria”. Kwatera «Zośki» ma małe krzyże brzoźowe na każdym grobie.

W wilię Zaduszek Mama i matka Andrzeja porządkowały groby. Postanowiły zawiesić tylko ten wasz znak z kotwicą — godło Polski Walczącej.

Krzętały się cichutko.

Nagle zdrętwiały. Od bramy wejściowej buchnęła orkiestra, wwałił się pochód z transparentem: „Robotnicy Woli”. Doszli do waszej kwatery, rozwinęli jeden z biało-czerwonych sztandarów. Jeden z robotników wdrapał się na krzyż, umieścił sztandar u jego czubka i owinął tym sztandarem drzewo krzyża do ziemi.

— Pomyliliście się — mówi Mama.

A stary robotnik, który prowadził pochód, spojrzał tak ciepło i powiedział cicho:

— O nie, nie pomyliliśmy się. My wiemy, że Woli bronili chłopcy z «Parasola».

— Nie pomyliliśmy się — powtórzyli — i niech pani nie myśli, że nie będziemy pamiętać.

Krysiu, tak powiedzieli.

Wieczorem przy kwaterze «Parasola» był apel poległych trzech szturmowych oddziałów. Gdy Mama przyszła — już w mroku stali, czwórkami, w jakże nikłych oddziałkach — ci od was, ci z «Zośki», ci z «Miotły»!

Listę waszą czytali pierwszą. I ciebie jako Annę, więc z początku. I oddział, jak przy każdym nazwisku, odpowiedział:

— Poległa ku chwale ojczyzny.

A potem czytali i czytali nazwiska z tych oddziałów... strasznie długo... I za każdym razem odpowiadała — ta gromadka.

Naokoło była pustka i gruzy, i ta garstka.

Już ciemnością pojechali ciężarówką na plac Krasińskich, gdzie była kwatera Twego dowódcy. Tam poległ prawie cały wasz oddział z Rafałem włącznie. Teraz apelem połączonych oddziałów dowodził oficer z «Parasola». Nagłe buchnął znicz, klękli, majaczyły tylko pochylone głowy i słychać było «Ojcie nasz».

Za was – odnalezionych i nie odnalezionych.

Wszyscy was pamiętają, Krysiu, i pamiętać będą.

Mama była u «Pomarańczowych» na przysiędze harcerskiej. Same maleńtasy. I ci znowu się przeżyli. W środku płonęło ognisko harcerskie, a tłum rodziców stał ze stężałym sercem.

Starsi, ci ocaleni z walk, mieli zaśpiewać szturmówkę.

Zaczęli hucznie i załamali się. Za mało ich było. Więc harcmistrz przerwał po pierwszej strofie i powiedział:

– Mało nas zostało. Ale i ci, co przeżyli, i ci, którzy zginęli – nie byli nigdy w niewoli, bo od pierwszego dnia byliśmy w walce.

A kiedy Mama, wychodząc z tłumem, pytała o dalszą strofę „Pałacyku Michla”, maleńki chłopczyk w mundurku harcerskim, prowadzony przez ojca za rękę, zapytał z nie ukrywanym oburzeniem:

– Jak to? Pani nie wie?

I odśpiewał piosenkę, z którą zginęłaś.

Pamięta o was młodzież, pamiętają robotnicy, pamiętają pozostali przy życiu wasi koledzy, pamiętają ojcowie i matki, pamiętają wszyscy w Polsce.

Ale Mama i ja pamiętamy Ciebie najwłaśnie i już tylko Ciebie, i nie jako poległą, a jako żywą, i jako dziecko, i najwłaśnie.

Mama stoi teraz przy oknie i karmi wróble, które nazwyczaja przylatywać na parapet. Od razu przejęła wszystkie szczegóły życia i już zaczęła porządkować moje papiery. Nie wie, że piszę do Ciebie. Odwraca się do mnie i mówi swoim świeżym dziewczęcym głosem (pamiętasz, jak byłaś chora, prosiłaś bez ustanku: „Muska, śpiewaj”).

– Patrz, znowu ten wróbelek bez ogonka do nas przyleciał.

I nagłe jej twarz mierzchnie.

Tyleż łat dało nawyk bezzwłocznie was wołać, abyście oglądały nie kończące się cuda. Pamiętam, kiedy w Valdemozie drogę do celi Szopena zagroziła nam kwoka ze stadkiem ledwo wylęgłych kurcząt, powiedziałem z żalem:

– Szkoda, że dzieci nie ma.

I roześmialiśmy się z Mamą, że macie tego na wsi do woli w tej właśnie chwili.

Teraz wiem, czemu zmierzchnęła twarz Mamy. Poczuli się przy mnie w domu i długim nawykiem chciała wam podać tę ważną wiadomość o wróblu bez ogonka, i okazało się, jak się okazuje ciągle i ciągle w każdej chwili dnia – że was nie ma.

Matka podeszła od okna do mnie: zdążyłem zastąpić ten list do Ciebie.

– Taki sam wróbel bez ogonka nocował u mnie w Warszawie. Mieszkałam w rozbitym domu na Saskiej Kępie. Nie było ani jednego wróbla w ruinach Warszawy. Pamiętasz drzewa na skwerku na Bielańskiej, pełne wróblego ćwierkania? Teraz nie było drzew i nie było wróbli. Nie było ich ludzkich braci, gazeciarzy; nie było kwiatów na skwerach, ciepłego zaległego życia po sklepikach. Wyciekło życie, pamiętek po nim szukaliśmy pod ziemią.

...I nagle, kiedy zatliły się życia w rozbitych domach, wróciły wróble. Sypałam im resztki mojej kaszy, której było tak skąpo. Tak krzyczeli, tak bili się o tę kaszę (pamiętasz, zawsze w Domeczku mówiliśmy o zwierzętach w formie osobowej). I tak już przynęciło się, i tak grało zawsze to ćwierkanie wokół rozbitego domu. Pewnego razu wróciłam do domu późno – mogłam już teraz kopać na Woli tylko po skończeniu się lekcji w naszej szkole. Gdy weszłam, chmara wróbli gospodarowała w moim pokoju. Szyb jeszcze nie było, i uciekły z wielkim

harmidrem przez dziurawe okno. Zobaczyłam, że na nieczynnym piecu został mały wróbel bez ogonka: Zastanawiałam się, czy mu dać okruszek, ale był już napuszony do snu. Nagle, kiedy już się położyłam, maleńtas sfrunął m poręcz nad moją głowę. Nie chcąc go wystraszyć, przesunęłam poduszkę ostrożnie na drugą stronę.

...Trudno mi było zasnąć. To bardzo boleśnie, kiedy wraca życie do tych, którzy z niego wyszli, kiedy dopukuje się choćby słabym dziobkiem wróblego pisklęcia.

...Tej nocy po raz pierwszy przyśniła mi się Krysia. Była w długiej, nocnej koszulinie, z ciemnymi warkoczami spływającymi na ramiona.

...Dotąd, kiedy budziłam się, chwytala od razu straszna rzeczywistość. Tym razem jednak mały wróbel spał napuszony na poręczy łóżka. Wiesz... głupie są uczucia ludzkie... chciałam się łudzić, że... to dusza... dziecka...

Mama umilkła. Taflę powietrza za oknem przecięty gołębie, wróbelek bez ogonka znikł.

– A tamten? – spytałam.

– Z wielkim harmidrem wleciały przez okno dwa stare wróble i zabrały... dziecko...

...Tego dnia znów poszłam kopać na Woli. Ale już potem tylko na parapet, przylatywał...

Wiesz, Krysiu – znowu zapuka do rodziny prawdziwe własne życie, Tili oczekuje lada chwila porodu. Jeśli będzie córka, to będzie się nazywała Anna-Krystyna. Anna – Twój pseudonim w powstaniu.

Wiele lat minie, nim zaczniesz coś pojmować o Tobie. A może zwała obcego świata będzie tak przytłaczająca, że nigdy nie zrozumie Twojej barykady ani drobnego obyczaju, o którym wspomnienie płynie przez ręce matczyne w wyschłym dniu londyńskim.

Ale przecie... nawet gdyby nie rozumiała, żyć będziesz w jej duszy ludzkiej nierozumnej, która tłucze się o rzeczywistość.

Chcę, Krysiu, żebyś w jej duszy żyła nie tylko jako spadek nad siły, ale i jako dzień powszedni, uśmiech niefrasobliwy, nawyk swojski. Więc napiszę dla tej Anny-Krystyny książkę o Tobie i o Domeczku, w którym rostaś – jakbym w dłonie wziął ciepły kłębuszek życia i niósł między szare mury drapaczy w ten doskonale zorganizowany straszny świat.

Jej prababka kładła saszety z fiołkami do szuflad z bielizną. Ta książka będzie z uśmiechów, wzruszeń, przypomnień – o życiu Twoim i jej matki. Niech w jej życiu, obkoczonym przez nie wiem jakie radary, helikoptery, telewizje, atomy, sączy się z dna istnienia zapach tych lat, z których wyszła Twoja szukająca, chłonna, nieukożona dusza, paląca się jak płomień na wietrze.

Żyjesz, Krysiuniu. Żyjesz i żyć będziesz.

List od Tili

I już, w cztery dni po powrocie Mamy, zbliżał się Nowy Rok. Tysiąc dziewięćset czterdziesty szósty.

Ludzie witali go w rozterce — między obowiązkiem życia dalej i wspomnieniem. Ludzie starali się zasnąć przed uderzeniem dwunastej, udać, że nie zauważają odwracania się dalszej karty. Nie chcieli zdradzać umarłych.

Ludzie — wstydzili się odjazdu w życie. W Polsce koleżanki Krysi, dziewczyny również walczące w powstaniu, widząc po raz pierwszy jej matkę, szły ku niej, od progu już przesłaniając oczy obronnym ruchem.

— Proszę pani... My wstydzimy się, że żyjemy.

Obejmowała je, jak w owe radosne dni, kiedy padały bomby, a ona siadała w kręgu takich dziewcząt, zwijając z nimi bandaż, skrobiąc kartofle, opatrując potłuczenia, starając się zdjąć na chwilę brzemię trwogi o miłego chłopca, o matkę, o brata.

Teraz, utulając te, które wyżyły, zdejmowała im z ramion brzemię niepokoju o przyszłość, wskazywała — życie.

Łatwiej to wskazać młodym.

I wtedy, któryż to raz w życiu — dziecko przyszło z pomocą. To drugie dziecko, żyjące.

O godzinie czwartej po południu w wilię Nowego Roku 1946 otrzymaliśmy depeszę:

ANNA-KRYSTYNA URODZIŁA SIĘ W NOCY NA 29 GRUDNIA STOP WAŻY SIEDEM FUNTÓW CZTERNAŚCIE UNCJI STOP MA CZARNĄ CZUPRYNĘ STOP CAŁUJEMY WSZYSCY TROJE.

Udało się dostać połączenie telefoniczne. Z tamtej strony posłyszeliśmy głos: „Mamuśka!...” Tili dopiero dowiedziała się o przyjeździe matki.

A Królik — jak to Królik. Te trzy minuty rozmowy całkiem stracił. Cały czas powtarzał: „Córeczko...”

A potem przyszedł od Tili list:

Kochani moi Oboje,

Jak dobrze pisać do Was Obojga. Bez cenzur. Od czasów szwajcarskich nie mogłam tak pisać. A i Ty, Kingusiu, piszesz o odtaiwaniu. Sam tego nie rozumiesz, jaka byłaś zamrożona żaba w ostatnich listach. Biedny Królik — czyta naszą korespondencję i ucho mu smętnie zwisa na tę nawiędtą salatę.

Mama, Mamuśka!... Przesyłamy Ci pełną kobiałkę — ja i Ania. Przyszła tak łatwo na świat jak i ja. Wprawdzie nie wypadła na dywanik, ale urodziła się w szesnaście minut. Mam jej pełną głowę, pełne serce (i pełne ręce). Urodzenie jej było największym wstrząsem mego dwudziestoczteroletniego żywota i wstrząsem pełnym szczęśliwości.

Mama... Ciągnij ten list do dziurki, sama przeczytaj, a już potem streść Kingowi, bo co on się na tym rozumie.

Nazywa się Anna-Krystyna. Ma dwadzieścia dwa cale długości i waży, a raczej ważyła przy urodzeniu, siedem funtów i czternaście uncji (nie mam Jana pod ręką w tej chwili, żeby mi to przeliczył, ale może King obejrzy się za „genialnym mężczyzną”). Teraz przybywa jej co dzień po uncji albo po pół uncji i co dzień przy ważeniu mnie to wzrusza na nowo, że śledzi się te pół uncji z zapartym tchem i że się to mierzy tak mikroskopijnie, jak się wymierza

witaminy; trzy krople rano i trzy po południu. Ma pyzatą buźkę do nikogo niepodobną, nie widzące jeszcze mętnoniebieskie oczka i bardzo długie włoski, ku naszemu zdumieniu – czarne. Jan, jak dotąd, najbardziej upodobał paluszki przy nóżkach, rozstawione jak paciorki. Mnie się wszystko w niej podoba, nie mogę się dosyć nazachwycać perfekcją jej wykończenia, doskonałością każdego palca i paznokcia, gładkością skóry, pokrytej na plecach brzoskwiniowym puszkciem, grubym brzuszkiem, wierzgającymi rączkami i nóżkami.

Pojawiła się na świecie z minimum kłopotu. Właściwie to się trochę tego wszystkiego bałam, bo siedzimy tu zakutani na tej farmie, cztery mile od miasta, pięć od szpitala, bez samochodu, bez telefonu, a wprawdy w rodzeniu, jak dotąd, nie miałam, i nie bardzo wiedziałam, czy zdążymy.

A odrywać się od pracy na farmie zbyt wcześnie w żaden sposób by się nie dało.

Z wizyty u lekarza na dwa tygodnie przed teoretycznym terminem wróciłam do domu uspokojona, że to jeszcze dużo czasu. Urządziłam wielkie pranie, ugotowałam kolację, podziwiałam szybko wstawioną przez Jana i poszłam spać. Spałam jak kamień i bodaj że przespałam wielką część bólów porodowych. Jan mi potem mówił, że stękałam przez sen. Rano spieraliśmy się, czy mam jechać do szpitala. Jan z wrodzonym sobie uporem postawił na swoim, opatulił mnie w swój ciepły płaszcz i wsadził do auta sąsiada, który co dzień rano o siódmej jeździ do pracy. Tak więc około ósmej zjechałam wreszcie do szpitala.

O dziesiątej powieziono mnie na salę położową. Przemknęło mi przez głowę, że Jan tam siedzi z wiadrami po kurnikach i ani się domyśla, że to już.

Na stole ostatecznie skrzyło mnie i zaparło dech. Ciało sprężone w wysiłku, aż czułam drżenie mięśni. Drący ból, na którym skoncentrowałam się tak bardzo, że słyszałam swój głos jakby głos osoby obcej, jakbym się rozdwoiła. Głos ten mówił jakieś głupstwa, że się rozedrę na dwoje czy coś takiego. Doktor zapewnił flegmatycznie, że nie ma obawy i chcieli mi nałożyć maskę z eterem, ale ją odepchnęłam, bo pamiętałam, jak sobie przyrzekałam, że chcę rodzić całkiem świadomie. Czułam, że doktor nadcina, ale przy moich bólach to było jak lekkie uklucie. Potem spiętrzony ból i nagle ulga, raptowna cisza w oszołamiającym huku.

– Główka już przeszła, niech pani wypocznie – mówił doktor, a mnie ogarnęło zdumienie, że to już naprawdę.

Wnet przyszedł następny skurcz, czułam przepychające się małe ciałko, wyslizgujące się z mego ciała, znowu ból łamiący kości, znowu wielki spokój ulgi w bólu i potem – krzyk żywego człowieka, którego urodziłam.

– Dziewczynka – powiedział doktor.

Ogarnęło mnie uczucie pijanego, nieprzytomnego szczęścia, którego nie umiem i nikomu nie potrafię wytłumaczyć. Myślę, że Pan Bóg musi się tak czuć cały czas.

Nigdy jeszcze nie przeżywałam równie mocnego, równie szczęśliwego wstrząsu. Leżałam na tym stole rozrzucona, wciąż jeszcze drżąc z wysiłku, słuchając płaczu dziecka, smakowałam własne wielkie szczęście rodzenia. Nie faktu posiadania dziecka czy rodziny, nie pomyślnego rozwiązania, a właśnie samej funkcji rodzenia, która mi dała tak pełne, głębokie zadowolenie.

Gdzieś, poza mną, ledwo docierając do mojej świadomości, mówił głos doktora: „Ta to się urodziła na matkę”, a potem przez szum w głowie przebiło się pytanie:

– Chce pani zobaczyć dziecko?

Podniosłam głowę i spojrzałam. Doktor podniósł do góry oślizgłego małego potworka, umazanego w mojej krwi, nie odciętego jeszcze ode mnie; mała buźka była wykrzywiona krzykiem, zlepione kosmyki długich czarnych włosków oblepiały głowinę. Chwyciło mnie coś za gardło. Wzruszyłam się tak, że aż mnie to zakłopotало, i myślę, że głównie dlatego, że nie chciałam dzielić mego wzruszenia z obcymi ludźmi, powiedziałam; „Ależ szpetna!...” – na co

Ania wrzasnęła jeszcze przeraźliwiej, jakby rozumiała. Wykrztusiłem z siebie łóżysko (co niewiele różni się od porodu) i ogarnęła mnie błoga świadomość, że to już koniec. Czułam się świetnie i zdawałam sobie sprawę właściwie tylko ze zmęczenia psychicznego. Nic już nie rozdymało żeber, brzuch zwiotczał, z prawej strony jeszcze się we mnie coś piętrzyło bez sensu, skoro już po wszystkim.

Spojrzałem w lewo, na zegar ścienny. Była godzina 10 minut 16. Tylko 16 minut. Zdziwiłam się. Zdawało się, że dni całych by nie starczyło na tak intensywne wypalanie się.

Masz rację, Kingusiu, że kobiety bez sensu szantażują mężczyzn porodem. Biedni mężczyźni, że nigdy tego nie mogą przeżyć. Chyba nie ma wrażenia w życiu ludzkim, które może się z rodzeniem porównać.

Jan przyszedł do szpitala z różami i bardzo wzruszony.

Po ośmiu dniach wróciłem do domu, bo czas był ciężki i trzeba było oczyścić kurniki na przyjęcie dziewięciuset jednodniowych kurcząt, i Jan pracował dniem i nocą jak wariat, nieraz zupełnie bez snu. Pranie czekało, nowe się piętrzyło, kuchnia brudna potwornie i piwnica takż, i tysiąc innych rzeczy. Powoli się wyrównuje, bo musi. Najważniejsze, że Ani już się nie boję, bo widzę, jak jej buzia pyzacieje z dnia na dzień, i doktor orzekł, że jest zdrowa jak rydz. Lubię ją z każdym dniem więcej. Z początku ujmowała mnie tylko jej bezradność i całkowita zależność ode mnie we wszystkim – od karmienia do przewracania na brzuszek, i brało mnie za serce to, że była jakby dotykalnym symbolem naszego bardzo szczęśliwego pożycia. Teraz wydaje mi się coraz miłsza i coraz śliczniejsza. Sama się dziwię, skąd mi się bierze tyle cierpliwości i jak mi nie ciąży obrządzanie jej czy wstawanie w nocy. Mądrze to Pan Bóg urządził jakoś.